

C. J.
SANSOM
LAMENTACJE



LAMENTACJE

C. J.
SANSOM
LAMENTACJE

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ



Roz Brody, Mike'owi Holmesowi, Janowi Kingowi
i Williamowi Shaw, mocnej grupie pisarzy,
za ich komentarze i sugestie zarówno do *Lamentacji*,
jak i do moich wcześniejszych siedmiu książek.

Od autora

Podziały religijne w szesnasto wiecznej Anglii mogą dziś wydawać się niejasne, ale w latach czterdziestych tamtego stulecia stanowiły kwestię życia i śmierci. Henryk VIII w latach 1532—1534 wyprowadził Kościół w Anglii spod władzy papieża, ale przez większość swojego panowania oscyłował między kultywowaniem tradycyjnych praktyk katolickich a przejmowaniem protestanckich. Ci, którzy trzymali się tradycji — i czasami chętnie powróciliby pod władzę Rzymu - byli nazywani konserwatystami, tradycjonalistami, a nawet papistami. Ci natomiast, którzy chcieli przejąć praktyki luterzańskie, a potem kalwińskie, nosili miano radykałów albo protestantów. Określenia „konserwatysta” i „radykał” nie mają więc związku z późniejszymi ruchami społecznymi. Było też wielu takich, którzy w latach 1532-1558 zmieniali front albo z poczucia przynależności, albo — częściej - oportunistycznie. Niektórzy, choć nie wszyscy, radykałowie religijni uważali, że państwo powinno robić więcej, żeby ulżyć biednym; ale zarówno ich, jak i tych nastawionych konserwatywnie, przerażały idee anabaptystów, którzy choć nieliczni, ale będący postrachem elity politycznej, wyznawali pogląd, że prawdziwy chrześcijanin powinien dzielić się wszystkimi dobrami.

W roku 1546 probierzem wiary był katolicki dogmat o transsubstancjacji - przekonanie, że poświęcone przez kapłana podczas mszy chleb i woda zamieniają się w ciało i krew Chrystusa. Henryk nigdy od niego nie odszedł; na mocy *Sześciu artykułów wiary* z 1539 roku podważanie tego dogmatu było zdradą karaną przez spalenie na stosie. Wyznawał także wiarę w zwierzchnictwo królów nad Kościołem; uważał, że Bóg chciał, aby to monarchowie, a nie papież, byli najwyższymi arbitrami w kwestiach doktrynalnych na podległych im ziemiach.

Wydarzenia polityczne, które rozegrały się w Anglii latem 1546 roku, były burzliwe i niezwykle. Anna Askew zostawiła relację o swoich cierpieniach, o tym, jak była torturowana i została skazana za herezję. Potem spalono ją na stosie. Uroczyste powitanie admirała d Annebaulta w Londynie jest wydarzeniem historycznym i tak właśnie wyglądało. Historia Bertana odpowiada prawdzie. Istniał spisek tradycjonalistów, aby usunąć Katarzynę Parr. Napisała ona *Lamentation of a Sinner* (Lamentacje grzesznika) i dzieło to doczekało się publikacji, jednak dopiero po śmierci Henryka VIII. A z tego, co wiemy, nie zostało ukradzione.

*

Pałac Whitehall, odebrany przez Henryka kardynałowi Wolseyowi i znacznie rozbudowany, zajmował teren między dzisiejszym Scotland Yardem, Downing Street, Tamizą a współczesną ulicą Whitehall, z obiektami rekreacyjnymi po zachodniej stronie. Cały budynek spłonął doszczętnie w wyniku dwóch przypadkowych pożarów w latach dziewięćdziesiątych siedemnastego wieku; przetrwał tylko dom bankietowy, nie pochodzący jednak z czasów Tudorów.

*

Niektóre wyrazy z ówczesnej angielszczyzny mają inne znaczenie teraz. Na przykład *Dutch*, czyli dzisiejszy Holender, oznaczał mieszkańca obecnej Holandii i Belgii, czyli Niderlandczyka.

Dramatis personae

i ich miejsce w ówczesnym polityczno-religijnym spektrum

W tej powieści występuje niezwykle dużo postaci autentycznych, ale ich charakterystyki są moim dziełem.

Rodzina królewska:

król Henryk VIII
książę Edward, 8 lat, następca tronu
lady Maria, 30 lat, zdeklarowana tradycjonalistka
lady Elżbieta, 12—13 lat
królowa Katarzyna Parr

Rodzina Katarzyny Parr, wszyscy reformatorzy (patrz także drzewo genealogiczne):

lord William Parr, jej stryj
sir William Parr, jej brat
lady Anna Herbert, jej siostra
sir William Herbert, jej szwagier

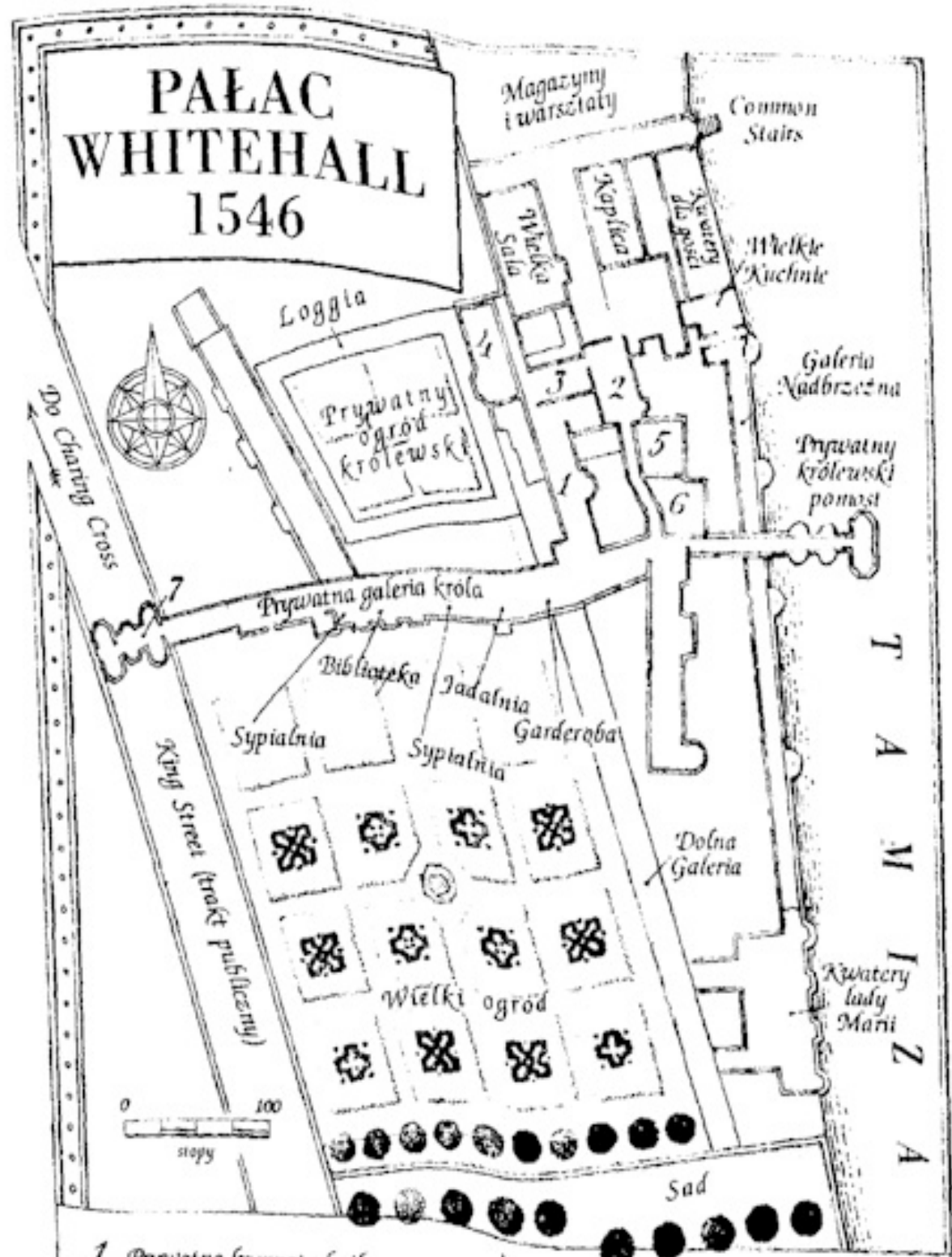
Członkowie królewskiej Tajnej Rady:

John Dudley, lord Lisle, reformator
Edward Seymour, hrabia Hertford, reformator
Thomas Cranmer, arcybiskup Canterbury, reformator Thomas, lord Wriothesley, lord kanclerz, niezdeklarowany
sir Richard Rich, niezdeklarowany
sir William Paget, główny sekretarz, niezdeklarowany
Stephen Gardiner, biskup Winchester, tradycjonalista
Thomas Howard, książę Norfolk, tradycjonalista

inni:

William Somers, błazen królewski
Jane, pełniąca funkcję błazna królowej Katarzyny i lady Marii
Mary Odell, dama dworu
William Cecil, późniejszy pierwszy minister i główny doradca królowej Elżbiety I
sir Edmund Walsingham
John Bale
Anna Askew (Kyme)

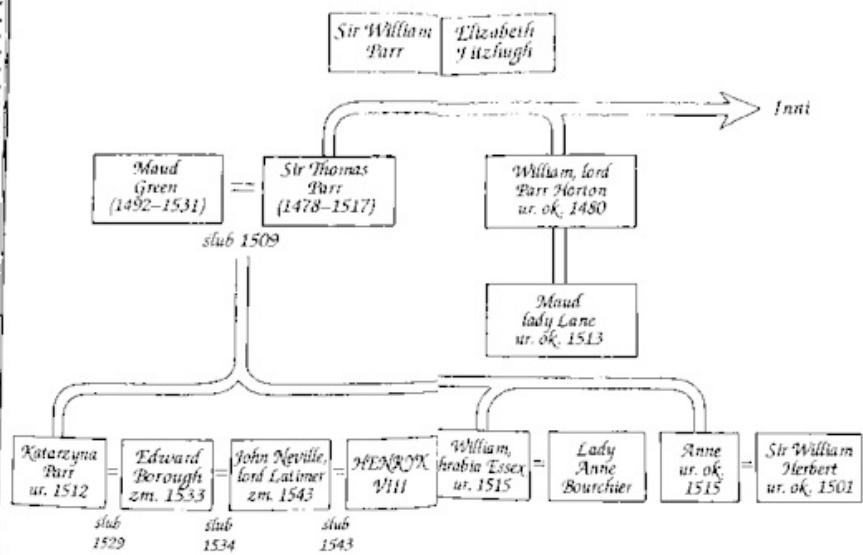
PAŁAC WHITEHALL 1546



- 1 Prywatna komnata króla
- 2 Komnata audiencyjna królowej
- 3 Komnata audiencyjna króla
- 4 Komnata audiencyjna króla
(Komnata królewskiej straży)

- 5 Komnata królowej
- 6 Sypialnia królowej
- 7 Great Gate zaprojektowana przez Holbeina
(z sekretnym apartamentem króla na górze)

DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY KATARZYNY PARR



Rozdział pierwszy

Nie wybierałem się na egzekucję. Nigdy nie lubiłem takich widowisk jak szczucie psami uwiązanego niedźwiedzia, a dziś miano spalić żywcem na stosie czworo ludzi, w tym niewiasty, za kwestionowanie obecności ciała i krwi Chrystusa w hostii podczas mszy. Oto, do czego doszliśmy w Anglii w czasie wielkiego polowania na heretyków w 1546 roku.

Zostałem wezwany ze swej kancelarii w Lincoln's Inn na rozmowę ze skarbnikiem, panem Rowlandem. Mimo że byłem komisarzem, najstarszym rangą adwokatem, Rowland nie darzył mnie sympatią. Myślę, że nie zapomniał tamtego razu, kiedy przed trzema laty okazałem mu - nie bez powodu - brak szacunku, urażając jego dumę. Szedłem teraz przez jaśniejący w letnim słońcu dziedziniec, wymieniając pozdrowienia z innymi odzianymi na czarno i podążającymi w różne strony prawnikami. Spojrzałem w okna Stephena Bealknapa, mego starego wroga — zarówno w sądzie, jak i poza nim. Okiennice były zamknięte. Od początku roku niedomagał i dłuższy już czas nie wychodził ze swej kwatery. Niektórzy powiadali, że jest bliski śmierci.

Dotarłem do biura skarbnika i zapukałem do drzwi. Ze środka dobiegł ostry głos zezwalający mi wejść. Rowland siedział za biurkiem w swym przestronnym gabinecie z grubymi księgami prawniczymi na półkach, będącymi symbolem jego statusu. Był już starym człowiekiem, ponadsześćdziesięcioletnim, chudym jak szczapa, lecz krzepkim jak o wąskiej, poranej zmarszczkami, zasepionej twarzy. Nosił białą brodę, długą i rozwidloną według obecnej mody, starannie uczesaną i sięgającą mu do potowy aksamitnego dubletu. Kiedy przekroczyłem próg, uniósł głowę - właśnie przycinał gęsie pióro. Palce, jak ja, miał poplamione atramentem od wieloletniego sporządzania aktów prawnych.

- Oby Bóg zesłał ci dobry dzień, komisarzu Shardlake - powiedział i odłożył nóż.

Skłoniłem się.

- I tobie, skarbniku.

Wskazał mi stołek, spoglądając na mnie surowo.

- Interesy idą dobrze? - spytał. - Czy będziesz miał w trymestrze jesiennym wiele spraw?

- Całkiem sporo, skarbniku.

- Podobno nie bierzesz zleceń od prawnika Jej Królewskiej Mości - rzucił od niechcienia. — Już od roku.

- Mam mnóstwo innych. I sporo czasu zajmuje mi praca w Sądzie Prób.

Skłonił głowę.

- Słyszałem, że niektórzy urzędnicy królowej Katarzyny są przesłuchiwanie przez Tajną Radę. Na okoliczność herezji.

- Tak głosi plotka. Ale tylu ludzi przesłuchiowano w ostatnich miesiącach.

- Ostatnio widuję cię częściej na mszy w kościele stowarzyszenia. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Czyżbyś chciał dowieść, że jesteś wierzący? Mądra polityka w tych burzliwych czasach. Uczęszczać do kościoła, nie rozprawiać o religii, iść za wolą króla.

- W rzeczy samej, skarbniku.

Wziął zaostrzone pióro, splunął na nie, by je zmiękczyć, a następnie wytarł szmatką. Ponownie spojrzał na mnie z uwagą.

- Dotarły do ciebie wieści, że pani Anna Askew została skazana na spalenie żywcem wraz z trzema innymi osobami. Egzekucja ma się odbyć w przyszły piątek, szesnastego lipca.

- W Londynie o niczym innym się nie mówi. Niektórzy twierdzą, że po procesie była torturowana w Tower. Dziwne.

Rowland wzruszył ramionami.

- Gawiedź wygaduje niestworzone rzeczy. Jednakże, nieszczęsna, wybrała sobie złą porę. Porzuciła męża i przyjechała do Londynu, by głosić opinie sprzeczne z *Sześcioma artykułami*. Nie chciała wyrzec

się przekonania, spierała się publicznie z sędziami. - Pokręcił głową a potem pochylił się do przodu. - Jej spalenie na stosie ma być wielkim widowiskiem. Nie było takiego od lat. Król pragnie, by wszyscy zobaczyli, dokąd prowadzi herezja. Zjedzie się połowa Tajnej Rady.

- A król nie? - Według plotek i on miał być obecny.
- Nie.

Przypomniałem sobie, że Henryk wiosną był poważnie chory, i od tego czasu prawie się ludowi nie pokazywał.

- Jego Królewska Mość życzy sobie, by zjawili się przedstawiciele wszystkich londyńskich gildii. - Przerwał na chwilę. - I zrzeszeń prawniczych. Postanowiłem, że ty będziesz reprezentował Lincoln s Inn.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

- Ja, skarbniku?

- Bierzesz na siebie mniej obowiązków towarzyskich i reprezentacyjnych, niż przystoi komuś o twej pozycji, komisarzu Shardlake. Nikt się nie pali, by wziąć udział w tym wydarzeniu, więc musiałem sam kogoś wyznaczyć. I uznałem, że teraz twoja kolej.

Westchnąłem.

- Wiem, że nie wykazywałem zbyt gorliwości, jeśli idzie o takie obowiązki. To się zmieni, jeśli tak sobie życzysz, skarbniku. - Wzięłem głęboki oddech. - Ale kiedy indziej, proszę. To będzie straszne widowisko. Nigdy nie byłem świadkiem spalenia na stosie i nie pożądam takiego widoku.

Rowland zbył me protesty lekceważącym ruchem ręki.

- Jesteś zbyt wrażliwy. To dziwne u chłopskiego syna. Widywałeś już egzekucje, wiem o tym. Lord Cromwell wysłał cię na ścięcie Anny Boleyn, kiedy mu służyłeś.

- To było wystarczająco okropne. Teraz będzie jeszcze gorzej

Postukał w dokument na biurku.

- To polecenie, bym kogoś wysłał. Podpisane przez królewskiego sekretarza, samego Pageta.

Jeszcze tego wieczoru muszę go powiadomić, kogo wyznaczyłem. Przykro mi, komisarzu, ale postanowiłem, że ty będziesz tą osobą. - Wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. Podniosłem się więc i skłoniłem ponownie. - Dziękuję, że wyraziłeś chęć wzięcia na siebie większej liczby obowiązków naszego zrzeszenia - dodał gładko. - Zobaczmy, jakie inne... - Tu się zawahał — zadania mogą się nadarzyć.

*

W dniu egzekucji obudziłem się wcześniej. Widowisko miało się rozpocząć dopiero w południe, lecz już teraz czułem się zbyt ociężały i przybity, by udać się do sądu. Mój nowy służący, Martin Brocket, punktualny jak zwykle, o siódmej przyniósł do mej sypialni płócienną bieliznę oraz dzban gorącej wody i życzywszy mi dobrego dnia, wyjął dla mnie koszulę, dublet i letnią togę. Zachowywał się poważnie, spokojnie i z szacunkiem, jak to on. Od czasu, kiedy zimą nastał u mnie z żoną Agnes, moje gospodarstwo działa jak w zegarku. Przez na wpół otwarte drzwi usłyszałem, że Agnes każe małemu Timothy'emu przynieść świeżej wody i prosi Josephine, by pospieszyła się ze śniadaniem dla mnie. Mówiła lekkim, życzliwym tonem.

- Kolejny piękny dzień - ośmielił się odezwać Martin. Był ponadczterdziestoletnim jegomościem, nieco łysiejącym, o przeciętnych, niczym nie wyróżniających się rysach twarzy.

Nikom w domu nie powiedziałem, że jadę na egzekucję Anny Askew.

- Rzeczywiście - odparłem. - Przed południem chyba popracuję w gabinecie, potem wychodzę.

- Doskonale, proszę pana. Śniadanie wkrótce będzie na stole. - Skłonił się i wyszedł.

Wstałem, krzywiąc się z bólu w krzyżu. Na szczęście, ostatnio dolega mi mniej, ponieważ starannie wypełniam zalecenia mego przyjaciela lekarza, Guya. Niestety, nie czuję się przy Martinie swobodnie, bo choć polubiłem jego małżonkę, w jego chłodnym, nieco sztywnym sposobie bycia jest coś, co mnie krępuje. Umywszy twarz i włożywszy czystą, pachnącą lekko rozmarynem koszulę, zganiłem samego

siebie za brak rozsądku, gdyż jako pan to ja powinienem nawiązać ze służącym mniej formalne stosunki.

Przyjrzałem się sobie w stalowym lustrze. Kolejne zmarszczki, pomyślałem. Wiosną skończyłem czterdziesty czwarty rok życia.

Zmarszczki, siwiejące włosy i zgarbione plecy. Ponieważ bardzo modne były brody - nawet mój sekretarz Barak nosił małą, brązową — sam przed kilkoma miesiącami próbowałem taką zapuścić, lecz urosła siwawa, więc uznałem, że nie jest mi w niej dobrze.

Wyrzrzałem przez wielodzielne okno do ogrodu, w którym za moim pozwoleniem Agnes umieściła kilka uli i zaprowadziła ogród zielny. Dzięki temu wyglądał ładniej, a zioła nie tylko pięknie pachniały, lecz także przydawały się w kuchni. Ptaki śpiewały. pszczoły unosiły się wokół kwiatów, wszystko było kolorowe i pogodne. Co za dzień, by w tak straszny sposób stracić życie! - pomyślałem o młodej niewieście i trzech mężczyznach.

Mój wzrok spoczął na liście leżącym na szafce przy łóżku. Pochodził z Antwerpii w hiszpańskich Niderlandach, gdzie przebywał mój dziewiętnastoletni podopieczny. Hugh Curteys, pracujący dla tamtejszych angielskich kupców. Chłopak był teraz zadowolony. Pierwotnie zamierzał studiować w Niemczech, został jednak w Antwerpii i niespodziewanie zainteresował się handlem tkaninami, a zwłaszcza wyszukiwaniem i wyceną rzadkich jedwabi oraz nowych tkanin, takich jak bawełna, która przybywały z Nowego Świata. Listy Hugh wyrażały zadowolenie z pracy a także swobodnej atmosfery intelektualnej i towarzyskiej, jaka panowała w tym wielkim mieście, na wydziale retoryki odbywały się targi, debaty i wieczory literackie. Choć Antwerpia należała do Świętego Cesarstwa Rzymskiego, katolicki cesarz Karol V nie ingerował w życie licznie zamieszkałych tam protestantów - wolał nie narażać się flandryjskim bankierom, którzy wykładali pieniądze na jego wojny.

Hugh nigdy nie nawiązywał do mrocznego sekretu, którym podzielił się ze mną podczas naszego spotkania rok wcześniej; wszystkie jego listy były utrzymane w pogodnym tonie. W jednym z nich jednak wspomniał o przybyciu do Antwerpii dużej liczby uchodźców z Anglii.

Są w żalonym stanie, zwracają się do kupców o pomoc. To reformatorzy i radykalowie, przepełnieni strachem, że wpadną w sieć prześladowań, którą, jak powiadają, biskup Gardiner zarzucił na całą Anglię.

Westchnąłem, włożyłem togę i zszedłem na śniadanie. Nie mogłem dłużej mitrężyć czasu, musiałem zacząć ten okropny dzień.

*

Połowanie na heretyków rozpoczęło się wiosną. Zimą nieprzewidywalna polityka religijna króla zwróciła się w stronę reformatorów. Przekonał parlament, by pozwolił mu zlikwidować kaplice rodowe, w których księża na mocy testamentów umierających darczyńców celebrowali msze za ich dusze. Jednakże, jak wielu innych, podejrzewałem, że kierowały nim motywy nie religijne, lecz finansowe - wojna z Francją, podczas której Anglicy byli oblegani w Boulogne, kosztowała bająnskie sumy. Henryk wciąż obniżał wartość pieniądza, a takiego wzrostu cen nie pamiętali najstarsi. Najnowsze „srebrne” szylingi zawierały zaledwie warstwę srebra wokół miedzianego krążka i już przecierały się pośrodku. Król zyskał nowy przydomek: „Stary Miedzianonosy”. Z powodu niżki, jakiej żądali kupcy, przyjmując te monety, stały się one warte mniej niż sześciopensówka, a tymczasem zarobki wypłacano zgodnie z nominalną ich wartością.

Wtedy, w marcu, biskup Stephen Gardiner - najbardziej konserwatywny doradca króla w kwestii religii - wynegocjował nowy traktat ze Świętym Cesarstwem Rzymskim. Od kwietnia wciąż słyszało się o ludziach, wysoko i nisko postawionych, których brano na przesłuchania za poglądy w sprawie mszy czy też za posiadanie zakazanych ksiąg. Przesłuchania te objęły nawet domowników samego króla i królowej. Wśród plotek krążących po ulicach Londynu była i ta, że Anna Askew, najlepiej znana ze skazanych na śmierć za herezję, miała powiązania z dworem monarchini i głosiła swe przekonania wśród jej dworek. Nie widziałem królowej Katarzyny od czasu, gdy przed rokiem była zamieszana w pewną niebezpieczną

sprawę, i ku swemu wielkiemu żalowi sądziłem, że nie zobaczą już tej słodkiej i szlachetnej pani. Często jednak o niej myślałem i obawiałem się o nią coraz bardziej, w miarę jak nasilała się nagonka na radykałów. W minionym tygodniu wydano edykt zawierający długą listę ksiąg, których nie wolno było posiadać, a w obecnym dworzanin George Blagge, przyjaciel króla, za herezję został skazany na stos.

Co do mnie, nie sympatyzowałem z żadną ze stron tego religijnego konfliktu i czasami wątpiłem w istnienie Boga, lecz znałem różnych reformatorów, więc jak większość ludzi starałem się nie wychylać i trzymać usta na kłódkę.

Wyszedłem z domu o jedenastej. Timothy przyprowadził pod drzwi frontowe mego poczciwego konia, Genesis, i podstawił mi podnóżek do wsiadania. Miał już trzynaście lat i stawał się coraz wyższy, chudszy i bardziej niezdarzy. Wiosną odesłałem do terminu poprzedniego chłopca stajennego, by doszedł do czegoś w życiu, i to samo zamierzałem zrobić z Timothyem, kiedy skończy czternasty rok.

- Miłego dnia, jaśnie panie.- Uśmiechnął się swym nieśmiałym szczerbatym uśmiechem, odgarniając z czoła potargany kosmyk ciemnych włosów.

- Dziękuję, chłopcze. Co u ciebie?

- Dobrze, jaśnie panie.

- Musi ci brakować Petera.

- O tak, jaśnie panie. - Opuścił głowę i kopnął kamyczek u stop. - Ale wytrzymam.

- Pewnie, że tak - odparłem zachęcająco.- Może jednak powinniśmy pomyśleć o fachu dla ciebie.

Zastanawiałeś się nad tym, czym chciałbyś się zajmować w życiu?

Popatrzył na mnie z przestachem w brązowych oczach.

- Nie, jaśnie panie... ja... myślałem, że zostanę tutaj. - Rozejrzał się i zerknął na drogę. Zawsze był cichym chłopcem, nie tak pewnym siebie jak Peter, i zdałem sobie sprawę, że przerażała go myśl o odejściu w szeroki świat.

- Cóż, nie ma z tym pośpiechu - dodałem uspokajająco. W wyraźnej oddechnął z ulgą. Muszę już jechać... Obowiązek wzywa.

*

Przejechałem pod Temple Bar, po czym skręciłem w Giflord Street, prowadzącą na Smithfield. Wielu ludzi zmierzało zakurzoną drogą w tym samym kierunku — jedni konno, drudzy na piechotę, bogaci i biedni, mężczyźni, kobiety i nawet kilkoro dzieci. Niektórzy, zwłaszcza ci w ciemnych strojach, które upodobali sobie religijni radykałowie, byli poważni, inni obojętni, a jeszcze inni podnieceni, jakby nie mogli już się doczekać rozrywki. Pod czarny beret włożyłem perukę komisarza i zacząłem pocić się w upale. Przypominałem sobie z irytacją, że jestem po południu umówiony z bardzo trudną klientką, Isabel Slanning, której sprawa - spór z bratem w związku z testamentem matki - należała do najgłębszych i najbardziej kosztownych, jakimi kiedykolwiek się zajmowałem.

Minąłem dwóch młodych terminatorów w granatowych kaftanach i czapkach.

- Dlaczego muszą urządzać takie widowisko w samo południe? — Usłyszałem, jak jeden z nich narzeka. - Nie będzie ani odrobiny cienia.

- A ja tam wiem? Pewnie jakieś zarządzenie. Biednej pani Askew będzie jeszcze cieplej. Przed końcem dnia zagrzeje sobie tyłek, co?

*

Smithfield była już zatłoczona. Na placu, gdzie dwa razy w tygodniu odbywał się targ, cisnęło się mnóstwo ludzi, z których wszyscy zwrócili się w stronę odgradzonego miejsca pośrodku, strzeżonego przez żołnierzy w białych płaszczach z krzyżem świętego Jerzego i w metalowych hełmach. Trzymali halabardy i mieli surowe miny. Gdyby nastąpiły jakieś protesty, szybko zostałyby stłumione. Popatrzyłem na tych ludzi ze smutkiem. Na widok żołnierzy zawsze myślałem o swych przyjaciółach, którzy stracili życie, a ja niemal razem z nimi, kiedy podczas akcji odpierania francuskiej inwazji zatonała wielka *Mary Rose*. Od tamtego czasu minął rok, prawie co do dnia, uświadomiłem sobie. W poprzednim miesiącu

nadeszły wieści, że wojna dobiega końca, prawie wynegocjowano już z Francją, a także Szkocją, zawieszenie broni, pozostało do uzgodnienia tylko kilka szczegółów. Przypomniałem sobie młode, niewinne twarze żołnierzy, wpadające do wody ciała i zamknąłem oczy. Dla nich pokój przyszedł za późno.

Z końskiego grzbietu miałem lepszy widok niż większość zgromadzonych, znacznie lepszy, niżbym sobie życzył, i w dodatku byłem coraz bliżej odgradzonej przestrzeni, ponieważ tłum wypierał do przodu tych na koniach. Pośrodku centralnego obszaru w suchą ziemię wbito trzy dębowe pale wysokości siedmiu stóp każdy. Tkwiły w nich metalowe obręcze, przez które londyńscy konstable przeciągali żelazne łańcuchy, wsuwali w ich ogniwa kłódki i sprawdzali, czy działają klucze. Czynili to spokojnie i rzeczowo. Nieco dalej, wokół wielkiego stosu drewna - grubych wiązek małych gałęzi - stali inni konstable. Cieszyłem się, że nie pada deszcz. Słyszałem, że jeśli drewno jest mokre, pali się dłużej, straszliwie przedłużając cierpienia ofiar. Naprzeciwko stosu wznosiła się wysoka, pomalowana na biało drewniana mównica. Stąd przed egzekucją miało być wygłoszone kazanie, ostatni apel do heretyków, by wyrazili skruchę, Zadanie to przypadło Nicholasowi Shaxtonowi, byłemu biskupowi Salisbury, radykalnemu reformatorowi, skazanemu na stos razem z innymi, który jednak wyrzekł się herezji, by ocalić życie.

Po wschodniej stronie placu, za szeregiem pięknych kolorowych budynków, zobaczyłem starą wysoką wieżę kościoła Świętego Bartłomieja. Kiedy siedem lat wcześniej klasztor został rozwiązany, jego ziemie przeszły na własność jednego z członków Tajnej Rady, sir Richarda Richa, który zbudował te domy. W ich oknach tłoczyli się ludzie. Przed dawną klasztorną stróżówką wzniesiono wysoki drewniany podest z baldachimem w królewskich barwach: zieleni i bieli. Stojąca pod nim długa ława była zasłana grubymi jaskrawymi poduszkami. Stąd mieli oglądać egzekucję burmistrz oraz przedstawiciele Tajnej Rady. Wśród siedzących na końskich grzbietach rozpoznałem wielu urzędników miejskich; skinąłem głową tym, których znałem. W pewnej odległości stała grupka mężczyzn w średnim wieku, wszyscy byli poważni i zatroskani. Usłyszałem kilka słów w obcym języku i uznałem, że muszą to być flamandzcy kupcy.

Wokół mnie panował gwar, w powietrzu zaś unosiła się ostra woń londyńczyków latem.

- Podobno łamano ją kołem, aż powyrywano jej ze stawów ręce i nogi...
- Wszak nie mogli jej torturować po skazaniu...
- I John Lassells też ma być spalony. To on doniósł królowi o flirtach Katarzyny Howard...
- Mówią, że Katarzyna Parr też jest w tarapatkach. Mógłby mieć siódmą żonę...
- Czy darują im życie, jeśli okażą żal?
- Za późno na to...

Przy baldachimie nastąpiło poruszenie i głowy zwróciły się w tamtym kierunku; ze stróżówki wyszła w otoczeniu żołnierzy grupa dostojników ubranych w jedwabne togi i czapki, niektórzy ze złotymi łańcuchami na szyjach. Powoli wkroczyli po stopniach na podest i gdy żołnierze zajęli miejsca przed nimi, usiedli w długim rzędzie, poprawiając czapki oraz łańcuchy i spoglądając na gawiedź z zaciętymi, posępnymi minami. Znałem wielu z nich: burmistrza Londynu, Bowesa, w czerwonej szacie; księcia Norfolk, starszego i chudszy niż przed sześcioma laty, kiedy go poznałem, z butnym wyrazem wyniosłej surowej twarzy. Przy jego boku siedział duchowny w białej jedwabnej sutannie z narzuconą na nią czarną albą; nie znałem go, lecz domyślałem się, że musi to być biskup Gardiner. Miał około sześćdziesiątki, był przysadzisty i smagły, z dumnym orlim nosem i dużymi ciemnymi oczami, które lustrowały tłum. Pochylił się i szepnął coś do Norfolka, który skinął głową i uśmiechnął się szyderczo. Wielu mówiło, że tych dwóch chętnie oddałoby Anglię z powrotem pod władzę Rzymu, gdyby tylko mogli.

Za nimi siedziało trzech mężczyzn. Każdy z nich zdobył wpływy za Thomasa Cromwella, ale kiedy ten upadł, zwrócili się ku frakcji konserwatywnej w Tajnej Radzie i byli jak chorągiewka na wietrze, pokazując raz tę, raz inną twarz. William Paget, sekretarz królewski, który wysłał list do Rowlanda, miał

szeroką kanciastą twarz i kryjące się pod krzaczastą brązową brodą cienkie usta z jednym opadającym ostro kącikiem, przez co przypominały kreskę. Powiadano, że Paget był obecnie najbliższym króla; nosił przydomek „Mistrz Ceremonii”.

Obok Pageta siedzieli lord kanclerz Thomas Wriothesley, zwierzchnik prawników, wysoki, szczupły, z rudą wystającą bródką, i wreszcie sir Richard Rich, wciąż starszy członek Tajnej Rady, mimo oskarżeń o korupcję sprzed dwóch lat, a także, z tego, co wiedziałem, morderca i mój odwieczny wróg. Nic mi z jego strony nie groziło, gdyż wiedziałem o nim pewne rzeczy i wciąż byłem pod opieką królowej. Cokolwiek to jest teraz warte, pomyślałem z niepokojem. Spojrzałem na Richa. Mimo upału miał na sobie zieloną szatę z futrzanym kołnierzem i - ku swemu zaskoczeniu - dostrzegłem w jego szczupłej twarzy o regularnych rysach łęk. Długie włosy, które miał skryte pod zdobionym klejnotami beretem, całkiem już posiwiały. Bawił się złotym łańcuchem. Potem, patrząc w tłum, napotkał mój wzrok. Zaczerwienił się i zaciął usta. Przez chwilę patrzył na mnie, po czym odwrócił głowę, kiedy zwrócił się do niego Wriothesley. Przebiegł mnie dreszcz. Mój niepokój udzielił się koniowi, który poruszył się nerwowo. Uspokoiłem go klepieniem.

Obok mnie przeszedł żołnierz, niosąc ostrożnie koszyk.

- Z drogi, z drogi! To proch!

Ucieszyłem się. Przynajmniej okażą trochę łaski. Karą za herezję było spalenie żywcem na stosie, czasami jednak władze pozwalały przywiązać paczkę z prochem na szyjach skazańców; proch eksplodował, kiedy dotarły do niego płomienie, i powodował natychmiastową śmierć ofiar.

- Powinni spłonąć do szczętu! - sprzeciwił się ktoś.

- Dobrze mówi! - przyznał mu rację inny. - Pocałunek ognia, lekki i bolesny! - Rozległ się złowieszczy chichot,

Obejrzałem się, kiedy inny jeździec, także w letniej jedwabnej todze prawniczej i ciemnej czapce, przejechał przez tłum i zatrzymał się tuż obok. Był ode mnie kilka lat starszy, miał urodziwą, choć dość poważną twarz, krótką ciemną brodę i niebieskie oczy o przenikliwym, szczerym i bezpośrednim spojrzeniu.

- Dobrego dnia, komisarzu Shardlake.

- I tobie, kolego Coleswyn.

Philip Coleswyn był prawnikiem z Grays Inn i mym adwersarzem w okropnej sprawie pani Slanning. Występował w imieniu brata mej klientki, równie swarliwego i trudnego jak ona, ale chociaż musieliśmy się zmierzyć jako prawnicy, miałem Coleswyna za porządnego i uczciwego; nie należał do tych adwokatów, którzy dla zarobku chętnie bronią najgorszych spraw. Przypuszczałem, że uważa swego klienta za tak samo irytującego, jak ja moją klientkę. Słyszałem też, że jest reformatorem — ostatnio jeśli o czymś plotkowano, to o poglądach religijnych innych ludzi - choć mnie to nic robiło żadnej różnicy.

- Reprezentujesz Lincoln's Inn? - zapytał.

- Tak. A ciebie wybrano na przedstawiciela Grays Inn?

- Nie inaczej. Z własnej woli bym tu nie przyjechał.

- Tak jak ja.

- To będzie okrutne widowisko. - Spojrzał mi w oczy.

- Owszem. Okrutne i przerażające.

- Niebawem za nielegalne uznają modlenie się do Boga. - Mówił z lekkim drżeniem w głosie.

Odpowiedziałem wymijająco, lecz ironicznym tonem:

- Naszym obowiązkiem jest wierzyć tak, jak nakazuje król Henryk.

- I oto nakazał - odparł cicho Coleswyn. Pokręcił głową i dodał: -Przepraszam cię, kolego, powinienem uważać na słowa.

- Owszem. Teraz to konieczne.

Żołnierz ostrożnie położył koszyk z woreczkami prochu w rogu odgradzonego terenu. Przeszedł przez

barierkę i stanął w szeregu przy kolegach, zwrócony twarzą ku gawiedzi, całkiem niedaleko nas. Wtedy Wriothsley pochylił się i skinął na niego palcem. Ten pospieszył do podestu, a wówczas Wriothsley wskazał koszyk z prochem. Żołnierz coś odpowiedział i lord kanclerz wyprostował się na ławic, widocznie zadowolony. Tamten zaś wrócił na miejsce.

- O co chodziło? — Usłyszałem, że pyta go kolega.

- Chciał wiedzieć, ile jest tam prochu. Bał się, że kiedy ładunek wybuchnie, w stronę podestu polecą płonące szczapy. Wyjaśniłem mu, że paczki z prochem zostaną przywiązane do szyj skazańców, wysoko nad szczapami.

Żołnierz się zaśmiał.

- Radykałowie by się ucieszyli, gdyby Gardiner i połowa Tajnej Rady także spłonęli. John Bale napisałby o tym jakąś sztukę.

Poczułem na sobie czyjś wzrok. Nieco po lewej stronie ujrzałem prawnika w czarnej todze. Stał z dwoma młodzieńcami odzianymi w dublety barwione drogimi substancjami oraz zdobne w perły berety. On sam też był młodym, dwudziestoparoletnim mężczyzną, niskim i szczupłym, o wąskiej twarzy, wyłupiastych oczach i rzadkiej brodzie. Patrzył na mnie twardym wzrokiem. Napotkał moje spojrzenie i odwrócił głowę.

- Znasz tego prawnika, który stoi z tymi dwoma fircykami? -zapytałem Coleswyna.

Pokręcił głową.

- Chyba widziałem go raz czy dwa w sądzie, lecz nie wiem, kim jest.

- Nieważne.

W tłumie nastąpiło poruszenie, albowiem z Litde Britain Street wyłoniła się procesja. Pojawili się następnii żołnierze otaczający trzech mężczyzn w długich białych koszulach, jednego młodego i dwóch w średnim wieku. Wszyscy mieli nieruchome twarze, ale dziki, pełen strachu wzrok. Za nimi podążali kolejni dwaj żołnierze, niosąc na fotelu młodą, ładną jasnowłosą kobietę, mającą ponad dwadzieścia lat. Kiedy fotel się zachwiał, uchwyciła się podłokietników, a twarz wykrzywiła jej się z bólu. Więc to była Anna Askew, która opuściła męża w Lincoln'shire, by przybyć do Londynu i tu nauczać, twierdząc, że poświęcona hostia to tylko kawałek chleba, pleśniejący jak wszystkie inne, jeśli zostawi się go w pudełku.

Askew zanesiono pod trzeci pal. Żołnierze postawili fotel na ziemi, a konstable przywiązali ją do pala za szyję i w talii.

- To prawda - odezwał się Coleswyn. - Była w Tower torturowana. Zobacz, nic może sama ustać na nogach.

- Lecz po co to robić, skoro została już skazana?

- To wie tylko Jezus.

Jeden z żołnierzy wyjął z koszyka cztery brązowe paczki rozmiaru dużej pięści i starannie przywiązał po jednej do szyi każdego ze skazańców. Ci wzdrygnęli się odruchowo. Z dawnej stróżówki wyszedł konstabl, niosąc zapaloną pochodnię. Stał z kamienną miną przy ogrodzeniu. Wszyscy zwrócili na niego wzrok. W tłumie zapadła cisza.

Na mównicę wszedł mężczyzna w duchownych szatach. Był starszy, siwowłosy i rumiany; starał się zapanować nad wyrazem twarzy, wykrzywionej przez strach. Był to Nicholas Shaxton. Jednakże w czasie wyrzekania się herezji także miał być przywiązany do pala. Z tłumy dobiegły nieprzyjazne pomruki, potem okrzyk:

- To hańba palić na stosie braci w Chrystusie!

Nastąpił zamęt i ktoś uderzył tego, który wołał; dwaj żołnierze pospieszyli ich rozdzielić.

Shaxton zaczął wygłaszać kazanie, długą rozprawę uzasadniającą dogmat mszy świętej. Trzej skazani mężczyźni słuchali w milczeniu, jeden z nich trząsł się w sposób nieopanowany. Na ich twarzach i białych koszulach pojawił się pot. Anna Askew jednak co jakiś czas przerywała Shaxtonowi okrzykami

w rodzaju: „Opuszcza fragmenty, mówi bez księgi!”. Wydawała się już spokojna i opanowana, niemal jakby dobrze się bawiła podczas tego widowiska. Zastanawiałem się, czy biedaczka nie oszalała. Ktoś z tłumu zawołał:

- Zaczynajcie! Podpalcie stosy!

Wreszcie Shaxton skończył. Powoli zszedł z mównicy i został odprowadzony z powrotem do stróżówki. Chciał wejść do środka, lecz żołnierze chwycili go pod ramiona, po czym odwrócili. Miał stać na progu i patrzeć.

Wokół skazańców ułożono wiązki drewna, które sięgały im teraz do łydek. Potem podszedł konstabl z pochodnią i po kolei podпалиł wszystkie stosy. Rozległ się trzask ognia, któremu towarzyszyły gwałtowne oddechy, a następnie krzyki bólu, kiedy płomienie ogarnęły nogi ofiar. Jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć raz po raz:

- Chrystus przyjmie mnie do siebie! Chrystus mnie przyjmie!

Usłyszałem, że z ust Anny Askew wyrwał się jęk, i zamknąłem oczy. Wokół mnie zapadła cisza, tłum przyglądał się egzekucji.

Wydawało się, że krzyki i trzaskanie szczap nigdy się nie skończą. Mój koń znowu poruszył się niespokojnie i przez chwilę doznałem tego okropnego uczucia, które nawiedzało mnie od czasu zatonięcia *Mary Rose*: miałem wrażenie, że ziemia pod mną się kołysze, zapada i unosi, więc musiałem otworzyć oczy. Trzej mężczyźni wciąż krzyczeli i wili się przy palach. Płomienie już sięgały im do ramion i dolnych części tułowia, paląc skórę. Krew spływała w ogień. Dwaj z nich pochylali się do przodu, czyniąc rozpaczliwe próby zapalenia prochu, daremnie, gdyż nie sięgali tak nisko. Anna Askew osunęła się na fotelu, wszystko wskazywało na to, że straciła przytomność. Zebrało mi się na mdłości. Spojrzałem na rząd twarzy pod baldachimem; wszystkie były zacięte i surowe. Potem zwróciłem uwagę, że młody szczupły prawnik znowu przygląda mi się z tłumu. Pomyślałem z lękiem: Kto to jest? Czego chce?

Coleswyn jęknął i zachwiał się w siodle. Wyciągnąłem rękę, by go podtrzymać. Wziął głęboki oddech i wyprostował się.

- Odwagi, kolego - powiedziałem do niego łagodnie.

Spojrzał na mnie poblądły, z kroplami potu na twarzy.

- Zdajesz sobie sprawę, że każdy z nas może tak skończyć? - spytał szeptem.

Zobaczyłem, że część zgromadzonych się odwróciła; jedno czy dwoje dzieci, przerażonych straszliwym widokiem, płakało. Któryś z flamandzkich kupców wyjął mały modlitewnik i otworzywszy go, recytował coś z niego po cichu. Jednakże inni śmiali się i żartowali. Nad Smithfield oprócz smrodu ludzkich ciał unosił się zapach dymu i czegoś jeszcze, znanego z kuchni: woń pieczonego mięsa. Wbrew woli zerknąłem ponownie na stosy. Płomienie sięgały już wyżej; dolne części ciał skazańców poczerniały, gdzieś ukazywały się białe kości, górne partie były czerwone od krwi, kiedy ogarniał je ogień. Z przerażeniem dostrzegłem, że Anna Askew odzyskała przytomność i wydawała żalosne jęki, gdy płonęła jej koszula.

Zacząła coś krzyczeć, lecz wtedy płomienie dosięgły paczki z prochem i wybuch oderwał jej głowę. Krew, kości i mózg wyleciały w powietrze, spadając z sykiem w ogień.

Rozdział drugi

Jak tylko widowisko dobiegło końca, ruszyłem z Coleswynem w drogę powrotną. Niestety, trzej mężczyźni konali dłużej niż Anna Askew, ponieważ przykuci łańcuchami do pali, bardziej stali, niż siedzieli, płomienie sięgnęły paczki z prochem na szyi ostatniego z nich dopiero pół godziny później. Przez większość tego czasu miałem zamknięte oczy i żałowałem, że nie mogę zamknąć także uszu.

Jadąc Chick Lane w stronę stowarzyszeń prawniczych, mówiliśmy niewiele. W końcu Coleswyn przerwał krępującą ciszę:

- Zbyt swobodnie wyraziłem swe poglądy, kolego Shardlake. Wiem, że musimy być ostrożni.
- Mniejsza o to - odparłem. - Trudno powstrzymać się od uwag, oglądając takie sceny. —

Przypomniałem sobie jego spostrzeżenie, że wszystkich nas może spotkać taki koniec, i zacząłem się zastanawiać, czy ma powiązania z radykałami. Zmieniłem temat: - Dziś po południu umówiłem się na spotkanie z klientką, panią Slanning. Obaj będziemy mieli pełne ręce roboty przed wrześnieową rozprawą.

Coleswyn prychnął ironicznie:

- O, tak. - Spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił, że ma podobne do mojego podejście do tej sprawy.

Dotarliśmy do Saffron Hill, gdzie nasze drogi się rozchodziły, jeśli on zamierzał jechać do Gray's Inn, a ja do Lincoln's Inn. Nie miałem jednak ochoty wracać jeszcze do pracy.

- Nie poszedłbyś ze mną na kufel piwa, kolego?

Coleswyn pokręcił głową.

- Dziękuję za propozycję, ale nie mogę. Wrócę do Gray's Inn i spróbuję się czymś zająć. Dobrego dnia!

- Wzajemnie, kolego.

Patrzyłem, jak zgarbiony w siodle odjeżdża. Sam jednak nie byłem w stanie wrócić do kancelarii. Ruszyłem do Holborn, zdejmując beret i perukę.

*

Znalazłem zaciszną gospodę przy kościele Świętego Andrzeja; wiedziałem, że niebawem, kiedy gawiedź opuści Smithfield, będzie tu tłum, lecz na razie przy stołach siedziało tylko kilku starszych jegomościów. Zapłaciłem za piwo i znalazłem ciche miejsce w kącie. Był to podły mętny trunek, a na jego powierzchni pływały plewy.

Jak zwykle wróciłem myślami do królowej. Przypomniałem sobie, jak ją poznałem, kiedy była jeszcze lady Latimer. Moje uczucia do niej nie zmieniły się od tego czasu. Mówiłem sobie, że to śmieszne, głupie, nierealne i że powinienem znaleźć sobie kobietę ze swojej sfery, zanim stanę się za stary. Żywiłem nadzieję, że Katarzyna nie posiada ksiąg z listy tych zakazanych. Była ona długa: Luter, Tyndale, Coverdale i, rzecz jasna, John Bale, którego ordynarne nowe dzieło o starych mnichach i zakonnicach, *Acts of the English Votaries* (Uczynki angielskich wyznawców), krążyło wśród londyńskich żaków. Sam miałem wydania Tyndale'a i Coverdale'a, które można było bezkarnie trzymać jeszcze przez trzy tygodnie. Pomyślałem, że bezpieczniej będzie spalić wszystkie w ogrodzie. Weszła grupka mężczyzn.

— Dobrze uciec od tego smrodu - zauważył jeden z nich.

— Lepszy taki niż smród luteranizmu - warknął inny. — Luter nie żyje i spoczywa w ziemi, a teraz dołączyli do niego ta Askew i reszta.

— Lecz jeszcze wielu z nich czai się w cieniu.

— Dajcie spokój, napijmy się. Mają tu jakieś placki?

Uznałem, że pora wyjść. Opróżniłem kufel i opuściłem gospodę.

Ominął mnie lunch, ale na myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze.

*

Przejechałem pod Great Gate Lincoln's Inn, ponownie w todze, peruce i berecie. Zostawiłem Genesis

w stajni i udałem się do swej kancelarii. Ku memu zaskoczeniu w sekretariacie panowała krzątanina. Wszyscy moi podwładni - sekretarz Jack Barak, urzędnik John Skelly i nowy uczeń, Nicholas Overton, szukali czegoś gorączkowo wśród papierów na biurkach i regałach.

- Zaraza boska! - krzyczał Barak do Nicholasa, rozwiązując wstążkę na pliku akt i przerzucając dokumenty. - Nie pamiętasz, kiedy widziałeś to ostatnim razem?

Nicholas, który przeglądał inny plik papierów, odwrócił się do niego. Na jego piegowatej twarzy pod rudawymi włosami malował się ponury wyraz.

- Ze dwa dni temu, może trzy. Dostałem do przejrzania tyle aktów cesji...

Skelly spojrzał na niego zza okularów. Wzrok miał łagodny, lecz w jego głosie słuchać było napięcie, kiedy powiedział:

- Gdybyś sobie przypomniał dokładniej, panie, zawęziłoby to pole poszukiwań.

- Co się tu dzieje? - spytałem w progę. Wszyscy byli tak zajęci poszukiwaniami, że nie zauważyli, iż wróciłem. Barak zwrócił się ku mnie z zagniewaną miną na brodatym obliczu.

- Pan Nicholas zgubił akt przeniesienia tytułu własności w sprawie Carlingforda! Wszystkie dokumenty świadczące, że Carlingford jest właścicielem swej ziemi, które należy przedstawić w sądzie pierwszego dnia sesji! Tępy drańgal. — Mruknął. — Nieudolny głupiec!

Nicholas, patrząc na mnie, poczerwieniał.

- Nie chciałem.

Westchnąłem z rezygnacją. Przyjąłem Nicholasa przed dwoma miesiącami na prośbę zaprzyjaźnionego prawnika, któremu byłem winien przysługę, i już tego pożałowałem. Młodzieniec pochodził z rodziny szlacheckiej zamieszkałej w Lincoln'shire, a ponieważ w dwudziestym pierwszym roku życia wciąż nie miał fachu, zgodził się spędzić rok czy dwa w Lincoln's Inn, ucząc się prawa, by pomóc ojcu w prowadzeniu majątku. Przyjaciel dał mi do zrozumienia, że między Nicholasem a jego rodziną panuje jakiś konflikt, twierdził jednak, że to poczciwy chłopak. Rzeczywiście, był poczciwy, lecz poza tym nieodpowiedzialny. Jak większość zamożnych paniczów przeważnie szwendał się po londyńskich burdelach i już zdążył napytać sobie biedy z powodu nierządnic, wdając się w walkę na miecze z innym żakiem. Król wiosną zamknął domy rozpusty w Southwark i wskutek tego prawie wszystkie prostytutki przeniosły się na drugi brzeg rzeki. Większość szlacheckich synów uczyła się władania mieczem i ze względu na pochodzenie mogła w mieście nosić je przy sobie, lecz gospody nie były odpowiednimi miejscami, by popisywać się tego rodzaju umiejętnościami. Ostry miecz stanowił straszliwą broń, zwłaszcza w niefrasobliwej dłoni.

Spojrzałem na wysokiego chudego młodzieńca, zauważając, że pod krótką togą żaka nosił zielony dublet z rozcięciami ukazującymi podszewkę ze szlachetnego żółtego adamaszku, wbrew przepisom Inn, nakazującym studentom ubierać się skromnie.

- Szukaj dalej, ale nie denerwuj się, Nicholasie - zwróciłem się do niego. - Czy wyniosłeś z kancelarii ten dokument?

- Nie, panie - odpowiedział. - Wiem, że to zabronione. - Mówił głosem pełnym ogłady, z wyczuwalnym twardym „r”, charakterystycznym dla Lincoln'shire. Na jego twarzy o długim nosie i okrągłym podbródku malowało się zdenerwowanie.

- Podobnie jak noszenie jedwabnych dubletów z rozcięciami - zauważyłem. — Chcesz narazić się skarbnikowi? Kiedy już znajdziesz akt cesji, wróć do domu i przebierz się.

- Tak, panie - odparł pokornie.

- A kiedy po południu przyjdzie pani Slanning, chciałbym, abyś był przy tej rozmowie i robił notatki.

- Dobrze, panie.

- Jeśli zaś do tego czasu akt własności się nie znajdzie, zostaniesz wieczorem i będziesz go szukał.

- Czy już po egzekucji? - zapytał niepewnie Skelly.

- Tak. Ale nie chcę o tym rozmawiać.

Barak uniósł głowę.

- Mam dla ciebie, panie, kilka wiadomości. Dobrych, lecz natury prywatnej.

- Przydałoby się kilka takich.

- Tak też sobie pomyślałem — odrzekł ze współczuciem.

- Chodźmy więc.

Podążył za mną do mego gabinetu z wielodzielnym oknem wychodzącym na dziedziniec. Zdjąłem togię i beret, a następnie usiadłem za biurkiem, podczas gdy Barak zajął miejsce naprzeciwko. Zauważyłem, że w jego ciemnej brodzie pojawiły się dziwne siwe pasma, choć we włosach jeszcze nie. Barak miał trzydzieści cztery lata, był więc dziesięć lat ode mnie młodszy, i niegdyś szczupły, teraz zaczynał nabierać ciała.

Rzucił:

- Ten idiota Overton doprowadzi mnie do śmierci. To jak nadzorować małpę.

Uśmiechnąłem się.

- Nie jest głupi. Świetnie sobie poradził z wyciągiem z akt dotyczących sprawy Bennetta, który sporządził na moje polecenie w zeszłym tygodniu. Jest tylko źle zorganizowany.

Barak burknął:

- Dobrze, że zwróciłeś mi, panie, uwagę na strój. Chciałbym mieć na takie jedwabne dublety.

- Jest młody, trochę niefrasobliwy. - Przywołałem na twarz cierpki uśmiech. - Tak jak ty, kiedy się poznaliśmy. Przynajmniej nie klnie jak szewc.

Barak mruknął w odpowiedzi, a potem spojrzał na mnie poważnie.

- Jak to wyglądało? Egzekucja...

- Tak okropnie, że nie da się opisać. Ale wszyscy odegrali swoje role - dodałem gorzko. -

Gawiedź, urzędnicy miejscy i przedstawiciele Tajnej Rady siedzący na podwyższeniu. W pewnym momencie wywiązała się bójka, jednak żołnierze szybko ją stłumili. Ci biedni ludzie umarli w strasznych męczarniach, choć z godnością.

- Dlaczego nie wyrazili skruchy?

- Pewnie sądzili, że to ich pograżą. - Westchnąłem. - Cóż to za dobre wiadomości, które masz dla mnie?

- Oto pierwsza. Dostarczono to dziś rano. - Sięgnął do sakiewki przy boku. Wyjął trzy błyszczące złote suwereny i położył na stole razem ze złożoną kartką.

Spojrzałem na nie.

- Zaległe honorarium?

- Można tak powiedzieć. Przeczytaj list, panie.

Wziąłem kartkę i rozłożyłem ją przed sobą. Zawierała wiadomość napisaną drżącą ręką: *To pieniądze, które byłem Ci winien za utrzymanie w czasie pobytu u pani Elliardowej. Leżę złożony chorobą i byłoby mi miło, gdybyś mnie odwiedził. Twój kolega po fachu, Stephen Bealknap.*

- Aż otworzyłeś usta, panie. Nic dziwnego, ja też byłem zaskoczony.

Podniosłem monety i obejrzałem je uważnie, spodziewając się, że to jakiś żart. Lecz były to prawdziwe złote suwereny. sprzed dewaluacji, z wizerunkiem młodego króla na awersie i różą Tudorów na rewersie. To przekraczało wszelkie pojęcie. Stephen Bealknap był znany nie tylko jako człowiek pozbawiony wszelkich skrupułów, lecz także wielki skąpiec. Mówiono, że trzyma istną fortunę w skrzyni, której nocą nie spuszcza z oczu. Majątek zgromadził w wyniku różnych ciemnych interesów, które prowadził przez lata, czasami działając przeciwko mnie. Szczycił się także tym, że nigdy nie spłacał długów, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Minęło trochę czasu, odkąd pod wpływem źle pojętej szlachetności opłaciłem niewiastę, by opiekowała się nim podczas choroby, a on nigdy mi za to nie zwrócił pieniędzy.

- To wręcz niewiarygodne - zauważyłem. - A jednak... pamiętam, że zeszłej jesieni, zanim zachorował, przez jakiś czas okazywał mi dziwną życzliwość. Podchodził do mnie na dziedzińcu i pytał, jak się mam, jak idą sprawy, jakby był moim przyjacielem albo zamierzał nim zostać. Przypomniałem sobie, jak Bealknap w czarnej todze powiewającej wokół jego chudej sylwetki, któregoś słonecznego jesiennego dnia zagadnął mnie na podwórku, pytając, jak mi się wiedzie. Na w\ chudzonej twarzy miał przymilny uśmiech, a spod beretu na wszystkie strony sterczały mu sztywne jasne włosy. Nie rozmawiałem z nim długo. Nie ufałem mu, oczywiście, i podejrzewałem, że coś się za tą jego życzliwością kryje. Zresztą nigdy nie wspominał o pieniądzach, które był mi winien. Po jakimś czasie zrozumiał moje intencje i znowu zaczął mnie ignorować.

- Może chce odkupić winy, jeśli jest tak chory, jak powiadają.

- Ma guza w brzuchu, czy tak? Choruje od kilku miesięcy, nieprawdaż? Nie widziałem go ostatnio.

Kto doręczył ten list?

- Jakaś stara kobieta. Mówiła, że się nim opiekuje.

- Święta Mario! - jęknąłem. — Żeby Bealknap spłacił dług i prosiłby go odwiedzić?

- Pójdiesz zobaczyć się z nim, panie?

- Chyba muszę, choćby z miłosierdzia. - Pokręciłem głową z niedowierzaniem. - A ta druga wiadomość? Jeśli teraz mi powiesz, że nad Londynem latają żaby, wcale mnie to nie zdziwi.

Uśmiechnął się znowu i rysy jego twarzy złagodniały.

- Nie, to niespodzianka, ale żaden cud. Tamasin jest znowu przy nadziei.

Pochyliłem się i uściśnąłem mu rękę.

- To dobre wieści. Wiem, że pragnąłeś drugiego dziecka.

- Tak. Braciszka albo siostrzyczki dla Georgiego. Ma przyjść na świat w styczniu.

- Wspaniale, Jack, gratulacje. Musimy to uczcić.

- Nikomu jeszcze nie mówiliśmy. Czy przyjdiesz, panie, na skromny poczęstunek w dniu urodzin Georgiego, dwudziestego siódmego? Wtedy ogłosimy nowinę. I poprosisz starego Maura, by też przyszedł? Opiekował się Tamasin, kiedy spodziewała się Georgiego.

- Ma się zjawić dziś wieczorem na kolacji. Zapytam go przy okazji.

- Doskonale.

Barak odchylił się na oparcie krzesła i wyraźnie zadowolony złożył ręce na brzuchu. Ich pierwsze dziecko zmarło i obawiałem się, że z powodu tego nieszczęścia on i jego żona oddalą się od siebie, lecz w poprzednim roku Tamasin urodziła zdrowego synka. A teraz spodziewała się następnego dziecka. Uświadomiłem sobie, jak bardzo Barak się ustatkował i jak różnił się od awanturnika podejmującego ryzykowne misje dla Thomasa Cromwella, jakim był, gdy go poznałem sześć lat wcześniej.

- Bardzo się cieszę - powiedziałem pogodnie. - Może mimo wszystko na tym świecie wydarzy się coś dobrego.

- Zamierzasz, panie, złożyć skarbnikowi raport z egzekucji?

- Tak. Uspokoję go, że moja obecność jako przedstawiciela Lincoln's Inn została zauważona.

Między innymi przez Richarda Richa.

Barak uniósł brwi.

- Ten łotr tam był?

- Owszem. Nie widziałem go od roku. Ale pamiętał mnie, oczywiście. Posłał mi paskudne spojrzenie.

- Więcej nie może. Za dużo na niego masz, panie.

- Ale wydawał się niespokojny. Ciekaw jestem, z jakiego powodu. Myślałem, że dobrze mu się teraz powodzi, gdy trzyma z Gardinerem i konserwatystami. — Spojrzałem na Baraka. - Spotykasz się ze znajomymi z czasów, kiedy pracowałeś dla Cromwella? Doszły cię jakieś plotki?

- Czasami, jeśli Tamasin mnie puści, chadzam do dawnych zajazdów. Niewiele jednak słyszałem. 1

zanim zapytasz, panie, nie mam żadnych wieści o królowej.

- Pogłoski, że Anna Askew była w Tower torturowana, są prawdziwe - odparłem. - Musieli ją przynieść na stos w fotelu.

- Biedaczka. - Barak z namysłem pogładził się po brodzie. - Zastanawiam się, jak ta wieść przedostała się na zewnątrz. Pewnie za sprawą jakiegoś sympatyka radykałów, który pracuje w więzieniu. Od przyjaciół słyszałem jedynie, że król ostatnio słucha tylko biskupa Gardinera, ale to żadna tajemnica. Przypuszczam, że arcybiskup Cranmer nic był obecny na egzekucji?

- Nie. Przezornie trzyma się na uboczu, w Canterbury. - Pokręciłem głową. - Nic mogę się nadziwić, że tak długo przetrwał. A tak przy okazji... Na egzekucji, w towarzystwie paru dżentelmenów, widziałem pewnego młodego prawnika, który mi się przyglądał. Niski, szczupły, z ciemnymi włosami i bródką. Ciekaw jestem, kto to może być.

- Pewnie ktoś, kto będzie twym adwersarzem w następnym trymestrze, panie, i ocenia cię jako przeciwnika.

- Możliwe. - Przesunąłem palcami po monetach leżących na stole.

- Tylko nie myśl, że wszyscy na ciebie dybią - dodał cicho Barak.

- Cóż, to moja przywara. Ale nie ma się czemu dziwić, po tym, co się działo w ciągu ostatnich kilku lat. — Westchnąłem. - Aaa, i jeszcze coś. Spotkałem na egzekucji kolegę Coleswyna. wysłano go na nią jako przedstawiciela Grays Inn. To porządny człowiek.

- W odróżnieniu od jego klienta czy naszej klientki. Nicholasowi dobrze zrobi, jeśli posiedzi dziś po południu z tą starą wiedźmą, panią Slanning.

Uśmiechnąłem się na to.

- Też tak pomyślałem. Cóż, zobaczymy, czy znalazł już akt cesji.

Barak wstał.

- Jeśli nie, skopię mu tyłek, czy to szlachcic, czy nie...

Wyszedł, a ja zostałem ze złotymi suwerenami. Spojrzałem na dołączony do nich list. Mimowolnie zacząłem się zastanawiać, co ten Bealknap znowu knuje?

*

Pani Isabel Slanning przybyła punktualnie o trzeciej. Nicholas, już w skromniejszym dublecie z lekkiej czarnej wełny, siedział obok mnie z piórem i plikiem kartek. Na szczęście dla siebie, kiedy rozmawiałem z Barakiem, znalazł zagubiony akt własności.

Skelly z pewnym niepokojem wprowadził panią Slanning. Była to wysoka szczupła wdowa około pięćdziesiątki, lecz ze swoją pobrużdżoną twarzą, wąskimi zaciśniętymi ustami i stale zmarszczonym czołem wydawała się starsza. Na rozprawie sądowej w poprzednim trymestrze widziałem jej brata, Edwarda Cotterstoke'a, i zdumiało mnie, jak bardzo jest do niej podobny pod względem rysów i sylwetki; różniło go od niej tylko to, że miał siwą bródkę. Pani Slanning była w fioletowej sukni z dobrej wełny, z modną wysoką kryzą i obszytym perłami czepcem. Należała do osób majątnych - jej mąż nieboszczyk handlował pasmanterią i jak wiele żon zamożnych kupców zachowywała się z pewną wyniosłością, nieprzystającą niewieście o niższej pozycji. Przywitała się ze mną chłodno, zupełnie ignorując Nicholas. Jak zwykle od razu przeszła do rzeczy.

- Cóż, panie Shardlake, jakie wieści? Spodziewam się, że ten podlec Edward znowu próbuje opóźnić sprawę? - Spojrzała na mnie oskarżycielsko swymi dużymi ciemnymi oczami.

- Nie, pani, rozprawa przed Ławą Królewską została wyznaczona na wrzesień. — Poprosiłem, by usiadła, zastanawiając się ponownie, dlaczego ona i jej brat tak się nie znoszą. Byli dziećmi kupca, zamożnego handlarza zbożem, który umarł młodo, a ich matka ponownie wyszła za mąż. Ojczym przejął interes, lecz on także zmarł nagle rok później, a pani Cotterstoke sprzedała interes i żyła przez wiele lat z procentów od majątku. Pozostała wdową i dokonała żywota przed rokiem, w wieku osiemdziesięciu lat, na skutek paraliżu. Testament sporządziła na łożu śmierci z pomocą księdza. Był dość prosty: pieniądze

miały być podzielone równo pomiędzy jej dwoje dzieci, duży dom w pobliżu Chandlers Hall, w którym mieszkała, sprzedany, a zyski także rozdzielone po połowie. Edward, podobnie jak Isabel, był stosunkowo bogaty, pracował jako wyższy urzędnik w ratuszu, i oboje dzięki majątkowi ojca staliby się jeszcze zamożniejsi. Problem pojawił się wtedy, gdy przyszło do podziału zawartości domu. Całe umeblowanie miało przypaść Edwardowi. Jednakże wszystkie dekoracje ścienne, gobeliny i obrazy, „wszelkiego rodzaju ozdoby w obrębie domu, niezależnie od charakteru, gdziekolwiek się znajdują i jakkolwiek są umocowane”, matka pozostawiła Isabel. Było to dość niezwykle sformułowanie, lecz ksiądz, który spisał testament, zeznał pod przysięgą, że starsza dama, mimo zbliżającej się śmierci pozostająca przy zdrowych zmysłach, upierała się przy takich właśnie słowach.

To zaprowadziło nas do punktu, w którym się znajdowaliśmy. Pierwszy mąż pani Cotterstoke, ojciec dzieci, interesował się sztuką i w domu było wiele pięknych gobelinów, kilka portretów oraz najcenniejsze ze wszystkiego duże malowidło ścienne w jadalni, wykonane w tynku. Odwiedziłem ten dom ostatnio, kiedy mieszkał w nim tylko stary sługa w charakterze stróża, i obejrzałem je. Doceniłem to dzieło — sam w młodości zajmowałem się rysunkiem i malarstwem zaiste, było wyjątkowo piękne. Wykonane przed prawie pięćdziesięciu laty, jeszcze za panowania starego króla, przedstawiało scenę rodzinną: młodą panią Cotterstoke i jej męża w tradycyjnym stroju kupieckim i wysokim kapeluszu z tamtych czasów, siedzących z Edwardem i Isabel jako dziećmi w tym samym pokoju, na którego ścianie je wykonano. Twarze modeli, tak jak letnie kwiaty na stole i okno z widokiem na londyńską ulicę, były niezwykle kunsztownie ukazane. Pani Cotterstoke regularnie konserwowała malowidło i jego kolory pozostały żywe. Stanowiłoby duży atut, gdyby dom został wystawiony na sprzedaż. Ponieważ dzieło to zostało namalowane bezpośrednio na ścianie, według prawa stanowiło stały element wyposażenia, jednakże Isabel twierdziła, że ze względu na słowa użyte przez matkę w testamencie, należy do niej i powinno zostać umiejętnie zdjęte, nawet gdyby wymagało to zburzenia ściany co, moim zdaniem, nie obyłoby się bez uszkodzenia samego malowidła. Edward sprzeciwiał się temu, twierdząc z uporem, że jest ono częścią domu i musi w nim pozostać. Spory dotyczące zapisów związanych z nieruchomościami a dom był nieruchomością - były rozstrzygane przez Ławę Królewską, jednakowoż te związane z majątkiem ruchomym a Isabel twierdziła, że malowidło do niego właśnie się zalicza podlegały dawnej jurysdykcji kościelnej i były rozpatrywane przez Sąd Biskupi. Dlatego biedny Coleswyn i ja, zanim doszliśmy do kwestii samego testamentu, spieraliśmy się o to, który sąd zajmie się tą sprawą. W ostatnich miesiącach Sąd Biskupi uznał malowidło za ruchomość. Isabel czym prędzej poleciła mi więc zwrócić się do Ławy Królewskiej, która jak zwykle chętnie manifestując swą wyższość nad sądami kościelnymi, orzekła, że sprawa podlega jej orzecznictwu i wyznaczyła oddzielną rozprawę na jesień. Tak więc konflikt pozostawał nierozstrzygnięty i z majątkiem nic nie można było uczynić.

- Mój brat znowu będzie próbował odwlec rozprawę, przekonasz się, panie — oznajmiła Isabel z pewnością w głosie. - Chce mnie zniechęcić, ale to mu się nie uda. Ani temu jego adwokacie. To szczywany lis! — Podniosła głos z oburzeniem, jak zazwyczaj po kilku zdaniach.

- Pan Coleswyn działa w tej sprawie tak, jak pozwala mu prawo -odpowiedziałem ostro. - Owszem, próbował odroczyć rozprawę, lecz obrońcy pozwanych zawsze tak robią. Musi postępować zgodnie z zaleceniem klienta, tak samo jak ja. - Nicholas obok mnie notował sumiennie, jego długie smukłe palce sunęły szybko nad kartką. Przynajmniej miał porządne wykształcenie i pisał wprawnie, jak sekretarz.

Isabel się zachnęła.

- Ten Coleswyn to protestancki heretyk, jak mój brat. Obaj chadzają do Świętego Judy, skąd wyniesiono wszystkie obrazy i figury, a pastor odprawia mszę przy gołym stole. - To była kolejna kość niezgody między rodzeństwem, ponieważ Isabel pozostała dumną tradycjonalistką, a jej brat z biegiem czasu stał się reformatorem. - Takiego duchownego należałoby spalić na stosie - ciągnęła. - Jak tę Askew i jej konfratrów.

- Byłaś dziś, pani, na egzekucji? - zapytałem spokojnie. Nie widziałem jej tam.

Zmarszczyła nos.

- Nie poszłabym na takie widowisko. Ale ci ludzie zasłużyli na swój los.

Zauważyłem, że Nicholas zaciął usta. Nigdy nie wypowiadał się na tematy religijne. Przynajmniej pod tym względem był rozsądnym młodzieńcem.

Zmieniłem temat:

- Pani, rozprawa sądowa nie odznacza bynajmniej, że wygramy sprawę. To bardzo trudny przypadek.

Zacisnęła zęby.

- Sprawiedliwość zwycięży. Poza tym wierzę w twoje umiejętności, panie Shardlake. Dlatego wynajęłam komisarza, by mnie reprezentował, Kocham to malowidło. - W jej głosie pojawiła się nuta wzruszenia, To jedyna pamiątka, jaka została mi po ojcu.

- Nie byłbym wobec ciebie uczciwy, pani, gdybym oceniał nasze szanse na więcej niż połowę. Wiele będzie zależało od zeznań rzeczoznawców. - Na ostatniej rozprawie ustalono, że każda ze stron powoła fachowca z gildii murarzy, którzy' orzekną w sądzie, czy i jak można zdjąć malowidło. - Przejrzałaś, pani, wykaz, który ci dałem?

Lekceważąco machnęła ręką.

- Nie znam żadnego z tych ludzi. Musisz, panie, zarekomendowali człowieka, który stwierdzi, że malowidło łatwo da się zdjąć. Powinien to być ktoś, kto robi to za stosowną sumę. Zapłacę, ile będzie trzeba,

- Najemnik - zauważyłem bezbarwnie. Wiedziałem, że znajdzie się fachowiec, który za odpowiednią kwotę będzie gotów przysiąc, że białe jest czarne, a czarne to białe.

- W rzeczy samej.

- Kłopot z takimi ludźmi polega na tym, pani, że są sądowi znani, i przez to mało wiarygodni. Zrobilibyśmy lepiej, gdybyśmy powołali kogoś, kogo sąd uważa za uczciwego człowieka.

- I kto zezna przeciwko nam?

- Wtedy będziemy musieli przemyśleć sprawę od nowa.

Isabel ściągnęła brwi, mrużąc oczy w wąskie szparki.

- Skoro tak, weźmiemy jednego z tych najemników, jak ich dziwnie nazywasz, panie. - Spojrzała na mnie wyniośle, jakbym to ja, a nie ona, sugerował wprowadzenie ławy sędziowskiej w błąd.

Wziąłem swoją listę z biurka.

- Proponowałbym powołanie pana Fletchera. Miałem już z nim do czynienia, cieszy się szacunkiem.

- Nie - odparła. - Przejrzałam tę listę. Jest na niej pan Adam, który był przewodniczącym swej gildii. Jeśli istnieje sposób, by zdjąć malowidło, a nie mam co do tego wątpliwości, on na pewno go znajdzie.

- Sądzę, że pan Fletcher byłby lepszy. Występował już w sądzie.

- Nie - powtórzyła zdecydowanie. - Chcę pana Adama. Modliłam się w tej intencji i mam przeczucie, że ten człowiek uzyska dla mnie sprawiedliwy wyrok.

Popatrzyłem na nią. Modliła się w tej intencji? Czy naprawdę myśli, że Bóg zaprzęta sobie głowę nikczemnymi sprawami sądowymi? Lecz jej zarozumiała mina i stanowczo zaciśnięte usta świadczyły, że nie zmieni zdania.

- Dobrze zatem - zgodziłem się. Skinęła władczo głową. - Ale pamiętaj, pani, to twoja decyzja. Nic nie wiem o tym człowieku. Ustalę dzień, w którym rzeczoznawcy obu stron mogliby spotkać się na miejscu. Jak najszybciej.

- Nie mogliby udać się tam oddzielnie?

- Sądowi by się to nie spodobało.

Zmarszczyła czoło.

- Sąd, sąd... najważniejsza jest wygrana. - Zaczepnęła powietrza. - Cóż, jeśli przegram przed Ławą Królewską, zwrócę się do Wydziału Kanclerskiego.

- Pewnie tak samo jak twój brat, pani, w przypadku przegranej. Ponownie pomyślałem o antagonizmie między nimi. Wiedziałem, że sięga daleko w przeszłość, ponieważ rodzeństwo nie rozmawiało z sobą od lat, nie tylko od śmierci matki. Isabel z pogardą nawiązywała do tego, że brat nie przejął interesu po śmierci ojczyma, że mógłby już być radnym, gdyby tylko poczynił wysiłki. I znowu zacząłem się zastanawiać, dlaczego ich matka nalegała na takie sformułowanie w testamencie. Wręcz jakby chciała, by jej dzieci zwróciły się przeciwko sobie.

- Widziałaś, pani, ostatni wykaz mych kosztów? - zapytałem.

- I natychmiast je uregulowałam, komisarzy Shardlake. - Dumnie podniosła głowę. Rzeczywiście, zawsze od razu, bez pytania, spłacała należności. Nie tak jak Bealknap.

- Wiem, pani, i jestem ci wdzięczny. Ale jeśli sprawa nie zakończy się w tym roku i zostanie skierowana do Wydziału Kanclerskiego, koszty wzrosną.

- W takim razie będę się domagała, by pokrył je Edward.

- Zazwyczaj przy zatwierdzaniu testamentu koszty pokrywa się ze sprzedaży nieruchomości. I pamiętaj, pani, że przy obecnym spadku wartości pieniądza dom i majątek pani matki także tracą na wartości. Czy nie byłoby rozsądniej i praktyczniej dojść do porozumienia?

Uniosła się gniewem.

- Jesteś, panie, moim prawnikiem. Powinieneś radzić mi, jak wygrać, a nie jak zakończyć sprawę bez wyraźnego zwycięstwa. - Znowu zaczęła mówić głośniej, ja jednak zachowałem spokojny ton.

- Wielu ludzi zawiera ugodę w sytuacji, kiedy wynik sprawy jest niepewny i kosztowny, tak jak w tym przypadku. A ja się zastanawiam, czy myślałaś, pani, o tym, by sprzedać własną rezydencję i spłacić brata? Wtedy mogłabyś zamieszkać w rodzinnym domu i zostawić malowidło nietknięte, w dawnym miejscu?

Parsknęła śmiechem.

- Dom matki jest dla mnie za duży. Rozmawiasz z bezdzietną wdową. Wiem, że matka mieszkała w nim sama tylko ze służbą, ale była głupia, gdyż dla samotnej kobiety to za duża przestrzeń. Te wielkie pokoje. Nie, doprowadzę do tego, że malowidło zostanie zdjęte i oddane w moje ręce. Zrobią to najlepsi rzemieślnicy w Londynie. Niezależnie od kosztów. Edward mi w końcu za to zapłaci.

Spojrzałem na nią. Miałem wielu trudnych, nierozsądnych klientów w trakcie swej kariery, lecz upór Isabel Slanning i jej nienawiść do brata były naprawdę niespotykane. A przecież nie można było odmówić jej inteligencji.

Postanowiłem zatem uczynić, co w mojej mocy.

- Dobrze — odparłem. - Teraz chyba powinniśmy omówić twoje ostatnie zeznanie, pani. Należałoby nad nim jeszcze popracować. Musimy pokazać sądowi, że jesteśmy rozsądni. Nazywanie brata zarazą i łotrem na pewno nam nie pomoże.

- Sąd powinien wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Powtarzam, to nam nie pomoże.

Wzruszyła ramionami, po czym kiwnęła głową, poprawiając czepiec na siwych włosach. Wyjąłem jej zeznanie. Wtedy Nicholas pochylił się i nieśmiało zabrał głos:

- Za twoim pozwoleniem, panie, czy mogę zadać klientce pytanie.

Zawahałem się, ale moim obowiązkiem było go uczyć.

- Jeśli chcesz...

Przeniósł wzrok na Isabel.

- Powiedziałaś, pani, że twój dom jest mniejszy niż dom matki.

Potwierdziła ruchem głowy.

- Owszem. Ale mi wystarcza.

- Czy ma mniejsze pokoje?
- Tak. młodzieńcze - odrzekła ze zniecierpliwieniem. - W mniejszych domach są mniejsze pokoje.

To powszechna wiedza.

- Rozumiem jednak, że malowidło znajduje się w największym pokoju domu matki. Jeśli więc zostanie zdjęte, gdzie je umieścisz?

Isabel poczerwieniała na twarzy i wpadła w złość.

- To moja sprawa, chłopcze — warknęła. - Tak ja twoją jest sporządzać notatki dla swego pana.

Teraz z kolei Nicholas oblał się rumieńcem i pochylił głowę nad kartką. Zadał jednak bardzo mądre pytanie.

*

Przez następną godzinę przeglądaliśmy dokumenty i zdołałem przekonać Isabel do usunięcia z zeznania jej obraźliwych uwag o bracie. Kiedy skończyliśmy, ze zmęczenia bolała mnie głowa. Nicholas zebrał notatki i skłoniwszy się Isabel, wyszedł z gabinetu. Ta wstała, wciąż pełna energii, lecz zafrasowana — pytanie Nicholasa wyraźnie wytrąciło ją z równowagi. Podniosłem się, by odprowadzić ją do wyjścia, gdzie czekał służący, który miał zabrać swą panią do domu. Wówczas stanęła naprzeciwko mnie - była wysoką niewiastą - i spojrzała mi hardo prosto w twarz.

- Muszę wyznaczyć, panie Shardlake, że czasami mam wątpliwości, czy wkładasz w tę sprawę ryle serca, ile by należało. I ten zuchwały chłopak... - Gniewnie pokręciła głową.

- Pani - odparłem. - Możesz być spokojna, że będę bronił twej sprawy z całą energią, na jaką tylko będzie mnie stać. Ale mam obowiązek przedstawić ci wszystkie możliwości i uprzedzić o wydatkach. Rzecz jasna, jeśli jesteś ze mnie niezadowolona i chciałabyś zwrócić się do innego prawnika...

Ponuro pokręciła głową.

- Nie, panie, zostanę przy robie, bez obaw.

Ponawiałem tę sugestię już kilka razy: dziwnym trafem jednak najtrudniejsi i najbardziej nieprzyjemni klienci często przejawiali najmniejszą chęć, by odejść, jakby pragnęli zostać i uprzykrzać ci życie z czystej złośliwości.

- Chociaż... - Zawahała się.

- Tak?

- Wydaje mi się, panie, że nie zdajesz sobie sprawy, jaki jest mój brat. - Jej twarz przybrała wyraz, jakiego jeszcze u niej nie widziałem. Był to niewątpliwie strach, który zniekształcił jej rysy nie do poznania. Na chwilę Isabel przemieniła się w wystraszoną starą kobietę. - Gdybyś wiedział, panie... - podjęła cicho. - Gdybyś wiedział, jakich strasznych rzeczy się dopuścił...

- Co masz na myśli, pani? - zapytałem. - Wobec ciebie?

- I innych. - Jej głos przeszedł już w jadowity syk. Gniew powrócił.

- Jakże to rzeczy? - indagowałem.

Jednakże Isabel energicznie pokręciła głową, jakby chciała otrząsnąć się z nieprzyjemnych myśli. Odetchnęła głęboko.

- To nieistotne. Nie ma związku z tą sprawą.

Potem odwróciła się i wyszła pospiesznie z gabinetu, a lniane wstążki jej czepca załopotały za nią gniewnie.

Rozdział trzeci

Wróciłem do domu po szóstej. O siódmej miał przyjść na kolację mój przyjaciel Guy - późną kolację, ponieważ tak jak ja pracował do późna. Martin jak zwykle usłyszał, że zsiadłem z konia, i czekał już w holu, by wziąć ode mnie togę i czapkę. Postanowiłem wyjść do ogrodu, by odetchnąć trochę wieczornym powietrzem. Ostatnio postawiłem w nim mały pawilon z kilkoma fotelami, gdzie mogłem siedzieć i patrzeć na ukwiecone grządki.

Cienie się wydłużały, kilka pszczół krążyło wokół ula. Wśród drzew gruchały gołębie. Opadłem na fotel. Zdałem sobie sprawę, że podczas spotkania z Isabel Slanning ani razu nie pomyślałem o egzekucji, tak silną była osobowością. Młody Nicholas zadał jej przenikliwe pytanie o to, gdzie umieściłaby malowidło, a jej odpowiedź stanowiła kolejny dowód, że dla niej liczyła się tylko wygrana.

Przypomniałem sobie dziwną uwagę, którą wygłosiła na końcu rozmowy, o strasznych rzeczach, jakich rzekomo dopuścił się jej brat. Podczas naszych spotkań zawsze z upodobaniem wypowiadała się o nim źle i obelżywie, lecz ten nagły atak strachu był czymś zupełnie nowym.

Zastanawiałem się, czy nie porozmawiać dyskretnie z Philipem Coleswynem na temat naszych klientów. Jednak byłoby to nieprofesjonalne. Miałem obowiązek, tak samo jak on, reprezentować klienta z największym przekonaniem.

Powróciłem myślami do makabrycznego przedstawienia, jakiego byłem rano świadkiem. Podest na pewno został już rozebrany, podobnie jak zwęglone stosy. Przypomniałem sobie, co powiedział Coleswyn: że wszystkich nas może spotkać taki los, i byłem ciekaw, czy ma niebezpieczne powiązania z reformatorami. Pomyślałem też, że muszę pozbyć się zakazanych ksiąg, zanim skończy się amnestia. Spojrzałem na dom. Przez okno jadalni dostrzegłem Martina: zapałał świece w kinkietach i właśnie układał moje najlepsze srebra na nakrytym lnianym obrusem stole. Robił to, jak zwykle, starannie, równiutko.

Wszedłem z powrotem do domu i udałem się do kuchni. Panowała tam krzątanina. Timothy obracał na ruszcie duże kurczę. Josephine stała przy jednym końcu stołu i wykładała sałatki na półmiski. Agnes Brocket po drugiej dekorowała ciasto z marcepanem i migdałami. Na mój widok obie dygnęły. Agnes była pulchną czterdziestoparoletnią jejmością, o sympatycznej twarzy okolonej orzechowobrazowymi włosami pod czystym białym czepcem. Wyczuwałem w niej pewien smutek. Wiedziałem, że Brocketowie mieli dorosłego syna, którego r jakichś powodów nie widywali. Martin wspomniał o tym podczas rozmowy o pracę, ale nic więcej nie powiedział.

- To deser godny najwspanialszej uczyty - zauważyłem, patrząc na ciasto. - Musiał kosztować wiele pracy.

Agnes się uśmiechnęła.

- Przyrządzam smaczne potrawy z taką samą przyjemnością, jaśnie panie, z jaką rzeźbiarz pracuje nad posągiem.

- Owoce jego pracy są trwalsze. Ale może twoje dzieło sprawia większą rozkosz.

- Dziękuję, jaśnie panie — odrzekła. Lubiła komplementy. - Josephine mi pomogła, prawda, moja droga? - Dziewczyna kiwnęła głową i posłała mi nerwowy uśmiech. Spojrzałem na nią. Jej ojciec podlec i okrutnik, był moim kamerdynerem i kiedy rok wcześniej - dosłownie — wyrzuciłem go z domu, Josephine została u mnie. Stary znęcał się nad nią i zastraszał przez całe lata, lecz po jego odejściu powoli odzyskiwała śmiałość. Zaczęła też dbać o wygląd - jej jasne włosy, rozpuszczone, zaczęły błyszczeć, a twarz się zaokrągliła, rak że stała się całkiem ładną młodą kobietą. Agnes znowu się uśmiechnęła, podążając za moim wzrokiem.

- Josephine już nie może się doczekać niedzieli — zauważyła figlarnie.

- Tak? A to dlaczego?

- Mały ptaszek powiedział mi, że po kościele spotka się z młodym panem Brownem, który pracuje

w jednym z domów należących do Lincoln's Inn.

Popatrzyłem na Josephine.

- Którym?

- Pana Henninga - odparła dziewczyna, oblewając się rumieńcem. - Mieszka w Chambers.

- Dobrze, bardzo dobrze. Pan Henning to doskonały prawnik. - Odwróciłem się ponownie do Agnes.

— Muszę pójść się umyć, zanim przyjdzie nasz gość. - Mimo dobrego serca Agnes bywała trochę nieokrzesana, a nie chciałem wprawiać Josephine w jeszcze większe zakłopotanie. Ucieszyłem się jednak, była bowiem najwyższa pora, by dziewczyna znalazła sobie jakiegoś młodzieńca.

Kiedy wychodziłem z kuchni, pojawił się Martin.

- Stół zastawiony, panie.

- Świetnie. Dziękuję. - Pochwyciłem spojrzenie, jakie rzuciła mu Josephine. Było przepełnione niechęcią. Zauważyłem to już wcześniej, raz czy dwa, i zawsze wtedy się dziwiłem, ponieważ Martin zdawał się dobrym panem dla służby niższego szczebla.

*

Guy zjawił się niedługo po siódmej. Mój stary przyjaciel był medykiem, a wcześniej, przed rozwiązaniem klasztorów, mnichem benedyktyńskim. Pochodził z Mauretanii. Teraz ponad sześćdziesięcioletni, miał pomarszczoną sniadą twarz i siwe kręcone włosy. Kiedy wszedł, zauważyłem, że się garbi jak wszyscy wysocy mężczyźni na starość. Wyglądał na zmęczonego. Kilka miesięcy wcześniej zasugerowałem, że może pora, by pomyślał o emeryturze, ale odparł, że wciąż jest w niezłej kondycji, a poza tym nie wiedziałby, czym się zająć.

Umyliśmy ręce w jadalni wodą z dzbanka, zatknęliśmy serwety za kołnierze i zasiedliśmy do stołu. Guy spojrział na niego z uznaniem.

- Twoje srebra lśnią tak wesoło w blasku świec - zauważył. - Ostatnio wszystko u ciebie w domu wygląda dobrze.

Martin zapukał do drzwi i wniósł talerze z sałatą z ziołami oraz świeżym łososiem z Tamizy. Kiedy wyszedł, powiedziałem do Guya:

- Miałeś rację, on i Agnes to prawdziwy skarb. Poprzedni pracodawca wystawił mu znakomite referencje. Ale wiesz, nigdy nie czuję się przy nim swobodnie. Ma w sobie jakiś chłód.

Guy uśmiechnął się ze smutkiem.

- Pamiętam, że kiedy mieszkałem w klasztorze w Malton, mieliśmy takiego służącego. Był jednak porządnym człowiekiem. Po prostu wyrósł w przekonaniu, że takim jak on nie wolno się spoufalać z ludźmi wyżej postawionymi.

- A co słysząc u Świętego Bartłomieja? - zapytałem. Stary szpital, jeden z nielicznych dla biednych w Londynie, został zamknięty w czasie, kiedy król rozwiązywał klasztory, ale kilku ochotników otworzyło go na nowo, by działać choćby w ograniczonym zakresie. Guy był jednym z nich. Przypomniałem sobie z poczuciem winy, że kiedy przed trzema laty zmarł mój przyjaciel Roger, obiecałem wdowie po nim, że podejmę jego starania, by otworzyć nową placówkę. Lecz potem przyszła wojna, wszystkich dotknęły podatki i spadek wartości pieniądza, trwający zresztą nadal, i nie było chętnych, którzy by ofiarowali datki.

Rozłożył ręce.

- Robimy, co możemy, choć Bóg wie, że to niewiele. Krążą pogłoski, że władze miasta dzięki pieniądzą od króla mają przejąć szpital, ale na razie nic takiego się nie dzieje.

- Widzę, że w mieście jest coraz więcej biedaków.

- Biedaków i chorych.

Zamilkliśmy na chwilę. Po chwili zagałem dla poprawy nastroju:

- Mam kilka dobrych wiadomości. Tamasin jest znowu przy nadziei. Dziecko ma przyjść na świat w styczniu.

Guy uśmiechnął się szeroko, ukazując zdrowe białe zęby.

- Dzięki niech będą Panu Bogu. Powiedz jej, że z przyjemnością będę się nią opiekował do rozwiązania.

- Obaj jesteście zaproszeni na pierwsze urodziny George'a. Dwudziestego siódmego.

- Chętnie przyjdę. - Spojrzał na mnie. - To od poniedziałku za tydzień. A w ten poniedziałek będzie... - Zawahał się. - Rocznicą...

- ...zatonięcia *Mary Rose*. Kiedy zginęli ci wszyscy ludzie, a ja o mało nie poszedłem na dno razem z nimi. - Opuściłem głowę i pokręciłem nią ze smutkiem. - Wygląda na to, że podpisano traktat pokojowy. Wreszcie.

- Tak. Powiadają, że król zatrzyma Boulogne, czy też to, co z niego zostało, na dziesięć lat.

- Niewiele jak na tyle ofiar i zepsucie pieniądza.

- To prawda - przyznał Guy. - Jak tam z tobą., wciąż nachodzi cię to uczucie, że grunt usuwa ci się spod nóg, jak wtedy, gdy okręt zaczął tonąć?

Zawahałem się, przypominając sobie tamtą chwilę podczas egzekucji.

- Już bardzo rzadko.

Przez moment patrzył na mnie przenikliwie, a potem zauważył już pogodniej:

- Mały Georgie to wesoły urwis. To, że zyska braciszka albo siostrzyczkę, może mu być nie w smak.

Uśmiechnąłem się cierpko.

- Bracia i siostry - odparłem - rzeczywiście, nie zawsze się dogadują.

Opowiedziałem mu w zarysie, nie podając nazwisk, o sprawie pani Slanning. Słuchał uważnie, a jego ciemne oczy błyszczały w blasku świec, gdy za oknem zapadał zmierzch. - Myślałem, że ta kobieta po prostu chce dopiec bratu, ale po tym, co powiedziała dziś po południu, mniemam, że chodzi jej o coś więcej - dodałem, kończąc.

Guy wyglądał na zasmuconego.

- Z tego, co mówisz, wynika, że ten konflikt ciągnie się od lat.

- Też tak mi się wydaje. Zastanawiałem się, czy porozmawiać o tym dyskretnie z moim adwersarzem, to rozsądny człowiek, może udałoby się nam nakłonić naszych klientów do ugody. Ale to byłoby nieprofesjonalne.

- I mogłoby nic nie dać. Niektóre spory są tak zadawnione, że nie da się ich załagodzić. - Smutek na twarzy Guya się pogłębił. Martin i Agnes wznieśli następne danie: kurczę Z bekonem oraz warzywa.

- Zazwyczaj nie patrzysz tak czarno na świat - zauważyłem. - Poza tym znam przypadek, kiedy gałązkę oliwną podaje ci ostatni człowiek, którego byś o to podejrzewał. - I opowiedziałem mu o liście i pieniądzech od Bealknapa.

Spojrzał na mnie ostro.

- Ufasz mu? Pomyśl o tym wszystkim, co robił w przeszłości?

- Wygląda na to, że jest umierający. - Wzruszyłem ramionami. - Ale rzeczywiście nie mam do niego zaufania nawet teraz,

- Zaatakować może nawet konające zwierzę.

- Masz dziś wisielczy humor.

- Tak - odrzekł powoli. - Owszem. Myślę o tym, co zdarzyło się rano na Smithfield.

Odłożyłem nóż. W ostatnich miesiącach, miesiącach prześladowań, unikałem z nim rozmów o religii, gdyż wiedziałem, że nadal jest katolikiem. Ale teraz po chwili wahania zacząłem:

- Byłem tam. Zrobili z tego przedstawienie, biskup Gardiner i połowa Tajnej Rady oglądali je z wielkiego osłoniętego baldachimem podestu. Kazał mi tam jechać skarbnik Rowland, ponieważ sekretarz Paget życzył sobie, by stawili się przedstawiciele każdego stowarzyszenia prawniczego. Siedziałem więc na koniu i patrzyłem, jak czworo ludzi umiera w męczarniach, bo nie wierzyli tak, jak nakazał im król

Henryk. Przynajmniej powieszono im na sztych woreczki z prochem, który w końcu pozbawił ich głów. I owszem, kiedy tam byłem, doznałem wrażenia, że grunt usuwa mi się spod nóg jak pokład tonącego statku. - Przyłożyłem dłoń do czoła i zauważyłem, że lekko drżała.

- Niech Bóg zlituje się nad ich duszami - powiedział cicho Guy.

Uniosłem głowę i spojrzałem na niego gwałtownie.

- Co to ma znaczyć? Czy uważasz, że potrzebują łaski tylko dlatego, że mówili otwarcie, w co wierzą? Że księża nie mogą sprawić, by kawałek chleba zamienił się w ciało Chrystusa?

- Tak - odrzekł spokojnie. - Uważam, że błędzą, podważając tajemnicę eucharystii, prawdę, której Bóg i Kościół uczą nas od wieków. I że jest to niebezpieczne dla naszych dusz. Tacy jak oni są wszędzie, ukrywają się w swych norach, sakramentarianie czy jeszcze gorzej, anabaptyści, którzy negują sens mszy, ale uważają, że należy zburzyć porządek społeczny i rozdzielić po równo wszystkie dobra.

- W Anglii jest zaledwie kilku anabaptystów, to jacyś holenderscy renegaci. Zrobiono z nich straszidła. - Usłyszałem w swoim głosie zniecierpliwienie.

Guy odpowiedział ostro:

- Cóż, ta Askew się chełpiła, że jest sakramentarianką. Nie nazywała się Askew, po mężu nazywała się Kyme. Opuściła męża i dwoje małych dzieci, by przybyć do Londynu i prawić londyńczykom kazania. Czy tak postępuje przyzwoita niewiasta?

Popatrzyłem na starego przyjaciela, którego największą zaletą zawsze była łagodność. Podniósł dłoń.

- Matthew, to nie znaczy, że uważam, iż powinni umrzeć w tak straszny sposób. Bynajmniej. Ale byli heretykami i należało ich... uciszyć. A skoro mowa o okrucieństwie, przypomnij sobie, jak postępowali radykałowie. Przypomnij sobie, co Cromwell uczynił z tymi, którzy dziesięć lat temu nie chcieli uznać królewskiej zwierzchności nad Kościołem, przypomnij sobie mnichów wypatroszonych żywcem przy drzewie Tyburn. - Na jego twarzy widać było poruszenie.

- Zło nie usprawiedliwia zła.

- Rzeczywiście, nie. Tak samo jak tobie, i mnie nie podobają się okrucieństwa. Chciałbym doczekać ich końca. Ale nie doczekam. To właśnie miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że niektóre spory sięgają zbyt głęboko, by je zażegnać. - Spojrzał mi w oczy. - Nie żałuję jednak, że król częściowo wrócił pod władzę Rzymu i uznaje mszę świętą. Chciałbym, aby zrobił to do końca. - Ciągnął z pasją. - Teraz, gdy dawne nadużycia Kościoła katolickiego się skończyły, sobór trydencki, zwołany przez papieża Pawła Trzeciego, wprowadzi liczne reformy. Są w Watykanie tacy, którzy wyciągną rękę do protestantów, sprowadzą ich z powrotem jak zbłąkane owieczki do owczarni. - Westchnął. - Tymczasem wszyscy mówią, że król jest coraz bardziej chory. A książę Edward nie ma jeszcze nawet dziewięciu lat. Według mnie to źle, kiedy monarcha czyni się głową Kościoła, twierdząc, że to przez niego, a nie przez papieża przemawia głos Boga. Jak chłopiec może pełnić funkcję najwyższego zwierzchnika wiernych? Lepiej, by Anglia skorzystała z okazji i wróciła na łono Kościoła świętego.

- Kościoła, który pali ludzi na stosach we Francji, w Hiszpanii pod rządami inkwizycji. I to masowo. Do tego Karol, władca Świętego Cesarstwa, właśnie wszczyna wojnę ze swymi protestanckimi poddanymi.

- Czyżbyś znowu stał się radykałem? - spytał Guy.

- Nie! - Też podniosłem głos. - Kiedyś miałem nadzieję, że nowa wiara oparta na Biblii wyraźnie ukaże ludziom Słowo Boże. Nie podobają mi się podziały, które nastąpiły; radykałowie używają cytatów z Pisma Świętego jak gwoździ z czarnymi łebkami i tak samo jak papiści uważają, że tylko oni mają rację. Ale kiedy widzę młodą niewiastę, niesioną na stos w fotelu, ponieważ była torturowana, a potem paloną żywcem na oczach najpotężniejszych ludzi w królestwie, to, wierz mi, nie tęsknię także za dawnymi czasami. Przypominam sobie Tomasza Morea, niezłomnego papistę, którego żywcem spalono za herezję.

- Gdybyśmy tylko wszyscy mogli odnaleźć istotę prawdziwej boskości, czyli pobożność,

miłosierdzie, jedność... - zauważył z przygnębieniem Guy.

- To jak pragnąć gwiazdki z nieba - odpowiedziałem. - Cóż, co do jednego się zgadzamy: doprowadzono w tym kraju do takich podziałów, że nie da się ich załagodzić, dopóki jedna strona pałką nie zmusi drugiej do posłuszeństwa. I dziś po południu zrobiło mi się niedobrze na widok ludzi, których wychował Thomas Cromwell, wierząc, że będą kontynuowali reformy, a którzy jedynie realizują swoje ambicje, jak Paget, Wriothesley, Richard Rich. Biskup Gardiner też tam był; miał zaciętą minę. — Zaśmiałem się gorzko. - Słyszę, że radykałowie nazywają go nadętym wieprzkiem papieża.

- Może nie powinniśmy już więcej rozmawiać na te tematy - odezwał się cicho Guy.
- Może. W tych czasach niebezpiecznie jest swobodnie rozmawiać, tak jak i czytać to, co by się chciało.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Pomyślałem, że to Martin z ciastem marcepanowym. Straciłem ochotę na ten przysmak. Miałem nadzieję, że nie słyszał, jak się kłócimy.

- Proszę! — zawołałem.

Rzeczywiście to był Martin, ale nie z deserem. Jego twarz, zwykle obojętna, zdradzała lekki niepokój.

- Jaśnie panie, masz gościa. To prawnik. Mówi, że musi pilnie z tobą porozmawiać. Powiedziałem mu, że jesz kolację, ale nalega.

- Jak się nazywa?

- Przykro mi, jaśnie panie, ale nie chciał powiedzieć. Upiera się, że musi pomówić z tobą na osobności. Zaprowadziłem go do twego gabinetu.

Popatrzyłem na Guya. Wciąż był przybity z powodu naszego sporu i tylko dłubał w talerzu, ale odparł z uśmiechem:

- Powinieneś spotkać się z tym dżentelmenem, Matthew. Mogę poczekać.

- Dobrze, Dziękuję ci. - Wstałem od stołu i wyszedłem. Przynajmniej zyskałem czas, by nad sobą zapanować. Już całkiem zapadł zmrok. Kto mógł przyjść o tej porze? Przez okno w sieni zobaczyłem dwóch młodzieńców niosących pochodnie, by oświetlić drogę. Musieli wcześniej towarzyszyć memu gościowi. Był z nimi jeszcze ktoś, służący w ciemnym stroju z mieczem przy pasie. Miałem więc do czynienia z kimś wysoko postawionym.

Otworzyłem drzwi. Ku swemu zaskoczeniu ujrzałem na progu tego młodego mężczyznę, który przyglądał mi się podczas egzekucji. Wciąż był ubrany skromnie, w długą togę. Z bliska jego twarz nie wydawała się już tak urodziwa, jednak, choć młoda, i z dziobami na policzkach, emanowała siłą, a duże szare oczy były bystre i przenikliwe. Skłonił mi się.

- Komisarzu Shardlake. Dobrego wieczoru. Przepraszam, że przeszkodziłem podczas kolacji, lecz obawiam się, że sprawa jest nader pilna.

- O co chodzi? O jedną z prowadzonych przeze mnie spraw?

- Nie, panie. - Kaszlnął, nagle zdradzając zdenerwowanie. - Przybywam z Whitehall, od Jej Królewskiej Mości, która błaga, byś się z nią spotkał.

- Błaga? - zapytałem ze zdziwieniem. Królowe nie błagają.

- Tak, panie. Mam ci przekazać, że wpadła w poważne kłopoty i prosi cię o pomoc. Wysłała mnie z tą wiadomością, gdyż woli nie porozumiewać się na piśmie. Należę, jako młodszy członek, do jej Uczonej Rady. Nazywam się William Cecil. Królowa cię potrzebuje, panie.

Rozdział czwarty

Musiałem usiąść. Podeszedłem do fotela za biurkiem, wskazując Cecilowi krzesło przede mną. Przyniosłem z sobą świecę i teraz postawiłem ją na blacie między nami. Oświetliła twarz młodego człowieka, a cienie podkreśliły trzy dzioby w szeregu na jego prawym policzku.

Wziąłem głęboki oddech.

- Widzę, że jesteś prawnikiem.
- Tak, z Grays Inn.
- Pracujesz z Warnerem, radcą królowej?
- Czasami. Pan Warner należał jednak do przesłuchiwanym na okoliczność herezji. I... powiedzmy... trzyma się z boku. Królowa darzy mnie zaufaniem, więc prosiła mnie, bym został jej emisariuszem.

Rozłożyłem ręce.

- Jestem tylko prawnikiem z praktyką w sądach. Jak to możliwe, że królowa pilnie potrzebuje mej pomocy?

Cecil uśmiechnął się nieco smutno.

- Obaj wiemy, panie, że twe umiejętności wykraczają o wiele dalej. Lecz przykro mi, nie mogę dziś wieczór zdradzić ci więcej. Jeśli zgodzisz się przyjść, królowa przyjmie cię w pałacu Whitehall jutro o dziewiątej. Wtedy wszystkiego się dowiesz.

Pomyślałem jeszcze raz: królowe nie błagają ani nie proszą, by do nich przyjść, one nakazują. Przed ślubem z królem Katarzyna Parr obiecała, że choć będzie przysyłała mi klientów, nigdy nie zaangażuje mnie w sprawy polityczne. Sprawa musiała więc być poważna, najwyraźniej niebezpieczna, a wiadomość tak sformułowana, że miałem wybór. Mogłem, jeśli chciałem, odmówić.

- Nie zdradzisz mi nic więcej, panie? - spróbowałem.
- Nie. Proszę jedynie, przyjdiesz czy nie, byś zachował mą wizytę w sekrecie.

Zdrowy rozsądek nakazywał mi odmówić. Przypomniałem sobie, co widziałem i słyszałem tego ranka: płomienie, krzyki, krew. A potem pomyślałem o królowej Katarzynie, jej odwadze, szlachetności, delikatności i humorze. Była to najpiękniejsza i najszlachetniejsza dama, jaką kiedykolwiek spotkałem, zaznałem od niej tylko dobra. Odetchnąłem głęboko, bardzo głęboko.

- Przyjdę - oznajmiłem. Jak głupiec powiedziałem sobie, że mogę zobaczyć się z królową, a potem mogę zdecydować, czy spełnię jej prośbę.

Cecil skinął głową. Miałem wrażenie, że nie zrobiłem na nim wielkiego wrażenia. Pewnie widział przed sobą garbatego prawnika w średnim wieku, przerażonego myślą, że może narazić się na niebezpieczeństwo. Jeśli rzeczywiście tak było, to się nie mylił.

- Panie, przyjeźdź drogą pod główną bramę pałacu - powiedział. - Będę tam na ciebie czekał. Wprowadzę cię do środka, a potem zostaniesz zawiedziony do komnat królowej. Włóż prawniczą togę, ale bez peruki komisarza. Lepiej, byś na tym etapie nie zwracał na siebie uwagi. - Poglądził się po rozwichrzonej brodzie i patrząc na mnie, pomyślał pewnie, że taki garbus jak ja musi przyciągać uwagę.

Wstałem.

- A zatem do jutra do dziewiątej, kolego.

Skłonił się.

- Do dziewiątej, komisarzu Shardlake. Muszę już wracać do królowej. Wiem, że chciałaby znać twą odpowiedź, panie.

*

Odprowadziłem go do wyjścia. Z jadalni wyszedł Martin, niosąc drugą świecę. Otworzył przed Cecilem drzwi i skłonił mu się - zawsze na miejscu, by sumiennie wypełniać obowiązki kamerdynera. Cecil wyszedł na zwirowy podjazd, gdzie jego służący czekał razem z chłopcami, którzy mieli oświetlać mu drogę do domu, gdziekolwiek to było, Martin zamknął drzwi.

- Pozwoliłem sobie podać marcepan doktorowi Maltonowi -oznajmił.
- Dziękuję. Powiedz mu, że za chwilę do niego przyjdę. Lecz najpierw przyślij do mnie Timothy'ego.

Wróciłem do gabinetu. Mojego azylu, mojego nieba, w którym trzymałem skromną kolekcję ksiąg prawniczych, dzienniki i notatki z wielu lat. Co by powiedział Barak, gdyby dowiedział się o moich zamiarach? — pomyślałem. Odparłby wprost, że powinienem porzucić sentymentalne fantazje związane z królową i wymyślić na jutro pilne spotkanie w Northumberland.

Zjawił się Timothy, więc napisałem notatkę, którą miał zanieść do kancelarii, prosząc, by Barak przygotował dla mnie wyciąg z jednej z najważniejszych spraw, którymi chciałem się zająć nazajutrz,

- Nie, do licha, pomyliłem się. Barak ma odszukać dokumenty w Sądzie Kanclerskim. - Skorygowałem notatkę, prosząc, by to Nicholas zajął się tą sprawą. Nawet gdyby chłopak nie zrobił tego dobrze, miałbym od czego zacząć.

Timothy popatrzył na mnie z powagą w ciemnych oczach.

- Dobrze się czujesz, jaśnie panie? - zapytał.

- Tak, tak - odparłem poirytowany. - Tylko mam dużo rzeczy na głowie. Ale nie ma spokoju pod słońcem. - Żałując, że zachowałem się wobec niego szorstko, dałem mu na odchodnym czteropensówkę i wróciłem do jadalni, gdzie Guy bez entuzjazmu dłubał w pysznym marcepanie Agnes.

- Przepraszam, Guy, to była ważna sprawa.

Uśmiechnął się.

- Ja też nie mogę dokończyć posiłku, kiedy coś się dzieje z jakimś nieszczęsnym pacjentem.

- I przykro mi, że wcześniej podniosłem głos. Lecz to, co widziałem rano, wytrąciło mnie z równowagi.

- Rozumiem. Ale jeśli ci się wydaje, że ci wszyscy, którzy sprzeciwiają się reformom albo chcą powrotu Anglii na łono rzymskiej rodziny, popierają takie rzeczy, to jesteś wobec nich niesprawiedliwy.

- Wiem tylko, że słyszę grzmot przetaczający się nad tronem -odparłem, parafrazując wiersz Wyatta. Potem przypomniała mi się uwaga Philipa Coleswyna z egzekucji i wzdrygnąłem się niespokojnie. „Każdy z nas może tak skończyć”.

*

Nazajutrz wczesnym rankiem Timothy osiodłał Genesis, która, spostrzegłem ze smutkiem, zaczęła się starzeć, i pojechałem na Chan-cery Lane. Był kolejny piękny lipcowy dzień, gorący, lecz z lekkim wietrzykiem, który poruszał zielonymi gałęziami drzew. Minąłem stróżówkę przy Lincoln's Inn i dostałem się na Fleet Street, usuwając się z drogi, kiedy do Londynu wpędzano stado owiec na rzeź w Shambles.

W mieście panował już duży ruch, sklepy były otwarte, a terminatorzy w progu zachwalali towary. Po zakurzonych ulicach krążyli handlarze z tacami na szyjach, środkiem drogi zaś szedł szczurołap w zgrzebnej koszuli, zgarbiony pod ciężarem niesionej na ramionach żerdzi z dwoma klatkami pełnymi lśniących czarnych gryzoni zawieszonymi po obu jej stronach. Kobieta z koszykiem na głowie nawoływała: „Gorące placki z kremem!”.

Zauważyłem przybitą do muru listę zakazanych ksiąg, które należało zdać do dziewiątego sierpnia. Ktoś nagryzmolił na niej: *Słowo Boże to pochwała Chrystusa!*

Kiedy dotarłem do Strandu, zrobiło się ciszej. Droga skręcała na południe, w stronę Westminsteru, podążając za zakrętem rzeki. Po lewej zobaczyłem okazałe dwu-, trzypiętrowe domy bogaczy, z fasadami w żywych kolorach, dekoracjami i odźwiernymi w liberii, którzy stali przed drzwiami. Minąłem wielki kamienny Charing Cross, po czym skręciłem w szeroką ulicę Whitehall. Widziałem już przed sobą wysoką sylwetkę pałacu, z wieżami i murami obronnymi, gdzie każdy pinakiel był zwieńczony lwami, jednorożcami i herbami królewskimi rak złożonymi, że błyszczały w słońcu niczym setki luster, i od tego blasku aż mrużyłem oczy.

Pałac Whitehall pierwotnie stanowił londyńską siedzibę kardynała Wolseya, York Place, i kiedy ten

upadł, rezydencję przejął król. W ciągu piętnastu lat stopniowo ją rozbudował; mówiono, że chciał, by była jak najpiękniejszym i najbardziej okazałym pałacem w Europie. Główne budynki wznosiły się po lewej stronie ulicy, podczas gdy po prawej rozciągały się tereny służące odpoczynkowi i rozrywce: korty tenisowe, z których kiedyś korzystał król, wielka owalna arena do walk kogutów i tereny łowieckie St. James's Park. Ulicę spinała, łącząc dwie części pałacu, Great Gate, zaprojektowana przez Holbeina olbrzymia, wysoka na trzy piętra, brama z wartownią ozdobiona wieżyczkami. Tak jak mury samego pałacu, wyłożona była czarnymi i białymi płytami, tworzącymi szachownicę, oraz ozdobiona dużymi panelami z terakoty, które przedstawiały cesarzy rzymskich. W porównaniu z całą budowlą wydawała się mała, była jednak na tyle szeroka, by mogły się pod nią minąć największe powozy.

Nieco przed bramą Holbeina w murach osadzona była stróżówka, mała, ale piękna, która prowadziła do budynków pałacowych. Stali przed nią wartownicy w zielono-białej liberii. Zająłem miejsce na końcu krótkiej kolejki do wejścia, a zaraz za mną zatrzymał się długi wóz, ciągniony przez czwórkę koni. Wiózł belki na rusztowania, niewątpliwie do budowy nowych kwater dla lady Marii, które wznoszono nad rzeką. Inny wóz, który właśnie wpuszczono za bramę, wypakowany był gęśmi do kuchni. Przede mną czekali na koniach o bogato zdobionych siodłach trzej młodzi panowie w asyście grupki służących. Dżentelmeni ci mieli na sobie zielone dublety z rozcięciami na rękawach, ukazującymi fioletową jedwabną podszewkę, a także berety z pawimi piórami i krótkie płaszcze przewieszane przez ramię według najnowszej hiszpańskiej mody. Usłyszałem, jak jeden z nich mówi:

- Nie jestem pewny, czy Wriothlesley będzie dziś w pałacu, a już tym bardziej, czy czytał prośbę Marmaduke'a.

- Lecz przecież człowiek Marmaduke'a wpisał nas na listę, dzięki czemu dostaniemy się przynajmniej do komnaty audiencyjnej. Możemy tam zagrać w primero, a Bóg wie, kto będzie akurat przechodził, gdy już znajdziemy się w środku.

Domyślałem się, że ci młodzieńcy to kandydaci na dworzan, szlachcice mający jakieś dalekie koneksje z którymś z ludzi sir Thomasa Wriothsleya, wieczni pieczeniarze, oblegający dwór w nadziei, że dostaną jakąś posadę, synekurę. Pewnie wydali na swe stroje połowę rocznych dochodów, licząc, że zwrócą uwagę kogoś wysoko postawionego czy choćby jego służącego. Przypomniałem sobie, jak o nich mówiono: „Najazd dworzan”.

Przyszła kolej na mnie. Wartownik trzymał w dłoni listę, z której małym rylcem wykreślał nazwiska. Już miałem podać swoje, kiedy z wnęki w stróżówce wyłonił się młody Cecil. Zamienił z wartownikiem kilka słów, a wówczas ten zaznaczył coś na kartce i dał mi znak, że mogę wjechać. Przejeżdżając przez bramę, usłyszałem, że młodzieńcy się z nim kłócą. Widocznie jednak nie było ich na liście.

Za bramą, w pobliżu stajni, zsiadłem z konia, a Cecil powiedział coś do stajennego, który ujął wodze Genesis i oddalił się z nią. Następnie zwrócił się do mnie rzeczowo:

- Zaprowadzę cię do komnaty straży. Będzie tam czekać ktoś, kto zabierze cię do królowej. - Tego dnia miał na sobie inną togę prawniczą, z wyszytym na piersi symbolem przedstawiającym popiersie młodej niewiasty w koronie - wizerunkiem świętej Katarzyny, będącym odznaką królowej.

Skinąłem głową, rozglądając się po brukowanym dziedzińcu wewnętrznym. Byłem tam już wcześniej, w czasach lorda Cromwella. Po prawej stronie znajdował się mur loggii otaczającej prywatny ogród królewski. Budynki po trzech pozostałych stronach prezentowały się wspaniale - wszystkie ściany miały ozdobione albo czarno-białą szachownicą, albo czarnymi sylwetkami fantastycznych stworów i roślin na białym tle. Za prywatnym ogrodem, na południu, zobaczyłem dwupiętrowe budynki, w których, jak pamiętałem, mieściły się prywatne apartamenty króla, ciągnące się aż do Great Gate. Przed nami znajdowała się budowla z ozdobnymi filarami. Przy wejściu zwieńczonym herbem królewskim stali kolejni strażnicy, za nimi zaś wznosił się wysoki dach kaplicy.

Na dziedzińcu tłoczyli się ludzie, przeważnie młodzi mężczyźni. Niektórzy byli strojnie ubrani, jak tamci trzej przy bramie, w barwne dublety z rozcięciami, a także przesadnie wielkie sączki. Inni mieli na

sobie ciemne szaty wyższych urzędników i nosili na szyjach złote łańcuchy symbolizujące pełnione przez nich urzędy, a towarzyszyli im niosący dokumenty sekretarze. Wśród nich przemieszczali się pokojom; w zielono-białej królewskiej liberii z literami „HR” wyszytymi na dubletach, między nimi zaś biegali kuchcikowie albo stajenni w codziennych ubraniach. Przez dziedziniec z grupą pokojówek przeszła młoda niewiasta w modnej haftowanej w kwiaty sukni z fortugalem, której stożkowata spódnica była u dołu szeroka, a w pasie niemożliwie wąska. Kilku dworzan uchyliło przed kobietą kapeluszy, by zwrócić jej uwagę, lecz ich zignorowała. Wydawała się zamyślona.

- To lady Maud Lane - powiedział Cecil. - Kuzynka królowej i jej główna dama do towarzystwa.
- Nie sprawia wrażenia szczęśliwej.
- Ostatnio ma wiele trosk - odparł ze smutkiem. Spojrzał na dworzan. - Pieczeniarze - zauważył. -

Darmozjady, trutnie, a nawet donosiciele i konfidenci. - Uśmiechnął się szyderczo. - Ale kiedy się tu zjawiłem, też szukałem koneksji wśród najmożniejszych. Mój ojciec był garderobianym króla, więc także miałem stosunki na dworze.

- Ty również, panie, chcesz robić karierę? - zapytałem.

- Na pewnych warunkach, przy pewnych zasadach. - Spojrzał mi w oczy. - I z zachowaniem lojalności. - Przez chwilę milczał, a potem rzucił: - Spójrz. Pan sekretarz Paget. - Ujrzałem mężczyznę o grubo ciosanych rysach, ciemnej brodzie i wąskich ustach z jednym opuszczonym kącikiem, którego widziałem też na egzekucji. Przecinał właśnie podwórzec. Towarzyszyło mu kilku służących w czarnych szatach, z których jeden czytał mu coś do ucha, kiedy szli.

- Zapamiętaj go sobie, komisarzu Shardlake - powiedział Cecil. - Jest teraz bliżej króla niż ktokolwiek inny.

- Myślałem, że raczej biskup Gardiner.

Uśmiechnął się słabo.

- Gardiner szepcze mu do ucha. Jednakże to William Paget nadzoruje administrację, omawia z królem politykę, kontroluje przydział stanowisk.

Popatrzyłem na niego

- Jak niegdyś Cromwell, nieprawdaż?

Cecil pokręcił głową.

- O nie. Paget rozprawia z królem o polityce, lecz wypełnia tylko jego życzenia, nie posuwając się dalej. Nie próbuje nim sterować. To był błąd, który popełnili Cromwell i Anna Boleyn. I oboje zapłacili za to głową. Prawdziwi władcy królestwa są mądrzejsi. - Ciężko westchnął. - A przynajmniej powinni być.

Poprowadził mnie dalej. Minęli nas dwaj rośli mężczyźni w królewskiej liberii, prowadzący obdartych chłopców. Podeszli do bramy i wyrzucili ich za nią, dając im jeszcze po głowie. Cecil wyjaśnił niechętnie:

- Takie obwiesie wciąż dostają się do środka, twierdząc, że są sługami jakichś niżej postawionych dworzan. Nie wystarcza odźwiernych, by ich wszystkich wyrzucać.

- Nie ma ochrony? - zapytałem ze zdumieniem.

- Na zewnętrznym dziedzińcu, owszem, choć słaba. Ale w środku... sam zobaczysz, to już zupełnie inna kwestia.

Zaprowadził mnie pod drzwi z królewskim herbem. Stali przy nich dwaj żołnierze królewskiej straży przybocznej w charakterystycznych czarnych dubletach, ozdobionych złotymi różami Tudorów. Dzierżyli długie ostre halabardy. Cecil zbliżył się do jednego z nich i powiedział:

- Pan Cecil i adwokat lorda Parra.

Strażnik postawił znak na liście i weszliśmy do środka.

*

Wkroczyliśmy do przestronnego holu. Pełniło tam straż kilku ludzi. Ich stroje były jeszcze bardziej

okazałe niż żołnierzy straży przybocznej - mieli na sobie czarne długie szaty i berety z dużymi czarnymi piórami, obszyte złotą nicią. Każdy z nich nosił na szyi duży złoty medalion na łańcuchu. Wszyscy byli wysocy i potężnie zbudowani. Trzymali ostre halabardy. To musiała być osobista straż króla, Korpus Honorowy.

Ściany były tu udekorowane barwnymi gobelinami, pod nimi zaś stały malowane drewniane skrzynie. Nagle zobaczyłem zajmujący całą ścianę obraz, o którym słyszałem, że namalował go minionego roku jeden z ostatnich uczniów mistrza Holbeina, a przedstawiał on rodzinę królewską. W jednym z wewnętrznych pokoiów pałacowych sportretowano króla, potężnego, rudobrodego i poważnego, który siedział na tronie pod bogato zdobionym baldachimem, ubrany w wutowany na ramionach złoto-czamy dublet. Trzymał dłoń na ramieniu chłopcy księcia Edwarda, swego jedynego syna. Po drugiej stronie Edwarda siedziała z dłońmi złożonymi skromnie na podołku dawno nieżyjąca trzecia żona Henryka, Jane Seymour. Po bokach królewskiej pary stali młoda dama i dorastająca dziewczyna. Lady Maria, córka Katarzyny Aragońskiej, i lady Elżbieta, córka Anny Boleyn, zostały przed dwoma laty ponownie uznane za dziedziczki tronu. Za każdą z młodych kobiet znajdowały się otwarte drzwi do ogrodu. W progu za lady Marią było widać drobną kobietę o pustym wyrazie twarzy, podczas gdy za lady Elżbietą stał niski garbaty mężczyzna z małpką odziany w kaftan i beret, siedzącą mu na ramieniu. Stałem przez chwilę oczarowany tym wspaniałym malowidłem, gdy Cecil dotknął mego ramienia, więc odwróciłem się i podążyłem za nim.

W następnej komnacie także przebywała grupa okazale ubranych młodych mężczyzn, stojąc albo siedząc na skrzyniach. Byli wszędzie. Jeden kłócił się ze strażnikiem stojącym przed następnymi drzwiami.

- Będiesz miał kłopoty, panie - mówił do niego zapalczywie. - Jeśli nie dostanę się dziś do kamerdynera lorda Lisle'a. Chce się ze mną widzieć.

Strażnik spojrzał na niego obojętnie.

- Jeśli tak, zostaniemy powiadomieni. Do tego czasu możesz opuścić Salę Gwardii.

Zbliżyliśmy się do niego. Ten z ulgą zwrócił się w naszą stronę. Cecil odezwał się do niego spokojnie:

- Oczekuje nas lord Parr.

- Tak mi powiedziano. - Przyjrzał mi się przelotnie. — Nie masz, panie, broni? - zapytał. - Żadnego sztyletu?

- Oczywiście, że nie - odparłem.

Często nosiłem przy sobie sztylet, wiedziałem jednak, że do pałaców królewskich nie wolno wnosić broni. Potężny mężczyzna bez słowa otworzył przed nami drzwi na tyle szeroko, byśmy mogli przez nie przejść.

*

Przed nami znajdowały się szerokie schody, wyłożone grubą matą z sitowia, która, gdy szliśmy na górę, tłumiła dźwięk naszych kroków.

Podziwiałem dekoracje na ścianach, wszystkie były niezwykle barwne i pełne zawiłych szczegółów. Znajdowały się wśród nich malowane tarcze z herbami Tudorów i zwierzętami heraldycznymi oraz splecione pędy roślin, a także boazeria - pomalowane na różne kolory drewniane panele rzeźbione tak, by przypominały zwoje materiału. Na podestach stali kolejni strażnicy z Korpusu Honorowego, beznamiętnie patrzący przed siebie. Wiedziałem, że zbliżamy się do królewskich apartamentów na pierwszym piętrze. Zwyczajny świat zostawiliśmy za sobą.

U szczytu schodów czekał na nas mężczyzna. Starszy, o szerokich ramionach, trzymał laskę. Miał czarną szatę z symbolem królowej i wyjątkowo okazały złoty łańcuch na szyi. Jego włosy pod ozdobionym klejnotami beretem były siwe, podobnie jak bródka, twarz zaś blada i poorana zmarszczkami. Cecil skłonił mu się nisko, a ja poszedłem za jego przykładem.

Przedstawił nas:

- Wasza Lordowska Mość, to komisarz Shardlake. Lord kanclerz Jej Królewskiej Mości, stryj królowej Katarzyny, lord Parr z Horton.

Lord Parr skinął mu głową.

- Dziękuję ci, Williamie. - Mimo wieku głos miał głęboki i donośny. Cecil skłonił się ponownie i oddalił z powrotem po schodach. Minął nas służący, który także pospieszył na dół.

Lord Parr popatrzył na mnie przenikliwymi niebieskimi oczami. Wiedziałem, że kiedy umarł ojciec królowej, ten człowiek, jego brat, służył wsparciem wdowie i jej dzieciom. Był także towarzyszem króla w latach jego młodości i wspierał ród Parrów w dworskiej karierze. Musiał mieć już około siedemdziesięciu lat.

- Cóż — odezwał się wreszcie. — Więc to ty jesteś, panie, tym prawnikiem, którego tak ceni moja bratanica.

- Jej Królewska Mość jest niezwykle łaskawa.

- Wiem, że zanim została królową, oddałeś jej wielką przysługę. -Spojrzał na mnie poważnie. - Teraz zaś prosi o kolejną - dodał. - Czy może liczyć na twą całkowitą i niezachwianą lojalność:

- Ze wszech miar - odrzekłem.

- Ostrzegam cię, że to poufna i niebezpieczna sprawa. - Lord Parr wziął głęboki oddech. - Dowiesz się o czymś, o czym lepiej nie wiedzieć. Królowa powiedziała mi, że wolisz wieść życie na uboczu, więc zapytam wprost. - Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. -nadal chcesz jej pomóc?

Odpowiedź przyszła mi od razu, bez namysłu ani wahania.

- Tak.

- Dlaczego? - zapytał. - Wiem, że nie jesteś religijny, chociaż kiedyś byłeś. - Jego głos przybrał surowy ton. - Stałeś się, jak wielu w tych czasach, laodycejczykiem, kimś, kto zachowuje dystans wobec kwestii związanych z wiarą.

Zaczerpnąłem powietrza.

- Pomogę królowej, albowiem to najlepsza i najszlachetniejsza dama, jaką kiedykolwiek poznałem, i nigdy nie wyrządziła nikomu żadnego zła.

- Doprawdy? - Lord Parr ni stąd, ni zowąd uśmiechnął się sardonicznie. Przyglądał mi się przez moment, po czym zdecydowanie skinął głową. - Wobec tego chodźmy do jej komnat.

Poprowadził mnie wąskim korytarzem, obok pięknej weneckiej wazy na stole nakrytym purpurową tkaniną.

- Musimy przejść przez komnaty audiencyjne, najpierw króla, a potem królowej. Będzie tam jeszcze więcej dworzan czekających na najpotężniejsze osoby w królestwie - dodał ze znużeniem. Nagle przystanął i podniósł rękę. Przechodziliśmy obok wąskiego wielodzielnego okna, przez które wpadało gorące powietrze. Lord Parr rozejrzał się szybko, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział pospiesznie, z naciskiem: - A teraz prędko, póki jest okazja. Powinieneś to zobaczyć, panie, by zrozumieć, co się dzieje. Spójrz przez okno po tej stronie. Tu może się nie bać, że ktoś go zobaczy. No już!

Wyjrzałem na zewnątrz. Zobaczyłem mały brukowany dziedziniec. Dwaj potężni, odziani na czarno strażnicy Korpusu Honorowego pomagali iść zwałistej postaci w żółtym jedwabnym dublecie z futrzanym kołnierzem, trzymając ją pod ramiona. Ze zdumieniem rozpoznałem w niej króla. Wcześniej widziałem go z bliska dwa razy - w 1541 roku, podczas wielkiej procesji do Yorku, kiedy prezentował się świetnie, i w następnym roku w trakcie wjazdu do Portsmouth. Mężczyzna, którego ujrzałem, był wrakiem człowieka, bardzo otyły wydawał się wycieńczony bólem. Jego potężne nogi, jeszcze większe z powodu zwojów bandaży, były rozstawione jak u wielkiego dziecka. Posuwał się powoli, niepewnie, czerwieniejąc i pocąc się z wysiłku, a przy każdym kroku jego ogromne ciało trzęsło się pod dubletem. Twarz miał tak nalaną, że małe usta i maleńkie oczy tonęły w fałdach tłuszczu, z których wystawał tylko

mięsisty haczykowaty nos. Nie miał nakrycia głowy i widać było, że jest prawie całkiem łysy; resztki włosów, podobnie jak rzadką brodę, miał zupełnie siwe. Gdy tak mu się przyglądałem, król nagle machnął rękami ze zniecierpliwieniem, a ja odruchowo odskoczyłem w tył. Lord Parr ściągnął brwi i przytknął palec do ust. Ponownie zerknąłem za okno, kiedy król się odezwał tym samym zaskakująco piskliwym głosem, jaki zapamiętałem z Yorku.

- Puśćcie mnie! Sam dam radę dojść do drzwi, niech was diabli porwą! - Strażnicy usunęli się na bok i samodzielnie zrobił kilka chwiejnych kroków. Później zatrzymał się, wykrzykując: - Moja noga! Moje wrzody! Trzymajcie mnie, durnie! - Twarz pobladła mu z bólu. Odetchnął z ulgą, kiedy mężczyźni znowu wzięli go pod ramiona, służąc wsparciem.

Lord Parr cofnął się od okna, dając mi znak, bym poszedł jego śladem. Odezwał się dziwnie bezbarwnym głosem:

- To był on, wielki Henryk. Nie sądziłem, że przyjdzie taki dzień, kiedy będę się nad nim litował.
- Nie może chodzić samodzielnie? - zapytałem szeptem.
- Ledwie kilka kroków. W lepszym dniu nieco więcej. Nogi ma całe opuchnięte i owrzodzone.

Czasami trzeba go wozić po pałacu w fotelu na kółkach.

- A co mówią medycy? - zapytałem nerwowo, gdyż przypomniało mi się, że przepowiadanie śmierci króla jest zdradą stanu.

- W marcu bardzo zaniemógł i medycy sądzili, iż niebawem umrze, ale jakimś cudem przeżył. Powiadają, że jeszcze jeden atak gorączki albo pęknięcie większego wrzodu... — Lord Parr się rozejrzał. — I umrze. A doktorzy wiedzą o tym. Podobnie jak wszyscy inni na dworze. A także on sam. Chociaż, oczywiście, nie przyzna się do tego. I ma sprawny umysł, wciąż nad wszystkim sprawuje kontrolę.

- Wielki Boże.

- Cierpi nieustannie, niedowidzi i nie panuje nad apetytem, wciąż jest głodny. Jedzenie to jedyna przyjemność, jaka mu pozostała. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Jedyna przyjemność - powtórzył. - Tak jest już od dłuższego czasu. Z wyjątkiem jazdy konnej, jednak ta staje się dla niego coraz trudniejsza. - Wciąż zerkając, czy ktoś się nie zbliża, ciągnął cicho: - A książę Edward nie ma jeszcze dziewięciu lat. Członkowie rady myślą tylko o jednym... kto będzie rządził, kiedy przyjdzie pora? Sępy już krążą, komisarzu Shardlake. Powinieneś to wiedzieć. Ale chodźmy już, zanim ktoś zobaczy nas w oknie.

Powiódł mnie dalej, za róg, przed kolejne strzeżone przez strażników drzwi. Dobiegał zza nich gwar głosów. Zza naszych pleców przez otwarte okno doszedł cichy okrzyk bólu. I podobnie jak lord Parr nagle poczułem dla Henryka współczucie.

Rozdział piąty

Strażnik pełniący wartę rozpoznał lorda Parra i otworzył przed nim drzwi. Wiedziałem, że komnaty królewskie mają taki sam rozkład w każdym pałacu - szereg pomieszczeń coraz trudniej dostępnych i lepiej strzeżonych, a w ich sercu prywatne pokoje króla i królowej. Komnata audiencyjna króla stanowiła najbardziej kolorowe i bogato urządzone pomieszczenie z dotychczasowych. Jedną jej ścianę pokrywał barwny gobelin przedstawiający Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny; wszystkie postaci były w strojach rzymskich, a kolory tak jaskrawe, że niemal raziły oczy.

Była wypełniona dworzanami. Opierali się o ściany, stali i rozmawiali w grupkach, niektórzy nawet siedzieli przy stole na kozłach i grali w karty. Dostawszy się tak daleko, dzięki łapówce albo koneksjom, zamierzali zostać do końca dnia. Patrzyli na nas, a ich satynowe rękawy lśniły w świetle wpadającym przez okna. Za mną wszedł niepozorny mężczyzna i przeciął salę. Był niski, o smutnej twarzy i zgarbiony jak ja. Miał na sobie zieloną szatę z kapturem - na podstawie malowidła w komnacie straży rozpoznałem w nim błazna królewskiego, Willa Somersa. Na ramieniu trzymał małpkę, która gmerała mu w brązowych włosach. Dworzanie patrzyli, jak podchodzi pewnie do jednych z dwójga drzwi i zostaje za nie wpuszczony.

- Niewątpliwie posłano po niego, by rozbawił króla żartami, kiedy ten, cierpiący, wróci ze spaceru — zauważył ze smutkiem lord Parr. - My wejdziemy tamtymi drzwiami, do komnaty audiencyjnej królowej.

Spod ściany ruszył się jeden z młodzieńców i podszedł do nas. Zdjąwszy beret, skłonił się nisko.

- Lordzie Parr, jestem spokrewniony z dalszym kuzynostwem królowej, Throckmortonami. Tak się właśnie zastanawiałem, czy przy jej boku nie znalazłoby się miejsce dla mej siostry jako damy dworu...

- Nie teraz- - Lord Parr odprawił go szorstko, zbliżając się do drugich drzwi. Strażnik przepuścił go z niskim ukłonem.

Znaleźliśmy się w innej, nieco mniejszej komnacie, ozdobionej kilkoma arrasami przedstawiającymi narodziny Chrystusa. Było tam tylko kilku młodych dworzan *in spe* oraz paru żołnierzy królewskiej straży przybocznej, wszyscy z symbolem królowej. Suplikanci odwrócili się skwapliwie na widok lorda Parra, ale on tylko zmarszczył czoło i pokręcił odmownie głową.

Zbliżyliśmy się do grupy kilku bogato odzianych dam, które grały w karty przy stole we wnęce okiennej, i skłoniliśmy się im. Wszystkie były mocno umalowane, twarze miały pokryte bielą ołowiową z różem na policzkach. Wszystkie nosiły suknie na fortugałach, z odsłoniętymi przodami ukazującymi kolejne barwnie wyszywane warstwy i z odpinanymi, bogato haftowanymi, bufiastymi rękawami. Każdy z tych strojów musiał kosztować setki funtów ze względu na robociznę oraz materiał i być bardzo niewygodny w gorący letni dzień. Pomiędzy damami krążył spaniel, licząc na jakieś odpadki. W powietrzu wyczułem napięcie.

- Któregoś dnia w Whitehall pojawił się sir Thomas Seymour -powiedziała jedna z pań. - Jest jeszcze przystojniejszy niż kiedyś.

- Słyszałyście, jak w maju rozgromił piratów na wodach kanału? -zapytała inna.

Niska i ładna, trzydziestoparoletnia, postukała w blat, by zwrócić uwagę psa.

- Do nogi, Gardinerku! - zawołała.

Spaniel przybiegł i zdyszany spojrzał na nią wyczekująco. Popatrzyła na pozostałe damy i uśmiechnęła się łobuzersko.

- Cóż, Gardinerku, nie mam dziś nic dla ciebie. Połóż się i bądź cicho. - Uświadomiłem sobie, że zwierzę dostało imię po biskupie Gardinerze, a ona sobie z niego drwiła. Inna, starsza od reszty, pokręciła głową.

- Księżno Frances, czy wypada tak szydzić z osoby duchownej?

- Jeśli na to zasłużyła, lady Carew... - Zerknąłem na starszą damę i uzmysłowiłem sobie, że musi to

być małżonką admirała Carewa, który zginął z tyłoma innymi na *Mary Rose*. Widziała, jak okręt tonie, stojąc na brzegu wraz z królem.

- Lecz czy to bezpieczne? - odezwała się kuzynka królowej, lady Lane, którą Cecil wskazał mi na dziedzińcu.

- Dobre pytanie, córko - zauważył opryskliwie lord Parr.

Jedna z pozostałych pań rzuciła mi wyniosłe spojrzenie. Zwróciła się do lorda Parra:

- Czy królowa teraz będzie miała garbatego błazna, jak Jego Królewska Mość? Myślałam, że Jane ją zadowala. To dlatego kazała nam wyjść?

- Dość tego, moja droga lady Hertford - skarcił ją lord Parr. Skłonił się damom i zaprowadził mnie do drzwi, przez które wcześniej przeszedł służący. - Bezczelne - mruknął. - Gdyby nie ich niewyparzone języki, może nie mielibyśmy teraz kłopotu. - Strażnik stanął na baczność. Parr powiedział do niego przyciszonym głosem: - Nie wpuszczać nikogo do prywatnej komnaty królowej, dopóki nie wyjdziemy. - Mężczyzna skłonił głowę, otworzył drzwi i lord Parr dał mi znak, bym szedł przodem.

Kolejna piękna sala: na ścianach cykl gobelinów poświęconych cudownemu rozmnożeniu chleba i ryb, znowu boazeria w zwoje, wazony z różami na kilku pięknie rzeźbionych stolikach, ozdobne szachy na innym. Znajdowały się tam tylko dwie osoby. Królowa siedziała w fotelu na podeście pod baldachimem. Była ubrana jeszcze strojnziej niż jej dworki, we francuską suknię z fortugałem w kolorze królewskiej purpury. Szeroka spódnica miała geometryczny deseń i kiedy padło na nią światło, zobaczyłem, jaki jest misterny: setki kółeczek, trójkącików i kwadracików z przewijającym się motywem złotego liścia. Gorset zwężał się ku bardzo wąskiej talii, u której wisiała kulka zapachowa, i pochwyciłem przenikliwą woń pomarańczy. Stanik był głęboko wycięty - na białej od pudru szyi królowej wisiały na złotych łańcuchach drogie kamienie, między innymi piękna perła w kształcie łzy. Na jej kasztanowych włosach spoczywał francuski czepiec, odsunięty mocno do tyłu. Dostrzegłem jednak, że - pod tym bogatym strojem i bielą ołowiową pokrywającą jej piękną inteligentną twarz — Katarzyna Parr była zdenerwowana. Miała obecnie trzydzieści cztery lata i po raz pierwszy odkąd ją poznałem, wyglądała na swój wiek. Kłaniając się nisko, zastanawiałem się, co się z nią stało, jednocześnie zachodząc w głowę, co tu robi stojący obok niej mężczyzna, arcybiskup Thomas Cranmer, który podobno trzymał się na uboczu i przebywał w Canterbury.

Wyprostowałem się. Królowa miała spuszczone wzrok i nie odpowiedziała na moje spojrzenie. Cranmer jednak to uczynił. Na czarny dublet włożył jedwabną sutannę, a na posiwiałych włosach nosił prosty czarny beret. Jego duże niebieskie oczy wyrażały niepokój,

- Komisarzu Shardlake - odezwał się swym spokojnym głosem. - Minęły ze trzy lata, odkąd się widzieliśmy.

- Więcej, Wasza Ekscelencjo.

Królowa uniosła głowę, popatrzyła na mnie ze smutkiem i uśmiechnęła się lekko.

- Uratowałeś mi wtedy życie, Matthew. - Westchnęła, zamrugła oczami i zwróciła się do lorda Parra: - Czy Elżbieta poszła pozować do portretu?

- Nie bez narzekań. Mówi, że nie przystoi, by była malowana w swej sypialni.

- To bez znaczenia, byle tylko się zgodziła. Ten portret jest ważny. — Spojrzała na mnie ponownie i zapytała cicho: - Jak ci się wiedzie tego roku, Matthew?

- Dosyć dobrze, Wasza Królewska Mość. Praktykuję prawo, jak dawniej.

- A młody Hugh Curteys?

- U niego też dobrze. Pracuje dla kupców tkanin w Antwerpii.

- To doskonale, doskonale. Cieszę się, że z przykrew sprawy wynikło coś dobrego. - Przygryzła wargę, jakby nie miała ochoty kontynuować.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem znowu odezwał się Cranmer:

- Jak zauważyła Jej Królewska Mość, kiedyś, panie, uratowałeś jej życie.

- To był dla mnie zaszczyt.
- Czy uratujesz je ponownie?

Popatrzyłem na królową. Ponownie opuściła oczy. Ta przygaszona osoba nie była Katarzyną Parr, którą znałem. Zapytałem cicho:

- Do tego to doszło?
- Obawiam się, że tak - odparł Cranmer.

Królowa złożyła dłonie.

- To wszystko przeze mnie. Przez mą próżność, mą zuchwałość... Nie dając jej dokończyć, lord Parr przemówił tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Lepiej zacznijmy od początku i opowiedzmy komisarzowi Shardlake'owi o wszystkim, co zaszło od wiosny.

Królowa skinęła głową.

- Usiądźcie wszyscy. - Westchnęła. - To nie będzie krótka historia.

Spełniliśmy jej życzenie i usadowiliśmy się w półokręgu przed tronem. Królowa zwróciła się do stryja:

- Opowiedz wszystko, bez ogródek. Zacznij od tego, co powiedział w marcu król.

Lord Parr spojrział na mnie surowo.

- Będziesz zaledwie piątą osobą, która zna tę sprawę.

Siedziałem spokojnie, starając się nie zaciskać dłoni na kolanach.

Zdałem sobie bowiem sprawę, że tym razem wplątuję się w coś bardzo poważnego. Królowa patrzyła na mnie z rozpaczą, bawiąc się perłą na szyi.

- Wiosną król bardzo się rozchorował - zaczął lord Parr. - Przez wiele tygodni nie wychodził ze swych komnat. Wzywał królową, by dotrzymywała mu towarzystwa, gdyż jej obecność działała na niego pogrzejająco. Rozmowa często schodziła na tematy religijne, jak to z królem. Jednak w pewnym momencie z zagranicy powrócił biskup Gardiner, pyszniąc się świeżo wynegocjowanym traktatem z cesarzem Karolem.

- I wówczas popełniłam wielki błąd - włączyła się królowa cicho i ze smutkiem. - Wytrzymałam trzy lata, zawsze uważając na to, co mówię. Ale popełniłam grzech pychy i zapomniałam, że jestem zwykłą kobietą. - Ponownie opuściła głowę, podnosząc perłę na końcu złotego łańcuszka i patrząc na nią. - Zaperzyłam się zbytnio w rozmowie z królem, usiłując go przekonać, by uchylił zakaz czytania Biblii przez kobiety i prosty lud. Powiedziałam, że wszyscy powinni mieć dostęp do Słowa Bożego, jeśli mają być zbawieni...

- Niestety - skomentował lord Parr. - Jej Królewska Mość posunęła się za daleko i zirytowała króla...

Królowa odprężyła się i wypuściła z dłoni perłę.

- Największą głupotą z mojej strony było to, że odezwałam się tak w obecności biskupa Gardinera. Kiedy wyszłam, król powiedział Gardinerowi... - Tu się zawahała. - „Tak to kobiety stają się nauczycielkami i u schyłku życia jestem pouczany przez własną małżonkę”. - Dostrzegłem w kącikach jej oczu łzy.

Cranmer wyjaśnił:

- Dowiedzieliśmy się tego od jednego ze służących, który był wtedy w komnacie. I wiemy, że Gardiner, żądny krwi jak to on, odparł, iż królowa i jej damy dworu to heretyczki, podczas Wielkiego Postu zapraszają do komnat królowej ludzi, którzy zaprzeczają, jakoby chleb i wino w trakcie mszy stawały się ciałem i krwią Chrystusa, a także omawiają z nimi zakazane księgi. Gardiner twierdził, że tacy ludzie nie są lepsi od anabaptystów, którzy chcą obalić władzę królewską.

Królowa pochyliła głowę. Lord Parr zerknął na nią i powiedział:

- Król jednak nie ufał Gardinerowi. Od upadku Cromwella obawiał się tych, którzy szepczą mu do

ucha o heretyckich spiskach. I mimo że się wówczas rozgniewał, kocha królową i za nic nie chciałby jej stracić. Pamiętaj o tym, bratanico, pamiętaj.

- Jednakże postąpiłam nierozważnie - przyznała.

Ściągnąłem brwi. Zawsze wiedziałem, że królowa ma radykalne poglądy religijne, i teraz zacząłem zastanawiać się ze straciłem, czy nie została sakramentarianką. Przez moment poczułem znowu dym ze Smithfield.

- Twój stryj ma rację, Wasza Królewska Mość - rzucił Cranmer uspokajająco. - Król cię kocha, za twą dobroć i pociechę, jaką mu dajesz. Zawsze o tym pamiętaj, Katarzyno.

Zdziwiłem się. „Katarzyno”? Nie miałem pojęcia, że królowa i arcybiskup są w takiej zażyłości.

Lord Parr ciągnął:

- Król jednak pozwolił Gardinerowi szukać dowodów. I jednocześnie zlecił generalne śledztwo w sprawie herezji także poza pałacem.

Niepokoił się z powodu niezadowolenia, jakie wzbudziły podniesienie cen i wojna... chociaż, na szczęście, Bóg sprawił, że Jego Królewska Mość dostrzegł sens zawarcia pokoju. - Parr ponownie przeniósł wzrok na bratanicę. - Królowa ma wiernych przyjaciół i została ostrzeżona, że rozpoczęto te poszukiwania. Kazałem wynieść wszelkie księgi, które znajdowały się w posiadaniu jej samej oraz dworek i które Gardiner mógłby wykorzystać jako dowód wspierania przez nie herezji. A ci, którzy byli przesłuchiwanymi na okoliczność rozmów prowadzonych w komnatach królowej, pozostali lojalni i nie powiedzieli nic obciążającego.

Zastanawiałem się, co to były za księgi. Jednakże każda z choćby lekko luterańskim wydźwiękiem mogła być użyta przez Gardinera i jego ludzi.

Królowa przemówiła ponownie. Miałem wrażenie, że czyta mi w myślach.

- Nie było wśród nich żadnych ksiąg o charakterze heretyckim, a w komnatach królewskich nie powiedziano nic, co byłoby zakazane. I chociaż Gardiner poszczuł psami mych przyjaciół oraz me dworki, które widzieliście przed drzwiami, nie osiągnął niczego. - A więc dlatego były takie cięte i lady Carew z taką satysfakcją drwiła z Gardinera. - Mimo że posłużył się żądnymi władzy karierowiczami z Tajnej Rady, lordem kanclerzem Wriothsleyem i człowiekiem, którego dobrze znacie... i który chętnie zobaczyłby mnie na stosie. Richardem Richem.

Poruszyłem się nerwowo na fotelu. Zauważyłem cicho:

- Rich stał się twym wrogiem dlatego, że ochronił mnie w zeszłym roku.

Cranmer pokręcił głową.

- Nie, komisarzu, Rich i Wriothsley po prostu dostrzegli okazję, by zyskać wpływy dzięki biskupowi Gardinerowi, no i księciu Norfolk, który za nim stoi, i obaj z niej skorzystali. Jako drugi w królestwie książę chciałby zostać regentem następcy tronu, gdyby królowi coś się stało. Modlę się jednak codziennie, by nasz Pan zachował go przy życiu jeszcze przez wiele lat. - Przypominałem sobie, co widziałem z okna, i po minie Cranmera, człowieka wierzącego, zorientowałem się, że ma niewielką nadzieję, iż jego modlitwy zostaną wysłuchane.

Lord Parr podjął opowieść:

- Rozumiecie więc, że gdyby Gardiner i jego ludzie zdołali obalić królową oraz re z dam dworu, które mają powiązania z radykałami, zniszczyłyby także ich mężów. Lorda Lisica, sir Anthony'ego Denny'ego, hrabiego Hertforda, którego małżonka pozwoliła sobie na niemiłą uwagę o tobie, panie...

Królowa gniewnie uniosła głowę.

- Co takiego powiedziała żona hrabiego?

- Nic, Wasza Królewska Mość — mruknąłem.

- Była niezadowolona, że odesłałaś dworki - szybko wyjaśnił lord Parr.

- Może mówić jak dobra chrześcijanka, lecz nie ma w sobie miłosierdzia. Nie będę tego tolerować! - Znowu przemówiła po królewsku i nie mogłem się pozbyć wrażenia, że rozgniewało ją to, iż źle mnie

potraktowano.

Lord Parr kontynuował:

- Jak więc widzisz, Gardiner i jego ludzie chcieli zaatakować reformatorów w radzie poprzez ich żony. Ale kiedy poszukiwanie dowodów przeciwko nim w komnatach królowej niczego nie dało, król wpadł w złość; domyślił się, że była to sztuczka, by skłonić go do zmiany polityki. Zezłościły go także pogłoski, że Anna Askew była torturowana.

- To nie pogłoski - odrzekłem. - Byłem na egzekucji. Nie mogła stać, przyniesiono ją na krzesło.

- Martwiliśmy się, że te tortury miały na celu wydobyć obciążających informacji na temat królowej. Choć Jej Królewska Mość nie miała okazji poznać tej kobiety. Lady Hertford i lady Denny wysłały jej pieniądze, kiedy była w więzieniu...

- By nie zmarła z głodu! - wybuchła królowa. - To był akt miłosierdzia, miłosierdzia! Pani Askew...

- Pani Kyme - poprawił ją łagodnie Cranmer.

- Niech będzie, pani Kyme! Żebym to ja była przyczyną jej tortur...! - W kącikach oczu znowu pojawiły jej się łzy, a przecież zawsze była taka opanowana. Uzmysłowiłem sobie, jak musiała się czuć w ostatnich miesiącach, wiedząc, że jest obiektem nagonki, i nic nie mogąc na to poradzić, starając się zachowywać w obecności króla jak gdyby nic się nie działo. Widziałem, że jest u kresu wytrzymałości, nie potrafi nawet samodzielnie opowiedzieć tej historii.

- Nie znamy ich powodu. - Lord Parr położył na ramieniu bratanicy sękatą dłoń. — W każdym razie wygląda na to, że cierpliwość króla się wyczerpała. Zirykowało go ponadto, że skazano na stos także jego przyjaciela, George'a Blagge'a, więc go ułaskawił.

Cranmer potwierdził skinieniem głowy.

- Intryga Gardinera się nie powiodła. Król uznał, że pora powiedzieć dość. - Pomyślałem, że to wyjaśnia zafrasowaną minę Richa na Smithfield. I może powrót na dwór Cranmera, który poczuł się bezpieczniej. Dopowiedział teraz z cierpkim uśmiechem: — I postanowił dać łowcom heretyków nauczkę, której nie zapomną. — Spojrzał na królową, która zamknęła oczy.

Arcybiskup zaczerpnął powietrza.

- Trzy lata temu, kiedy Gardiner dybał na mnie, polując na heretyków w mojej diecezji, król wezwał mnie do siebie. Powiedział, że wyraził zgodę, bym został przesłuchany przez Tajną Radę. - Przerwał, chmurząc się na wspomnienie strachu, który wtedy przeżył. Odetchnął głęboko. — Jego Królewska Mość oznajmił jednak, że dochodzeniem w mej decyzji będę kierował ja sam, i dał mi swój pierścień na znak, że mam jego przychylność. Miałem go pokazać Tajnej Radzie. Najpierw jednak mnie przestraszył, mówiąc, że wie, kto w Kencie jest największym heretykiem. Przestraszył i ostrzegł, lecz jednocześnie okazał mi zaufanie. - Przerwał na chwilę. - A w zeszłym tygodniu posłużył się tą samą strategią wobec Jej Królewskiej Mości. - Spojrzał znacząco na królową.

Ta podniosła głowę.

- Zostałam wezwana do prywatnej komnaty króla. To było tydzień temu, dziewiątego. Zdumiało mnie to, co powiedział. Wyznał, że Gardiner i jego zauszniczy próbowali mu wmówić podłe kłamstwa na mój temat, ale ich przejrzał. Nie wiedział, że już mnie o tym uprzedzono. A może i wiedział, lecz nie zdradził się z tym, potrafi być... - Nie dokończyła i bawiąc się znowu perłą, podjęła dziwnie bezbarwnym tonem: - Oznajmił, że jego miłość do mnie się nie zmniejszyła, i poprosił, byśmy razem dali Gardinerowi i Wriothlesleyowi nauczkę. Powiedział, że wyda nakaz aresztowania mnie i poleci Wriothlesleyowi, bym została zatrzymana. Udamy jednak, że przez przypadek kopia nakazu wpadła w moje ręce. Wtedy zacznę płakać z rozpacz, a on przyjdzie mnie pocieszyć. - Załamał jej się głos i przełknęła ślinę. Serce zaczęło mocniej bić mi z gniewu, że król tak nią manipuluje.

— Następnego wieczoru miałam przyjść do jego komnaty i w obecności zebranych przeprosić go za to, że posunęłam się za daleko, rozprawiając z nim o religii. - Przymknęła oczy. - Chciał, bym powiedziała, że wiem, iż niewiasta nie powinna pouczać męża, i że chciałam jedynie odwrócić jego

uwagę od bólu w nogach. Zrobiłam, jak sobie życzył, i odegrałam swą rolę w tym przedstawieniu. - Pochwyciłam w jej głosie nutę goryczy, którą szybko stłumiła. - Następnego dnia przebywałam w ogrodzie z moimi dwórkami. Według wcześniejszej umowy z królem Wriothsesley miał przyjść z pięćdziesięciorgiem strażników i mnie aresztować. Myślał, że wygrał, ale kiedy się zjawił, król podał nakaz zatrzymania, w obecności strażników i dam dworu nazwał go potworem i niegodziwcem, a następnie kazał mu odejść. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. — Od tamtej pory Jego Królewska Mość okazuje mi przy wszystkich miłość i uwagę. Mam dostać nowe klejnoty... wie, że lubię barwne kamienie. Jestem nie tylko próżna, lecz także pożądliva. - Opuściła głowę.

- A zatem... czy prześladowania się skończyły? — zapytałam. - Czy ta straszliwa egzekucja i ogłoszenie listy ksiąg zakazanych... to był ostatni akt? Wriothsesley i konserwatyści zostali upokorzeni?

- Gdyby to był ostatni akt! - zawołała królowa. — Brakuje jednej księgi, najniebezpieczniejszej ze wszystkich, i to moja wina!

Lord Parr znowu położył jej rękę na dłoni.

- Spokojnie, Katarzyno, spokojnie. Dobrze sobie radzisz.

Cranmer wstał i podszedł do okna, które wychodziło na ogród i znajdującą się za nim rzekę, błękitną w letnim słońcu i usianą białymi Żaglami łodzi wiosłowych. Inny świat. Od strony, gdzie wznoszono nowe komnaty lady Marii, dobiegało odległe walenie młotów. Arcybiskup powiedział:

- Wspomniałem, że biskup Gardiner wynegocjował nowy traktat z cesarstwem, Paget zaś zdołał zawrzeć pokój z Francuzami. Lord Lisle i hrabia Hertford też dobrze się spisali. Obaj przebywają teraz za granicą, lecz w przyszłym miesiącu wrócą w chwale i równowaga w Tajnej Radzie zostanie przywrócona na korzyść reformatorów. To nam pomoże, podobnie jak irytacja króla na frakcję Gardinera. Jednakże dzieje się coś innego, komisarzu. - Odwrócił się i poczułem siłę jego przenikliwego spojrzenia. - Nie wiemy, co takiego, ale widzimy, że starsi członkowie frakcji konserwatywnej... Norfolk, Gardiner i inni, jak Paget... wciąż się uśmiechają i rozmawiają po kątach, chociaż po tym, jak pokrzyżowano im plany, powinni kulić się niczym zbite psy. Któregoś dnia po zebraniu rady usłyszałem, jak Paget szepcze do Norfolka coś o gościu z zagranicy, a kiedy się zbliżyłem, zamilkli. Dzieje się coś innego, coś tajemniczego. Mają jakiegoś asa w rękawie.

- A ja tylko dałam im broń do ręki - dodała królowa ponuro. — Naraziłam na niebezpieczeństwo siebie i wszystkich tych, którzy są mi bliscy.

Tym razem ani stryj, ani arcybiskup nie próbowali jej uspokajać. Królowa uśmiechnęła się, nie delikatnie, z humorem, do czego kiedyś zawsze była gotowa, lecz ze smutkiem, gniewnie krzywiąc twarz.

- Pora, byś się dowiedział, Matthew, co takiego uczyniłam.

Rozdział szósty

Spojrzelismy na nią wszyscy. Zaczęła cicho:

- Zeszłej zimy wydawało się, że król zmierza w kierunku reform. Nakłonił parlament, by przyjął ustawę dającą monarsze władzę nad kaplicami rodowymi. Wtedy padł ostatni bastion papieskiej obrzędowości. Ja tego lata wydałam *Modlitwy i medytacje* i poczułam, że mogę bezpiecznie napisać kolejną księgę, by przedstawić światu swe poglądy, jak wcześniej Małgorzata z Nawarry. Napisałam więc niewielkie dzieło. Wiedziałam, że może wzbudzić, hm... kontrowersje, więc pracowałam nad nim w tajemnicy, w swej sypialni. Była to spowiedź... całego życia, obejmująca me grzechy, nadzieję na zbawienie, przekonania. - Spojrzała na mnie z przejęciem, a w jej oczach widać było rozpacz. - Nosiła tytuł *Lamentacje grzesznika*. Mówię w niej o tym, że gdy byłam młoda, wierzyłam w przesady i pożałowałam rzeczy tego świata, że kiedy przemówił do mnie Bóg, nie chciałam go słuchać, lecz w końcu przyjąłam jego łaskę. - Z przejęcia podniosła głos. Po chwili podjęła, już spokojniej: - I to Bóg sprawił, że zdałam sobie sprawę, iż moim przeznaczeniem jest poślubić króla. - Opuściła głowę, a ja zacząłem się zastanawiać, czy myśli o swej dawnej miłości do Thomasa Seymoura. - W *Lamentacjach* opowiadam najprostszymi słowami o tym, źródłem mej nadziei na zbawienie są wiara i studiowanie Biblii, a nie czcze ceremonie. - Przymknąłem oczy. Znałem takie księgi, spowiedzi radykalnych protestantów, liczących na zbawienie. Niektóre z nich zostały skonfiskowane przez władze. Królowa w tym rozdartym frakcjami świecie postąpiła niemądrze, pisząc coś takiego, nawet jeśli uczyniła to w sekrecie. Musiała zdawać sobie z tego sprawę, lecz emocje przeważały nad względami politycznymi. I nadzieja, że czasy znowu będą sprzyjać reformie, okazały się płonne.

- Kto widział to dzieło, Wasza Królewska Mość? - zapytałem spokojnie.

- Jedyne mój drogi lord arcybiskup. Ukończyłam je w lutym, a w marcu zaczęły się kłopoty z Gardinerem. Ukryłam je więc w swej prywatnej skrzyni i nikomu o nim nie mówiłam. - Dodała gorzko: - Czasami, Matthew, zdarza mi się wykazać zdrowy rozsadek. - Widziałem, że jest targana sprzecznymi uczuciami: pragnieniem głoszenia swych przekonań, głęboką świadomością politycznych zagrożeń oraz strachem. - Rękopis spoczywał tam do zeszłego miesiąca, kiedy to postanowiłam zasięgnąć na jego temat opinii Jego Ekscelencji. Przyszedł tu do mnie i przeczytał go jednego wieczoru wraz ze mną. - Skierowała wzrok na Cranmera, uśmiechając się żałośnie. - Przez ostatnie trzy lata dużo rozmawialiśmy o kwestiach wiary. Niewielu wie, jak dużo.

Arcybiskup przez chwilę wydawał się zmieszany, potem jednak odezwał się spokojnym głosem:

- To było dziewiątego czerwca. Nieco ponad miesiąc temu. Poradziłem Jej Królewskiej Mości, by w żadnym razie nie publikowała tego dzieła. Nie było w nim co prawda mowy o mszy, ale za to znajdowało się potępienie pustego rzymskiego ceremoniału, jak również przekonanie, że modlitwa i Biblia stanowią jedyną drogę do zbawienia... a to może zostać odczytane przez naszych wrogów jako wyraz lu-teranizmu.

- Gdzie teraz jest ten manuskrypt? - zapytałem.

- W tym cała rzecz - odezwał się ponuro lord Parr. - Został skradziony.

Królowa spojrzała mi w oczy.

- A jeśli trafi w ręce króla, najpewniej skończę na stosie razem z innymi.

- Lecz jeśli nie podważa sensu mszy...

- Dla króla jest zbyt radykalny - wyznała. - I to, że napisałam go w sekrecie przed nim... - Głos jej się załamał,

Cranmer dodał cicho:

- Jego Królewska Mość uznałby to za nielojalność. A to najgroźniejsze ze wszystkiego.

- I rozumiem to - zauważyła ze smutkiem królowa. - Poczuję się... zraniony.

Zakręciło mi się w głowie. Złożyłem ręce na kolanach, próbując zebrać myśli, gdyż uświadomiłem

sobie, że wszyscy czekają, co powiem.

- Ile istnieje kopii? - zapytałem.

- Tylko jedna, sporządzona moją własną ręką. Pisałam w sypialni, w tajemnicy, przy zamkniętych drzwiach, kiedy nikogo przy mnie nie było.

- To długie dzieło?

- Pięćdziesiąt stron drobnym pismem. Trzymałam je w bezpiecznym miejscu, w potężnej skrzyni w komnacie sypialnej. Tylko ja mam do niej klucz i noszę go na szyi. Nawet kiedy śpię. - Podniosła dłoń do gorsu i wskazała kluczyk. Jak perła wisiał na łańcuszku.

Cranmer włączył się gwałtownie:

- Radziłem Jej Królewskiej Mości, by zniszczyła tę księgę. Już samo jej istnienie niosło ze sobą groźbę.

- I była w skrzyni jeszcze dziewiątego czerwca? - indagowałem.

Królowa odrzekła:

- Tak, nie mogłam, oczywiście, przyjąć arcybiskupa w sypialni, więc przyniosłam dzieło do tej komnaty. Był to jedyny raz, kiedy zabrałam je z sypialni. Poprosiłam wszystkie damy dworu i służbę, by nas opuścili.

- I Wasza Królewska Mość nie powiedziała nikomu o tym spotkaniu?

- Nie.

Wszyscy patrzyli teraz na mnie. Wszedłem w rolę prawnika, zadającego pytanie po pytaniu. Nie mogłem się już wycofać. Jednocześnie pomyślałem, że jeśli ta sprawa przybierze zły obrót, wszyscy, i ja, i oni, skończymy na stosie.

Królowa tymczasem ciągnęła:

- Jego Ekscelencja powiedział mi, że księga musi zostać zniszczona. Mimo to... sądziłam i nadal sądzę, że takie dzieło, napisane przez królową Anglii, może pomóc ludziom znaleźć właściwą drogę. - Spojrzała na mnie prosząco, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, to moja dusza, to prawda, do której doszłam, i musisz mnie wysłuchać”. Byłem poruszony, ale opuściłem wzrok. Królowa złożyła ręce przed sobą, spojrzała na nas trzech i dodała z przygnębieniem: - Cóż.

Wiem. Byłam w błędzie. Już taka wiara we własne możliwości jest przejawem pychy.

Spytałem:

- Czy manuskrypt wrócił do skrzyni?

- Oczywiście. Zaglądałam do niego niemal codziennie. Przez miesiąc. Wiele razy chciałam zwrócić się do ciebie, stryju.

- Szkoda, że tego nie zrobiłaś - odparł z goryczą lord Parr.

- Gdyby nie było lato, palono by w kominku i któregoś razu wrzuciłabym do niego rękopis. A tak nie mogłam się zdobyć na to, by go zniszczyć, a czas mijał. I kiedy dwa dni temu otworzyłam skrzynię, zobaczyłam, że zniknęła. - Pokręciła głową, a ja uświadomiłem sobie, jaki to musiał być dla niej wstrząs.

- Kiedy Wasza Królewska Mość widziała go po raz ostatni?

- Właśnie tamtego popołudnia. Przeglądałam tekst, zastanawiając się, czy mogłabym wprowadzić do niego jakieś zmiany, by nadawał się do publikacji. Potem, wczesnym wieczorem, król wezwał mnie do swej prywatnej komnaty i prawie do dziesiątej byłam z nim, rozmawialiśmy i graliśmy w karty. Bolały go nogi, potrzebował rozrywki. Później, kiedy już miałam położyć się do łóżka, poszłam wyjąć manuskrypt, by na niego spojrzeć i znaleźć natchnienie do modlimy, ale zniknęła.

- Czy były jakieś ślady świadczące, że ktoś gmerał przy zamku?

- Nie - odparła. - Żadnych.

- Co jeszcze znajdowało się w skrzyni, Wasza Królewska Mość?

- Kilka moich klejnotów. Pamiątki po moim drugim mężu i jego córce, drogiej Małgorzacie Neville, która zmarła tej wiosny. — Przez jej twarz przebiegł smutek.

Lord Parr dodał:

- Wszystkie te klejnoty były dużej wartości. Ale nie zabrano niczego oprócz manuskryptu.

Zastanowiłem się.

- Ile to było czasu przed... incydem z Wriothesleyem i królem?

- Trzy dni wcześniej. - Zaśmiała się gorzko. - Mam powody, by dobrze pamiętać tamte dni.

Lord Parr wyjaśnił:

- Bratanica natychmiast się ze mną porozumiała. Byłem przerażony, kiedy dowiedziałem się o istnieniu księgi i jej losie.

Spojrzałem na starca.

- Wyobrażam sobie, że charakter kradzieży... utrudnił poszukiwania wśród domowników.

Pokręcił głową.

- Nie odważyliśmy się nikomu o niej powiedzieć. Spytałem strażników, którzy w kluczowych godzinach pełnili wartę przed sypialnią królowej, jednakże nie zauważyli niczego niezwykłego. Do komnaty wchodził tylko paź, by posprzątać, dama dworu, chcąc sprawdzić, czy łóżko królowej jest zaścienione, i Jane, karlica, która zajrzała, by sprawdzić, czy jest tam królowa. Jane może wchodzić wszędzie - wyjaśnił z przygnębieniem. - Ale jest zbyt głupia, by ukraść jabłko.

- To ważne, by się dowiedzieć, kto miał dostęp do sypialni. Ktoś jednak mógł dowiedzieć się wcześniej o istnieniu księgi i wybrał na kradzież porę, kiedy Jej Królewska Mość była u króla.

- Ale jak to w ogóle możliwe, skoro pisałam ją potajemnie i trzymałam pod kluczem, nikomu o niej nie mówiąc? - dziwiła się królowa.

Lord Parr pokiwał głową na potwierdzenie.

- Nie wiemy, jak to mogło się stać... i nie mamy pojęcia, co począć. Czujemy się... bezradni.

- A potem musiałam dla króla odegrać tę żalną scenę z Wriothesleyem, cały czas mając świadomość, że moje dzieło zniknęło, i gdyby ktoś je ujawnił, król wpadł w straszliwy gniew... - Królowa zamknęła oczy, ściskając wiszącą na szyi perłę. Patrzyliśmy na nią wszyscy. Opuściła rękę. - Nic mi nie jest - powiedziała.

- Jesteś pewna? - zapytał lord Parr.

- Tak. Tak. Lecz ty opowiadaj dalej, stryju.

Ten spojrzał na mnie,

- I wówczas doszła do nas wieść o morderstwie przy katedrze Świętego Pawła.

- Morderstwie? - spytałem gwałtownie.

- Owszem, w tej sprawie doszło nawet do morderstwa. Księga została skradziona ze skrzyni wieczorem szóstego lipca. O zmroku w zeszłą niedzielę, dziesiątego, zamordowano drukarza w jego małej drukarni przy Bowyer Road, tuż obok katedry. Wiesz, panie, że w ostatnich latach namnożyło się wokół niej warsztatów i sklepów. Drukarze, księgarze, małe przedsiębiorstwa w nędznych budach.

- Tak. - Wiedziałem także, że wielu z tych drukarzy i księgarzy było radykałami i w ostatnich miesiącach przetrząsano ich przybytki.

- Drukarz ten nazywał się Armistead Greening. Rezydował w jednej z szop, w której mieściła się tylko prasa drukarska. Już wcześniej miał kłopoty z powodu publikowania radykalnej literatury i wiosną wszczęto przeciwko niemu dochodzenie, które jednak nic nie wykazało. Ostatnio zaś drukował podręczniki. W zeszłą sobotę wieczorem pracował w swym zakładzie, jak kilku innych drukarzy, którzy działają, póki jest światło, by wykorzystać prasy. Miał ucznia, który wyszedł o dziewiątej.

- Skąd to wszystko wiadomo?

- Od tego ucznia, ale przede wszystkim od sąsiada, właściciela większej drukarni, znajdującej się kilka jardów dalej, Geoffreya Oke-dene. Około dziewiątej mistrz Okedene zamykał swą drukarnię, kiedy usłyszał odgłosy szamotaniny, krzyki i wołanie o pomoc, dochodzące z zakładu Greeninga. Był jego przyjacielem, więc pospieszył sprawdzić, co się dzieje. Drzwi były zamknięte na klucz, lecz nie

stanowiło to żadnej przeszkody, po prostu wyważył je ramieniem. Zobaczył dwóch mężczyzn wybiegających drugimi drzwiami, bocznymi... w takich drukarniach robi się bardzo gorąco, duszno, od przykrych woni farb i innych substancji, których się tam używa, dlatego przeważnie mają drugie drzwi, aby umożliwić wietrzenie. Mistrz Okedene jednak nie ścigał tych ludzi, ponieważ w warsztacie Greeninga próbowano wzniecić pożar: porozrzucano i podpalono papier. Okedene zdołał go ugasić... wyobrażasz sobie, panie, że takie miejsce zajęłoby się jak pochodnia.

- O, tak. - Widziałem te nędzne drewniane szopy, zbudowane pod ścianami albo na pustych działkach wokół katedry, słyszałem dochodzące z nich głośne rytmiczne dudnienie pras drukarskich.

- Dopiero stłumiwszy pożar, Okedene zauważył biednego Greeninga. Nieszczęśnik leżał na klepisku, z rozbitą głową. A w zaciśniętej dłoni trzymał to. - Lord Parr sięgnął do kieszeni szaty i ostrożnie wyjął kawałek drogiego papieru, pokrytego starannym pismem i pobrudzonego krwią. Podał mi go.

Przeczytałem:

Lamentacje grzesznika pióra królowej Katarzyny, czyli żale nad ignorancją jej ślepego życia.

Szlachetny czytelniku chrześcijaninie, jeśli stan rzeczy ma być raczej potwierdzany przez świadków niż świadectwa oceniane poprzez stan rzeczy, muszę wznieść lament nad naszymi czasami, w których złe uczynki są przedstawiane jako dobre, a dobre jako złe. Ponieważ jednak prawda jest taka, że to nie pochwały stanowią o czynach, lecz ich prawdziwa wartość, nie chcę...

Tu tekst się urywał, gdyż kartka była przedarta. Spojrzałem na królową.

- Czy to pismo Jej Królewskiej Mości?

Skinęła głową.

- To początek mego dzieła. *Lamentacji grzesznika.*

Odezwał się znowu lord Parr:

- Okedene go przeczytał i, rzecz jasna, po nagłówku od razu zrozumiał, z czym ma do czynienia. Bogu dzięki, jest dobrym reformatorem. Osobiście przyniósł to do pałacu i zadbał, by zostało doręczone bezpośrednio do moich rąk. Wypytałem go później. Dopiero wtedy poszedł do koronera. Opowiedział mu wszystko, co widział, nie wspominając jedynie, na mą prośbę, o tym kawałku papieru. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności koroner jest zwolennikiem reform, więc obiecał, że jeśli coś wyjdzie na jaw, czym prędzej mnie powiadomi. Został za to sownie wynagrodzony - dodał wprost. - I może liczyć na więcej.

Wówczas z nutą rozpaczy w głosie odezwała się królowa:

- Nic jednak nie odkrył, nic. Zaproponowałam więc, byśmy zwrócili się do ciebie. Jesteś jedyną znaną mi osobą spoza dworu, która mogłaby rozwiązać tę sprawę. Gdybyś tylko się zgodził. Jestem świadoma straszliwych zagrożeń...

- Już obiecał - zwrócił jej uwagę lord Parr.

- Tak uczyniłem.

- A zatem dziękuję ci, Matthew, z całego serca.

Spojrzałem na oderwany fragment.

- Oczywiście wniosek jest taki, że Greening trzymał rękopis, próbując go ratować przed intruzami, i ten, kto go zabił, wyrwał mu go z rąk, lecz część pierwszej karty została oddarta.

- Tak. Mordercy musieli usłyszeć, że mistrz Okedene wpada do drukarni, i rzucili się do ucieczki. Ci ludzie nie chcieli być rozpoznani, nie zatrzymali się nawet, by zabrać strzępek karty z dłoni swej ofiary.

- Albo, co bardziej prawdopodobne, nawet nie zauważyli, że w niej pozostał.

Lord Parr pokiwał głową.

- Musisz wiedzieć, panie, że to nie był pierwszy zamach na życie Greeninga. Nie tylko pracował on w tej norze, lecz także tam mieszkał, zresztą bardzo biednie. - Zmarszczył czoło z arystokratycznym niesmakiem. - Miał młodego terminatora. Kilka dni wcześniej chłopak przyszedł do pracy wczesnym

rankiem i zobaczył, że dwóch ludzi usiłuje włamać się do szopy. Wszczął alarm i ich spłoszył. Z jego relacji wynika, że to nie oni później napadli i zabili Greeninga.

- Najpierw pomyśleliśmy, że Greening dostał manuskrypt do wydrukowania - powiedział Cranmer.
- Ale to nie miałyby sensu. Katolik mógłby go wydrukować, by rozproszyc dzieło po ulicach na zgubę królowej, ale reformator?

- Owszem. - Zastanowiłem się. - Rzeczywiście, gdyby księga dostała się w ręce Greeninga, to jeśli rzeczywiście wyznawał takie poglądy, jak sądzicie, zrobiłby to samo co Okedene, oddałby ją. A czy Greening mógł być w głębi duszy katolikiem?

Cranmer pokręcił głową.

- Rozpytałem się dyskretnie. Greening przez całe życie był reformatorem, człowiekiem o znanych poglądach. Tak samo jak wcześniej jego rodzice. - Rzucił mi znaczące spojrzenie.

„Człowiek o znanych poglądach” znaczyło, że rodzina Greeninga należała do dawnej angielskiej sekty lollardów, którzy sto lat wcześniej doszli do tych samych wniosków co Luter, jeśli chodzi o znaczenie Biblii dla zbawienia, i głosili równie radykalne poglądy na temat mszy. Wielu z nich skłaniało się w stronę radykalnego protestantyzmu, a ze względu na długą historię prześladowań jako społeczność musieli zejść do podziemia. Było mało prawdopodobne, tak samo jak w przypadku innych radykałów, by chcieli wyrzucić królowej krzywdę.

- Czy w tej księdze jest coś jeszcze, co pozwoliłoby zidentyfikować ją jako dzieło królowej? — zapytałem.

- Całe zostało napisane jej ręką.

- Lecz czy jako całość jest natychmiast rozpoznawalne, tak *jak* jego początek?

- Identyfikację autora umożliwia nawet pobieżna lektura. - Lord Parr popatrzył na królową. - Wszak to osobiste wyznanie grzechów i wyraz skruchy w dążeniu do zbawienia. Nie ma w nim nic o polityce ani dworze, ale nie pozostawia cienia wątpliwości, że zostało napisane przez królową. - Pokręcił głową. - Nie mamy jednak pojęcia, w *czyich* jest teraz rękach ani jak trafiło do Greeninga. Dwa dni temu przeprowadzono dochodzenie w sprawie jego śmierci i werdykt głosi, że morderstwa winni są nieznanymi sprawcy.

Królowa zwróciła wzrok na mnie.

- Czekamy, co będzie dalej... jak złapane w sidła zające— czy księga pojawi się na ulicach, lecz od tygodnia nic się nie dzieje, panuje cisza. Przez całe dni i noce zastanawiamy się, co począć, i uznaliśmy, że ta sprawa powinna zostać zbadana, ale przez kogoś, kto nie *jest* związany z dworem. - Prosząco spojrzała mi w oczy. - I dlatego, Matthew, wybac mi, pomyślałam o tobie. Jednak powtarzam znowu, tylko proszę o pomoc. Nie żądam jej i nie będę żądać. Po napisaniu tej księgi mam wystarczająco dużo krwi na rękach, gdyby nie ja, ten nieszczęsny drukarz by żył. - I dodała z przygnębieniem: — Miałam dobre intencje, ale to prawda, co głosi Biblia: „Próżność nad próżnościami i wszystko próżność”. - Wyczerpana, opadła na oparcie fotela.

Mogłem tylko spytać:

- Czego zatem ode mnie oczekujesz, Wasza Wysokość?

Cranmer i lord Parr wymienili spojrzenia. Ulgi? Nadziei? Niepewności, czy dobrze postępują, powierzając mi tę sprawę? Lord Parr wstał nagle i zaczął krążyć po pokoju.

- Rozważyliśmy to. Mamy pewien plan, chociaż musisz nam, panie powiedzieć, czy nie dostrzegasz w nim słabości. Trzeba działać szybko i dwutorowo. Co do morderstwa Greeninga, agenci lorda arcybiskupa za pośrednictwem pastora rozmawiali z rodzicami drukarza, którzy, rzecz jasna, nic nie wiedzą o księdze, lecz pragną, by zabójca został znaleziony. Mieszkają w Chilterns, więc bez trudu mogą przyjechać do Londynu.

- Chilterns, no tak. - Wiedziałem, że ta dzielnica od dawna jest znana jako miejsce, gdzie skupiają się lollardowie.

- Chętnie więc udziela ci, panie, pełnomocnictwa. Zamożniejsi przyjaciele ich syna z Londynu także chcą wykryć mordercę, ale nic więcej. Teraz, po zakończeniu dochodzenia w sądzie, śledztwo prowadzi miejscowy konstabl, niejaki Fletcher, guzdrała. Wiesz, panie, że jeśli sprawca nie zostanie wykryty w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, tacy ludzie tracą zainteresowanie sprawą, albowiem szanse znalezienia go stają się nikłe. Przypuszczam, że Fletcher będzie zadowolony, jeśli go wyręczysz. Porozmawiaj z uczniem Greeninga, jego sąsiadami, kolegami po fachu, rozejrzyj się po drukarni. Tylko nie wspominaj o księdze. Możesz o niej mówić jedynie z mistrzem Okedene, który, dzięki Bogu, potrafi trzymać język za zębami. - Lord Parr spojrzał na mnie surowym wzrokiem.

- Dobrze, Wasza Lordowska Mość.

- Twoim drugim zadaniem będzie się dowiedzieć, kto skradł manuskrypt z pałacu. Musi to być osoba, która ma dostęp do sypialni królowej. Dziś po południu zostaniesz zaprzysiężony jako tymczasowy członek Uczzonej Rady Jej Królewskiej Mości. Dostaniesz togę z symbolem królowej; noś ją podczas śledztwa w pałacu. Ale badając sprawę morderstwa Greeninga, wkładaj zwykłą togę... nikt na zewnątrz nie powinien wiedzieć, że masz powiązania z królową.

- Doskonale.

Lord pokiwał głową z zadowoleniem. Cranmer spojrzał na mnie krótko, po czym odwrócił wzrok. Zapewne budziłem jego litość, a może nie pokładał we mnie wiary.

Lord Parr ciągnął:

- Jeśli chodzi o śledztwo w pałacu, powszechnie wiadomo, że pracowałeś już kiedyś dla królowej jako prawnik. Puścimy w obieg plotkę, że z jej skrzyni skradziono cenny klejnot, pierścień pozostawiony jej w spadku przez pasierbicę. Na wszelki wypadek zabrałem go i schowałem w bezpiecznym miejscu. Rzeczywiście jest bardzo cenny. Wszyscy wiedzą, że królowa była blisko związana z Małgorzatą Neville, więc rozumieją, że zależy jej na odzyskaniu pierścienia. Będiesz mógł, panie, przesłuchać służących, którzy mieli dostęp do kufra. Tak się składa, że jakiś czas temu paż ukradł klejnot jednej z dworek królowej i po przeprowadzeniu śledztwa został złapany. Jej Królewska Mości ułaskawiła go ze względu na to, że jest młody. Jednak ludzie to pamiętają. - Spojrzał na mnie. - Sam poprowadziłbym to dochodzenie, ale wzbudziłoby zdziwienie, że osoba o mojej pozycji zajmuje się taką sprawą. Poza tym ktoś spoza dworu często widzi wszystko wyraźniej. — Westchnął. — Dworski świat jest pełen intryg. Muszę wyznać, że lepiej mi w mej posiadłości, ale cóż, mam tu obowiązki.

- Jestem znany jako wróg pewnych osób należących do królewskiej Tajnej Rady - odparłem niepewnie. - Księcia Norfolk, a przede wszystkim Richarda Richa. I kiedyś naraziłem się samemu królowi.

Cranmer odrzekł na to:

- To stare dzieje, Matthew. Poza tym twoje śledztwo ograniczy się do dworu królowej. Jeśli odkryjesz coś, co będzie wykraczało poza ten krąg, powiadomisz nas, a my się tym zajmiemy. Nie wrócę do Canterbury, dopóki ta sprawa nie zostanie wyjaśniona.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Ekscelencjo - zacząłem. - Mimo to Norfolk albo Rich mogą się dowiedzieć... Wspomniałeś o szpiegach, którzy donieśli, co Gardiner mówił o tobie w prywatnej komnacie króla...

- To moi zwolennicy - upomniał mnie Cranmer. - Nie szpiedzy.

- Więc na dworze Jej Królewskiej Mości też mogą się znaleźć zwolennicy tych, którzy sprzeciwiają się reformom, nieprawdaż? Świadczyłaby o tym właśnie kradzież manuskryptu.

- To byłoby dziwne. Bardzo starannie strzeżemy sekretów w komnatach królewskich. - Cranmer popatrzył na królową. - Jej Królewska Mość cieszy się niezwykłą lojalnością domowników, co potwierdziło się podczas polowania na heretyków. Nie potrafimy wskazać nikogo, kto mógłby się czegoś takiego dopuścić.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym odezwał się lord Parr:

- Zaczynij od razu, komisarzu, i spróbuj rozwikłać tę zagadkę. Udaj się po południu do drukarni. Wróć wieczorem, wtedy cię zaprzysięgnę, dam ci tożę z odznaką królowej i udzielę dalszych instrukcji.

Zawahałem się ponownie.

- Czy mam działać samodzielnie?

- Możesz korzystać z pomocy młodego Williama Cecila, ma powiązania z radykałami i cieszy się ich zaufaniem. Nic nie wie jednak o *Lamentacjach* i na razie mu o nich nie powiemy. - Kontynuował nieco lżejszym tonem: - Czy uwierzysz, że jest już drugi raz żonaty, mimo że ma za ledwie dwadzieścia pięć lat? Jego pierwsza żona zmarła w połogu. Druga to kobieta o wysokich koneksjach. Czeka go świetna kariera.

- W sprawie morderstwa drukarza możesz korzystać z pomocy Baraka. Rozumiem, że w przeszłości bywał przydatny — dodał arcybiskup.

- Ale... - Lord Parr podniósł ostrzegawczo palec. - Powiedz mu, że działasz w imieniu rodziców ofiary, nie wspominaj ani o królowej, ani *Lamentacjach*.

Zawahałem się.

- Barak jest teraz żonaty, ma dziecko i drugie w drodze. Nie chciałbym narażać go na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Przyjąłem do kancelarii ucznia, Nicholasa, lecz...

Lord Parr wszedł mi w słowo:

- Zostawiamy to do twego uznania, panie. Możesz się nim posłużyć w rutynowych kwestiach, dopóki nie wspomnisz o *Lamentacjach*. - Znowu popatrzył na mnie srogo.

Skinąłem głową i zwróciłem się do królowej, która pochyliła się i ujęła perłę na łańcuszku.

- Czy wiesz, do kogo niegdyś należała? - zapytała cicho.

- Nie, Wasza Królewska Mość, ale jest bardzo piękna.

- Do Katarzyny Howard, która była przede mną królową i położyła głowę pod topór. Przynajmniej umarła szybciej, niż to dzieje się na stosie. — Westchnęła przeciągle, z rozpaczą. - Ona także była niemądra, tyle że pod innym względem. Wszystkie te strojne suknie, które noszę, jedwabne tkaniny wyszywane złotem, kolorowe klejnoty, wiele z tego przechodziło z jednej małżonki króla na drugą. I zawsze wracało do garderoby Jej Królewskiej Mości na przechowanie lub do przeróbki. Są tak kosztowne, że nie można ich wyrzucić, tak samo jak pięknych gobelinów. - Podniosła bogato zdobiony rękaw. - Tę suknię nosiła kiedyś Anna Boleyn. Stale coś mi przypomina o wydarzeniach z przeszłości. Nieustannie żyję w strachu, Matthew, w wielkim strachu.

- Uczynię, co w mej mocy, pani, odłożę wszystkie inne zajęcia. Przysięgam.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Dziękuję ci. Wiedziałaam, że przyjdiesz mi z pomocą.

Lord Parr skłonił głowę, dając znak, że powinienem wstać. Skłoniłem się — najpierw królowej, która posłała mi kolejny smutny uśmiech, a następnie Cranmerowi, który skinął głową. Lord Parr wyprowadził mnie za drzwi, a potem powiódł pod okno, z którego wcześniej obserwowaliśmy króla. Dziedziniec był pusty. Uświadomiłem sobie, że nikt nas tu nie może zobaczyć. Było to doskonałe miejsce, by porozmawiać na osobności.

- Dziękuję ci, panie - powiedział lord Parr. - Wierz mi, nie lekceważymy trudności ani niebezpieczeństw. Chodź ze mną, to zdradzę ci więcej szczegółów na temat Greeninga i pełnomocnictw udzielonych przez jego rodziców. - Wyjrzał na podwórzec, a potem, po chwili wahania, nachylił się ku mnie. - Widziałeś, w jakim stanie jest król. Ale jak się już zorientowałaś z tego, co ci mówiłem, jego umysł jest bystry i przenikliwy jak dawniej. Nie zapominaj, że Henryk wciąż rządzi nami wszystkimi.

Rozdział siódmy

Wyjeżdżałem z bram pałacu z uczuciem ulgi. Powoli skierowałem się w stronę Charing Cross. Genesis parskała i potrząsała łbem od kurzu z cegielni przy Scotland Yardzie, nieustannie dostarczającej materiałów do upiększania i rozbudowy pałacu. Dzień był upalny i na ulicy panował smród. Postanowiłem, że do dzielnicy drukarzy pojedę z Nicholasem - nie zawadzi mieć przy sobie kogoś młodego i słusznej postury.

U podnóża schodów wspaniałego Charing Cross jak zwykle siedziały dziesiątki żebraków. W ostatnich latach ich liczba rosła wraz ze zmniejszaniem się zarobków najuboższych, spowodowanym spadkiem wartości pieniądza. Byli tacy, którzy uważali, że żebracy to pijawki żerujące na ciężko pracujących ludziach, lecz większość obecnych nędzarzy niegdyś miała zatrudnienie. Zerknąłem na nich, mężczyźni, kobiety i dzieci w łachmanach, o ogorzałych od ciągłego przebywania na słońcu twarzach. Niektórzy z nich pokazywali rany i sączące się strupy, by wzbudzić litość przechodniów. Jeden mężczyzna siedzący z odsłoniętym kikutem nogi miał na sobie podarty żołnierski mundur. Niewątpliwie stracił nogę w Szkocji albo we Francji w ciągu ostatnich dwóch lat. Odwróciłem jednak wzrok, gdyż było powszechnie wiadomo, że jeśli człowiek zwróci uwagę na któregoś z nich, zaraz dopadnie go cała gromada innych, a ja miałem wystarczająco dużo zmartwień na głowie.

Zdałem sobie sprawę, że zostałem wciągnięty w intrygę znacznie niebezpieczniejszą niż wszystko, co robiłem do tej pory. Intrygę, która rozgrywa się w samym sercu dworu królewskiego w chwili, kiedy tamtejsze knowania osiągnęły apogeum. Przypomniłem sobie króla na dziedzińcu. Rozumiałem, że wszystko, co działo się od początku roku, było elementem walki o to, kto będzie rządził królestwem, kiedy Henryk umrze i na tronie zasiądzie dziecko. W czyich rękach monarcha zostawi państwo? Norfolk? Edwarda Seymoura? Pageta?

Wchodząc w posiadanie groźnych sekretów, których nie chciałem znać, skazałem się na długie dni strachu i niepewności. Jednakże mądry człowiek wie, kiedy jest głupcem, więc oczywiście miałem pełną świadomość, dlaczego na to przystałem. Dlatego że od dawna snułem miłosne fantazje na temat królowej. Było to żalodne ze strony podstarzałego mężczyzny, lecz tego ranka uświadomiłem sobie, jak głębokie żywiłem do niej uczucia.

Mimo to, powiedziałem sobie, powinienem spojrzeć na królową Katarzynę bez sentymentu. Niestety, religijny radykalizm naraził tę najostrożniejszą i najbardziej rozsądną z kobiet na realne niebezpieczeństwo. Ona sama zarzucała sobie próżność, lecz moim zdaniem po prostu straciła zdolność oceny. Zacząłem zastanawiać się z niepokojem, czy nie zbliża się do fanatyzmu, jak ostatnio tak wielu. Nie, pomyślałem, próbowała się wycofać, podporządkowując się królowi i prosząc Cranmera o ocenę *Lamentacji*, jednakże jej niechęć, by pozbyć się dzieła, mogła mieć zgubne skutki.

Przyszło mi teraz do głowy, czy nie pozwolić, aby członkowie obu frakcji pozabijali się nawzajem? Czemu strona radykalna ma być lepsza niż konserwatywna? Potem jednak doszedłem do wniosku, że królowa nikogo celowo by nie skrzywdziła. Podobnie jak Cranmer. Nie miałem jednak takiej pewności co do lorda Parra. Był starcem i wydawał się chory, czułem jednak, że jest bardzo oddany bratanicy i ma w sobie pewną bezwzględność - byłem mu potrzebny, lecz prawdopodobnie nie niezbędny.

Lord Parr przekazał mi pełnomocnictwo rodziców Greeninga. Zamierzałem obejść ulice wokół katedry Świętego Pawła i porozmawiać najpierw z konstabłem, a potem z sąsiadem drukarza, mistrzem Okedene, i uczniem, który był świadkiem wcześniejszej próby włamania. Postanowiłem dowiedzieć się także, z kim przyjaźnił się Greening.

Lord Parr życzył sobie, bym wrócił do pałacu o siódmej. Wszystko wskazywało na to, że dochodzenie zajmie mi wiele dni. Na szczęście, akurat teraz sądy nie obradowały. Chciałem poprosić Baraka, by w większym stopniu zajął się sprawami, które obecnie prowadziłem, i nadzorował Nicholasa oraz Skelly'ego. Z niechęcią uświadomiłem sobie, że będę musiał okłamać zarówno jego, jak i chłopaka.

Mogłem im powiedzieć, że prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa drukarza, ale jedynie na prośbę rodziny, i nie wolno mi było wspomnieć ani słowem o poszukiwaniach skradzionego dzieła królowej. Wolałbym nie okłamywać Baraka, lecz nie miałem innego wyjścia.

Pod wpływem impulsu skręciłem na północ, kierując się ku uliczce z domkami, przy której mieszkał Barak ze swą żoną. Tak jak on, Tamasin była moją dawną przyjaciółką. Wiele we troje przeszliśmy i nagle poczułem potrzebę, by porozmawiać z kimś zwyczajnym, rozsądnym, pozbawionym skłonności do intryg i by zobaczyć swego małego chrześniaka. Barak był w pracy, lecz liczyłem, że o tej porze zastanę w domu Tamasin. Pragnąłem chwili normalności, być może ostatniej na dłuższy czas.

Uwiązałem Genesis do pala przed domem i zapukałem do drzwi. Otworzyła gospodyni, Jane Marris, zażywna wdowa w średnim wieku. Na mój widok dygnęła.

- Pan Shardlake! Nie spodziewaliśmy się pana.

- Byłem w pobliżu. Czy pani Barakowa jest w domu?

- Tak, i pan także. Przyjechał na lunch. Właśnie miałam zabrać talerze. - Dotarło do mnie, że jeszcze nic nie jadłem. Jane wprowadziła mnie do saloniku, który wychodził na mały, ale zadbane ogród Tamasin. Okienne były otwarte i w pokoju unosił się zapach letnich kwiatów. Barak siedział przy stole z Tamasin, a przed nimi stały puste talerze i kubki z piwem. Gospodyni zaczęła wynosić naczynia.

Tamasin wyglądała dobrze, na jej ładnej twarzy malowało się zadowolenie.

- Co za miła niespodzianka, panie - powiedziała. - Ale spóźniłeś się na lunch.

- Nieważne.

Cmoknęła.

- Powinieneś coś jeść. Przyniosę ci chleba i sera.

Barak spojrzał na mnie.

- Przyjechałem do domu, by się posilić. Uznałem, że Skelly dopilnuje przez ten czas Nicka.

- W porządku.

Uśmiechnąłem się na widok małej postaci w białej koszulinie i zawiązanym na kokardę wełnianym czepku, która wypełzła spod stołu, by zobaczyć, co się dzieje. Chłopczyk popatrzył na mnie brązowymi oczami Baraka, pokazał w uśmiechu ząbki i powiedział:

- Pan!

- To nowe słowo, którego się nauczył - wyjaśniła z dumą Tamasin. - Widzisz, zaczyna mówić.

- Wychodzi z powijaków - zauważyłem, nie mogąc się nadziwić szybkiemu rozwojowi George'a, który podpełzł do ojca i ściągając brwi z wysiłku, stanął samodzielnie, a następnie złapał go za nogawkę. Uśmiechając się z zadowoleniem, podniósł nóżkę i kopnął tatę w kostkę.

Barak wziął malca na rękę.

- Kopiesz mnie, chłopcze - zauważył z ironiczną powagą. - I to przy swym ojcu chrzestnym?

Bezwstydny urwis. - George zachichotał radośnie. Pochyliłem się i pogłaskałem go po główce. Spod czepka wyłoniły się kręcone włoski, jasne jak u Tamasin i jedwabiste.

- Rośnie z każdym dniem - zauważyłem ze zdumieniem. - Chociaż wciąż nie wiem, do którego z was jest bardziej podobny.

- Trudno powiedzieć, patrząc na tę tłuściutką puciołowatą buźkę - odparł Barak, pstrykając synka w guzikowaty nos.

- Słyszałem, że należą ci się gratulacje, Tamasin.

Oblała się rumieńcem.

- Dziękuję ci, panie. Rzeczywiście, dzięki Bogu George'owi w styczniu urodzi się braciszek albo siostrzyczka. Mamy nadzieję, że tym razem to będzie dziewczynka.

- Dobrze się czujesz?

- Z wyjątkiem porannych nudności, tak. Pójdę po chleb i ser. Jack, masz w brodzie groszek. Wyjmij go, proszę. To wygląda obrzydliwie. - Barak wyjął groszek, ścisnął go w palcach i podał zachwyconemu

George'owi.

- Mógłbym zapuścić taką długą rozwidloną brodę. Nosiłbym w niej jedzenie i zawsze miałbym co przekąsić.

- Musiałbyś znaleźć sobie nowy dom! - zawołała Tamasin z kuchni.

Przyjrzałem się Barakowi, wyciągniętemu wygodnie na fotelu, z synkiem bawiącym się u jego stóp. Miałem rację, nie wciągając go w to.

- Jack - zacząłem. - Przyjąłem sprawę, która co najmniej przez Jolka dni zatrzyma mnie poza biurem. Mógłbym cię prosić, byś mnie zastąpił i nadzorował Nicholasa oraz Skelly'ego... choć być może wykorzystam chłopaka. Ważniejszymi klientami zajmę się sam, jeśli tylko będę mógł.

- Takimi jak pani Slanning? - Wiedziałem, że Barak jej nie znosi.

- Tak, między innymi nią.

Spojrzał na mnie ciekawie.

- Co to za sprawa?

- Morderstwo drukarza przy katedrze. Minął już tydzień i nic nie wskazuje na to, że sprawca zostanie wykryty. Koroner ociąga się jak zwykle. Mam pełnomocnictwo od rodziców ofiary, by poprowadzić śledztwo. Mieszkają w Chiltems.

- Oni ci to zlecili, panie?

Zawahałem się.

- Nie, osoby trzecie.

- Nie bierzesz już takich spraw. Mogą być niebezpieczne.

- Poczuję się zobowiązany.

- Wyglądasz na zatroskanego - powiedział wprost.

- Proszę, zostawmy to - odparłem z pewnym rozdrażnieniem. -W grę wchodzi pewne fakty, które muszę zachować dla siebie.

Barak zmarszczył czoło. Nigdy wcześniej nie wykluczałem go z takich spraw.

- Jak sobie życzysz, panie - odrzekł nieco opryskliwie.

George tymczasem odszedł od ojca i wykonał kilka chwiejnych kroków w moją stronę. Podniosłem go, a on położył pulchne rączki na mej koszuli i ubrudził ją zgniecionym groszkiem.

- Ojej — odezwał się Barak. — Przepraszam. Ale musisz uważać, gdy bierzesz go na rękę.

Wróciła Tamasin z chlebem i serem na talerzu oraz dwoma pomarszczonymi jabłkami.

- Zeszłoroczne — wyjaśniła. — Ale były dobrze przechowywane. -Zauważyła moją poplamioną koszulę i wzięła ode mnie George'a. - Jack. ty głupcze! - złajęła męża. - Dałeś mu ten groszek, prawda? Mógł się nim udławić.

- Jak widzisz, nie wsadził go do buzi. W zeszłym tygodniu próbował zjeść ślimaka z ogrodu i nic mu się nie stało.

- Fuj. Chodź do mamy. - Tamasin pochyliła się i podniosła synka, który spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Zachęcasz go do psot.

- Przepraszam. Tak, lepiej trzymać się z dala od kłopotów. -Barak spojrzał na mnie znacząco.

- Jeśli tylko się da - odparłem. - Jeśli tylko się da.

Pojechałem do domu, by przed pójściem do Lincoln's Inn zmienić koszulę. Wkroczyłem do kuchni. Zastałem w niej Josephine ubraną w suknię, której wcześniej na niej nie widziałem, fioletową, z porządnej wełny, z długim białym kołnierzem. Agnes klęczała przy niej, upinając rąbek spódnicy szpilkami. Obie kobiety wyprostowały się i dygnęły na mój widok.

- Co myślisz, jaśnie panie, o nowej sukni Josephine? - spytała Agnes. - To na jutrzejszy spacer, sama pomagałam ją wybrać.

Josephine jak zwykle się zarumieniła. Wyglądała ładnie w tym stroju. Jednakże mimowolnie pomyślałem, że materiał wygląda blado, na sprany, w porównaniu z niezwykle żywymi barwami, jakie

widziałem na każdym kroku w Whitehall. Lecz większość ludzi nie mogła sobie pozwolić na nic innego.

- Pięknie ci w niej - odparłem. - Na pewno pan Brown będzie pod wrażeniem.
- Dziękuję, jasnie panie. Spójrz, mam też nowe buty. - Uniosła rąbek sukni, by pokazać kwadratowe białe buciki z dobrej skóry.
- Jak z obrazka - zauważyłem, uśmiechając się.
- A suknia jest z najlepszej wełny kendalskiej - dodała Agnes. - Przeżyje cię o wiele lat.
- Dokąd pójdziecie na przechadzkę? - zapytałem.
- Na pola Lincoln's Inn. Mam nadzieję, że będzie ładne popołudnie.
- Niebo jest czyste. Ale spiesz mi się. Agnes, potrzebuję czystej koszuli. - Rozchyliłem togę, by pokazać zielone ślady rączek. - To dzieło mojego chrześniaka - wytłumaczyłem z żalem.

- Ale brudna! Wezwę Martina.
- Mogę wziąć koszulę z pralni - powiedziałem, lecz ona już zawołała męża. Nadszedł z jadalni, ubrany w fartuch. Musiał czyścić srebra, bo zalatywało od niego octem.
- Możesz przynieść świeżą koszulę dla pana, Martinie? - Jak zwykle Agnes zwróciła się do męża tonem pełnym szacunku. - Mały chrześniak poplamiał mi tę, co włożył rano. - Uśmiechnęła się, lecz Martin tylko skinął głową. Rzadko okazywał rozbawienie; chyba należał do ludzi, którzy urodzili się bez poczucia humoru.

Poszedłem na górę do swego pokoju, gdzie kilka minut później pojawił się Martin z czystą koszulą. Położył ją na łóżku i wyprostował się, czekając.

- Dziękuję, Martinie - powiedziałem, - Sam mogę ją włożyć. Tamtą poplamioną zostawię na łóżku. - Zawsze chciał wszystko robić za mnie. Wydawał się trochę urażony, ale skłonił się i wyszedł.

Zmieniłem koszulę i opuściłem pokój. U stóp schodów zobaczyłem, że Josephine niesie dzbanek z gorącą wodą, trzymając go ostrożnie przed sobą, by nie dotykał nowej sukni. Weszła przez otwarte drzwi do saloniku, gdzie Martin nadal czyścił srebra.

- Postaw go na stole - polecił. - Na materiale, o tam.
- Dobrze, panie Brocket. - Odwróciła się i zauważyłem, że za plecami rzuciła mu takie samo niechętnie, pogardliwe spojrzenie, jak poprzedniego dnia. Zdziwiło mnie to ponownie. Powściągliwy sposób bycia Martina z całą pewnością nie uzasadniał takiej antypatii ze strony kogoś równie pocziwego jak Josephine.

*

Zostawiłem Genesis w domu i krótką drogę do Lincoln's Inn przebyłem na piechotę. Barak jeszcze nie wrócił, ale zarówno Skelly, jak i Nicholas pracowali sumiennie przy swoich biurkach. Skelly wstał i z błyszczącymi oczami wręczył mi list.

- Przyniosła to dla ciebie, panie, niewiasta, która opiekuje się panem Bealknapem.
- Wziąłem list i złamałem pieczęć. W środku znajdowała się druga kartka, zapisana drżącym pismem:
*Mówią mi, że mam się przygotować na spotkanie ze Stwórcą.
Czy mógłbyś zajść do mnie jutro po kościele?*

Stephen Bealknap

Westchnąłem. Zupełnie o nim zapomniałem. Nie mogłem jednakowoż zignorować takiej prośby. Pospiesznie odpisałem, że przyjdę, i poprosiłem Skellyego, by doręczył odpowiedź. Kiedy wyszedł, zwróciłem się do Nicholasa. Tego dnia był ubrany skromnie w krótką czarną togę, zgodnie z zaleceniami. Podał mi plik kartek.

- Wyciąg z aktu przeniesienia tytułu własności. Główne punkty.

Zerknąłem na nie szybko. Były nagryzmołone niewprawną ręką, ale sprawiały wrażenie przemyślanych i logicznie ułożonych. Może jednak chłopak nabrał rozumu. Spojrzałem na niego. Mierzył sześć stóp wzrostu i musiałem zadrzeć głowę, by popatrzeć mu w twarz. Jego zielone oczy były bystre i miały szczery wyraz.

- Prowadzę nową sprawę - zacząłem. - Jest poufna, wymaga dyskrecji i, niestety, w następnych dniach zajmie mi dużo czasu, więc ze względu na moją nieobecność będziesz musiał siedzieć w kancelarii dłużej. Zrobisz to?

- Tak, panie - odparł, lecz nie usłyszałem w jego głosie niechęci, a wszak zgoda oznaczała mniej czasu na hulanki w gospodach w towarzystwie innych młodych dżentelmenów.

- Mam nadzieję, że nie potrwa to długo. Będę także potrzebował twojej pomocy. Chciałbym, byś towarzyszył mi podczas rozmowy z niektórymi świadkami. - Zawahałem się, po czym dodałem: - Chodzi o morderstwo, na życzenie rodziców ofiary mam wspomóc oficjalne śledztwo. Muszę pomówić z konstabłem i innymi osobami.

Nicholas natychmiast się ożywił.

- Trzeba złapać łotra, bez dwóch zdań.

Odpowiedziałem poważnie:

- Jeśli zabiorę cię z sobą, musisz zachować dla siebie wszystko, co usłyszysz. To nie jest temat do rozmów w karczmach. Ta sprawa może ściągnąć na nas kłopoty.

- Wiem, panie, że ludzi naszej profesji obowiązuje tajemnica - odrzekł nieco sztywno. - Każdy dżentelmen to uszanuje.

- W tym przypadku szczególnie. Czy mam twoje słowo?

- Oczywiście, panie. — W jego głosie zabrzmiała uraza.

- Doskonale. Więc chodź ze mną do Świętego Pawła. Zamordowany był drukarzem. Kiedy będę rozmawiał ze świadkami, słuchaj uważnie, a jeśli nasunie ci się jakieś pytanie i uznasz, że jest sensowne, możesz je zadać. Tak jak wczoraj z panią Slanning - dodałem. - Zachowałeś przytomność umysłu.

Nicholas się ucieszył.

- Nie byłem pewien, czy nie posunąłem się za daleko. By nie zrezygnowała z twoich usług, panie.

- To byłoby prawdziwe nieszczęście - odparłem ironicznie. — Chodźmy już. - Przyszła mi do głowy pewna myśl. - Czy miałeś wczoraj przy sobie miecz?

- Tak, panie.

Poczerwieniał. Lubił chodzić z mieczem, dodawało mu to animuszu. Uśmiechnąłem się.

- Ponieważ jako syn posiadacza ziemskiego jesteś dżentelmenem, a ci mogą nosić w miejscach publicznych broń, wykorzystamy to prawo na naszą korzyść. Miecz robi wrażenie na ludziach, z którymi będziemy rozmawiać.

- Dziękuję, panie. - Nicholas wziął piękną skórzaną pochwę z wytłaczanymi pędami winorośli i przypiął do pasa. - Jestem gotowy do drogi - oznajmił.

Rozdział ósmy

Szliśmy Stranem, pod Temple Bar i dalej Fleet Street. Było już po południu i cieszyłem się, że dostałem od Tamasin poczęstunek. Nicholas jak zwykle sadził susy, więc poprosiłem, by trochę zwolnił, przypominając mu, że prawnicy to ludzie dostojni i powinni kroczyć z godnością. Przecieliśmy Fleet Bridge i musiałem wstrzymać oddech, czując smród od rzeki. Wpadła do niej świnia i obijała się o błotnisty brzeg, a jej właściciel stał po kolana w zielonej, mętnej wodzie, usiłując wydobyć truchło.

Minęliśmy Fleet Prison, gdzie więźniowie jak zwykle wyciągali ręce przez kraty, żebrząc o jałmużnę, ponieważ jeśli nie dostali od kogoś jedzenia, głodowali. Pomyślałem o Annie Askew w Newgate, której dworki królowej przynosiły pieniądze. Stamtąd zabrano ją do Tower na tortury, a potem na stos. Wzdrygnąłem się na tę myśl.

Przeszliśmy przez mur miejski w Ludgate, mając przed sobą katedrę Świętego Pawła z drewnianą iglicą wznoszącą się w niebo na wysokość pięciuset stóp. Nicholas spojrział na nią z podziwem.

- W Lincolnshire nie ma tak pięknych budowli, co? — zauważyłem.
- Katedra w Lincoln jest bardzo ładna, ale widziałem ją tylko dwa razy. Posiadłość mego ojca leży w południowo-zachodniej części hrabstwa, nieopodal Trentu. - Pochwyciłem nutę gniewu w jego głosie, kiedy wspomniał o ojcu.

Na Bowyer Row za Ludgate panował ożywiony handel. Rzeźnik wystawił tam stragan, na którym leżało poziołeniałe, najwyraźniej nieświeże mięso. Panowała ostatnio taka drożyzna, że kramarze sprzedawali nawet zepsuty towar. By przyciągnąć klientów, ten trzymał na końcu straganu żywego indyka w klatce. Ludzie przystawali, by popatrzeć na niezwykłego ptaka z Nowego Świata - gigantyczne kurczę o wielkich czerwonych koralach.

Zbliżył się do nas starszy handlarz z tacą pełną pamfletów, zakupionych od drukarzy. Łypnął na nas okiem.

- Kupcie, jaśnie panowie, świeżo wydrukowane ballady. Z nieprzystojnymi wierszykami: *Mleczarka i młody ogier*, *Służące pana kardynała*. - Nicholas się zaśmiał, ja zaś gestem odpędziłem przekupnia. W progu swego sklepu stał inny, trzymając na ramieniu stary kołczan z witkami.

- Kupujcie piękne różgi! - wołał. - Kupujcie wiklinę! Dobrze nasączoną! Uczcie żony i synów moresu!

Podbiegała do nas grupa złożona z siedmiorga czy ośmiorga dzieci, obdartych bosych andrusów. Zauważyłem, że jeden z nich dzierżył ostry nóż.

- Kieszonkowcy - mruknąłem do Nicholasas. - Uważaj na sakiewkę!
- Widziałem ich. - Jedną dłoń trzymał już na sakiewce, a drugą położył na rękojeści miecza. Spojrzeliśmy na dzieci surowo i kiedy zrozumiwały, że domyślamy się ich zamiarów, odbiegły, zamiast nas otoczyć. Jeden z chłopców krzyknął: „Garbaty pomiot szatana!”, a drugi: „Rudy gryzipiórek!”.

Słyszając to, Nicholas się odwrócił i zrobił krok w ich stronę. Położyłem mu dłoń na ramieniu. Pokręcił głową i powiedział ze smutkiem:

- Mieli rację ci, którzy mnie ostrzegali, że Londyn to wzburzone morze, pełne niebezpiecznych skał!
- Owszem. Pod wieloma względami. Ja sam, kiedy tu przybyłem, musiałem się długo uczyć. Nic jestem pewien, czy do wszystkiego przywykłem, i czasami marzę o tym, by przenieść się na prowincję, ale... wciąż mam tu co robić. - Popatrzyłem na niego. - Powiniennem cię o czymś uprzedzić. Zamordowany i jego znajomi byli religijnymi radykałami. Mam nadzieję, że to ci nie będzie wadziło.

- Ja tam wierzę, jak nakazuje król - odparł, powtarzając bezpieczną formułę. Spojrział na mnie. — Chcę tylko, by w takich sprawach zostawiono mnie w spokoju.

- Dobrze - odparłem. - A teraz skręcamy tutaj. Najpierw odwiedzimy konstabla przy Ave Maria Lane.

Ave Maria Lane była wąską uliczką, przy której stały dwupiętrowe budynki, liczne sklepiki, domy mieszkalne i czynszówki, wszystkie z wystającymi okapami. Zauważyłem parę księgarń, przed którymi stały wyłożone księgami stoły. pilnowane przez odzianych na niebiesko terminatorów z drewnianymi pałkami, mającymi odstraszać złodziei. Większość publikacji była przeznaczona dla bogatszej klienteli - łańciska klasyka i francuskie powieści, ale także *Chrześcijański stan małżeństwa* Thomasa Becona, zalecający kobietom posłuszeństwo i milczenie. Gdyby dzieło to nie było takie drogie, kupiłbym je Barakowi dla żartu — Tamasin dałaby mu nią po głowie. Żałowałem, że nie mogłem być z nim tego dnia szczerzy.

- Konstablem jest Edward Fletcher - powiedziałem Nicholasowi. — Mieszka pod Czerwonym Smokiem. To tutaj. Jeśli nie ma go w domu, dowiemy się, gdzie możemy go znaleźć.

Drzwi otworzył nam służący, który oznajmił, że zastaliśmy pana Fletchera, po czym wprowadził nas do saloniku z biurkiem i krzesłami, zasłanymi całkowicie papierami. Za biurkiem siedział mężczyzna około pięćdziesięciu lat, w czerwonym dublecie i czapce miejskiego konstabla. Wyglądał na zmęczonego, wręcz na skraju wyczerpania. Rozpoznałem go. Był to jeden z tych, którzy dzień wcześniej podczas egzekucji dokładali drewna do stosów.

- Dobrego dnia, panie Fletcher — odezwałem się.

- I tobie, panie - powiedział z szacunkiem, niewątpliwie pod wrażeniem togi, którą miałem na sobie. Wstał i skłonił się nam. - Czym mogę służyć?

- Przyszedłem w sprawie morderstwa Armisteady Greeninga, świeć, Panie, nad jego duszą, które miało miejsce w zeszłym tygodniu. Rozumiem, że koroner zlecił ci, panie, przeprowadzenie śledztwa. Fletcher westchnął.

- Owszem.

- Jestem komisarz Matthew Shardlake z Lincoln's Inn. A to mój uczeń, pan Overton. Rodzice mistrza Greeninga niezwykle cierpią z powodu straty syna i poprosili mnie, bym, z twym, panie, po zwoleń, pomógł w dochodzeniu. Mam ich pełnomocnictwo. - Podałem mu dokument.

- Proszę, usiądźcie. - Fletcher zebrał papiery z dwóch stołków i położył je na podłodze. Kiedy usiedliśmy, popatrzył na nas z powagą. - Wiadomo wam, panowie, że jeśli morderca nie zostanie schwytany w ciągu dwóch dni i jego tożsamość pozostaje nieznana, szanse na znalezienie go są znikome.

- Wiadomo doskonale. Brałem już udział w takich dochodzeniach i zdaję sobie sprawę, jakie przedstawiają trudności. - Zerknąłem na rozłożone wszędzie papiery. - Mam też świadomość, jakie obowiązki w tych czasach spoczywają na miejskich konstablach. - Uśmiechnąłem się ze współczuciem. - Dochodzenie w trudnej sprawie morderstwa musi stanowić kolejny ciężar.

Fletcher z żalem pokiwał głową.

- W rzeczy samej. — Zawahał się, po czym dodał: - Jeśli mógłbyś je, panie, przejąć, byłbym zobowiązany.

Potaknąłem. Poznałem się już na tym człowieku. Wielu londyńskich konstabli było leniwych i sprzedajnych, lecz Fletcher był sumienny, tylko straszliwie przepracowany. I być może przejęty tym, co musiał robić poprzedniego dnia.

- Oczywiście, będę cię informował o postępach. A ty powiadomisz mnie o wszelkich odkryciach koronera - dodałem, dając do zrozumienia, że zasługi go nie miną.

Skinął głową.

- Chyba powinienem zapytać cię najpierw o okoliczności morderstwa — zacząłem. — Mój uczeń będzie notował, jeśli pozwolisz. - Nicholas wyjął z torby pióro i papier. Fletcher wskazał mu kałamarz, złożył dłonie i odchylił się na oparcie krzesła.

- Dziesiątego, niedługo po dziewiątej wieczorem, kiedy zapadał zmrok, przyszedł do mnie jeden ze straży nocnej. Powiedział, że zamordowano drukarza z Paternoster Row, Armisteady Greeninga, i wyjaśnił, że alarm wszczął sąsiad ofiary, mistrz Okedene, który znalazł ciało. Wysłałem wiadomość do

koronera i udałem się na Paternoster Row. Był tam Okedene, nie wyglądał dobrze. Zeznał, że korzystając z resztek światła, pracował z pomocnikiem do późna w swej drukarni, kiedy usłyszał dobiegające ze znajdującego się tuż obok warsztatu Greeninga wołanie o pomoc, a potem odgłosy uderzeń i krzyki. Mistrz Okedene jest zamożny, natomiast Greening był drobnym rzemieślnikiem, jego warsztat to zaledwie drewniana buda.

- Więc to nie jest zbyt bezpieczne miejsce?

- O, nie. Mistrz Okedene pobiegł sprawdzić, co się dzieje. Drzwi warsztatu były zamknięte na klucz, lecz je wyważył i zobaczył dwóch mężczyzn, potężnych obwiesiów, uciekających przez boczne wejście. Pomocnik mistrza Okedene, starszy człowiek, został w progu jego drukarni i widział tych dwóch, jak wybiegli i wspięli się na mur za warszatem, umykając do znajdującego się za nim ogrodu. Podał szczegółowe rysopisy. Mistrz Okedene chciał już ich ścigać, lecz zauważył, że w drukarni wybuchł pożar. Lampa przewróciła się na stos papieru.

- Chcieli spalić to miejsce? - zapytał Nicholas.

- Gdyby drukarnia spłonęła, w zgliszcach znaleziono by spalone ciało - wyjaśniłem. - Wtedy śmierć Greeninga zostałaby uznana za skutek przypadkowego zaproszenia ognia.

Fletcher pokiwał głową.

- Doszedłem do podobnego wniosku. Tak czy owak, mistrz Okedene zauważył płomienie i czym prędzej pobiegł je ugasić, zanim dotarłyby do kałamarzy i innych materiałów, których używają drukarze. Są łatwopalne, pożar mógł strawić wszystko.

Zgodziłem się z nim. Ogień latem to jedno z większych zagrożeń w Londynie, a wśród drukarzy tym bardziej.

- Wtedy ujrzał mistrza Greeninga, leżącego w kałuży krwi, z rozbitą głową, przy prasie drukarskiej.

- Konstabl zmarszczył czoło. - Byłem trochę zły na mistrza Okedene, bo po złożeniu zeznań wyszedł, znikając na kilka godzin. Podczas rozprawy w sądzie powiedział, że był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył, że musiał się czegoś napić, i zawędrował do jednej z karczm nad rzeką, otwartych po godzinie policyjnej. - Wzruszył ramionami. - Przed wyjściem jednak powiedział mi wszystko, co wiedział, a poza tym uchodzi za uczciwego człowieka.

Przypomniałem sobie, że w rzeczywistości wtedy Okedene poszedł do pałacu Whitehall.

Fletcher się zawahał, po czym kontynuował:

- Powinienem wspomnieć, że wcześniej dostałem rozkaz, by obserwować mistrza Greeninga. Był znany ze skrajnych poglądów religijnych i kontaktów z radykałami. Trzy lata temu był przesłuchiwany przez biskupa Bonnera. Z Flandrii przemycono księgi Johna Balea i w raportach pisano, że rozpowszechniał je między innymi Greening. Lecz niczego mu nie dowiedziono. Jednak to dziwne, bo mimo że miał mały warsztat, z jedną tylko prasą i jednym uczniem do pomocy, prowadził go przez lata, choć wiesz, panie, że drukarstwo to niepewny interes.

Rzeczywiście. Trzeba pieniędzy, by inwestować w wyposażenie. A po wydrukowaniu dzieła trzeba je sprzedać w dużym nakładzie, by cokolwiek na nim zarobić.

Fletcher pokiwał głową, przyznając mi rację.

- A on był młodym człowiekiem, zaledwie trzydziestoletnim. I jego rodzice także chyba nie są zamożni.

- Zdaje się, że to drobni chłopci.

Konstabl nagle spojrzał na mnie podejrzliwie.

— I stać ich na to, by wynająć komisarza?

- Mają koneksje z kimś, komu jestem winien przysługę.

Przyjrzał mi się uważnie, a następnie podjął:

- Przesłuchaliśmy znajomych Greeninga, łącznie z pewnymi radykałami, których biskup kazał nam mieć na oku. Wszyscy mieli alibi i żadnego motywu, by zabić drukarza. Nie trzymał on także w

warsztacie pieniędzy. Mieszkał tam, gdzie pracował, spał na wysuwającym łóżku w kącie. W saku trzymał kilka szylingów, których nie skradziono. Nie miał żony ani w ogóle żadnej kobiety.

- Do jakich należał radykałów? - zapytałem.

Fletcher wzruszył ramionami.

- On i jego znajomi byli uważani za sakramentarian i podejrzewani o jeszcze inne rzeczy. Podobno rodzice Greeninga są starymi lollardami. A dziś lollardowie mogą być anabaptystami. Jednakże nic na tych ludzi nie znaleziono. — Znowu popatrzył na mnie podejrzliwie, być może zastanawiając się, czy sam nie jestem radykałem.

Powiedziałem lekkim tonem:

- Mój uczeń właśnie mówił po drodze, że powinniśmy wierzyć tak, jak nakazuje król.

- W rzeczy samej — zgodził się Fletcher. — Tak jest również bezpieczniej.

- A terminator Greeninga?

- To przycięzki, zuchwały chłopak, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby też był radykałem. Jednakże w noc zabójstwa przebywał w domu z matką i siostrą, a poza tym wszyscy twierdzą zgodnie, że dogadywał się ze swym chlebodawcą. Mistrz Okedene wziął go do siebie.

- A tamci dwaj mężczyźni, których widział?

- Rozpłynęli się w powietrzu. Z opisu wynika, że nie są miejscowi. Uznałbym to za przypadkowe włamanie jakichś nędzarzy liczących, że ukradną trochę papieru, który przecież ma swoją wartość, gdyby nie jedno...

- Co takiego?

Konstabl zmarszczył czoło.

- Nie była to pierwsza napaść na Greeninga. - Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, jakbym słyszał o tym po raz pierwszy. - Terminator, młody Elias, powiedział mi, że kilka dni wcześniej, przyszedłszy do pracy, przyłapał dwóch mężczyzn na próbie włamania, gmerających przy zamku w drzwiach warsztatu. Krzyknął głośno, by obudzić mistrza Greeninga, który spał w środku, i zawołał: „Pałki!” co jak wiesz, stanowi wezwanie terminatorów o pomoc. Włamywacze natychmiast uciekli. Ale młody Elias twierdzi, że to nie byli ci sami, którzy zabili Greeninga. Jest tego pewien. - Rozłożył ręce. - I to wszystko.

Wczorajsze dochodzenie w sądzie potwierdziło, że było to morderstwo. Poproszono mnie o kontynuowanie śledztwa, niestety, nie mam dalszych tropów... niczego, co mogłoby dokądś prowadzić.

- Znasz, panie, nazwiska podejrzanych radykałów, z którymi Greening miał powiązania?

- Tak. To trzy osoby. - Fletcher pogrzebał w papierach, a potem spisał nazwiska i adresy trzech mężczyzn. Pochylił się nad biurkiem, kiedy zaczął je kolejno wskazywać. — James McKendrick to Szkot, pracuje w dokach, kiedyś był żołnierzem, później zaś stał się jednym z tych radykalnych kaznodziejów, których Szkoci wyrzucili ze swego królestwa. Andres Vandersteyn jest kupcem, handluje tkaninami w Antwerpii, kursując między nią a Londynem, i podobno sprzedaje nie tylko tkaniny, lecz także księgi. Trzeci, William Curdy, to średnio zamożny wytwórca świec. Wszyscy regularnie chodzą w niedziele do kościoła i uważają na to, co mówią w miejscach publicznych, lecz przyjaźnili się z Greeningiem i czasami spotykali w jego drukarni. Miał on też innych przyjaciół spośród radykałów.

- Skąd to wiesz, panie? - zapytał Nicholas.

- Od informatorów, oczywiście. Swoich i biskupa. I dochodzą do mnie wieści, że ci trzej nie pojawili się w swych domach. - Uniósł brwi. - Może trzymają się z dala od przedstawicieli władzy.

- Doprawdy dziwna grupa - zauważył Nicholas. - Antwerpski kupiec handlujący w Niderlandach to dżentelmen o pewnej pozycji, wytwórca świec stoi od niego niżej, a ubogi drukarz i doker to już biedota.

- Niektórzy radykałowie uważają, że podziały między ludźmi są niesłuszne - odparłem. - A wspólne spotkania to nie przestępstwo.

- Podobnie jak to, że jest się Holendrem czy szkockim wygnańcem - dodał Fletcher. - Szkoda, gdyż jedni i drudzy często bywają radykałami. - Westchnął, pokręcił głową na myśl o ograniczeniach, które

więzały mu ręce w pracy, po czym dorzucił: - Niemniej jednak ludzie biskupa w kwietniu przeszukali warsztat Greeninga...

- Nie wiedziałem o tym... - powiedziałem, pochylając się do przodu.

- Urządzili naloty na kilka drukarni w poszukiwaniu pamfletów Johna Bale'a, które pojawiły się w Londynie. Zostały wydrukowane gdzieś w mieście. Lecz nigdzie niczego nie znaleziono.

Jednakże jakimś sposobem do tej drukarni trafiło najniebezpieczniejsze dzieło w całym królestwie, pomyślałem.

- Co się według ciebie, panie, zdarzyło? - zapytałem.

- Greening najwyraźniej miał wrogów, którzy chcieli go zabić. Jednakże nikt nie wie, kto to jest.

Może jego morderstwo to skutek kłótni z inną grupą radykałów, ci ludzie często z drobnych powodów doktrynalnych przechodzą od wzajemnej miłości do nienawiści. Sądząc z opisu wszystkich włamywaczy, nie pochodzili oni stąd, ponieważ tu wszyscy się znają. Widzisz, panie, dlaczego śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Pokiwałem głową ze współczuciem.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym przesłuchać mistrza Okedene i jego pomocnika.

Oraz terminatora. Może także jego znajomych. I chętnie rozejrzę się po warsztacie mistrza Greeninga. Czy masz do niego klucz, panie?

Fletcher wyjął kluczyk z biurka.

- Założyłem nową kłódkę. Możesz na razie zatrzymać ten klucz, panie. Drukarnia znajduje się pod

Białym Lwem. Życzę ci powodzenia. - Wskazał porozkładane wszędzie papiery. - Jak widzisz, jestem zavalony obowiązkami, w tym roku muszę szukać nie tylko przestępców, lecz także heretyków, choć ostatnio polowania na nich ustały, - Spojrzał mi w oczy. - Widziałem cię wczoraj na egzekucji, byłeś konno, z przyjacielem, który wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

- Ja także cię widziałem, panie.

- Muszę wykonywać polecenia burmistrza - odparł obronnym tonem, chociaż na moment w jego oczach pojawił się strach.

- Rozumiem.

Popatrzył na mnie surowo.

- Masz mi, panie, donieść o wszystkim, co odkryjesz w tej sprawie, pamiętaj. Podlegam

koronerowi.

- Wszyściutko, niczego nie pominę — skłamałem gładko. - A przy okazji, co stało się z ciałem?

- Nie można było trzymać zwłok do przyjazdu rodziców z Chilterns, nie latem. Zostało pochowane we wspólnym grobie.

*

Z Ave Maria Lane udaliśmy się na Paternoster Row. Była to dłuższa i szersza uliczka stanowiąca ośrodek skromnego, acz wciąż rozwijającego się angielskiego drukarstwa. Tu także mieściło się kilka księgarni, niektóre z drukarniami na piętrze, a także mniejsze warsztaty drukarskie. Tak jak mówił Fletcher, niektóre były zwykłymi budami przylegającymi do większych budynków albo stojącymi na małych wydzierżawionych parcelach. Przyszło mi na myśl, że Greening brał udział w drukowaniu zakazanych dzieł Johna Bale'a, niegdyś ulubieńca lorda Cromwella, a teraz najbardziej znieawidzonego radykała, ukrywającego się na wygnaniu gdzieś we Flandrii.

- Co sądzisz o Fletcherze? - zapytałem Nicholasa.

- Był na egzekucji?

- Tak. Wypełniał swe obowiązki - dodałem ponuro.

- Wolałbym raczej umrzeć niż robić coś takiego.

Łatwo tak było mówić zamożnemu młodzieńcowi.

- Nie wydaje mi się, aby to sprawiało mu przyjemność - zauważyłem.

- Być może. Widziałem, że miał obgryzione do skóry paznokcie.

- Bystra uwaga. Nie zwróciłem na to uwagi. Spostrzegawczość to kluczowa sprawa w naszej profesji. Jeszcze zrobimy z ciebie prawnika-A co myślisz o samym morderstwie?

Nicholas pokręcił głową,

- Dwie napaści, jak powiedział Fletcher, świadczą, że Greening miał wrogów. Albo trzymał coś cennego w warsztacie. — Przyjrzałem mu się uważnie. Był stanowczo zbyt spostrzegawczy, abym mógł czuć się przy nim bezpiecznie. - Na przykład złoto, które złodzieje zabrali, zanim ich spłoszono - ciągnął Nicholas.

- Jeśli ktoś ma złoto, to je wydaje albo składa w bezpiecznym miejscu. Tylko skąpcy trzymają je w domu.

- Jak twój przyjaciel Bealknap, panie? Słyszałem, że jest jednym z nich.

- To żaden mój przyjaciel - uciąłem.

Nicholas się zaczerwienił i kontynuował z większą powściągliwością:

- Greening na takiego nie wygląda.

- Istotnie.

- Konstabl wydawał się przepracowany.

- Owszem. Pod wieloma względami Londyn jest miastem policyjnym. Konstable i Stróże zmagają się z przemocą i nieprzestrzeganiem godziny policyjnej. Jeśli jakaś karczma działa po godzinach, przemykają na to oko, dopóki właściciele nie pozwalają klientom wszczynać burd. - Spojrzałem na Nicholasa i uniosłem brwi. Ku memu niezadowoleniu jego bijatyka w karczmie stała się tematem plotek w całej Lincoln's Inn. Oblał się rumieńcem.

Kontynuowałem więc:

- Konstable pilnują, by obywatele przestrzegali praw o luksusie, sprawdzają, jakie stroje noszą ludzie o różnej pozycji, choć tolerują niewielkie odstępstwa. I nadzorują informatorów, którzy donoszą im o przestępstwach i religijnych wykroczeniach. Lecz kiedy przychodzi do wykrycia sprawcy morderstwa, drobiazgowego śledztwa, mają związane ręce, tak jak powiedział Fletcher.

- Przyznam, że nie bardzo wyznaję się na różnych grupach radykałów - powiedział Nicholas. - Sakramentarianie, lollardowie i anabaptyści, czym oni się różnią?

- To coś, co dobrze wiedzieć w Londynie. Jednakże przycisz głos — zwróciłem mu szeptem uwagę. - Głośne rozmowy na ten temat są niebezpieczne. Sakramentarianie głoszą, że chleb i wino bynajmniej nie zamieniają się podczas mszy w ciało i krew Chrystusa; twierdzą, że tak naprawdę to tylko pamiątka ofiary Syna Bożego. Według prawa wyrażenie tego poglądu stanowi herezję. W większości krajów europejskich takie spojrzenie na mszę jest czymś nowym, lecz w Anglii niejaki John Wycliffe już sto lat temu przedstawił podobne teorie. Ci, którzy za nim poszli, lollardowie, stali się ofiarami prześladowań, ale lollardyzm przetrwał tu i tam, w małych podziemnych grupach. Lollardowie, rzecz jasna, bardzo się ucieszyli, kiedy król zerwał z Rzymem. Anabaptyści zaś wywodzą się z jednej z sekt religijnych, które pojawiły się dwadzieścia lat temu w Niemczech. Wierzą, że należy powrócić do praktyk religijnych pierwszych chrześcijan, są także sakramentarianami, lecz ponadto uważają, że nie powinno się chrzcić ludzi jako dzieci, lecz dorosłych, którzy wiedzą już coś o Chrystusie. Stąd właśnie wywodzi się anabaptyzm. Jego wyznawcy, co najgroźniejsze, głoszą, jak pierwsi chrześcijanie, że powinno się znieść podziały społeczne między ludźmi i uczynić wszelkie dobra wspólną własnością

Nicholas się zdumiał.

- Lecz chyba pierwsi chrześcijanie tak nie uważali?

Pochyliłem głowę.

- Pismo Święte świadczy, że tak było.

Ściągnął brwi.

- Słyszałem, że anabaptyści opanowali w Niemczech całe miasto, wprowadzili w nim swoje zasady

i w końcu ulice spłynęły krwią. - Pokręcił głową. - Ludzie nie poradzą sobie bez władzy, dlatego Pan Bóg dał im książąt, by nimi zarządzili.

- Tak naprawdę anabaptyści zostali oblężeni w Münster i protestancki książę sprzymierzył się z katolikami, by odbić miasto. Wtedy doszło tam do rozlewu krwi. Chociaż słyszałem, że, owszem, rządy anabaptystów w mieście były okrutne. Później jednak większość z nich wyrzekła się przemocy. Zostali wypędzeni z Niemiec i Flandrii, niektórzy stamtąd przedostali się przez Morze Północne tutaj. Król kazał spalić wszystkich tych, których udało się złapać.

- Ale mogą też być inni?

- Tak się mówi. Jeśli są, działają w sekrecie, zmuszeni się ukrywać, tak jak niegdyś lollardowie.

Podejrzany jest każdy, kto nosi holenderskie nazwisko.

- Jak ten znajomy Greeninga, o którym wspomniał konstabl? Vandersteyn?

- Tak.

Nicholas ściągnął brwi.

- A zatem anabaptyści wyrzekli się przemocy, lecz nie poglądu, że należy obalić rządy?

- Podobno.

- Więc wciąż stanowią wielkie zagrożenie - zauważył z powagą.

- Przede wszystkim stanowią użyteczny straszak. - Spojrzałem na Nicholasa. — Cóż, widziałeś, jak zaczyna się śledztwo w sprawie morderstwa. Takie dochodzenie to niełatwa sprawa i nie jest bezpieczna.

Uśmiechnął się.

- Ja się tam nie boję.

Mruknałem:

- Strach pomaga zachować czujność. Pamiętaj o tym.

*

Wszystkie sklepy i drukarnie przy Paternoster Row miały na zewnątrz szyldy, na przykład z postacią anioła, złotą kulą czy czerwonym kogutem. Biały Lew, wymalowany niewprawnie na desce, wisiał na parterowym drewnianym budynku, który wyglądał tym biedniej, że stał obok okazałego domu, który musiał należeć do sąsiada, mistrza Okedene. Otworzyłem kluczem kłódkę, którą konstabl założył wraz ze skoblem na wyważonych drzwiach, i pchnąłem je. W bocznej ścianie znajdowało się drugie wejście, z kluczem w zamku, więc poprosiłem Nicholasa, by je otworzył. Wychodziły na porośniętą chwastami działkę. Rozejrzałem się po szopie. Pojedynczą izbę wypełniała duża prasa drukarska stojąca pośrodku na podnośniku; taca na papier była pusta. Do ścian przybito prymitywne półki, na których znajdowały się papier, farba drukarska i inne roztwory oraz pudła z różnymi typami czcionek. W powietrzu unosiła się ostra woń.

W jednym kącie leżał stos wydrukowanych kart, a inne wisiały na sznurach i schły. Spojrzałem na pierwszą stronicę: *Elementarz poprawnej francuszczyzny*. Zerknąłem na schnące karty: *Je suis un gentilhomme de l'Angleterre. J'habite à Londres...* Przypomniałem sobie szkolne czasy. Greening drukował podręczniki dla dzieci. W drugim rogu stała prycza z siennikiem, kocem i poduszką. Obok niej spoczywały nóż i talerz, a na nim chleb i ser, już spleśniałe. Ostatni posiłek drukarza.

- Nicholasie - odezwałem się. - Może pochyłisz się i zajrzysz pod prasę, by sprawdzić, czy nie ma żadnych czcionek w górnej tacy? Nie wiem, czy sam dałbym radę. - Jeśli na tacy coś było, pomyślałem, że każę ją chłopakowi wyjąć i sprawdzić, czy to podręcznik do nauki francuskiego czy też coś innego. Czy' to możliwe, by Greening zamierzał wydrukować *Lamentacje*?

Nicholas zgiął swe długie ciało i zajrzał pod prasę z gibkością, której mu pozazdrościłem.

- Nic ma żadnych czcionek na tacy, panie. Jest pusta.

- To dobrze - odparłem z ulgą.

Nicholas się wyprostował i rozejrzał.

- Co za nędzne miejsce. Żeby tu mieszkać i pracować w takim smrodzie!

- Wielu żyje w jeszcze gorszych warunkach. - Jednakże chłopak miał rację, człowieka, który prowadzi drukarnię, powinno być stać na dom. Chyba że interes Greeninga podupadał... Może nie był on dość bystry na ten fach z panującą w nim konkurencją. Lord Parr mówił, że rodzice drukarza byli biedni, skąd więc wziął kapitał, by kupić prasę i pozostały sprzęt, potrzebny do rozpoczęcia działalności? Dostrzegłem na podłodze przy łóżku ciemną plamę. Krew z rany na głowie w miejscu, gdzie upadł. Nieszczęsny człowiek, nic miał jeszcze trzydziestu lat, a teraz gnił we wspólnym grobie.

Przy łóżku stała prosta drewniana skrzynia. Nie była zamknięta na klucz i zawierała tylko dwa poplamione skórzane fartuchy, kilka koszul i kaftanów z taniego płótna oraz sfatygowany Nowy Testament. Żadnych zakazanych ksiąg. Greening musiał być ostrożny.

Nicholas pochylał się nad niewielkim stosem na wpół spalonego papieru, który leżał na podłodze.

- Tu podłożyli ogień - zauważył.

Podszedłem do niego.

- Pod półką z farbą drukarską. Gdyby nie Okedene, to miejsce spłonęłoby w jednej chwili. - Podniosłem jedną z nadpalonych kartek. *...le chat est un animal mechant...* - Strony z książki, którą drukował - wyjaśniłem.

Nicholas rozglądał się dalej.

- Co się z tym wszystkim stanie?

- Teraz należy to do rodziców. Pełnomocnictwo przedstawiciela pozwala mi wykonać w ich imieniu testament, Może ty i Barak moglibyście się tym zająć. Autor zapłacił Greeningowi za wydrukowanie książki i trzeba będzie oddać mu pieniądze. Materiały drukarskie pójdą na sprzedaż i zyski trafią do rodziców. Prasa drukarska musi być coś warta.

Spojrzałem na plik czystych kart leżący na półce. Nie było ich dużo, ale ponieważ niemal każdy papier w Anglii pochodził z importu, warto je było ukraść, podobnie jak czcionki. Jednakże nie uzasadniało to dwóch prób włamania, dokonanych przez oddzielne grupy.

Podszedłem do bocznych drzwi i wyjrzałem na zewnątrz, zadowolony, że mogę odetchnąć świeżym powietrzem. Mała połać zachwaszczonej ziemi kończyła się ceglany murem o wysokości siedmiu stóp. Pomyślałem, że muszę porozmawiać z mistrzem Okedene w cztery oczy, bez Nicholasa. Drukarnia była jedyną osobą spoza pałacu oprócz mnie, która wiedziała o *Lamentacjach*.

- Nicholasie! - zawołałem. - Idź i zobacz, co jest za murem.

Spełnił mą prośbę, podciągając się na mur bez żadnego wysiłku i spoglądając na drugą jego stronę.

- Ogród. W lepszym stanie niż ten tutaj.

- Przejdź tam i zobacz, dokąd uciekli ci dwaj ludzie po zabiciu Greeninga i czy zostawili jakieś ślady! Potem dołącz do mnie u pana Okedene.

Wyraźnie się zaniepokoił.

- A jeśli właściciele zobaczą, że zaglądam do ich ogrodu?

- Wymyśl jakąś wymówkę. — Uśmiechnąłem się. — Dobry prawnik ma głowę nie od parady.

Rozdział dziewiąty

Dom mistrza Okedene miał dwa piętra. Na parterze znajdowała się księgarnia, a na stole przed frontem leżały wystawione publikacje. Były bardzo zróżnicowane: od *The Castle of Health* (Bastion zdrowia) Elyota po książeczki na temat astrologii i ziół oraz klasykę łacińską. Znajdowały się tam także modlitewniki, te oficjalne, tomiki nie większe od ludzkiej dłoni, które można było nosić przy sobie. Z góry dochodził stukot, kiedy pod prasę z pokrytymi farbą czcionkami szły czyste karty, były przyciskane, a następnie wyjmowane, i proces rozpoczynał się od nowa. W progu stał starszy człowiek, który pilnował sklepu; żyłasty, z powykręcانymi palcami u rąk. Przyjrzał mi się nieufnie. Musiał widzieć, jak wcześniej wchodziliśmy z Nicholasem do drukarenki Greeninga.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Dobrego dnia, poczciwy człowieku. Jestem prawnikiem, reprezentuję rodziców świętej pamięci mistrza Greeninga.

Zdjął czapkę, spod której ukazała się łysa głowa.

- Niech Bóg ma w opiece jego duszę. - Kaszlnął chrapliwie.

- Dostałem upoważnienie od konstabla Fletchera, by zbadać tę sprawę. Czy to ty jesteś może pomocnikiem mistrza Okedene, który widział uciekających sprawców?

- To ja, panie - odpowiedział łagodniej. - John Huffkyn, do usług.

- Jestem komisarz Shardlake. Opowiesz mi, co tu się zdarzyło? Skinął głową, wyraźnie zadowolony, że może zrelacjonować historię ponownie.

- Był już późny wieczór, panie, i pomagałem mistrzowi Okedene przy prasie. Drukował księgę o wyprawach do Nowego Świata, z drzeworytami przedstawiającymi tamtejsze cudaczne zwierzęta. To duże zlecenie, pracowaliśmy aż do zachodu słońca. - Westchnął. - Teraz mistrz Okedene wziął do terminu tego wałkonia Eliasa, a ja mam pilnować sklepu za dnia. - Westchnął ponownie. - Od trzydziestu lat pracy w tym fachu mam powykręcane ręce. A w piersi...

- Tamtego wieczoru... - przerwałem mu, bo chciałem, by wrócił do tematu.

- Skończyliśmy pracę i właśnie wieszaliśmy wydrukowane stronicę, by wyschły. Okna były otwarte i od sąsiada dobiegły odgłosy zamieszania. Krzyki, a potem głośne wołanie o pomoc. Pan Okedene i ja spojrzeliśmy na siebie. Czasami słyhać było mistrza Greeninga, jak głośno rozprawiał ze znajomymi, ale te dźwięki wyraźnie świadczyły, że dzieje się coś złego. Zbiegliśmy po schodach. Pan pospieszył na pomoc, a ja zostałem w progu. Ze swoimi nieszczęsnymi członkami i chorą piersią na niewiele mogłem się przydać... - Sprawiał wrażenie zawstydzonego.

- Rozumiem - odparłem pocieszająco.

- Stąd wszystko widziałem. Mistrz Okedene wyważył drzwi, a stamtąd chwilę później wypadli dwaj ludzie. - Wskazał boczne drzwi warsztatu Greeninga. - Jak powiedziałem w sądzie, mieli po dwadzieścia kilka lat i byli ubrani w zgrzebne koszule. Wyglądali mi na włóczęgów, takich, co to nie mają pana. - Skrzywił się. - Obaj trzymali paskudnie wyglądające pałki. Byli szerocy w barach. Jeden, ten wysoki, chociaż młody, był prawie łysy. Drugi miał jasne włosy i dużą brodawkę na czole, wyraźne znamię, widoczne nawet w słabym świetle. Obaj nosili rozwichrzone brody.

- Dużo zauważyłeś.

- Przynajmniej wzrok mi jeszcze dopisuje. Chętnie pomogę ich zidentyfikować, bo powinni zawisnąć na stryczku. Mistrz Greening był dobrym sąsiadem. Wiem, że uchodził za radykała, ale należał do tych cichych, nie zaczepiał ludzi i nie prawił im kazań, narażając siebie i ich na niebezpieczeństwo. Nikomu nie robił krzywdy. To wiem na pewno - dodał, patrząc na mnie ostro.

- Nic złego o nim nie słyhałem.

Huffkyn ciągnął:

— Kiedy tamci uciekli, poszedłem do warsztatu, bo poczułem swąd. Mistrz Okedene gasił pożar,

sterta papieru na podłodze zajęła się ogniem, a obok leżał biedny mistrz Greening. Stanowił okropny widok rozbita głowa, krew i wypływający mózg. — Pokręcił głową.

— Dziękuję, Huffkyn. - Podniosłem sakiewkę i dałem mu czteropensówkę. — A teraz, jeśli łaska, chciałbym pomówić z twym panem. Czy mogę wejść do środka?

— Oczywiście. Pracuje z Eliasem na piętrze.

*

Przeszedłem przez sklep i ruszyłem na górę. Dobiegający stamtąd rytmiczny stukot stawał się coraz głośniejszy- Na pierwszym piętrze znajdowało się jedno pomieszczenie, większy odpowiednik drukarni Greeninga. Były tam regały z papierem i chemikaliami, stosy wydrukowanych kart na podłodze i szeregi innych wiszące na sznurach w całej izbie jak pranie w pogodny dzień. Mimo otwartych okiennic panowało tam gorąco i zapach starego kurzu, a ja natychmiast poczułem, że na czoło występuje mi pot.

Przy prasie pracowali dwaj mężczyźni. Obaj mieli na sobie brudne skórzane fartuchy. Wysoki, gładko ogolony, siwowłosy, przeszło pięćdziesięcioletni wykladał czysty papier na dolną tacę. Uchwyt wielkiej śruby nad górną tacą, gdzie znajdowały się pokryte farbą czcionki, trzymał wysoki, mocno umięśniony chłopak, mający około osiemnastu lat, o melancholijnym, dość tępym obliczu. Kiedy wszedłem, obaj się obejrżeli.

— Jestem komisarz Shardlake — powiedziałem spokojnie. — Przysłano mnie, bym zbadał sprawę morderstwa nieszczęsnego mistrza Greeninga.

Starszy mężczyzna skinął głową.

— Geoffrey Okedene — przedstawił się. — Dostałem wiadomość by spodziewać się ciebie, panie. Chodźmy do intrologatorni. Eliasio, będziemy na górze.

Chłopak po raz pierwszy spojrzał wprost na mnie. W jego brązowych oczach płonął gniew.

— To był akt podłości, bezbożnictwa! — odezwał się. — W dzisiejszych czasach dobrzy chrześcijanie nie mogą się czuć bezpieczni.

— Pamiętaj, gdzie jest twoje miejsce, chłopcze. - Okedene popatrzył na niego srogo, po czym zaprowadził mnie na ostatnie piętro. Siedziała tam przy siole kobieta w średnim wieku, która starannie wszywała wydrukowane karty w oprawę z grubego papieru.

- Mogłabyś, moja droga, pójść na kilka minut do kuchni? - zwrócił się do niej Okedene. - Muszę pomówić na osobności z tym przedstawicielem prawa. Chodzi o nowe zlecenie. I zanieś Eliasowi kufel piwa, dobrze?

- Właśnie słyszałam, jak go zganiłeś. Temu chłopakowi należą się baty za niewyparzony język.

- Jest silny i pracuje jak wół, to się liczy, moja droga. Bardzo przeżył stratę swego pana.

Pani Okedene wstała, dygnęła przede mną i wyszła. Drukarz zamknął za nią drzwi.

- Moja małżonka nic nie wie o tej sprawie - wyjaśnił cicho. -Przychodzisz, panie, od lorda Parra?

- Tak. Dobrze się spisałeś tamtego wieczoru.

Usiadł na rogu stołu, patrząc na swe spracowane dłonie. Miał miłą, uczciwą twarz, pobrużdżoną od trosk i znoju.

- Dostałem z pałacu wiadomość, że odwiedzi mnie prawnik. Kazano mi ją spalić i tak też zrobiłem.

- Wziął głęboki oddech. -Kiedy ujrzałem te słowa na karcie, którą ścisnął w dłoni Greening... nie jestem sakramentarianinem, lecz zawsze popierałem reformy, w swoim czasie pracowałem dla lorda Cromwella. Gdy zobaczyłem stronę tytułową tego dzieła, domyśliłem się, że stanowi ono osobiste wyznanie grzechów i historię dojścia do wiary, jakie piszą w dzisiejszych dniach radykałowie, i zrozumiałem, że może być niebezpieczne dla Jej Królewskiej Mości, którą wszyscy reformatorzy cenią za pobożność i dobroć.

- Jak się dostałeś do pałacu?

- Przy rej ulicy mieszka młody terminator, który uchodzi za zapalonego radykała. Jak inni tego rodzaju ludzie ma powiązania : radykałami wśród służących na dworze królewskim. Poszedłem do niego

i powiedziałem, że dowiedziałem się o czymś, o czym powinni wiedzieć doradcy królowej. Skierowałem mnie do służby w Whitehall i zostałem zaprowadzony przed oblicze samego lorda Parra. - Pokręcił głową ze zdumieniem.

- Czy ten chłopak przyjaźni się z Eliasem?

- Nie. Elias trzymał tylko z mistrzem Greeningiem i jego kręgiem. — Przesunął dłonią po czole. —

To przeżycie znaleźć się w pałacu.

Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

Owszem.

Popatrzył na mnie.

- Lecz trzeba czynić, co w ludzkiej mocy, by zachować czyste sumienie.

- Istotnie. Lord Parr jest ci bardzo wdzięczny. Prosił mnie, bym podjął w tej sprawie śledztwo, gdyż koroner niemal całkowicie je porzucił. Powiedziałem konstablowi i wszystkim innym, nie wyłączając mego własnego ucznia, któremu poleciłem przeszukać ogród za warsztatem Greeninga, że działam z upoważnienia rodziców ofiary. Pozwoliłem sobie zadać kilka pytań Huffkynowi i chciałbym jeszcze porozmawiać z Eliasem. Rozumiem, że udaremnił on wcześniejszą próbę włamania do warsztatu.

- Tak powiada, a jest prawdopodobny, jeśli nawet nieco krnąbrny.

- Nie wolno ci rozmawiać o tej księdze ani z nim, ani z nikim innym.

Pokiwał głową z przekonaniem.

- Na Boga, wiem, że ta sprawa wymaga wielkiej dyskrecji. Czasami chrześcijanin musi postępować nie tylko niewinnie jak gołąb, lecz także mądrze jak wąż, czyż nie?

- W tej sprawie z całą pewnością. A teraz opowiedz mi, co się zdarzyło tamtej nocy.

Okedene powtórzył to, co wcześniej opowiedział mi Huffkyn: o hałasie, który usłyszeli, i o tym, jak wybiegli z domu.

- Kiedy dopadłem warsztatu, usłyszałem, jak mistrz Greening woła do kogoś, by zostawił go w spokoju. Chyba z kimś walczył. Chciałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz, więc przyłożyłem się do nich ramieniem. Ustąpiły od razu.

- Zostały zamknięte od środka?

- Tak, mistrz Greening, jak ci wiadomo, mieszkał w swej drukarni i zamykał się w niej na noc.

Pewnie ci, którzy go napadli, zapukali i wdarli się do środka, kiedy im otworzył, a następnie zamknęli drzwi na klucz.

- Huffkyn podał mi ich opis.

- Tak, ja ledwie ich widziałem.

- Sprawia wrażenie bystrego staruszka.

- Niestety choruje na piersi jak wielu w naszym fachu. Po śmierci biednego Greeninga skorzystałem z okazji i wziąłem Eliasa do siebie, a Johna Huffkyna skierowałem do lżejszej roboty.

- To dobre rozwiązanie dla wszystkich.

- Mam taką nadzieję.

- Co zobaczyłeś po wejściu oprócz uciekających napastników?

- Od razu zauważyłem ogień. Musiałem go zagasić. - Spojrzał na mnie poważnie. - Pożar to nieustanne zmartwienie na tej ulicy, przy naszych zapasach papieru i materiałów drukarskich. Na szczęście tamta ryza dopiero się zajęła i mogłem zdusić ogień. Potem dostrzegłem na podłodze biednego Greeninga... - Wciągnął głęboko powietrze. - Mam nadzieję, że nie będę musiał nigdy więcej oglądać takiego widoku. A później moją uwagę przykuł strzęp karty, którą trzymał w dłoni... był to najlepszej jakości papier z dostępnych na rynku. Przeczytałem nagłówek i zrozumiałem, że to nie tylko sprawa morderstwa. Usłyszałem, że nadchodzi Huffkyn i schowałem kartę do kieszeni.

- Myślisz, że ci ludzie zabili go, zanim się pojawił?

Pokręcił głową.

- Kiedy zacząłem wyważać drzwi, wciąż dochodziły zza nich krzyki. Ale zaraz potem hałasy ustały i usłyszałem straszliwe łupnięcie... pewnie jeden z nich zdzielił Greeninga pałką i ten upadł.

- Wyrwali mu księgę - podjąłem. - Ale w jego ręce został fragment strony tytułowej.

Prawdopodobnie z pośpiechu tego nie zauważyli. Podłożyli ogień i uciekli.

- Tak to musiało wyglądać. - Okedene pokiwał głową ze smutkiem. - Tak się zastanawiam... może, gdybym nie wkroczył do środka, nie wpadliby w panikę i nie zabili go.

- Pewnie i tak by to zrobili, gdyby nie chciał im oddać księgi. Pokiwał głową z żalem.

- Jak długo znałeś Armistead Greeninga? - zapytałem.

- Wprowadził się na Paternoster Row pięć lat temu. Opowiadał, że pochodzi z Chilterns... mówił z typowym dla tych stron akcentem... i że chce zostać drukarzem. Podobno miał żonę, lecz zmarła w połogu, razem z dzieckiem, więc przyjechał do Londynu szukać szczęścia. Biedny młody człowiek, często miał smutek na twarzy. Działkę, na której stoi jego warsztat, wydzierżawił od Sądu Rewizyjnego... należała do małego klasztoru, którego ruiny stoją za szopą. - Uśmiechnął się gorzko. - To ironia losu, zważywszy na jego poglądy religijne. Zbudował ten warsztat z paroma przyjaciółmi. Pamiętam, byłem zadowolony, że miał w Londynie znajomych. Nie znałem go dobrze, był zamknięty w sobie, ale... słyszałem i widziałem różne rzeczy, zwłaszcza ostatnio. - Wyraźnie się zawahał.

- Nic, co mi powiesz, już mu nie zaszkodzi. Huffkyn też dawał mi coś do zrozumienia.

- Mogłoby jednak zaszkodzić Eliasowi. Gdyby dotarło do uszu Gardinera i jego ludzi.

- Jedynymi osobami, przed którymi odpowiadam, są lord Parr i królowa.

Otworzył szeroko oczy.

- Sama królowa?

- Owszem. Poznałem ją w czasach, kiedy była jeszcze lady Latimer - dodałem z nutą dumy w głosie.

- Greening miał bardzo radykalne poglądy. - Okedene popatrzył na mnie poważnie. - Należał do wiadomych kręgów.

Gwałtownie zaczerpnąłem powietrza. Tak określano dawniej bilardów, a obecnie anabaptystów. Okedene ciągnął:

- Możesz mi, panie, obiecać, że to, co ci wyjawię, nie przysporzy Eliasowi kłopotów? - Mówił cicho, z naciskiem, co znowu mi przypomniało, jak niebezpiecznie jest rozmawiać o religii.

Zastanowiłem się. Wiedziałem, że przynajmniej lord Parr mógłby okazać się bezwzględny w obronie królowej, gdyby uznał to za konieczne. A jakakolwiek wzmianka o anabaptyzmie byłaby jak wsadzenie kija w mrowisko. Odparłem więc:

- O tym, co mogłoby chłopakowi zaszkodzić, powiem tylko królowej, która słynie z lojalności i miłosierdzia.

Okedene wstał. Wyjrzał przez okno, spoglądając na warsztat Greeninga.

- Ściany tej budy są cienkie. Armistead przyjmował gości i przy jaciół, z którymi rozprawiał o religii. Zwłaszcza tego lata, kiedy wszyscy z powodu upału mieli otwarte okna, czasami słyszałem ich rozmowy... czy raczej spory, czasami zbyt głośne, by było to bezpieczne. Przeważnie dochodził do mnie tylko gwar głosów, od czasu do czasu jakieś zdanie, lecz już same słowa wystarczały, bym nadstawiał uszu. Stanowili dziwną grupę. Sześciu, czasami siedmiu, lecz trzech bywało tu regularnie... Szkot, Holender i Anglik, wszyscy znani jako miejscowi radykałowie.

- McKendrick, Vandersteyn i Curdy.

Okedene skinął głową.

- Pan Curdy musi być człowiekiem całkiem zamożnym. Greening powiedział mi kiedyś, że przysłał jednego ze swych pomocników, by pomógł mu w budowie warsztatu. Szkot także pomagał, pamiętam, że go widziałem. To wysoki, barczysty mężczyzna.

- Zatem Greening znał ich niemalże od przyjazdu do Londynu? A ty ich poznałeś?

- Tylko na tyle, by wymienić powitanie na ulicy. Trzymali tylko ze sobą. A Armistead Greening był

dla mnie jedynie sąsiadem i kolegą po fachu. Czasami rozmawialiśmy na ulicy o interesach, pożyczaliśmy sobie papier, jeśli któryś z nas dostał zlecenie, a zapasy mu się kończyły.

- O co spierali się mistrz Greening i jego znajomi? - zapytałem. - O sakramenty?

Ponownie się zawahał.

- Tak, i o to, czy ludziom pisane jest niebo albo piekło. Dobrze, panie Shardlake, że nie jestem katolikiem, a John Huffkyn nie wsadza nosa w nie swoje sprawy.

- Byli niefrasobliwi.

- Tego lata zdawali się szczególnie poruszeni. - Zacisnął usta. - Pewnego wieczoru słyszałem, jak kłócili się o to, czy ludzie powinni być chrzczeni dopiero jako dorośli i czy wszyscy ochrzczeni chrześcijanie są równi, czy mają prawo odbierać majątki bogaczom i dzielić je między siebie.

- Więc Armistead Greening mógł być anabaptystą?

Okedene pokręcił głową i zaczął krążyć tam i z powrotem.

- Na podstawie tego, co mówił on i jego przyjaciele, mniemam, że mieli odmienne poglądy. Wiesz, panie, że radykałowie różnią się między sobą tak samo jak ich oponenty.

- Owszem. - Ostatnie dziesięciolecie było burzliwym okresem, w którym ludzie zmieniali wiarę, przechodzili od katolicyzmu do luteranizmu, a potem do radykalizmu i odwrotnie. Lecz Greening i jego przyjaciele obracali się co najmniej na obrzeżach radykalizmu. Zaciekawilo mnie, gdzie oni są, McKendrick, Vandersteyn i Curdy. Czyżby się przyczaili?

Po chwili Okedene mówił dalej:

- Często się zastanawiałem, jak Greening wiąże koniec z końcem. Wiem, że czasami księgi, które drukował, nie sprzedawały się dobrze, a bywało, że w ogóle nie miał pracy. Kiedy indziej bywał bardzo zajęty. Przychodziło mi na myśl, że bierze udział w drukowaniu nielegalnych dzieł. Wiem, że kilka lat temu dostarczono mu stos ksiąg...

- Już wydrukowanych?

- Tak. Ale sprowadzonych z kontynentu, być może nielegalnie, do rozpowszechniania. Widziałem je u niego w warsztacie, kiedy zaszedłem, by spytać, czy nie chciałby odkupić ode mnie dodatkowych czcionek, które miałem. Jedno pudło było otwarte i zamknął je szybko.

- Ciekawe, co to były za księgi.

- Kto wie? Może dzieła Lutera albo tego Kalwina, który, jak powiadają, powoduje nowy zamęt w Europie, a może Johna Bale'a. - Przygryzł wargę. - Poprosił, bym nie mówił nikomu o tych księgach, i przysięgłem, że tego nie zrobię. Ale już nie żyje, więc nie ucierpi.

- Dziękuję, że mi zaufałeś, mistrzu - powiedziałem cicho.

Spojrzał na mnie z powagą.

- Gdybym o tym, co słyszałem, powiedział niewłaściwym ludziom, Armistead Greening i jego przyjaciele mogliby skończyć wczoraj na stosie razem z Anną Askew. - Skrzywił usta z niesmakiem. - To było podłe, obrzydliwe.

- Owszem. Ja także musiałem być tam obecny jako przedstawiciel mego stowarzyszenia prawniczego. To był niesłychany akt zła.

- Jest mi ciężko, panie. Sympatyzuję z reformatorami. Nie jestem sakramentarianinem, a już na pewno nie anabaptystą, lecz nie oddałbym sąsiadów w ręce ludzi Gardinera.

- Czy Elias należał do tej grupy radykałów? — zapytałem cicho.

- Tak, chyba tak. Tego lata nieraz słyszałem jego głos dobiegający z warsztatu mistrza Greeninga.

- Muszę go przesłuchać, ale będę ostrożny.

- Może i jest nieokrzesany, lecz był oddany swemu panu. Chce, by złapano zabójców.

- I ma ważny dowód. Rozumiem, że kilka dni wcześniej udaremnił pierwsze włamanie do warsztatu.

- Rzeczywiście. Był jego jedynym świadkiem. Wszczął alarm i wezwał na pomoc innych

terminatorów. - Urwał na chwilę. - Powiem ci, panie, jedną dziwną rzecz, bo nie sądzę, byś dowiedział się tego od Eliasa. Kilka dni przed śmiercią mistrza Greeninga on, jego przyjaciele i Elias zebrali się na jedno ze swych wieczornych spotkań. Spierali się wyjątkowo głośno. Ich okna były otwarte tak jak moje, i mógł ich usłyszeć przechodzący stróż. Choć tutaj nawet Stróżę należą do reformatorów.

Wiedziałem, że w londyńskich gminach coraz więcej ludzi skupia się w reformistycznych i tradycjonalistycznych kręgach.

- Czy wszyscy przy tej ulicy są nastawieni reformatorsko? Wiem, że tak jest z drukarzami.
- Owszem. Ale rozmowy, które tu słyszę, byłyby niebezpieczne w każdej dzielnicy. Byłem na nich zły, bo gdyby zostali aresztowani, mnie także wzięto by na przesłuchanie, a mam na utrzymaniu żonę i dzieci. - Głos mu nieznacznie zadrżał i uświadomiłem sobie, jak bardzo niepokoiły go beztroskie dysputy sąsiadów. - Wyszedłem z domu, zamierzając zapukać do ich drzwi i zwrócić im uwagę, że powinni mieć wzgląd na swoje i moje bezpieczeństwo. Kiedy się zbliżałem, usłyszałem charakterystyczną mowę Holendra, który mówił, że do Anglii przyjeżdża ktoś, kto jest przedstawicielem samego Antychrysta, i że zniszczy on królestwo, doprowadzając do upadku prawdziwą religię. Wymienili jego nazwisko, cudzoziemskie nazwisko. Nie jestem pewien, czy dobrze je zapamiętałem.

- Jak brzmiało?
- Dziurony Bertano czy jakoś tak.
- Z hiszpańska albo włoska.
- Tyle usłyszałem. Zapukałem do drzwi, powiedziałem, by rozmawiali ciszej i pozamykali okna, gdyż inaczej skończą w Tower. Nic nie odpowiedzieli, jednakże, dzięki Bogu, zamknęli okna i ściszyli głosy. - Spojrzał na mnie badawczo. - Mówię ci o tym, panie, tylko dlatego, że nad królową podobno zbierają się ciemne chmury.

- Jestem ci szczerze zobowiązany.
- Od początku jednak dziwi mnie jedno - dodał Okedene. - Po co radykałowie mieliby kraść dzieło królowej i narażać ją na niebezpieczeństwo?
- Mnie też to zastanawia.
- Z całą pewnością nigdy nie słyszałem, by o niej wspominali. Ale jak mówię, z wyjątkiem tamtego wieczoru, kiedy pochwyciłem nazwisko tego Bertana, docierały do mnie tylko pojedyncze słowa. - Westchnął. - Ale w tych czasach nigdzie nie jest bezpiecznie.

Z zewnątrz dobiegły odgłosy kroków. Okedene i ja spojrzeliśmy na siebie z lękiem. Drzwi się otworzyły i wszedł Nicholas, wyraźnie z siebie zadowolony.

- Nie umiesz pukać? - zapytałem gniewnie. - Mistrzu Okedene, to mój uczeń, Nicholas Overton. Przepraszam za jego maniery.

Nicholas wyglądał na urażonego. Skłonił się drukarzowi, po czym szybko zwrócił się w moją stronę.

- Przepraszam, panie, lecz znalazłem coś w ogrodzie.

Wolałbym, by nie mówił tego przy mistrzu Okedene, który ze względu na swe bezpieczeństwo powinien był wiedzieć jak najmniej.

- Przeszedłem przez mur. Ogród po jego drugiej stronie jest bardzo zarośnięty. Wysoka trawa i krzaki. Budynek popadł w ruinę. W czymś, co wygląda na dawny klasztor, mieszka tylko rodzina nędzarzy.

Okedene wyjaśnił:

- To był, chłopcze, klasztor Franciszkanów. Po rozwiązaniu zakonów regularnie rozbierano go na budulec, a nikt jak na razie nie kupił działki, na której stoi. W Londynie jest mnóstwo ziemi.

Nicholas relacjonował dalej:

- Zacząłem rozglądać się za ścieżką w tej wysokiej trawie. Ostatnio nie padało, a ja jestem dobrym tropicielem, nauczyłem się tego podczas polowań w moich stronach. Dostrzegłem ślad, zgniecioną trawę, jakby niedawno ktoś tamtędy biegł. A na krzaku jeżyny znalazłem to. - Wyjął z kieszeni kawałek koronki,

cienkie białe płótno z czarnym haftem, małe pętelkami i zawijasami. Strzępek pochodził z mankieta koszuli, na jaką stać było tylko panów. Wyglądał na całkiem nowy-Nicholas podjął z dumą: - Według mnie kiedy zabójcy przebiegali obok, jeden z nich zahaczył mankietem o cierń jeżyny.

Okedene przyjrzał się tkaninie.

- To piękna robota, batyst pierwszej jakości. Jednakże mylisz się, chłopcze, mój pomocnik dobrze widział napastników i twierdzi, że byli w łachmanach. Przez ogród musiał przechodzić ktoś inny, kto rozdarł mankieta koszuli.

Obróciłem w dłoni kawałek koronki.

- Lecz kto przechodziłby przez zarośnięty ogród w czymś takim?

Nicholas odparł:

- Może ci ludzie nie byli wcale biedni, lecz przebrali się w zgrzebne łachy, by nie zwracać na siebie uwagi?

- Matko Boska, Nicholasie, być może masz rację. - A ten, kto ukradł *Lamentacje*, miał dostęp do najwyższej postawionych osób na dworze, pomyślałem. - Nicholasie, czy rozmawiałeś z tą rodziną nędzarzy?

- Tak, panie. To para wieśniaków z Norfolk. Ich ziemię przyłączono do pastwiska dla owiec, więc ściągnęli do Londynu. Koczują w jedynym pomieszczeniu, w którym pozostał dach. Przestraszyli się mnie, bo myśleli, że ktoś kupił tę ziemię i przysłał prawnika, by ich z niej wyrzucić. — Gdy mówił o tych biedakach, w jego głosie wyraźnie słyhać było pogardę, aż Okedene z dezaprobatą ściągnął brwi. - Zapytałem, czy coś widzieli w wieczór morderstwa. Powiedzieli, że obudzili ich przebiegający przez ogród ludzie. Zobaczyli dwóch mężczyzn z pałkami; młodych i rośliwych, z których jeden był niemal łysy. Uciekli, wspinając się na mur po drugiej stronie ogrodu.

- Zatem John Huffkyn dobrze widział. - Okedene spojrział na skrawek koronki. — To mnie martwi, panie. Mistrza Greeninga mogli zabić ludzie o pewnej pozycji.

- Tak, rzeczywiście. Dobrze się spisałeś, Nicholasie. Proszę, mistrzu Okedene, zachowaj te informacje dla siebie.

Zaśmiał się gorzko.

- Przysięgam, i to chętnie.

Schowałem strzęp koronki do kieszeni i zaczerpnąłem głęboko powietrza.

- A teraz muszę porozmawiać z młodym Eliaszem.

Terminator podniósł głowę znad tacy z czcionkami, które właśnie pociągał farbą.

- Panie - zawrócił się do drukarza, kiedy weszliśmy. - Nie zdążymy...

- Mamy duże zamówienie - wyjaśnił Okedene. - Jednak, Eliasz, ci panowie badają sprawę morderstwa twego pana. Z upoważnienia jego rodziców. Musimy im pomóc.

Wyciągnąłem rękę.

- Jestem komisarz Shardlake z Lincoln's Inn.

- Elias Rooke. - Chłopak zmrużył oczy. — Mistrz Greening mówił mi, że jego rodzice to ubodzy ludzie. Jak może ich stać na wynajęcie prawnika?

Było to śmiałe pytanie jak na zwykłego terminatora.

- Eliasz - rzucił ostrzegawczo Okedene.

- Chcę tylko poznać prawdę, Eliasz - odparłem. - I jeśli zdołam, postawić przed sądem zabójców twego pana. Dlatego pragnę ci zadać kilka pytań.

Chłopak wciąż patrzył na mnie podejrzliwie. Odezwałem się zachęcająco:

- Rozumiem, że w wieczór zabójstwa byłeś w domu.

- Z matką i siostrami. I jeszcze zaszedł do nas sąsiad. Mówiłem już o tym w sądzie, na rozprawie.

- Owszem. Słyszałem też, że udaremniłeś wcześniejsze włamanie do warsztatu mistrza Greeninga.

- O tym też już opowiadałem. Któregoś ranka przyszedłem wcześniej do pracy... tyle było do

roboty... i zobaczyłem przed warsztatem dwóch mężczyzn, którzy próbowali otworzyć wytrychem zamek. Zachowywali się bardzo cicho, pewnie wiedzieli, że mistrz Greening był w środku.

- To nie byli ci sami, którzy napadli go później?

- Nie. Stary Huffkyn opisał tych dwóch, którzy zabili mojego biednego pana, jako potężnych i wysokich. Tamci wyglądali zupełnie inaczej. Jeden był niski i gruby, drugi chudy, z jasnymi włosami i połowy ucha. Wyglądało, jakby zostało ucięte mieczem, nie jak po przybiciu do pręgierza.

- Mieli przy sobie broń?

- Nosili sztylety przy pasie, jak większość mężczyzn.

- Jak byli ubrani?

- W stare skórzane fartuchy.

- Czyli biednie?

- Uhm. - Elias rozchmurzył się trochę, widząc, że nie pytam o nic nowego. - Ale w tych czasach, kiedy wszystko zagarniają bogaci ziemianie i szlachetnie urodzone obiboki, ludzi nie stać na wiele.

Na to odezwał się Nicholas:

- Nie bądź bezczelny wobec mego pana, chamie.

Podniosłem rękę. Gotów byłem znieść impertynencje młodego człowieka, jeśli dzięki temu mogłem się czegoś dowiedzieć. Poza tym dowiedziałem się właśnie, że ten chłopak miał radykalne poglądy.

- Kiedy była ta pierwsza próba włamania? - zapytałem. - Mówiono mi, że kilka dni wcześniej.

- Ponad tydzień. W poniedziałek, piątego.

Zmarszczyłem czoło, uświadamiając sobie, że było to parę dni przed kradzieżą *Lamentacji*. To nie miało sensu.

- Jesteś pewien, że wtedy?

Elias spojrział na mnie śmiało.

- To dzień urodzin mojej matki.

Pokiwałem głową.

- Co zrobiłeś, gdy zobaczyłeś tych mężczyzn?

- To, co zrobiłby każdy porządny terminator. Zawołałem: „Pałki!”, by zawiadomić innych chłopaków z ulicy, że są kłopoty. Kilku z nich wyszło na ulicę, choć nieprędko... było wcześniej, pewnie dopiero co się obudzili. Oni potwierdzą datę, jeśli mi, panie, nie wierzysz. Tamci dwaj już uciekli, wspięli się na mur za warsztatem mistrza Greeninga. Niektórzy z chłopaków pobiegli za nimi, lecz stracili ich z oczu. -Pomyślałem, że włamywacze musieli wcześniej obserwować drukarnię mistrza Greeninga, by wytyczyć najlepszą drogę ucieczki. - Ja zostałem i zacząłem walić do drzwi, by obudzić mego pana — dodał Elias.

- Jak zareagował, kiedy powiedziałeś mu o wszystkim?

- Był przerażony, a co myślisz, panie? - odparł krótko. Nicholas rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale on je zignorował.

- Czy twój pan domyślał się, kim mogą być ci ludzie?

- Uznał, że to zwykli złodzieje. Lecz musieli być powiązani z tymi, którzy przyszli później i go zabili. Czy mam rację? - zapytał. Usłyszałem lekkie drżenie w jego głosie. Pod pozorami hardości Elias musiał być poważnie wystraszony. Zastanowiło mnie, dlaczego Greening wpuścił zabójców do warsztatu po tym, jak tydzień wcześniej próbowali się do niego włamać inni. Może poczuł się uspokojony oglądając dwóch panów, z których jeden miał koronkową koszulę pod bezrękawnikiem, kiedy poprosili, by ich wpuścił? Ponownie spojrzałem na Eliasa. Byłem ciekaw, czy wie o księdze? Jeśli tak, groziło mu niebezpieczeństwo. Jednak on nie przyczał się, jak trzej cudzoziemscy przyjaciele Greeninga, tylko przyjął pracę w sąsiednim warsztacie. -Co wiesz o przyjaciółach swego pana? Nazywają się McKendrick, Vandersteyn i Curdy.

— Poznałem ich. - Zerknął na mnie spod zmrużonych powiek. - To porządni, uczciwi ludzie.

— Mogli wykazać, że nie było ich tu tamtej nocy - odrzekłem z uspokajającym uśmiechem. — A

kilka dni temu wszelki ślad po nich zaginął.

— Nie widziałem ich od śmierci mego pana.

— McKendrick to szkockie nazwisko - zauważył Nicholas ostro. - Niedawno prowadziliśmy ze Szkotami wojnę.

Elias popatrzył na niego ciężkim wzrokiem.

— Papiści wyrzucili pana McKendricka ze Szkocji za to, że nazwał, duszę papieża cuchnącą szmatą po niewieściej przypadłości miesięcznej. Bo nią jest.

Okedene warknął:

— Eliasia, nie pozwolę na taki język w moim warsztacie!

Podniosłem uspokajająco dłoń.

— Czy mistrz Greening utrzymywał stosunki z jakąś kobietą? Twój pan był jeszcze młodym mężczyzną.

— Nie. Odkąd zmarła jego nieszczęsna żona, poświęcił się pracy i służbie Bogu.

Właśnie się zastanawiałem, jak poruszyć kwestię religijnych dyskusji między Greeningiem a jego przyjaciółmi, gdy niespodziewanie Nicholas zapytał Eliasa:

— Co wiesz o Dziuronym Bertanie, o którym mój pan wspomniał na górze? Czy twój pan go znał?

Z twarzy Eliasa w jednej chwili zniknęła opryskliwość, a pojawił się wielki strach. Chłopak cofnął się o krok.

— Skąd znasz to nazwisko? — zapytał Nicholasa. Spojrzał na drukarza. - Panie, ci dwaj są szpiegami biskupa Gardinera! - Zanim ten zdążył odpowiedzieć, Elias, z twarzą poczerwieniałą ze strachu i gniewu, krzyknął na mnie: - Ty garbaty papisto...! - Po czym wymierzył mi cios w twarz, że aż się zachwiałem. Rzucił się na mnie i zrobiłby mi krzywdę, gdyby Nicholas nie chwycił go z tyłu za szyję i nie odciągnął. Chłopak się odwinął, chwycił Nicholasa i obaj, miotając się, upadli na podłogę. Nicholas sięgnął po miecz, lecz Elias odepchnął młodzieńca i wybiegł przez otwarte drzwi drukarni. Jego szybkie kroki zadudniły na schodach. Żona mistrza Okedene zawołała: - Eliasia!

Trzasnęły drzwi frontowe.

Nicholas natychmiast zerwał się na nogi i pobiegł za nim. Okedene i ja wyjrzelśmy przez okno i zobaczyliśmy, że mój uczeń stoi na zatłoczonej ulicy i rozgląda się w obie strony, lecz Elias już zniknął. Znał okoliczne uliczki i alejki jak własną kieszeń.

Okedene popatrzył na mnie ze zdumieniem i z przerażeniem jednocześnie.

- Dlaczego to nazwisko tak go przeraziło? Nigdy nie widziałem, by podobnie zareagował.

- Nie wiem - odrzekłem cicho, ocierając krew z policzka.

Nicholas wrócił na górę.

- Uciekł - oznajmił. - Jesteś ranny, panie?

- Nie.

Twarz mistrza Okedene pociemniała z gniewu.

- Elias był przerażony, wątpię, by wrócił. — Popatrzył na Nicholasa. - Teraz, w trakcie drukowania, będę musiał znaleźć nowego terminatora. A wszystko dlatego, że wymieniłeś to nazwisko. Panie Shardlake, wystarczy już tego. Nie chcę mieć z tą sprawą więcej do czynienia. Mam pracę, do tego muszę myśleć o żonie i dzieciach.

- Przykro mi, mistrzu Okedene.

- Mnie też. Przykro mi i jestem w strachu. - Ponownie, oddychając ciężko, wyjrzał przez okno. - A teraz idźcie już, panowie, proszę. I błagam, nie mieszajcie mnie do tego.

- Nie będę cię, mistrzu, więcej kłopotał. Ale jeśli Elias wróci, możesz mi przesłać wiadomość do Lincoln's Inn?

Okedene nie obejrzał się, lecz ze znużeniem pokiwał głową.

- Dziękuję - powtórzyłem - i przepraszam. - Zwróciłem się do Nicholas: - Chodź, ty... — warknąłem.

Szybko ruszyłem przed siebie Paternoster Row, Od uderzenia Eliasa piekła mnie twarz. Wiedziałem, że niebawem będę miał pięknego sińca.

- Powinniśmy pójść do konstabla - odezwał się Nicholas. - Terminator nie ma prawa uciec od swego pana, to przestępstwo...

- Jeszcze nie wiemy, czy uciekł - odparłem. Poza tym nie zamierzałem mieszać w to żadnych władz, w każdym razie bez konsultacji z lordem Parrem. Zatrzymałem się i odwróciłem do Nicholas. - Po co wspomniałeś tamto nazwisko? Coś ty sobie wyobrażał?

- Idąc na górę po schodach, usłyszałem, że wymieniacie je z mistrzem Okedene. Wydawało mi się ważne. Pomyślałem, że może dobrze będzie napędzić chłopakowi strachu, by skłonić go do mówienia.

- Czy nie widziałeś, że pod maską gburowatości był przerażony?

- Słyszałem tylko, że mówił do ciebie, panie, jak zuchwały terminator, który nie powinien tak się zwracać do kogoś o twej pozycji.

- Nicholasie, głowę masz nabitą poglądami o klasach i pozycji, i kiedy Elias cię zirytował, pomyślałeś, że pokażesz mu jego miejsce. A ja próbowałem go uspokoić, by zdobyć jego zaufanie. Znasz powiedzenie: „Nigdy nie dawaj narowistemu koniowi ostrogi, jeśli nie ma potrzeby”? Przez ciebie straciliśmy najważniejszego świadka.

Wyglądał na przybitego.

- Mówiłeś, panie, bym zadawał pytania.

- Po dogłębnym namyśle, A ty się wcale nie zastanowiłeś, zadziałałeś pod wpływem impulsu. To najgorsza rzecz, jaką może zrobić prawnik. - Dźgnąłem go palcem w dublet. - I więcej nie odgrywaj wobec mnie szlachetnego obrońcy.

- Przykro mi - odrzekł sztywno.

- Mnie też. Przykro również biednemu mistrzowi Okedene.

- Wygląda na to, że ta sprawa dotyka delikatnych kwestii religijnych - zauważył cicho.

- Tym bardziej więc należy postępować ostrożnie - burknąłem. - A teraz wracaj do Lincoln's Inn i spytaj Baraka, w czym trzeba mu pomóc. I nie mów ani słowem, gdzie byliśmy. Chyba zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest tu dyskrecja. Muszę cię teraz opuścić, bo mam inne ważne rzeczy na głowie.

Odwróciłem się i odszedłem w stronę rzeki, by popłynąć łodzią do pałacu Whitehall.

Rozdział dziesiąty

Udałem się w stronę schodów przy Thames Street. Na brzegu czekało wielu przewoźników, którzy wołali: „Na wschód!” albo „Na zachód!”, zależnie od tego, czy płynęli w górę czy w dół rzeki. Przywołałem jednego, który płynął w górę, i przybił do stopni.

Przepełniliśmy obok pałacu Whitehall, a wtedy poprosiłem przewoźnika, by zawiózł mnie nieco dalej do Westminster Stairs. Przy Whitehall Common Stairs służący wyładowywali z łodzi naręcza drewna opałowego, prawdopodobnie przeznaczonego do kuchni. Znowu przypomniałem sobie egzekucję z poprzedniego dnia i zadrzałem. Przewoźnik obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem. Opuściłem wzrok, patrząc na ręce mężczyzny, kiedy wiosłował. Był młody, lecz dłonie miał już stwardniałe, guzowate i powykęcane. Wiedziałem, że starsi przewoźnicy często cierpieli na bóle stawów. A wszystko dlatego, że całe dni wozili zamożnych ludzi tam, gdzie ci sobie życzyli.

Minęliśmy Kings Stairs, szerokie kryte przejście pomalowane na zielono i biało, wychodzące na pięćdziesiąt stóp w wodę i kończące się również krytym podestem, do którego przybijała królewska barka. Za nią ciągnęła się ceglana fasada pałacu, złota w późnopołudniowym słońcu, z wystającymi bastionami o wysokich przeszklonych oknach i nową siedzibą lady Marii na południowym krańcu, zasłoniętą jeszcze rusztowaniami. Zapłaciłem przewoźnikowi i ruszyłem w górę Whitehall Road, obok zachodniej ściany pałacu do strażnicy przy Great Gate. Zgrzałem się w todze, byłem brudny od pyłu, zmęczony i zaniepokojony.

Tym razem nikt po mnie nie wyszedł, lecz moje nazwisko widniało na liście i wartownik wpuścił mnie do środka. Przeszedłem pod bramą, przeciąłem dziedziniec i wszedłem po schodach do komnaty straży królewskiej; za każdym razem przepuszczano mnie dalej.

Wkroczyłem do komnaty audiencyjnej króla. Kiedy do niej wchodziłem, minął mnie idący szybkim krokiem służący, odziany na brązowo, niósł srebrny dzban z wodą i omal na mnie nie wpadł. Rozgrzałem się, czułem się dziwnie. Ten cały niesłychany przepych nie robił już na mnie takiego wrażenia, choć byłem świadom obecności żołnierzy królewskiej straży przybocznej pod ścianami, a ich strój był niezwykle bogaty. Jednakże byli to po prostu rośli mężczyźni z ciężkimi halabardami. Zobaczyłem tam już mniej młodych ludzi, którzy przyszli czekać na łut szczęścia, by się wybić. Mój wzrok znowu padł na portret królewskiej rodziny z kwadratową sylwetką monarchy, kontrastującą jaskrawo z groteskowo żalostną postacią, którą widziałem podczas pierwszej wizyty.

Dwaj młodzieńcy, być może przyszli dworzanie, siedzieli przy stoliku i rzucali srebrnymi kośćmi. Jeden nagle wstał i wrzasnął:

- Oszukujesz? Wyrzuciłeś piątkę już trzeci raz!

Drugi także się podniósł, odsuwając krótki hiszpański płaszcz, by podnieść ramię.

- Ty psie! Obrażasz mnie...

Natychmiast podeszli do nich dwaj strażnicy z Korpusu Honorowego i chwycili każdy jednego fircyka pod rękę.

- Zapominacie, gdzie jesteście, prostaki! Macie czelność wszczynać tu awanturę jak w zwykłej karczmie? Wynoście się stąd, już szambelan królewski się o tym dowie!

Obaj młodzieńcy zostali natychmiast odprowadzeni do drzwi na oczach wszystkich obecnych.

Na widok dwóch mężczyzn w czarnych szatach ze złotymi łań' cuchami, którzy nadeszli od strony schodów i zatrzymali się, patrząc na wyrzucanych młodzian, zaparło mi dech. Widziałem ich obu na egzekucji. Jednym z nich był główny sekretarz królewskiej Tajnej Rady, William Paget, spostrzegłem, że wyraźnie skrzywił się nad krzaczastą brązową brodą okalającą jego dziwne krzywe usta. Drugim -sir Richard Rich, w porównaniu z potężnie zbudowanym Pagetem szczupły, z ironicznym uśmiechem na pociągłej twarzy. Nie zauważyli mnie, szybko więc stanąłem pod drzwiami prowadzącymi do komnaty audiencyjnej królowej i szeptem podałem swe nazwisko strażnikowi. Kiedy otworzył drzwi, szybko

wślizgnąłem się do środka. Po drugiej stronie inny wartownik w liberii Jej Królewskiej Mości spojrzął na mnie badawczo.

- Komisarz Shardlake - rzuciłem bez tchu. - Do lorda Parra.

Stryj królowej czekał już na mnie w komnacie. Ktoś musiał go powiadomić, że idę. Wśród całego tego przepychu i obok bogato odzianych dworzan lord Parr wyglądał surowo w czarnej szacie, jedynie z barwną odznaką królowej na piersi oraz złotym łańcuchem na szyi.

- Przejdźmy do mego gabinetu, panie Shardlake — powiedział.

Podążyłem za nim przez kolejne drzwi. Stojący przy nich strażnik, który - choć młody — miał już w rudej brodzie pasma siwizny, spojrzął na mnie ze szczególną uwagą. Lord Parr powiódł mnie w głąb następnego korytarza, a nasze kroki stłumiła gruba trzciniowa mata, która pokrywała podłogę od ściany do ściany. Przez otwarte drzwi zobaczyłem komnatę audiencyjną królowej i samą Jej Królewską Mość, siedzącą przy oknie i zajęta wyszywaniem, dziś ubraną na czerwono. Towarzyszyła jej jedna z dam, którą widziałem poprzedniego dnia. Na podłodze obok przycupnął Gardiner, spaniel księżnej Suffolk, bawiąc się kością.

- Idziemy teraz do prywatnych komnat królowej - wyjaśnił lord Parr. - Tam znajduje się mój gabinet. Królowa lubi mieć mnie w pobliżu, odkąd wiosną wezwała mnie do Londynu. - Otworzył drzwi prowadzące do niewielkiego ciemnego pokoju, w którym stały pokryte papierami skrzynie i małe biurko z porządnie ułożonymi dokumentami.

- Proszę - powiedział, biorąc z krzesła piękną jedwabną togę prawniczą i podając mi ją. - Przebierz się w to. - Zauważyłem wyszyty z przodu, kolorowy symbol królowej. Zanim zajął miejsce za biurkiem, lord Parr podszedł do wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec okna i zamknął je. Potem dał mi znak, bym usiadł.

- W lecie wolę siedzieć przy otwartym oknie - zauważył z żalem. - Ale nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie podsłuchuje. — Westchnął. — Jak już pewnie zauważyłeś, na dworze królewskim panują strach i nienawiść, nie ma już dobrych stosunków. Nawet w rodzinach. Seymourowie kłócą się i skaczą sobie do oczu jak dzikie koty. Jedynie ród Parrów stanowi jedność. Jesteśmy wobec siebie lojalni. - Mówi! to z dumą. - Na tym polega nasza siła.

- Przebywasz tu od wiosny, Wasza Lordowska Mość? - ośmieliłem się zapytać.

- Tak. W ostatnich latach przekazałem swe obowiązki innym i mieszkałem w należących do mnie posiadłościach. Jestem już starym człowiekiem i nie zawsze dobrze się czuję. To nie to co kiedyś, gdy za młodu służyłem królowi. - Uśmiechnął się na tamto wspomnienie. - Tak jak mój brat, ojciec królowej, i jej matka, dworka Katarzyny Aragońskiej. Parrowie od długiego czasu należą do dworu. Matka królowej zmarła tuż przed burzą, jaką wywołał głośny rozwód króla. Cóż, przynajmniej nie była tego świadkiem. - Podniósł wzrok i spojrzął na mnie bystro spod siwych brwi. - Od tamtego czasu jestem opiekunem bratanicy, *in loco parentis*, i uczynię wszystko, by ją chronić. Kiedy poprosiła mnie, bym wrócił na dwór, uczyniłem to bez wahania.

- Rozumiem.

- Powiniennem cię zaprzysiąc. — Wyjął z szuflady biurka Pismo Święte i przysiągłem na nie, że będę lojalnie i wiernie służyć królowej. Lord Parr szorstko pokiwał głową, odłożył Biblię na miejsce i zapytał: - Cóż, i jakie wieści?

Wciągnąłem powietrze w płuca.

- Nie najlepsze, Wasza Lordowska Mość. — Opowiedziałem mu o pierwszym włamaniu do warsztatu Greeninga, zanim skradziono *Lamentacje*, o tym, że władze porzuciły już dochodzenie w sprawie morderstwa drukarza, że jego przyjaciele się przyczaili i mogą nawet być anabaptystami. Na końcu wspomniałem o ucieczce Eliasa. Wszystko to źle wróżyło i nie mogłem pominąć niefrasobliwości Nicholasa, jaką było nieopatrne nawiązanie do tajemniczego Bertana, choć podkreśliłem wagę znalezienia przez niego skrawka koronki od mankieta, którą przyniosłem z sobą i położyłem na stole.

Lord Parr dokładnie ją obejrzał.

- Piękna robota i droga. Charakterystyczny czarny haft, - Obrócił koronkę w dłoni. - Hafciarz królowej, pan Hal Gullym, przepracował całe życie w garderobie królewskiej w zamku Baynards i zna najlepszych koronkarzy w Londynie. Może uda mu się dowiedzieć, kto to wykonał.

- Na podstawie strzępu mankietu?

- Tej jakości? Bardzo prawdopodobne. - Zmarszczył brwi. - Tamten terminator jest pewny, że pierwszego włamania do Greeninga dokonano przed zniknięciem *Lamentacji*?

- Tak. Przykro mi, że uciekł. Kiedy padło nazwisko Bertano, wyraźnie się przeraził.

- Nigdy o takim człowieku nie słyszałem. Okedene twierdzi, że ten Bertano jako przedstawiciel

Antychrysta ma zniszczyć nasz kraj?

- Tak usłyszał. I moim zdaniem to porządny człowiek. - Dodałem z wahaniem: - Prosi, byśmy zostawili go już w spokoju, boi się o swą rodzinę.

- Jak my wszyscy - odparł szorstko lord Parr. - Od kradzieży księgi minęło jedenaście dni i wciąż nic nie wiadomo. Kto mógł ją wziąć?

- Na pewno nie żaden religijny radykał.

- Jednakże gdyby to zrobił papista, jej istnienie już wyszłoby na jaw i Bóg wie, jak to skończyłoby się dla mej bratanicy. Król nie toleruje żadnych przejawów nielojalności. - Przygryzł wargę.

- Powinniśmy znaleźć tego terminatora.

Spojrzał na mnie surowo.

- Trzeba było go nie zgubić.

- Moja wina, Wasza Lordowska Mość.

- A ci znajomi Greeninga? Ukryli się?

- Na to wygląda. Choć może tylko przycichli. Konstabl wie, gdzie mieszkają. Przez cały rok miał ich na oku jako potencjalnych sakramentarian.

Lord Parr z niezadowoleniem zmarszczył czoło, a na jego bladych policzkach wystąpiły rumieńce.

- Na miłość boską, ci skrajni radykałowie ze swymi szalonymi pomysłami tylko stanowią zagrożenie dla tych z nas, którzy dążymy do reform, wiedząc jednak, że musimy postępować z największą ostrożnością. Oni nie mają pojęcia, na czym polega prawdziwa polityka. Ten Bertano może w ogóle nie istnieje, a jest jedynie wytworem ich rozgorączkowanych umysłów! - Odetchnął głęboko, by się uspokoić, po czym dodał: - Musisz odszukać tych trzech przyjaciół Greeninga, porozmawiać z nimi, zorientować się, co wiedzą. Może ów terminator schronił się właśnie u nich. - Znowu ściągnął brwi. - I jeśli znowu weźmiesz z sobą swego ucznia, postaraj się, by trzymał język za zębami.

- Możesz być spokojny, Wasza Lordowska Mość, dopilnuję tego.

Pomyślałem, że polecenie lorda Parra oznacza jeszcze więcej pracy, i to wśród ludzi, którzy mogą okazać się niebezpieczni, jeśli uznają kogoś za wroga. Przypomniałem sobie także o tych wszystkich zadaniach, których nie mogłem powierzyć swym pracownikom, także o oględzinach malowidła w sprawie pani Slanning, i na chwilę ogarnęła mnie panika, poczułem, że chwieje się pode mną krzesło. Objąłem się rękami.

- O co chodzi? - ostro spytał lord Parr,

- Przepraszam, Wasza Lordowska Mość... mam za sobą pracowity dzień, a wczoraj byłem świadkiem egzekucji. Czasami, kiedy dopada mnie zmęczenie, dziwnie się czuję, mam wrażenie, że grunt usuwa mi się spod nóg...

Spodziewałem się, że wymierzy mi policzek za marudzenie, lecz - ku memu zdziwieniu - odezwał się cicho:

- Królowa mi mówiła, że znajdowałaś się na pokładzie *Mary Rose*, kiedy ta w zeszłym roku poszła pod wodę. To była wielka tragedia. Na dworze wciąż jednak nie wolno o tym rozmawiać, król czuł się bardzo upokorzony zatonięciem swego ulubionego okrętu.

- Straciłem bliskich przyjaciół i sam też o mało nie zginąłem. W chwilach napięcia... ale mniejsza o to, proszę o wybaczenie, Wasza Lordowska Mość.

Lord Parr mruknął:

- Ja też czasami źle się czuję. Od długiego czasu cierpię na gorączki, które stają się coraz częstsze. Czasami jestem taki zmęczony... -Wzruszył ramionami i uśmiechnął się powściągliwie. - Ale nie możemy się poddawać. Znasz, panie, dewizę królowej?

- Być pożytecznym we wszystkim, co robię.

- I tak samo jest z nami. Wiem, że to ciężkie brzemię, komisarzu Shardlake.

- Dziękuję, Wasza Lordowska Mość, ale czy to naprawdę rozsądne, bym odszukał tych mężczyzn i ich przesłuchał? Radykałowie do wszystkich odnoszą się podejrzliwie. Z pewnością uznają mnie, nie inaczej niż ów terminator, za wścibskiego prawnika, być może służącego jakiemuś panu, który wyrządzi im krzywdę.

Lord Parr uśmiechnął się cierpko.

- Rzeczywiście, ludzie odnoszą się podejrzliwie do przedstawicieli twego zawodu, myślą, że wszyscy prawnicy są sprzedajni.

- Może gdyby ktoś ich uprzedził, ktoś znany im jako sympatyk, że prawnik, który do nich przyjdzie, nie jest wrogiem...? Nie musiałby mówić nic więcej.

Starzec pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Masz rację. Pamiętasz młodego Williama Cecila?

- Oczywiście.

- Powiedzmy, że ma pewne... kontakty. To młodszy członek Uczonej Rady Jej Królewskiej Mości, lecz zwróciłem uwagę, że jest bystry i oddany sprawie reform. No, i ma osobiste ambicje, co też nie jest bez znaczenia. - Znowu uśmiechnął się ironicznie. - Zatem każę mu dotrzeć do tych ludzi i ich uspokoić, że nie masz złych zamiarów i interesuje cię tylko morderstwo Greeninga. Więcej pan Cecil wiedzieć nie musi. Rzecz jasna nie wie nic o *Lamentacjach*.

- To może nam pomóc w poszukiwaniach.

Lord Parr pogładził się po brodzie.

- Powiadasz, że Greening drukował tylko jakiś elementarz do nauki francuskiego, kiedy został zabity?

- Tak. Dokładnie przeszukałem drukarnię.

- Królowa, jak się domyślasz, nie ma powiązań z takimi warsztatami drukarskimi. Jej *Modlitwy i medytacje* poszły do królewskiego drukarza, Johna Bertheleta. - Pokręcił głową, a potem stanowczym ruchem ujął podłokietniki fotela. - A teraz - powiedział po chwili. -Chciałbym, byś przesłuchał pewnych służących.

- Dobrze, Wasza Lordowska Mość.

- Najpierw jednak spójrz na to.

Sięgnął między fałdy swej szaty i podniósł kluczyk na złotym łańcuszku. - Przekonałem bratanicę, by mi go powierzyła. To klucz do skrzyni, który nosiła na szyi.

Przyjrzałem mu się; miał kilka ząbków różnej wielkości.

- Nie wygląda mi na taki, który łatwo podrobić.

- W rzeczy samej. Samą skrzynię kazałem przenieść w bezpieczne miejsce, gdzie będziesz mógł ją obejrzeć. - Schował z powrotem klucz między fałdy. - Czy jesteś gotowy, panie, na rozmowę ze służącymi? -Rzucił mi ciężkie spojrzenie.

- Tak, Wasza Lordowska Mość. Wybacz mi, to była tylko chwilowa słabość.

- Doskonale. -- Spojrzał na kartkę, która leżała na biurku. - Sprawdziłem księgi i wiem już, kto był tego wieczoru na Królowa całe przedpołudnie przebywała w swej komnacie. Po lunchu udała się do sypialni, zajrzała do kufra, myśląc kolejny raz, że powinna pozbyć się swego dzieła, a potem przez

pewien czas uczyła się hiszpańskiego... chce rozszerzyć swą znajomość języków obcych, by służyć większą pomocą, w dyplomacji.

- Czy często bywa popołudniami sama?

- Nie. Lecz kiedy ma wolne popołudnie, istotnie korzysta z okazji, by przez jakiś czas cieszyć się samotnością— w takim miejscu o to niełatwo - dodał z przejęciem. - Później, o godzinie szóstej, została wezwana do króla i wróciła o dziesiątej. W tym czasie skradziono *Lamentacje*. Według strażników do prywatnych komnat królowej wchodzili wówczas tylko dwaj paziowie, których obowiązkiem jest sprzątanie pokojów i galerii królewskiej oraz karmienie Riga, jej spaniela, a także ptaków. Przesłuchasz, panie, jeszcze dwie kobiety które mają mniej lub bardziej swobodny dostęp do pokojów królowej: Mary Odell, damę dworu, która służy jej od lat, ścieli łoże i często sypia w jej komnacie, oraz Jane, karlicę, która służy również Marii. Jane brakuje piątej klepki. Tamtego wieczoru weszła do prywatnej komnaty Jej Królewskiej Mości, gdzie siedziało kilka dwórek i domagała się widzenia z królową, twierdząc, że ją rozbawi. Nie uwierzyła, kiedy dworki powiedziały jej, że moja bratanica jest u króla. Ponieważ potrafi zrobić awanturę, jeśli nie dopnie swego... zarówno królowa, jak i lady Maria zanadto jej pobłażają... strażnik wpuścił ją do prywatnych apartamentów królowej, by sama się przekonała. Wyszła po kilku minutach. I to wszystko.

- Z ilu pomieszczeń składają się prywatne apartamenty Jej Królewskiej Mości?

- Z łazienki, sypialni z kapliczką, gabinetu i jadalni. A dalej jest prywatna galeria królowej, którą często spaceruje. Osobiście przeszukałem każdy zakątek wszystkich tych pomieszczeń, na wypadek, gdyby księga została gdzieś w nich ukryta. I nic.

- Czy codziennie potrzebni są dwaj paziowie do sprzątanania?

Lord Parr zaśmiał się szyderczo.

- Oczywiście, że nie. Ale to siedziba królewska, a widok paziów na każdym kroku to świadectwo wysokiej pozycji królowej. Jest ich druga para, która przychodzi sprzątać z rana. Tylko król ma więcej paziów.

- A czy służba się zmienia?

- Tak. Zgodnie z planem. Rozumiem, do czego zmierzasz, panie. Czy inny służący mógł jakimś sposobem wcześniej odkryć istnienie księgi? Jeśli tak, nie zdołałby zorganizować kradzieży na ten dzień, gdyż nikt nie wiedział, że wieczorem król wezwie do siebie Jej Królewską Mość.

- Ale pewnie zdarza mu się to dość często?

- Nie co wieczór. A ostatnimi czasy wieczorami spotyka się z doradcami i ambasadorami.

- Zatem wygląda na to, że księga musiała zostać skradziona przez jednego ze służących, chyba że ktoś z zewnątrz zakradł się do galerii królowej.

- To niemożliwe. Strażnicy przy drzwiach prywatnej komnaty sprawdzają wszystkich, którzy wchodzą i wychodzą. To przeszkoda nie do pokonania.

Myślałem przez chwilę.

- A sami strażnicy? Czy można im ufać?

- Wszyscy są wybierani przez królową. Zmieniają się zgodnie z planem dyżurów, ale gdyby któryś z nich opuścił stanowisko, natychmiast zostałoby to zauważone. Choćby przez kandydatów na dworzan, którzy mogliby próbować dostać się tam, gdzie nie powinni. Nie, jedynymi osobami, które mogły wejść do pokojów królowej pod jej nieobecność, są dwaj paziowie, Mary Odell i Jane.

- Więc tylko cztery osoby.

- Wezwałem już obu chłopców i te dwie niewiasty. Chciałbym, abyś pod pretekstem szukania skradzionego pierścienia dowiedział się, co każde z nich robiło tamtego dnia. Przedstaw sprawę pierścienia jako wielkie zmartwienie królowej. Z Mary Odell możesz porozmawiać na osobności, ale Jane będziesz musiał przesłuchać w obecności królowej. Ona jest taka głupiutka, że będzie się bała, a może nawet zachowa się niegrzecznie. - Ściągnął brwi, najwyraźniej uważając ją tylko za utrapienie.

- Dobrze, Wasza Lordowska Mość.

- Mary Odell to jedna z czterech pokojowych. Zajmuje niższe stanowisko, ale jest szczególnie bliska królowej. To jej kuzynka, już raz została odprawiona. Na dworze królowej przebywa wielu spokrewnionych z nią Parrów, tak jak niegdyś było z Boleynami i Seymourami. Są na jej utrzymaniu i wszyscy właśnie jej zawdzięczają swe posady, więc można liczyć na ich lojalność. Jednakże Mary Odell jest nie tylko służką królowej, lecz także jej bliską przyjaciółką. Postępuj z nią delikatnie. A co do Jane... - Pochylił głowę. — Są dwa rodzaje błaznów: ci, którzy umieją robić z siebie głupców, jak trefniś króla. Will Somers, i prawdziwi głupcy jak Jane. Ta na wiele sobie pozwala. Ale ma swój rozum. - Lord Parr spojrział na mnie uważnie. - Nigdy nie wiadomo, czy głupcy są rzeczywiście tak głupi, jak się wydają - zakonkludował ponuro.

- I Jane zabawia także lady Marię? Podlega dwóm paniom?

- Zastanawiałem się nad tym. Minęło dziesięć lat, odkąd lady Maria przestała się buntować i uznała zwierzchnictwo króla nad Kościołem. Jest konserwatywna pod względem wiary, ale przestrzega królewskich zaleceń. Królowa czyniła wysiłki, by troje dzieci króla zbliżyło się do siebie, lecz chociaż Maria lubi małego Edwarda, nie przepada za lady Elżbietą. - Wzruszył ramionami. - To zrozumiałe, matka Elżbiety zastąpiła jej matkę. Królowa zrobiła wszystko, by zaprzyjaźnić się z Marią. Są mniej więcej w tym samym wieku i często przebywają razem.

- Lecz podobno Maria nie jest zwolenniczką reform.

- Uniknęła piętna spiskowcy. Jest bezpieczna. A teraz zostawię cię, panie. - Lord Parr wstał. - Każę przysłać paziów. Jak ci już mówiłem, jeśli przesłuchań zamiast mnie dokona ktoś z Uczonej Rady Jej Królewskiej Mości, nie wzbudzi to takiej uwagi. Wrócę później. Pierścień, który rzekomo zaginął, jest z czystego złota, z wielkim rubinem pośrodku i inicjałami nieżyjącej pasierbicy królowej, Małgorzaty Neville, po wewnętrznej stronie obrączki. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Bacz na pazia, Adriana Russella, potrafi być niesforny jak szczenię. Później pokażę ci skrzynię. A przy okazji, słyszałem dziś, że król w przyszłym miesiącu przenosi się do Hampton Court, gdzie wysłano już szczurołapów. Całe wyposażenie komnat królewskich zostanie tam przewiezione barkami. Powinieneś więc zobaczyć wszystko tak, jak jest, dopóki to jeszcze możliwe.

*

Strażnik wprowadził pierwszego pazią, chudego jasnowłosego chłopca, o wyniosłym sposobie bycia, w wieku około szesnastu lat. Miał na sobie czerwoną liberię królowej z jej odznaką na piersi i czarny beret, który zdjął po wejściu. Spojrzałem na niego surowo jak na wrogo nastawionego świadka w sądzie.

- Nazywasz się Adrian Russell?

- Tak, panie, z Kendalów. Mój ojciec jest dalekim krewnym Jej Królewskiej Mości i ma duży majątek w Cumberland - mówił z dumą.

- A ja jestem komisarz Shardlake, z jej Uczonej Rady, wyznaczony do zbadania sprawy rubinowego pierścienia, skradzionego ze skrzyni w sypialni królowej, Czy słyszałeś o tej kradzieży?

- Tak, panie.

- Zginął, kiedy królowa była u Jego Królewskiej Mości szóstego lipca między godziną szóstą a dziesiątą wieczorem. Tamtego wieczoru byłeś na służbie?

Russell spojrział na mnie śmiało.

- Tak, panie. Przyszliśmy z Garetem Lynleyem o szóstej, by wstawić nowe świece, posprzątać pokoje i wymienić wonne zioła. Ja wyszedłem o ósmej. Gareth jeszcze został, by zająć się sypialnią - dodał.

- Czy w ogóle wchodziłeś do sypialni królowej? - zapytałem ostro.

- Nie, panie, ale Gareth Lynley owszem. - Znowu pochwyciłem w jego głosie wyniosły ton. - Każdego wieczoru jest tam wpuszczany tylko jeden paź i wypadło na niego.

- Codziennie dwaj paziowie sprzątają pokoje, i to przez dwie godziny?

- Tak wynika z rozkładu zajęć. Zajmujemy się także galerią królowej, karmimy tam ptaki.

Nie podobał mi się ten hardy chłopak. Odezwałem się chłodno:

- Może nie zawsze trwa to aż tyle? Nie przysiadacie czasami, by odpocząć?

- Wszyscy służący tak robią, panie.

- A chłopcy lubią ruszać różne rzeczy. Jeden już kiedyś ukradł coś królowej, jeśli pamiętasz. Został skazany na stryczek.

Russell wytrzeszczył oczy. Wybuchnął:

- Panie, nie uczyniłbym nic takiego, nie posunąłbym się do kradzieży, przysięgam. Pochodzę z dobrej rodziny...

- Już mówiłeś. Czy widziałeś kogoś, kiedy tam byłeś? Zauważyłeś coś niezwykłego?

- Nie, panie.

- Zastanów się. Zastanów się dobrze. Może złodziej coś przestawił przesunął?

- Nie, panie. Przysięgam, powiedziałbym ci, gdybym zauważył coś dziwnego. - Młody Russell ścisnął nerwowo dłonie, cała jego młodzieńcza arogancja zniknęła. Nie wyobrażałem sobie, by ten żółtodziób mógł być zamieszany w kradzież księgi. Już delikatniejszym tonem poprosiłem, by opowiedział dokładnie, co robił, a potem pozwoliłem mu odejść. Z ulgą czmychnął z pokoju.

Drugi paż, Garet Lynley, był wyraźnie przestraszony; dostrzegłem to od razu. W tym samym wieku co Russell, był wysoki, szczupły i miał starannie utrefione długie ciemne włosy. Poprosiłem go, by usiadł, i zapytałem, co należy do jego obowiązków w sypialni królowej.

- Po wejściu wsadzam nowe świece do świeczników, nakrywam skrzynię czystą serwetą, wymieniam kwiaty i rozkładam w komnacie świeże zioła oraz płatki. Karmię Riga, psa Jej Królewskiej Mości, jeśli tam jest, ale tamtego wieczoru go nie było. Oczywiście, nie dotykam łoża królowej ani jej ubrań, to należy do pokojowych. Tamtego dnia wypadło chyba na Mary Odell.

Skinąłem głową.

- Kładziesz na kufer serwetę. Czy wiesz, że w środku są przechowywane kosztowności?

- Przysięgam, panie, że nigdy go nie tknąłem. Zresztą chyba jest zamknięty na klucz.

- Próbowaleś kiedyś to sprawdzić?

- Nigdy - odparł. - Jestem lojalny wobec Jej Królewskiej Mości... - mówił coraz głośniejszym głosem i znowu w jego głosie usłyszałem strach. Złagodziłem ton.

- Czy tamtego wieczoru zauważyłeś w pokoju coś niezwykłego? Może w związku z kufrem?

- Nie, panie. Zapadł już zmrok. Przyniosłem z sobą lampę- Zmarszczył czoło. - Jednakże gdyby z kufrem coś było nie tak, chyba bym to zauważył, w tamtym tygodniu codziennie kładłem na nim serwetę.

- Czy widziałeś kiedykolwiek skradziony pierścień?

- Nie. Podobno królowa czasami go nosiła, ale zawsze, kiedy przechodzi, kłaniam się nisko, więc nigdy nie miałem okazji go zobaczyć.

- Doskonale. - Wierzyłem mu, czułem jednak, że Garet Lynley boi się czegoś innego niż moje pytania. - Skąd pochodzisz, chłopcze? - zapytałem lekko. - Masz północny akcent.

To pytanie już całkiem wytrąciło go z równowagi, a odpowiadając, patrzył na mnie rozbieranym wzrokiem.

- Z Lancashire, panie. Moja matka była kiedyś dworką u Katarzyny Aragońskiej. To dzięki niej moja rodzina otrzymała swe obecne ziemie. Znała matkę obecnej królowej, starą lady Parr.

- A jak zdobyłeś tę posiadłość? Dzięki związkom rodzinnym z matką królowej?

- Tak, panie. Napisała ona do lorda Parra z pytaniem, czy nie znalazłoby się dla mnie miejsce na dworze. - Wyraźnie szybciej oddychał.

- Czy obydwójce twoi rodzice żyją?

- Ojciec już nie, panie. - Chłopak się zawahał. - Dziesięć lat temu po rebelii na północy został uwięziony w Tower i tam dokonał żywota.

To mi dało do myślenia: chłopak, którego matka służyła Katarzynie Aragońskiej, a ojciec brał udział w północnej rebelii...

- Zważywszy na dzieje twojej rodziny, ludzie mogą się zastanawiać, z kim sympatyzujesz - zauważyłem powoli.

Garet nagle całkowicie się załamał. Niemal osunął się z krzesła i ukląkł na podłodze, składając ręce.

- To nieprawda! Przysięgam, nie jestem papistą, sumiennie wypełniam nakazy króla. Wciąż wszystkim powtarzam, że gdyby tylko dali mi spokój...

- Wstań - powiedziałem łagodnie. Było mi przykro, że musiałem go tak upokorzyć. - Usiądź. A teraz posłuchaj, nic ci z mojej strony nie grozi. Kogo masz na myśli, mówiąc, że „wszystkim” powtarzasz?

Rozpaczliwie pokręcił głową. Po policzkach spływały mu łzy.

- Spokojnie. Jeśli nie uczyniłeś nic złego, nie spotka cię żadna krzywda. Jeśli zaś coś takiego uczyniłeś... i przyznasz się do tego... królowa okaże ci łaskę.

Chłopak westchnął przeciągle, z drżeniem.

- Jestem niewinny, panie. Ale jak mówisz, z powodu przeszłości mej rodziny ludzie myślą, że donoszę na reformatorów. Chociaż lord Parr i królowa wiedzą, że moi bliscy chcą tylko żyć w spokoju i wiernie służyć królowi. Jednakże od kiedy nastąpiłem do pałacu... - Zawahał się.

- Tak?

- Dwa razy nagabywał mnie pewien mężczyzna, który pytał, czy mógłbym obserwować, co się dzieje u królowej, i donosić na nią tym, którzy wyznają, jak powiedział, prawdziwą religię. Odmówiłem, przysięgam... - Patrzył na mnie żałośnie, z opuchniętą od płaczu twarzą, i uświadomiłem sobie, jak musi czuć się niewinny chłopiec w tym gnieździe żmij, choćby i pięknym.

- Czy zgłosiłeś to swym przełożonym? Lordowi Parrowi?

- Nie, panie, nie śmiałem. Ten człowiek... wzbudził we mnie strach.

- Kiedy to się wydarzyło?

- Pierwszy raz przyszedł do mnie jesienią. A drugi raz w kwietniu, kiedy zaczęło się polowanie na heretyków.

- Ten sam człowiek nachodził cię dwukrotnie?

- Tak, Nie znam go. Powiedziałem o tym innemu paziowi, a on odparł, że czasami się tak zdarza, gdy na dwór przychodzi ktoś nowy... nagabywania z jednej albo drugiej strony, i by ująć z tego cało, należy zawsze odmawiać. Nagabuje za każdym razem ktoś nieznan, służący któregoś z możnowładców, lecz spoza pałacu,

- Jak się ten człowiek nazywa?

- Nie przedstawił mi się. Pierwszy raz podszedł do mnie na ulicy. Drugi raz czekał pod gospodą, do której często zachodzę. W jego twarzy było coś, co budziło mój lęk. - Chłopak opuścił głowę, zawstydzony swą słabością.

- Czy możesz go opisać?

Garet spojrzał na mnie znowu. Zdał sobie sprawę, że ma do wyboru: wóz albo przewóz.

- Miał dwadzieścia kilka lat, był chudy, ale żyłasty i silny. Nosił się biednie, jednak mówił jak pan. Pamiętam, że nie miał połowy ucha, jakby ucięto mu je podczas walki. - Wzdrygnął się.

Człowiek z uciętym uchem, jak jeden z ludzi, których Elias spłoszył podczas pierwszego włamania do drukarni. Starłem się nie okazywać po sobie podekscytowania. Garet tymczasem ciągnął:

- Za każdym razem mówił, że jeśli zgodzę się donosić na królową; przysłużę się jednej z największych osobistości w królestwie, która mnie wynagrodzi i pomoże mi w karierze dworskiej.

- Z całą pewnością kusząca perspektywa - zauważyłem,

- Bynajmniej, - Garet z mocą pokręcił głową. - Teraz chcę tylko jak najszybciej stąd odejść.

- Słusznie postąpiłeś, mówiąc mi o tej sprawie - odparłem uspokajająco. - Nie masz się czego obawiać. Czy odmówiwszy temu człowiekowi po raz drugi, jeszcze go kiedyś widziałeś?

- Nigdy. Słyszałem, że tak to jest. Jeśli nie zdołają cię skaptować, dają za wygraną. Chciałbym wrócić już do domu, do rodziny - dodał cichym głosem. - Bez hańby.

- Myślę, że to da się załatwić.

Garet otarł satynowym rękawem twarz. Nie mogłem mu nie współczuć. Gdybym w jego wieku stanął w obliczu takiego zagrożenia, pewnie zachowałbym się podobnie. Kiedy zostałem sam w gabinecie lorda Parra, pomyślałem, że przynajmniej mam jakiś trop.

Rozdział jedenasty

Mary Odell okazała się trzydziestokilkuletnią, postawną pulchną kobietą, ubraną w czarną jedwabną suknię z odznaką królowej na czepku nasadzonym na jasne włosy. Miała miękkie rysy i coś matczynego w sobie, choć nie nosiła na palcu obrączki. Jej zielone oczy były żywe i czujne. Wstałem i skłoniłem się, zapraszając ją, by usiadła. Tak też zrobiła, składając dłonie na podołku i patrząc na mnie z ciekawością oraz - jak pomyślałem - pewnym rozbawieniem.

- Jestem komisarz Matthew Shardlake.

- Wiem, panie. Królowała mówiła mi o tobie. Uważa, że jesteś uczciwym i bardzo byстрыm człowiekiem.

Poczułem, że się rumienię.

- Przepraszam, że cię kłopotczę, pani, lecz muszę porozmawiać z każdym, kto przebywał w komnatach królowej tamtego wieczoru, kiedy skradziono pierścień.

- Oczywiście. Jej Królewska Mość prosiła mnie, bym ci pomogła.

- Lord Parr mówi, że od dawna jesteś, pani, pokojową i przyjaciółką królowej.

- Jesteśmy z sobą spokrewnione. Znam Jej Królewską Mość od czasów, kiedy jeszcze nie była monarchinią. - Mary Odell uśmiechnęła się lekko, z tą samą powściąganą wesołością, jaką często okazywała w lepszych czasach królowa. - Kiedy ktoś osiąga tak wysoką pozycję, przydają się ubodzy krewni. - Przerwała i po chwili ciągnęła już poważnym tonem: - Jednak jestem Jej Królewskiej Mości wdzięczna nie tylko za posadę. Zaszczyciła mnie swym zaufaniem oraz przyjaźnią, i szczerze mówię ci, panie, że oddałabym za nią życie. - Pani Odell zaczerpnęła głęboko powietrza. - Wiele mi mówiła o tym, co działo się w ostatnich miesiącach. O swych... troskach.

- Rozumiem. — Powiedziałem, ale pomyślałem, że na pewno nie wspomniała o *Lamentacjach*, bo to byłoby zbyt niebezpieczne.

Pani Odell popatrzyła na mnie zagadkowo.

- Królowa bardzo się przejęła stratą pierścienia. Kochała poczciwą Małgorzatę Neville i jest niezwykle poruszona kradzieżą tej pamiątki. - Nie miałem wątpliwości, że ta bystra kobieta domyśla się, że chodzi o coś więcej niż tylko skradziony klejnot. Lecz nie mogłem tego skomentować.

- Rozumiem, że tamtego wieczoru byłaś, pani, na służbie jako pokojowa. I że... proszę o wybaczenie... czasami dzielisz z królową łóżce.

- Tak, czasami. Dla towarzystwa, kiedy moja pani czuje się samotna albo przygnębiona.

- Czy możesz mi opowiedzieć, co się zdarzyło w wieczór kradzieży pierścienia, kiedy przyszłaś, by przygotować sypialnię królowej? Wszystko, co wydało ci się choćby w najmniejszym stopniu niezwykle, może okazać się pomocne.

Skinęła głową, wyraźnie zadowolona, że przeszedłem do rzeczy.

- Zajmuję dwa pokoje w budynku przy bramie. Tamtego wieczoru wyszłam stamtąd z dziesięć minut wcześniej, tuż przed dziewiątą, ponieważ byłam zmęczona, chciałam zrobić, co do mnie należy, i wyjść. Przecięłam dziedziniec, zmierzając w stronę komnat królewskich. Zwyczajowo pазie sprzątają pokoje, a potem wkraczam ja, by przygotować łóżce, sprawdzić, czy w sypialni panuje porządek, i wyłożyć koszulę nocną królowej oraz jej szcgotki do włosów.

- Lecz zawsze najpierw jeden z paziów sprząta sypialnię? - upewniłem się.

- Tak.

- Czy obaj są posłuszni? Chłopcy często lubią psocić.

- Raz czy dwa przyłapałam ich na tym, że grali w karty w galerii królowej, i zgłosiłam to ochmistrzowi, jednak na pewno nie śmieliby łobuzować na pokojach. Chłopcy będący na służbie tamtego wieczoru dobrze się spisali. Jeden ze strażników powiedział mi, że Jej Królewska Mość jest u króla. Czasami po powrocie od niego lubi ze mną porozmawiać, więc wychodząc, powiedziałam mu, że będę u

siebie, gdyby mnie potrzebowała. Muszę powiedzieć, komisarzu Shardlake, że to był całkiem zwyczajny wieczór. Nie zdarzyło się nic niezwykłego, nic nietypowego. Tyle że... - Zmarszczyła nos. — W sypialni unosił się lekko nieprzyjemny zapach. Tak słaby, że ledwie wyczuwalny.

- Jaki zapach?

- Za przeproszeniem, łajna. Pomyślałam, że doleciał znad rzeki, i zamknęłam okno. Obeszłam też z lampą pokój, lecz niczego niepokojącego nie zauważyłam. Jak powiedziałam, ta woń była bardzo słaba.

- I nie dostrzegłaś, pani, niczego dziwnego wokół skrzyni? Tam, gdzie trzymany był pierścień?

- Paź jak zwykle nakrył ją serwetą. Nic nie zwróciło mojej uwagi. - Urwała na chwilę. -

Chciałabym pomóc, panie, ze względu na królową. - Mówiła teraz z przejęciem. — Lecz nic dziwnego nie zobaczyłam.

- Czy zagłądałaś, pani, kiedyś do tej skrzyni?

- Kilka razy. Królowa zawsze nosiła na szyi kluczyk do skrzyni i czasami wyjmowała z niej przy mnie klejnoty albo niedokończony list. - W jej głosie pojawił się smutek. - Ale w ostatnich miesiącach tego nie robiła. Jakby nie chciała, bym tam zagłądała.

Musiałem zmienić taktykę, nawet gdyby oznaczało to kłamstwo.

- Czasami, gdy ludzie przez jakiś czas żyją w napięciu, tak jak podobno królowa, jakiś drobiazg, choćby strata pamiętki po kimś bliskim, może przepełnić czarę goryczy.

Pokiwała głową.

- To prawda. - Jednakże spojrzała na mnie bystro.

- Jesteś więc, pani, pewna, że tamtego wieczoru nie zdarzyło się nic niezwykłego.

Zastanowiła się, a potem odparła:

- Oprócz tego zapachu, który szybko zniknął, zauważyłam tytko jedną dziwną rzecz, tak drobną, że waham się, czy o niej wspominać.

- Jaka rzecz? - Pochyliłem się nad biurkiem lorda Parni. - Wszystko może okazać się pomocne.

- Powiedziałam ci, panie, że do komnat królowej szłam ze swej kwatery. Widziałeś, ile strzeżonych drzwi trzeba pokonać, by się tu dostać... wejście do komnaty straży, komnaty audiencyjnej, prywatnej komnaty, prywatnych apartamentów. Jeśli pełnię akurat służbę, moje nazwisko zawsze widnieje na liście wpuszczanych. Czasami nowy strażnik pyta, kim jestem, sprawdza, czy ma mnie na liście, a następnie zaznacza, że zostałam wpuszczona. Nie narzekam, to ich obowiązek. Lecz w apartamentach królowej znają mnie prawie wszyscy strażnicy i gdy wchodzę, tylko odznaczają moje nazwisko. Tamtego wieczoru straż przy wejściu do prywatnych pokojów pełnił człowiek, którego często widywałam na służbie, Zachary Gawger. Ku memu zaskoczeniu zatrzymał mnie i zaczął marudzić, że nie widzi mego nazwiska na liście. Powiedziałam mu, by nie robił z siebie głupca, ale w końcu, kiedy drugi raz sprawdził listę, przepuścił mnie dalej. Mówił jednak głośno, niegrzecznym tonem, a nie powinien zwracać się tak do kogoś o mojej pozycji - oburzyła się nieco. - Pomyślałam, że może jest pijany, lecz nie załatywało od niego alkoholem, zresztą kapitan straży zawsze sprawdza, czy jego podwładni są trzeźwi i mają broń, zanim dopuści ich do służby.

- To niewątpliwie wydaje się dziwne - przyznałem. - Pomówię o tym z lordem Parrem. - Wstałem i skłoniłem się. — Dziękuję, pani, że poświęciłaś mi swój czas.

Pani Odell również się podniosła.

- Proszono mnie, bym zaprowadziła cię, panie, do prywatnej kaplicy Jej Królewskiej Mości, która cię tam przyjmie. Rozumiem, że chcesz także porozmawiać z Jane.

- Owszem.

Znowu cię uśmiechu, jak u królowej Katarzyny.

- Życzę ci powodzenia, panie.

Otworzyła drzwi i wyszedłem za nią z gabinetu.

Ruszyliśmy korytarzem. W powietrzu unosił się silny zapach róż i lawendy, którego źródłem były płatki i gałązki leżące wzdłuż wyłożonych boazerią ścian. Przez otwarte drzwi na końcu przejścia dostrzegłem bardzo długą pomalowaną na kolorowo galerię z wysokimi oknami i pięknie śpiewającymi ptakami w klatce. To galeria królowej, domyśliłem się.

Mary Odell zapukała do bocznych drzwi i - mimo że nie otrzymała odpowiedzi - dała mi znak, bym wszedł do środka. Znalazłem się w prywatnej kaplicy, pokoju do modlitwy. Jej wystrój był nader konwencjonalny - bogato malowane ściany, jak wszędzie indziej w pałacu, z ołtarzem pokrytym haftowaną białą serwetą i płonącymi w niszach świecami. Królowa zadbała o to, by to pomieszczenie nie zdradzało jej reformatorskich poglądów, co mogłoby być wykorzystane przeciwko niej.

Mary Odell odwróciła się w progu.

- Królowa i Jane niebawem przyjdą.

- Dziękuję ci, pani.

Nagle uśmiechnęła się do mnie ujmująco.

- Wiem, że uczynisz wszystko, by pomóc królowej. Oby Bóg wspomógł twe wysiłki, i to szybko, komisarzu Shardlake.

- Dziękuję.

Wyszła, szeleszcząc jedwabną spódnicą, i zostałem sam. Z daleka dobiegał gwar głosów, zwykły pałacowy zgiełk. Pomyślałem, że przynajmniej uzyskałem użyteczne informacje. Mężczyzna z uciętym uchem, który brał udział w pierwszym włamaniu do warsztatu Greeninga, musiał mieć powiązania z kimś wysoko postawionym. Uznałem, że należy także sprawdzić dziwny incydent Mary Odell ze strażnikiem oraz zastanowić się nad sprawą dziwnego zapachu w sypialni. Teraz jednak miałem ponownie spotkać się z królową. Spojrzałem na jedną z płonących w kaplicy czerwonych świec i przez moment poczułem zadowolenie.

Mata z sitowia wyściełająca podłogę była tak gruba, że nie usłyszałem zbliżających się kroków, i drgnąłem, kiedy otworzyły się drzwi. Weszły cztery niewiasty, lecz nie było wśród nich królowej Katarzyny: dwie młode, ubrane w strojne suknie z długimi rękawami, i dwie starsze, które, jak uświadomiłem sobie ze strachem, widziałem na wielkim portrecie królewskim. Jedną z nich była lady Maria, a za nią w progu stanęła druga, bardzo niska, o okrągłej twarzy. Ta drobna, którą musiała być, jak sobie uświadomiłem, Jane, przyprowadziła, nie wiedzieć po co, tłustą białą kaczkę w skórzanym kołnierzu, idącą na smyczy.

Jane odróżniała się od pozostałej trójki ze względu na dość skromny strój, choć jej szara suknia z wysokim kołnierzem i biała peruka byty wykonane z najlepszych materiałów. Rozejrzała się po kaplicy, a następnie spojrzała na mnie. Jej niebieskie oczy miały pusty, przestraszony wyraz. Stojąca obok niej, nieco wyższa, okazała ubrana i roztaczająca wokół siebie królewską aurę lady Maria przyjrzała mi się uważnie. Z mocno bijącym sercem skłoniłem się niemal do podłogi.

- Podnieś się, panie prawniku. - Głos lady Marii był dźwięczny, zaskakująco głęboki.

Spojrzałem na najstarsze dziecko króla. Wiedziałem, że córka Katarzyny Aragońskiej jest znacznie starsza od lady Elżbiety i księcia Edwarda, mocno po dwudziestce, jednak ze swą pociągłą, wąską twarzą sprawiała wrażenie starszej. Miała kasztanowate włosy, nosiła owalny francuski kaptur wysadzany brylantami i zieloną suknię z naszytymi granatami, w popularny deseń, jednakże stanowiący symbol jej dawno zmarłej, odrzuconej matki.

- Wasza Książęca Wysokość wybaczy - odezwałem się. - Nie wiedziałem...

Skinęła głową i uśmiechnęła się miło, choć jej ciemne oczy pozostały chłodne i czujne. Wywarła na mnie wrażenie kogoś, kto mimo pozornego spokoju zachowuje ostrożność przez całe życie. Machnęła ręką.

- Spodziewałeś się królowej, wiem. Lecz mój ojciec wezwał ją do siebie, by posiedziała przy nim trochę. Jane była ze mną, kiedy przyszła po nią Mary Odell, więc powiedziałam, że będę jej towarzyszyć

w zastępstwie królowej. - Spojrzała na mnie pytająco. - Zostałeś, jak się zdaje, poproszony o zbadanie sprawy skradzionego pierścienia Jej Królewskiej Mości.

- Tak jest, Wasza Księżęca Wysokość. Przez lorda Parra.

Maria jakby wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Coś doszło do moich uszu. Lecz ostatnio byłam bardzo zajęta doglądaniem budowy mej nowej siedziby. — W jej głosie pojawiła się nuta dumy. - Jak widzisz, dla przyzwoitości przyprowadziłam z sobą dwie damy dwory. - Nie przedstawiła ich, lecz dalej mówiła do mnie: - Dziwi mnie, że biedna Jane ma być przesłuchiwana. - Spojrzała z sympatią na niską kobietę, która patrzyła na nią prosząco i teraz odezwała się piskliwym głosem:

- Nic złego nie zrobiłam, jaśnie pani.

Byłem ciekaw, czy Jane jest naprawdę upośledzona i zalękniona, czy tylko udaje. Nie mogłem jednoznacznie orzec. W jej okrągłej jak księżyc twarzy było coś dziwnie nieprzeniknionego - albo jej umysł pracował inaczej, albo była zdolną aktorką - a być może i jedno, i drugie.

- Królowa życzyła sobie tego, gdyż Jane - powiedziałem, bo wyglądało na to, że mówiło się o niej po imieniu - należała do czwórki osób, które w wieczór kradzieży pierścienia wchodziły do jej sypialni. Nie jesteś o nic podejrzewana - zwróciłem się do samej Jane uspokajająco. - Chodzi o to, czy widziałas coś dziwnego albo zwróciłaś na coś uwagę...

Lady Maria przerwała mi nagle ostrym głosem:

- Proszę, byś zadawał jej wszystkie pytania za moim pośrednictwem, jak na pewno życzyłaby sobie królowa. Nie pozwolę, byś ją wystraszył. — Lekko ściągnęła brwi, a za jej przykładem natychmiast poszły obie damy dworu. Kaczka szarpnęła się na uwięzi, zainteresowana ziołami w kącie.

- Więc proszę ją zapytać, Wasza Księżęca Wysokość, co robiła i co widziała szóstego lipca od chwili, kiedy weszła do prywatnych komnat królowej.

- No, Jane - lady Maria zwróciła się do niej zachęcająco - czy coś pamiętasz?

Karlica rzuciła mi szybkie spojrzenie, po czym odpowiedziała swej pani:

- Chciałam pokazać Jej Królewskiej Mości nową sztuczkę, której nauczyłam Kaczuszkę... szukania ukrytych przeze mnie ziół. Lecz damy w prywatnej komnacie nie chciały wpuścić mnie dalej, powiedziały, że królowej nie ma. - Ku memu zaskoczeniu, Jane tupnęła nogą jak dziecko i podniosła głos. - Często nie pozwalają mi do niej wejść, choć ja jedna potrafię odwrócić jej uwagę, kiedy jest smutna. A ostatnio często bywa smutna...

Maria podniosła rękę i karlica od razu zamilkła.

- Owszem - odparła sucho. - Masz rację. A teraz jeszcze ta afera z zaginionym pierścieniem. - Pomyślałem, że chociaż królowa stara się pogodzić dzieci króla i samej nawiązać z nimi dobre stosunki, z Marią najwyraźniej jej nie wychodzi.

- Ma on wielką wartość sentymentalną - mruknąłem. - Wasza Księżęca Wysokość, jeśli Jane mogłaby powiedzieć, gdzie się udała później...

Maria znowu spojrzała na karlicę. Zapytała ją cierpliwie:

- Czy weszłaś dalej, zostawiwszy damy dworu w prywatnej komnacie? Widziałas coś dziwnego?

- Zajrzałam do wszystkich prywatnych pokojów, szukając królowej - odparła Jane. - A kiedy się przekonałam, że rzeczywiście jej nie ma, wróciłam do prywatnej komnaty. Nikogo tam nie było, pażowie wyszli, a Mary Odell jeszcze się nie zjawiała.

- Więc wszystko w porządku - skwitowała ostatecznie Maria i Jane rzuciła mi szybkie triumfalne spojrzenie.

Ja jednak nie dawałem za wygraną:

- Czy zauważyłaś coś niezwykłego w sypialni? Wokół skrzyni królowej, w której trzymała pierścień i inne kosztowności?

- Nie. Nic — odrzekła pospiesznie Jane, zbyt pospiesznie, co nie uszło mej uwagi. — Jej

Królewska Mość nigdy nie pozwala mi się zbliżyć do tego kufra. Jaśnie pani, ten garbus mnie przeraża. - Kłamiesz, pomyślałem, a po minie lady Marii zorientowałem się, że i ona doszła do takiego wniosku.

- Królowa byłaby wdzięczna za wszelkie informacje - ośmieliłem się dodać.

Lady Maria popatrzyła na karlicę.

- Nie bój się, moja droga. Wiesz, że widzę, kiedy udajesz. Powiedz temu dżentelmenowi wszystko, co ci wiadomo, a daję słowo, że nic ci się nie stanie.

Jane była już cała czerwona. Jak dziecko wydeła usta i wsadziła palec do buzi.

- Jane... - W głosie lady Marii pojawiła się surowość.

- To niegrzeczne, paskudne - wypaliła tamta.

- Co takiego?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wreszcie Jane powiedziała:

- Kiedy weszłam do sypialni, by sprawdzić, czy nie ma tam królowej...

Pochyliłem się do przodu. Lady Maria rzekła zachęcająco:

- Tak...?

- Miałam z sobą Kaczuszkę i...

- Tak...?

- Ona zesrała się na podłogę.

To nie było to, na co liczyłem. A więc przyczyna smrodu została wyjaśniona.

- Został mały ślad na macie - kontynuowała Jane. - Przestraszyłam się, że odźwierni odeślą Kaczuszkę. Wzięłam szmatkę i zabrałam się do czyszczenia, używając wody różanej z misy. Zapach ziół w pokoju był taki silny, że wydawało mi się, iż nikt nie zauważy smrodu. Potem szybko wyszłam i nikomu nic nie powiedziałam. - Nagle szarpnęła smycz, pociągając kaczkę z taką siłą, że mogła skrócić jej szyję, a zaraz potem pochyliła się i przycisnęła ją do siebie. Patrzyłem na to z przestachem. - Nie pozwól, jaśnie pani, by ten garbus się wygadał, błagam cię. Kocham Kaczuszkę.

- Nikt cię nie zdradzi, Jane - obiecała lady Maria. Później spojrzała na mnie. Zauważyłem, że lekko drgają jej kąciki ust, i zrozumiałem, że ma w sobie coś, czego bym się po niej nie spodziewał: poczucie humoru.

- Czy jesteś już zadowolony, panie? — zapytała.

- Oczywiście, Wasza Książęca Wysokość.

- Możesz donieść lordowi Parrowi o niestosownym zachowaniu kaczkę - rzekła z powagą. - Lecz tylko pod warunkiem, że Jane nie będzie musiała się z nią rozstać. Myślę, że królowa by na to przystała.

- Oczywiście, Wasza Książęca Wysokość.

- A teraz zostawimy cię, panie, byś zajął się swymi sprawami.

Jedna z dworek pomogła karlicy wstać, druga zaś otworzyła drzwi przed lady Marią. Skłoniłem się ponownie. Kobiety wyszły, a kaczkę poczłapała za nimi na swych żółtych błoniastych łapach. Kiedy się wyprostowałem, lady Maria odwróciła się, spojrzała na mnie i posłała mi ironiczny uśmiezek. Drzwi się zamknęły. Stałem w miejscu, poruszony niespodziewanym, zabawnym obrotem spraw. Czy rzeczywiście zabawnym? Mimowolnie zacząłem się zastanawiać, czy nie stałem się ofiarą wyszukanej farsy i czy Jane nie wie więcej, niż powiedziała. Jeśli tak, była znakomitą aktorką. A ja nie miałem dowodu, żadnego dowodu. Pomyślałem o jej dziecięcym zachowaniu. Może właśnie tym tak zjednywała sobie królową i lady Marię, dwie dojrzałe kobiety, które nie miały dzieci i prawdopodobnie nie było im to dane. Może była dla jednej i drugiej przybrany dzieckiem i niczym więcej. Jednakże Maria Tudor miała w sobie coś, co sprawiało, że wołałem nie myśleć, co by było, gdyby *Lamentacje* trafiły w jej ręce.

*

Zostałem w kaplicy, wśród świec i woni kadzidła. Minęło pół godziny, słońce na zewnątrz zaczęło zachodzić, kiedy drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich lord Parr ze zmarszczonym czołem.

- Słyszałem, że podczas twej rozmowy z Jane była obecna lady Maria. Nie wspomniałeś o księdze?

- Spojrzał na mnie z niepokojem.

- Ależ skąd, Wasza Lordowska Mość. - Opowiedziałem mu niedorzeczną historię o kacze, o tym, czego dowiedziałem się od pazia o mężczyźnie z uciętym uchem, i o dziwnym incydencie Mary Odell ze strażnikiem.

Pokiwał głową.

- Wywiem się dyskretnie. Mężczyzna z połową ucha, służący jednemu z najmożniejszych ludzi w królestwie...

- Paż powiedział: „Jednej z największych osobistości w królestwie”.

Lord przyjrzał mi się uważnie.

- Czy masz na myśli lady Marię? I to, że mogła wysłać Jane, by tamtego wieczoru skradła księgę?

- Musimy się upewnić, że królowa nie wspomniała o swym dziele przy Jane.

Lord Parr pokręcił głową.

- Jane zawsze była niespełna rozumu.

- Może. A jednak mówi całkiem składnie, choć po dziecięcemu. A czasami przy błaźnie można być... niedyskretnym.

Skinął głową, przyznając mi rację, ale odparł:

- Królowa tak by się nie zachowała. Nie w tej sprawie. A jak już mówiłem, lady Maria od dziesięciu lat demonstruje konserwatyzm religijny. Niemniej porozmawiam o Jane z królową. Choć nawet ta teoria nie tłumaczy, jak ktoś dostał się do skrzyni, nie pozostawiając żadnych śladów włamania. - Westchnął. - Dziękuję ci, komisarzu Shardlake, może w końcu do czegoś dojdziemy. Królowa wciąż jest u króla, mamy więc okazję, aby przyjrzeć się tej skrzyni. Chodźmy.

*

Sypialnia królowej miała widok na rzekę. Była to przestronna niewieścia komnata, pięknie pachnąca, z kwiatami w wazonach i dużymi haftowanymi poduszkami na podłodze, gdzie można się było położyć i czytać. Najwięcej miejsca zajmowało łóżko z baldachimem. Było tam także biurko, puste z wyjątkiem stojącego na nim ozdobnego kałamarza; to tu królowa napisała *Lamentacje grzesznika*. Obok biurka znajdowała się solidna drewniana skrzynia o wysokości dwóch i pół stopy, z czerwono-żółtym tureckim dywanikiem przybitym do wieka. Z boku widniały dwie rzeźbione nimfy otaczające różę Tudorów. Na skrzyni nie było serwety; tego wieczoru jeszcze nie zjawił się paż.

Lord Parr przykląkł przy niej zaskakująco sprawnie jak na swój wiek, więc zrobiłem to samo, tyle że wolniej. Postukał w bok skrzyni, powodując głuchy odgłos.

- Mocny dąb - orzekł. - Kosztowności królowej wyjęto i umieszczono gdzie indziej.

Przyjrzałem się zamkowi. Był mały, ale bardzo solidny, mocno osadzony w drewnie. Przesunąłem po nim palcami.

- Żadnych rys na metalu ani otaczającym go drewnie. Albo został otwarty normalnie, kluczem, albo przez bardzo wprawnego ślusarza.

Lord Parr ostrożnie uniósł wieko. Zerknąłem do pustego wnętrza, po czym uważnie obejrzałem zamek od środka. Plecy bolały mnie po ciężkim dniu. Po wewnętrznej stronie także nie dostrzegłem żadnych zadrapań.

- Widziałem wiele skrzyń i kufrów, w których przechowywano kosztowności - powiedziałem. - W moim przypadku głównie dokumenty. Często mają one dwa lub trzy zamki ze skomplikowanymi mechanizmami.

Skinieniem głowy przyznał mi rację.

- Rzeczywiście. Jednakże ten kufer królowa dostała od matki i jest do niego ogromnie przywiązana. Spojrzałem na niego.

- Lecz zamek jest z całą pewnością nowy.

- Tak, owszem. Kiedy wiosną zaczęły się kłopoty, królowa kazała wymienić zamki we wszystkich swych szafach i kufrach. Pytałem, czy nie chciałaby bardziej skomplikowanego zamka do tej skrzyni, ale odparła, że boi się ją uszkodzić. Pamiętam, co powiedziała: „Jeśli zamek będzie porządny i tylko ja będę miała do niego klucz, do kufra nikt się nie dostanie”. Oczywiście, nie wiedziałem wtedy, co znajduje się w środku - dodał z goryczą w głosie.

- Kto wykonał nowy zamek? - zapytałem. - Mógł dorobić zapasowy klucz.

Lord Parr pokręcił głową.

- Tak, masz rację, lecz ten zamek wstawiał osobisty ślusarz królowej, podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe. To zaufany człowiek, służy kolejnym monarchiniom od dwunastu lat, a nie powierza się takiego stanowiska komuś, komu się nie ufa.

- Kazałeś go przesłuchać, Wasza Lordowska Mość?

- Jeszcze nie. Uznałem, że to też lepiej powierzyć tobie, panie. Ale według mnie nie należy do podejrzanych.

- Niemniej jest jednym z najbardziej oczywistych.

- Pracuje w zamku Baynards. Pomyślałem, że mógłbyś pojechać tam w poniedziałek i go przesłuchać. A także porozmawiać z hafciarzem o tym mankiecie. Jutro niedziela, więc ich tam nie zastaniesz. To pewna przeszkoda, jednak będziesz miał dzień na odpoczynek i przemyślenia.

- Dziękuję, Wasza Lordowska Mość. - Byłem wdzięczny starszemu człowiekowi za troskę. Potem jednak podjął:

- Przydałby nam się ktoś, kto dobrze zna się na zamkach. Ktoś spoza pałacu. - Uniósł brwi. - Zdaje się, że twój sekretarz Barak ma doświadczenie w tej kwestii. Z czasów, kiedy pracował dla lorda Cromwella,

Zaczerpnałem powietrza. A więc lord Parr przeprowadził wywiad na temat Baraka. Doświadczenie mego pomocnika w tej dziedzinie rzeczywiście było przydatne w ostatnich latach, lecz...

- Wolałbym go raczej nie angażować — powiedziałem spokojnie.

- To dla królowej — nie ustępował. — Nie musiałyby wiedzieć, o co chodzi, a nawet nie powinien. Będziemy się trzymać wersji o skradzionym pierścieniu. Teraz, gdy skrzynia jest pusta, mógłbym wysłać ją do zamku Baynards, a on obejrzałby ją tam pojutrze...

- Nie jest wielkim fachowcem...

Lord Parr spojrział na mnie twardo.

- Zna się na zamkach. I wie, jak funkcjonuje dwór królewski, przynajmniej od ciemnej strony.

Nabrałem głośno powietrza.

- Jutro z nim porozmawiam, zobaczymy, co powie...

- To dobrze — skwitował szorstko lord Parr. — Przyjedź do Baynards w poniedziałek o dziewiątej. Obejrzyj zamek, porozmawiasz ze ślusarzem i hafciarzem. Postaram się, by zjawił się tam też William Cecil; opowie ci, jakie poczynił postępy w sprawie tych wichrzycieli. -Zatarł ręce. - Posuwamy się naprzód.

- Mimo to... - zacząłem. - Ten, kto ma księgę, może ją w każdej chwili opublikować.

- Wiem - odparł cierpko. - Codziennie się boję, że ktoś przekaże ją królowi. Albo że wydrukuje ją jakiś papistowski drukarz i zacznie rozpowszechniać po Londynie. To nieduże dzieło, więc można już było wydrukować duży nakład. - Pokręcił głową. - A jednak mijają dni i nic takiego się nie dzieje. Ktoś trzyma księgę w ukryciu. Dlaczego? - Nagle wydał mi się stary i zmęczony. Rozejrzał się wokół skrzyni, a potem wstał, czemu towarzyszyło strzyknięcie w stawach. -Niedługo przybędzie paż, pełniący tego wieczoru służbę, więc powinniśmy już iść. Zrób sobie dzień przerwy, panie Shardlake, i odpocznij. Mamy jeszcze wiele do zrobienia.

Rozdział dwunasty

Jak zwykle po mszy z kaplicy Lincoln's Inn wychodzili powoli i statecznie prawnicy z żonami. Panowie w czarnych togach i beretach, panie w najlepszych letnich sukniach. Ja też wyszedłem na światło słoneczne w ten lipcowy poranek, świeższy niż poprzednie, gdyż nocą przeszła burza, budząc mnie z niespokojnego snu. Deszcz na pewno sprzyjał plonom. Teraz musiałem dotrzymać obietnicy i odwiedzić Stephena Bealknapa. Kiedy wędrowałem wzdłuż kaplicy, zbliżył się do mnie skarbnik Rowland. Na swej wąskiej twarzy miał twardy uśmiech.

- Szczęść Boże, komisarzy Shardlake - rzucił pogodnie. - Piękna msza.
- Owszem, skarbniku. Rzeczywiście.

Następnego dnia wypadała rocznica zatonięcia *Mary Rose*, więc powinienem był pomodlić się za dusze przyjaciół i setki innych, którzy wówczas zginęli, mimo że straciłem pewność, czy istnieje Bóg, który by mnie wysłuchał. Lecz nawet tej szczególnej niedzieli niewiele pamiętałem z mszy, bo nie mogłem oderwać się myślami od sprawy *Lamentacji*.

Rowland przechylił głowę jak patrzący badawczo kruk.

- Podczas mszy odniosłem wrażenie, że jesteś nieco spięty. Mam nadzieję, że to nie efekt egzekucji, której byłeś świadkiem.

Prowadzę obecnie dużo spraw - wyjaśniłem szorstko.

- Cóż, Lincoln's Inn wyraża ci wdzięczność za reprezentowanie nas w piątek. W przyszłym miesiącu może nadarzyć się kolejna okazja, byś to zrobił.

- Doprawdy? - zapytałem powoli, z lękiem.

- Tym razem święto, nie stracenie. - Rowland uśmiechnął się słabo. - To jeszcze tajemnica. Ale będzie co oglądać. - Pokiwał głową, skłonił się szybko i odszedł. Odprowadziłem go wzrokiem. W następnym miesiącu. Nie wybiegałem myślami poza następny dzień. Wyrzuciłem więc tę sprawę z głowy.

*

Pogrążony w myślach powoli przeszedłem przez dziedziniec. Poprzedniego dnia, jak powiedział lord Parr, trafiłem na jakieś tropy, jednakże były one niczym nitki w wielkim suple. Po co człowiek z uciętym uchem próbował włamać się do warsztatu Greeninga, skoro nie było tam jeszcze dzieła królowej? Jak ktoś dostał się do kufra, nie zostawiając na nim żadnych śladów, podczas gdy jedyny klucz wisiał na szyi Jej Królewskiej Mości? Czy ślusarz dorobił drugi klucz? Kim był ten Dziurony Bertano, którego tak bał się Elias, terminator? Nazwisko brzmiało z hiszpańska albo włoska; zastanawiałem się, czy mogę spytać o nie Guya.

O mało nie potknąłem się o obluzowany kamień brukowy i kopnąłem go ze złością na bok. Zadałem sobie pytanie, czy dobrze zrobiłem, wdając się w sprawę, która mogła kosztować mnie życie. Przez głowę, jeden za drugim, przebiegały mi różne obrazy: chlapiący chłopiec, który opowiada o mężczyźnie z uciętym uchem, kaptujący go na szpiega; karlica szarpiąca kaczkę na smyczy; surowa twarz Marii Tudor. Wiedziałem, że gdyby *Lamentacje* zostały opublikowane, mógłbym znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, podobnie jak królowa i lord Parr. A także ci, którzy dla mnie pracowali, jak Nicholas; widziałem go po drugiej stronie kaplicy, stał z innymi urzędnikami, wyższy o głowę od większości z nich i wyglądający na lekko zmęczonego, jak zwykle w niedziele.

Najlepiej mogłem chronić swych współpracowników, starając się, by wiedzieli jak najmniej o sprawie. A jednak przed pójściem do kościoła udałem się do Baraka i jego żony. Lecz nie mogłem przecież nie wykonać polecenia lorda Parra.

Jane Marris wpuściła mnie do środka i poszła na górę obudzić Jacka i Tamasin, którzy spali do późna. Skrępowany, musiałem siedzieć w saloniku i słuchać, jak ubierają się na piętrze, mamrocząc z irytacją.

Jane przyniosła na dół George'a. Chłopczyk marudził i patrzył na mnie ze smutkiem zażawionymi

oczami. Gospodyni zabrała go do kuchni, gdzie zaczęła przygotowywać śniadanie.

W końcu Barak i Tarasin zeszli do saloniku. Wstałem.

- Przepraszam, że nachodzę was z samego rana.

Tamasiin się uśmiechnęła.

- Już pora, by wstać. Zjesz z nami śniadanie?

- Nie, dziękuję, już jadłem. Jak się czujesz, Tamasiin?

- Na szczęście, chyba już przeszedł mi nudności.

- To dobrze. Nie mogę zostać zbyt długo, muszę wracać do Lincoln's Inn, by pójść do kościoła.

- My nie chodzimy, jeśli nie jest to konieczne - odparł Barak. Wiedziałem, że oboje mają dość

religii.

- Gdybym zbyt długo trzymał się z dala od kaplicy, zostałoby to zauważone - wyjaśniłem. - Poza tym obiecałem Bealknapowi, że go odwiedzę.

- Powinieneś dać mu zdechnąć za te wszystkie krzywdy, które ci wyrządził - orzekł Barak. - Jesteś zbyt dobry.

Tamasiin pokiwała głową, zgadzając się z nim.

- To podły człowiek.

- Cóż, muszę przyznać, że ciekawi mnie, co ma do powiedzenia.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - nie ustępowała.

Uśmiechnąłem się smutno.

- Ale tylko pierwszy, więc może nie trafię tam tak od razu. Jack, czy mógłbym zamienić z tobą słówko na osobności. To sprawa... zawodowa.

Barak i Tamasiin spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Może i oni, jak Rowland, widzieli na mej twarzy napięcie. Tamasiin odpowiedziała:

- Muszę zajrzeć do Georgiego. Ząbkuje. Powinien dostać kość kurczęcia do gryzienia.

Kiedy wyszła, Barak spojrział na mnie bystro.

- Młody Nicholas był wczoraj po południu bardzo przygaszony. Nie chciał powiedzieć, gdzie był, mówił, że mu zakazałeś. Odniosłem wrażenie, że został przez ciebie zbesztany. Choć czasami na to zasługuje.

- Przykro mi, że zostawiłem ci tyle rzeczy na głowie.

- Za kilka dni wyjdziemy na prostą. Zleciłem Nicholasowi sporo pracy. Jak powiedziałem, jest dziwnie cichy. Zupełnie nie jak on. -Uniósł brew. Domyślał się, że chodzi o coś poważnego.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza.

- Jack, obawiam się, że wdałem się w pewną... delikatną sprawę. Na prośbę lorda Parra, szambelana królowej.

Ściągnął brwi, a potem spytał z pełnym gniewu zdziwieniem:

- Co cię tam tak stale ciągnie? Zważywszy na te wszystkie plotki o królowej, które krążą od kilku miesięcy, lepiej, byś trzymał się z daleka od dworu.

- Już na to za późno. Sprawa dotyczy skradzionego klejnotu. -No i zacząłem kłamać.

Barak milczał przez chwilę, po czym podjął znowu:

- Potrzebujesz mej pomocy? Kiedyś bym się nie wahał, ale teraz... -Wskazał głową w stronę drzwi.

Tak, pomyślałem, Tamasiin, George, następne dziecko w drodze.

Przygryzłem wargę.

- W pewnym niewielkim zakresie mogłoby się nam przydać twoje doświadczenie. To nie mój pomysł, lecz lorda Parra. Przykro mi.

- Wciąż mam w pewnych kręgach określoną reputację? - Pomyślałem, że w jego głosie zabrzmiało zdziwienie, ale także zadowolenie.

- Na to wygląda. W Whitehall znajduje się pewna skrzynia, z której skradziono cenny pierścień. Jest

do niej tylko jeden klucz, który właścicielka nosi stale na szyi, a nie widać śladów włamania.

- Widziałeś ten kufer?

- Tak. Spędziłem w pałacu prawie cały wczorajszy dzień.

- Do kogo on należy? - zapytał wprost. - Do królowej?

- Nie wolno mi tego zdradzić. Ma zostać zabrany do garderoby królewskiej w zamku Baynards,

byśmy mogli go jutro obejrzeć. Czy pojechałbyś tam, by wydać opinię?

Popatrzył na mnie przeciągle, ciężkim wzrokiem.

- To wszystko, czego ode mnie chcesz?

- Tak.

- Jeśli chodzi o mnie samego, nie miałbym nic przeciwko temu. Ale jeśli Tamasin pomyśli choć przez chwilę, że znowu narażam się na niebezpieczeństwo... - Pokręcił głową. - Wpadnie w furję. I będzie miała rację. - Westchnął. - Lecz skoro to polecenie samego szambelana królowej...

- Tak. I obiecuję, że nie będę cię w to dalej wciągał.

- Kiedy tylko tu wszedłem, wyczytałem z twej twarzy, że zanosisz się na kłopoty. Tak samo jak Tamasin. Wspomniałeś, że do piekła masz jeszcze kilka stopni. Cóż, chyba już niewiele. Tak samo jest ze mną.

- Mam zobowiązania wobec królowej.

- I chodzi tylko o skradziony klejnot? - Spojrzał na mnie z ukosa. - Ale skoro tak mówisz... Dobrze, pojedę tam z tobą. I nic nie powiem Tamasin, choć będzie mi to ciążyło na sumieniu.

- Tak, to musi pozostać w tajemnicy.

Pokiwał głową, po czym znowu spojrzał na mnie ciężko.

- Ale pamiętaj. Do piekła jest już blisko.

*

Kłamstwa, wciąż kłamstwa, pomyślałem, zbliżając się do kwatery Bealknapa, znajdującej się mniej więcej naprzeciwko mojej. Wtedy usłyszałem za sobą głos, wołający mnie po imieniu. Odwróciłem się ze zniecierpliwieniem: co znowu? Ku swemu zaskoczeniu ujrzałem Philipa Coleswyna, prawnika reprezentującego brata Isabel Slanning, którego spotkałem podczas egzekucji. Uchyliłem beretu.

- Dobrego dnia, kolego Coleswyn. Nie byłeś na mszy w Gray's Inn?

- Chodzę do miejscowego kościoła - odparł nieco sztywno. Do takiego z radykalnie nastawionym pastorem, pomyślałem. - Przyszedłem tu, gdyż chciałem z tobą porozmawiać.

- Dobrze. Pójdziemy do mnie? To tuż obok. Zaraz mam inne spotkanie. - Zerknąłem na zasłonięte okiennicami okna Bealknapa. - Nie mogę ci poświęcić zbyt wiele czasu.

- To nie zajmie długo.

Poszliśmy do mej kwatery. Otworzyłem drzwi kluczem i zaprowadziłem Coleswyna do gabinetu, tam ściągnąłem togę i zaproponowałem mu, by usiadł. Przez chwilę milczał, patrząc na mnie czystymi niebieskimi oczami. Potem zaczął niepewnie:

- Od czasu do czasu, komisarzu Shardlake, pojawia się sprawa, w której przedstawiciele obu stron może powinni... porozmawiać z sobą na osobności. - Zawahał się. - Jeśli reprezentant przeciwnej strony jak ja chciałby uniknąć niepotrzebnej eskalacji konfliktu.

- Chodzi o sprawę testamentu pani Cotterstoke?

- Tak. Kiedy spotkaliśmy się dwa dni temu podczas tego okropnego zdarzenia na Smithfield, pomyślałem, że jesteś prawym człowiekiem.

- Dziękuję ci, kolego. Jednakże prawość oznacza, że musimy bronić interesów naszych klientów, choćby i byli kłopotliwi. Przede wszystkim szanować ich wolę.

- Wiem. Ale czy to nie po chrześcijańsku próbować rozwiązywać konflikty?

- Jeśli to możliwe. - Przypomniałem sobie, jak Gay mówił, że niektórych konfliktów nie da się rozwiązać, a Isabel wspomniała o swym bracie: „Gdybyś wiedział, jakich strasznych rzeczy się

dopuszcili”. -Wysłucham cię jednak. - Po czym dodałem: - I obiecuję, że to pozostanie między nami.

- Dziękuję. W środę mamy oględziny malowidła.

- Twój specjalista, oczywiście, będzie szukał wszelkich sposobów, by bezpiecznie zdjąć malowidło.

- Podczas gdy twój prawdopodobnie będzie twierdził, że się je zniszczy.

- Mój specjalista to uczciwy człowiek.

- Mój też.

- Nie mam co do tego wątpliwości.

Uśmiechnąłem się.

- A jednak obaj będą działać pod naciskiem, dla pieniędzy. Obawiam się, że czeka nas pat.

- Istotnie - zgodził się ze mną Coleswyn. - Tak działa system. -Westchnął. - I tym sposobem opłat)’
za opinie specjalistów zostaje dodane do rachunków i urosną nie tylko zobowiązania, lecz także akta sprawy.

Skwitowałem cierpko:

- Jak to się mówi? Mała sprawa, dużo pisaniny.

- Owszem. - I wówczas się zaśmiał. Uczynił to mimowolnie, po prostu dał wyraz emocjom. Jego twarz, do tej pory poważna, przybrała chłopięcy wyraz. Ja także parsknąłem śmiechem. Obaj zamikliśmy w tym samym momencie i spojrzeliśmy na siebie z poczuciem winy.

- Nie powstrzymamy ich przed dalszą walką - powiedziałem. -Choć chętnie skończyłbym z tą sprawą. Powiedz mi w zaufaniu, czy pan Cotterstoke nienawidzi pani Slanning tak jak ona jego.

Pokiwał głową ze smutkiem.

- Edward Cotterstoke jest najszcześliwszy, kiedy może mi opowiedzieć, jaką podłą, niegodziwą i z gruntu złą kobietą jest jego siostra. Och, i nazywa ją zdrajczynią, papistką, która w tajemnicy odprawia dawne obrządki. Poleciała mu mnie nasza kongregacja i właśnie się z nim widziałem. - Uniósł brwi. - Nie chce słuchać moich apeli do jego chrześcijańskiego miłosierdzia.

- A z kolei pani Slanning mówi, że jej brat to heretyk i chętnie zobaczyłaby go na stosie. - Urwałem, po czym dorzuciłem: - Tak samo jak ciebie, niestety.

Zmarszczył czoło.

- Oboje powinni w tych czasach uważać na to, co mówią. — Odetchnął głęboko i znowu spojrzął mi w twarz. - Edward Cotterstoke nie ustąpi. Jego żona nie żyje, ale z tego, co mi wiadomo, dzieci próbowały mu wyperswadować tę walkę z siostrą. Daremnie.

- Isabel to bezdzietna wdowa, lecz nawet gdyby miała bliskich, także by na nią nie wpłynęli. Powiedz mi, kolego, domyślasz się, dlaczego oboje tak się nienawidzą?

Pogładził się po krótkiej brodzie.

- Nie. Edward mówi tylko, że jego siostra od dzieciństwa jest złą istotą. A jednak na podstawie tego, jak się o niej wyraża... i jak oboje patrzyli na siebie w sądzie... mam wrażenie, że w pewien sposób się jej boi. - Urwał. - Wyglądasz na zaskoczonego, kolego.

- Gdyż pani Slanning powiedziała coś, co podsunęło mi podejrzenie, że to ona się go obawia. Dziwne. - Choć było to złamanie klauzuli poufności, wierzyłem w uczciwość Coleswyna. Powiedziałem mu o tajemniczej uwadze Isabel na temat straszliwych uczynków jej brata. Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, co to może znaczyć. Edward Cotterstoke to bardzo szanowany obywatel.

- Podobnie jak Isabel Slanning. Nie zwróciłeś uwagi, że sformułowanie ich matki nieboszczki jest nader dziwne? To dotyczące dzieł sztuki.

- Owszem. Niemal jakby chciała doprowadzić do kłótni między swymi dziećmi i śmiała się z nich z za grobu. - Wzdrygnął się.

- Musiała wiedzieć, że się nienawidzą. Może nie dwoje członków tej rodziny żywiło do siebie nienawiść z powodu Bóg wie jakiego zadawnionego żalu, lecz troje. Matka także - zakończyłem ze

smutkiem.

- Może. Nic jednak nie wiem o ich przeszłości. Tylko tyle, że ojciec, pan Johnston, który widnieje na malowidle, zmarł niedługo po tym, jak zostało namalowane. I że matka niebawem zawarła kolejne małżeństwo, z Cotterstokiem, który przejął interes jej nieżyjącego męża, ale i on wkrótce zmarł. Zostawiwszy jej cały majątek. Nie mieli oni dzieci, więc Edward i Isabel przybrali nazwisko ojczyma.

- To jest zbieżne z tym, co ja wiem - odparłem. — Nie wygląda na to, byśmy mieli do czynienia z niegodziwym ojczymem.

- Nie. — Znowu pogłaskał się po brodzie. — Gdybyśmy tylko mogli się dowiedzieć, co ich do tego doprowadziło...

- Ale skąd? Czy zauważyłeś, że chociaż każde z nich wyrzeka na drugie, to zawsze ogólnikowo, bez konkretnych zarzutów?

- Tak. — Coleswyn wolno pokiwał głową.

Zegar w Lincoln's Inn wybił dwunastą.

- Kolego, muszę już iść. Ale cieszę się, że do mnie przyszedłeś. Zastanowimy się, co możemy zrobić. — Wstałem i podałem mu rękę. Coleswyn ją ujął. — Dziękuję ci za szczerość. Wielu prawników chętnie przekazałoby tę niedorzeczną sprawę do Wydziału Kanclerskiego, dla zysku. - Pomyślałem, że tak postąpiłby Bealknap. Tylko że on w ogóle nie miałby cierpliwości, aby słuchać wyrzekań i skarg Isabel. Zawsze wolał szemrane interesy związane z ziemią, gdzie wszystko odbywało się pod osłoną ciemności.

Coleswyn uśmiechnął się nieśmiało.

- By przypieczętować naszą umowę, może uczyniłbyś mi zaszczyt i zjadłbyś ze mną i moją żoną kolację? Na przykład w środę.

Zawahałem się. Przepisy zabraniały prawnikom reprezentującym przeciwne strony porozumiewać się za plecami klientów, lecz nie jadać z sobą. W przeciwnym razie co stałoby się z naszym życiem towarzyskim?

- Z przyjemnością. Chociaż prowadzę teraz jeszcze inną sprawę, która zabiera mi dużo czasu. Gdybym nie mógł przyjść, w ostatniej chwili odwołałbym spotkanie, zgoda?

- Oczywiście.

Westchnąłem,

- Przy tym konflikt między naszymi klientami wydaje się trywialny.

- Gdyż jest trywialny.

Uśmiechnąłem się smutno.

- Tak. Choć nie dla nich samych, niestety.

Odprowadziłem go do wyjścia i patrzyłem przez okno na jego schludną krępa postać, kiedy szedł do bramy. Potem skierowałem wzrok w stronę zamkniętych okiennic kwatery Bealknapa i wziąłem głęboki oddech.

Rozdział trzynasty

Przeszedłem przez dziedziniec w stronę zabudowań mieszczących pokoje Bealknapa, przypominając sobie jego dziwne zachowanie poprzedniej wiosny, te niespodziewane przyjacielskie gesty, które odrzucałem, gdyż nie budziły mego zaufania. Zapukałem do drzwi i otworzył je odźwierny.

- Chciałbym zobaczyć się z kolegą Bealknapem.

Popatrzył na mnie posępnie.

- Z tego, co mówi jego opiekunka, to może ostatni dzień, kiedy ktokolwiek go jeszcze zobaczy.

Zaprowadzę cię, panie, na górę.

Wspięliśmy się po długich drewnianych schodach, mijając w niedzielę puste kancelarie. Oprócz Bealknapa mieszkało w nich niewielu prawników. Nie byłem u niego od lat, pamiętałem jedynie, że w jego kwarterze zawsze panował nieporządek i brud. Plotka głosiła, że miał skrzynię pełną złota i nocami przesiewał w palcach monety.

Odźwierny zapukał do drzwi, które otworzyła starsza niewiasta w czystym fartuchu i krótkiej peruce na siwych włosach.

- Jestem komisarz Matthew Shardlake.

Dygnęła.

- Pani Warren - przedstawiła się. - Pan Bealknap zatrudnił mnie do opieki. Otrzymał twą wiadomość. — I ciągnęła tym samym chłodnym obojętnym tonem: - Ma w brzuchu wielkiego guza i według tego, co mówi medyk, nie zostało już wiele czasu. Dokona żywota za dzień lub dwa.

- Czy nie ma rodziny, którą można by wezwać?

- Nikogo, z kim chciałby się zobaczyć. Chyba pokłócili się przed laty. Kiedy go spytałam, odparł, że nie widział bliskich od czasów starego króla.

Czyli, pomyślałem, od niemal czterech dekad. Bealknap musiał mieć wtedy zaledwie kilkanaście lat. Czyżby kolejny rodzinny konflikt, jeden z tych, o których dopiero co rozmawiałem?

Kobieta spojrzała na mnie z ciekawością.

- Chciał się widzieć jedynie z tobą, jasnie panie. Nie odwiedza go nikt z wyjątkiem medyka i przedsiębiorcy budowlanego. — Przedsiębiorcy budowlanego? - zdziwiłem się w myślach. - No, i księdza. Dziś rano pan Bealknap przyjął ostatnie namaszczenie. - Więc rzeczywiście musiał być bliski śmierci. - Zaprowadzę cię do niego - powiedziała pani Warren i ruszyła zakurzonym korytarzem. Ściszyła głos. - Nie pozwala otworzyć okiennic, nie wiem dlaczego. Uprzedzam cię, w jego pokoju cuchnie.

Nie mijala się z prawdą. Kiedy otworzyła drzwi do pogrążonej w mroku izby, niczym cios w twarz uderzył mnie smród niemytego ciała, choroby oraz nieświeżego oddechu. Wszedłem za kobietą do środka. Pokój był skromnie urządzone, znajdowały się w nim kufer na ubrania, dwa drewniane krzesła, łóżko i stół, zastawiony różnymi specyfikami w buteleczkach. Przynajmniej łóżko było duże i wygodne, na takie przynajmniej wyglądało.

Bealknap zawsze był chudy, jednak postać leżąca pod kołdrą była wręcz wychudzona, sama skóra i kości. W oczy rzucała się czaszka, uszy i wydatny nos. Leżące na pościeli ręce przypominały białe szponiaste łapy.

- Chyba śpi - odezwała się cicho pani Warren. Pochyliła się nad umierającym. - Tak, śpi. Kiedy schyliłam się nad nim, za każdy razem myślę, że już odszedł, lecz on jeszcze dycha. - Wreszcie usłyszałem w jej głosie nutę współczucia. Delikatnie potrząsnęła Bealknapa za ramiona. Otworzył oczy, te swoje bławatkowoniebieskie oczy, które zawsze były rozbiegane, nigdy nie patrzyły wprost. Tego dnia jednak spojrzał bezpośrednio na mnie i uśmiechnął się z wysiłkiem, odsłaniając pożółkłe zęby.

- Kolega Shardlake. - Jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. - Wiedziałem, że przyjdiesz, jeśli wyślę ci pieniądze.

Przysunąłem jedno z krzeseł do łóżka. Bealknap skierował wzrok na opiekunkę.

- Idź sobie, Jane - powiedział krótko. Niewiasta dygnęła i wyszła.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - spytałem.

Pokręcił głową ze znużeniem.

- Nie. Chciałem tylko spotkać się z tobą ostatni raz.

- Przykro mi, że zastaję cię w takim stanie.

- Nie - odparł łagodnie. - Mówmy prawdę. Nigdy mnie nie lubiłeś, tak jak i ja ciebie.

Nie odpowiedziałem. On zacharczał boleśnie. Potem rzekł szeptem, tchnąc mi w twarz cuchnącym zgnilizną oddechem.

- Co teraz będzie?

- Nikt z nas nie może tego wiedzieć, kolego Bealknap odparłem ze skrzepowaniem. - Musimy wierzyć, że Bóg zlituje się nad naszymi duszami...

Wciąż wpatrywał się we mnie.

- Ty i ja to wiemy. W tym jednym chyba się zgadzamy. Obaj mamy świadomość, że ludzie nie mają dusz, tak samo jak koty i psy, I że później nic nie ma. Jest tylko cisza i mrok.

Pokręciłem głową.

- Nie jestem taki pewny. Nie można tego wiedzieć. Nic wiem, kim albo czym jest Bóg, lecz... być może istnieje.

- Nie. - Bealknap westchnął. - Przyjąłem ostatnie namaszczenie, lecz tylko dlatego, że to konieczne, by mój testament zachował moc. - Uśmiechnął się ponownie i jego oczy przybrały rozmarzony wyraz. — Wszystkie moje pieniądze, całe złoto mają pójść na budowę wielkiego marmurowego grobowca w kościele Lincoln's Inn, malowanego i złoczonego, z moim wizerunkiem na wieku. Ma być on naturalnej wielkości, w todze, obramowany złotem, by przysłe pokolenia prawników pamiętały kolegę Stephena Bealknapa. Jeszcze uzgadniam szczegóły z człowiekiem, który go wybuduje. - Zaśmiał się słabo. - Skarbnik Rowland odwoził mnie od tego zamiaru, lecz złoto zamknęło mu usta, jak to zwykle bywa.

Przez moment nie wiedziałem, co powiedzieć, przecież Bealknap musiał zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest nie lubiany. A może to miał być z jego strony akt zemsty? Chciał wystawić sobie większy pomnik, niż mieli wszyscy inni? - pomyślałem z przygnębieniem.

I przeznaczyć na to oszczędności całego życia? Jednakże coś mnie zastanowiło.

- Powiedziałeś, że według ciebie nie ma życia po śmierci, a jednak spytałeś, co będzie dalej.

Zaśmiał się gardłowo, nieprzyjemnie.

- Nie chodziło mi o to, co będzie ze mną, Matthew Shardlake. Pytałem, co będzie dalej z tobą.

- Nie rozumiem.

- Chciałbym pożyć jeszcze, by zobaczyć, co się stanie z tobą. - Zaczerpnął powietrza i skrzywił się z bólu. - A także z twoją dobrą przyjaciółką, królową.

Spojrzałem na niego szeroko otwartymi oczami. Skąd mógł o tym wiedzieć?

- O czym ty mówisz? - zapytałem ostro, pochylając się nad nim. Bealknap łypnął na mnie z satysfakcją i zamknął oczy. Byłem zły, gdyż dotarło do mnie, że do końca prowadził te swoje gierki. Potrząsnąłem nim, ale znowu zapadł w sen i ani drgnął. Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę. Nie mogłem jednak wytrzymać dłużej w tym zaduchu, zaczęło zbierać mi się na wymioty. Podeszedłem do okna i pchnąłem okiennice. Leżąca na łóżku postać w pełnym słońcu wyglądała jeszcze bardziej blado i mizernie.

Drzwi się otworzyły i wkroczyła opiekunka. Zbliżyła się do Bealknapa, sprawdziła jego oddech, po czym podeszła do mnie z gniewem.

- Co robisz, jaśnie panie? On chce, by okiennice były zamknięte. Jeśli pozostaną otwarte, po przebudzeniu będzie wyrzekał. Proszę.

Pozwoliłem pani Warren pozamykać okiennice. Spojrzała na Bealknapa.

- Powinieneś już iść, jaśnie panie. Męczy go każdy wysiłek.

- Muszę go jeszcze o coś zapytać.

- Więc wróć później. Po lunchu. Idź już, proszę. - Wzięła mnie pod rękę i odprowadziła do drzwi. Z łóżka dobiegł pomruk, potem następny. Bealknapowi coś się śniło i sądząc po odgłosach, które wydawał, nie było to nic przyjemnego.

*

Siedziałem w swym gabinecie w kancelarii z małym kuflem piwa. Przebywałem tam już od godziny, próbując zrozumieć sens tego, co powiedział Bealknap. Czyżby był w to wszystko zamieszany? Jak to możliwe? Wiedział, że niegdyś służyłem królowej, i musiał słyszeć plotki, że znowu znalazła się w kłopotach. Lecz było powszechnie wiadomo, że przestałem dla niej pracować już przed rokiem. Nie, pomyślałem, po prostu skojarzył fakty. Wiedząc, że pracowałem kiedyś dla Katarzyny Parr i że ona uwikłała się w kłopoty, miał nadzieję, że upadnę razem z nią. Spojrzałem przez zalany słońcem dziedziniec w stronę pokoju, w którym leżał Bealknap. Postanowiłem, że pójdę do niego później, by spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. Pokręciłem głową, konstatuując, że był podły do końca. Pomyślałem o wspaniałym pomniku, który zamierzał sobie wystawić. Wiedziałem, że stanie się w Lincoln s Inn obiektem żartów i drwin. Jednak Bealknap nie miał takiej świadomości. Zawsze był pod wieloma względami ślepy.

Usłyszałem, że drzwi wejściowe do mej kancelarii otwierają się i zamykają. Po powrocie przekręciłem w nich klucz; Barak musiał po coś przyjść. Wstałem i zajrzałem do sekretariatu. Ku swemu zaskoczeniu, ujrzałem Nicholasa, który przeniósł papiery ze stołu na swe biurko. Na jego piegowatej twarzy wciąż malowało się zmęczenie, na todzie zaś widniała plama po piwie. Popatrzył na mnie.

- Nicholasie? Co tu robisz w niedzielę?

Popadł w lekkie zakłopotanie.

- Wczoraj z Sądu Prób przysły dokumenty w sprawach wyznaczonych na trymestr jesienny. Ponieważ jesteś, panie, zajęty, Barak poprosił mnie, bym je przejrzał i sporządził notatki. Byłem w kościele na mszy, więc pomyślałem, że wstąpię tu i trochę popracuję. - Był wyraźnie zmieszany tym, iż przyłapano go na takim przejawie gorliwości. To nie pasowało do wizerunku, który chciał stwarzać.

- Nicholasie, wczoraj byłem dla ciebie zbyt surowy — zacząłem. -Zadałeś Eliasowi, temu terminatorowi, pytanie w niewłaściwym momencie i musisz nabrać więcej wyczucia w takich sprawach. Ale... powinienem był wziąć pod uwagę twoją młodość, brak doświadczenia. Przepraszam cię.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Dziękuję, panie.

- Nabierasz upodobania do prawa?

- Hm... wyznam, że na początku wydawało mi się nudne, ale teraz... już nie. Są pewne sprawy, które wydają mi się ciekawe.

- Głównie te, w których chodzi o znalezienie mordercy, hę?

Uśmiechnął się na to.

- Czyż to nie dodaje pikanterii?

- Można tak powiedzieć. Prawo rzadko kiedy jest ekscytujące. Ale powinieneś dostrzegać wszystkie jego aspekty, jeśli zamierzasz wrócić do Lincoln'shire i pomagać w zarządzaniu rodzinną posiadłością.

Chłopcu zrzędła mina. Pierwszy raz widziałem, by tak się zachmurzył.

- Wątpię, panie, bym tam wrócił.

Zdałem sobie sprawę, jak niewiele o nim wiem, a sam mało o sobie mówił.

- Dlaczego? - zapytałem.

Spojrzał na mnie swymi ciemnozielonymi oczami.

- Ojciec wysłał mnie tutaj, gdyż nie pochwalał czegoś, co zrobiłem. - Zawahał się. - Chodziło o małżeństwo.

Pokiwałem współczująco głową.

- Czyżbyś chciał popełnić mezalians? - Wiedziałem, że takie przypadki nie należą do rzadkości.

Nicholas gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, panie. Osiągnąłem pełnoletniość i mogę poślubić, kogo chcę. - Uniósł głowę, a w jego oczach błysnął gniew.

- Tak, oczywiście - rzuciłem uspokajająco.

Zawahał się.

- Jako że jestem jedynym męskim potomkiem mego ojca, kwestia, kogo poślubię, jest ważna. Nasza posiadłość ucierpiała na skutek dewaluacji tak samo jak inne, wartość dziesięciny spadła i chłopcy nie mogą więcej płacić. Gdybym ożenił się z bogatą panną z sąsiedztwa, wniosłaby mi ona spory posag.

- Tak. Wiem, że takie rozwiązania bywają... trudne. Ale jak to mówią? Ożeń się, a miłość przyjdzie z czasem.

Nicholas nieco się rozpogodził.

- Więc rozumiesz, panie. Cóż, miałem się ożenić z dziedziczką dużego majątku nieopodal naszego dworu w Codsall.

- I nie podobała ci się? A może ty nie podobałeś się jej? - Uśmiechnąłem się ze smutkiem. - Żadnej ze stron nie jest łatwo.

Zacisnął usta.

- Oboje się lubiliśmy, i to bardzo. Ale nie darzyliśmy się miłością. Nie jestem nadzwyczajną partią, ona, prawdę mówiąc, także nie, więc wszyscy uznali, że do siebie pasujemy. - Mówił to z goryczą. - Więc ojciec i matka przedstawili nam sprawę. Lecz zarówno Anys, jak i ja pragniemy, jeśli Bóg pozwoli, poślubić kogoś z miłości. Widzieliśmy już małżeństwa z rozsądku, które kończyły się niezgodą. Zatem podczas jednego ze spacerów po ogrodzie ojca, do których nas zachęcano, oczywiście pod okiem patrzących z okien, zawarliśmy pakt. Postanowiliśmy powiedzieć rodzicom, że nie chcemy się pobrać. Mój ojciec wpadł we wściekłość. Już wcześniej był niezadowolony, że zamiast pomagać w prowadzeniu posiadłości, spędzam czas na łowach i polowaniach z sokołami, więc wysłał mnie tutaj. Miał to być rodzaj kary, choć byłem rad, że opuszczę prowincję i zobaczę Londyn - dodał - Anys i ja wciąż pisujemy do siebie, ale jako przyjaciele. - Uśmiechnął się z żalem. - Teraz widzisz, panie, że rzeczywiście jestem nieposłuszny.

- Wygląda na to, że ty i Anys mogliście stanowić dobraną parę.

- To za mało.

- Tak - potwierdziłem. - Wielu by się z tym nie zgodziło, ale moim zdaniem masz rację.

- Biedakom jest łatwiej - zauważył z goryczą. - Mogą pobierać się z miłości.

- Tylko wówczas, kiedy ich na to stać, a w dzisiejszych czasach zwykle jest to później, niżby chcieli. Wszystko z powodu wojny, podatków i spadku wartości pieniądza... cóż, twój ojciec wprawdzie zachował posiadłość, lecz dam głowę, że jego nieszczęsnym dzierzawcom nie starcza na podatki i z trudem wiążą koniec z końcem.

Nicholas pokręcił głową.

- Teraz, kiedy wojna dobiegła końca, wrócą tłuste lata. Jednak dla dobra ogółu ludzie powinni znać swoje miejsce. Inaczej zapanuje anarchia jak u anabaptystów.

Znowu te strachy. Odparłem:

- Wyznam, że im dłużej przyglądam się rodzajowi ludzkiemu, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

Zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym odrzekł:

- Mój ród od wieków należy do szlachty. Pochodzi, jak twierdzi ojciec, jeszcze z czasów przed podbojem, zanim w Lincoln'shire osiedli Normanowie. Panowanie nad innymi jest nam przeznaczone.

- Twój ród zdobył ziemię przemocą. Anglosasi odbierali ziemię plemionom, które osiadły tu

wcześniej, tak samo jak Normanowie.

Tak właśnie wzbogacili się twoi przodkowie i inne rody; wiem to, gdyż jako prawnik zajmuję się nieruchomościami, dużo czasu poświęcam dawnym aktom własności.

- Ziemię można odbierać w sposób honorowy, podczas wojny.

- Jak niewątpliwie czynili Normanowie, odbierając ją twym anglosaskim przodkom. Kiedyś być może mieliście jeszcze więcej ziemi.

- Chyba już za późno, by dochodzić swych praw. A szkoda. - Uśmiechnął się.

Zaczyznałem go lubić. Wykazywał bystrość umysłu i mimo wychowania w tradycji szlacheckiej nie ulegał konwenansom.

Odparłem:

- Cóż, będziemy mieć okazję do rozmowy o ziemi i jej własności, kiedy przyjdzie nowy trymestr.

Teraz muszę iść do domu na lunch.

- Czy zaszły jakieś postępy w sprawie morderstwa drukarza? - zapytał.

- Nie. - Podniosłem ostrzegawczo palec. - I pamiętaj, nie rozmawiaj o niej.

- Słowo szlachcica.

- Dobrze. — Mój wzrok znowu przyciągnęły okna Bealknapa. Pomyślałem, że po lunchu położę się na godzinę albo dwie, potrzebowałem bowiem odpoczynku. Później zamierzałem zajrzeć do niego ponownie.

*

Wracałem do domu. Kiedy szedłem ścieżką, w progu pojawiła się Josephine, w nowej sukni, z młodą mężczyzną w skromnym dublecie. Drzwi otwierała Agnes Brocket, która uśmiechała się do nich, podczas gdy przy narożniku stał Timothy, przyglądając się temu wszystkiemu z jawną ciekawością.

Towarzysz Josephine miał dwadzieścia parę lat, był szczupły, ciemnowłosy i dość przystojny. To musiał być ten młodzieniec, z którym się spotykała. Kiedy się zbliżyłem, oblała się rumieńcem, a młody mężczyzna zdjął czapkę i skłonił mi się.

- Jaśnie panie, nazywam się Edward Brown. Służę u twego kolegi prawnika, pana Petera Henninga.

- A tak. Porządny człowiek. Z przykrością usłyszałem, że zmarła mu żona... to było kilka miesięcy temu, nieprawdaż?

- W grudniu, jaśnie panie. Mój pan bardzo to przeżył. Myśli o przejściu na emeryturę i powrocie w rodzinne strony, do Norfolk.

- Mam nadzieję, że tego nie uczyni - ośmieliła się powiedzieć dziewczyna,

- Dziękuję, jaśnie panie, że pozwoliłeś mi zabrać Josephine na spacer - odezwał się Brown, Uśmiechnąłem się do niej.

- Cieszę się, że wyjdzie z domu. Dokąd się wybieracie?

- Chyba na pola Lincoln's Inn,

- Zapowiada się piękny dzień.

- Opiekuj się nią! - zawołała z progu Agnes do pana Browna.

- Dobrze!

Zwróciłem się do Timothy'ego:

- Zamierzałeś mi coś powiedzieć, chłopcze?

— Ja tylko..., chciałem tylko rzec, że Genesis będzie potrzebowała siana.

- To zajmij się tym jutro - odezwała się Agnes. — A teraz idź sobie,

Timothy oddalił się pospiesznie, a Josephine i młody Brown spojrzeli na siebie z uśmiechem.

Timothy miał ode mnie pozwolenie na kupowanie siana, kiedy tylko było potrzebne, więc nie ulegało wątpliwości, że przyszedł po prostu zobaczyć pana Browna. To, że młodzieniec był tym raczej rozbawiony niż zirytowany, było kolejną rzeczą, która przemawiała na jego korzyść.

Stałem z Agnes i patrzyłem, jak ci dwoje odchodzą zwirową ścieżką, Potem usłyszałem dźwięk

niosący się drogą od Lincoln's Inn. Powolne bicie dzwonu. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Było to grobowe bicie, obwieszczające śmierć członka stowarzyszenia, musiało zatem chodzić o Bealknapa. A to oznaczało, że nie będę już mógł z nim pomówić. Przechytrzył mnie, nawet pod sam koniec życia.

- Miło widzieć Josephine szczęśliwą — powiedziała Agnes.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Rzeczywiście.

Zawahała się, po czym dodała:

- Mówiła mi trochę o sobie... Wiele ci, jaśnie panie, zawdzięcza.

Z głębi domu wyłonił się Martin, cicho jak zwykle, i stanął za nią. Spojrzał wzdłuż podjazdu za Josephine i młodym Brownem, którzy właśnie skręcali ku drodze. Z dezaprobatą. Więc niechęć między nim a Josephine jest wzajemna, pomyślałem. Zacząłem się zastanawiam skąd się wzięła. Martin odezwał się ostro do żony:

- Mniejsza o nich. Mówiłaś, jaśnie panu, o gościu...

Agnes przytknęła dłoń do ust.

- Ojej, przepraszam...

Mąż nie dał jej dokończyć:

- Przyszedł znowu ten młody pan, prawnik, który odwiedził cię, jaśnie panie, dwa dni temu. Tym razem także nie chciał podać nazwiska. - Skrzywił się na ten wyłom w dobrych obyczajach, - Powiedziałem mu, że wrócisz niebawem na lunch. Czeka w twym gabinecie, jaśnie panie.

- Dziękuję ci. - Szybko wszedłem do domu. Na krześle w gabinecie zobaczyłem szczupłą, postać Williama Cecila. Miał zamyśloną i zatroskaną twarz. Kiedy mnie zobaczył, wstał i skłonił mi się.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, kolego, w Dzień Pański odezwał się pospiesznie. — Ale nastąpił niespodziewany rozwój wydarzeń.

- W związku ze sprawą, którą się zajmuję?

- W pewnym sensie.

- Czy odnalazłeś znajomych Greeninga? Lord Parr mówił, że się z nimi porozumiesz.

- Tak. Jednak wszyscy, co do jednego, opuścili swe kwatery i zniknęli. Nikt nie wie, gdzie są. -

Westchnął ciężko. - Ale chodzi o tego terminatora, Eliasa. Musimy o nim porozmawiać.

- Odszukałeś go?

Wciągnął głęboko powietrze, patrząc na mnie swymi wyłupiastymi oczami.

- To, co z niego pozostało. Matka znalazła go zeszłej nocy w alejce za domem, z rozbitą głową, leżącego we własnej krwi. — Przez jego twarz przebiegł grymas.

- Słodki Jezu!

Cecil patrzył na mnie nieruchomo.

- Zanim skonał, coś mówił... wypowiedział kobiecie imię.

- Czyje? - Obawiałem się, że usłyszę imię królowej, lecz Cecil odparł:

- Anny Askew. Wykrztusił: „Zginąłem za Annę Askew”.

Rozdział czternasty

Matka Eliasa mieszkała w jednej z wąskich uliczek między Paternoster Row a katedrą Świętego Pawła, która wznosiła się nad nędznymi czynszówkami, rzucając na nie wielki cień. Cecil i ja udaliśmy się tam prosto z mego domu.

Po drodze cichym głosem opowiedział mi, co się stało.

— Lord Parr poprosił mnie, bym porozmawiał z trójką przyjaciół Greeninga. Powiedział mi o jego zabójstwie i wspominał, że nie ma jeszcze żadnych podejrzanych, ale istnieją delikatne uwarunkowania polityczne i chciałby, bym porozumiał się z tymi ludźmi. Przypuszczam, że tobie, panie, zdradził więcej. - Spojrzał na mnie z nagłym zaciekawieniem w dużych oczach.

— Nieco więcej. Musiałeś mieć pracowity dzień - zakonkludowałem ze współczuciem.

— Owszem. Moja żona nie była zadowolona, że pracuję w niedzielę, lecz powiedziałem jej, że jak trzeba, to trzeba.

— Czy sam znałeś kogoś z przyjaciół Greeninga? - zapytałem.

— Nie — odparł krótko. — Lecz mój znajomy z kongregacji zna Curdy'ego, tego wytwórcę świec. Może on być sakramentarianinem, gdyż jego rodzina, tak jak rodzina Greeninga, to z pewnością dawni lollardowie. Niewykluczone, że jest nawet anabaptystą, choć to pewnie tylko plotka. — Spojrzał na mnie twardo, bez zmrużenia oka. - jasności, panie, nigdy nie występowałem w obronie sakramentarian, a do anabaptystów, którzy chcą wszystko wywrócić, interpretując Biblię w świetle własnych szalonych fantazji, żywię tylko nienawiść. Lecz to, że głoszą takie idee, nie znaczy, że wyznawali je Greening i jego znajomi. - Mimo swej młodości Cecil mówił jak starszy, znacznie bardziej doświadczony człowiek.

- Masz rację.

- Wszyscy przyjaciele Greeninga mieszkali w okolicach Paternoster Row i katedry. Wybrałem się do nich dziś wczesnym rankiem, ponieważ pomyślałem, że o tej porze najpewniej zastanę ich w domach, przed mszą. Ten wygnany ze Szkocji kaznodzieja, McKendrick, wynajmował skromny pokój od Curdy'ego, wytwórcy świec, który owdowiał. Curdy to, jak się zdaje, poczciwy, jowialny człowiek, czeladnik pracujący wraz z innymi wytwórcami świec. McKendrick z kolei ma opinię opryskliwego. To barczysty mężczyzna, były żołnierz, i ludzie wolą z nim nie zadzierać.

- Wygląda na to, że ci dwaj bardzo się od siebie różnią.

- Co by świadczyło o tym, że łączy ich religia. Tak czy owak, kiedy przyszedłem do domu Curdy'ego, nie zastałem żadnego z nich. Według tego, co mówiła gospodyni, zniknęli w nocy dwa dni temu, prawie nic z sobą nie zabierając.

- Gdzieś uciekli.

- Niewątpliwie. Trzeci znajomy Greeninga, ten Niderlandczyk, Vandersteyn, zajmuje się handlem tkaninami i jest pośrednikiem kupców wełny z Flandrii. Ma ładny mały dom, ale kiedy tam zaszedłem, lokaj powiedział mi to samo: że jego pan wyjechał nagle dwa dni temu i zabrał z sobą tylko niewielki bagaż.

- Czyżby się bali, że spotka ich los Greeninga?

- Może. Albo, jeśli są sakramentarianami, lękali się, że zwrócą na siebie uwagę popleczników biskupa Gardinera. Jeśli tak jest w istocie, Bóg jeden tylko wie, gdzie się ukryli.

Przypomniałem sobie list Hugh, historię uchodźców szukających schronienia w Niderlandach z obawy przed prześladowaniami. A przecież Vandersteyn pochodził z Flandrii.

Cecil tymczasem ciągnął:

- Postanowiłem więc odwiedzić matkę Eliasa, by spytać, czy ma jakieś nowe wiadomości, sprawdzić, czy on sam nie wrócił do domu. Zastałem ją na zewnątrz, gorączkowo zmywającą na kolanach krew z bruku.

- Dobry Boże.

- Ma dwie córeczki, mąż w zeszłym roku zmarł na ropień.
- Może dlatego Elias przyjął nową pracę, zamiast stąd odejść.
- Niewykluczone. - Cecil zaczerpnął powietrza. - Matka Eliasa powiedziała mi, że zeszłej nocy, nad ranem, usłyszała swego syna wzywającego pomocy. Wybiegła więc z domu, jak to matka. - Znowu westchnął i pokręcił głową. - I znalazła Eliasa leżącego na ulicy bez życia. Ale sama ci o tym opowie. Zabrała chłopaka do środka. Jezu, nie mogłem na to patrzeć.
- Czy zgłosiła to władzom?
- Nie. Z powodu ostatnich słów Eliasa.
- O Annie Askew?
- Tak. - Ściszył głos. - A teraz cicho, bo spójrz...

Podążaliśmy Paternoster Row. Wszystkie sklepy, jak to w niedzielę, były zamknięte. Jednakże zalaną słońcem uliczką szedł mężczyzna w czarnym duplecie, zaglądając w witryny sklepowe. Cecil uśmiechnął się z przekąsem.

- Znam go. To jeden ze szpiegów biskupa Gardinera, na pewno usiłuje wypatrzeć zakazane księgi albo podejrzenie wyglądających gości w warsztatach drukarskich.

Minęliśmy go. Oglądając się za nim z bezpiecznej odległości, spytałem Cecila:

- Od dawna pracujesz dla Uczonej Rady Jej Królewskiej Mości?
- Zaledwie od dwóch lat. Lord Parr jest tak dobry, że mnie wspiera.

Niewątpliwie ze względu na zalety Cecila, pomyślałem. Jego znajomości wśród reformatorów.

- Skąd jesteś, panie? - pytałem dalej. - Odnoszę wrażenie, że słyszę wymowę z Lincoln'shire.

Stamtąd pochodzi także mój uczeń.

- Trafnie odgadłeś, panie. Moja pierwsza żona także była z Lincoln'shire, ale, niestety, Bóg zabrał ją do siebie, choć zostawił mi syna.

Spojrzałem na niego. Miałyby całkiem przeciętną twarz, gdyby nie te wyraziste, wyłupiaste oczy, którymi, jak zauważyłem, rzadko mrugał» i dzioby na policzku. A jednak był żonaty, owdowiał i ożenił się ponownie, zdobył zaufanie najpotężniejszych ludzi w królestwie i wszystko to przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Mimo zwyczajnej powierzchowności i powściągliwego sposobu bycia William Cecil nie był zwyczajnym człowiekiem.

- Tu skręcamy - powiedział nagle.

Wkroczyliśmy w wąską uliczkę, biegnącą w cieniu katedry, do której przylegała. Chodziły po niej kury, dziobiąc w ubitej ziemi, Cecil zatrzymał się przed drzwiami z odchodzącą farbą. Obok nich, niemal blokując zakurzoną alejkę, stał nakryty brezentem nieduży wóz. Cecil dyskretnie zapukał — dwa razy krótko i raz dłużej, najwyraźniej w umówiony sposób.

*

W progu stanęła okołoczterdziestoletnia niewiasta, niska i szczupła, w przeciwieństwie do Eliasa, który był wysoki i barczysty. Miała na sobie bezkształtną szarą suknię. Nie włożyła peruki, a ciemne włosy spięła pospiesznie na karku. W jej szeroko otwartych oczach widać było strach. Na mankietach dostrzegłem plamy krwi. Popatrzyła na mnie, a potem przeniosła wzrok na Cecila.

- Kto to jest? — zapytała go z lękiem.
- Pan Shardlake. Prawnik. Ktoś, kto tak jak ja nie donosi na ludzi, którzy mają inne poglądy. Czy możemy wejść, pani Rooke?

Opuściła bezsilnie ramiona i skinęła głową. Zaprowadziła nas do biednie urządzonego saloniku, gdzie przy stole siedziały dwie dziewczynki, na oko ośmio- i dziewięcioletnia. Młodsza miała drobne rysy matki, starsza — budowę ciała i toporną twarz Eliasa. Obie spojrzały na nas z przerażeniem. Zauważyłem na podłodze wiadro i szczotkę oraz zwinięty zakrwawiony fartuch, który rzucono obok.

- Dziewczynki — odezwała się łagodnie pani Rooke. — Idźcie na górę do sypialni. Ale nie wchodźcie do pokoju brata. Obiecujecie?

- Obiecujemy - powiedziała starsza. Wzięła siostrę za rękę i ominęła nas łukiem. Po chwili usłyszeliśmy ich kroki na drewnianych schodach. Matka dziewczynek usiadła.

- To nie jest widok dla jego sióstr - wyjaśniła. - Dla matki także -dodała łamiącym się głosem.

- Czy one wiedzą? - zapytał delikatnie Cecil.

Tylko tyle, że Elias jest pobity, nie, że jest martwy. Zeszłej nocy nie mogłam zatrzymać ich w sypialni, kiedy taszczyłam jego ciało po schodach. Usłyszały hałas i wyszły spytać, co się dzieje. — Wspierała czoło na drżącej dłoni, a po chwili spojrzała na nas z rozpaczą, — Nie wiem, co począć, jaśnie panowie.

Cecil odparł:

- Postaramy się pani pomóc. A tymczasem, czy mogłabyś opowiedzieć temu panu, co się stało, dobra kobieto?

- Jeśli nie prosimy o zbyt wiele...? — dodałem uspokajająco.

— Nie ma wiele do opowiadania — odrzekła krótko i wzięła głęboki oddech. - Zeszłego roku zmarł mój mąż- Na szczęście, Elias pracował u mistrza Greeninga. Tyle że spędzał tam za dużo czasu, rozmawiał z mistrzem Greeningiem i jego znajomymi. Z tego, co mówił, rozprawiali na niebezpieczne tematy. — Spojrzała na nas nerwowo.

Cecil ją ponaglił.

- O wierze i o tym, że Biblia to jedyna droga do zbawienia, tak mówiłaś, prawda? I że nie wiadomo, czy to Bóg zaprowadził taki porządek wśród ludzi.

Pokiwała głową.

- Byłam zła na Eliasa, że wygadywał takie rzeczy przy siostrach. Ojciec spuściłby mu baty. Ale - tu jej głos złagodniał - syn był młody, niepokodzony z niesprawiedliwością tego świata, miał głowę pełną nowych idei. Porządny chłopak, nie pił ani się nie włóczył, utrzymywał nas trzy. — Przesunęła palcami we włosach. — Nie wiem, co teraz się z nami stanie. Dziewczynki...

— Zobaczmy, co da się zrobić — odparł Cecil.

— Co wydarzyło się ostatniej nocy? — zapytałem po chwili.

Spojrzała na mnie.

— Było około dziesiątej, dziewczynki, dzięki Bogu, leżały już w łóżkach i sama też miałam się położyć. Martwiłam się, bo Elias spędził poprzednią noc poza domem. Od zabójstwa mistrza Greeninga był opryskliwy, przestraszony. Wtedy usłyszałam dobiegający z ulicy jego krzyk: „Pomocy! Matko!”. - Z rozpaczą pokręciła głową. - Ale było już za późno. Myślę, że kręcił się wokół domu, sprawdzaj czy może bezpiecznie wrócić. — Przełknęła ślinę. — Natychmiast wybiegałam na dwór. Zza domu wypadli dwaj mężczyźni. Jeden trzymał pałkę. Przebiegli obok mnie, minęli wózek i zniknęli. Zajrzałam w tamtą uliczkę. Leżał w niej Elias. Jego głowa... — Zamknęła oczy. - Wszędzie była krew, mnóstwo krwi. Jeszcze żył, chwycił mnie za rękę. Powiedział: „Przekaż im, moim przyjaciółom, że zginąłem za Annę Askew . A potem skonał - dodała posepnie. — Nie wiem, skąd wzięłam siły ale zaciągnęłam do domu, a później na górę i położyłam w jego pokoju. Wiem, że powinnam była pójść do konstabla, ale po tym, co Elias powiedział... o tej kobiecie... — Zniżyła głos do szeptu. — O Annie Askew. Tej, którą, w piątek spalono na stosie. — Spojrzała na nas. — Elias chciał pójść na egzekucję, głośno wspierać tych nieszczęśników. Ale przyjaciele chyba przemówili mu do rozumu, ostrzegając, że sam skończy na stosie. - W jej oczach pojawił się gniew. — Nie byłby pierwszym młodym terminatorem skazanym na stos w ostatnich latach.

- Rzeczywiście - potwierdził Cecil. - Lecz i im, i jemu nic już nie grozi, są chronieni przed złem tego świata, w ramionach Jezusa. -Te słowa może zabrzmiały banalnie, lecz wypowiedział z niezachwianą pewnością.

Pani Rooke znowu zapytała z desperacją:

- Co mam zrobić, panowie?

Cecil odetchnął głęboko.

- Nic nie mów koronerowi, przynajmniej na razie. Jeśli ludzie będą pytać, odpowiadaj, że Elias nie wrócił.

- Chcesz, bym okłamywała władze?

- Tak. Na razie. Mamy potężnych przyjaciół, ochronimy cię przed konsekwencjami. Nie pytaj o więcej, ale bądź spokojna, znajdziemy morderców Eliasa i mistrza Greeninga.

Zerknąłem na niego.

- To mogą być ci sami ludzie. Czy mogłabyś ich opisać, dobra kobieto?

Odparła martwym tonem:

- Panowały ciemności, nie widziałam ich dobrze. Byli nędznie odziani, jak włóczędzy, obaj młodzi i silni. Jeden jednak wydał mi się prawie łyсы. Spojrzał na mnie przez moment. Dziwnym dzikim wzrokiem. Już samo to mnie przeraziło. Miał w dłoni pałkę. - Biedna niewiasta zakryła dłońmi twarz i zadrżała. Potem jakby się opanowała; zerknęła w górę schodów, ku córkom. - Proszę — powiedziała szeptem - zabierzcie je w bezpieczne miejsce.

Cecil kiwnął głową.

- Na zewnątrz stoi wózek. Wiesz, do kogo należy? — spytał. Zaprzeczyła.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam. Stoi tam od zeszłej nocy.

Wymieniłem z Cecilem spojrzenie. Mordercy Greeninga — albowiem z opisu pani Rooke wynikało niezbicie, że to oni zabili Eliasa - zapewne się dowiedzieli, że chłopak zniknął, i czekali w alejce, aż wróci do domu; wózkiem mieli zabrać jego ciało. Gdyby Elias nie zaczął wołać o pomoc, nikt by już go nie zobaczył.

Cecil zapowiedział:

— Ciało Eliasa zostanie zabrane, zajmę się tym.

Po raz pierwszy pani Rooke spojrzała na nas nieprzyjaźnie.

— Więc mój syn nie będzie miał godnego pochówku?

— Tak będzie bezpieczniej, dobra kobieto, uwierz mi. Dla ciebie i twych córek.

— Ale, jak już powiedziałem - włączyłem się - śmierć Eliasa zostanie pomszczona.

Kobieta pochyliła głowę.

— Czy teraz pan Shardlake mógłby zobaczyć jego ciało? Zmówimy modlitwę, tak jak się godzi. -

Cecil ujął ją za rękę.

Spojrzała na mnie z gniewem.

— Zobaczysz, panie, co uczynili mojemu biednemu synowi. - Ponownie zwróciła się do Cecila: -

Czy stracił życie za swe przekonania? Podobnie jak mistrz Greening?

— Jeszcze nie wiemy. Ale to możliwe.

Pani Rooke milczała. Wiedziała, że jest zdana na naszą łaskę.

— Chodźmy, panie - odezwał się cicho Cecil.

— Tylko nie pozwólcie, by zobaczyły to moje córki! - zawołała za nami z nagłą pasją. - Jeśli usłyszycie, że stoją przed pokojem Eliasa, przyslijcie je na dół. Nie mogą ujrzeć brata w takim stanie.

*

Elias leżał na sienniku w małej izbie i na jego zakrwawioną twarz padało popołudniowe słońce. Został uderzony w prawą kość policzkową, na tyle mocno, by została pogruchotana, i to tak, że przez zmasakrowane ciało prześwitywały białe kawałki czaszki. Dostał także cios w głowę i w jego włosach widać było zakrzepłą krew. Przez otwarte okiennice wleciały muchy, które obsiadły zwłoki. Odpędziłem je, nagle zagniewany.

— Rany na głowie silnie krwawiły — zauważył Cecil dość spokojnie, choć zatrzymał się kilka stóp od łóżka.

— Został zabity w taki sam sposób jak Greening - odparłem. - Uderzeniami w głowę. A wózek z plandeką miał posłużyć do wywiezienia zwłok. Nie chcieli hałasu ani zamętu. — Ponownie spojrzałem

na ciało. Z jakiegoś powodu przypomniał mi się leżący na łożku Bealknap. Ale on był schorowany, gotowy na śmierć, podczas gdy Elias miał zaledwie osiemnaście lat i był pełen życia. Spojrzałem na Cecila.

- Czy naprawdę wierzysz w to, co powiedziałaś, że Elias jest teraz bezpieczny w ramionach Jezusa? Młody prawnik wyraźnie poczuł się urażony.

- Oczywiście, że tak. Czy chcesz, byśmy pomodlili się za niego, tak jak obiecałem jego matce? — zapytał ze skrepowaniem.

- Nie — odrzekłem krótko i spytałem szorstko: — Co zamierzasz zrobić ze zwłokami?

- Lord Parr ma pewne kontakty. Mniemam, że każde wywieźć ciało i pochować je gdzieś na bagnach Lambeth.

Popatrzyłem na niego.

- Tak postępował lord Cromwell... z ciałami, których chciał się pozbyć. Pamiętam.

Cecil odpowiedział twardym spojrzeniem swych wyłupiastych oczu.

- Na szczytach władzy, komisarzy Shardlake, zawsze są ludzie, którzy działają w ciemności.

Powinieneś to wiedzieć. Chcesz wywołać wrzawę z powodu zabójstwa dwóch radykalnych drukarzy? Którzy ponadto mają powiązania z królową? Gdyż musi ich coś z nią łączyć, nieprawdaż, skoro włączył się w to lord Parr?

Niechętnie skinąłem głową, odwracając wzrok od zmasakrowanej twarzy Eliasa.

- A co z trójką przyjaciół Greeninga, panie? Jeśli i oni nie żyją?

Odniosł się do tego sceptycznie.

- Wygląda na to, że wszyscy uciekli. Może dowiedzieli się, że ci, którzy zabili Greeninga, czyhają także na nich.

Przyznałem mu rację. Brzmiało to prawdopodobnie.

- Chciałbym coś zrobić dla tej biednej kobiety — powiedziałem.

- Zwróć się w tej sprawie do lorda Parra.

- Tak by życzyła sobie królowa.

- Przyślij tu kogoś w najbliższym czasie - dodałem.

*

Zostawiliśmy zrozpaczoną panią Rooke siedzącą przy stole i wyszliśmy. Obejrzelśmy stojący za drzwiami wózek; należał do tych tanich, drewnianych, ze starą, cienką plandeką. Był bezwartościowy, jednak wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś po prostu porzucił go na ulicy.

Wróciliśmy powoli na Paternoster Row.

- Dlaczego Elias nie uciekł z pozostałymi? - spytał Cecil.

- Ponieważ miał na utrzymaniu matkę i siostry. Nie mógł ich tak po prostu zostawić.

Zgodził się ze mną.

- Pójdę zdać raport lordowi Parrowi. Zapewne będzie chciał z tobą porozmawiać, kiedy jutro przybędziesz do garderoby Jej Królewskiej Mości. Ze swym pomocnikiem, tym, który pracował dla lorda Cromwella — dorzucił, zerkając na mnie z ciekawością.

— Cromwell był twardym, bezwzględny człowiekiem. Jednak miał swoje przekonania. Gdyby mógł zobaczyć, kim okazali się jego protegowani... Paget, Rich, Wriothesley... pomagając Gardinerowi w walce z tym wszystkim, w co wierzył... - Pokręciłem głową.

— Układ sił w Tajnej Radzie się zmieni. Niebawem wrócą z Francji sir Edward Seymour i lord Lisle. Wzmocnieni traktatem pokojowym, który zawarli. To przyda im blasku w oczach króla.

- Czy pokój się utrzyma?

- Och, zapewne. Pieniądz tak się zdewaluował, że w Europie nikt nie chce przyjmować angielskiej waluty. Niemieccy bankierzy, którzy pożyczali królowi na wojnę, nie dadzą mu już nic. — Uśmiechnął się ze smutkiem. - Anglia jest bankrutem, panie.

- W istocie.

- Lecz jeśli zdołamy rozwiązać tę sprawę, tak by królowa nie poniosła szwanku, reformatorzy być może zmienią bieg spraw. - Mówił spokojnie, obojętnie, jednakże zdałem sobie sprawę, że dużo wie. Ponownie utkwił we mnie swe bystre spojrzenie, uchylił beretu i skłonił mi się. - Dobrego wieczoru, panie,

Odwrócił się i ruszył w stronę rzeki oraz przeprawy do pałacu Whitehall.

Rozdział piętnasty

Szedłem cichymi ulicami do domu, intensywnie myśląc. Dwaj ludzie nie żyli, trzech uciekli, a ja ani trochę nie zbliżyłem się do rozwiązania tajemnicy, kto ukradł dzieło królowej i dlaczego. Czułem się bardzo samotny. Nie mogłem zdradzić Cecilowi zbyt wiele; nie wiedział zatem o zaginionej księdze. Jedynymi osobami, z którymi mogłem szczerze rozmawiać, byli lord Parr i królowa.

Dotarwszy do Chancery Lane, skręciłem w stronę Lincoln's Inn. Musiałem się dowiedzieć, czy to z powodu śmierci Bealknapa były dzwony. Odźwierny wygrzewał się na słońcu, siedząc w progu stróżówki.

- Dobrego dnia, komisarzy Shardlake.
- Tobie też. Słyszałem wcześniej bicie dzwonów.

Odparł pobożnym tonem:

- Zmarł pan Stephen Bealknap, niech Bóg zlituje się nad jego duszą. Kobieta, która się nim opiekowała, już zamówiła trumnę. - Wskazał ruchem głowy dziedziniec. - Właśnie ją wniesiono. Zabiorą go do koronera, tam gdzie do pogrzebu przechowuje się zwłoki, gdyż nieboszczyk nie miał rodziny.

- Istotnie.

Zmrużył oczy.

- Chyba nie będzie ci go brakowało, panie. — Odźwierny wiedział o wszystkim, co działo się w stowarzyszeniu, w tym także o mej długoletniej niechęci z Bealknapem.

- W obliczu śmierci wszyscy jesteśmy równi - odparłem, odpłacając mu tą samą monetą. Pomyślałem, że kiedy rozejdzie się wieść o grobowcu, którego zażyczył sobie w testamencie nieboszczyk, będzie miał o czym plotkować. Wszedłem do kwatery Bealknapa. Okiennice w jego pokoju były otwarte. Z progu dochodził rumor, ponieważ dwaj mężczyźni właśnie wynosili tanią trumnę.

- Lekka, hę? - zauważył jeden.
- Akurat dobrze w taki upalny dzień jak dzisiejszy.

Wynieśli trumnę za bramę. Załany słońcem dziedziniec był pusty.

Należało do zwyczaju, że kiedy umierał członek stowarzyszenia, jego przyjaciele wychodzili na zewnątrz podczas wynoszenia trumny. Nikt się jednak nie zjawił, by opłakiwać Bealknapa.

Odszedłem, zmierzając do domu. Doskwierał mi głód, znowu nie zjadłem lunchu. Otworzywszy drzwi, usłyszałem Martina Brocketa, który krzyczał w kuchni.

- Odpowiadasz przede mną, Josephine, a nie przed moją żoną! I to mnie masz powiedzieć, gdzie byłaś!

Stanąłem w progu kuchni. Martin patrzył na Josephine. Jego twarz, zazwyczaj pozbawiona wyrazu, nabiegła krwią. Przypominałem sobie, jak niegdyś dziewczyna trzęsła się z lęku przed ojcem, więc z zadowoleniem zobaczyłem, że tym razem nie dała się zastraszyć i wytrzymała jego spojrzenie, na co poczerwieniał jeszcze bardziej. Agnes stała z boku, załamując ręce, a Timothy kulił się przy oknie, jakby chciał stać się niewidoczny.

- Nie, Martinie - odezwałem się ostro. — Josephine odpowiada przede mną. Jest moją służącą, tak samo jak ty.

Martin łypnął na mnie. Stanowił niemal komiczny widok, kiedy tak usiłował przybrać swą zwykłą pełną szacunku minę.

- Dlaczego tak krzyczysz na tę dziewczynę? — zapytałem.

- Moja żona - machnął ręką, wskazując Agnes - pozwoliła jej wyjść z tym młodym człowiekiem, nie pytając mnie o zgodę. A ta późno wróciła. Obiecała Agnes, że będzie tu o trzeciej, a zbliża się już czwarta.

Wzruszyłem ramionami.

- Dziś ma wolne. Może wracać, kiedy chce.

- Jeśli spotyka się z mężczyzną, powinienem o tym wiedzieć.
- Wiedziałaś. Żona ci powiedziała. I patrzyłeś, jak Josephine wychodzi, widziałem to.
- Dla przyzwoitości powinna wrócić, jak zapowiedziała. — Prawie już wrzeszczał.
- Jest dorosła, może wracać, gdy to uzna za stosowne. Pamiętaj, Josephine, jeśli wychodzisz z panem Brownem w dzień, kiedy masz wolne, to jeśli tylko uprzedzisz o tym Martina, Agnes albo mnie, możesz wrócić o dowolnej porze, byle przed godziną, policyjną.

Dziewczyna dygnęła.

- Dziękuję-ci, jaśnie panie. - Rzuciła Martinowi triumfalny uśmiezek.
- I nie chcę słyszeć więcej krzyków - dodałem. — Nie będę tolerował w swym domu awantur.

Josephine, przynieś mi chleba i sera. Nie jadłem lunchu.

Wyszedłem. Nie miałem zamiaru wspierać młodszego służącego w konflikcie ze starszym, i to w obecności tego ostatniego, lecz Martin mnie (Zirytował. Nie mogłem zrozumieć, co się dzieje między nim a Josephine. Przez okno zobaczyłem, że Timothy wymyka się z kuchni i wraca przez podwórko do stajni. Pod wpływem impulsu poszedłem za nim.

*

Chłopak siedział na swym zwykłym miejscu, na odwróconym wiadrze obok Genesis. Przemawiał do niej cicho, jak robił to często. Nie słyszałem słów. Kiedy na próg padł mój cień, Timothy podniósł głowę, odgarniając z twarzy ciemne włosy.

Zacząłem od niechcenia:

- Pan Brocket bardzo się rozgniewał na Josephine.
- Tak, jaśnie panie - przytaknął skwapliwie.
- Czy już wcześniej na nią krzyczał?
- On... lubi trzymać nas w ryzach. - Patrzył na mnie ze zdziwieniem, jakby chciał powiedzieć, że

taki jest porządek rzeczy.

- Czy jest jakaś przyczyna tej wrogości między nimi? No, powiedz, wiem, że lubisz Josephine. Jeśli jest jakiś problem, pomogę jej.

Pokręcił głową.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że się nie lubią, ale nie wiem dlaczego, jaśnie panie. Na początku nie było tak źle, ale od kilku miesięcy ona patrzy na niego z niechęcią, a on przy każdej okazji ją beszta.

- Dziwne. - Zmarszczyłem brwi. - Zastanawiałaś się nad tym, o czym mówiłem wcześniej, że może poszedłbyś do terminu?

Timothy odparł gwałtownie:

- Wolałbym tu zostać, jaśnie panie. Pracować w stajni, przy Genesis. Ulice na zewnątrz... - Pokręcił głową.

Przypomniało mi się, że zanim wziąłem go do siebie, przez wiele lat był bezdomnym ulicznikiem. Mój dom stanowił jedyne bezpieczne miejsce, jakie znał. Jednak chłopak w jego wieku powinien przebywać z rówieśnikami.

- To nie byłoby jak w czasach, zanim tu przyszedłeś - powiedziałem łagodnie. - Postarałbym się, byś trafił do dobrego majstra, nauczyłbyś się jakiegoś rzemiosła. - Gdy patrzył na mnie wielkimi brązowymi oczami, pełnymi strachu, ciągnąłem dalej, na próbę: -Młodemu człowiekowi, takiemu jak ty, nie służy samotność.

— Jestem sam tylko dlatego, że Peter został odesłany — odparł obronnym tonem.

- Chcę mu zapewnić godziwą przyszłość, tak jak zapewniłbym tobie. Niewielu chłopców dostaje taką szansę.

- Wiem, jaśnie panie. - Pochylił głowę.

Westchnąłem.

- Wrócimy do tego jeszcze.

Nie odpowiedział.

*

Udałem się do swego pokoju, w którym Josephine zostawiła chleb, ser, bekon i kufel piwa. Usiadłem przy stole, by się posilić. Zalany słońcem ogród za oknem tonął w zieleni, a znajdująca się w głębi altanka była rozkosznie ocieniona. Pomyślałem, że to dobre miejsce, by posiedzieć i uporządkować splątane myśli.

Na stole leżał list od Hugh Curteysa. Złamałem pieczęć. Mój podopieczny, jak przeczytałem, awansował i dostał stałą posadę w jednym z angielskich magazynów, a teraz myślał o karierze kupca. W dalszym ciągu listu przekazywał najnowsze wieści z Antwerpii:

Dwa dni temu w gospodzie zawarłem znajomość z pewnym Anglikiem, który był rad, że spotkał kogoś, kto mówi w jego języku. Był przez kilka lat guwernerem w rodzinie z Wiltshire, człowiekiem dobrze ustosunkowanym. Jest radykałem, jeśli chodzi o religię, i jego chlebowadcy, choć nie skarżyli się na niego, mieli obawy, że znajomość z kimś takim jak on może im zaszkodzić. Dali mu trochę pieniędzy i wysłali go do Antwerpii. Nie mogę się nadziwić, co dzieje się w Anglii. Nie pamiętam takich czasów. Mam nadzieję, że nic ci nie grozi.

Byłem ciekaw, czy trzej przyjaciele Greeninga także zbiegli na kontynent. W portach należałoby wystawić strażę i ze smutkiem zdałem sobie sprawę, że może już być na to za późno. Przeczytałem do końca list Hugh:

Wczoraj, kiedy byłem w rachubie na nabrzeżu, wskazano mi pewnego człowieka, który stał razem z innymi i patrzył na statki.

Miał długą siwą brodę, ciemną szatę i bystrą czujną twarz z wyrazem pogardy. Powiedziano mi, że to sam John Bale, autor sztuk wymierzonych przeciwko papieżowi i nie tylko. Gdyby król Henryk dostał go w swe ręce, skazałby go na stos. Inkwizycja niewiele może tu, w Antwerpii, ze względu na handel, albowiem całe Niderlandy są pod panowaniem Hiszpanii, lecz słyszę, że Bale nie pokazuje się publicznie zbyt często. Może organizował przerzut kolejnych zakazanych ksiąg do Anglii. Byłem rad, że zawrócił i odszedł.

Odłożyłem list. Pomyślałem: John Bale, „Swarliwy Bale”. W rzeczy samej, był cierniem w oku Gardinera i jego ludzi. Dobrze, że przebywał bezpiecznie za granicą.

Wyszedłem do ogrodu z piórem, kałamarzem, papierem oraz dzbanem wina i usiadłem w pawilonie. Cienie już się wydłużały, lecz powietrze było nadal ciepłe, i z przyjemnością zamknąłem oczy. Musiałem jednak uporządkować myśli.

Zacząłem spisywać chronologicznie fakty, poczynając od powstania zimą *Lamentacji*. W czerwcu królowa, jak mówiła, pokazała gotowy manuskrypt arcybiskupowi Cranmerowi i sprzeciwiła mu się, kiedy powiedział, że powinna to dzieło *zniszczyć*.

Potem, piątego lipca, nastąpiło pierwsze włamanie do drukarni Greeninga, którego świadkiem był Elias. Dokonali go dwaj nędznie odziani mężczyźni, jeden z uciętym uchem. Później, dziewiątego, królowa odkryła, że manuskrypt zniknął, skradziony w czasie, gdy przebywała u króla, między szóstą a dziesiątą wieczorem. Nikt nie mógł wiedzieć, że król wezwie ją do siebie, co oznaczało, że ktoś czekał na okazję, mając duplikat klucza. Aż wzdrygnąłem się na myśl, że jakiś człowiek w otoczeniu królowej tylko czyhał, by ją zdradzić,

Pomyślałem o kluczu. Królowa stale nosiła go na szyi, więc istnienie duplikatu nie budziło wątpliwości. A zatem musiał go wykonać jej ślusarz albo ktoś, kto miał dostęp do oryginału, zanim trafił on do rąk królowej. Uznałem, że wizyta w zamku Baynard's nazajutrz może okazać się ważna.

Rozsiadłem się wygodniej, myśląc o osobach, które poznałem w Whitehall. Nie wyobrażałem sobie, by któryś z paziów czy Mary Odell wykradli księgę. Lecz co do Jane nie miałem już takiej pewności. Coś mi mówiło, że nie jest taka głupia, jaką udaje, choć to wcale nie musiało świadczyć o jej winie. No, i służyła nie tylko królowej, lecz także lady Marii. Przypomniałem sobie opowieść Mary Odell o dziwnym

zachowaniu wartownika pełniącego straż tamtego wieczoru, kiedy skradziono manuskrypt. Postanowiłem się dowiedzieć, co ustalił w tej sprawie lord Parr.

Uniosłem głowę i spojrzałem na zieloną koronę wielkiego wiązu, rosnącego obok altanki. Liście poruszały się pod wpływem lekkiego wiatru, wiejącego do rzeki, rzucając ładne kalejdoskopowe cienie na podłogę. Popatrzyłem na dom, kręcąc głową. Najważniejsze pytanie pozostawało wciąż bez odpowiedzi. Skąd ktoś wiedział, że *Lamentacje* w ogóle istniały?

Zanotowałem następną ważną datę. Jedenastego lipca, morderstwo Armisteady Greeninga - dwaj mężczyźni, którzy przyszli go zabić i zatrzeć ślady poprzez wzniesienie pożaru, wyrrywają mu z ręki rękopis *Lamentacji*. Nie byli to ci sami napastnicy co poprzednio, choć także młodzi i nędznie ubrani. Jeden z tych pierwszych piątego lipca miał na sobie koszulę z koronkowymi mankietami, charakterystycznymi dla dżentelmena. Przypomniałem sobie, co stary sługa mistrza Okedene powiedział o człowieku biorącym udział we wcześniejszej napaści, tym z uciętym uchem: „Wyglądało, jakby zostało ucięte mieczem, nie jak po przybiciu do pręgierza”. Pewnie więc brał on udział w pojedynku na miecze, a tę broń wolno było nosić tylko dżentelmenom, takim jak Nicholas. A jeśli w obu najściach uczestniczyli ludzie o wysokiej pozycji, ubrani jak nędzarze dla niepoznaki? - pomyślałem. Jeżeli wszyscy czterej napastnicy pracowali dla tej samej osoby? Nie wyjaśniało to jednak tajemnicy klucza, gdyż w czasie, kiedy miał miejsce pierwszy atak, *Lamentacje* spoczywały jeszcze w kufrze. Czyżby obie pary napastników szukały czegoś innego i druga przypadkiem znalazła dzieło królowej?

Po śmierci Greeninga jego przyjaciele, z wyjątkiem Eliasa, uciekli. Wcześniej zostali przesłuchani przez konstabla i wszyscy mieli alibi. Zacząłem się zastanawiać, czy wyjechali, gdyż bali się prześladowań religijnych, czy z jakiegoś innego powodu. Został tylko nieszczęsny Elias, ponieważ potrzebowały go matka i siostry, i w efekcie został zabity przez tych samych ludzi, którzy zabili Greeninga.

Była też nowa zagadka: ostatnie słowa, jakie wypowiedział do matki przed śmiercią. „Zginąłem za Annę Askew”. Byłem ciekaw, czy znajomi Greeninga mieli z nią powiązania, zanim ją pojmano, i bali się, że to wyjdzie na jaw.

Skupiłem się na tej grupie. Według mistrza Okedene oprócz samego Greeninga i Eliasa należało do niej jeszcze ze dwóch ludzi, przychodzących na spotkania od czasu do czasu, ale jej trzon stanowili trzej mężczyźni, którzy zniknęli. Spisałem ich: McKendrick, szkocki żołnierz, Curdy, wytwórca świec, i Vandersteyn, kupiec holenderski. Religijni radykałowie, prowadzący w drukarni potencjalnie niebezpieczne dysputy. Być może sakramentarianie albo nawet anabaptyści.

I dziwnym trafem *Lamentacje* trafiły właśnie do rąk Greeninga.

Wiadomo było, że grupy radykałów prowadzą zażarte dysputy, co często prowadzi do rozpadu w ich łonie. Okedene słyszał, że ci ludzie głośno się spierali. A jeśli w jakiś sposób ukradli manuskrypt i zamierzali go wydać na dowód, że królowa sympatyzuje z radykalizmem religijnym? - przyszło mi do głowy. Może myśleli, że porwą za sobą lud, albowiem królowa cieszyła się wielką popularnością. Oczywiście, ten pomysł byłby szalony i skończyłby się śmiercią Jej Królewskiej Mości. Lecz religijni radykałowie byli ograniczeni i naiwni, jeśli chodzi o znajomość polityki.

Wstałem i zacząłem krążyć tam i z powrotem. To czyste spekulacje, powiedziałem sobie. I według słów mistrza Okedene ci ludzie przed śmiercią Greeninga spierali się nie o królową, lecz o tego tajemniczego

Dziurony'ego Bertana, którego nazywali sługą. Antychrysta i który miał przybyć do Anglii, ale poza tym nic nie było o nim wiadomo. Zanotowałem i to nazwisko, fonetycznie, gdyż nie wiedziałem, jak się je pisze, i postanowiłem, że spytam Guya, jakiej narodowości może być jego właściciel.

I wreszcie zapisałem kolejne nazwisko, ostatnie. Bealknapa. To była już całkowita zagadka, w dodatku bardzo niepokojąca. Wydawał się pewny, że zarówno królową, jak i mnie spotka coś złego. Jednakże po namyśle wykreśliłem jego nazwisko. To, co powiedział na łożu śmierci, zapewne odnosiło

się do polowania na heretyków i stanowiło wyraz nadziei, że przed śmiercią ujrzy nas oboje na stosie.

Odłożyłem pióro i zapatrzyłem się na ogród, już niemal całkowicie pogrążony w cieniu. Pomyślałem o królowej. Ten jej ewangelizm, pragnienie, by głosić swą wiarę, sprawiły tylko, że zapomniała o swej zwykłej ostrożności i zdrowym rozsądku. Teraz, pełna poczucia winy, bardzo tego żałowała. Same *Lamentacje* może nie były heretyckie, lecz świadczyły o braku lojalności wobec króla, gdyż pisała je w tajemnicy. Tego nie dałoby się łatwo wybaczyć. Król nie pozwolił nękać jej bez powodu, kiedy została zaatakowana przez Gardinera, ale gdyby zobaczył manuskrypt, a jeszcze gorzej - wydrukowane dzieło... Pokręciłem głową na myśl, jaki mógłby spotkać ją los.

Rozdział szesnasty

Nazajutrz, w poniedziałek, Barak stawił się u mnie z samego rana. Jego kara klacz, Sukey, wyraźnie się postarzała, jak zauważyłem, gdy jechaliśmy Fleet Street wzdłuż murów miejskich. Niebo przybrało mleczny kolor, który mógł zwiastować letnią burzę.

- Bealknap zmarł wczoraj — powiedziałem.
- Ten to poszedł prosto do piekła.
- Wyznał mi, że nie wierzy w życie po śmierci. Był niemiły do samego końca.
- Mówiłem ci, panie.
- Tak, mówiłeś.
- I teraz ta sprawa. Z kufrem. Co się za nią kryje? - Zobaczyłem, że ciekawość wzięła w nim górę. Zawahałem się, lecz pomyślałem, że mogę mu nieco zdradzić.
- Skradziono z niej coś. Ale lepiej, byś nie wiedział co takiego.

Właśnie przejechaliśmy pod London Bridge i konie spłoszył brzęk garnków i patelni. Ujrzeliśmy wieszoną na koniu niewiastę w średnim wieku, zwróconą plecami do kierunku jazdy i ubraną jedynie w koszulę oraz stożkową czapę z literą „M”. Mąciicielka. Głowę miała pochyloną. Płakała. Konia prowadził mężczyzna z surową miną, a obok biegła gromadka dzieci, waląc patykami w garnki i patelnie; było tam też kilku dorosłych.

- Mąciicielka prowadzona pod pręgierz - skomentował Barak.
- Uhm, sądy biskupa Bonnera nie lubią, kiedy kobiety okazują nieposłuszeństwo.
- O, tak. A ci wokół to pewnie jej sąsiedzi. Jak niewiele ludziom trzeba, by zwrócili się przeciwko sobie.

*

Dojechaliśmy do Thames Street, przy której, nad rzeką, wznosił się zamek Baynards. Była to stara budowla, jak wszystkie siedziby królewskie odnowiona i rozbudowana przez Henryka. Widziałem z rzeki wielokrotnie — jej wysokie czteropiętrowe wieże wyrastały wprost znad Tamizy. Od czasu Katarzyny Aragońskiej stanowiła oficjalny rezydencję królowej, pełniąc także funkcję garderoby, gdzie zajmowano się strojami jej samej oraz jej dwórek. Obecnie mieszkała tu siostra Katarzyny Parr, Anna, z mężem, sir Williamem Herbertem, który właśnie otrzymał tytuł hrabiego Essex i wyższego urzędnika na dworze królewskim. W ostatnich latach awansowali wszyscy Parrowie, a brat królowej, noszący jak stryj imię William, należał do Tajnej Rady.

Z ulicy do zamku prowadziła wielka brama, której strzegli wartownicy w liberii królowej, gdyż w środku znajdowało się wiele kosztownych rzeczy. Zsiadliśmy z koni. Po sprawdzeniu naszych nazwisk na liście wpuszczono nas za bramę, a nasze wierzchowce odprowadzono do stajni. Dziedziniec zamku Baynards w większym stopniu niż pałacu Whitehall zdawał się miejscem, gdzie prowadzono interesy. Dwaj kupcy głośno kłócili się o belę materiału, którą trzymali między sobą, a tuż obok kilku ludzi wyładowywało z wozu wielką skrzynię.

Obecni na dziedzińcu zamilkli, kiedy bramą, przy wtórze stukotu kopyt, wyjechała konno grupa: dwaj bogato odziani mężczyźni i kobieta, którym towarzyszyło kilku służących. Dotarli do łuku prowadzącego na wewnętrzny dziedziniec. Zauważyłem, że kobieta jest bardzo podobna do królowej, i uświadomiłem sobie, że to Anna Parr. Jadącym przy niej czarnobrodym czterdziestokilkuletnim mężczyzną, o żołnierskiej postawie, musiał być sir William Herbert. Drugi mężczyzna był wysoki i szczupły, miał pociągłą twarz z zapadniętymi policzkami i krótką kasztanową brodą. Zauważywszy jego podobieństwo do królowej, domyśliłem się, że to William Parr, hrabia Essex. Wszyscy wyniośle potoczyli wzrokiem po zgromadzonych na dziedzińcu — a my, kiedy przejeżdżali obok nas, na znak szacunku zdjęliśmy czapki.

Drzwi na głównym dziedzińcu się otworzyły i wyszedł przez nie lord Parr. Miał na sobie ciemną jedwabną szatę i graby złoty łańcuch. Anna Herbert pomachała do niego z konia i skłoniła mu się. Kiedy

lord Parr do niej podszedł, jej mała świta stanęła. Tego dnia wspierał się na lasce. Bratanek i bratanica powitali go i wymienili z nim kilka słów, a ja, korzystając z okazji, otworzyłem sakwę i wyjąłem tożę z odznaką królowej. Barak gwizdnął.

- Więc zostałeś zaprzysiężony na członka jej dworu, panie?
- Tylko na czas śledztwa.

Lord Parr oddalił się od swych krewnych, którzy wjechali na wewnętrzny dziedziniec, i ruszył w naszą stronę.

- Nie wygląda zbyt dobrze — zauważył cicho Barak.
- Istotnie. Zbliża się do siedemdziesiątki i chyba dąży mu odpowiedzialność.
- A wszystko to z powodu kradzieży tego czegoś, cokolwiek to jest - odparł sceptycznie Barak. Nie odpowiedziałem. Skłoniliśmy się lordowi Parrowi nisko.

- Komisarzu Shardlake, przybyłeś na czas — powiedział z aprobatą. - A to musi być twój pomocnik, Barak, znawca kluczy i zamków.

- Służę wszelką pomocą. — Barak wiedział, kiedy należy okazać szacunek.
- To dobrze. Kufer jest w środku. Kazałem go tu sprowadzić pod pretekstem, że wymaga naprawy. Lecz najpierw, komisarzu Shardlake, proszę o chwilę rozmowy w cztery oczy. — Otoczył mnie ramieniem i odprowadził na bok. Barak został z tyłu lekko skonsternowany.

- Dowiedziałem się od Williama Cecila, co spotkało młodego terminatora. - Lord Parr z poważną miną pogładził się po siwej brodzie.

- Myślałem, że Cecil będzie tu dzisiaj.

Pokręcił głową.

- Im mniej ludzi będzie zajmować się tą sprawą, tym lepiej. Oficjalnie przybyłem tutaj, by zjeść obiad z bratankiem i bratanicą. Co zatem sądzisz o śmierci tego chłopaka?

Opowiedziałem mu o swych wczorajszych przemyśleniach.

- Greening, Elias i pozostała trójka mieli powód, by się bać. Nie wiem tylko, czy któryś z nich oprócz Greeninga miał jakiś związek z *Lamentacjami*. Zastanawiam się, Wasza Lordowska Mość, czy pani

Askew porozumiewała się z królową i mogła wiedzieć o jej dziele, czy nie torturowano jej właśnie po to, by coś z niej na ten temat wydobyć.

Pokręcił głową.

- Królowa nigdy się z nią nie zetknęła. Pani Askew miała znajomości na obrzeżach dworu, owszem, i chętnie spotkałaby się z królową, ale moja bratanica i ja byliśmy zbyt ostrożni, by na to pozwolić. Postarałem się, by Anna Askew nawet nie zbliżyła się do otoczenia królowej.

- A jednak z jakiegoś powodu była torturowana. Notabene, musiał to ujawnić ktoś z Tower. Czy można się wywiedzieć, kto to był?

Lord Parr zastanowił się nad tym.

- Kiedy podczas egzekucji wyszło na jaw, że plotki o torturowaniu Anny Askew są prawdziwe, pomyślałem, że w Tower podejmą kroki, by wykryć, kto jest ich źródłem. Bo jak mówisz, ktoś musiał puścić parę z ust. Ale nic więcej nie wiem. — Ściągnął brwi. - Dowódca Tower, sir Edmund Walsingham, był moim poprzednikiem na stanowisku kanclerza królowej i jest naszym przyjacielem. Zasięgnę języka. Tymczasem zaś chciałbym, byś jutro przyszedł do pałacu i przesłuchał wartownika, który pełnił straż tamtego wieczoru, kiedy skradziono manuskrypt. Rankiem ma być na służbie.

- Dziękuję, Wasza Lordowska Mość. A tamci trzej zbiegowie: Curdy, McKendrick i ten Holender. Trzeba ich koniecznie przesłuchać. Zastanawiam się, czy nie zamierzali wykorzystać księgi do jakiejś niedorzecznej intrygi. Może nawet pokłócili się o to i któryś z nich zabił Greeninga, a potem zbiegł z księgą.

Lord Parr zacisnął usta.

— Jeśli tak, mamy do czynienia raczej z głupcami niż wrogami. - Pokręcił głową. — Jednak to przede wszystkim tacy ludzie mogli wejść w posiadanie dzieła.

- Nie wiem.

— Lecz należy ich znaleźć.

— Niewątpliwie. - Dodałem: - Myślałem o tym drugim drukarzu, Okedene, czy teraz on nie jest w niebezpieczeństwie.

— Powiedział nam już wszystko, co wie.

— Mimo to... jego życie...

Lord Parr wyraźnie się zniecierpliwił.

- Nie mam nieograniczonych rzesz ludzi, których mógłbym zatrudnić do tej sprawy, a prócz Cecila żadnego, którego darzyłbym całkowitym zaufaniem. Nie dysponuję siatką szpiegów jak twój dawny zwierzchnik, Cromwell, czy sekretarz Paget — rzucił uszczypliwie. — Poprosiłem Cecila, by miał oczy i uszy otwarte. I mogę mu zlecić, by przekupił kogoś w urzędzie celnym... to dobry pomysł... i wywiedziało się, czy ktokolwiek przypominający z opisu tych trzech nie spróbował wejść na statek. I by dał w łapę któremuś robotnikowi portowemu, aby obserwował, co się dzieje.

Przypomniałem sobie list od Hugh.

- W ostatnich czasach wielu radykałów wyjeżdża za granicę.

Lord Parr mruknął:

- Jeśli to nie jest nikt ważny, władze się nie sprzeciwiają. Cieszą się, że mogą się ich pozbyć.

- Może ci ludzie już zdążyli wyjechać. Ale jeśli zostaną zauważeni, czy da się ich zatrzymać? Może pod pretekstem udziału w kradzieży zaginionego klejnotu?

- Tak, słusznie. Pomówię z Cecilem. — Lord Parr uniósł palec ostrzegawczym gestem. — Ale pamiętaj, panie, że moje wpływy także są ograniczone. Królowa zaś musi uważać na każdy swój krok. — Westchnął głęboko. — Jeśli chodzi o mnie, wolałbym wrócić na wieś. - Pokręcił głową. — Od zniknięcia *Lamentacji* minęły już prawie dwa tygodnie i nic, żadnych wiadomości.

- A zginęło dwoje ludzi.

- Trudno o tym zapomnieć. Jednak wciąż nie wywiedziałem się niczego o człowieku z uciętym uchem, który by pracował dla kogoś na dworze. - Nagle, pod całym tym okazałym strojem, dostrzegłem zagubionego i przestraszonego starca. - Napytaliśmy sobie biedy. Niewątpliwie te dwie napaści na drukarnię Greeninga są z sobą powiązane. Jednak, kiedy doszło do pierwszej z nich, *Lamentacje* nie zostały jeszcze skradzione. A niech to zaraza! - wykrzyknął płaczliwie, stukając laską o bruk. Potem jednak opanował się i odwrócił w stronę Baraka.

- Czy będzie działał w tej sprawie jako twa prawa ręka?

- Nie, Wasza Lordowska Mość, obawiam się, że jego rodzinne zobowiązania...

Lord Parr mruknął ze zniecierpliwieniem:

- Zbytnią wyrozumiałość w stosunku do podwładnych nie jest bynajmniej zaletą. Nie służy interesom. Każę jednak przesłać trochę pieniędzy matce tego terminatora, kiedy już zabierzemy jego dało. I poradzić jej przy okazji, by opuściła Londyn.

- Dziękuję ci, Wasza Lordowska Mość.

Kolejny pomruk.

- Naraziłbym się królowej, gdybym nie pomógł tej biednej kobiecie. Poza tym będzie dla niej lepiej, jeśli usunie się w cień. Czy wzięłaś z sobą tę koronkę, którą znalazł twój pomocnik?

- Mam ją w sakwie.

- To dobrze. Po spotkaniu z panem Barwikiem, stolarzem i ślusarzem, zostaniesz zaprowadzony do hafciarza. Nazywa się Hal Gullym.

- Od dawna jest w służbie królowej?

- Nie tak długo jak Barwic, który wykonał kufer. Zatrudniono go cztery lata temu, kiedy

powoływano dwór królowej. Jak wszyscy inni w zamku Baynards należy do *domus providenciae*, służby, rzemieślników. Ma powód, by być lojalnym i posłusznym. Praca dla dworu to wyniesienie na szczyt w danej profesji. Jak każdy rzemieślnik w Londynie nie chciałby pracować nigdzie indziej. - Mówił to protekcjonalnie, pomyślałem, jak arystokrata o ludziach żyjących z pracy swych rąk. — Dlatego Hal Gullym chętnie pomoże w śledztwie, służąc swą fachową wiedzą. A teraz... - Z fałd szaty wyjął klucz, wciągnął na złotym łańcuchu, i wręczył mi. — Pilnuj go jak oka w głowie.

- Oczywiście.

- Wartownik z jasną brodą, którego zobaczysz przy wejściu, został powiadomiony, że przybędziesz badać sprawę kradzieży klejnotu, więc zaprowadzi cię na miejsce, zaczeka, gdy będziesz oglądał skrzynię, a potem zabierze cię do Barwica i Gullyma. Jeśli odkryjesz coś ważnego, prześlij wiadomość do pałacu. Jeżeli nie, przyjdź do mnie jutro o dziesiątej rano. - Lord Parr odwrócił się i zawołał do Baraka: - Chodź, dobry człowieku! Twój pan już wie, co macie robić. - I pokuśtykał w stronę wewnętrznego dziedzińca, by dołączyć do rodziny.

*

Wnętrzom budynku, do którego zawiódł nas strażnik, daleko było do pałacu Whitehall mimo wszystkich pięknych gobelinów zdobiących ściany. W tej części zamku szyto i reperowano garderobę. W dobrze oświetlonej sali pracowały przy stołach hafciarki oraz szwaczki. Wszędzie połyskiwał jedwab, w powietrzu zaś unosiły się urzekające wonie materiałów. Przypomniało mi się to, co powiedziała królowa: że te piękne suknie przechodzą z jednej królowej na drugą.

Na ten widok Barak pokręcił głową.

- Wszyscy ci ludzie zajmują się strojami królowej i jej dworu?

- Są ich setki. Ubrania, pościel, dekoracje, wszystko musi być najlepszej jakości i w doskonałym stanie. — Skinąłem na strażnika, który skłonił głowę, a następnie zaprowadził nas do jednych z bocznych drzwi. Zostaliśmy powiedzeni korytarzem do dużego pomieszczenia, gdzie znajdowały się szafy, w których trzymano spódnice i gorsety. Na stole stała należąca do królowej wielka, ciężka skrzynia. Rozpoznałem charakterystyczny czerwono-złoty dywanik na wieku. Była wykonana z drewna, z mocnymi żelaznymi okuciami na każdym rogu. Barak obszedł ją, pomacał drewno, spojrzął na zamek, a potem podniósł wieko i zajrzał pod nie. Kufer był pusty z wyjątkiem przegródek z boku, gdzie trzymano drobne kosztowności.

- Solidna robota. Trzeba siekiery, by się włamać. Sama skrzynia jest stara, lecz zamek nowy. - Pochylił się i postukał pięścią w boki oraz dno. — Nie ma żadnych skrytek.

- To dawna pamiątka rodzinna.

Spojrzał na mnie bystro.

- Królowej?

- Tak. Wiosną kazała wstawić nowy zamek, poprzedni był.. stary.

Przykucnął i obejrzał zamknięcie, od zewnątrz i wewnątrz. Potem powiedział:

- Chciałbym zobaczyć klucz. Widziałem, że lord Parr dał ci go, panie.

- Nic nie ujdzie twej uwagi, hę?

- Inaczej by mnie tu nie było.

Dałem mu klucz. Wolałbym, by nie pytał o królową. Pomyślałem jednak, że jeśli nie zdradzę mu więcej, będzie bezpieczny. Uważnie obejrzał skomplikowane zęby klucza, po czym wetknął go do zamka, a następnie bardzo ostrożnie przekręcił, otwierając i zamykając skrzynię. W końcu wyjął z portfela cienkie narzędzie, wsunął je do zamka i kilka razy obrócił, nasłuchując odgłosów, jakie powodowało. W końcu się wyprostował.

— Nie jestem największym znawcą w Anglii - zaczął. - Ale dałbym głowę, że ten zamek był otwierany jedynie kluczem. Gdyby ktoś próbował włamać się do skrzyni przy użyciu takiego narzędzia jak to, raczej by mu się to udało... ale pozostawiłby rysy, zdrapania.

— Królowa twierdzi, że zawsze nosi klucz na szyi. Nikt nie miał możliwości zrobienia jego woskowego odcisku, by wykonać duplikat. Moim zdaniem od początku musiał istnieć drugi klucz.

— A jedyną osobą, która mogła go dorobić, jest ślusarz? - zapytał Barak, unosząc brwi.

— Na to wygląda.

Zatarł dłonie, dając wyraz dawnemu podnieceniu.

— Cóż, chodźmy i zobaczmy się z nim. — Uśmiechnął się do wartownika, który patrzył na nas obojętnie.

*

Warsztat stolarski znajdował się na końcu korytarza, w dużym, dobrze wyposażonym pomieszczeniu, w którym pachniało żywicą i trocinami. Niski, potężnie zbudowany mężczyzna o regularnych rysach, ledwie widocznych spod bujnych rudych włosów i brody, ciął piłą deskę, podczas gdy jego młody terminator, podobnie jak majster odziany w biały fartuch z naszytą odznaką królowej, przy sąsiednim stole heblował kawałek drewna. Obaj przerwali pracę i skłonili się, kiedy weszliśmy. W głębi warsztatu zauważyłem zestaw narzędzi ślusarskich, leżących na ławie.

— Mistrz Barwic? — zagadnąłem.

— To ja. — Odniosłem wrażenie, że rzemieślnik trochę się przestraszył na widok mej prawniczej togi i odznaki królowej. Lecz może wiedział o kradzieży i miał świadomość, że jest podejrzanym.

— Nazywam się Matthew Shardlake i jestem komisarzem prawa. Na zlecenie lorda Parra badam sprawę należącego do królowej klejnotu, cennego nie tylko ze względu na wartość pieniężną, lecz także sentymentalną. - Obejrzałem się na terminatora, niskiego i chudego; w przeciwieństwie do nieszczęsnego Eliasa, - Czy ten chłopak pomaga ci przy ślusarce?

— Nie, panie. - Łypnął na pomocnika niechętnym okiem. - Mam dosyć kłopotów, by nauczyć go samej stolarki.

Spojrzałem na terminatora.

- Zostaw nas samych.

Barwic stał z dłońmi wspartymi na stole, marszcząc lekko czoło, kiedy chłopak wyszedł z warsztatu.

- Słyszałem o zaginięciu pierścienia. Ktoś musiał skraść klucz do skrzyni.

Pokręciłem głową.

- To niemożliwe. Królowa przez cały czas nosiła go na szyi. — Zauważyłem, że mimowolnie otworzył szerzej oczy; nie wiedział tego. - Chodźmy — powiedziałem. - Chciałbym, abyś zobaczył skrzynię.

- Jest tutaj?

- W jednym z sąsiednich pomieszczeń.

Zaprowadziliśmy go do skrzyni, którą uważnie obejrzał.

- Tak, to ja wstawiłem ten zamek, jeszcze wiosną. — Podałem mu klucz. - Zgadza się, to ten.

- I nie wykonałeś duplikatu? — zapytał Barak,

Barwic ściągnął brwi, zirytowany, jak się domyśliłem, że przepytuje go ktoś niższej rangi.

- Takie było życzenie królowej — odparł. - Nietypowe, ale skoro Jej Królewska Mość tak chciała... Skrzynię przyniesiono do mego warsztatu. Zamek był równie stary jak ona, choć jeszcze całkiem sprawny. Wykonałem nowy zamek i klucz, wypróbowałem je, po czym zgodnie z rozkazem osobiście zawiozłem skrzynię razem z kluczem do Whitehall. Przekazałem klucz bezpośrednio w ręce lorda Parra.

- W zwykłych okolicznościach zrobiłbyś zapasowy klucz, na wypadek gdyby oryginalny zgubiono?

- Tak, i wysłałbym oba panu szambelanowi. - Stracił spokój i mimowolnie podniósł głos. -

Postąpiłem tak, jak mi kazano, panie, i tyle.

- Muszę przesłuchać każdego, kto miał do czynienia z tym kufrem - odrzekłem łagodnie.

- Jestem doświadczonym rzemieślnikiem — obruszył się Barwic. - I w zeszłym roku stałem na czele

gildii stolarskiej, byłem odpowiedzialny za jej uczestnictwo we wszystkich oficjalnych uroczystościach i procesjach, a także za zaciąg żołnierzy na wojnę.

Pokiwałem z wolną głową,

- Zaszczytą funkcją. Czy wiedziałeś, co jest trzymane w skrzyni?

- Mówiono, że klejnoty i rzeczy osobiste. Panie, jeśli mi zarzucasz...

- Niczego ci nie zarzucam, mistrzu.

- Nie przywykłem, by mnie w ten sposób traktowano. - Rozłożył ręce. - Może ktoś zrobił odcisk klucza Jej Królewskiej Mości. Wtedy, gdyby zachował ostrożność, mógłby otworzyć zamek. Ktoś z dworu, tego gniazda źmij. Przecież Jej Królewska Mość nie nosi klucza na szyi przez cały czas. Jestem uczciwym człowiekiem, mam dobrą opinię, panie - dodał. - Spytaj o mnie wszystkich, którzy mnie znają. Prosty ze mnie stolarz.

- Jak sam nasz Pan — odparł z kamienną miną Barak.

*

Barak towarzyszył mi w drodze powrotnej na dziedziniec; przydzielony nam strażnik trzymał się nieco z tyłu.

- Jezu — jęknął. - A wszystko to, by dogodzić kilku kobietom.

— Więcej niż kilku. Myślę, że damy dworu dostają materiały, ale robociznę opłacają już same.

Przystanął, kiwając się na piętach.

— Ten stolarz... wyglądał mi na zaniepokojonego.

- Owszem. I w zeszłym roku był głową gildii. A to kosztuje, jak powiedział.

— Musi dobrze zarabiać.

— Mimo wszystko. A przy obecnej dewaluacji i podatkach na wojnę, które przyjdzie nam zapłacić tego roku, nikogo nie stać na rozrzutność. Może ten człowiek potrzebuje pieniędzy. Czy to możliwe, że wykonał dla kogoś duplikat? Nie wiedział, że królowa stale nosi jedyny klucz przy sobie. - Zastanowiłem się. — Zostawimy go na jakiś czas w niepewności, a tymczasem powiadomimy lorda Parra.

— To byłaby ryzykowana sprawa... próba okradzenia królowej. Gdyby go złapano, skończyłby na szubienicy.

- Obaj wiemy, że dla pieniędzy ludzie są gotowi wiele zaryzykować. Zwłaszcza ci, którzy osiągnęli pewną pozycję i pragną ją utrzymać.

Barak spojrział na mnie podejrzliwie.

- Powiedziałeś, panie, że pozostawimy go na jakiś czas w niepewności. „My”?

— Przejęzyczenie, przepraszam. Mówiłem ci, potrzebowałem twojej pomocy tylko w związku ze skrzynią i z zamkiem.

Rozejrzał się po dziedzińcu zamku Baynard's. Wyładowywano kolejny wóz.

- Jezu! — powtórzył. — Wszystko po to, by wielkie panie mogły paradować w pięknych sukniach! Dobrze, że nie zabraliśmy z sobą Tamasin. Nie chciałyby stąd odejść.

- Pamiętaj, że nie wie, iż tu jesteś. I byłaby niezadowolona, gdyby wiedziała.

- Nie zapomnę. Po co chcesz się jeszcze spotkać z hafciarzem, panie?

Westchnąłem. Zainteresował się tą sprawą i wiedziałem, że teraz łatwo się go nie pozbędę.

- Próbuję tylko ustalić pochodzenie strzępu cennej koronki, którą znalazł Nicholas i która może mieć związek z tą kradzieżą - wyjaśniłem. - Liczę, że hafciarz mi pomoże, podpowie, kto mógł ją wykonać.

- Zatem potem będziesz potrzebował kogoś, kto obejdzie warsztaty koronkarskie.

- Myślałem, że powierzę to zadanie Nicholasowi. W końcu to on znalazł tę koronkę.

Barak był wyraźnie zawiedziony,

- Masz rację, panie, to robota dla kogoś początkującego.

- A teraz, wybaczone, idę na spotkanie z hafciarzem.

Wyraźnie nie chciał odejść i tylko przeczesywał palcami brodę, ale znacząco uniosłem brwi.

- No, dobrze — burknął, wzruszając ramionami, i szybko ruszył w stronę bramy.

*

Skinąłem na strażnika i ten zaprowadził mnie korytarzem do innych bocznych drzwi, w które zapukał. W środku przy stole pracował mężczyzna. Siedział przy oknie, by mieć jak najlepsze światło, i wyszywał kwiaty na kawałku tkaniny, tak drobne, że musiał patrzeć przez wielkie szkło powiększające na wysięgniku. Ku memu zaskoczeniu, był potężnym, czarnobrodym jegomościem, choć zauważyłem, że miał smukłe delikatne palce. Na mój widok wstał, krzywiąc się lekko. Ktoś tego wzrostu pracę w ciągłym pochyleniu musiał przyplącić stałym bólem pleców.

- Czy mistrz Gullym? - zapytałem. - Pierwszy hafciarz królowej?

- To ja. — Mówił z wyraźnym walijskim akcentem.

- Matthew Shardlake. Prowadzę dochodzenie w sprawie kradzieży klejnotu Jej Królewskiej Mości.

- Słyszałem, że zginął pierścień. - W jego głosie brzmiało zaniepokojenie, choć inaczej niż u

Barwica nie było w nim niepokoju. Ale oczywiście nie należał do podejrzanych. Wyjąłem kawałek oderwanej koronki i położyłem ją na blacie.

- Naszym zdaniem to należy do złodzieja. Czy można dojść, czyja to robota?

Gullym wziął strzępek koronki, marszcząc z niesmakiem nos, gdyż była już nieco przybrudzona.

- Wygląda na wzór angielski - zaczął. - Bardzo piękna robota, droga. Dam głowę, że wykonał ją

ktos z gildii koronkarzy. - Ostrożnie wysunął spod szkła powiększającego delikatny jedwab, nad którym pracował, i zastąpił go fragmentem mankietu. — Tak, to piękne dzieło, w rzeczy samej.

- Bardzo by nam pomogło, gdyby koronkarz, który je wykonał, powiedział, do kogo miało trafić.

Zaskarbiłby sobie wdzięczność królowej - dodałem.

Gullym pokiwał głową.

- Spiszę ci, panie, nazwiska. Może tylko kilkunastu koronkarzy w Londynie potrafiłoby zrobić coś

takiego. Według mnie ta koronka powstała niedawno, gdyż deseń w małe winogrona stał się modny dopiero w tym roku.

- Dziękuję ci, mistrzu.

Gullym ostrożnie skierował się do biurka, krzywiąc się przy każdym kroku. Wziął pióro, kartkę i sporządził listę nazwisk oraz adresów, a potem mi ją podał.

- Myślę, że to wszyscy, którzy mogliby ci pomóc, panie. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Należę do gildii od trzydziestu lat, odkąd tylko przybyłem do Londynu, i znam w niej każdego.

Spojrzałem na listę. Ktoś będzie musiał odwiedzić te wszystkie londyńskie warsztaty, pomyślałem.

- Dziękuję ci, mistrzu Gullym — odparłem — Przy okazji zauważyłem, że dolegają ci plecy.

- Taka robota, panie.

- Wiem coś o tym, jak się domyślasz. — Taktownie potwierdził - Znam pewnego medyka, który bardzo mi pomógł. Przyjmuje przy Bucklersbury, nazywa się Guy Malton.

- Myślałem, by pójść z tym do kogoś. Pogarsza mi się popołudniami.

- Polecam ci doktora Maltona. Powiedz mu, że ja cię przysyłam.

Rozdział siedemnasty

Wieczorem, po wieczerzy, pojechałem na Bucklersbury, by odwiedzić Guya. Trzy dni wcześniej nie rozstaliśmy się w najlepszej komitywie, więc chciałem zatrzeć tamto wrażenie i zapytać go o nazwisko Bertano.

Po południu rozchmurzyło się i znowu wyszło słońce, które już miało się ku zachodowi i rzucało długie cienie na rząd aptek przy ulicy. Chociaż Guy pochodził z Hiszpanii i kształcił się na medyka na słynnym francuskim uniwersytecie Louvain, jako cudzoziemiec — Maur - i były mnich miał trudności z przyjęciem do kolegium medyków. Wcześniej pracował jako aptekarz i mimo że teraz prowadził dużą praktykę, był traktowany jak Anglik i mógłby przenieść się do większego domu, wolał zostać tutaj, po części z powodu dawnych, mnisich poglądów na ubóstwo, a po części dlatego, że się starzał i lubił to, co znane.

Zsiadłszy z konia i przywiązawszy go do słupa przed domem, zdałem sobie sprawę, że z wyjątkiem Guya wszyscy moi przyjaciele i Znajomi albo należeli do reformatorów, albo woleli trzymać się z dala od sporów religijnych. Wiedziałem jednak, że wielu ludzi w Londynie -jeszcze więcej na prowincji - ucieszyłoby się powrotem Anglii na łono Kościoła katolickiego.

Drzwi, kiedy w nie zapukałem, otworzył Francis Sybrant, korpulentny siwowłosy mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, który był ostatnio prawą ręką Guya. Wcześniej pracował w sąsiedniej aptece i kiedy jej właściciel zbankrutował, zatrudnił się u mojego przyjaciela. Był wdzięczny, że w tym wieku znalazł dach nad głową.

Jako człek pogodny stanowił przeciw wagę dla swego melancholijnego chlebodawcy.

- Pan Shardlake - przywitał mnie i wykonał ukłon.

- Szczęść Boże, Francis. Czy zastałem twego pana?

- Jest w swym gabinecie. Jak zwykle wieczorem pracuje pośród ksiąg. — Zaprowadził mnie w głąb wąskiego korytarza i delikatnie zapukał do drzwi gabinetu Guya. Ten siedział za biurkiem, przy blasku świecy czytając Wesaliusza z jego makabrycznymi rycinami anatomicznymi i porównując z nimi ludzką kość udową, którą trzymał w dłoni. Kiedy wszedłem, odłożył ją ostrożnie i wstał.

- Matthew. A to niespodzianka!

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

- Nie. Oczy mi się męczą. — Ucisnął nasadę nosa. - Francis mówi, że powinienem sprawić sobie okulary, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć.

- Przykro mi, że w piątek tak nagle cię opuściłem. Po tym, jak się... — urwałem — ...poróżniliśmy. Uśmiechnął się ze smutkiem.

- To teraz w Anglii powszechne, nieprawdaż?

- Tamtego dnia nie byłem sobą.

- Rozumiem. Wciąż wydajesz się zmęczony. Co powiesz na szklaneczkę kordiału?

- Z przyjemnością. Miałem ciężki dzień.

Guy zawołał Francisca, który przyniósł dwa kubki grzanego wina. Siedziałem chwilę, przypatrując się swemu trunkowi, a potem powiedziałem:

- Zmarł mój dawny adwersarz, Stephen Bealknap. Miał guza w brzuchu.

Guy się przeżegnał.

- Niech Bóg okaże mu łaskę.

Uśmiechnąłem się smutno,

- Nie chciał bożej łaski. Byłem u niego, zanim umarł, i powiedział, że nie wierzy w Boga.

Wszystkie oszczędności przeznaczył na budowę swego grobowca w kaplicy Lincoln's Inn,

- Nie miał żadnej rodziny?

- Ani przyjaciół. Nie mówiąc o Bogu.

- To przykre.

- Owszem. - Znowu zajrzałem do kubka z winem, po czym przywołałem się do porządku. — Guy, potrzebuję informacji na temat cudzoziemskiego nazwiska. Władam tylko łaciną i miernie francuskim, a ty ze swoją znajomością języków zapewne mógłbyś mi pomóc.

- Jeśli tylko zdołam.

- W wielkim zaufaniu.

- Oczywiście.

- Usłyszałem o nim w związku ze sprawą, nad którą pracuję. Od świadka. Brzmi z cudzoziemska i być może źle je wymawiam, ale pomyślałem, że ty będziesz wiedział, skąd pochodzi.

- Jakie to nazwisko?

- Dziurony Bertano, Czy jest hiszpańskie?

Uśmiechnął się na to.

- Nie. To nazwisko włoskie. A imię brzmi „Gurone”, pisze się G-U-R-O-N-E.

- Niewiele się więc pomyliłem.

- Czyżby jeden z włoskich kupców osiadłych w Londynie?

- Możliwe. — Spojrzałem na niego poważnie. — Więcej nie mogę ci powiedzieć.

- Rozumiem. Zasady poufności.

Z przygnębieniem pokiwałem głową i siedzieliśmy w milczeniu. Po chwili odezwałem się znowu:

- Wiesz, jadąc do ciebie, myślałem o tym, jak niewielu mam teraz przyjaciół wśród katolików czy też tradycjonalistów. W ostatnim czasie większość ludzi zamknęła się w tym czy innym kręgu. Często nawet bez żadnej głębszej refleksji.

- Owszem, tak, dla bezpieczeństwa, niestety. Ja też mam wśród pacjentów nielicznych radykałów czy reformatorów. Rozpoczynając praktykę, przyjmowałem chorych z... mojej strony, ci przysyłali do mnie swych znajomych i tak dalej. Zapewne podobnie jest w twoim przypadku.

- Tak. Choć, notabene, skierowałem do ciebie kogoś innego, z bólem pleców. To nadworny hafciarz Jej Królewskiej Mości.

Uśmiechnął się.

- A zatem sympatyk reformatorów.

- Nie mam pojęcia. - Spojrzałem mu w twarz. - Miałeś kiedyś wątpliwości, czy nasz pogląd na Boga jest słuszny?

- Byłem na nie podatny przez całe życie - odrzekł poważnie. - I przez pewien czas, jak ci kiedyś mówiłem, wątpiłem w samo istnienie Boga. Wierz mi jednak, jeśli wiara i wątpliwości walczą z sobą w człowieku, jego dusza staje się potem silniejsza i bardziej prawa.

- Być może. Chociaż w ostatnich czasach mam w sobie więcej wątpliwości niż wiary. - Zawahałem się. — Wiesz, kiedyś uważałem, że ludzie niezachwiani w swej wierze, stojący twardo po jednej stronie, są najniebezpieczniejsi. Lecz niedawno zacząłem się zastanawiać, czy się nie mylę, i raczej ci, którzy zmieniają poglądy, by realizować swe ambicje, jak najwyżsi dostojnicy na dworze... Wriothesley albo Rich... nie są jeszcze gorsi.

- W co ty się znowu wdałeś, Matthew? - zapytał cicho Guy.

Odparłem z nagłą pasją:

- W coś, o czym nie mogę powiedzieć przyjacielom, dla ich własnego dobra.

Przez chwilę się nie odzywał.

- Jeśli tylko mogę ci pomóc, to w każdej chwili...

- Jesteś prawdziwym przyjacielem — powiedziałem i zaraz pomyślałem: Jednakże sumienie nakazuje ci stać po przeciwnej stronie niż Katarzyna Parr. - Powiedz mi, czego próbujesz się dowiedzieć od tej starej kości? - zagadnąłem, zmieniając temat. — Dam głowę, że czegoś, co bardziej przysłuży się ludzkości niż działania prawników albo członków Tajnej Rady.

*

Następnego ranka wyszedłem z domu wcześniej, by przed wizytą w pałacu wstąpić do swej kancelarii. Wszyscy, Barak, Nicholas i Skelly, byli już na miejscu i pracowali. Poczuję do nich wdzięczność. John Skelly zawsze był lojalnym i pełnym oddania pracownikiem, Nicholas, jeśli okazało mu się trochę zaufania, czynił postępy, a Barak z upodobaniem nad wszystkim czuwał. Kiedy wszedłem, właśnie dawał Nicholasowi plik dokumentów, by ten poukładał je na półkach.

— Tylko tym razem nie zgub jakiegoś aktu własności - dodał pogodnie.

Podziękowałem im, że stawili się tak wcześnie.

- Nicholasie - zacząłem. — Chciałbym ci zlecić pewne zadanie. -Podałem mu listę koronkarzy, którą dzień wcześniej sporządził mistrz

Gullym, oraz starannie zawinięty w papier strzęp koronki. Dołożyłem kilka szylingów z sakiewki, na których spod srebra na nosie króla już wyzierała miedź. — Chciałbym, abys odwiedził rzemieślników z tej listy i sprawdził, czy któryś nie rozpozna swej roboty. Prawdopodobnie to dzieło jednego z nich. Powiedz, że zasięgałeś rady mistrza Gullyma, jednego z ważniejszych członków gildii. Nie zdradzaj, o co chodzi. Poradzisz sobie? Z pomocą swego pańskiego uroku?

Barak parsknął śmiechem.

- Urok? Takiej tyczki?

Nicholas go zignorował.

- Z całą pewnością, panie.

- Uwiń się z tym do południa, jeśli łaska.

- Już idę. - Nicholas wziął stertę papierów ze swego biurka i przełożył ją Z powrotem na biurko Baraka. - Obawiam się, że muszę zostawić to tobie — rzucił z wesołym uśmiechem.

*

Tym razem wsiadłem na łódź płynącą w górę rzeki, do Common Stairs przy pałacu Whitehall. Kiedy zbliżaliśmy się do niego, włożyłem tożę z odznaką królowej. Przewoźnicy wyładowujący towary przy schodach mieszały się ze służącymi i gośćmi. Wartownik jak zwykle sprawdził moje nazwisko na liście i skierował mnie do komnaty straży królewskiej. Przeszedłem korytarzem przylegającym do Wielkich Kuchni. Przez otwarte drzwi dostrzegłem kucharzy i kuchcików przygotowujących posiłek dla kilkuset osób, które miały prawo jadać w Wielkiej Sali i innych komnatach. Nie mieli na sobie liberii, tylko tanie płócienne ubrania, a niektórzy z powodu lipcowego upału byli rozebrani do pasa. Ruszyłem dalej, przecinając Wielką Salę ze wspaniałym sklepieniem wspornikowym, i wyszedłem na dziedziniec.

Był to dzień jałmużny, więc urzędnicy reprezentujący nadwornego jałmużnika rozdawali przy bramie jedzenie tłumowi żebraków obserwowanych bacznie przez strażników. Resztki pałacowych posiłków, którymi najadłoby się do syta wiele osób, były codziennie rozdzielane między szpitale i organizacje dobroczynne, ale dwa razy w tygodniu odpadki rozdawano przy bramie, na znak hojności króla.

Chociaż większość obecnych na dziedzińcu nie zwracała uwagi na tę scenę, zajęta swoimi sprawami, zauważyłem, że przyglądają jej się dwaj ludzie. Widziałem ich obu na egzekucji. Jednym z nich, ubranym w jedwabną sutannę i futrzaną etolę, był biskup Stephen Gardiner. Z bliska jego surowe oblicze budziło jeszcze większy lęk: grube ściągnięte brwi, kartoflowaty nos i szerokie pełne usta. Obok niego stał sekretarz króla, William Paget. Jak zwykle był w brązowej szacie z długim gronostajowym kołnierzem, śnieżnobiałym w czarne cętki, i berecie. Delikatnie przesunął po kołnierzu swą kwadratową dłonią, jakby głaskał zwierzę.

Usłyszałem, jak Gardiner mówi:

- Spójrz na tę niewiastę, bezwstydnie przepycha się wśród mężczyzn, wyciągając szpony po jedzenie. Czy to miasto nie pokazało na Smithfield dobitnie, że kobiety powinny znać swe miejsce?

Paget odparł:

- Możemy znowu urządzić pokaz, jeśli będzie trzeba. — Nawet nie starali się przyciszyć głosów,

zadowoleni, że mogą głośno wyrazić swoje zdanie. Gardiner wciąż patrzył na tłum żebraków ze zmarszczonym czołem. Jego krytyczna mina wyraźnie świadczyła, jak sługa boży patrzy na świat. Paget zaś zdawał się średnio zainteresowany tym, co się przed nim dzieje. Przechodząc obok nich, usłyszałem, że mówi:

- Thomas Seymour wrócił z wojny.
- Człowiek pełen pychy.

Paget uśmiechnął się, ukazując szereg białych zębów na tle gęstej brody.

- Sam wkrótce narobi sobie kłopotów.

Poszedłem dalej. Przypomniało mi się, jak damy rozmawiały o Thomasie Seymourze w prywatnej komnacie królowej. Był on bratem głównego doradcy królewskiego z ramienia reformatorów, lorda Hertforda, i Katarzyna Parr wyszła za niego za męża po śmierci pierwszego męża, gdyby nie interwencja króla. Wiedziałem, że od tamtej pory Seymoura trzymano od królowej z daleka, wysyłając go w różne misje morskie i dyplomatyczne. Miałem z nim kiedyś do czynienia i nie wspominałem tego miło. Paget się nie mylił, był to głupi i niebezpieczny człowiek, zawada dla ambitnego brata. Ciekaw byłem, jakie królowa wiąże nadzieje z jego powrotem.

Ponownie przeszedłem przez komnatę straży, pokonałem schody i przebyłem komnatę audiencyjną. Wciąż zdumiewało mnie wszechobecne bogactwo. Rozmaitość zdobień, ich kolory i detale nadal robiły na mnie wielkie wrażenie. Oko zatrzymywało się na chwilę na jakimś wzorze filaru, by zaraz potem przenieść się na misterny detal liścia winorośli, który na nim namalowano, a potem by spocząć na gobelinie przedstawiającym barwną antyczną scenę. Mój wzrok przyciągnął znowu portret króla i jego rodziny, z lady Marią, a za nią Jane. Przeszedłem dalej, nie zwracając niczyjej uwagi, ot, garbaty prawnik z Uczonej Rady Jej Królewskiej Mości, niewątpliwie idący omówić jakąś sprawę dotyczącą ziem monarchini.

Strażnik przed prywatną komnatą królowej sprawdził moje nazwisko na liście. Przy oknie znowu siedziała grupa dam, zajętych szyciem. Małżonka Edwarda Seymoura tak jak poprzednio popatrzyła na mnie wyniośle. Zauważył mnie spaniel księżnej Suffolku, który warknął cicho. Księżna go złajała.

- Cicho bądź, głupi Gardinerku. To tylko ten dziwny prawnik. Drzwi się otworzyły i lord Parr skinieniem dłoni zaprosił mnie do środka.

*

Królowa ponownie siedziała na wyściełanym szkarłatnym aksamitem fotelu, pod baldachimem, lord Parr zaś stał obok niej. Tego dnia miała na sobie suknię w kolorze królewskiej purpury z głęboko wyciętym stanikiem, ozdobioną z przodu setkami maleńkich róż Tudorów. Śmiała się z popisów trzeciej osoby w komnacie. Jane, tym razem ubrana na biało, wykonywała przed nią niezgrabny taniec, machając bladą dłonią. Wymieniłem szybkie spojrzenie z lordem Parrem. Karlica nie zwracała na nas uwagi i tańczyła dalej, wyrzucając w górę nogi. Nie mogłem się nadziwić, że kogoś obdarzonego inteligencją, nie mówiąc już o tym, że władającego państwem, bawi taki popis, lecz potem uświadomiłem sobie, że tu, na dworze, gdzie należało stale uważać na słowa i gesty, sztuczki błazna stanowiły zapewne miłe wytchnienie.

Królowa skierowała ku nam wzrok i skinęła głową na Jane.

- Wystarczy już, moja droga - powiedziała do niej. - Muszę omówić pewne sprawy ze stryjem i tym panem.

- Tym panem - powtórzyła za nią karlica, patrząc na mnie spod przesadnie uniesionej brwi. — Ten pan, garbus jeden, bardzo mnie przestraszył, chciał, by odebrano mi Kaczuszkę. - Nic na to nie powiedziałem, albowiem wiadomo mi było, że błazny mają prawo drwić z ludzi i ich ośmieszać. Królowa jednak ściągnęła brwi.

- Dość tego, Jane.
- Czy mogę dokończyć taniec? — Karlica wydeła usta. - Jeszcze tylko minuta, błagam Waszą

Królewską Mość.

- Dobrze, ale nie dłużej - odparła królowa ze zniecierpliwieniem, Jane podjęła więc taniec, po czym, demonstrując sprawność, której bym się po niej nie spodziewał, pochyliła się i stanęła na rękach, tak że suknia opadła jej na głowę, odsłaniając płócienną bieliznę i dolną część grubych nóg. Zmarszczyłem czoło. Z całą pewnością posunęła się za daleko.

Wyczułem, że przez boczne drzwi do komnaty wszedł ktoś jeszcze. Odwróciłem się i ujrzałem okazale ubraną lady Elżbietę, młodszą córkę króla. Lord Parr skłonił się jej nisko, więc czym prędzej poszedłem za jego przykładem. Miałem zaszczyt poznać Elżbietę przed rokiem, kiedy przebywała w towarzystwie królowej, z którą była blisko związana. Od tego czasu jeszcze urosła. Niemal trzynastoletnia, była wysoka, a pod gorsem jej sukni odznaczały się już drobne piersi. Sama suknia była przepiękna - szkarłatna, ozdobiona haftowanymi kwiatami, przód i rękawy miała biało-złote. Na kasztanowych włosach Elżbieta nosiła francuski kaptur, ozdobiony drogiemi kamieniami.

Pociągła, bystra twarz księżniczki także wydoroślała - mimo warstwy pudru dostrzegłem w jej rysach podobieństwo do dawno zmarłej, zhańbionej matki, Anny Boleyn. Miała również postawę dojrzałej kobiety, pozbyła się dziewczęcej niezgrabności. Teraz zatrzymała się, patrząc wyniośle, z dezaprobatą na popisy Jane.

Królowa wydawała się zaskoczona jej widokiem.

- Moja droga, myślałam, że jesteś z panem Scrotsem.

Elżbieta zwróciła się do macochy:

- Godzinami pozowałam bez ruchu — odparła z rozdrażnieniem. - Poprosiłam więc o chwilę odpoczynku. Czy ten obraz nigdy nie zostanie skończony? Kat Ashley, która dotrzymuje mi towarzystwa, zasnęła!

- Musisz mieć portret, dziecko, to ważne — odrzekła łagodnie królowa. - Wzmocni twą pozycję, tak jak rozmawialiśmy.

Karlica tymczasem usiadła na podłodze, wydymając usta, najwyraźniej niezadowolona, że lady Elżbieta odciągnęła od niej uwagę. Ta spojrzała na nią, po czym zwróciła się do królowej:

- Czy możesz, pani, odprawić Jane? Zachowuje się niestosownie, machając w powietrzu nogami.

Jane natychmiast powiedziała do królowej tonem skrzywdzonej niewinności:

- Wasza Królewska Mość, pozwolisz, by księżniczka mówiła tak o mnie? Ja tylko chciałam cię rozbawić.

Twą Elżbiety się zachmurzyła.

- Na litość boską! — burknęła nagle rozgniewana. - Mnie nie bawisz! Precz stąd!

- Wyjdź, Jane - odezwała się pospiesznie królowa. Karlica wyglądała przez chwilę na przestraszoną, a potem wzięła swą laskę i bez słowa opuściła komnatę.

Z twarzy lady Elżbiety zniknął gniew. Uśmiechnęła się do lorda Parra.

- Wasza Lordowska Mość, miło mi cię widzieć. - Później spojrzała na mnie. Przez moment w jej oczach malowało się zdziwienie, jednak po chwili się rozjaśniła. — Ach, znam cię, panie. Tak, komisarzu Shardlake, odbyliśmy kiedyś ciekawą dysputę na temat prawa. Długo o niej myślałam.

- Bardzo mi miło, że zainteresowała Waszą Księżęcą Wysokość, choć jestem zdziwiony, że ją pamiętasz.

- Bóg obdarzył mnie dobrą pamięcią. - Elżbieta uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jeśli stawała się kobietą w sensie fizycznym, to była nią już pod względem umysłowym i duchowym. Mimo to swymi niezwykle długimi palcami bawiła się nerwowo sznurem pereł na wysokości pasa.

Podjęła:

- Powiedziałeś mi, że nawet prawnicy reprezentujący szubrawców mają obowiązek starać się dla swych klientów o sprawiedliwość w sądzie.

- W rzeczy samej.

- I że tak się godzi.

- Tak, Wasza Książęca Wysokość. - Nagle jednak przypomniałem sobie o sprawie pani Slanning. Następnego dnia miały się odbyć oględziny malowidła. Czy walka w tej sprawie rzeczywiście była godziwa?

- Wydaje mi się jednak — ciągnęła Elżbieta — że aby tak było, w sprawie musi być cokolwiek godziwego.

- Owszem, Wasza Książęca Wysokość, słuszna uwaga. - A w sprawie pani Slanning nie było czegoś takiego po żadnej stronie, jedynie wzajemna nienawiść, pomyślałem. Chociaż taka młoda, Elżbieta dotarła do sedna.

- Elżbieto - odezwała się delikatnie królowa. - Może wrócisz do pana Scrotsa? Wiesz, że portret jest już prawie skończony. A ja mam tu sprawę, którą muszę się zająć. Możesz wrócić za godzinę.

Elżbieta kiwnęła głową, spojrzała na macochę z sympatią i uśmiechnęła się do niej.

- Dobrze. I przepraszam, że krzyknęłam na Jane, lecz w przeciwieństwie do ciebie i mojej siostry nie uważam jej wcale za zabawną - Krótko skinęła mi głową. - Panie Shardlake. Wasza Lordowska Mość. Skłoniliśmy się jej, kiedy wychodziła bocznymi drzwiami. Królowa na chwilę przymknęła oczy.

- Wybaczcie mi tę scenę. Wygląda na to, że nie mam władzy nawet nad osobami z mego dworu. - Na jej twarzy widać było zdenerwowanie i napięcie.

Lord Parr odezwał się do niej:

- Mówiłem ci, Katarzyno, co pan Shardlake powiedział o Jane. O tym, że była tamtego wieczoru w twojej sypialni, a jest blisko związana z lady Marią.

Królowa stanowczo pokręciła głową.

- Nie. Jane nic nie wie o moim dziele i ma za mało rozumu, by mogła je skraść.

- Może Maria ma.

- Wykluczone. Maria jest moją przyjaciółką. — Ściągnęła z przygnębieniem brwi, po czym się poprawiła: — A w każdym razie nie jest moim wrogiem. Konflikt w związku z jej matką, Katarzyną Aragońską, już dawno odszedł w zapomnienie.

- Cóż, może wkrótce dowiemy się czegoś więcej. - Lord Parr uśmiechnął się do mnie, zacierając ręce. - Dowódca straży królewskiej rozmawiał z żołnierzem, który pełnił służbę w komnatach królowej owego wieczoru, kiedy skradziono księgę. I nie był to wcale Zachary Gawger, który zatrzymał Mary Odell i według niej dziwnie się zachowywał. To był inny żołnierz, niejaki Michael Leeman. Dowódca kazał tego człowieka aresztować, choć, zgodnie z moim poleceniem, na razie nie wziął go na przesłuchanie. Gawger zaś miał być zatrzymany, gdy tylko stawi się dziś na służbę, czyli o szóstej. Już więc jest w areszcie. Kazałem zatrzymać obu, dopóki ich, panie, nie przesłuchasz. - Uśmiechnął się do królowej triumfalnie. - Niebawem znajdziemy odpowiedź,

- Mam taką nadzieję - odparła z powątpiewaniem. Lord Parr niecierpliwie zmarszczył czoło. Jej Królewska Mość zwróciła się do mnie! - Po pierwsze, panie Shardlake, czy możemy omówić inne wydarzenia w tej sprawie? Stryj mi je zrelacjonował, lecz wolałabym usłyszeć o nich z twoich ust,

- Tylko szybko - mruknął lord Parr.

Pospiesznie więc opowiedziałem wszystko, co wydarzyło się od naszego ostatniego spotkania: o napadzie na Eliasa i jego zabójstwie, zniknięciu trzech przyjaciół Greeninga, zagadkowych słowach Bealknapa na łożu śmierci i wreszcie o swych podejrzeniach, że Barwic ma coś do ukrycia. Dodałem, że tajemnicze nazwisko Bertano jest włoskiego pochodzenia, i zasugerowałem, że mógłbym się dowiedzieć, czy ktoś taki jest znany włoskim kupcom w mieście.

- Ja się tym zajmę - odparł lord Parr. - Dyskretnie. Najpierw jednak przekonajmy się, co mają do powiedzenia ci strażnicy. Jeśli to nie rozwieje naszych podejrzeń dotyczących udziału ślusarza w kradzieży, udam się wraz z tobą do zamku Baynards i pomówię z nim osobiście.

- Myślałem, Wasza Lordowska Mość, że wolisz nie ujawniać swej roli w śledztwie.

- Owszem. Ale nadworny ślusarz królowej odpowiada przede mną i dlatego ma powody, by się mnie bać. — Uśmiechnął się powściągliwie. - A jeśli chodzi o wywiad w porcie, Cecil namówił jednego z urzędników komory celnej, by nas powiadomił, gdyby któryś z tych trzech ludzi próbował uciec statkiem z kraju. Przez kontrolę celną przechodzą wszystkie osoby, które wpływają do kraju i z niego wypływają Cecil skaptował także jednego z robotników portowych, by baczył na wszystko, co dzieje się na nabrzeżu. Obiecując mu pokazną sumkę, jeśli złodzieje klejnotu zostaną schwytani. - Uśmiechnął się drwiąco.

- A ten nieszczęsny młody terminator — odezwała się znowu królowa. - Nie rozumiem, dlaczego miałby zginąć za Annę Askew. Dołożyłam starań, byśmy nigdy się z sobą nie zetknęły. - Popatrzyła na stryja ze skrucą, — Przynajmniej tu zachowałam należytą ostrożność.

Lord Parr pokiwał głową.

- Rozmawiałem ze swym starym przyjacielem, sir Edmundem Walsinghamem - powiedział. - Jutro jadę do Tower. By mieć pretekst do wizyty, powiedziałem, że chcę go o coś spytać w związku z dworem. - Zwrócił się do mnie: - Pojedziesz ze mną, panie. Może uda nam się dowiedzieć, jak wydostała się stamtąd wiadomość o torturowaniu pani Askew. Najpierw jednak... przesłuchanie strażników.

Królowa jednak najwyraźniej nie chciała, bym już odszedł.

- A ten człowiek, Bealknap? - zapytała. — Z kim trzymał pod względem wiary?

- Z nikim. Miał natomiast powiązania z Richardem Richem.

- A to, co powiedział... Brzmiało jak ostrzeżenie czy groźba?

- Ani tak, ani tak, Wasza Królewska Mość. Chciał tylko zatriumfować nade mną przed śmiercią, liczył, że zostanę oskarżony o herezję. Razem z tobą.

Lord Parr potwierdził Z przekonaniem:

- Z całą pewnością tylko o to mu chodziło.

Bealknap nie mógł mieć nic wspólnego z tą kradzieżą. Od wielu tygodni z powodu choroby nie wychodził z pokoju.

- Więc zapomnijmy o nim - odparł stanowczo lord Parr. Odwrócił się w stronę królowej, która przełknęła ślinę, ściskając podłokietniki. Stryj położył rękę na jej dłoni. - A teraz - podjął, patrząc na mnie - czeka na ciebie, panie, dowódca straży. Z aresztantami. Przesłuchaj ich. Oczywiście na osobności.

Rozdział osiemnasty

Wartownia, jak mi powiedziano, znajdowała się po drugiej stronie komnaty audiencyjnej. Kiedy tam szedłem, drogę zastąpił mi pulchny mężczyzna w średnim wieku, pocący się w futrzanej szacie. Zdjął ozdobiony piórem beret i skłonił mi się przesadnie.

- Panie prawniku - powiedział unżonym tonem. — Widziałem, że wyszedłeś z prywatnej komnaty królowej. Przepraszam, że cię zatrzymuję, ale jestem dawnym przyjacielem świętej pamięci lorda Latimera i przyjechałem do Londynu z wizytą. Mój syn, porządny młodzieniec, chciałby służyć na dworze...

- Nie zajmuję się takimi sprawami - odparłem krótko.

Zostawiłem go mnącego z żalem beret i szybko ruszyłem do drzwi, do których mnie skierowano.

- Do kapitana Mitchella od lorda Parra - powiedziałem do strażnika, który stał przed nimi z halabardą. Ten wprowadził mnie do małego przedsionka, w którym dwaj odziani na czarno strażnicy grali przy stoliku w kości. Podeszedł do kolejnych drzwi, zapukał w nie, a po chwili niski głos ze środka odpowiedział głośno:

~ Wejść!

Żołnierz skłonił się, a ja wkroczyłem do ciasnego pomieszczenia.

Za biurkiem siedział mocno zbudowany, jasnowłosy mężczyzna w czarnym mundurze, z odznaką królowej na czapce. Kiedy podniósł głowę, podupałem na duchu, albowiem z jego poważnej miny wystąpił, że nie ma dobrych wieści.

- Komisarz Shardlake? - Wskazał mi krzesło. - Proszę, usiądź, panie. Jestem David Mitchell, dowódca straży Jej Królewskiej Mości.

- Szczęść Boże. Jak wiem, lord Parr cię uprzedził, kapitanie, że będę chciał przesłuchać Michaela Leemana, który pełnił straż tego wieczoru, kiedy skradziono dz... to znaczy, pierścień królowej. - Przekląłem w duchu samego siebie. O mało nie powiedziałem „dzieło”. To jedno słowo, wypowiedziane do niewłaściwej osoby, mogło ściągnąć zgubę na wielu ludzi.

Mitchell, mimo że był barczystym mężczyzną, sprawiał wrażenie skrępowanego, jakby skurczył się w swym mundurze. Odparł cicho:

- Mam tu, w areszcie, Zachary'ego Gawgera. Obawiam się natomiast, że nie będziesz mógł, panie, porozmawiać z Michaeliem Leemanem.

Wyprostowałem się.

- Jak to?

Mitchell kaszlnął ze zmieszaniem.

- Wczoraj po popołudniu na polecenie lorda Parra sprawdziłem harmonogram służby. Dziewiątego lipca wartę pełnili Gawger i Leeman, i to Leeman miał stać przy drzwiach prywatnej komnaty królowej. Jednak według słów Mary Odell zamiast niego stał tam Gawger. Zeszłego wieczoru stawił się na służbę i kazałem go natychmiast zatrzymać. Posłałem także po Leemana, ale jego izba w kwaterze strażników była pusta. Zniknęły także jego rzeczy.

Przymknąłem oczy.

- Jak to się stało?

Dziwnie było widzieć dowódcę straży przybocznej, żołnierza mającego pod komendą wielu ludzi, wijącego się na krześle.

- Widocznie jeden ze strażników widział, jak Gawger został zatrzymany. Rozpuścił o tym wieści, a Leeman, który był akurat w mesie, je usłyszał. Działąłem za wolno. Sierżant, którego wysłałem, by go aresztował, przybył kilka minut po jego ucieczce. - Spojrzał na mnie. - Jeszcze dziś lord Parr dostanie moją rezygnację.

- Czy są jakieś wskazówki, dokąd Leeman mógł się udać?

- Wymeldował się z pałacu o ósmej zeszłego wieczoru. Powiedział że wybiera się do miasta, jak miał w zwyczaju, więc nikogo to nie zdziwiło, choć strażnik na warcie zwrócił uwagę, że niósł dużą paczkę. Niewątpliwie ze skradzionym pierścieniem królowej - dodał gorzko.

Zapatrzyłem się w sufit. Zniknął czwarty podejrzany. Potem zwróciłem się znowu do Mitchella. Nie mogłem mieć do niego pretensji. Wątpiłem też, by lord Parr przyjął jego rezygnację.

- Lepiej, by Gawger wyznał mi wszystko, co wie.

- Tak. - Wskazał głową drzwi z boku pomieszczenia. - Jest tam. Niech mnie kule biją! - przeklął w nagłym gniewie. - To jego ostatni dzień w Whitehall! Wieczorem szubrawiec znajdzie się w więzieniu! Spojrzałem na niego.

- O tym zdecyduje lord Parr.

Mitchell powoli wstał, otworzył drzwi i przywłókł do gabinetu młodego mężczyznę. Miał na sobie tylko koszulę i rajtuzy, a jego brązowe włosy i krótka broda były zmierzwiłone, na policzku zaś widniał siniak. Był wysoki i postawny, jak wszyscy żołnierze straży przybocznej, ale teraz stanowił żalospisny widok. Mitchell pchnął go w stronę ściany. Gawger skulił się, patrząc na mnie ze strachem.

- Powiedz śledczemu Jej Królewskiej Mości to wszystko, co powiedziałaś mnie — nakazał mu Mitchell. - Będę czekał na zewnątrz. - Spojrzał na młodego człowieka z pełnym złości niesmakiem, po czym zwrócił się do mnie: — Wyznam ci, panie, że podczas dwunastomiesięcznej służby Gawgera w pałacu musiałem ukarać go za pijaństwo i hazard. To jeden z tych młodych głupców z prowincji, którym zamarzyła się służba na dworze. Myślałem już o tym, by go zwolnić. Żałuję, że tego nie zrobiłem. — Popatrzył na więźnia. - Mów prawdę, obwiesiu!

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł. Młodzieniec wciąż stał skulony pod ścianą. Zaczerpnął głęboko powietrza, po czym nerwowo przełknął ślinę.

- Cóż - zacząłem. - Lepiej, byś wszystko wyznał. Jeśli powiem kapitanowi Mitchellowi, że nie jesteś ze mną szczery, może znowu obejść się z tobą surowo.

Gawger znowu wziął głęboki oddech.

- Panie, dwa tygodnie temu, to było siódmego, wziął mnie na stronę jeden ze strażników, Michael Leeman. Nie znałem go zbyt dobrze... nie był lubiany, należał do radykałów, zawsze nam mówił, byśmy myśleli o swych duszach.

- Doprawdy? — Pochyliłem się z zainteresowaniem.

- Powtarzał, że pałacowi żołnierze nurzają się w grzechu i kiedy jego służba dobiegnie końca, zwróci się do swych nowych przyjaciół, przyjaciół żyjących po bożemu.

— Wiesz, kogo miał na myśli?

Gawger pokręcił głową.

— Nie bardzo. Wydaje mi się jednak, że mieszkali w okolicach katedry Świętego Pawła. Gdy miał urlop, zawsze tam chodził. Ale unikam rozmów o religii. To groźne. - Zamilkł, oddychając szybko; być może uświadomił sobie, że jest w poważnych tarapatkach. Regulamin straży królowej był bardzo surowy, a nie miałem wątpliwości, że Gawger dopuścił się zdrady stanu. Odetchnąłem głęboko. Trafiłem na czwartego radykała, który zapadł się pod ziemię.

Gawger tymczasem ciągnął płaczliwie, z rozpaczą w głosie:

— Miałem... kłopoty pieniężne, panie. Grałem z kolegami w karty i zadłużyłem się. Myślałem, że się odegram, ale straciłem jeszcze więcej. Zwróciłem się do ojca, który pomagał mi wcześniej, lecz odparł, że nie ma już nic w szkatule. Wiedziałem, że jeśli szybko nie zdobędę pieniędzy, wybuchnie skandal, stracę posadę w straży i będę musiał wrócić do domu zhańbiony... - Nagle zaśmiał się jak szalenciec. - Ale to nic wobec tego, co grozi mi teraz, czyż nie, panie? Postawiłem wszystko na jedną kartę i przegrałem.

— Jaką kartę? Czego oczekiwał od ciebie Leeman?

— Był w połowie dwutygodniowej wieczornej zmiany. Powiedział mi, że miał schadzkę z jedną z

pokojowych i w galerii królowej zostawił rękawiczki, po których mogą wpaść na jego trop. Spotkał się tam z tą dziewczyną w tajemnicy. Mówił, że jeśli ktoś znajdzie jego rękawiczki, oboje, on i ona, zostaną odprawieni z dworu.

Uniosłem brwi.

— I to miał być ten świętobliwy człowiek?

— Byłem zdziwiony, panie, lecz ludzie, którzy zwracają się gorliwie ku religii, mają także silne ciągoty cielesne, nieprawdaż? - Ponownie przełknął ślinę, po czym dodał: - Leeman pokazał mi sakiewkę z dziesięcioma suwerenami, starymi, z czystego złota. — Na to wspomnienie aż rozbłyły mu oczy. - Powiedział, że będzie moja, jeśli zastąpię go przed drzwiami prywatnych apartamentów królowej, tylko na kilka minut, by mógł pójść po rękawiczki. Mieliśmy przez kilka dni pełnić razem służbę przed komnatą królowej, więc mogliśmy się zamienić pod nieobecność Jej Królewskiej Mości i dworek. Powiedział, że musimy to zrobić jak najszybciej. Ale minęły trzy dni, zanim nadarzyła się sposobność,

- Więc zamieniłeś się z nim dziewiątego?

- Tak jest, panie.

Odchyliłem się na oparcie krzesła. Wszystko się zgadzało. Leeman skądś wiedział o *Lamentacjach* i postanowił — nie miałem pojęcia dlaczego — je ukraść. Szukał współnika, znalazł zdesperowanego Gawgera i skorzystał z okazji, która nadarzyła się dziewiątego. Był radykałem. Miał przyjaciół w okolicach katedry. Czy należał do grupy Greeninga? Przyjrzałem się Gawgerowi. Takiego młodzieńca łatwo skaptować obietnicą złota, a historia Leemana brzmiała prawdopodobnie - noszenie jedwabnych eleganckich rękawiczek było na dworze czymś powszednim, nawet w lipcu, stanowiło kolejny symbol statusu. Jak jednak Leeman dowiedział się o księdze? Po co ją ukraść? I jak zdobył klucz do skrzyni?

Zapytałem Gawgera:

- Skąd Leeman miał pewność, że komnaty królowej są puste?

- Tutaj wszystko przebiega zgodnie ze zwyczajem. Służący przychodzą i wychodzą o stałych porach.

Jeśli królowa zostanie wezwana do króla, co często zdarza się wieczorami, towarzyszy jej osobista świta i przez pewien czas w komnatach nikogo nie ma. Byłem na służbie, lecz nie stałem na warcie. Umówiłem się z Leemanem, że będę czekał w wartowni, z której właśnie przyszedłeś, panie, i jeśli królowa zostanie wezwana do króla, od razu przyjdzie, by mi o tym powiedzieć. Wtedy miałem zastąpić go na kilka minut. Nikt by tego nie zauważył, ponieważ zawsze jakiś strażnik jest w pogotowiu, na wypadek gdyby któryś z kolegów się rozchorował albo musiał sobie ulżyć i nie mógł z tym poczekać. A o tamtej porze, jeśli królowa przebywała u króla, w komnacie audiencyjnej także nikogo nie było.

- Mów dalej.

Gawger głęboko wciągnął powietrze.

- Leeman przyszedł do komnaty straży tuż przed dziewiątą. Byłem tam tylko ja. Pamiętam, że miał zaciętą twarz. Skinął na mnie głową, to był umówiony sygnał. Potem wróciliśmy obaj do komnaty audiencyjnej i zająłem jego miejsce przy drzwiach, on zaś wślizgnął się do środka. Czekałem na niego... złany potem, muszę powiedzieć.

- Czy wcześniej piłeś? — zapytałem.

- Odrobinę, panie, dla kuraju. Ale stałem na warcie tylko chwilę, kiedy nadeszła pani Odell.

Próbowałem ją zatrzymać...

- Wiem - wszedłem mu w słowo. — Udawałeś, że jej nazwiska nie ma na liście, a kiedy nalegała, byś ją wpuścił, powiedziałeś głośno, że wszystko powinno być zgodne z przepisami, niewątpliwie, by ostrzec Leemana. Powiedziała mi o tym. To obudziło moje podejrzenia.

Gawger opuścił głowę.

- Leeman musiał się gdzieś ukryć, by Mary Odell go nie zobaczyła. Potem wrócił.

- Czy coś przyniósł?

- Z tego, co widziałem, nic.

Pomyślałem, że rękopis był niewielki, strażnik mógł go schować pod obszernym płaszczem. Nagle ogarnął mnie gniew.

- A co by było, gdyby Leeman był chory na umyśle? Gdyby planował zabić królową, którą wszak przysięgałeś chronić? Co wtedy, panie karciarzu?

Gawger znowu pochylił głowę.

- Nie mam nic na swoją obronę — odparł żałośnie.

Podszedłem do drzwi. Czekał za nimi kapitan Mitchell. Poprosiłem go do środka i zrelacjonowałem mu wszystko, czego dowiedziałem się od Gawgera. Obaj, rzecz jasna, sądzili, że chodzi o skradziony pierścień.

- Wygląda na to, panie, że wiesz wszystko, co chciałeś wiedzieć - odrzekł Mitchell ponuro.

- Wolałbym przesłuchać jeszcze Leemana - skwitowałem krótko. - Złożę lordowi Parrowi raport.

Na razie, kapitanie, nie stawiaj oficjalnie temu człowiekowi zarzutów. Czy możesz go gdzieś przetrzymać?

- Powinien zostać aresztowany i osądzony za udział w kradzieży, a także narażenie na niebezpieczeństwo osoby Jej Królewskiej Mości.

- O tym zdecyduje lord Parr — odpowiedziałem stanowczo.

Mitchell wyprostował się, chwycił nieszczęsnego strażnika i wepchnął go z powrotem do aresztu. Wrócił i z przygnębieniem zajął miejsce za biurkiem.

Odezwałem się:

- Chcę, byś zachował tę sprawę w tajemnicy, póki nie dostaniesz dalszych rozkazów.

- Oddaję się w ręce królowej. To moja wina, że Leeman zbiegł. - Pokręcił głową. - Czasami jednak bywa ciężko... muszę przyjmować na służbę tych paniczów z prowincji, ponieważ ich ojcowie mają koneksje. A już ostatnie miesiące były nader trudne. Te wszystkie pogłoski... lojalnie służę królowej od trzech lat, lecz od wiosny spodziewam się, że w każdej chwili dostanę rozkaz, by ją aresztować.

Nie odpowiedziałem. Nie czułem dla niego współczucia. Niezależnie od tego, jak dobrze zorganizowany był system ochrony, jaka panowała w nim dyscyplina, wystarczyło, że człowiek stojący na jego czele popełnił błąd, by wszystko przestało działać jak należy.

- Opowiedz mi więcej o Leemanie — odparłem w końcu.

- Jego ojciec ma majątek w Kent. Są dalekimi krewnymi Parrów poprzez kuzynostwo Throckmortonów, z których jeden wyprosił dla młodego Leemana posadę na dworze. Wziąłem go na rozmowę w zeszłym roku. Uznałem, że nadaje się do służby. Jako dżentelmen nauczył się walki wręcz, jest wysokim, postawnym i urodziwym młodym człowiekiem, dobrze ułożonym, choć już wtedy wydał mi się nadmiernie poważny. Był też pobożny. Oznajmił, że interesuje się religią i ją studiuje. Cóż, wówczas skłonności reformatorskie nie były zawadą. - Westchnął. — I przez blisko dwa lata służył w straży lojalnie i posłusznie. Nigdy nie sprawiał nawet najmniejszych kłopotów, oprócz tego, że dwukrotnie trzeba go było upomnieć, by nie prawił kazań wśród kolegów, których to drażniło. Na początku roku ostrzegłem go, że takie dyskusje stają się niebezpieczne. — Pochylił się do przodu. - Jest ostatnim człowiekiem, którego podejrzewałbym o udział w spisku, by skraść klejnoty królowej. Poza tym Leeman pochodzi z raczej ubogiej rodziny, daleko spokrewnionej z Jej Królewską Mością, i posada w straży była dla niego gratką. Skąd wziąłby tak dużą sumę jak dziesięć suwerenów, by przekupić Gawgera?

- Nie wiem.

Mitchell przełknął ślinę.

- Spodziewam się, że Leeman będzie teraz poszukiwany.

- To już zależy od królowej i lorda Parra - odparłem spokojnie, wstając, - Na razie, kapitanie, trzymaj Gawgera pod strażą... i nic nikomu nie mów.

Skłoniłem się i wyszedłem,

Wróciłem do prywatnej komnaty Jej Królewskiej Mości. Lord Parr krążył tam i z powrotem, królowa zaś siedziała na fotelu pod baldachimem, bawiąc się długim naszyjnikiem z pereł, który należał swego czasu do Katarzyny Howard. Rig, jej spaniel, leżał u stóp swej pani.

Opowiedziałem o rozmowie z Mitchellem i Gawgerem.

- A więc to tak - odparł z powagą lord Parr. - Dzięki tobie, panie, wiemy wreszcie, kto to zrobił, lecz nie wiemy, jak i po co. A przez tego głupca Mitchella Leeman zbiegł.

- Jeśli chodzi o to, jak dokonano kradzieży sądzę, że należy ponownie wziąć na spytki ślusarza. Zwłaszcza teraz, gdy wiemy, że Leeman miał pieniądze na łapówki. Co zaś do tego, po co to zrobiono... zaczynam się zastanawiać, czy nie brała w tym udziału cała grupa radykalnych protestantów, od Leemana po drukarza Greeninga. Ale tu znowu się nasuwa pytanie: po co? Po co mieliby kraść dzieło królowej?

- I przede wszystkim, skąd mieliby wiedzieć o jego istnieniu? -podsunął lord Parr.

Królowa nagle pochyliła się do przodu, szeleszcząc jedwabiami, i wybuchnęła płaczem. Jej ciałem wstrząsnęły szlochy. Stryj podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Katarzyno, Katarzyno - powiedział uspokajająco. — Musimy zachować spokój.

Uniosła twarz. Malował się na niej strach, a łzy zostawiły ślady na umalowanych bielą ołowiową policzkach. Na jej widok w takim stanie ścisnęło mi się serce.

- Zachować spokój! - wykrzyknęła. - Ale jak? Kiedy ta kradzież spowodowała już śmierć dwóch ludzi! I kimkolwiek są, ci, którzy ukradli moje dzieło, prawdopodobnie sami stali się ofiarami i już go nie mają! A wszystko przez to, że zgrzeszyłam pychą, odrzucając radę arcybiskupa Cranmera, i nie zniszczyłam manuskryptu! Lamentacje, prawdziwe lamentacje, zaiste! - Drżąc cała, zaczerpnęła powietrza i zwróciła ku nam zrozpaczoną twarz. — Czy wiecie, co jest najgorsze... dla mnie, która napisałam to dzieło, nakłaniając ludzi, by zapomnieli o pokusach tego świata i dążyli do zbawienia? To, że nawet teraz, po śmierci tych nieszczęśników, nie myślę o nich ani o mej rodzinie i przyjaciółach, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie, lecz o sobie, że zginę na stosie jak Anna Askew! Wyobrażam sobie, że jestem przykuta łańcuchami do pala, słyszę trzask ognia, gdy podpalają drewno, czuję dym i płomienie! - Podniosła głos, mówiąc gorączkowo: - Boję się tego od wiosny. Po tym, jak król poniżył Wriothsleya, sadziłam, że zagrożenie minęło, ale teraz... — Uderzyła pięścią w udo. -Jestem taką egoistką, egoistką! Ja, która myślałam, że Pan Bóg obdarzył mnie łaską... - Prawie już krzyczała. Spaniel przy jej nogach zaskomlał ze strachu.

Lord Parr ujął ją mocno za ramiona, patrząc w jej nabrzmiałą od płaczu twarz.

- Zapanuj nad sobą szybko, Katarzyno! Przetrwiałaś te ostatnie miesiące, nie załamuj się teraz. I nie krzycz. - Wskazał głową drzwi. -Wartownik może cię usłyszeć.

Królowa pokiwała głową, po czym, zachłystując się, kilka razy odetchnęła przeciągle. Stopniowo odzyskała panowanie nad sobą i przestała drżeć. Spojrzała na mnie i rzuciła mi uśmiech przez łzy.

- Nie sądziłeś, Matthew, że ujrysz swą królową w takim stanie, nieprawdaż? - Poklepała stryja po ręce. - Już dobrze, Wasza Lordowska Mość Doszłam do siebie. Znowu jestem sobą. Muszę przemyć twarz i wezwać jedną ze służących, by mnie przypudrowała, zanim wyjdę na zewnątrz.

- Ogromnie mi przykro widzieć cię, jaśnie pani, w podobnej desperacji - odparłem cicho. Lecz przyszła mi do głowy pewna myśl. Zwróciłem się do lorda Parra: — Wasza Lordowska Mość, powiedziałaś do królowej, że jeśli będzie mówić zbyt głośno, może usłyszeć ją wartownik?

Królowej z przerażenia rozszerzyły się oczy. Lord Parr pogładził jej dłoń.

- Chciałem ją tylko uspokoić. Drzwi są grube, celowo, by królowa miała nieco prywatności. Strażnik na zewnątrz może usłyszeć podniesiony głos, ale nie rozróżni słów.

- A co by było, gdyby ktoś krzyknął? - zapytałem. - Mężczyzna o donośnym głosie, głosie kaznodziei, który ma nieść się jak najdalej?

Ściągnął brwi.

- Żaden śmiertelnik nie śmiałby tu przyjść i krzyczeć na królową.

Ta jednak pochyliła się do przodu z szeroko otwartymi oczami, ściskając w dłoni chusteczkę.

— Arcybiskup Cranmer... — powiedziała. — Tamtego wieczoru, kiedy spieraliśmy się z powodu *Lamentacji* i odpierałam jego argumenty podniosłam głos i... tak... on również. — Przełknęła ślinę. — Jesteśmy przyjaciółmi, wiele razy rozprawialiśmy o sprawach wiary, a przy tamtej okazji wyrażał obawy, do czego mogłoby doprowadzić wydanie *Lamentacji*. Ileż razy sam musiał w ostatnich kilkunastu latach bać się stosu? I nie bez powodu, teraz to wiem. — Spojrzała na mnie ponownie. — Owszem, jeżeli gwardzista pełniący straż przed drzwiami mógł rozróżnić dochodzące zza nich słowa, to tylko arcybiskupa, który próbował mnie przekonać, że gdybym spróbowała wydać drukiem *Lamentacje*, gniew króla nie znałby granic.

Lord Parr zmarszczył czoło.

— Nie miał prawa...

— To było na początku czerwca, jak mówiłaś, Wasza Królewska Mość?

Królowa potwierdziła skinieniem głowy.

— Tak. — Ściągnęła brwi. — Piątego albo szóstego.

Zwróciłem się do lorda Parra:

— Wasza Lordowska Mość, znasz rozkład wieczornych wacht?

— Są cztery do północy.

— Dobrze byłoby się dowiedzieć, kto pełnił służbę przed drzwiami w wieczór tamtej kłótni.

Kapitan Mitchell będzie miał dokumenty.

Królowa zapytała ze strachem:

— Leeman mógł stać na warcie, kiedy spierałam się z arcybiskupem?

Odparłem spokojnie, z naciskiem:

— I w ten sposób mógł dowiedzieć się o istnieniu księgi, a następnie opracować plan jej kradzieży.

Jeśli zdobyłby duplikat klucza... Od tego wszystko zależało. Wasza Lordowska Mość, dowiedzmy się, kto był wtedy na służbie. I jeśli moje podejrzenia okażą się słuszne, ponownie przesłuchajmy ślusarza.

*

Rzeczywiście, Leeman tamtego wieczoru pełnił wartę, kapitan Mitchell to potwierdził. Sprawa była niemal pewna. Po prostu usłyszał słowa Cranmera i dowiedział się o istnieniu *Lamentacji*. Potem przedsięwziął plan, przekupił kogo trzeba i czekał. Tylko skąd wziął pieniądze, zacząłem się zastanawiać. Byłem przekonany, że nie działał sam.

Opuściliśmy przybitego kapitana straży, wsiedliśmy do mniejszej z dwóch barek królowej i popłynęliśmy do zamku Baynards. Wioślarze w liberii wiosłowali szybko, zmierzając w dół Tamizy, a herold trąbką dawał znać innym łodziom, by ustępowały nam z drogi. Do królowej wezwano Mary Odell która miała dotrzymać jej towarzystwa w prywatnych komnatach i poprawić jej makijaż, by znowu mogła pokazać się publicznie.

Lord Parr i ja siedzieliśmy naprzeciwko siebie pod baldachimem. W słońcu lord wyglądał na swój wiek, miał bladą cerę i zmęczone oczy. Ośmieliłem się zapytać:

- Wasza Lordowska Mość, czy królową często nawiedzają takie nastroje?

Przez chwilę patrzył mi w oczy, potem pochylił się i powiedział cicho:

- Zdarzało się w ostatnich miesiącach. Nawet nie wiesz, panie, jak musi nad sobą panować. Ta umiejętność zachowania spokoju zawsze należała do zalet mej bratanicy. Lecz w głębi duszy jest bardzo uczuciową kobietą, zwłaszcza od kiedy wzmocniła się jej wiara. Od wiosny zaś... przesłuchania osób z jej otoczenia, prześladowania, świadomość, że król może się zwrócić przeciwko niej... owszem, kilka razy się załamała. W mojej obecności, przed Mary Odell i swoją siostrą. Na szczęście, ma wokół siebie ludzi, którym może ufać.

- Ja też się do nich zaliczam — odparłem cicho.

Skrzywił usta.

- Żeby zwykły śmiertelnik widział królową w takim stanie... cóż, powiedzmy, że jesteś, panie, pierwszy. I mam nadzieję, że ostami. — Wyprostował się, patrząc mi przez ramię. — Zaraz przybijemy do schodów prowadzących na zamek.

*

Uzgodniłszy stanowisko i słowa, jakimi się posłużymy, by skłonić Barwic do wyznania prawdy, jeśli rzeczywiście miał coś na sumieniu. Nie mieliśmy czasu do stracenia. Lord Parr kroczył przez dziedziniec po raz główny korytarz z surową miną, a wszyscy strażnicy po kolei salutowali szambelanowi królowej i ustępowali mu z drogi. W końcu zbliżył się do drzwi pomieszczenia, w którym rezydował stolarz, i otworzył je zamasyście. Barwic heblował długą dębową deskę - zauważyłem, że w rudawej brodzie ma trociny - podczas gdy jego pomocnik szlifował papierem ściernym inny kawałek drewna. Kiedy wkroczyliśmy, obaj podnieśli głowy i spojrzeli na nas, pomocnik ze zdziwieniem, Barwic zaś ze strachem.

Lord Parr zatrzasnął drzwi i założył ręce na piersi. Skinął głową na terminatora.

- Wyjdź, chłopcze - nakazał i ten umknął, kłaniając się pospiesznie. Barwic stanął naprzeciwko nas.
- Zdemaskowaliśmy złodzieja, to Michael Leeman - powiedziałem ostro. - Miał współnika,

Zachary'ego Gawgera.

Barwic stał przez chwilę nieruchomo, patrząc na nas bez wyrazu. Z potarganymi włosami i brodą, na których osiadły trociny, wyglądał niemal komicznie. Potem niczym marionetka opadł powoli na kolana, opuszczając głowę i składając spracowane dłonie. Klęcząc, spojrział na szambelana. Ręce mu drżały.

- Wybacz mi, Wasza Lordowska Mość. Początkowo zrobiłem drugi klucz na wypadek, gdyby pierwszy się zgubił. To niedobrze, gdy do skrzyni zawierającej kosztowności jest tylko jeden klucz.

- Więc wykonałeś duplikat? - zapytałem. - Gdzie go trzymałeś?

- W bezpiecznym miejscu, panie, naprawdę. W zamkniętym kufrze, do którego poza mną nikt nie ma dostępu. - Przez cały czas nie odrywał wzroku od twarzy lorda Parra.

- Czy robiłeś tak już wcześniej?

Barwic spojrział na mnie, po czym znowu zwrócił się do lorda Parra:

- Tak, Wasza Lordowska Mość, proszę o wybaczenie. Zawsze kiedy mi każą wstawić zamek, robię duplikat klucza. Mogę pokazać miejsce, gdzie wszystkie je trzymam. To było tylko na wszelki wypadek, przysięgam.

- To jak Leeman zdobył ten klucz? — zapytałem.

- Wstań, chamie! - warknął lord Parr. - Dostanę skurczu w szyi, jeśli będę musiał patrzeć w dół!

Barwic podniósł się, wciąż załamując ręce.

- Przyszedł do mnie ze trzy tygodnie temu. Nie znałem go, lecz był w mundurze straży królewskiej. Powiedział mi, że zginął klucz do skrzyni królowej i że słyszał, iż mogę mieć zapasowy. Pomyślałem, że... że przyszedł w imieniu Jej Królewskiej Mości...

Lord Parr uderzył pięścią w ławę, tak że deska upadła na podłogę.

- Nie próbuj mnie okłamywać ty nikczemnik! W tym, co mówisz, nie ma sensu. Wiesz dobrze, że żołnierz straży królewskiej nie ma prawa żądać klucza. Zwłaszcza że taiłeś, iż robisz duplikaty!

Nieszczęśnik nerwowo przełknął ślinę.

- Dałem znać pewnym ludziom, że mam duplikaty kluczy. Nie oficjalnie ale rozumiesz, Wasza Lordowska Mość... jeśli ktoś zgubił klucz, mogłem mu dostarczyć zapasowy.

- Za pewną cenę?

Barwic żałośnie skinął głową.

- Od jak dawna uprawiasz ten proceder?

- Od czasu, gdy trzy lata temu zostałem stolarzem i ślusarzem Jej Królewskiej Mości. Parę razy zaoferowałem zapasowy klucz do skrzyni czy szkatułki, zwykle damie, która go zgubiła. Ale zawsze był to ktoś, komu można ufać, i nigdy nic nie zostało przez to skradzione. Nic.

Lord Parr pokręcił głową.

- Dobry Boże, na dworze królowej od dawna panuje rozprężenie.

- Owszem - potwierdziłem. - I Michael Leeman, idę o zakład, wyczuł słabe punkty. Ile ci zapłacił,

Barwic?

- Dziesięć suwerenów, panie. Nie mogłem się oprzeć pokusie. — Taka sama łapówka jak w przypadku Gawgera. - Powiedział mi, że królowa wysłała, zostawiając mu klucz na przechowanie, ale przypadkiem wpadł mu w szparę między deskami w podłodze. Nie chciał, by je zdejmowano.

- I uwierzyłeś mu? - W głosie lorda Parra zabrzmiała pogarda.

- Nie bardzo wiedziałem, co myśleć, Wasza Lordowska Mość. Powiedziałem mu, by przyszedł nazajutrz. Tymczasem zasięgnąłem o nim języka wśród znajomych w Whitehall... od jak dawna tam służy, czy jest uczciwy. Powiedziano mi, że uchodzi za porządnego człowieka, pobożnego. Nie powierzyłbym klucza byle komu, przysięgam, Wasza Lordowska Mość.

Lord rzucił mu gniewne spojrzenie.

- O, tak. Zapewne ze strachu przed stryczkiem. Jednakże Michael Leeman był złodziejem. A ty napytałeś sobie biedy. — Przeniósł wzrok na mnie. — Na razie zatrzymać tego człowieka w moim domu. Idziesz za nami, łotrze. Oddam cię pod straż jako podejrzanego o udział w okradzeniu Jej Królewskiej Mości. I ani słowa o kluczach. Leeman i jego wspólnik zostali zdemaskowani, lecz Leeman zdołał zbiec, więc ani pary z ust, dopóki nie zostanie schwytany.

Barwic ponownie padł na kolana. Głos mu drżał.

— Czyja... zawisnę, Wasza Lordowska Mość? Błagam, poproś Jej Królewską Mość, by okazała mi łaskę. Mam żonę, dzieci... to przez koszty związane z funkcją przewodniczącego gildii, podatki na wojnę...

Lord Parr pochylił się nad nim.

— Jeśli to będzie zależało ode mnie, zawisniesz — odparł bezwzględnie. — A teraz chodź.

*

Szlochający Barwic został przekazany strażnikowi królewskiemu i odprowadzony przez dziedzińiec zamku Baynards. Kolejny człowiek, którego życie legło w gruzach. Kilku ludzi wyładowujących z wozu bele jedwabiu odwróciło głowy, patrząc za płaczącym mężczyzną, oddalającym się pod strażą.

— Hm - odezwał się po cichu lord Parr. — Oto dokąd dzięki tobie zaszliśmy, komisarzu Shardlake. Poznaliśmy już całą historię kradzieży« łącznie z „jak" i „kto”. Wciąż jednakże nie wiemy „po co". I kto ma ten przeklęty manuskrypt? I dlaczego nie ujawnia się z tym?

— Nie wiem, Wasza Lordowska Mość. Mój młody pomocnik próbuje się dowiedzieć, kto wykonał tę koronkę, którą znalazł w pobliżu drukarni Greeninga, ale jak na razie to jedyny trop, jakim dysponujemy. Musimy schwytać tych znajomych drukarza.

Lord Parr wzbił stopą pył.

— Wezmę od kapitana Mitchella opis Leemana i przekażę Cecilowi. Doda go do charakterystyki pozostałych, których szukamy.

— Będą próbowali wyjechać pod fałszywymi nazwiskami.

— To oczywiste - odparł ze zniecierpliwieniem. — Lecz w komorze celnej będą mieli ich rysopisy i jeśli któryś z tych ludzi spróbuje dostać się na pokład jakiegoś statku, zostanie zatrzymany, dopóki go nie przesłucham. - Pokręcił głową. - Chociaż mogą uciec przez Bristol albo Ipswich.

— Pozostaje nam więc wizyta w Tower - zauważyłem. - Możliwe, że tam trafimy na ślad kolejnego ra dykała, człowieka, który zdradził prawdę o ostatnich dniach Anny Askew. Niewykluczone, że ma powiązania z innymi.

Z wolna pokiwał głową.

- Z całą pewnością wyczuwam tu jakiś spisek radykałów. Chciałbym tylko wiedzieć, o co w nim chodzi.

- Tak czy owak, pierwotna grupa skupiona wokół Greeninga uległa rozbiciu. - Popatrzyłem na niego. - W wyniku wewnętrznego konfliktu albo wskutek działania szpiega, być może z obozu konserwatystów. Potwierdził skinieniem głowy.

- To głównie sekretarz Paget zatrudnia szpiegów, którzy wykorzystują wewnętrzne konflikty. Jednakże inni mogą postępować tak samo, na własną rękę. Na przykład ktoś, kto lubi intrygi. Spojrzał na mnie.

- Kogo masz na myśli, panie? Sir Richarda Richa?

- Wykazał się dużą wytrwałością podczas polowania na heretyków. - Przerwałem na chwilę i podjąłem znowu: — Wasza Lordowska Mość, martwię się o sąsiada Greeninga, tego drukarza, mistrza Okedene.

Pochylił głowę.

- Sądzę, że uzyskaliśmy od niego wszystkie informacje, jakie tylko było można.

- Chodzi mi o jego bezpieczeństwo. Zabito już dwóch ludzi. Obawiam się, że Okedene także jest zagrożony, że nasi wrogowie, kimkolwiek są, zechcą uciszyć go na zawsze,

- Powiedział nam wszystko, co wie. Jest już bezużyteczny.

- Mimo wszystko wiele mu zawdzięczamy. Czy nie można by mu dać jakiejś ochrony, na przykład przydzielić człowieka, który by u niego zamieszkał?

- Nie rozumiem! - wybuchnął lord Parr. - Nie mam środków! Nie jestem w stanie mu pomóc! - Nie odpowiedziałem, nie śmiałem go drażnić jeszcze bardziej, a on tymczasem rzucił: — A teraz do Tower.

- Dobrze, Wasza Lordowska Mość.

- Sir Edmund Walsingham był do niedawna, póki nie zrezygnował ze służby, drugim szambelanem królowej, najwyższym po mnie urzędnikiem na jej dworze. Od dwudziestu pięciu lat sprawuje także funkcję dowódcy Tower.

- Łączył oba te stanowiska? - zapytałem ze zdziwieniem.

- One są raczej honorowe niż administracyjne. Rzeczywistą władzę w Tower sprawuje konstabl, sir John Gage. Sir Edmund jest moim długoletnim przyjacielem. Ma prawie tyle lat co ja. — Uśmiechnął się cierpko. - Rzecz jasna, wie o wszystkim, co się tam dzieje. Umówiłem się z nim na spotkanie jutro o drugiej. Nie było możliwości wcześniej, choć próbowałem. - Spojrzał na mnie. — Oto, co zrobimy. Pod pretekstem, że potrzebujemy informacji w związku z pewną sprawą sądową, postaramy się zobaczyć harmonogram dyżurów w czasie, kiedy torturowano Annę Askew. Między dwudziestym ósmym czerwca, kiedy ją tam przewieziono, a drugim lipca, gdy po Londynie zaczęły krążyć pogłoski o jej torturach. To nie będzie łatwe. Sądzę, że władze Tower nie zechcą rozmawiać o tym, co się stało. Mój bratanek, William, hrabia Essex, mówi, że Tajna Rada nie zleciła żadnego śledztwa w tej sprawie, co wydaje się nader dziwne. W każdym razie smaczny posiłek i dobre wino potrafią rozwiązać języki w gronie przyjaciół.

Na drugą. Dobrze. Przynajmniej pozwoli mi to wziąć rankiem udział w oględzinach malowidła. Przyjrzałem się lordowi - starzec wyraźnie się ożywił wobec perspektywy postępów w sprawie. Ja jednak nie miałem ochoty na ponowną wizytę w Tower. Zostałem tam wtrącony pięć lat temu na skutek spisku Richa i Bealknapa. Zastanowiłem się, czy lord Parr o tym wie. Zapewne tak, prawdopodobnie wiedział o mnie wszystko.

— W czym rzecz? — spytał ze zdziwieniem.

— Wasza Lordowska Mość, proszę o wybaczenie, ale rozszerzamy grono osób, które wiedzą o kradzieży na dworze królowej. Ta wieść może dotrzeć do króla. Zastanawiam się... cóż, czy Jej Królewska Mość nie powinna pójść do niego i wyznać mu całej prawdy. Dla swego dobra. Z całą pewnością okazałby jej większą łaskę, niż gdyby dzieło, które napisała, zaczęło krążyć po ulicach Londynu i w ten sposób się dowiedział, że trzymała je przed nim w sekrecie.

Lord Parr zirytował się na mnie. Powiedział cicho, gdyż na dziedzińcu panował tłok, lecz ostrym

głosem:

— Nie jesteś od tego, panie, by udzielać królowej rad w tej kwestii.

I pamiętaj, że wciąż grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Jest tajemnicą poliszynela, że coś się dzieje w Tajnej Radzie, król, Paget i Gardiner prowadzą między sobą sekretne rozmowy. Mój bratanek, William, brat królowej, jak większość członków rady nie należy do tego kręgu, lecz z jakiegoś powodu Gardiner wygląda na pewnego siebie, mimo porażki w związku z prześladowaniami, i uśmiecha się krzywo za każdym razem, kiedy William go mija.

- Ale jeśli dzieło królowej nie ma heretyckiego charakteru — kontynuowałem. - Jak słyszę, sir Edward Seymour ma niebawem powrócić na dwór, podobnie jak lord Lisle... Obaj są reformatorami, więc w przymierzu z Parrami staną się silni...

- Królowa zbyt wiele by ryzykowała, mówiąc królowi prawdę. - Głos starca drżał z gniewu, a na jego twarzy malowało się napięcie. - Na Boga, przekraczasz granicę, panie! Przymierze między Parrami i Seymourami to nie twoja sprawa. Nie masz o tym pojęcia, tak samo jak o dworskich intrygach. - Zaczął mówić ciszej. - Jednakże po tych wszystkich latach powinieneś zdawać sobie sprawę z jednego: król nie zniesie nawet podejrzenia o nielojalność.

- Chciałem jedynie pomóc, Wasza Lordowska Mość.

- Zatem nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. I pamiętaj, że odpowiadasz wyłącznie przede mną. Masz być przy Środkowej Bramie Tower jutro o drugiej. Przyjedź konno, w todze. - Po tych słowach lord Parr odwrócił się i odszedł, kuśtykając.

Stałem w słońcu, które paliło mnie w głowę, i patrzyłem, jak się oddala. Potknąłem się w drodze powrotnej. I mimo że szybko odzyskałem równowagę, wciąż miałem wrażenie, iż grunt chwieje mi się pod nogami, jak wtedy, gdy zaczęła tonąć *Mary Rose*. Jednakże przed oczami stanął mi nie obraz przewracającego się okrętu, lecz płonącej Anny Askew, z eksplodującą głową.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy następnego ranka znowu wczesnie wychodziłem z domu, już czułem się zmęczony, nim dzień zaczął się na dobre. Poprzedniego wieczoru wysłałem mistrzowi Okedene wiadomość, w której wyraziłem niepokój o niego, ostrzegłem, że zabójcy Greeninga wciąż są na swobodzie, i doradziłem, by przedsięwziął środki bezpieczeństwa. Lord Parr nie upoważnił mnie do napisania tego wszystkiego, jednakże czułem, że mam taki obowiązek.

Josephine na dole podała mi śniadanie. Przypomniałem sobie jej animozje z Martinem, lecz tego dnia wydawała się dość pogodna.

Był kolejny gorący i słoneczny dzień. Uświadomiłem sobie, że wieczorem mam być na kolacji u Coleswyna. Po południu zaś musiałem stawić się w Tower, więc pomyślałem o tym, by odwołać wizytę. W końcu jednak uznałem, że po odwiedzinach w więzieniu dobrze mi zrobi towarzystwo zwykłych ludzi.

Najpierw wstąpiłem do kancelarii, gdzie zastałem już Baraka i Skelly'ego przy pracy. Nicholas właśnie wyszedł, by kontynuować obchód warsztatów koronkarzy, jak wyjaśnił Barak, Najwyraźniej poprzedniego dnia nie dopisało mu szczęście. W głosie Baraka wyczułem nutkę urazy, ponieważ nie lubił, gdy go z czegoś wykluczano. Oznajmiłem, że udaję się na inspekcję i będę nieobecny także po południu.

- Dlaczego nie powiesz tej przebrzydłej pani Slanning, by poszła do innego prawnika, skoro jesteś taki zajęty? — zapytał.

— Nie mogę tego zrobić bez ważkiego powodu — odparłem ustępliwie. — Podjąłem się tej sprawy i muszę doprowadzić ją do końca.

- Nawet jeśli zajmujesz się inną?

- Owszem.

Zostawiłem go, czując pewien niepokój.

*

Dom Cotterstoke'ów znajdował się w Dowgate, po drugiej stronie miasta, pojechałem więc Cheapside. Właśnie otwierano sklepy, a uliczni kupcy rozstawiali stragany. Przypomniałem sobie ostatnią rozmowę z Coleswynem; nasz układ, że postaramy się w godziwy sposób osiągnąć porozumienie.

Przyszło mi do głowy, by dyskretnie wywiedzieć się w gildii pasmanteryjnej o rodzinę Cotterstoke'ów i jej historię, lecz uznałem, że to byłoby nieprofesjonalne, a poza tym nie miałem dość czasu.

Przed sobą zobaczyłem innego prawnika w czarnej todze, który jechał wolno, z pochyloną głową, jakby w zamyśleniu. Uświadomiłem sobie, że to Philip Coleswyn, więc zrównałem się z nim.

- Szczęść Boże, kolego Shardlake - powiedział na mój widok.

- I tobie.

- Czy jesteś gotowy na oględziny malowidła?

- Tak. Przyjedzie także moja klientka. A twój klient?

- Pan Cotterstoke? Och, z całą pewnością. - Coleswyn uśmiechnął się ironicznie, po czym dodał: — Moja żona nie może się już doczekać, by cię poznać dziś wieczorem. Około szóstej, jeśli to nie będzie zbyt późno?

- Akurat. Mam jeszcze sprawy po południu.

Jechaliśmy dalej. Coleswyn zdawał się tego dnia zamyślony i niewiele mówił. Minęliśmy uliczkę, w której panowało jakieś zamieszanie. Dwóch krzepkich mężczyzn wynosiło z domu meble: wysuwane łóżko, stół, dwa rozklekotane krzesła. Ładowali je na wózek, podczas gdy obok stała niewiasta w taniej sukni z lichej wełny oraz kilkoro małych dzieci trzymających się jej spódnicy. Jegomość w średnim wieku klócił się głośno z potężnym typem z pałką przy pasie, który nadzorował wyprowadzkę.

- Zalegamy z czynszem tylko miesiąc! Mieszkamy tu od dwunastu lat! Co ja poradzę, że handel źle idzie!

- To nie mój kłopot, dobry człowieku - odparł niezycliwie rostry mężczyzna. — Nie płacisz, więc

musisz się wynieść.

- Ludzie tego roku rezygnują z drobnych napraw w domach, mając do zapłacenia te wszystkie podatki na wojnę! A przy tej drożyznie... - Jegomość zwrócił się do tłumu gapiów, który zdążył się zgromadzić. Z ich strony dobiegły współczujące pomruki.

- Eksmisja - zauważył cicho Coleswyn.

- W tym roku jest ich wiele.

Żona robotnika nagle rzuciła się do przodu i chwyciła skrzynię, którą dwaj tragarze wynieśli z domu.

- Nie! - zawołała. - To narzędzia mego męża!

- Mamy zabrać wszystko na poczet długu — odparł nadzorca. Robotnik przyłączył się do żony.

- Bez nich nie będę mógł pracować! Wolno mi zatrzymać narzędzia!

- Zostawcie tę skrzynię! - krzyknął człowiek, który właśnie dołączył do tłumu. Nadzorca, najpewniej przedstawiciel właściciela domu, nerwowo rozejrzał się. Gapiów zbierało się coraz więcej.

Zatrzymaliśmy się i Coleswyn zawołał:

- On ma rację! Ma prawo zatrzymać narzędzia pracy! Jestem prawnikiem!

Tłum zwrócił się w naszą stronę, a na wielu obliczach malowała się wrogość, mimo że Coleswyn próbował pomóc. Niestety, prawnicy nigdy nie cieszyli się popularnością. Mężczyzna z pałąk jednak jakby odetchnął z ulgą.

- Dobrze! — wrzasnął. — Skoro tak mówi prawo, zostawcie tę skrzynię! - Mógł później powiedzieć swemu pracodawcy, że w sprawę włączył się prawnik.

Tragarze postawili skrzynię na ziemi i niewiasta od razu na niej usiadła, przygarniając dzieci.

- Możecie jechać swoją drogą, gryziپیórki! - zawołał do nas ktoś. - Oczyszciliście swe sumienia, czyż nie?!

Ruszyliśmy dalej.

- Biedny lud ma wszelkie powody, by wątpić w opatrzność boską - rzucił cicho Coleswyn. — Lecz pewnego dnia, kiedy nastanie boski porządek, zapanuje powszechna sprawiedliwość.

Pokręciłem głową ze smutkiem.

- Kiedyś też tak sądziłem. Myślałem, że majątek klasztorów zostanie wykorzystany, by ulżyć najbiedniejszym; że król jako głowa

Kościół zadba o nich, tak jak dawny Kościół nie dbał. Lecz wszystkie te pieniądze przeznaczone na rozbudowę WhitehaU i innych pałaców albo wyrzucono na wojnę. Nie dziwota, że niektórzy stali się radykałami.

Jednakże ci ludzie tylko zaprowadzą anarchię - odparł Coleswyn z rozpaczą. - Nie, musi nadejść godziwy, boski porządek.

*

Dotarliśmy do domu Cotterstoke'ów. Był duży, o drewnianej konstrukcji, i stał przy ruchliwej Dowgate. Za nim znajdowała się stajnia, do której prowadziła ścieżka pod łukiem. Uwiązaliśmy konie i stanęliśmy w letnim słońcu, patrząc na tył domu. Okna pozasłaniano okiennicami i chociaż nieruchomość była dobrze utrzymana, wokół niej unosiła się atmosfera smutku i opuszczenia. Na zakurzonej podwórku w powiewach wiatru unosiła się sucha słoma jeszcze z czasów, kiedy trzymano tu konie.

- Za ten dom można by dostać sporą sumę pieniędzy, nawet dziś - zauważył Coleswyn.

- Zgadza się z tobą. To głupota, by stał pusty, niewystawiony na sprzedaż, z powodu tego sporu. - Pokręciłem głową. - Wiesz, im dłużej myślę o tym dziwnym sformułowaniu w testamencie, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nieboszczka chciała wywołać konflikt między swymi dziećmi.

- Ale dlaczego?

Rozłożyłem ręce.

Obeszliśmy budynek i zapukaliśmy do drzwi frontowych. Rozległo się szuranie i w progu stanął niski starszy jegomość. Wiedziałem, że to musi być Patrick Vowell, służący, którego tu zatrzymano, by

zajmował się domem po śmierci pani Cotterstoke.

- Komisarz Shardlake z panem Coleswynem - powiedziałem. Staruszek miał ciemne worki pod wyblakłymi niebieskimi oczami. Spojrzał na nas smutno.

- Pani Slanning już jest. Zastaniecie ją, panowie, w salonie.

Zaprowadził nas w głąb niewielkiego korytarza, w którym wisiał duży gobelin przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, już sam w sobie wart sporo pieniędzy. W porządnie urządzonej sali od mojej ostatniej wizyty, a być może od śmierci starej pani Cotterstoke, nic się nie zmieniło - krzesła i stół były zakurzone, a na fotelu leżała niedokończona robótka. Okiennice w oknach wychodzących na ulicę otwarto, a przez szyby widać było ruch uliczny. Isabel stała w słońcu, odwrócona do nas plecami, przed zaiste pięknym malowidłem, które zajmowało całą dalszą ścianę. Przypomniałem sobie uwagę Nicholasa, że trudno by było wstawić je do mniejszego pomieszczenia. Nie trudno, pomyślałem, to byłoby niemożliwe.

Przedstawiona scena w istocie wyglądała jak żywa: ciemnowłosa mężczyzna po trzydziestce, ubrany na czarno, w wysokim kapeluszu o cylindrycznym kształcie, patrzył na nas z dumą człowieka, któremu powiodło się w życiu. Siedział po jednej stronie tego samego okna, przez które wpadało teraz światło, wydobywając z mroku malowidło, tyle że innego słonecznego dnia na początku stulecia. Naprzeciwko niego zajmowała miejsce młoda kobieta o urodzie angielskiej róży, choć w jej wyrazie twarzy było coś surowego. Obok niej stali chłopiec i dziewczynka, w wieku dziewięciu, dziesięciu lat. Oboje nosili wyraźne podobieństwo do niej z wyjątkiem wylupiastych oczu, które wzięli po ojcu. Na obrazie Isabel i Edward Cotterstoke trzymali się za ręce: ot, zadowolone, beztroskie rodzeństwo.

Isabel odwróciła się do nas, zamiatając brzegiem niebieskiej jedwabnej sukni czerwoną matę na podłodze. Kiedy ujrzała obok mnie Coleswyna, zacięła usta, a w jej jasnych oczach pojawił się gniew. Obracała w palcach przywiązany do paska różaniec, na który w ostatnich latach krzywo patrzono. Przy wtórze stukotu paciorków wypuściła go z ręki.

— Komisarz Shardlake — powiedziała oskarżycielskim tonem. -Czyżby przyjechał pan z naszym adwersarzem?

— Spotkaliśmy się po drodze, pani Slanning - odparłem twardo. -Czy jest już któryś z rzeczoznawców? Albo twój brat, pani?

- Nie. Brata widziałam przez okno kilka minut temu. Zapukał do drzwi, lecz nie pozwoliłam służącemu wpuścić go do środka, dopóki nie przybędziesz. Sądzę, że niebawem wróci. — Rzuciła gniewne spojrzenie na Coleswyna. - Ten człowiek jest naszym wrogiem, a ty przyjechałeś w jego towarzystwie,

- Pani - odezwał się spokojnie Coleswyn. — Prawnicy będący w sądzie przeciwnikami są zobowiązani poza nim przestrzegać zasad dobrego wychowania.

To jeszcze bardziej zezłościło Isabel. Powiedziała do mnie, wskazując chudym palcem Coleswyna:

- Ten człowiek nie powinien się do mnie zwracać. Czy nie ma takiej zasady, która nakazuje mu porozumieć się ze mną poprzez ciebie, panie?

W rzeczy samej miała rację i Coleswyn poczerwieniał.

- To ma być dżentelmen? Dobrze sobie! — prychnęła. — Heretyk, z tego, co słyszę, tak samo jak mój brat!

Było to odrażające zachowanie, nawet jak na Isabel. Stwierdzenie, że Coleswyn nie jest dżentelmenem, stanowiło już wystarczającą obrazę, a nazwanie go heretykiem było oskarżeniem o zbrodnię karaną śmiercią. Coleswyn zacisnął usta, mówiąc do mnie:

- Ściśle rzecz biorąc, twoja klientka ma rację, że nie powinienem z nią rozmawiać. Tak czy owak, nie mam takiego zamiaru. Poczekam w holu, póki nie przyjadą pozostali. - Wyszedł z salonu i zamknął za sobą drzwi. Isabel rzuciła mi triumfujące spojrzenie. Cała zdawała się sztywna od nienawiści, którą

emanowała.

- Heretycy! — warknęła z zadowoleniem. - Ale cóż, ostatnio się doczekali! — Widząc moją minę, skrzywiła się, zapewne ogarnięta wątpliwościami co do mych sympatii religijnych, choć znając ją, wiedziałem, że zanim mnie wynajęła, musiała się upewnić, że jestem przynajmniej neutralny pod względem wiary.

Jej uwagę zwrócił ruch za oknem. Wyrzała na zewnątrz i jakby się skuliła, zanim znowu zacisnęła usta. Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili Vowell ponownie wprowadził Coleswyna, a wraz z nim trzech mężczyzn. Dwaj byli w średnim wieku i domyśliłem się, że są to architekci, zwłaszcza że rozprawiali o różnych metodach przekształcania małych klasztorów w rezydencje. Trzecim był brat Isabel, Edward Cotterstoke. Widziałem go już w sądzie, lecz z bliska jego podobieństwo do siostry zdawało się jeszcze bardziej uderzające - taka sama twarz porwana bruzdami, wyrażającymi niezadowolenie i gniew, wylupiaste oczy i chuda postać. Jak pozostali miał na sobie długą szatę, ciemnozieloną, taką, jakie nosili urzędnicy ratusza, z odznaką miasta Londyn na piersi. Oboje z Isabel spojrzeli na siebie z nienawiścią, tym większą, że trwało to tylko sekundę, a potem oboje odwrócili wzrok.

Dwaj specjaliści, panowie Adam i Wulfsee, przedstawili się sobie.

Adam był niskim, korpulentnym jegomościem o pogodnej naturze. Uśmiechnął się do mnie wesoło i uściśnął mi rękę.

— Cóż, panie - powiedział. - Dziwna to sprawa. - Zaśmiał się lekko. - Przeczytałem wczoraj komplet ciekawych dokumentów. Zobaczmy, czy możemy to jakoś rozwiązać, dobrze?

Po jego sposobie bycia zorientowałem się od razu, że Isabel dokonała złego wyboru. Adam nie był przekupnym rzeczoznawcą, lecz zwykłym architektem, nieprzywykłym do orzekania pod przysięgą, który zapewne uważał całą tę sprawę za urozmaicenie w codziennym znoju. Wulfsee natomiast, specjalista Edwarda Cotterstoke'a, był wysokim mężczyzną o poważnym podejściu i bystrych oczach. Miał opinię człowieka, który będzie dla klienta upierał się do śmierci przy jakimś szczególnie natury technicznej, choć nigdy nie skłamię.

Edward Cotterstoke, odwrócony plecami do Isabel, spojrzął na mnie, marszcząc czoło.

— Cóż, panie — zaczął suchym, szorstkim głosem. - Przystąpimy do rzeczy? Dla tej... niedorzeczności zostawiłem sprawy w ratuszu.

Fachowcy podeszli do malowidła i obejrzel je z profesjonalnym zainteresowaniem. Wszedł służący Vowell i stanął dyskretnie przy drzwiach, patrząc ze smutkiem raz na Edwarda, raz na Isabel. Pomyślałem, że zna historię tej rodziny lepiej niż ktokolwiek inny.

Dwaj architekci ostrożnie obmacali malowidło i styczne z nim Ściany, rozmawiając z sobą po cichu. W pewnym momencie pokiwali zgodnie głowami. Widząc to, Edward i Isabel wyraźnie się zaniepokoiili. Potem Adam, który ukląkł, by zbadać podłogę, wstał, otrzepał kolana i zapytał:

— Czy możemy zajrzeć do sąsiedniego pomieszczenia?

Coleswyn i ja wymieniliśmy spojrzenia i potwierdziliśmy. Obaj mężczyźni wyszli. Usłyszeliśmy zza ściany ich stłumione głosy. W salonie zapanowała martwa cisza, a Isabel i Edward wciąż stali odwrócen do siebie plecami. Edward patrzył na malowidło ze smutkiem w oczach.

Wulfsee i Adam wrócili po kilku minutach.

— Sporządzimy pisemne raporty, lecz wszystko wskazuje na to, że pan Adam i ja jesteśmy tego samego zdania - powiedział Wulfsee z triumfalnym błyskiem w oku. — Tego malowidła nie da się zdjąć bez nieodwracalnych szkód. Po drugiej stronie ściany widać, że tynk się skurczył, powodując pośrodku wyraźne pęknięcie, które stąd ledwie widać, ale można je dostrzec, gdy spojrzy się z bliska. Przy każdej próbie ruszenia drewnianych belek tynk się po prostu osunie. Czy zgadasz się ze mną, mistrzu?

Adam spojrzął na mnie, zawahał się, po czym przepaszająco rozłożył ręce.

- Nie wydaje mi się, by ktokolwiek, kto zna się na budownictwie, mógł wydać inną opinię. —

Usłyszałem, że Isabel gwałtownie wciągnęła powietrze. Na twarzy Edwarda pojawił się paskudny uśmiezek.

- Pokażemy wam - dodał Wulfsee.

Przeszliśmy wszyscy do sąsiedniego pokoju, gdzie na ścianie rzeczywiście widniało pęknięcie. Po powrocie do salonu, przyglądając się uważnie, pod warstwą farby dostrzegliśmy w analogicznym miejscu ledwie widoczną linię. Edward się uśmiechnął.

- A zatem - odezwał się z satysfakcją - sprawa jest rozstrzygnięta.

Ponownie spojrzałem na ścianę. Z tego, co widziałem, Wulfsee się nie mylił. Architekt, który chciałby dopiąć swego, kręciłby i udzielałby wymijających odpowiedzi, lecz Adam do takich nie należał. Coleswyn zwrócił się do mnie i powiedział:

- Tak się zdaje, komisarzu Shardlake. Malowidło zawsze miało stanowić część domu i nie może istnieć oddzielnie. Należy je więc określić jako stały element wyposażenia.

- Chciałbym dokładnie zapoznać się z raportem specjalistów - odparłem, by zyskać na czasie. Wiedziałem jednak, że orzeczenie jest ostateczne. Obstając przy wybranym przez siebie specjaliście, Isabel sama zaprzepaściła szansę na wygraną. Teraz patrzyli na nią wszyscy, nawet Edward. Stała nieruchomo, wpatrzona w malowidło, stare, piękne i kruche, przywołujące dawne czasy, wspomnienie rodziców, brata i jej samej. Słyszając werdykt rzeczoznawców, śmiertelnie zbladła, zobaczyłem jednak, że zaraz potem jej papierowa twarz oblewa się rumieńcem, przybierając szkarłatną barwę. Wskazała nieszczęsnego Adama.

- Do którego kościoła chodzisz, panie? - burknęła.

Ten, zdziwiony, ściągnął brwi.

- Sądzę, że to nie powinno cię, pani, interesować.

- Czyżbyś bał się powiedzieć? - Mówiła głosem ostrym jak nóż.

Włączył się Edward, podnosząc szczupłą rękę.

- Nie odpowiadaj jej, panie, jest niespełna rozumu.

Isabel wyprostowała się i podniosła głowę, wciąż patrząc groźnie na Adama.

- Nie odpowiadasz, panie, lecz pozwalasz, by mój brat zwracał się do ciebie, chociaż masz reprezentować mnie. Nie mam wątpliwości, że jesteś heretykiem, tak samo jak on i jego prawnik! Wszyscy należycie do jednej bandy!

Edward nagle stracił nad sobą panowanie.

- Oszalałaś, Isabel! - wybuchnęła. - Naprawdę oszalałaś. Postradałaś rozum w czasach dzieciństwa, kiedy zmusiłaś mnie...

Do salonu szybko wkroczył Vowell i wszyscy skierowali wzrok w jego stronę.

- Jaśnie panie! Jaśnie pani! Przez pamięć na rodziców...! - Niemal zaczął płakać, Edward popatrzył na niego, zaciskając mocno usta. Isabel także zamilkła i oddychała powoli głęboko, lecz po chwili podjęła ciszej, ale wciąż tonem pełnym nienawiści:

- Jeśli masz powiązania z heretykami, panie, dowiem się tego, dotrę do prawdy. — Wskazała na Coleswyna. — Ty i mój brat należycie do heretyków, wiem, że biskup prowadzi śledztwo w sprawie waszego kapłana, który podobno zaprzecza, jakoby podczas mszy było obecne ciało Jezusa Chrystusa.

- Niczego mu nie dowiedziono — odparł z godnością Coleswyn, choć głos drżał mu od gniewu. — Popieram wszystko, co mówił publicznie.

Edward rzucił mu zaniepokojone spojrzenie. Isabel to zauważyła i zmrużyła oczy.

- Dowiem się, co takiego naprawdę powiedział, możesz być pewny.

Wulfsee i Adam byli wyraźnie przestraszeni biegiem rozmowy.

Odezwał się Adam, już zdenerwowany:

- Chodzę, pani, do świętej Marii w Aldgate i praktykuję, jak nakazuje król. Wszyscy to wiedzą.

- Jesteś niegodziwą kobietą — wycedził przez zęby Edward Cotterstoke. — Wiesz, co mogę o tobie

powiedzieć...

Isabel pierwszy raz spojrzała na brata wprost.

- A ja o tobie — syknęła.

Rodzeństwo patrzyło na siebie ze złością. Potem Isabel się odwróciła i wymaszerowała z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Spojrzałem na służącego, Vowell stał ze złożonymi przed sobą dłońmi, bliski łez.

Wulfsee i Adam pospiesznie skłonili się Coleswynowi oraz mnie i czym prędzej podążyli za Isabel. Usłyszałem, jak Adam mówi w korytarzu:

- Matko święta, nie miałem pojęcia, w co się wdaję, przychodząc tu.

- Ja też już pójdę - powiedział Edward. - Dziękuję ci, panie - zwrócił się do Coleswyna. Żegnając prawnika skinieniem głowy, wydawał się zdenerwowany tą wymianą zdań z Isabel. Został odprowadzony do drzwi przez służącego, do którego jednak żadne z nich, ani on, ani siostra, nie odezwało się przez cały czas ani słowem. Coleswyn i ja zostaliśmy sami.

- Chyba nie powinienes być mówić o swym kapłanie tego, co powiedziałeś — zauważyłem delikatnie.

Był wyraźnie poruszony.

- Nikt nigdy wcześniej mnie w taki sposób nie sprowokował. Wybacz mi. Nie zachowałem się jak prawnik.

- To przede wszystkim było niebezpieczne, kolego. Czy ten kapłan... - Urwałem, ponieważ wrócił Vowell.

- Proszę, jaśnie panowie... - zaczął stary sługa. - Chyba lepiej by było, gdybyście i wy już poszli.

Odprowadził nas do wyjścia. Powiedziałem przy drzwiach:

- Dziękuję ci, dobry człowieku.

- Pomyśleć, że kiedyś to była szczęśliwa rodzina - odparł ze łzami w oczach, po czym skłonił się i zamknął drzwi.

Coleswyn i ja staliśmy na ruchliwej ulicy, w palącym słońcu. Ruszyliśmy do stajni. Coleswyn odezwał się cicho:

- Nasz kapłan nie powiedział nic przeciwko mszy. - Zamilkł i dodał po chwili: - Przynajmniej publicznie.

Nie spytałem, co mówił prywatnie, spojrzałem tylko pod nogi, gdzie w pyłe walczyły z sobą dwa żuki, napierając na siebie.

Philip zauważył:

- Jak nasi klienci.

- Tak - zgodziłem się. - Atakują się nawzajem, lecz każdy ma pancerz.

- Pod nim są jednak delikatne, bezbronne, czyż nie?

- Żuki może. Co do ludzi, nie byłbym już taki pewien.

- Zrozumiem, jeśli po tym, co się zdarzyło dziś rano, wolałbyś przychodzić do nas na wieczerzę - powiedział cicho.

- Oczywiście, że przyjdę. - Uznałem, że odrzucenie zaproszenia byłoby niegrzeczne, tchórzliwe, zwłaszcza po tym, jak musiał znosić obelgi mojej klientki. Ponadto, wiedziony uporem, nie zamierzałem pozwolić, by ta nikczemna kobieta dyktowała mi, z kim mam utrzymywać stosunki towarzyskie. - Nie powiedziałeś niczego, co można by zaskarżyć - dodałem uspokajająco. - Tylko to, że zgadzasz się ze swym kapłanem. Pani Slanning szukała jedynie kija, by cię uderzyć.

- Uhm - przytaknął.

- Muszę wracać już do kancelarii.

- A ja pojechać do klienta nad rzeką.

Odjeżdżając, mimowolnie zacząłem się zastanawiać, czy Isabel tylko powtarzała plotki, czy kapłan

Coleswyna istotnie nie powiedział czegoś niebezpiecznego niewłaściwej osobie. Lecz zgańnię samego siebie, przypominając sobie, że w jego sprawie toczy się dochodzenie i na razie nie wytoczono mu procesu.

*

Ruszyłem wolnym kłusem w drogę do Lincoln's Inn. Odwiązując wcześniej Genesis, pomyślałem, że ze swym coraz bardziej kościstym pyskiem i sztywną grzywą zaczyna przypominać starego człowieka, choć na szczęście poczciwego. Przypomniałem sobie Isabel i Edwarda krzyczących, że mogliby o sobie nawzajem wiele powiedzieć. Co mieli na myśli? Powróciły do mnie słowa Isabel o bracie, wypowiedziane u mnie w kancelarii: „Gdybyś wiedział, panie, jakich strasznych rzeczy się dopuścił”. A ta interwencja starego sługi, na którego nie zwracali uwagi, a który mimo wszystko zabrał głos, by powstrzymać ich przed powiedzeniem zbyt wiele. Edward zarzucił siostrze, że oszalała, lecz tego ranka żadne z rodzeństwa nie sprawiało wrażenia zdrowego na umyśle. Miałem nadzieję, że moja klientka wreszcie pogodzi się z tym, że nie wygra sprawy, choć w głębi duszy w to wątpiłem.

Niemal spodziewałem się, że po przybyciu zastanę ją w kancelarii gotową do walki, lecz w środku panował spokój. Barak sporządzał notatki dotyczące kilku spraw, które miały być rozpatrywane przez Są4 Prośb w trymestrze jesiennym, rozpoczynającym się we wrześniu.

- Jak przebiegły oględziny? - zapytał z ciekawością.
- Biegli zgodzili się, że wszelkie próby zdjęcia malowidła spowodują obsunięcie się tynku.
- Zatem co dalej? Nie będziemy już musieli oglądać kwaśnej gęby tej kobiety?
- Och, sądzę, że jednak będziemy. Wyszła stamtąd bardzo rozeźlona, ale przypuszczam, że zjawi się tu niebawem, być może jeszcze dziś.

Barak wskazał głową Nicholasa, który przepisywał jakiś akt własności.

- Chłopak ma dla ciebie, panie, nowe wieści. Mnie nie chciał nic zdradzić. Ale wygląda jak kot, który dobrał się do śmietany.

Nicholas wstał. W istocie na jego piegowatej twarzy malowało się zadowolenie.

- Chodźmy — powiedziałem do niego.

Zauważyłem, że kiedy chłopak ruszył za mną do gabinetu, Barak ściągnął brwi, Skelly zaś uśmiechnął się pod nosem. Jack rzeczywiście był o Nicholasa zazdrosny, miał mi za złe, że wtajemniczyłem w swe dochodzenie ucznia zamiast niego. Na chwilę ogarnęło mnie rozdrażnienie. Chciałem go tylko chronić. Tamasin żywcem obdarłaby mnie ze skóry, gdyby się domyśliła, że wciągnąłem go znowu do dworskiej polityki.

Zamknąłem drzwi.

- Co nowego? - spytałem Nicholasa. - Dowiedziałeś się czegoś o tym mankiecie?
- Tak, panie. - Ostrożnie wyjął z kieszeni koronkę i swymi smukłymi dłońmi rozłożył ją na biurku. - Drugi koronkarz, którego dziś odwiedziłem, natychmiast ją rozpoznał. Szył koszulę dla klienta. Wzmianka o mistrzu Gullymie zrobiła swoje, ten rzemieślnik dobrze go zna, i zajrzał do swych ksiąg. Koszula została uszyta dla niejakiego Charlesa Stice'a. Podał mi adres, przy Smithfield.

- Doskonale.
- To nie wszystko. Zauważyłem, że jegomość marszczy nos, mówiąc o Stisie, więc zapytałem, co to za człowiek. Nazwał go jednym z tych młodych ludzi, którzy, gdy tylko zdobędą majątek czy pozycję, od razu zadzierają nosa. - Nicholas z trudem powściągał podniecenie w głosie. - Ale jest jeszcze jedno, panie. Stice jest wysoki, jasnowłosy i nie ma połowy ucha. Koronkarz powiedział, że wygląda, jakby obcięto je nożem albo mieczem podczas walki.

Spojrzałem uważnie na strzęp mankietu.

- Więc koronka nie należała do tych, którzy zabili Greeninga, lecz do tamtych, którzy uciekli przez ogród, kiedy Elias przyłapał ich na próbie włamania. Musieli zbiec tą samą drogą.

Pomyślałem, że to Stice usiłował przekupić pazia królowej, młodego Gareta.

- Dobrze się spisałeś, Nicholasie. Doskonale. - Popatrzyłem na niego poważnie. - A teraz zostawisz tę sprawę mnie. Ten człowiek jest niebezpieczny.

Nicholas wyglądał na rozczarowanego.

- Doprowadzisz do jego zatrzymania?

- Dziś po południu. - Musiałem zawiadomić lorda Parra,

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Skelly. Odezwał się przeproszającym tonem:

- Masz gościa, panie. Który nie chce czekać. Mówi, że musi się z tobą zobaczyć.

Uśmiechnąłem się kwaśno do Nicholasa.

- Pani Slanning?

- Nie, panie. To mężczyzna, niejaki Okedene. Twierdzi, że jest drukarzem, że cię zna i że to sprawa życia i śmierci.

Rozdział dwudziesty

Skelly wprowadził mistrza Okedene, który odziany był w lekki wełniany kaftan i miał czerwoną, spoconą twarz, jakby biegł. Kiedy Skelly zamykał za sobą drzwi, zobaczyłem, że Barak patrzył z zaciekawieniem w naszą stronę. Wstałem.

- Mistrzu Okedene, co się stało? — Pomyślałem z przerażeniem, że tak, jak się obawiałem, on albo jego rodzina zostali napadnięci.

Drukarz powoli odzyskał dech. Praca fizyczna, związana z jego fachem, zmuszała go do zachowania dobrej formy, lecz nie był już młodzieniaszkiem.

- Panie - zaczął szybko. — Przyszedłem do ciebie w związku z listem, który do mnie napisałeś. By ci powiedzieć, że wyjeżdżam z Londynu. Sprzedaję interes, a uzyskane pieniądze zainwestuję w gospodarstwo brata w Norfolk. Od czasu, kiedy biedny Armistead stracił życie, boję się o żonę i dzieci. - Zmarszczył czoło, patrząc na Nicholasa, gdyż niewątpliwie przypomniał sobie, jak ten wystraszył Eliasa i doprowadził do jego ucieczki. Nie wiedział, że terminator nie żyje.

- Przykro mi - odparłem. Zauważyłem, że od naszego ostatniego spotkania bruzdy z napięcia i strachu na jego twarzy jeszcze się pogłębiły.

Podniósł dłoń.

- Mniejsza o to - powiedział. — Teraz nie ma na to czasu.

- Na co? - spytał Nicholas.

Po drodze wstąpiłem na piwo... byłem spragniony, jest upalny dzień. Zaszedłem do karczmy Pod Bachusem. Tej dużej, przy katedrze...

- Byłem tam — odrzekłem.

- Zobaczyłem w środku dwóch mężczyzn, siedzieli przy oknie. Jestem pewien, że to ci sami, którzy zabili Armisteadą, choć dzisiaj byli odziani po pańsku. Ta gospoda to przyzwoite miejsce. - Zaczepnął głęboko powietrza. - Wciąż miałem w głowie ich opis podany przez mego starego pomocnika, Huffkyna. Dwaj młodzi mężczyźni, obaj wysocy i solidnej postury, jeden jasnowłosy z brodawką na czole, drugi zaś niemal łysy, mimo wieku. Od tamtej pory żyłem w lęku, że się na nich natknę. A ci mordercy siedzieli sobie spokojnie i na oczach wszystkich popijali piwo - dodał gorzko i przeniósł wzrok ze mnie na Nicholasa, po czym wyprostował się z determinacją. - Przez całą drogę biegłem. Karczma leży niespełna piętnaście minut stąd, jeśli pójść szybkim krokiem.

Nicholas zaczął:

- Ale władze...

- Nie ma czasu, chłopcze - warknął Okedene. - Trzeba ich zatrzymać, zanim wyjdą. To będzie obywatelskie aresztowanie! - Widziałem, że chętnie by sam schwytał morderców Greeninga i ocalił rodzinę przed zagrożeniem. — Komisarzu Shardlake, są tu jeszcze jacyś ludzie, którzy mogliby nam pomóc? - zapytał. - A ten brodaty człowiek w biurze ?

Przygryzłem wargę. Okedene miał rację, niewykluczone, że to była nasza jedyna szansa. Jednakże mieliśmy do czynienia z zabójcami, ludźmi w pełni sił, nawykłymi do przemocy. Nicholas może by sobie poradził, ale Okedene nie był już młody, a ja w walce bym się nie przydał. Podobnie jak Skelly, Pozostawał więc tylko Barak, którego postanowiłem dalej w to nie wciągać. Mieliśmy jednak okazję, by złapać winowajców i postawić ich przed obliczem lorda Parra. Nicholas i Okedene patrzyli na mnie niecierpliwie. Podeszedłem więc do drzwi i poprosiłem Baraka, by się do nas przyłączył. Wstał zza biurka z dziwnym wyrazem twarzy, zarazem skwapliwym i niechętnym.

Wyjaśniłem mu, że mistrz Okedene był świadkiem morderstwa, którym się zajmowałem, i właśnie Pod Bachusem widział zabójców.

- To niebezpieczni ludzie — powiedziałem. — Bez twojej pomocy nie uda nam się ich pojmać. Nie mam prawa prosić, byś poszedł z nami, i zrozumieć, jeśli odmówisz.

Barak wziął długi przeciągły oddech.

- Czy to ma związek... z tamtą sprawą? Ze śledztwem w zamku Baynards?

Pokiwałem wolno głową.

- To może być jedna szansa na rozwiązanie jednej i drugiej.

Barak przygryzł wargę. Dotknął przez koszulę starej ojcowskiej mezuzy, którą nosił na szyi, tak jak królowa klucz do skrzyni.

- Czy jesteście uzbrojeni? - zapytał. - Młody Nick nosi dziś przy pasie miecz, popisując się jak zwykle. Ja mam porządny nóż.

- Tak jak ja - włączył się Okedene.

- Ja też jakiś znajdę.

- A zatem w drogę — rzucił Barak. - Długo trzymałem się z boku od bijatyk, lecz nie zapomniałem, jak się walczy.

*

Doborową czwórką ruszyliśmy w południowym słońcu Fleet Street i w Newgate przekroczyliśmy mury miejskie. Skelly patrzył za nami, gdy wychodziliśmy; Barak powiedział mu wesoło, że gdyby zjawiała się pani Slanning, mają uprzejmie odprawić i kazać jej wsadzić głowę do zimnej wody. Nicholas, z błyszczącym wzrokiem i dłonią na rękojeści miecza, sadził susy, wyraźnie rwąc się do bitki. Świadomość, że ma przy sobie broń, niewątpliwie działała pokrzepiająco, zwłaszcza że, jak wiedziałem, dbał o nią i stale ją ostrzył. Jednakże mężczyźni, z którymi mieliśmy się zmierzyć, byli naprawdę groźni. Drżałem na myśl, że coś spotkać Nicholasa albo Baraka, który szedł przed siebie zdecydowanie, z zaciętą, czujną miną. Okedene i ja musieliśmy wyciągać nogi, by dotrzymać im kroku.

- Jaki jest rozkład karczny? - spytał Barak drukarza.

- Wejście od ulicy, jedna duża sala ze stołami, okienko do wydawania posiłków i kuchnia z tyłu.

Serwują tam nie tylko napitki, lecz także strawę. W głębi są jeszcze drzwi do ogrodu, z kolejnymi stołami.

- Na pewno jest także wejście od kuchni. Gdzie oni siedzą?

- We wnęce przy oknie.

- To dobrze — odezwał się Nicholas. — Możemy ich otoczyć i odciąć im drogę ucieczki.

Barak z aprobatą kiwnął głową.

- Dobrze pomyślane, chłopcze.

- Mój mistrz szermierki służył w latach dwudziestych na wojnach z Francją. Zawsze powtarzał, że znajomość terenu ma kluczowe znaczenie dla zwycięstwa.

- Miał rację.

Okedene spojrział na Baraka z ciekawością.

- Wykazujesz, panie, dużą znajomość rzeczy jak na zwykłego urzędnika,

Ten zerknął na mnie.

- Nie zawsze byłem urzędnikiem, nieprawdaż?

Zbliżyliśmy się do karczny Pod Bachusem. Był to jeden z bardziej szanowanych londyńskich przybytków tego rodzaju, gdzie zatrzymywali się podróżnicy, a średnio zamożne rodziny przychodziły w niedziele na obiady i inne uroczystości. Przez otwarte okiennice zobaczyliśmy dwóch mężczyzn, którzy siedzieli przy dużym okrągłym stole pod oknem i konferowali z sobą głowa przy głowie. Tak jak mówił Okedene, dokładnie odpowiadali opisowi Huffkyna. Obaj byli porządnie ubrani, mieli na sobie dublety z rozcięciami i koszule z koronkowymi kołnierzami. Tak jak Stice podczas pierwszej napaści na Greeninga, i oni udawali nędzarzy, kiedy szli z zamiarem dokonania mordu.

Była martwa pora dnia, przy stołach siedziało niewielu ludzi -przeważnie kupcy omawiający interesy.

- Czy jesteś pewien, mistrzu, że to oni? - zapytałem drukarza.

- Mam w głowie opis Huffkyna.

Barak spytał:

- Nie zauważyłeś, czy mają miecze?
- Nie. Lecz nie przyglądałem się zbyt długo. Mogą trzymać je pod stołem.
- Noszą się jak szlachta - zauważył Nicholas. - Mają prawo mieć je przy sobie.

Barak spojrzał na niego z powagą.

- Niewykluczone zatem, że będziesz musiał dobyć swego, Nicky, chłopcze. I choć ci dwaj są ubrani jak panowie, nie będą się zachowywać, podczas walki po dżentelmeńsku. Jesteś gotów?

- Gotów i chętny - odparł chłopak wyniośle.

- Wątpię, czy reszta gości przyłączy się do bitki — dodał Barak. - Zrobią w gacie ze strachu.

Wciągnąłem głęboko powietrze, przebierając palcami po sztylcie przy pasie.

- A więc ruszamy.

*

Przekroczyliśmy próg i otoczyła nas woń piwa oraz potrawki jarzynowej. Parę osób spojrzało na moją togę prawniczą, którą włożyłem, by przydać sobie dostojęstwa. Podeszliśmy prosto do stołu we wnęce, przy którym siedzieli dwaj młodzi mężczyźni, wciąż pochłonięci rozmową. Serce waliło mi w piersi. Obaj, jak zauważyłem, mieli miecze. Leżały w pochwach na ławie obok. Kiedy się zbliżyliśmy, odniosłem wrażenie, że usłyszałem nazwisko Bertano, wypowiedziane przez tego łysego.

Mężczyźni przerwali rozmowę i spojrzeli na nas niechętnie - mieli zacięte, wrogie miny. Łysy zbliżał się do trzydziestki, był rosły i przystojny, lecz w pełnych ustach można było dostrzec wyraz okrucieństwa. Jasnowłosy, z brodawką na czole, miał wąską twarz, przywodzącą na myśl charta, i takie samo jak u psa myśliwskiego zimne przenikliwe spojrzenie.

Powiedziałem na tyle głośno, by usłyszeli inni goście:

- Niniejszym jako obywatele aresztujemy was, panowie, za zamordowanie dziewiątego tego miesiąca Armisteadą Greeninga.

Jasnowłosy stęzał, zmrużył oczy w szparki, lecz łysy spojrzał na nas dużymi nieprzeniknionymi oczami, a potem tylko się roześmiał.

- Jesteście niepoczytalni? — spytał.

- Nie - odparł Okedene, wyjmując nóż. - Po zabiciu Armisteadą Greeninga uciekłeś z jego warsztatu z zakrwawioną pałką.

Od sąsiednich stołów dobiegł szmer głosów. Dwoje ludzi wstało pospiesznie i wyszło.

- Nie jesteście przedstawicielami władzy - warknął jasnowłosy.

- Nie musimy być - odezwał się Nicholas, wskazując swój miecz. - To aresztowanie obywatelskie.

Łysy prychnął.

- A ty kim jesteś, studentem prawa, sądząc po odzieniu? Przychodzą nas zatrzymać gryzipiórki?

- Jestem Matthew Shardlake, komisarz prawa. Z upoważnienia rodziny zamordowanego pomagam koronerowi w śledztwie.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie i kiedy uświadomiłem sobie że rozpoznali moje nazwisko, przebiegł mnie dreszcz. Potem przyjrzeni nam się uważnie, oceniając nasze siły. Jasnowłosy spokojnie przesunął dłoń w stronę miecza, lecz szybko ją cofnął, gdy Nicholas wyciągnął swój z pochwy i przyłożył mu go do gardła, a na ostrej jak brzytwa klindze zaśniło słońce.

- Nie ruszaj się, łotrze - warknął. - Bo inaczej cię rozplątam. Ręce na stół! - Już wcześniej zauważyłem, że kiedy przyszło co do czego, Nicholas wykazywał odwagę dorównującą jego fanfaronadzie. Teraz już nic miałem co do tego wątpliwości.

Jasnowłosy znieruchomiał. Spojrzał w moją stronę, przewiercając mnie wzrokiem.

- Lepiej pozwól nam odejść - odezwał się cicho. - W przeciwnym bowiem razie narazisz się na gniew wyżej od nas postawionych. Nie masz pojęcia, z kim zadzieras, garbusie.

- Domyślałem się — odrzekłem, myśląc o Richardzie Richu. — Tak czy owak, jesteście aresztowani.

Teraz patrzyli na mnie obaj. Barak prawą ręką sprawnie sięgnął pod stół po stronie łysego, lewą opierając na blacie.

- Pozwolisz, że wezmę twój miecz, brachu.

Wtedy tamten, tak szybko, że ledwie zdążyłem zauważyć, wyciągnął zza pasa nóż i wbił go Barakowi prosto między palec wskazujący a serdeczny, przygważdżając jego dłoń do stołu. Trysnęła krew, Barak krzyknął z bólu i upuścił miecz, który upadł z brzękiem. Nicholas odruchowo się odwrócił i jasnowłosy jedną ręką odepchnął ostrze jego miecza, a drugą sięgnął po swój i ciął nim Nicholasa.

Obaj poruszali się ze zdumiewającą prędkością i przez jedną straszliwą chwilę myślałem, że już po Nicholasie, lecz zdążył on w porę podnieść miecz, by odparować cios. Barak tymczasem chwycił wbity w dłoń nóż i wyciągnął go z krzykiem. Znowu pociekła krew. W tym samym momencie łyśy złapał swój miecz, lecz z kolei Okedene, który dobył noża, wbił mu go po rękę w ramię. Prędko wyjąłem swój sztylet i przyłożyłem łotrowi do gardła. Barak tylko trzymał się za rękę, więcej nie mógł nic zrobić.

Przez chwilę myślałem, że zwyciężyliśmy, ponieważ jasnowłosy stracił przewagę, broniąc się przed atakami Nicholasa. Lecz potem opuścił wolną rękę i ujął od spodu stół. Mimo szczupłej budowy był silny i zdołał przewrócić go w naszą stronę, tak że cynowe kufle poszybowały w powietrze. Nicholas, cofając się, opuścił miecz. Jasnowłosy dźgnął go w pierś, na której wykwitła krew. Okedene upadł z krzykiem, przygnieciony przez stół. Jasnowłosy wyskoczył z wnętrza przy oknie. Jego towarzysz, trzymając się za ramię, sprawną ręką wyrwał Nicholasowi miecz.

Obaj mężczyźni ruszyli szybko do drzwi, jasnowłosy zamierzył się mieczem na karczmarza, który gapił się na tę scenę, więc ten odskoczył z przerażeniem. Rozległ się niewieści krzyk. Zabójcy odwrócili się w progu, przez moment grożąc nam bronią - łyśy miał skrzywioną z bólu twarz, w jego ramieniu wciąż tkwił nóż mistrza Okedene. Później obaj się odwrócili i wybiegli. Stałem i patrzyłem za nimi bezradnie. Sam nic nie mogłem uczynić. Barak i Nicholas byli ranni, a Okedene, blady i mruczący pod nosem, gramolił się z podłogi.

Tymczasem pojawił się z dwoma pomocnikami właściciel karczmy, z których każdy dzierżył pałkę.

- Co tu się dzieje, u licha? — spytał ostro. — Burda i rozlew krwi w moim zajęzdzie? Oddam was w ręce konstabla!

- Nie słyszałeś, człowieku, że próbowaliśmy zatrzymać morderców?! - wykrzyknąłem z nagłą pasją. Głęboko zaczerpnąłem powietrza i przełknąłem ślinę, gdyż to, co się właśnie wydarzyło, musiało przerazić zarówno pracowników, jak i właściciela karczmy. Wziąłem sakiewkę i wyjąłem z niej suwerena. Jednego z tych, które oddał mi Bealknap. Podniosłem monetę.

- Czy to wystarczy na pokrycie szkód?

Karczmarz spojrział na nią chciwie.

- Dostaniesz tego suwerena, jeśli odpowiesz na kilka pytań. Czy ci dwaj bywali tu wcześniej?

- Kilka razy w zeszłym tygodniu. Zamówiwszy coś do jedzenia, zawsze siadali w tym kącie. I wiem, jak się nazywają, pamiętam, bo raz szukał ich pewien człowiek, posłaniec, który zapytał, czy zastał panów Danielsa i Cardmakera. Mówił, że ma do nich pilną sprawę. Potem zobaczył, że siedzą we wnętrzu, i do nich poszedł. Od początku mi się nie podobali. Karczmarz wie, kto może mu przysporzyć kłopotów. Matko Boska, i tym razem się nie pomyliłem - dodał gorzko, patrząc na przewrócony stół, rozlane po podłodze piwo, opustoszałą salę. Zza drzwi do ogrodu wзираło kilka przerażonych twarzy.

Odetchnąłem głęboko. Mieliśmy niezwykle szczęście, że zdobyliśmy ich nazwiska, choć to nie zmieniało faktu, że nam uciekli, a Barak i Nicholas zostali ranni. Zaciekawilo mnie, od kogo był tamten posłaniec.

- Dziękuję - powiedziałem do karczmarza. - Pójdziemy już. - Barak siedział z pobladłą twarzą, ściśle owijając dłoń chustką. Nicholas rozpiął koszulę, odsłaniając jasny, lecz muskularny tors, i też opatrywał ranę na piersi. Ku mojej wielkiej uldze, wyglądało, że to tylko niegroźne draśnięcie. Twarz mistrza Okedene odzyskiwała kolory.

- Musimy jak najszybciej zabrać cię z Nicholasem do Guya -zwróciłem się do Baraka.
- Jak, do diabła, wytłumaczę się z tego przed Tammy? - burknął.

Pomogłem mu dojść do drzwi. Na zewnątrz zapytałem drukarza:

- Pójdiesz z nami, mistrzu?

Okedene pokręcił głową.

- Nie, panie, i nie chcę mieć z tą sprawą więcej do czynienia. Nie powinienem był do ciebie przychodzić. Przyspieszę sprzedaż interesu. Dziękuję ci, że mnie ostrzegłeś, lecz teraz proszę, byś zostawił mnie w spokoju. - Popatrzył znowu na mych rannych towarzyszy i oddalił się powoli.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Na szczęście, zastaliśmy Guya w domu. Jego pomocnik, Francis, był zaskoczony, kiedy stanąłem w progu z dwoma krwawiącymi obficie ludźmi.

- Napadli nas rabusie - skłamałem.

Pospiesznie wprowadził nas do gabinetu Guya, w którym ten właśnie sporządzał mieszanki ziół.

- Matko Przenajświętsza! — zawołał. — Co się stało?

Patrzyłem z niepokojem, jak badał Nicholasa i Baraka. Rana chłopaka wymagała założenia tylko kilku szwów, co zniósł mężnie, przygryzając wargę podczas szycia. Potem Guy uważnie obejrzał dłoń Baraka.

- Dzięki Bogu, że był to wąski nóż — powiedział. — I przeszedł przez miękką część między kośćmi palców. Jednakże rana wymaga szycia oraz okładu z lawendy i innych olejków, by nie wdało się zakażenie.

Nicholas ściągnął brwi.

- Myślałem, że do czyszczenia ran najlepsze jest wino.

- Lawenda lepsza. Chociaż powoduje pieczenie. - Guy spojrzął na Baraka z powagą. - Będziesz musiał nosić opatrunek przez tydzień i regularnie go zmieniać. Jesteś praworęczny, mam rację?

- Tak. Na rany Chrystusa, to boli.

- I będzie bolało. Lecz szczęśliwie nie stracisz władzy w dłoni, może być potem trochę sztywna.

Barak zwrócił się do mnie i Nicholasa:

- Obaj za kilka dni przyjdziecie do nas na urodziny George'a, Powiem Tamasin, że miałem w biurze wypadek. Szczegóły uzgodnimy później. Nie chciałbym, by przyłapała was na rozbieżnościach.

- Żona ci nie uwierzy? - zapytał ze zdziwieniem Nicholas.

- Nie dałbym głowy, chłopcze.

Włączył się Guy:

- Twój pan nie pierwszy raz przyprawia tu Jacka Baraka na opatrunek... po różnych incydentach, powiedzmy. Jack też przyprawiał jego. - Mówił poważnym tonem i Nicholas spojrzął na mnie z szacunkiem.

- Czy mogę zostawić ich pod twoją opieką, Guy? - zapytałem. -Wybacz, ale mam ważne spotkanie i nie chciałbym się spóźnić. - Po drodze zauważyłem, że wskazówka zegara na kościele zbliżała się do dwunastej.

Skinieniem głowy wyraził zgodę.

- Lecz jeśli łaska, chciałbym zamienić z tobą słówko. Odprowadzę cię do drzwi. - Miał zaciśnięte usta, a na jego smagłej twarzy malowały się gniew i troska.

Kiedy wyszliśmy z gabinetu, powiedział cicho:

- A zatem to nie był rabunek. - Pokręcił głową. - Znowu sprowadzasz mi Jacka po jakieś niebezpiecznej eskapadzie, mimo że jest żonaty, ma dziecko i Tamasin znowu jest przy nadziei. I razem z nim jeszcze tego młodzika.

- Badam sprawę morderstwa - odparłem. - To była para łajdaków, którzy mają na rękach krew dwóch ludzi. Zobaczył ich w karczmie świadek, który czym prędzej przybył z tą wieścią do mej kancelarii w Lincoln's Inn. To była jedyna szansa, by ich pojmać. Jack i Nicholas wiedzieli, że ryzykują.

- I schwytałicie tych zabójców?

Gniewnie pokręciłem głową.

- Nie, to doświadczone łotry. Zbiegli,

- Matthew - zaczął Guy. - Ty wciąż się narażasz. Ale ten chłopak i Jack nie muszą. Jack nie jest już młody i przywykł do spokojniejszego życia.

Przesunąłem dłonią po czole.

- Wiem, wiem. Ale to była jedyna możliwość, by postawić dwóch morderców przed obliczem

sprawiedliwości. - Spojrzałem na starego przyjaciela z zaciętością. - I może powstrzymać ich przed dalszymi zabójstwami.

- Podczas naszego ostatniego spotkania dałeś mi do zrozumienia, że wdałeś się w jakąś poufną sprawę, której szczegółów nie chciałeś zdradzić ze względu na niebezpieczeństwo.

- Owszem.

Wskazał głową drzwi do gabinetu, w którym przyjmował pacjentów.

- Czy Jack i ten chłopak znają te szczegóły?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Więc nie powinieneś ich w to wciągać - zakonkludował Guy. - Przykro mi, lecz tak uważam. - Spojrzał na mnie ostro. - Czy to ma coś wspólnego z królową?

- Dlaczego pytasz?

- Już twoja mina świadczy, że tak jest. Zawsze miałeś wielką słabość do tej kobiety. Widziałem w ostatnich miesiącach twe zatroskanie. Martwiłeś się o nią. Nie możesz jednak narażać się dla niej na niebezpieczeństwo ani tym bardziej ryzykować życia swych podwładnych.

- Dlaczegoż to? - zapytałem. - Bo uważasz ją za heretyczkę?

- Nie - odciął się. — Bo jest królową i jak powiedział poeta Wyatt, nad tronami zbierają się ciemne chmury. A już z całą pewnością nad tronem obecnego króla - dodał z rozgoryczeniem.

Nie odpowiedziałem.

- Czy jest w to zamieszany ten Bertano, o którego pytałeś?

Przypomniałem sobie, że Daniels i Cardmaker wspomnieli o nim w zajeździe. Odparłem więc poważnie:

- Zachowaj to nazwisko dla siebie, jeśli cenisz swe życie, Guy.

Uśmiechnął się cierpko.

- Widzisz, że i mnie w to wciągnąłeś? Przemyśl to, co ci powiedziałem, Matthew. Nie chciałbym kolejny raz opatrywać Baraka ani Nicholasa, zwłaszcza gdyby miało im się przydarzyć coś gorszego niż dzisiaj. Ani ciebie - dorzucił już łagodniejszym tonem.

*

Jechałem do Tower targany wątpliwościami. Guy miał rację — to moje sentymenty do królowej zawiodły mnie na tę ścieżkę i naraziły na niebezpieczeństwo wszystkich, którzy mi towarzyszyli. Jednakże już nie mogłem z niej zawrócić, nawet gdybym chciał. Tamci dwaj z karczmy znali moje nazwisko.

Przede mną wznosiło się Tower Hill, gdzie straciło życie tylu ludzi, łącznie z lordem Cromwellem, za nim zaś Tower of Londyn, fosa, którą zamykają białe mury, i wreszcie wielka prostopadłościenna White Tower gdzie na skutek spisku Richa i Bealknapa przed pięcioma laty zostałem na krótko uwięziony w jej strasznych lochach.

Lord Parr czekał już na koniu przed bramą Middle Tower. Ku memu zaskoczeniu towarzyszył mu, również konno, William Cecil. Dwaj służący w liberii królowej trzymali wodze ich wierzchowców. Cecil miał na sobie prawniczą togę, a lord Parr był odziany w lekki zielony dublet z rozcięciami na rękawach, spod których wyzierała szkarłatna podszewka. Wąchał kulkę zapachową, którą miał zawieszony na złotym łańcuszku na szyi, by stłumić dochodzący z fosy odór.

- Matthew! — Po raz pierwszy na powitanie zwrócił się do mnie po imieniu, znacznie łaskawszym tonem niż ostatnio. - Sprowadziłem Cecila, byśmy mogli wymienić się nowinami.

- Proszę wybaczyć mi spóźnienie, Wasza Lordowska Mość, ale właśnie miałem starcie z mordercami Greeninga...

Pochylił się w siodle.

- Czy zostali schwytani? — zapytał z przejęciem.

- Niestety nie, jednak Barak i mój uczeń odnieśli podczas tej potyczki rany. Musiałem zaprowadzić

ich do medyka.

- Opowiedz, co się stało.

Zerknąłem na Cecila.

- William jest we wszystko wtajemniczony — odrzekł lord Parr. - Królowa i ja uznaliśmy, że można mu zaufać. Poza tym zbierał już informacje wśród radykałów i zwerbował w porcie informatorów.

Zrelacjonowałem im bójkę z Danielsem i Cardmakerem. Wspomniałem, że obaj najwyraźniej znali mnie z nazwiska, i zaznaczyłem, że wspomnieli o Bercanie. Dodałem, że jak wywiedziało się Nicolas, mankiet rozdartej koszuli należał do Charlesa Stice'a, człowieka z uciętym uchem, który brał udział w pierwszej napaści na Greeninga i próbował przekupić młodego paza, Gareta.

Odezwał się Cecil:

- Obawiam się, że ja dokonałem mniejszych postępów. Po trzech zaginionych znajomych Greeninga nie ma śladu, podobnie jak po tym strażniku, Leemanie. I chociaż wszyscy czterej mają powiązania z radykałami, nie należą do żadnej znanej nam grupy. Według mnie Greening i pozostali tworzyli własny krąg.

- Tak chyba było - zgodziłem się z nim.

Lord Parr mruknął:

- Bóg wie, że wiele ich powstaje, i to pod samym nosem Gardinera. Może to nawet anabaptyści. Jeden z tych ludzi jest Holendrem, a właśnie z Niderlandów i Niemiec pochodzą ci szubrawcy.

- A co z Bertanem? - zapytałem go,

- W społeczności włoskich kupców nikt go nie zna. Wszyscy 1 nich muszą się rejestrować i na liście nie ma takiego nazwiska.

- Mógł przedostać się do Anglii nielegalnie - zauważył Cecil,

- To niewykłuczone. - Lord Parr jednak pokręcił głową. - Ale może w ogóle nie ma go w kraju. -

Spojrzał na Tower. - Cóż» Matthew, musimy jechać. Przy bramie wezmą nasze konie. Jesteśmy już spóźnieni. - Zwrócił się do Cecila. - Williamie, Shardlake zdobył trzy nowe nazwiska, które należy dodać do listy poszukiwanych. Daniela, Cardmakera i Stice'a. — Pochylił głowę. — Ale działaj dyskretnie.

Młody prawnik z powagą skinął głową i odjechał. Lord Parr pogładził się po brodzie.

- To bystry człowiek — rzucił cicho. — I potrafi trzymać język za zębami.

- Czy wyjawieś mu wszystko, Wasza Lordowska Mość?

- Tak, królowa, poznawszy go, wyraziła zgodę. Bardzo przypadł jej do gustu. — Poczuję niedorzeczne ukłucie zazdrości. Lord Parr patrzył za oddalającą się sylwetką. - Jest ambitny. Jeśli nam się powie, to może być dla niego kolejny szczebel w karierze. Rzecz jasna, korzysta z usług radykałów. Natomiast, jeśli nam się nie powie i dzieło królowej ukaże się drukiem, wszyscy możemy przyplącić to życiem - dodał pośpiesznie.

*

Wartownik przy bramie Tower z szacunkiem oddał lordowi Parrowi honory. Nasze konie odprowadzono do stajni; a my przeszliśmy przez Tower Green.

- Zatem *Lamentacje* przepadły jak kamień w wodę — zagadnąłem.

- Owszem. Od czasu kradzieży minęły już dwa tygodnie. Mówię królowej, że z każdym dniem maleje groźba, że pojawią się na ulicach lecz ona nie chce wierzyć. — Krótco parsknął śmiechem. - Prawdę mówiąc, sam nie wierzę we własne słowa. Ci ludzie, z którymi się starłeś... - podjął. - Jeden z nich powiedział, że nie wiesz, z kim zadzierasza. Dając do zrozumienia, że to ktoś wpływowy. A wcześniej wspomniałeś, że według ciebie może być w to zamieszany sir Richard Rich, nieprawdaż?

- To niewykłuczone.

- Jest wiele możliwości. Norfolk, Gardiner, Paget, działający w pojedynkę albo razem, lub jeszcze ktoś inny... — Pokręcił głową - Nie, Paget zawsze trzyma się rozkazów króla,

- Jesteś pewien, Wasza Lordowska Mość? Wolsey i Cromwell też początkowo tak robili, a później...

Zacisnął usta.

- Słuszna uwaga. W tych burzliwych czasach niczego nie możemy być pewni.

- Wciąż myślę o tym, że kiedy Jane przyszła na przesłuchanie, towarzyszyła jej lady Maria.

- To był tylko niefortunny zbieg okoliczności.

- Zastanawiam się, czy nie coś więcej. Czy Jane naprawdę nie jest zbyt bystra, czy nie gra, skrywając inteligencję?

Lord Parr zaprzeczył ruchem głowy.

- To osoba pozbawiona rozumu, jestem co do tego przekonany. Nie wyobrażam sobie, by mogła w tym względzie zwieść Jej Królewską Mość, wiesz, jaka królowa jest bystra. I nie pozwalała Jane nawet zbliżyć się do swego manuskryptu.

- Lady Elżbieta chyba nie lubi Jane.

Prychnął.

- Lady Elżbieta nie lubi wielu osób. Zwłaszcza tych, które ją przyćmiewają, skupiając na sobie uwagę królowej.

*

Zbliżaliśmy się do White Tower. Lord Parr zwolnił kroku, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Przypomniałem sobie o jego wiek i utyskiwaniach na zdrowie. Spojrzał na mnie i powiedział ze skrepowaniem:

- Wybacz, że ostatnim razem byłem dla ciebie opryskliwy. Ta sprawa bardzo mi ciąży.

- Rozumiem, Wasza Lordowska Mość. I dziękuję. — Uświadomiłem sobie, że komuś o jego pozycji i temperamencie niełatwo jest przeproszać podwładnego.

Szorstko skinął głową i skierował wzrok w stronę Tower.

- Jak ci powiedziałem, sir Edmund Walsingham był moim poprzednikiem na stanowisku szambelana Jej Królewskiej Mości i jest moim długoletnim przyjacielem. — Pomyślałem, że na szczytach władzy każdy zna każdego i ma w nim albo przyjaciela, albo wroga. — Powiemy mu, że kiedyś reprezentowałeś rodzinę mojej żony, a teraz prowadzisz sprawę, w której świadek twierdzi, że był przesłuchiwany w Tower między... dodajmy margines czasowy... dwudziestym czerwca a piętnastym lipca. Ty jednak nie wierzysz, że w ogóle przebywał w Tower, podejrzewasz, że kłamie, by coś ukryć.

- Rozumiem — odparłem, zaniepokojony myślą, że będziemy bezczelnie okłamywać samego dowódcę Tower.

- Poprosimy o udostępnienie rejestru więzionych w tamtym okresie - ciągnął lord Parr. - W ostatnich miesiącach wielu przyjmowano i zwalniano; jeśli za ciebie poręcę, sir Edmund pozwoli ci zajrzeć do akt. Zrobisz to? Spróbuj się też wywiedzieć, kto był na służbie, gdy torturowano Annę Askew. To było trzydziestego czerwca albo pierwszego lipca. Wieści rozeszły się drugiego.

- Dobrze. — Nagle przypomniała mi się eksmisja, której tego ranka byliśmy z Coleswynem świadkami. — Mógłbym powiedzieć, że podejrzany próbuje zdobyć alibi, iż nie brał udziału w bezprawnej eksmisji.

- Jako właściciel nieruchomości? W rzeczy samej, przecież działasz w Sądzie Prośb, czyż nie? — dodał nieco wyniośle. — Doskonale. Tylko pod żadnym pozorem nie wspominaj o Annie Askew. Nie chcę, by Walsingham nabrał podejrzeń.

Z menażerii w Tower nagle dobiegł głośny ryk. Lord Parr się uśmiechnął.

- Słyszałem, że mają nowe zwierzę z Afryki, przypominające konia, lecz o nedorzecznie długiej szyi i nogach. Mogę poprosić, by pozwolili mi je zobaczyć.

*

Wkroczyliśmy do White Tower. Wartownik przeprowadził nas przez wielką salę, gdzie jak zwykle

stali albo siedzieli żołnierze, rozmawiając i grając w karty. Na końcu zobaczyłem drzwi, które, jak wiedziałem, prowadziły w dół do lochów.

Powiedziano nas na górę, a następnie w głąb korytarza wyłożonego matą z sitowia, która tłumiła dźwięk naszych kroków. Weszliśmy do przestronnego pomieszczenia, gdzie przyjął nas mężczyzna nieco młodszy od lorda Parra, o siwych włosach i pomarszczonej twarzy, z długą szpiczastą brodą. Na nasz widok wstał. Przy biurku stał też drugi mężczyzna, młodszy, ze szpakowatymi włosami oraz brodą, o żołnierskiej postawie. Skłoniłem się im, podczas gdy lord Parr przywitał się z nimi uściskiem dłoni.

— Sir Edmundzie — zaczął lekko lord Parr. — Nie widziałem cię wiele miesięcy. Szczęść Boże, sir Anthony Knevecie.

— I tobie, Wasza Lordowska Mość. Proszę mi wybaczyć... — Ten o żołnierskiej postawie poklepał plik dokumentów, które trzymał pod pachą. — Muszę przedstawić raport sekretarzowi Pagetowi w pałacu Whitehall.

— Wobec tego nie zatrzymujemy cię. — W głosie Walsinghama brzmiała nuta irytacji. Jego podwładny skłonił się i wyszedł.

Walsingham gestem poprosił lorda Parra, by usiadł. Ten zaczął:

— Jest kilka drobnych spraw z okresu, kiedy byłeś szambelanem na dworze królowej, o które muszę cię spytać. Uczyniłbym to pisemnie, ale pomyślałem, że skorzystam z okazji, by cię odwiedzić teraz, gdy dwór przebywa w Whitehall.

— Cieszę się, że przyszedłeś. Ostatnio mieliśmy w Tower dużo pracy. — Uniósł znacząco brwi.

— Czy to nie sir Anthony zajmuje się większością codziennych spraw?

— Owszem, lecz ostatecznie odpowiedzialność ponoszę ja. A sir Anthony wtyka nos w sprawy, które nie powinny go interesować... -Sir Edmund nie dokończył, machnął ręką lekceważąco i zmienił temat. - Co słuchać na dworze Jej Królewskiej Mości?

— Ostatnio jest nieco spokojniej - odrzekł ostrożnie lord Parr. -A jak się ma twoja rodzina? Bystry bratanek Francis?

— Jest obecnie w Cambridge. Szybko dorasta — dodał ze smutkiem. — Co mi przypomina, że się starzeję. I w ostatnich miesiącach wiek daje mi się we znaki.

- Mnie również — odparł ze zrozumieniem lord Parr. — Z wiekiem humory się zmieniają i zanikają, nieprawdaż? - Ciągnął od niechcienia: - Sir Edmundzie, chcę cię prosić o drobną przysługę. Komisarz Shardlake jest adwokatem w Sądzie Prośb i kiedyś reprezentował moją żonę, a w trymestrze jesiennym będzie prowadził sprawę, na którą mogą rzucić pewne światło akta Tower.

Walsingham spojrzał na mnie.

- Czyżby?

Lord Parr opowiedział historię o fikcyjnym świadku. Sir Edmund popatrzył na mnie z zainteresowaniem swymi małymi zmęczonymi oczami.

- Między dwudziestym czerwca a piętnastym lipca, powiadasz? -mruknął. — Wiesz, komisarzu« kto wtedy tu przebywał?

Milczałem przez chwilę, jakby próbując sobie przypomnieć.

- Czyżby Anna Askew?

- Właśnie. Poza nią niewielu, na szczęście upał już wtedy trochę zelżał. - Skrzywił się. — Choć nie dla niej. - Przeniósł wzrok na lorda Parra. - Czy za niego ręczysz?

- Tak,

Walsingham ponownie zwrócił się do mnie:

- Jak nazywa się ten twój świadek?

Wypowiedziałem pierwsze nazwisko, jakie tylko przyszło mi na myśl:

- Cotterstoke. Edward Cotterstoke.

Sir Edmund pokręcił głową.

- Nie pamiętam takiego. Ale skoro lord Parr za ciebie ręczy, możesz zejść do cel i przejrzeć rejestry. - Zaśmiał się nagle. - Nie patrz tak, panie prawniku. Nie zamkną cię tam.
Lord Parr także zaczął się śmiać.
- Sir Edmund wyświadcza ci przysługę, Matthew - rzucił drwiąco, - Oficjalnie nikt postronny nie ma dostępu do tych dokumentów.

- Proszę o wybaczenie, sir Edmundzie, Jestem ci bardzo wdzięczny.

Walsingham szyderczo parsknął śmiechem.

- Nazwa Tower budzi w ludziach strach, a to dobrze. - Sporządził krótką notatkę, po czym dzwoniącym stojącym na biurku wezwał strażnika, Kiedy ten się pojawił, powiedział do niego: - Zaprowadź tego prawnika do cel, by przejrzeć rejestr więzionych między dwudziestym czerwca a piętnastym lipca. Przypilnuj, by niczego nie zapisywał. — Popatrzył na mnie z pełnym rozbawienia lekceważeniem. — A później przyprowadź go bezpiecznie tutaj.

*

Strażnik zawiódł mnie na dół, przez główny korytarz. Był to krzepki mężczyzna, liczący trzydzieści kilka lat, który mocno utykał. Podobnie jak sir Edmund uznał moje zalęknione spojrzenie w kierunku drzwi za coś powszedniego.

— Szukasz, panie, jakiegoś konkretnego nazwiska? - zapytał.

— Tak, to świadek w sprawie, który twierdzi, że został wzięty do Tower na przesłuchanie.

Podejrzewam, że kłamie.

— Doprawdy dziwne kłamstwo.

— Zapewne sądził, że nie będę mógł tego sprawdzić.

Strażnik się skrzywił.

— Możemy przystanąć na chwilę, panie? Boli mnie noga.

— Oczywiście, że tak.

— W zeszłym roku przebił ją szpontonem francuski żołnierz. Pod Boulogne.

— Przykro mi. Wiem, że toczono tam ciężkie walki.

— Później dostałem tę robotę, koniec z żołnierką. Mogę już iść dalej, panie.

Pomówił z wartownikiem przy wejściu do cel. Drzwi zostały otwarte i ruszyliśmy dalej w dół po ohydnych kamiennych schodach, śliskich od zielonego mchu na odcinku poniżej poziomu rzeki. Drogę oświetlały już tylko pochodnie wydzielające cuchnący dym. Na samym dole znajdowały się zaryglowane drzwi, które pamiętałem. Mój towarzysz zawołał głośno i za kratą ukazało się nieogolone oblicze.

— Tak, panie?

— Ten dzentelmen dostał pozwolenie, by zajrzeć do rejestru. - Wsunął między pręty notatkę sir Edmunda. Mężczyzna po drugiej stronie spojrzał najpierw na nią, potem na mnie, po czym zwrócił się ponownie do mego towarzysza:

— Zaczekasz, by go odprowadzić na górę?

— Tak.

Rozległ się brzęk kluczy i ciężka krata została otworzona. Znalazłszy się za nią, wkroczyłem do długiego zatęchłego przedsionka o gołych kamiennych ścianach, wzdłuż których ciągnęły się cele z zakratowanymi okienkami w drzwiach. Nawet latem panował tam ziąb. Zauważyłem — dziwne, na co człowiek w takich chwilach zwraca uwagę — że układ centralnego korytarza się zmienił. Biurko, które stanowiło jedyne jego wyposażenie, było większe niż tamto przed pięcioma laty i stało pod ścianą, by ułatwić przechodzenie. Leżał na nim stos dokumentów i siedział za nim mężczyzna. Zobaczyłem dużą otwartą księgę.

Strażnik, który mnie wpuścił, przyjrzał mi się uważnie.

- Twoje nazwisko, panie? — zapytał spokojnym, lecz pozbawionym szacunku głosem.

- Matthew Shardlake, komisarz prawa. — Opowiedziałem mu historię o niewiarygodnym zeznaniu.

Niełatwo było kłamać pod jego twardym nieufnym spojrzeniem.

- Hm, skoro sir Edmund wyraził zgodę — odparł niechętnie. — Jednakże nie wolno ci niczego notować. Szybko przejrzyj wykaz, by znaleźć nazwisko, którego szukasz, i tyle.

- Rozumiem.

- Nazywam się Ardengast. Tutaj ja dowodzę.

Bez dalszych komentarzy zaprowadził mnie do biurka. Siedzący za nim człowiek był wysoki, w średnim wieku i miał zmierzwioną niechlujną brodę. Nosił skórzany kaftan. Kiedy podeszliśmy, wyprostował się na krześle. Ardengast powiedział:

- Howitson, ten człowiek chce zobaczyć rejestr więźniów przebywających tu od dwudziestego czerwca do piętnastego lipca. Szuka nazwiska świadka w sprawie sądowej.

Tamten ściągnął brwi.

- To nie ma nic wspólnego z...

- Nie. Jakaś kwestia prawna. - Ardengast machnął ręką lekceważąco. Ponownie spojrzał na notatkę Walsinghama. — Chodzi o Edwarda Cotterstokea. Nie pamiętam nikogo takiego.

- Ja też nie.

- W tym właśnie rzecz - odparłem. - Sądzę, że kłamie i wcale tu nie był.

Ardengast zwrócił się do mnie:

- Zostawię cię, panie, z Howitsonem. Mam obowiązki. - Oddalił się, odemknął drzwi po drugiej stronie pomieszczenia i zniknął za nimi. Wydało mi się, że gdzieś zza nich dobiegł cichy krzyk.

Spojrzałem na ciemne zakratowane okienka w drzwiach ceł, które sprawiały wrażenie pustych, ale kto mógł wiedzieć, jakie sterane dusze i maltretowane ciała znajdowały się za nimi. Pomyślałem o Annie Askew, samej i przerażonej w tym okropnym miejscu.

Howitson przyciągnął do siebie grubą księgę. Zobaczyłem na jej kartach dwie kolumny. W jednej zapisywano datę przybycia więźnia i jego nazwisko, w drugiej zaś - węższej — widniał podpis pełniącego wówczas dyżur strażnika. Pismo było niewprawne i nie mogłem go odczytać, zwłaszcza w tej węższej kolumnie. Howitson przerzucił kilka kart, zatrzymując się od czasu do czasu, by polizać poplamiony inkaustem kciuk. Potem odchylił się na oparcie krzesła.

— Nie było tu nikogo o nazwisku Cotterstoke, panie. Tak sądziłem. — Podniósł głowę z uśmiechem zadowolenia.

- To dobrze - odrzekłem. - Podejrzewałem, że świadek składa fałszywe zeznanie. Jednakże chciałbym sam sprawdzić. Zgodnie z przepisami muszę zobaczyć na własne oczy *to, co* potem zeznam pod przysięgą. Nie mogę powtarzać zasłyszanych informacji, gdyż nie mają one w sądzie mocy prawnej.

Howitson zmarszczył czoło.

— Nie znam się na prawie. Ale ta księga to poufny dokument.

- Wiem. I zeznam tylko, że nie ma tu tego konkretnego nazwiska, nic ponadto. - Wciąż jednak miał wątpliwości. — Takie jest prawo -dodałem. - Sir Edmund powiedział, że mogę zajrzeć do tego rejestru.

— Mamy tu własne przepisy, panie. — Uśmiechnął się, nieco złowróźnie, kładąc nacisk na słowo „własne”.

- Rozumiem, dobry człowieku. Jeśli chcesz, możesz poprosić sir Edmunda, by sprecyzował swe pozwolenie.

Howitson mruknął:

— No dobrze, ale pospiesz się, panie. Nie patrz na inne nazwiska. Wycieka stąd dość informacji.

- Rozumiem.

Obrócił ku mnie księgę, przerzucając kilka stron wstecz. Szybko przebiegłem wzrokiem wpisy z końca czerwca; te jednak mnie nie zainteresowały. Zauważyłem, że przyjęcie więźnia zawsze potwierdzało dwóch strażników - jednym był zwykle Howitson, drugim zaś zapewne wartownik pełniący aktualnie służbę. Od dwudziestego ósmego czerwca zaczął pojawiać się popołudniami bardziej czytelny

podpis niżej pozo stałe. Jamesa Myldmorea. Pełnił on służbę w dniu, w którym wpisano do rejestru panią Annę Kyme, czyli Annę Askew.

Howitson położył na księdze swą dużą ciężką łapę.

- Wystarczy, panie — powiedział sztywno.
- Dziękuję. Widziałem wszystko, co chciałem zobaczyć.

Cofnąłem się od biurka. Wtedy drzwi na końcu korytarza się otworzyły i stanęło w nich dwóch mężczyzn. Jeden, starszy, miał na sobie fartuch z ciemnymi plamami. Drugi, młodszy, niski i szczupły, o ciemnoblonde włosach i owalnej twarzy, nosił niepasującą do niej spiczastą brodę. Zauważyłem, że miał opuszczone ramiona. Starszy zaczął odpinać sprzączki przy fartuchu, nie zwracając na mnie uwagi, kiedy jednak ten młodszy zobaczył, że stoję nad rejestrem, jego szare oczy się rozszerzyły. Zbliżył się do mnie. Howitson zatrzaskał głośno księgę i spojrzał na niego.

- Kończę dyżur, panie — powiedział do niego młody mężczyzna zaskakująco niskim głosem.
- Podziękuj sir Anthonyemu Knevetowi, że możesz wyjść - mruknął Howitson. Młody człowiek obrzudł spojrzeniem moją prawniczą togę i perukę.
- Czy coś jest nie tak z rejestrem? — zapytał niepewnie.
- Pilnuj swego nosa, Myldmore — rzucił tamten. — Czy przypominasz sobie człowieka nazwiskiem Cotterstoke, który by siedział tu od końca czerwca do początku lipca?

- Nie.
- No widzisz, panie — triumfalnie powiedział do mnie Howitson.
- W takim razie dziękuję ci — odparłem z lekkim ukłonem. Potem spojrzałem na Myldmorea. Miał szeroko otwarte błyszczące oczy, pełne strachu.

- Dobrego dnia - rzuciłem i skierowałem się do kraty, za którą stał oparty o ścianę stary żołnierz i rozcierał nogę.

Odprowadził mnie on do gabinetu dowódcy Tower, gdzie sir Edmund i lord Parr rozmawiali i śmiali się, popijając wino. Usłyszałem, jak sir Edmund mówi:

~ Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy po raz pierwszy ujrzałem niewiastę w jednym z tych fortugałów. Talia tak ściśnięta gorsetem, że można by ją objąć dłońmi, i ta szeroka spódnica z obręczami pod spodem...

— Owszem, niczym beczka... — Lord Parr, natychmiast czujny, obejrzał się, kiedy wszedłem. — Znalazłeś to, czego szukałeś, Shardlake?

— Nie ma tam nazwiska mego świadka, Wasza Lordowska Mość, tak jak podejrzewałem. Dziękuję, sir Edmundzie.

Walsingham był już bardziej rozluźniony.

— Napijesz się wina, komisarzy?

— Obawiam się, że nie mogę. Mam dużo obowiązków. Lecz jestem ci, panie, bardzo wdzięczny.

— Chyba powinienem pójść z tobą, Shardlake — oznajmił lord Parr. Chciał się dowiedzieć, co odkryłem.

Sir Edmund zaprotestował:

— O nie, nie, dopiero co przyszedłeś...

Lord Parr spojrzał na niego, a potem na mnie. Zapewne uważał, że wyglądałoby to podejrzanie, gdyby tak szybko wyszedł.

— Wobec tego jeszcze jeden kieliszek, Edmundzie. Wybacz mi jednak, najpierw muszę udać się do wychodka. Shardlake, pomożesz mi? — Udał, że z trudnością wstaje.

— Chyba wino ci szkodzi! - żartobliwie zawołał za nim Walsingham.

Kiedy tylko zamknęły się za nami drzwi, lord Parr stał się znowu poważny.

— I co? — zapytał niecierpliwie.

— Jeden z ludzi, którzy pełnili służbę, kiedy przywieziono tu Annę Askew, nazywa się Myldmore.

Widziałem go, wydawał się zaniepokojony i odniosłem wrażenie, że ma na pieńku z człowiekiem, który rejestruje więźniów.

Lord Parr uśmiechnął się z zadowoleniem i pokiwał głową.

— Kolejne nazwisko, o które wywie się Cecil. Ciekawe, czy ten człowiek ma powiązania z naszymi podejrzanymi. - Klepnął mnie w ramię. — Porządny z siebie człowiek, panie, mimo tej ponurej miny... zresztą nieważne — powiedział z nagłą pasją. - Dopadniemy ich i zakończymy tę zabawę w kotka i myszkę. Odkryjemy, kto za tym wszystkim stoi. Wkrótce przyślę ci wiadomość. Porządny z siebie jegomość.

Oddalił się korytarzem, a ja ruszyłem, najszybciej jak tylko mogłem, do wyjścia i bramy Tower.

Rozdział dwudziesty drugi

Odebrałem Genesis ze stajni na terenie Tower i niespiesznie pojechałem do domu. To był męczący dzień, nawet jak na ostatni pełen napięcia i pracowity tydzień. Było jeszcze popołudnie, lecz cienie już zaczęły się wydłużać. Patrząc w głąb wąskiej ulicy biegnącej ku rzece, ujrzałem rybaków zarzucających z łodzi długie sieci, które wpadając do Tamizy, srebrzyły wodę, płosząc łabędzie w stronę brzegu. Proza życia. Przypomniałem sobie słowa Guya, kiedy opatrywał Baraka. Dlaczego wciąż podejmowałem ryzyko, pociągając za sobą innych? Kierowała mną miłość do królowej. Jednakże postępowałem tak samo, kiedy jeszcze jej nie znałem. Pomyślałem o Thomasie Cromwellu, spotkaniu z nim, które pozwoliło mi poznać takich jak on możliwych tego świata. Szukali oni mojej pomocy, wykorzystywali me umiejętności i zaciętą determinację, by doprowadzić do końca to, czego się podjąłem. A dokonałem wiele. Mogłem prowadzić praktykę w jednym z prowincjonalnych miast, na przykład w Bristolu albo Lichfield, gdzie przyszedłem na świat i wciąż miałem krewnych. Jednakże nie byłem tam od lat, bo to była zapadła dziura i nie wszystkie wspomnienia, jakie stamtąd miałem, były dobre.

Tak rozmyślając, przypomniałem sobie o Timothy i jego niechęci, by stąd odejść. Postanowiłem porozmawiać z Josephine, lubiła tego chłopaka. Zamierzałem także zapytać ją wprost, co jest przyczyną niechęci między nią a Martinem Brocketem. Kamerdyner nie sprawiał wrażenia despoty, ale przecież nie wiedziałem o wszystkim, co działo się w moim domu. Żaden pan tego nie wie.

Wróciłem do domu przed piątą. Niebawem znowu miałem go opuścić, by pojechać na kolację do Coleswyna przy Smithfield, ale miałem chwilę. Drzwi otworzył mi Martin, jak zwykle z kamienną miną. Zapytałem, czy przyszły jakieś wiadomości, a on zaprzeczył. Pomyślałem, że może powinienem odwiedzić Baraka, jednak uznałem, że lepiej będzie, jeśli sam dojdzie do ładu z Tamasin. Do diabła z tymi wszystkimi kłamstwami!

*

Josephine była w salonie i odkurzała meble, jak zwykle bardzo starannie. Kiedy wszedłem, wyprostowała się i skłoniła. Tęsknie spojrzałem za okno ku memu miejscu wytchnienia w ogrodzie, ponieważ jednak zastałem ją samą, postanowiłem z nią pomówić. Zacząłem przyjacielskim tonem:

- Ostatnio nie miałem okazji z tobą porozmawiać, Josephine. Jak się miewasz?
- Dobrze, jaśnie panie — odparła.
- Chciałem spytać cię o Timothy'ego. Zaproponowałem mu, by kiedy skończy czternasty rok, poszedł do terminu, tak jak Peter.

- To byłoby dla niego dobre, jaśnie panie.
- Ale nie bardzo mu się to podoba.

Zachmurzyła się.

- Nie wiodło mu się dobrze, zanim tu trafił.
- Wiem. Lecz od tego czasu minęły już trzy lata.

Spojrzała na mnie swymi przejrzystymi niebieskimi oczami.

- Myślę, jaśnie panie, że on traktuje to miejsce jak schronienie. - Oblała się rumieńcem. - Tak jak ja. Lecz to chyba niedobrze zbyt długo uciekać od świata.

- Zgadzam się z tobą. - Zamilkłem na chwilę. - Jak twoim zdaniem powinienem postąpić, Josephine?

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Pytasz mnie o zdanie, jaśnie panie?
- Tak.

Zawahała się, po czym odparła:

- Działalabym ostrożnie. Powoli.

- Tak. Masz rację. - Uśmiechnąłem się. — A ty, Josephine, spotkasz się znowu z panem Brownem?

Zaczerwieniła się ponownie.

- Jeśli pozwolisz, jaśnie panie... Zaprosił mnie w niedzielę na spacer.
- Jeśli tylko ci się podoba, nie mam nic przeciwko temu.
- Dziękuję, jaśnie panie.
- Jeżeli dobrze pamiętam, poznałaś go na zabawie pierwszego maja w święto wiosny. Na polach Lincoln's Inn.

- Tak. Agnes namówiła mnie, bym włożyła wianek z kwiatów, który zrobiła, i z nią poszła. Pan Brown stał nieopodal i powiedział, że ładnie mi w tym wianku. Spytał, gdzie pracujemy, a gdy się dowiedział, że u prawnika, odparł, że to tak jak on.

- Prawo pomaga zawierać przyjaźnie. - Pomyślałem o Philipie Coleswynie. Czy był mym przyjacielem? Może, pomyślałem. Delikatnie zagadnąłem Josephine: — Pan Brown to chyba pierwszy młody mężczyzna, z którym się spotykasz?

Pochyliła głowę.

- Tak, jaśnie panie. Ojciec nie życzył sobie, abym...
- Rozumiem. — Zapadła niezręczna cisza.

Po chwili powiedziałem:

- Zachowuj się jak dama, Josephine. Tylko to chciałem ci powiedzieć. Myślę, że przyjdzie ci to z łatwością.

Uśmiechnęła się, ukazując białe zęby.

- On o nic więcej nie prosi, jaśnie panie. - I dodała szybko: -Twoja zgoda jest dla mnie ważna.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu, lekko skrępowani. Później podjąłem:

- Widzę, że dobrze się dogadujesz z Agnes.
- O, tak - odrzekła pogodnie. - Radzi mi w sprawie strojów. Nie mam matki, która by to robiła.
- To dobra kobieta. Martin, jak sądzę, nie poszedł z wami na zabawę.

Zmarszczyła nos.

- Nie, jaśnie panie. Uważa takie rozrywki za głupie,
- Ale dobrze cię traktuje?

Sposepniała i przez chwilę się nie odzywała.

Podjąłem ostrożnie:

- Josephine, wyczułem między tobą a nim pewną niechęć.

Odłożyła ścierkę na stół. Wzięła głęboki oddech i podniosła głowę.

- Chciałam z tobą porozmawiać, jaśnie panie, ale nie wiedziałam czy powinnam... Agnes jest dla mnie taka dobra...

- Powiedz, w czym rzecz, Josephine.

Spojrzała mi w oczy.

- Pewnego dnia dwa miesiące temu poszłam do twego gabinetu, by zetrzeć kurze, i zastałam tam pana Brocketa. Myszkował w szufladach biurka. Agnes gdzieś wyszła, pewnie myślał, że jest w domu sam. Wiem, że w zamykanej na klucz szufladzie trzymasz pieniądze, jaśnie panie.

Rzeczywiście, trzymałem tam pieniądze i większość ważnych dokumentów. Martin miał klucze do prawie wszystkich pomieszczeń i schowków w domu z wyjątkiem tej właśnie szuflady i kufra w mojej sypialni, w których przechowywałem rzeczy osobiste.

- Mów dalej — poprosiłem.
- Kazał mi odejść. Powiedział, że szuka czegoś na twoje polecenie, jaśnie panie. Ale miał minę jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Od tamtej pory walczę ze swym sumieniem.

Pomyślałem, że, dzięki Bogu, nie miałem żadnych zapisków ani dokumentów na temat *Lamentacji*, zniszczyłem nawet notatki, które sporządziłem w ogrodzie. A przed dwoma miesiącami dzieło spoczywało jeszcze w skrzyni. Jednakże pod wpływem tej informacji dreszcz przebiegł mi po plecach.

Jak długo Martin węszył, zanim odkryła to Josephine?

Powiedziałem:

- Nigdy nie prosiłem Martina, by przyniósł mi cokolwiek z biurka. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Josephine. Jeśli jeszcze kiedyś zauważysz, że coś takiego robi, zawiadom mnie.

Uświadomiłem sobie, że nie zginęły mi żadne pieniądze. A jeśli Brocket nie szukał pieniędzy, to czego?

- Dobrze zrobiłaś, Josephine, mówiąc mi o tym. Na razie niech to pozostanie między nami. - Uśmiechnąłem się z niepokojem. - Ale informuj mnie, jeśli coś takiego zdarzy się ponownie.

- Od początku go nie lubię, jaśnie panie, chociaż Agnes zawsze była dla mnie taka dobra. On czasami źle się do niej odnosi.

- Niestety, mężowie od czasu do czasu tak robią.

- Kiedy oboje tu nastali, zeszłej zimy, wciąż o ciebie wypytywał, jaśnie panie. O twych znajomych, klientów, zwyczajnie.

- Cóż, kamerdyner musi wiedzieć takie rzeczy. — Była to prawda, a jednak poczułem się zaniepokojony.

- Może i tak, jaśnie panie, zresztą tak było tylko na początku. Ale on ma w sobie coś takiego, że mu nie ufam.

- Może dlatego, że bywa niemiły dla Agnes, którą lubisz? Josephine pokręciła głową.

- Nie, chodzi o coś innego, tyle że nie potrafię powiedzieć o co. Pokiwałem głową. Miałem podobne odczucia.

Odezwała się niepewnie:

- Jaśnie panie, może nie powinnam pytać, ale...

- Śmiało...

- Jeśli wolno mi zauważyć, w zeszłym tygodniu wydawałeś się... zamyślony, zmartwiony. Czy coś cię trapi, jaśnie panie?

Wzruszyła mnie jej troska.

- To tylko zawodowe problemy, Josephine. Ale miło mi, że o mnie myślisz.

Wyszedszy z salonu, poczułem lęk. Pomyślałem o księgach, ostatnio uznanych za zakazane, a które znajdowały się w moim posiadaniu. Spoczywały ukryte w kufrze i według warunków amnestii miałem na ich oddanie dwa tygodnie; przyszło mi do głowy, że jeśli zrobię to oficjalnie, moje nazwisko z całą pewnością zostanie odnotowane; uznałem więc, że lepiej będzie spalić je dyskretnie w ogrodzie. I postanowiłem uważać na Martina Brocketa.

*

Philip Coleswyn mieszkał przy Little Britain Street, nieopodal Smithfield, w szeregu ładnych starych domków z wystającymi okapami. Poszedłem tam bocznymi uliczkami, by uniknąć ponownego widoku miejsca egzekucji. Handlarze uliczni i poganiacze bydła, jedni i drudzy w fartuchach, pchali swe wózki w stronę miasta, wracając z targowiska. Wyglądało na to, że niewiele towaru sprzedali, a ja zacząłem się zastanawiać, czy trudności wywołane dewaluacją kiedykolwiek się skończą. Ulicą biegał tam i z powrotem piesek, kudłaty kundel, który skomlał i bezradnie patrzył na przechodzących. Miał obrożę — musiał przyjść na Smithfield z jednym z kupców czy klientów i w końcu się zgubił. Miałem nadzieję, że właściciel go odnajdzie.

Zapukałem do drzwi Coleswyna z łbem gryfa wyrytym nad gankiem, jak mi powiedział wcześniej. Wszedł po mnie osobiście.

- Nie mamy chwilowo służby - wyjaśnił przepraszająco. - Dziś wieczorem kucharzy moja żona. Będzie piękny kapłon.

- Brzmi wybornie — odparłem, kryjąc zdziwienie faktem, że człowiek o jego pozycji nie ma służących. Zaprowadził mnie do miłego salonu, gdzie od srebrno-złotej tacy stojącej na kredensie

odbijało się wieczorne słońce. Przy stoliku siedziała urodziwa kobieta, licząca około trzydziestu kilku wiosen, która uczyła alfabetu dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca w wieku siedmiu i pięciu lat. Wyglądała na zmęczoną.

- Moja żona, Ethelreda - przedstawił mi ją Coleswyn. - Oraz nasze dzieci, Samuel i Laura.

Ethelreda Coleswyn wstała i dygnęła. Chłopczyk lekko się skłonił, dziewczynka zaś odwróciła się do matki i powiedziała poważnym tonem:

- Wolę imię Bogobojna, mamusiu.

Jej matka rzuciła mi przestraszone spojrzenie, po czym zwróciła się do małej:

- Wolimy, byś używała drugiego imienia, już ci mówiłam. A teraz oboje idźcie już do łóżek. Adele na was czeka. — Klasnęła i dzieci podeszły do ojca, który pochylił się i pocałował je na dobranoc, po czym opuściły salon.

- Z Hertfordshire przyjechała moja siostra, by pomóc nam przy dzieciach — wytłumaczył Coleswyn.

- Muszę zajrzeć do kuchni. — Ethelreda wstała i wyszła.

Coleswyn nalał mi wina i usiedliśmy przy stole.

- Dziś rano to była dopiero scena w domu Cotterstoke'ów -zauważył.

- Moja klientka zachowała się wobec ciebie niewybaczalnie. Przepraszam za nią.

- Nie ponosisz odpowiedzialności za jej maniery, kolego. - Zawahał się i po chwili zagadnął: - Czy dziś jeszcze się z nią widziałeś.

- Nie, nie wróciłem już do kancelarii. Jeśli przyszła po południu, nie dopisało jej szczęście.

Niewątpliwie jutro zastanę od niej wiadomość.

Coleswyn uśmiechnął się cierpko.

- Wciąż myślę o tych żukach, toczących z sobą walkę, które widzieliśmy na podwórku. Dlaczego Edward i Isabel tak się opancerzyli, co ukrywają?

- Bóg jeden wie.

Przesunął palcem po krawędzi szklanki.

- Poznałem ostatnio dawnego członka gildii wytwórców świec, mistrza Holtby'ego. Już wycofał się z zawodu, ma ponad siedemdziesiąt lat. Jednak pamięta ojca Isabel i Edwarda, Michaela Johnsona.

Uśmiechnąłem się.

- Poznałeś go przypadkiem czy celowo?

- To nie był czysty przypadek. - Skrzywił się z fałszywą skromnością. - Tak czy owak, dowiedziałem się od niego, że Michael Johnson był w swoim czasie wielce obiecującym przedsiębiorcą. Sprytnym, zamożnym, twardym w interesach, ale oddanym rodzinie.

- To wszystko widać na portrecie.

- W rzeczy samej. Odziedziczył interes po ojcu i jeszcze go rozwinął. Lecz zmarł w tysiąc pięćset siódmym, w okresie angielskich potów.

Przypomniałem sobie tę plagę. Bardziej zaraźliwa i śmiertelna niż dzuma, zabijała w ciągu jednego dnia. Na szczęście, od wielu lat nie nawiedzała kraju.

Coleswyn ciągnął:

- Rodzina była zdruzgotana, jak opowiadał mistrz Holtby. Niebawem jednak pani Johnson wyszła ponownie za mąż, za innego wytwórcę świec, młodszego mężczyznę nazwiskiem Peter Cotterstoke.

- To dość powszechne, że wdowa poślubia kogoś tej samej profesji co jej zmarły mąż. I nader rozsądne.

- Dzieci miały wtedy około dwunastu lat. Mistrz Holtby nie przypomina sobie, by między nimi a ojczymem były jakieś konflikty. Przyjęły jego nazwisko i zachowały je. W każdym razie biedny Cotterstoke rok później także zmarł.

- Jak to się stało?

- Utonął. Był w porcie, załatwiając interesy w związku z jakimś ładunkiem, i wpadł do wody, niech Bóg ma w opiece jego duszę. Ku zaskoczeniu wszystkich pani Cotterstoke niedługo później sprzedała przedsiębiorstwo i do śmierci żyła z uzyskanych pieniędzy. Skutecznie pozbawiając środków utrzymania swego syna, Edwarda. Rok później mógłby już pójść do terminu. Mistrz Holtby powiedział mi, że matka przestała kochać swe dzieci.

— Ale dlaczego?

— Tego nie wie. Mówił jednak, że pani Cotterstoke była silną, zdecydowaną kobietą. Nie mógł się nadziwić, że sprzedała interes. Przypuszczał, że poprowadzi go sama, jak to bywa w przypadku niektórych wdów. Jednak nie, została w domu sama, choć była jeszcze młodą kobietą, Edward zaś znalazł posadę w ratuszu, a Isabel wyszła za mąż«

Zastanowiłem się nad tym.

— Tych troje podzielił jakiś konflikt. Co zaś do pani Cotterstoke... jak już ustaliliśmy, sformułowanie w testamencie dowodzi, że chciała nastawić dzieci przeciwko sobie, jakby mszcząc się na nich z za grobu.

— Ale za co?

Pokręciłem głową.

— Konflikty rodzinne czasami biorą się z jakiegoś drobnego zatargu i trwają aż do śmierci wszystkich zainteresowanych.

— Może ten nasz już się zakończy, po dzisiejszych oględzinach? -zapytał niepewnie.

Uniosłem brwi. Znając Isabel, wątpiłem w to. Coleswyn gestem przyznał mi rację.

— Czy zwróciłeś uwagę na służącego? — zapytałem. — Tego, który opiekuje się domem?

— Miał w sobie coś smutnego — odparł Coleswyn. — I dziwnie zareagował, kiedy Edward i Isabel zaczęli grozić, że wyjawią to, co wiedzą o sobie nawzajem. Sam na pewno miałby wiele do powiedzenia. Lecz oczywiście żaden z nas nie może go przesłuchać bez upoważnienia swego klienta.

— Ja bym już chciał zamknąć tę sprawę. Nie muszę znać rozwiązania kryjącej się za nią tajemnicy.

Coleswyn zaczął bawić się kawałkiem chleba.

— Notabene nie powiedziałem żonie o tym, co się dzisiaj stało. Te oskarżenia o herezję wytrąciłyby ją z równowagi. To, co Isabel Slanning powiedziała o naszym kapłanie, że toczy się śledztwo w jego sprawie, jest prawdą. - Sposepniał. - Żona pochodzi z Ipswich. Jest spokrewniona z Rogerem Clarkiem.

- Nie mam pojęcia, kto to.

- Kilka miesięcy temu spłonął na stosie za to, że podważał istotę mszy świętej. Mój szwagier był jego towarzyszem, został wzięty na przesłuchanie, ale się wszystkiego wyparł, uznał obecność ciała i krwi Chrystusa w hostii. — Skrzywił się. — Wolał się nawrócić, niż na stosie obudzić, jak to mówią.

- Rozumiem.

- Od tego czasu jestem w Gray's Inn na cenzurowanym. Biskup Gardiner ma swoich szpiegów wśród prawników. A Ethelredzie czasami się wydaje, że nasz dom jest pod obserwacją. Ale przecież znam się na prawie. Wiem, jak postępować, co mówić, a czego nie.

Nigdy nie wypowiadałem się przeciwko mszy i tego nie zrobię.

Przez chwilę milczałem.

- Wygląda na to, że prześladowania się skończyły — powiedziałem w końcu. - Ostatnio nikogo nie aresztowano.

- Zaczęły się nie wiadomo skąd i mogą tak samo powrócić — odparł. Drgał mu kącik oka. — Dlatego odprawiłem dwoje służących, nie ufałem im. Ale musimy zatrudnić nowych. Ktoś z mojej kongregacji polecił mi pewnego człowieka. Brak służby u kogoś o naszej pozycji zwraca uwagę. Uznaliśmy też, że dla bezpieczeństwa córki, która dostała na chrzcie imię Bogobojna, będziemy nazywać ją Laura.

Pokręciłem głową. Prawdę mówiąc, sam nie potrafiłem powiedzieć, czy podczas mszy są obecne ciało i krew Chrystusa, i nie miało to dla mnie znaczenia. Jednakże wpędzanie ludzi w taki strach było niegodziwością.

Tymczasem Coleswyn ciągnął:

- Kiedy parlament przyjął ustawę o rozwiązaniu do końca roku klasztorów, nasz kapłan myślał, że wiatr się zmienia, i powiedział kilka... cóż, chyba nieostrożnych słów. - Spojrzał na mnie swymi poczciwymi niebieskimi oczami. - Był przesłuchiwany, a grupę członków kongregacji wzięto pod obserwację. — Wziął głęboki oddech. — Mogę spytać, czy ktoś kiedyś wypytywał cię o mnie?

- Nikt. Nic takiego się nie zdarzyło, jeśli nie liczyć złorzeczeń Isabel Slanning.

Pokiwał głową.

- Przepraszam, cię o to pytam, lecz moja żona się niepokoi. a...- Nagle poweselał. — Oto ona, moja Ethelreda. Przekonasz się, jaką jest doskonałą kucharką

*

Jadałem już lepiej - kapłon był trochę przepieczony, warzywa zaś rozgotowane, ale pochwaliłem zdolności kucharskie Ethelredy, Staraliśmy się z Coleswynem prowadzić rozmowę w lekkim tonie, lecz jego żona była zamyślona, dzielnie przyjmowała z uśmiechem nasze żarty o życiu w stowarzyszeniach prawniczych i niewiele jadła.

Coleswyn zagadnął mnie:

- Jesteś komisarzem już od jakiegoś czasu. Może niebawem zostaniesz sędzią. To następny krok w karierze.

- Myślę, że po drodze narobiłem sobie za wielu wrogów. I nigdy nie byłem wystarczająco ugodowy... pod względem wiary i wszystkiego innego.

- A chciałbyś być sędzią? Myślę, że byłbyś dobrym, uczciwym.

- Nie. Byłbym albo zbyt pobłażliwy, albo zbyt surowy. A mówiąc poważnie, wolałbym nie tracić czasu na te wszystkie banialuki i ceremonie.

- Niektórzy poparliby twoją kandydaturę.

Uśmiechnąłem się.

- Jak to mówi księga Koheleta? „Marność nad marnościami i wszystko marność”.

- Słusznie - odezwała się cicho Ethelreda.

Na zewnątrz nastawał zmierzch. Dochodzące z ulicy odgłosy zaczęły cichnąć w miarę zbliżania się godziny policyjnej. Przez otwarte okiennice doszło skomlenie zagubionego psa, który nadal szukał swego pana.

- Najpiękniejsze lato od dłuższego czasu — zauważyłem. - Ciepłe, lecz nie upalne.

- I wystarczająco deszczowe, by zboże nie wyschło — zgodził się ze mną Coleswyn. — Czy pamiętasz zeszłoroczne gradobicia? I wszyscy chłopcy zostali odwołani z pól, kiedy sądziliśmy, że zaatakują nas Francja?

- Aż za dobrze.

- Czy sądzisz, że pokój potrwa dłużej?

- Bardzo się nim szczył.

- Pokój - powtórzyła Ethelreda z cichą rozpaczą. - Pokój z Francją, może. Lecz co z pokojem w kraju? — Potarła czoło. — Philip mówi, komisarzu Shardlake, że jesteś człowiekiem, któremu można zaufać. Spójrz na to królestwo. W zeszłe Boże Narodzenie król mówił w parlamencie o tym, że ludzie wyzywają się nawzajem od papistów i zdrajców, że słowo „Bóg” pada w karczmach, przy piwie. Jednakże w ciągu ostatnich dwunastu lat tyle razy zmieniał front w kwestiach religijnych. A kiedy on zmienia poglądy, my musimy zmieniać je za nim. Jednego roku lord Cromwell wprowadza słuszną reformę, a następnego zostaje stracony. Jednego miesiąca król rozwiązuje klasztory z powodu pustych ceremoniałów papieskich, a następnego biskup Gardiner ma szukać w każdym zakątku sakramentarian,

nawet, jak powiadają, w otoczeniu królowej. W dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest mieć jakiegokolwiek przekonania. Nie można ufać sąsiadom, służącym... — Nie dokończyła. — Wybacz mi, panie, jesteś naszym gościem...

Mąż sięgnął nad stołem i położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie, pani — powiedziałem spokojnie. — Mówisz prawdę.

Zmieniła ton na pogodniejszy.

- Na deser są truskawki ze śmietaną. Pójdę po nie. Niewiasta powinna zajmować się pracą, a nie prawieniem kazań.

Kiedy wyszła, Philip zwrócił się do mnie ze skruchą:

- Przepraszam cię. Gdy nie można bezpiecznie rozmawiać o pewnych sprawach w większym gronie, to jeśli tylko trafi się ktoś godny zaufania, nie mówi się już o niczym innym. To chyba pomaga. Lecz nie powinniśmy cię męczyć.

- Nic się nie stało. Nie lubię kolacji, podczas których wszyscy lękają się rozprawiać o czymkolwiek poza błahostkami. — Zawahałem się. - A przy okazji, czy sądzisz, że obecnie są jeszcze w Londynie jacyś anabaptyści?

Zmarszczył czoło.

- Dlaczego o to pytasz?

- Ta kwestia wynika w związku z pewną sprawą, którą prowadzę. Ich dogmaty są nader dziwne... to, że uznają jedynie chrzest dorosłych, uważają, że Chrystus nie był człowiekiem z krwi i kości... i oczywiście, że ziemską władzę należy obalić, by wszyscy ludzie byli sobie równi.

Coleswyn skrzywił usta z niesmakiem.

- To szaleni gwałtownicy. W Niemczech doprowadzili do rozlewu krwi i ruiny.

- Słyszałem, że większość z nich, nie rezygnując z dawnych poglądów, wyrzekła się przemocy jako sposobu działania. Pomyślałem, że inne ich sposoby zapewne nic wykluczałyby publikacji dzieła królowej, gdyby sądzili, choćby błędnie, że to posłuży ich celom.

— Wszyscy, których zdemaskowano, zostali spaleni na stosie - odparł Coleswyn. — Jeśli jeszcze jacyś zostali, pewnie się ukrywają. To niewykluczone. Niektórzy z nich, jak słyszę, to dawni lollardowie, ci mieli duże doświadczenie, jeśli o to chodzi.

Odrzekłem z zamyśleniem:

— Lecz może także anabaptyści nie mogą, oprzeć się pokusie i zdarza im się powiedzieć w towarzystwie coś nierozważnego. To przecież tacy sami ludzie jak wszyscy inni.

Spojrzał na mnie z troską.

— Wszystko jedno, lepiej nie mieć do czynienia z takimi ludźmi.

— Rzeczywiście — odparłem z mocą. — Masz rację.

Ethelreda wróciła z truskawkami w śmietanie i nie rozmawialiśmy już więcej o polityce ani o religii. Coleswyn zapytał, skąd pochodzę, gdyż nie mógł zlokalizować mojego akcentu, więc opowiedziałem swym gospodarzom o Lichfield, bawiąc ich zabawnymi historiami o ubogiej szkole, prowadzonej przez mnichów, gdzie pobierałem pierwsze nauki. Za oknami zapadł zmierzch i zapalono świece. Przed dziewiątą poczułem się zmęczony, wręcz opadały mi powieki, więc się pożegnałem. Coleswyn odprowadził mnie do drzwi. Na ganku uściśnął mi dłoń.

— Dziękuję, że nas odwiedziłeś, panie. Wybacz mojej żonie niepokój, ale mamy takie czasy...

Uśmiechnąłem się.

— Nie musisz nic więcej mówić.

— I dziękuję, że nas wysłuchałeś. Naprawę dobry z ciebie człowiek.

- Wielu nie zgodziłoby się z tobą.

- Czytaj Biblię i módl się. - Spojrzał na mnie z przejęciem. - To jedyna droga do zbawienia, jedyna.

- Być może. Tak czy owak, ty i twoja pani musicie niedługo przyjść do mnie na kolację. -

Wyczułem, że Coleswynowie, ze swymi troskami, zbyt izolują się od świata, by mogło wyjść im to na dobre.

- Było mi bardzo miło. - Ujął w dłonie moją rękę. - Dobrej nocy.
- I tobie, panie.
- Mów mi po imieniu.
- W takim razie i ty mnie.
- Dobrze.

Zamknąłem za sobą drzwi, przystając na chwilę, by mój wzrok przyzwyczyił się do ciemności. Księżyc już wzeszedł, lecz z powodu wystających okapów niebo stanowiło zaledwie wąski pasek. Ruszyłem ku stajniom.

Nagle zobaczyłem przed sobą jakiś ruch tuż przy ziemi. Wzdrygnąłem się, lecz okazało się, że to tylko tamten zagubiony pies, który wciąż krążył po ulicy w poszukiwaniu właściciela. Przestraszyłem biedne zwierzę, tak że uciekło pod drzwi stojącego naprzeciwko domu.

Rozległo się łupnięcie, potem nagły skowyt i pies wyleciał spod drzwi, upadając u mych stóp — martwy, ze skręconym karkiem.

Odskoczyłem, szybko położyłem dłoń na rękojeści sztyletu i spojrzałem w stronę spowitych mrokiem drzwi. Zobaczyłem poruszające się cienie. Straciłem czujność. Jeśli to byli Daniels i Cardmaker, mogli mnie zabić w jednej chwili. Jednakże, ku memu zaskoczeniu, z mroku na ulicę wyszła Isabel Slanning. Podążali za nią dwaj mężczyźni, odziani jak służący; jednego z nich rozpoznałem, ponieważ zawsze jej towarzyszył, kiedy przychodziła po porady do Lincoln's Inn. Stała przede mną, patrząc mi prosto w twarz, a blask księżyca nadawał jej rysom dziwny wyraz, wytrzeszczone oczy zaś błyszczały w nim niebezpiecznie.

Miała triumfującą minę.

- A więc to tak, panie — syknęła jadowicie. — Nie myliłam się! Nie tylko przyjechałeś dziś z panem Coleswynem na oględziny malowidła, a jeszcze u niego wieszczę. Nazywa się cię dobrym człowiekiem, jesteś jego współnikiem...

- Pani - odezwałem się, słysząc, że z zaskoczenia mój głos brzmi niepewnie. - Mówiłem ci już wcześniej, że prawnicy są wzajemnie zobowiązani do uprzejmości. Nie trawi ich ślepa nienawiść, tak jak ciebie! - Jeden ze służących za jej plecami uśmiechnął się krzywo.

Isabel odrzuciła głowę do tyłu.

- Mnie, panie, przynajmniej zależy na sprawiedliwości! Samotna niewiasta wobec spisku heretyków! Teraz już mam pewność, że również ten rzekomy architekt, który miał mnie dziś rano reprezentować, trzyma z moim bratem!

- Sama go wybrałaś!

- To część spisku mego brata. — Machnęła mi przed nosem chudym palcem. - Ale mam czas i nie będę szczędzić sił, by uzyskać sprawiedliwość! Nie pierwszy raz czekam wieczorem przed domem tego człowieka, by zobaczyć, kto go odwiedza, A dziś kogo widzę? Ciebie! — Ostatnie słowo zamieniło się w oskarżycielski okrzyk. Pomyślałem, że Isabel Slanning rzeczywiście jest szalona.

Ona tymczasem się uśmiechnęła. Nigdy wcześniej nie widziałem, by się uśmiechała, i wolałbym tego nie oglądać — był to szeroki grymas, dzielący jej twarz na pół i odsłaniający długie żółte zęby. Było w nim coś dzikiego.

- Cóż, komisarzu Shardlake! - Mówiła coraz głośniejszym głosem. - Nie będziesz mnie więcej reprezentował. Znajdę prawnika, który poprowadzi moją sprawę uczciwie, nie wchodząc w układy z heretykami! I napiszę do władz Lincoln's Inn, powiadamiając ich o twym postępowaniu!

Mogłem się tylko zaśmiać. Nie było lepszej wiadomości niż ta, że wreszcie pozbyłem się Isabel. A co do skargi, którą zamierzała złożyć, rozbawiłaby nawet skarbnika Rowlanda.

Odparłem:

- Chętnie przekażę wszystkie dokumenty twemu nowemu pełnomocnikowi i odpowiem na jego pytania, jeśli się do mnie zgłosi. A teraz muszę już wracać do domu.

Drzwi Coleswynów się otworzyły. Słyszac hałas, oboje z żoną wyjrżeli, by zobaczyć, co się dzieje. Philip spojrział na Isabel ze zdumieniem.

- O co chodzi, kolego?

- O nic ważnego — odrzekłem. — Z przyjemnością donoszę, że pani Slanning właśnie zrezygnowała z mych usług! Pani Coleswyn, mąż mówił, że wydawało się pani, iż ktoś obserwuje dom. Robiła to ta sekutnica.

Isabel wymierzyła we mnie kościsty palec.

- Odpowiedz mi za to! Wszyscy odpowiecie! - Po czym odwróciła się i odeszła, a służący ruszyli za nią.

Ethelreda zaczęła płakać, a Philip powiedział do niej:

- Już dobrze, już dobrze, moja droga, to tylko biedna stara wariatka,

- Już nie wróci — dodałem uspokajająco.

Niemniej mój wzrok przyciągnął nieszczęsny martwy pies. Ten, kto złamał mu kark, musiał go kopnąć bardzo mocno, a Isabel stała w drzwiach przed służącymi. To była więc jej robota.

Rozdział dwudziesty trzeci

Tei nocy spałem mocno, lecz obudziłem się wcześniej, pełen lęku i niezadowolenia. Przypomniałem sobie dziką furię Isabel Slanning — byłem pewien, że chciałaby, aby spotkał mnie los tamtego biednego psa.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Martin, niosąc ręczniki i gorącą wodę. Twarz jak zwykle miał bez wyrazu.

- Dobrego dnia, jaśnie panie — powiedział. — Mamy kolejny piękny ciepły dzionek.
- Dobrego dnia, Martinie. Oby takie lato trwało jak najdłużej. - Spojrzałem na jego potężne plecy, kiedy stawiał miskę na stole. Byłem ciekaw, co dzieje się w tej jego krótko ostrzyżonej jasnej głowie. Czego wtedy szukał w moim biurku? Do tego Josephine mówiła, że gdy tu nastał, stale wypytywał o mych przyjaciół i znajomych. W tykał nos w nie swoje sprawy. Tak jak Bealknap. Jednak, jak sam powiedziałem Josephine, Martin musiał znać moje zwyczaje, jeśli miał dobrze wypełniać swe obowiązki jako kamerdyner. Jego poprzedni pan, także prawnik, udzielił mu doskonałych referencji. Martin i Agnes służyli u przez dziesięć lat, a odeszli tylko dlatego, że kończył pracę i przenosił się na wieś. Nie znałem jego nowego adresu, więc nie mogłem do niego napisać.

Martin się odwrócił i uśmiechnął do mnie powściągliwie.

- Czy życzysz sobie czegoś jeszcze, jaśnie panie?

- Nie, Martinie. Na razie nie.

Po śniadaniu udałem się do Lincoln's Inn, zastanawiając się, jak radzą sobie Barak z Nicholasem i czy już przyszli. Pomyślałem, że powinienem był do nich zajrzeć poprzedniego dnia, zamiast iść do Coleswynów.

Barak siedział za biurkiem i przeglądał jakieś dokumenty, dość niezgrabnie z powodu bandaża na lewej dłoni. Skelly zerkał na niego z zaciekawieniem przez okulary. Nicholasa najwyraźniej nie było.

- Młody Overton jeszcze nie przyszedł? — zapytałem z udawaną pogodą.

- Nie - odparł Barak. - Spóźnia się.

Skelly podniósł głowę.

- Wczoraj po południu przyszła pani Slanning. Była... wzburzona.

- Uhm. Spodziewałem się tego.

- Mam wystawić jej ostateczny rachunek?

- Tak będzie najlepiej. W przeciwnym razie jeszcze to uzna za przyznanie się do winy czy niedopełnienie obowiązków. Jeżeli dopisze nam szczęście, więcej jej nie zobaczymy.

- Powiedziała, że zwróci się do pana Dyricka. Tego, z którym miałeś, panie, do czynienia w zeszłym roku. - Skelly popatrzył na mnie z ciekawością.

- Doprawdy? No cóż, jeśli chce, by ktoś poprowadził beznadziejną sprawę z jak największym zapalem i kazał sobie za to słono płacić, nie znajdzie nikogo lepszego niż Vincent Dyrick. - Zwróciłem się do Baraka: - Przyjdź do mnie, Jack, dobrze?

Podążył za mną do mego gabinetu, gdzie wskazałem mu krzesło.

- Znowu Dyrick, hę? Dobrana z nich para - zauważył Barak, uśmiechając się drwiąco.

- Cieszę się, że pozbyłem się tej sprawy. I wątpię, by Dyrick zachęcał Isabel Slanning do odwetu wobec mnie. Pamięta, że wiem o nim to i owo. - Odetchnąłem głęboko. - Jack, bardzo mi przykro z powodu tego, co zdarzyło się wczoraj.

- Wiedziałem, w co się pakuję.

- Odwiedziłbym cię zeszłego wieczoru, ale pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli sam powiesz Tamasin... powiesz jej...

- ...stek kłamstw - dokończył ponuro. — Tak, masz rację, panie. Jeśli o nią chodzi, miałem wypadek w biurze. Wycinałem dziurę w pliku dokumentów, by przewlec przez nią tasiemkę, i omsknęła mi się

ręka. Tam my bardzo się przejęła, co tylko pogorszyło sytuację, posłuchaj, kiedy przyjdzie Nicholas, musimy ustalić wersję wydarzeń, proszę. Spotkacie się z Tamasin w przyszłym tygodniu na urodzinach George'a.

- Oczywiście. — Na chwilę przymknąłem oczy. — Jeszcze raz przepraszam.

Spojrzał na mnie przenikliwie.

- Chciałbym jedynie wiedzieć, co się dzieje.

Pokręciłem głową.

- Nie. Tak będzie dla ciebie lepiej. Jak twoja dłoń?

- Boli jak diabli. Ale ze względu na Tamasin muszę udawać, że nie jest tak źle, dlatego przyszedłem tu dzisiaj. Przeżyję — dodał.

- Czy są jakieś wieści od Nicholasa?

- Odniósł tylko drobną ranę — odparł bez współczucia. — Jeśli nie zjawi się wkrótce, zajrzę do jego kwatery i wyciągnę go z domu. A skoro o tym mowa, dostałeś wiadomość... od skarbnika Rowlanda. Życzy sobie, byś przyszedł do niego jeszcze dziś rano. Przed dziesiątą, bo później ma spotkanie.

- Już idę. - Wstałem. — Dobry Boże, mam nadzieję, że chodzi o coś innego niż w zeszłym tygodniu.

*

Rowland siedział za biurkiem i pisał. Podniósł głowę i spojrzał na mnie z zimnym wyrazem swej chudej twarzy. Miał taką samą minę, kiedy zgłosiłem się do niego po egzekucji Anny Askew; wówczas pochwalił mnie za to, że znalazłem takie miejsce na Smithfield, by moja obecność została zauważona. Nie powiedziałem mu, rzecz jasna, jak patrzył na mnie Rich. Spoglądając teraz na jego siwe włosy i długą brodę, pomyślałem, że dobrze by było, gdyby tak jak dawny pracodawca Martina Brocketa przeszedł już na emeryturę. Należał jednak do tych, którzy lubią władzę, i wszystko wskazywało na to, że dokona żywota za biurkiem.

- Komisarzu Shardlake - powiedział na mój widok. - Usiądź. - Postukał w leżącą przed nim kartkę swym kościstym palcem, jak zwykle poplamionym atramentem. - Znałeś zmarłego właśnie kolegę Bealknapa. Jak się zdaje, często miałeś okazję się z nim zetrzeć.

- Owszem.

— Właśnie piszę zawiadomienie w sprawie jego pogrzebu, które zostanie rozesłane po całym stowarzyszeniu. Muszę poczynić przygotowania, wykonawca testamentu bowiem nie jest tym zainteresowany, a Bealknap nie miał rodziny, która by się tym zajęła. Ceremonia odbędzie się w poniedziałek, dwudziestego szóstego, w kaplicy. Wątpię, by przyszło na nią wielu.

— W rzeczy samej. - Ja w każdym razie nie zamierzałem przyjść, zwłaszcza usłyszawszy od Bealknapa mściwe słowa, które wypowiedział na łożu śmierci.

— To ci się spodoba — ciągnął Rowland. — Bealknap zostawił pokaźną sumę pieniędzy na budowę mauzoleum w kaplicy naszego stowarzyszenia. Ze swą marmurową podobizną, bogato zdobioną, połączaną i Bóg wie co jeszcze. Dużo zapłacił stowarzyszeniu, by wyraziło na to zgodę.

— Powiedział mi o tym. Widziałem się z nim przed jego śmiercią.

Rowland uniósł siwe brwi.

— Na Boga, czyżby?

— Poprosił, bym go odwiedził.

— Skrucha na łożu śmierci? - Rowland zmrużył oczy ze złośliwą satysfakcją.

— Nie. — Westchnąłem. — Niestety, nie.

— Pamiętasz te wszystkie plotki, że ma u siebie wielką skrzynię ze złotem? Cóż, miałem obowiązek tam pójść i jej poszukać, ta skrzynia naprawdę istnieje, razem z kilkoma setkami suwerenów, które w niej spoczywają... Nie było jej jednak w jego kwaterze, miał dość rozsądku, by złożyć ją dla bezpieczeństwa u jednego ze złotników. Ten człowiek twierdzi, że Bealknap miał zwyczaj do niego przychodzić i siedzieć przy niej cały wieczór.

— Był dziwny.

— Okazało się, że pieniędzy jest dostatecznie dużo. by pokryć koszty mauzoleum. Jednakże wielu seniorów nie wyraziło zgody na jego budowę. Bealknap nie przysłużył się zbyt stowarzyszeniu, zresztą taki grobowiec nie pasowałby do stylu kaplicy, zatem kategorycznie się temu sprzeciwiają. Uważają, że Bealknap może spocząć w kaplicy pod marmurową płytą jak każdy inny. — Rowland przywołał na usta swój cyniczny uśmiech, pełen znużenia, lecz także okrucieństwa. Był dumny, że przechytrzył nieboszczyka. Pomyślałem, że Bealknap nie zdawał sobie sprawy, jak złą cieszy się opinią. Był ślepy pod wieloma względami.

- Ale skoro zażyczył sobie tego w testamencie... - powiedziałem.

Rowland rozłożył ręce, szeleszcząc jedwabny togą.

- Jeśli seniorzy nie wyrażą zgody, nie będzie można wykonać ostatniej woli.

- Kto jest jej egzekutorem?

- Sir Richard Rich. - Spojrzałem na niego szybko. - To dawny testament. Wiem, że Bealknap od roku nie prowadził żadnej sprawy Richa, który przestał korzystać z jego usług, kiedy ten zachorował. - Zacząłem się zastanawiać, czy Bealknap nie zaczął się do mnie przymilać, bym pomógł mu znaleźć pracę. Rowland pochylił głowę. — Mam baczenie na to, kto z najmożliwszych w królestwie powierza sprawy prawnikom Lincoln's'Inn, tak jak królowa tobie. Porozumiałem się z sekretarzem Richa i dowiedziałem się od niego, że sir Richarda ani trochę nie obchodzi to mauzoleum. — Wzruszył ramionami. - A na mocy testamentu członkowie rodziny nie mają nic w tej sprawie do powiedzenia. A zatem grobowiec nie zostanie zbudowany i całe złoto Bealknapa stanie się *bona vacantia*. Z braku spadkobierców jego majątek przypadnie więc... — Tu zawiesił głos, jakbym był studentem prawa.

- Koronie.

- W rzeczy samej! — Zaśmiał się skrzekliwie. - Rich będzie się mógł chlępić, że pozyskał dla króla na wydatki kolejne kilkaset funtów. - Teraz już zrobiło mi się żal Bealknapa. - A skoro mowa o królu i wydatkach — ciągnął pogodnie Rowland. - Czy pamiętasz, że obiecałeś brać na siebie więcej obowiązków stowarzyszenia? Cóż, w przyszłym miesiącu nadarzy się ku temu doskonała okazja. - Musiała zrzędnać mi mina, gdyż kontynuował pospiesznie: - To nie będzie nic takiego jak egzekucja. Przeciwnie, największe święto w Londynie od lat, niektórzy nawet mówią, że od koronacji Anny Boleyn.

- Jakież to święto? - spytałem zdziwiony.

- Uroczyste obchody zawarcia pokoju z Francją. Dostałem kolejny list od sekretarza Pageta.

Najwyraźniej ten sam admirał, który w zeszłym roku dowodził morską inwazją na Anglię, poprowadzi okręty francuskie w górę Tamizy, nie wyłączając tych, które brały udział w ataku. W Tower i Hampton Court odbędą się różne uroczystości. Wezmą w nich udział tysiące ludzi, rodzina królewska, arystokracja, przedstawiciele gildii miejskich i stowarzyszeń prawniczych. Chcą, by był obecny także komisarz z Lincoln's'Inn, i pomyślałem o tobie.

Byłaby to nagroda za... tamto mniej przyjemne zadanie w zeszłym tygodniu.

Spojrzałem na niego spokojnie. Rowland, oczywiście, wiedział, że nie lubię wszelkiego ceremoniału; znowu wykorzystywał swą władzę.

- Na wielu z tych uroczystości będą obecni król i królowa -dodał. - I pierwszy raz, jak wieść niesie, pojawi się oficjalnie książę Edward,

Odpowiedziałem po stoicku:

- Był taki czas, skarbniku, kiedy król nie darzył mnie względami. Może byłoby niestosowne, gdybym się tam pokazał.

- A, sprawa z York. - Rowland machnął lekceważąco ręką. -To było przed wieloma laty. Poza tym będziesz musiał tylko stać w najlepszym stroju pośród innych i wznosić na dany znak okrzyki.

Wiwatować na cześć admirała dAnnebaulta, pomyślałem, który dowodził flotą podczas bitwy morskiej, kiedy zatonała *Mary Rose*. Rycerskość to doprawdy dziwna rzecz, przyszło mi do głowy.

- Nie znam jeszcze dokładnego terminarza uroczystości, w których miałbyś wziąć udział - ciągnął Rowland. - Wiem jednak, że przypadną one na dziesięć ostatnich dni sierpnia, czyli od dziś za miesiąc. Powiadomię cię w stosowanym czasie.

Nie było sensu się sprzeciwiać. Miałem inne problemy.

- Dobrze, skarbniku — odparłem spokojnie.

- Bóg jeden wie, ile to pochłonie pieniędzy. — Roześmiał się. -Cóż, król będzie mógł pokryć część kosztów z majątku Bealknapa.

*

Wyszedłem na dziedziniec. Słońce zasnuły niskie chmury i nastąpiła duchota. Kierując się w stronę swej kancelarii, zauważyłem człowieka, który kręcił się niepewnie nieopodal - młody, porządnie ubrany w ciemny kaftan i szeroki zielony beret. Zerknąłem na niego, po czym przyjrzałem mu się uważniej. Widziałem tę twarz zaledwie dzień wcześniej, w czerwonym blasku pochodni w lochach Tower. Był to strażnik więzienny, Myldmore, który czymś naraził się przełożonemu» Zobaczył mnie i podszedł z wahaniem. Miał tak jak wcześniej w Tower szeroko otwarte, przestraszone oczy.

- Panie Shardlake — zaczął drżącym głosem. — Muszę z tob? pomówić, w cztery oczy. O... o pewnym manuskrypcie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zaprowadziłem Myldmore'a do kancelarii. Barak i Skelly obrzucili go zaciekawionymi spojrzeniami, kiedy szliśmy do mojego gabinetu. zaproponowałem, by usiadł. Zrobił to, rozglądając się z niepokojem. Zapytałem łagodnie, by go uspokoić:

- Czy napijesz się piwa?

- Nie, panie, dziękuję. - Zawahał się, skubiąc zlepioną w strąki bródkę. Był niepozornym człowiekiem, jednakże jako strażnik więzienny w Tower musiał widzieć, a być może także robić, straszne rzeczy. I nagle przeszedł do rzeczy: - Podobno badasz sprawę zabójstwa drukarza, Armistead Greeninga.

- Tak.

- Oficjalnie? - Popatrzył na mnie przenikliwie, ze strachem. — Mówią, że z upoważnienia jego rodziców.

- Kto tak mówi? — zapytałem spokojnie.

- Przyjaciele. Dowiedziałem się, że przyszedł do nich godny zaufania człowiek, niejaki William Cecil, i powiedział, że mogą bezpiecznie z tobą współpracować. Cecil usiłuje wytropić trzech znajomych Greeninga, którzy zniknęli. Jego terminator także przepadł jak kamień w wodę. - Przyjrzałem mu się uważnie. Miał rozbiegany wzrok, nie patrzył mi w oczy. Pomyślałem, że jeśli wie to wszystko, musi mieć powiązania z radykałami. Nagle spojrzął mi prosto w twarz. - Panie, co robiłeś wczoraj w Tower?

Zastanowiłem się przez moment i odparłem:

- Odpowiem ci. Lecz pozwól, że najpierw się upewnię, czy twoi przyjaciele nie są w błędzie. W żadnym razie nie reprezentuję żadnego wroga sprawy reformatorów.

Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami.

- Czyżby uważano, że pomiędzy śmiercią Greeninga a... Tower jest jakiś związek?

— Raczej że Greening miał powiązania z Anną Askew. W toku śledztwa pojawiło się jej nazwisko. — Nie mogłem wyjawić ostatnich słów Eliasa, w końcu Myldmore nie wiedział nawet, że chłopak nie żyje.

Na czole młodego strażnika pojawił się pot. Powiedział nie ryle do mnie, ile raczej do siebie:

— Muszę ci zaufać. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze po mnie nic przyszli. Nie mieliby nade mną litości - dodał, kręcąc głową. - Zwłaszcza gdyby dowiedzieli się o manuskrypcie.

Słyszając te słowa, stężałem. Ścisnąłem podłokietniki krzesła, by nie zdradzić podniecenia. Zapytałem niedbale, a przynajmniej taką miałem nadzieję:

— Znałeś mistrza Greeninga?

Myldmore złożył chude dłonie.

— Tak. Byłem na jednym ze spotkań w jego warsztacie. Z tamtymi. — Wziął głęboki oddech i wyznał drżącym głosem: - To, co zrobiłem w Tower dla Anny Askew, uczyniłem z litości, wiedziony wyrzutami sumienia. Lecz teraz przyszedłem do ciebie, panie, ze strachu. — Spuścił głowę.

— Zdaje się, że masz mi coś ważnego do powiedzenia. Zostawię cię na chwilę, byś się uspokoił, bo widzę, że jesteś roztrzęsiony, i powiem moim pracownikom, by nam nie przeszkadzali.

Wstałem. Myldmore kiwnął głową. Odniosłem wrażenie, że mu trochę ulżyło, jak to bywa w przypadku ludzi, którzy zdecydowali się wyjawić ważną tajemnicę. Wyszedłem do sekretariatu. Nicholasa nadal nie było. Zbliżyłem się do biurka Baraka i pospiesznie napisałem list do lorda Parra, donosząc, że Myldmore jest w mojej kancelarii, i prosząc o przysłanie kilku ludzi, by mój gość nie uciekł« Barak wyglądał na zdziwionego, lecz tylko przytknąłem palec do ust. Szepnąłem do niego:

- Czy możesz przekazać pilnie tę wiadomość do Whitehall? Szambelanowi królowej?

— A czy wpuszczają mnie tam?

- Powiedz, że należę do Uczzonej Rady Jej Królewskiej Mości i mam niecierpiącą zwłoki sprawę

do lorda Parra. Idź szybko. - Zalakowałem pismo i dałem mu. Spojrzał na mnie z ukosa, lecz wstał i pospiesznie wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Poleciałem Skelly'emu, by mówił wszystkim przychodzącym, że mnie nie ma, po czym wróciłem do Myldmorea. Wprowadziłem go w błąd, albowiem widząc mnie w Tower, sądził niesłusznie, że szedłem tropem, który doprowadził mnie do niego. Lecz jak w przypadku wielu innych osób w zeszłym tygodniu nie miałem innego wyjścia. Chodziło wszakże o podwójne morderstwo.

*

Myldmore siedział zgarbiony na krześle, patrząc niewidzącym wzrokiem przez okno na przechodzących prawników. Usiadłem za biurkiem.

- Teraz będziemy mieć tyle czasu, ile potrzeba. - Uśmiechnąłem się, a on tępo pokiwał głową. Pomyślałem, że zacznę od łatwych pytań.

- Jak masz na imię?
- Thomas, panie.
- Jak długo pracujesz w Tower, Thomasie?
- Od dwóch lat. Mój ojciec był tam strażnikiem. Wyprosił dla mnie posadę. Początkowo byłem strażnikiem na zewnątrz, lecz kiedy ojciec w zeszłym roku zmarł, przyjęto mnie na jego miejsce. - Spojrzał na mnie z pasją w oczach. — Choć nie podobała mi się ta robota, zwłaszcza gdy odnalazłem Boga i wszedłem na ścieżkę ku zbawieniu... A w tym roku... kiedy aresztowano tyle nieszczęsnych owieczek bożych... ogarnęły mnie okropne rozterki.

A zatem zatrudniono go jako strażnika przed rokiem. Zapewne nie chciał takiej pracy, lecz trudno było o inną, a ta uchroniła go przed zaciągnięciem do armii. W Tower miał spokój. Najmożniejsi w królestwie byli zajęci wojną oraz walką między rywalizującymi z sobą stronnictwami i kwestie lojalności religijnej tymczasem odłożyli na bok. Jednakże wiosną wszystko zaczęło się od nowa.

- Miałem okropne wyrzuty sumienia, panie. - Myldmore mówił tak, jakby szukał u mnie zrozumienia, najwyraźniej miał mnie za jednego z reformatorów. Pewnie nabrał takiego przekonania na podstawie słów Cecila. - To w naszym kościele, dzięki pastorowi zrozumiałem, że zbawienie można osiągnąć jedynie poprzez Chrystusa, a droga do niego wiedzie przez Biblię - ciągnął niemal szeptem. - Muszę ci się przyznać, że od dawna wątpiłem, czy ciało naszego Pana jest naprawdę obecne w hostii.

Teraz spojrzał na mnie z niepokojem, chociaż mówiąc to, nie podważył znaczenia mszy świętej. Nic nie odpowiedziałem, lecz tylko pokiwałem współczująco głową.

— Pastor mówił mi jednak, że posuwam się za daleko, że podważanie sensu mszy jest wbrew nakazom króla, będącego głową Kościoła i przedstawicielem Boga. Lecz niedługo potem poznałem pana Curdy'ego.

— Znajomego Greeninga, tego, który przepadł bez wieści. Wytwórcę świec.

— Tak, panie. Znał moją matkę. Zmarła na początku tego roku. Rozmawiałem z nim po pogrzebie i wtedy zapytał, czy nie poszedłbym z nim napić się czegoś. Podczas rozmowy zaczął rozprawiać o religii. To mądry człowiek, samouk, i do tego miły, zajmujący; spotkaliśmy się znowu i wyjawiał mi, że chadza na spotkania podobnie myślących ludzi, które mogą mnie zainteresować.

Popatrzyłem na jego twarz, ściągniętą i bladą. Samotny, poważny, rozdarty młody człowiek, zapewne nie cieszył się sympatią z racji swej pracy. Jeden z tych, których można zwerbować, by służyli sprawie radykałów. Uderzyło mnie przy tym, że wszyscy członkowie grupy byli samotni, choć Vandersteyn mógł mieć kobietę we Flandrii. Nie mieli żon ani dzieci, które odciągałyby ich od działalności religijnej.

— I poszedłeś na nie?

— Pierwszy raz w kwietniu. Zbierali się zawsze w drukarni mistrza Greeninga. Mogli przyjść tylko zaproszeni i nie wolno im było mówić innym, co słyszeli. - Nagle urwał, przygryzając wargę. - Wszyscy, których tam poznałem, zniknęli. Mistrz Greening nie żyje, a pozostali przepadli, nie wiem, czy z własnej woli. Elias, terminator, mistrz Curdy, McKendrick, szkocki kaznodzieja, Vandersteyn, Holender, Michael

Leeman, który służył na dworze królowej w Whitehall...

Wyprostowałem się.

— Do waszej grupy należał też Leeman? - Już wcześniej się zastanawiałem, czy to nie on stanowi brakujące ogniwo, a teraz miałem dowód.

- Tak. - Myldmore spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami. — fsjie wiedziałaś, panie? Co się z nim stało?

- Wiem tylko tyle, że i on zniknął. — Zaczerpnałem powietrza.

A więc Michael Leeman ukradł *Lamentacje* i przekazał je Greeningowi. To nie ulegało już wątpliwości. Ponadto Myldmore wspomniał o manuskrypcie. Musiałem jednak postępować ostrożnie. Strażnik znowu patrzył na mnie z niepokojem.

- Proszę, zrozum mnie, panie - powiedział. - Nigdy tak naprawdę nie należałem do tej grupy. Pozostali odnosili się do mnie z nieufnością, wypytywali mnie o poglądy, zerkali na siebie, kiedy odpowiadałem. Miałem wrażenie... jakby poddawali mnie próbie.

- Chyba cię rozumiem. - To już nie wyglądało na spotkania grupy radykałów, lecz na spisek.

Myldmore ciągnął:

- Chyba im się nie podobało, że wciąż nie mam zdania w kwestii mszy świętej. Chociaż mieli przekonujące argumenty, na przykład taki, że Biblia o niej nie wspomina... — Urwał nagle. Wciąż mi nie ufał.

- Nie musimy o tym rozmawiać — odparłem uspokajająco. — Wierz mi, co kto sądzi o mszy, nie ma znaczenia dla mego śledztwa.

Wyraźnie się uspokoił i kontynuował:

- Jednych rzeczy, które mówili albo dawali do zrozumienia, nie pojmowałem, z drugimi zaś się nie zgadzałem. Obstawali przy tym, że ludzi powinno się chrzczyć jako dorosłych, nie w dzieciństwie, tak jak było w przypadku Jana Chrzciciela i uczniów Chrystusa. A kiedy powiedziałem, że król został wyznaczony przez Boga na głowę Kościoła, wpadli w złość, mówili, że zakazywanie biednemu ludowi czytania Biblii to jak pozbawianie go Słowa Bożego, i dziękowali Bogu, że John Bale i inni przysyłają z kontynentu swoje dzieła na temat Ewangelii. Chociaż twierdzili, że Bale nie rozumie, iż należy obalić rządy.

- Tak mówili? Używali takich właśnie słów?

- Tak, panie. I jeszcze twierdzili, że królewska krew Henryka nie ma żadnego znaczenia, że wszyscy pochodzimy od Adama, naszego wspólnego ojca. - Żywo pokręcił głową. — Głoszenie takich poglądów to zdrada. Mówiłem im, że tak nie można. - Odetchnął głęboko, — Wkrótce potem oznajmili mi, że za wiele nas dzieli, bym mógł zostać członkiem ich grupy. Odszedłem więc, przysięgłszy, że nikomu o nich nie powiem. Muszę przyznać, że byłem z tego rad, gdyż te spotkania zaczęły mi ciążyć.

- Zapuszczałeś się przez nich na niebezpieczne wody - zauważyłem.

- Może i tak. Sam nie wiem. - Znowu ogarnęły go wątpliwości i zaczął unikać mojego wzroku.

Pomyślałem, że Myldmore jest może młody i nieopierzony, lecz nie głupi. Musiał zdać sobie sprawę, że znalazł się w grupie, która głosząc chrzest dorosłych i ostro krytykując społeczny porządek, co najmniej sympatyzuje z wywrotowo nastawionymi anabaptystami. A jeśli ci rzeczywiście nimi byli i planowali jakąś dużą akcję, musiało im zależeć na pozyskaniu kogoś z Tower, zwłaszcza że mieli już w swoich szeregach człowieka z dworu królowej*

- Dobrze postąpiłeś - odrzekłem, starannie dobierając słowa, Pragnąłem wreszcie dojść do kwestii manuskryptu, lecz nie chciałem wywierać na Myldmorea zbytnej presji. Ponadto musiałem dać czas Barakowi. Powiedziałem więc: - To jednak musiało być przykre... rozstać się z tymi ludźmi, gdy zaczęłaś ich lepiej poznawać.

Myldmore westchnął.

- Żaden z nich nie należał do łatwych. Curdy był przyzwoitym człowiekiem, pytał, jak mi się

wiedzie samemu na świecie. Chociaż chyba powodziło mu się w interesach i miał pieniądze, zawsze ubierał się skromnie. Myślę, że wspierał finansowo Szkota, a także Greeninga. Z tego, co mówił, wynikało, że jego rodzice byli kiedyś lollardami, czytali Biblię, potajemnie przełożoną na angielski. Był szczodry, praktykował to, czego nauczał, o dzieleniu się dobrami, — Spojrzał na mnie i zapytał ni stąd, ni zowąd: - Czy oni nie żyją, panie?

- Chyba żyją. Jednakże muszę ich znaleźć. Nie po to, by zrobić im krzywdę, lecz by powstrzymać ich przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

- To nie byli gwałtowni ludzie - zastrzegł Myldmore. - Sprzeciwiali się przemocy. Choć często ponosił ich gniew., - Uśmiechnął się ze smutkiem. — Elias mówił, że bogatych należy pozbawiać majątku i zmuszać, by pracowali w polu jak zwykli ludzie.

Przypomniałem sobie, jak Okedene mówił, że słyszał ich, głośno rozprawiających w warsztacie Greeninga, zwłaszcza ostatnimi czasy.

- Nie zgadzali się z sobą podczas dyskusji?

Myldmore potwierdził skinieniem głowy.

- Często, choć zazwyczaj co do kwestii, które wydawały mi się zawikłane jak ta, czy ktoś ochrzczony w dzieciństwie powinien całkowicie zanurzyć się w wodzie podczas ponownego chrztu, już jako dorosły.

- A kwestie związane z porządkiem społecznym? Czy ktoś nie zgadzał się z Eliaszem, kiedy ten na przykład mówił, że należy zrównać bogaczy z innymi?

- Nie. Nie, co do tego wszyscy byli jednomyślni.

Uśmiechnąłem się.

- Ludzie przekonani o swej słuszności?

- O, tak. Chociaż mistrz Greening był łagodnym i spokojnym człowiekiem, jeśli nie rozmawiało się z nim o religii. Najgorszy z nich był Holender. Ze względu na wymowę czasami trudno go było zrozumieć, lecz to nie przeszkadzało mu miotać obelg w rodzaju „ty ślepy głupcze” czy też „tępy grzeszniku, który skończysz w piekle”, kiedy ktoś się z nim nie zgadzał. To on najczęściej wspominał o Johnie Bale u. - Byłem ciekaw, czy Vandersteyn znał tego angielskiego uchodźcę. W przypadku Holendra prowadzącego handel po obu stronach kanału nie było to niemożliwe.

Myldmore ciągnął:

- Szkot także był zapalczywy, zapewne rozgoryczony tym, że został wypędzony z własnego kraju. Wydawał się groźny, zwłaszcza przy swej posturze. Myślę, że źle go w ojczyźnie potraktowano, wiem, że zostawił tam żonę.

- A Leeman?

- Ten pan z pałacu? Czuję z nim braterstwo, ponieważ tak jak ja bardzo się niepokoił, czy został wybrany przez Boga do grona zbawionych. Jak oni wszyscy wciąż mówił o bliskim końcu świata, zgodnie z przepowiednią w Apokalipsie świętego Jana, o tym, że zjawi się Antychryst i musimy być gotowi na sąd. Nie rozumiałem tego za bardzo.

Nadejście Antychrysta, przepowiedziane w Apokalipsie świętego Jana. Kolejny z dogmatów wyznawanych przez anabaptystów i innych radykalnych protestantów. Okedene wspominał w tym kontekście Bertana, i to nazwisko padło wczoraj z ust zabójców Greeninga.

Zapytałem najbardziej od niechcenia, jak tylko potrafiłem:

- Wielu utożsamia Antychrysta z konkretną osobą. Czy w grupie wymieniono kiedykolwiek jakieś nazwisko?

Szczerze się zdziwił.

- Nie, panie.

- Może włoskie?

- Chodzi ci o papieża, panie? Na niego tylko wyrzekali.

Zdałem sobie sprawę, że gdyby Bertano był dla członków grupy Antychrystem, nic wspominaliby o nim przy kimś, komu nie ufali. Powiedziałem spokojnie:

- A teraz wszyscy zniknęli. Jak sądzisz, dlaczego?

Myldmore'owi na chwilę zadrgał policzek.

- Może uciekli z powodu manuskryptu.

Spojrzałem w jego wystraszoną, zatroskaną twarz. I wtedy postawiłem wszystko na jedną kartę.

- Masz na myśli manuskrypt, który zabrał Leeman?

Popatrzył na mnie nierozumiejąco.

- Leeman? Nie, to ja wyniosłem to dzieło z Tower i przekazałem je Greeningowi. Zapiski Anny

Askew dotyczące jej przesłuchania.

Na moment zakręciło mi się głowie. Wciąż spoglądaliśmy na siebie. Odrzekłem tak spokojnie, jak tylko mogłem:

- Opowiedz mi o nich, Thomasie.

Zmarszczył czoło.

- Nie wiesz, panie? Myślałem, że właśnie w tej sprawie byłeś wczoraj w Tower. - Poruszył się na krześle i już się obawiałem, że wpadnie w popłoch i ucieknie.

- Masz rację - skłamałem. - Interesuje mnie ten manuskrypt. Tyle że wprowadzono mnie w błąd co do tego, kto przekazał go Greeningowi. - Ciągnąłem spokojnie: — Dużo się od ciebie dowiedziałem, Thomasie. Lepiej powiedz mi całą resztę. Przysięgam, nie jestem twoim wrogiem.

Przyjrzał mi się znowu i pochylił głowę.

- Nie mam chyba wyboru.

Nie odpowiedziałem.

Zaczerpnął powietrza i spokojnym tonem, nie patrząc na mnie, zrelacjonował mi dalszy ciąg wydarzeń. Od czasu do czasu drżał mu głos, tak że musiałem się pochylać, by zrozumieć, co mówi.

Rozdział dwudziesty piąty

- Było to dwudziestego dziewiątego czerwca, we wtorek. Niespełna miesiąc temu, choć wydaje się, że od tego czasu upłynął rok. Dzień wcześniej w ratuszu Anna Askew i ci trzej mężczyźni zostali skazani na karę śmierci za herezję i nikt o niczym innym nie mówił. Przypuszczaliśmy, że do egzekucji będą trzymani w Newgate. Tamtego ranka miałem w Tower służbę, zaglądałem do więźniów i wydawałem śniadanie tym, którzy mieli do niego prawo. Później poszedłem złożyć raport panu Howitsonowi... poznałeś go wczoraj, panie.

- Tak, pamiętam.

- Stojąc przy jego biurku, usłyszałem dobiegające z zewnątrz kroki. Po schodach schodziło kilka osób. Drzwi się otworzyły i wkroczył pan Ardengast, starszy strażnik, któremu towarzyszyła para strażników, prowadząc młodą niewiastę. Była w eleganckiej niebieskiej sukni, lecz, ku memu zaskoczeniu, miała na głowie worek, brudny worek, by nie widać było jej twarzy. Biedaczka, bardzo przestraszona, oddychała szybko. Przykro było patrzeć, jak traktuje się niewiastę. Za nimi nadeszło następnych dwóch mężczyzn, którzy nieśli dużą skrzynię. Pan Ardengast powiedział Howitsonowi i mnie, że ta kobieta ma być osadzona u nas i żaden z pozostałych więźniów nie może wiedzieć, ją tu przywieziono. Dodał, że będziemy musieli odsłużyć dwie zmiany, ponieważ o jej obecności w Tower ma wiedzieć jak najmniej ludzi.

Myldmore ściszył głos prawie do szeptu.

Powinniśmy zaprotestować, lecz w takim miejscu człowiek przyzwyczaja się do najgorszych rzeczy. A ja jestem słabą, grzeszną istotą. Odpowiedziałem więc tylko: „Tak jest. Niewiastę odprowadzono do celi zwanej „specjalną”, lepiej wyposażonej, dla szlachetnie urodzonych więźniów. Ale znajduje się ona obok pomieszczenia, w której trzymają koło do łamania i inne narzędzia tortur. - Podniósł głowę i spojrzał na mnie. - Widziałem je.

Ja też, pomyślałem, lecz zachowałem to dla siebie.

- Następnie wszyscy strażnicy wyszli, a my z Howitsonem popatrzyliśmy na siebie. Już miałem go zapytać, kim jest ta kobieta, ale powiedział, że nie powinniśmy o tym rozmawiać. Wróciłem więc do swych obowiązków. Po kilku godzinach wrócił Ardengast. Towarzyszyli mu sir Anthony Knevet i dwaj inni mężczyźni, w pięknych jedwabnych szatach ze złotymi łańcuchami na szyjach i czapkach zdobionych drogimi kamieniami. Pierwszego z nich, szczupłego, o rumianej twarzy i sterczącej rudej bródce, nigdy wcześniej nie widziałem. Drugiego rozpoznałem. Widywałem go wcześniej, gdyż bywał w Tower. Był to doradca królewski, sir Richard Rich.

Popatrzyłem na niego posepnie. Sądząc z opisu, tym drugim mężczyzną był lord kanclerz Wriothesley, który niepokoił się podczas egzekucji, czy wybuch prochu na szyjach skazańców nie porani członków rady siedzących na widowni. A do tego Knevet, będący w nie najlepszych stosunkach ze swym przełożonym, Walsinghamem. Więc, tak jak podejrzewałem, maczał w tym palce Richard Rich. Myldmore spojrzał na mnie ze strachem w oczach.

- Czy mam już iść?

Chyba się obawiał, że na wzmiankę o tych ludziach każe mu zamilknąć, nie chcąc dalej się w to mieszać. Odparłem jednak:

- Mów dalej.

- Nie odezwali się do mnie ani do Howitsona, chociaż Rich zmarszczył brwi, kiedy zobaczył, że go rozpoznałem. Poszli dalej, do celi, w której była trzymana ta niewiasta.

- Wciąż nie miałeś pojęcia, kim ona jest?

- Nie. — Nagle w jego głosie zabrzmiał gniew. — Wiedziałem jednak, że Anna Askew została skazana i że prawo nie pozwala torturować nikogo po ogłoszeniu wyroku.

- Owszem, nie pozwala.

Myldmore przetarł czoło.

- Wszyscy wyszli dopiero po trzech godzinach. Rich i ten drugi wydawali się zagniewani, a ponadto Rich miał pot na twarzy, jakby ciężko się napracował. Sir Anthony Knevet wyglądał na zatroskanego. Pamiętam, że Rich wykręcał dłonie, białe dłonie, i krzywił się, jakby go to bolało. Zatrzymali się przy biurku i sir Anthony powiedział do nas groźnie: „Nigdy nie widzieliście tych panów, rozumiecie? Nie zapominajcie, że złożyliście przysięgę na wierność królowi”. Później wszyscy poszli na górę po schodach. Usłyszałem jeszcze, jak Rich mówi ze złością: „Jeszcze godzina, Knevet, i złamałbym ją”.

Przerwał. Za oknem na dziedzińcu rozmawiało dwóch prawników, zapewne o jakimś zabawnym zdarzeniu w sądzie, ponieważ obaj się śmiali. Myldmore pochylił głowę, na którą padało słońce, i ciągnął:

- Wieczorem miałem znowu nakarmić więźniów. Howitson polecił mi, bym zaniósł tej kobiecie miskę z potrawką. Więc poszedłem do jej celi. Zapukałem na wypadek, gdyby była nieubrana, i usłyszałem słaby głos, mówiący, że mogę wejść. W celi były stół, krzesła i łóżko z ładną narzutą, no i skrzynia. Od razu rozpoznałem Annę Askew, albowiem dwa razy widziałem ją nauczającą na ulicach. Jednak siedziała na podłodze dziwnie pochylona, oparta plecami o ścianę, z rozłożonymi na kamiennej podłodze nogami. Wyglądało to wręcz nieprzyzwoicie.

Myldmore poczerwieniał i uświadomiłem sobie, jaki jest młody, dziwnie niewinny jak na służbę w tej wilczej norze.

- Miała podartą suknię i ściągniętą perukę. Jej rozpuszczone włosy były zlepione potem. Na twarzy... urodziwej twarzy... malował się spokój, lecz oczy były szeroko otwarte. - Pokręcił głową, jakby usiłował zapomnieć tamten przerażający obraz. — Mimo to, kiedy się odezwała, mówiła opanowanym łagodnym głosem. Zapytała: „Czy mógłbyś postawić tę tacę na podłodze, dobry człowieku? Nie mogę się podnieść”.

Wiem, co robi z ludźmi łamanie kołem, Boże, wybacz mi, widziałem to nieraz. Więźnia przywiązuje się do ruchomego stołu, a następnie rozciąga linami za ręce i nogi, tak że rozrywają się mięśnie i stawy. Uzmysłowiłem sobie z przerażeniem, że ci ludzie... członkowie Tajnej Rady... torturowali tę kobietę. Postawiłem miskę razem z łyżką obok niej na podłodze. Pochyliła się, by wziąć łyżkę, ale wydała tylko okrzyk bólu i dysząc ciężko, z powrotem oparła się o ścianę. - Myldmore spojrzał na mnie, przełykając ślinę. - Widok mężczyzny w takim stanie byłby trudny do zniesienia. Ale niewiasty...- Pokręcił głową. - Chyba wyczytała z mej twarzy, co myślę. Spytała, czy wiem, kim jest Odrzekłem: „Tak, pani, widziałem cię na ulicach, jak głosiłaś swą wiarę. Co oni ci zrobili?”

Uśmiechnęła się w odpowiedzi: „Szlachetni doradcy Jego Królewskiej Mości chcieliby zniszczyć królową a także jej dwórki i ich mężów. Wypytywali mnie, czy miałam z nimi do czynienia: z hrabiną Hertford, lady Denny, księżny Suffolk. Pragnęli, bym zeznała, że wszystkie one są heretyczkami i nie wierzą w znaczenie mszy. Ale powiedziałam, zgodnie z prawdą, że nie znam żadnej z nich. Więc wzięli mnie na tortury, by wydobyć ze mnie to, na czym im zależało. Sir Anthony Knevet nie chciał brać w tym udziału, więc to Rich i Wriothlesley naciągali liny”. Spojrzała na mnie płonąącym wzrokiem i dodała: „Nie zamierzam milczeć. Chcę, by dowiedzieli się o tym wszyscy”. Myldmore, patrząc na mnie, ponownie przełknął ślinę.

— Byłem przerażony, panie, nie chciałem o tym słuchać. Jednakże pani Askew mówiła dalej, zmieniając pozycję, kiedy przeszywał ją ból. Powiedziała: „To były męczarnie i będą dalsze, aż spalą mnie na stosie. Wiem jednak, że potem nadejdzie wieczna szczęśliwość”. I znowu się uśmiechnęła. - Młody strażnik z niedowierzaniem pokręcił głową - Zapytałem ją: „Czy naprawdę wierzysz, pani, że zostaniesz zbawiona?”. A ona odparła: „Wierzę, że Bóg obdarzył mnie łaską”. Z jej niebieskich oczu bił blask, jakby od wewnętrznego światła. Przejęło mnie to do głębi. - Myldmore przez chwilę nie mógł zapanować nad wzruszeniem. — Ukłąłem przed nią i rzekłem: „Przeszłaś mękę, tak jak Chrystus. Chciałbym mieć twą odwagę i pewność”. — Do oczu napłynęły mu łzy. — A potem poprosiła, bym

odmówił z nią Psalm dwudziesty trzeci. Uczyniłem to. — Wyszeptał: — „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza...”.

Później, jako że nie mogła sama jeść, zażyczyła sobie, bym ją nakarmił. Każdy ruch sprawiał jej ból. - Przerwał, a po chwili dodał cicho: — Słyszałem, że była dzielna aż do końca.

- To prawda - potwierdziłem. - Widziałem to.

- Ach tak. - Pokiwał głową. - Byłeś jednym z tych dobrych ludzi, którzy poszli nieść jej pociechę, Nie zaprzeczyłem. Myldmore zaczerpnął powietrza.

- Nakarmiwszy ją, wyszedłem. Howitson powiedział, że nazajutrz pani Askew ma być przeniesiona z Tower do jakiegoś domu... nie wiem czyjego... Przypomniał mi, bym trzymał gębę na kłódkę. Domyśliłem się, że chcą, by wydobrzała na ile się da i poszła na stos o własnych siłach. Byłem pełen gniewu, panie, bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Pomyślałem, że to właśnie dostrzegła Anna Askew i postanowiła się tobą posłużyć.

Zapytałem:

- Czy to ty wyjawiałeś, że była torturowana?

- Tak. - Zacisnął szczęki z jeszcze większym uporem. - I oni o tym wiedzą. Byłem tak rozsierdzony, że jeszcze tego samego dnia powiedziałem mej gospodyni, że Annę Askew torturowano w Tower. Zabrakło mi jednak odwagi, by wspomnieć o Wriothesleyu i Richu. Moja gospodyni to zagorzała reformatorka, a do tego wielka plotkarka. Chciałem, by powiedziała innym. Nie myślałem wówczas o swym bezpieczeństwie. Następnego dnia wszyscy mówili tylko o tym. — Dodał ze smutkiem: — Przyznaję, że kiedy ta wieść rozeszła się po Londynie, znów ogarnął mnie strach.

Westchnął, a potem podjął:

- I wkrótce zaczęło się śledztwo, prowadził je pan Ardengast. Tylko ci, którzy widzieli Annę Askew w Tower, a następnie w domu, do którego ją przeniesiono, wiedzieli, co z nią wyczyniano. Przesłuchiwał mnie sam sir Anthony Knevet. Przyznałem się od razu. Tak się bałem, że podczas przesłuchania zmoczyłem się w pludry. A Anna Askew się nie zmoczyła - dodał cicho, z niesmakiem.

- Była wyjątkową osobą - zauważyłem.

- Spodziewałem się, że mnie aresztują, ale powiedzieli tylko, że mam trzymać język za zębami. I tak było, dopóki nie zjawiałeś się wczoraj w Tower, panie. Nie rozumiem, dlaczego nie zostałem zatrzymany. Sir Anthony okazał mi wielką łaskawość. W Tower jednak mówiono, że był bardzo oburzony postępowaniem Richa i Wriothesleya, i doniósł o sprawie królowi. Ale czy to prawda?

Zastanowiłem się. Może dlatego nic mu nie zrobiono, bo gdyby został postawiony przed sądem za ujawnienie informacji o torturach Anny Askew, zeznałby publicznie, iż była torturowana.

- Czy sir Anthony pytał cię, co tobą kierowało? - zagadnąłem. - Chciał wiedzieć, z kim trzymasz?

- Tak. Wypytywał mnie o Kościół, do którego przynależę, o znajomych. Nie powiedziałem mu nic o mistrzu Greeningu ani o jego przyjaciółach. To byłby mój koniec... z powodu manuskryptu. Więc milczałem.

- Ale chyba przyszła pora, byś powiedział mi.

Spojrzał na swe dłonie, po czym znowu podniósł głowę.

- Późnym wieczorem tamtego dnia, kiedy rozmawiałem z panią Askew, znowu wysłano mnie do niej, bym zaniósł jej jeszcze raz jedzenie i złożył raport o jej stanie. Wszedłszy do celi, ponownie zastałem ją na podłodze, zdołała jednak przeczołgać się na drugą stronę pomieszczenia. Jezus tylko wie, ile ją to kosztowało. Leżała w blasku świecy, którą jej wcześniej przyniesiono, obok otwartej skrzyni. Udało jej się wyjąć z niej zwitek kartek, które trzymała na podołku, razem i kałamarzem i piórem. Pisała, zlewając się potem i krzywiąc z wysiłku. Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Przez chwilę milczała, a potem powiedziała dziwnym tonem, zaciętym i jednocześnie pogodnym: „Pocziwy strażniku! Zastałeś mnie na pisaniu listów”.

Stawiając przy niej miskę z jedzeniem, zobaczyłem, co napisała, „...wówczas sir Anthony polecił, by

zdzjęto mnie z koła. Omdlałam, więc ocucili mnie znowu..."

„Pani, nie pozwolą ci wysłać tego listu, za dużo zdradza..." - powiedziałem.

„Jaka szkoda”, odparła. „Mówi całą prawdę”. Zapytałem, czy mam ją znowu nakarmić, i poprosiła o to. Ponownie oparła się o skrzynię niczym bezradne dziecko, podczas gdy ja podawałem jej jedzenie do ust i ocierałem brodę. Powiedziała, że jestem porządnym człowiekiem i dobrym chrześcijaninem.

Odparłem, że chciałbym być jednym i drugim. Później zapytała: „Czy doniesiesz sir Anthonyemu, co piszę?”. Milczałem, a ona tylko patrzyła na mnie zbołałym wzrokiem, lecz jakoś tak... nieustępliwie.

Później podjęła: „To dokument, relacja z przesłuchań, którymi poddawano mnie od czasu pierwszego aresztowania w zeszłym roku. Ostatni zapis pochodzi z tego popołudnia, chociaż straszliwie bołą mnie ręce. To dziwne, że nie przeszukali moich rzeczy, wśród których znajdowało się to świadectwo”.

Uśmiechnęła się ponownie. „Dziwne, czyż nie, że królewscy doradcy mogą rozrywać stawy i mięśnie w niewieścim ciele, a pospolity strażnik nie śmie przeszukać jej ubrań”.

„Rzadko są tu więzione niewiasty”, odparłem. Wtedy ujęła mnie za rękę i powiedziała: „Wkrótce przeszukają skrzynię, to pewnie znajdą te zapiski. Widziałeś je pierwszy, nie miałam siły szybko ich schować, kiedy przekręciłeś klucz w zamku. Mój los jest w twoich rękach, dobry człowieku, i jeśli uważasz, że musisz przekazać ten dziennik sir Anthonyemu, to trudno”. Wpatrywała się we mnie tymi swoimi niebieskimi oczami, które błyszczały w blasku świecy. „Lecz proszę, jeśli chcesz osiągnąć zbawienie, weź te zapiski i jakimś sposobem wydaj je drukiem. To wywoła wielką burzę. Czy mógłbyś to uczynić?”.

Od razu pomyślałem o mistrzu Greeningu. Ale zachowałem to dla siebie. Rzekłem: „Pani, prosisz mnie, bym zaryzykował życie. Jeśli zostanę złapany...”

„Życie?” Uśmiechnęła się słabo i z wysiłkiem położyła dłoń na mej ręce. „Życie jest ulotne, po nim zaś czeka nas sąd boży i wieczność”. Spytała, jak się nazywam. „Możliwość ujawnienia przed światem, co czyni się w imieniu króla, to oznaka łaski, Thomasie, wielki krok ku zbawieniu”.

Nagle ogarnął mnie na nią gniew. By wykorzystać Myldmore'a, posłużyła się obietnicą zbawienia, w pewnym sensie był to szantaż.

Strażnik na chwilę się zamyślił, po czym spojrzał na mnie z mocą.

- Odparłem, że wezmę jej zapiski, *Przesłuchania*, jak je nazwała. Nie był to długi dokument. Ukryłem go za pazuchą i wyniosłem z celi. Porozmawiawszy ze swą gospodynią, jeszcze tego samego wieczoru poszedłem do drukarni Greeninga. Był sam, początkowo odnosił się do mnie z pewną nieufnością, lecz kiedy powiedziałem mu o manuskrypcie, a potem go pokazałem, nie posiadał się z radości. „Mogę go wysłać Bale'owi”, oznajmił. „I po kilku miesiącach wróci do Anglii w pięciuset egzemplarzach”. Tak powiedział, pamiętam. „Wzbudzi wielkie poruszenie”.

Dokonałem w myśli szybkich obliczeń i spytałem Myldmore'a:

- To było... kiedy?... trzydziestego czerwca?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Tak. Wiedziałem, że muszę działać szybko, już czułem, że opuszcza mnie odwaga. Chyba jednak Pan dał mi siłę, natchnął mnie do czynu.

Wyprostowałem się na krześle. Istniały więc dwie księgi, nie jedna. Myldmore przyniósł Greeningowi *Przesłuchania*, Leeman zaś dostarczył drukarzowi dzieło królowej. Obaj wiedzieli, że ten może przemycić je za granicę, do Bale'a. Wielkie poruszenie zaiste. O, tak, mogły je wywołać obie te publikacje. Może ci ludzie w swej naiwności sądzili, że wyznanie wiary Jej Królewskiej Mości i ujawnienie tego, co zrobiono Annie Askew, na tyle wzbudzi gniew ludu, by ten wszczął rozruchy i obalił panujących. Nie zdawali sobie jednak sprawy z potęgi i bezwzględności ludzi sprawujących władzę. Annie Askew nic już nie groziło, natomiast królowa mogłaby znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie, gdyby napisane przez nią dzieło ujrzało światło dzienne, jej upadek tylko wzmocniłby największych wrogów reformatorów.

— Co więc się z nimi stało, panie? — zapytał ponownie Myldmore. -Z towarzyszami Greeninga? Dlaczego go zabito? Czy z powodu... księgi, którą mu przyniosłem?

— Nie wiem — odparłem szczerze. — Mniemam jednak, że chodziło o coś jeszcze.

— O co, panie? Zaufałem ci i powiedziałem już wszystko. Przeczuję jednak, że wiesz więcej niż ja.

— Owszem, ale na razie nie mogę ci tego wyjawić. Bądź jednak spokojny, nie zamierzam cię skrzywdzić. Co teraz zrobisz, wrócisz do Tower? — zapytałem.

— Kolejny dyżur mam dopiero w poniedziałek. — Pokręcił głową. -Drzę ze strachu za każdym razem, kiedy idę do pracy. Czuję, że mnie obserwują, że tylko czekają. Boję się, że prędzej czy później dowiedzą się o księdze...

Usłyszałem zbliżające się kroki. Myldmore się przestraszył, spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami. Drzwi się otworzyły i wszedł Barak z młodym Williamem Cecilem, który miał surową minę. Towarzyszyli mu dwaj rośli mężczyźni, każdy z nich trzymał dłoń na rękojeści miecza. Pomyślałem, że Myldmore będzie próbować uciec, ale on podniósł się jedynie i stał potulnie obok krzesła, drżąc cały. Zwrócił na mnie spojrzenie i odezwał się cicho, lecz z przerażeniem:

— Zdradziłeś mnie, panie.

— Ależ nie — odparłem. — Wręcz przeciwnie. Teraz będziesz pod ochroną. — Popatrzyłem na Cecila, który jednak nie złagodniał.

Rozdział dwudziesty szósty

Po południu znowu znalazłem się w gabinecie lorda Parra w pałacu Whitehall. Oprócz mnie byli tam jeszcze William Cecil i arcybiskup Cranmer, którego biała komża kontrastowała z naszymi czarnymi rosami. Na stole leżała duża kartka, a na niej widniało moje pismo, owoc popołudniowych przemyśleń. Wszyscy spoglądaliśmy wyczekująco na drzwi.

O czwartej mieliśmy spotkać się z lordem Parrem, jak poinformował mnie Cecil, kiedy jego ludzie wyprowadzili Myldmore'a z kancelarii. Przeróżonemu młodemu strażnikowi powiedział tylko tyle, że pracuje dla przyjaciół na dworze królewskim, którzy zadbają o jego bezpieczeństwo, a na razie gdzieś go ukryją i powiadomią jego zwierzchników w Tower, że zaniemógł.

Myldmore był bardzo przestraszony, błagał, by go puścili, Cecil jednak odparł szorstko, że zabójcy Greeninga wciąż przebywają na wolności i że niedawno się na nich natknąłem, co mogłem jedynie potwierdzić. Wyprowadzany Myldmore spojrzał na mnie przez ramię ze smutkiem i gniewem, gdyż kiedy odkrywał przede mną swą duszę, ja zastawiałem na niego pułapkę. Gdy tak stałem teraz w gabinecie lorda Parra, przypomniałem sobie wzrok strażnika. Jedno było pewne: że Myldmore jest bezpieczny, dopóki królowa nie zostanie obalona. Wówczas jego los byłby przesądzony, razem z naszym.

*

Po ich wyjściu przez dwie godziny siedziałem w gabinecie. Zamknąłem okiennice, wyjąłem pióro oraz papier i zacząłem myśleć o chronologii wydarzeń i ich uczestnikach, o zniknięciu niejednego, lecz dwóch ważnych manuskryptów. Próbowałem powiązać historię Myldmore'a ze znanymi mi faktami. Jednakże wszystkie tropy prowadziły do Greeninga i jego grupy — tego, kim naprawdę byli i jakie mieli motywy. Straciłem poczucie czasu. Wreszcie zegar Lincoln's Inn wybił trzecią, przypominając mi, że powinienem już iść. Wziąłem kartkę z notatkami i ruszyłem nad rzekę, by wsiąść na łódź do pałacu Whitehall. Podczas podróży włożyłem togę. Strażnicy pałacowi już zaczęli mnie rozpoznawać — niektórzy skłaniali z szacunkiem głowy, zaznaczając moje nazwisko na liście. Ja z kolei poznałem plan pałacu: rozkład ciasno stojących, niezwykłych budynków z małymi wewnętrznymi dziedzińcami, różniących się od siebie, po których początkowo tak trudno było mi się poruszać. Nawet piękno i przepych wewnątrz stały się dla mnie czymś powszednim. Chodziłem już korytarzami, nie czując pokusy, by stale się zatrzymywać i coś podziwiać, a to posąg, a to obraz, a to gobelin.

Zjawiłem się w gabinecie lorda Parra tuż przed czwartą. W środku zastałem Williama Cecila, a wraz z nim, ku memu zaskoczeniu, arcybiskupa Cranmera, który wydawał się zamknięty w sobie i zatroskany. Skłoniłem mu się nisko. Lord Parr zapowiedział, że także królowa zaszczyca nas swą obecnością. Już do nas szła.

— Próbuję dociec, co nam dają informacje uzyskane od Myldmore'a — powiedziałem, kiedy czekaliśmy.

— I do czego doszedłeś, Matthew? — zapytał spokojnie Cranmer.

— Do tego, że chyba zawężają się możliwości.

Usłyszeliśmy pukanie i drzwi gabinetu się otworzyły. Na progu stanęła lady Anna Herbert, siostra królowej, którą widziałem przed dwoma dniami w zamku Baynards. Odsunęła się na bok i wykonała ukłon przed wchodzącą królową, która miała na sobie przepiękny suknię ze złotego jedwabiu, o białych rękawach i przodzie, we wzór z maleńkich złotych jednorożców. Była spokojna i opanowana. Za nią stanęła Mary Odell. Wszyscy skłoniliśmy się nisko.

Królowa powiedziała:

— Mary, Anne, możecie wrócić do mych komnat.

Dworki skinęły nam głowami i wyszły. Jej Królewska Mość popatrzyła kolejno na nas czterech i odetchnęła głęboko. Na chwilę straciła opanowanie i kiedy zwróciła się do stryja, była wyraźnie strapiona.

- Powiadomiłeś mnie, że są postępy w sprawie. Czy odzyskano moje dzieło?
- Nie, Katarzyno, ale komisarz Shardlake ma nowe wiadomości. - Wskazał na mnie głową.
- Czy aby dobre? - zapytała z przejęciem.
- Nie takie złe, Wasza Królewska Mość. Pojawiły się nowe wątki.

Królowa westchnęła i z kolei zwróciła się do Cranmera:

- Dziękuję, że przyszedłeś, Wasza Ekscelencjo. Wiem, że stryj informuje cię o rozwoju wydarzeń.
- Byłem w pałacu na zebraniu Tajnej Rady.
- Gardiner i jego ludzie przeszli do defensywy - włączył się lord Parr. W jego głosie zabrzmiała nuta pogardy, niewątpliwie pod adresem Cranmera, który wyraźnie unikał zebrania rady, kiedy sytuacja stawała się groźna. Królowa rzuciła stryjowi surowe spojrzenie.

- Tylko nasza piątka wie o zaginięciu *Lamentacji* - zauważyła. — Ale najpierw, Wasza Ekscelencjo, powiedz nam, o czym była mowa na zebraniu rady.

- Głównie o wizycie francuskiego admirała w przyszłym miesiącu. Uroczystości będą miały wielki rozmach. Wriothesley przekonywał, że tegoroczne podatki są tak wysokie, iż może to wywołać niezadowolenie wśród ludu, król jednak postanowił nie szczędzić pieniędzy na obchody zawarcia pokoju. - Uśmiechnął się. - A Wasza Królewska Mość ma pełnić podczas nich ważną rolę.

- Wiem. Król powiedział mi o nowych sukniach i biżuterii, którą dostaniemy ja i moje dworki. A ja go cały czas oszukuję - dodała drżącym głosem. Pomyślałem, że gdyby nagle *Lamentacje* ukazały się drukiem, wszystkie te podarunki skończyłyby się w jednej chwili, a po chwili przypomniałem sobie słowa Myldmorea o Annie Askew w Tower i opanowałem wzdrygnięcie.

Arcybiskup tymczasem ciągnął uspokajająco:

- Twój brat, hrabia Essex, ma powitać ambasadora i dokonać razem z nim uroczystego przejazdu ulicami Londynu. On także będzie w centrum uroczystości. Gardiner i Norfolk siedzieli cicho podczas całej narady. Ich łowy na heretyków zakończyły się porażką, Wasza Królewska Mość, to staje się z każdym dniem coraz bardziej oczywiste.

- Chyba że coś je wznowi. - Królowa spojrzała na mnie. - Słyszałam od stryja, że dwaj twoi podwładni odnieśli rany. Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Żaden nie doznał poważniejszych obrażeń, Wasza Królewska Mość.
- A ten Myldmore, umieściłeś go w bezpiecznym miejscu? - zapytała lorda Parra.
- Tak, razem ze strażnikiem i stolarzem, którzy pomagali Leemanowi.
- Każdego z nich można oskarżyć o zdradę stanu - zauważył Cecil.

Lord Parr pokręcił głową.

- Kiedy sprawa przycichnie, postaramy się dyskretnie wywieźć ich z Londynu gdzieś daleko na prowincję.

Włączyłem się:

- Jeśli Myldmore nie stawi się na dyżur w Tower, nadal będzie niedomagał, jego zwierzchnicy w końcu nabiorą podejrzeń.

- Nie skojarzą go z nami. Pomyślą, że zbiegł.

- Tyłu ludzi zniknęło - odezwała się z żalem królowa. - Dwaj stracili życie. A to wszystko z mojej winy.

- Anna Askew też się do tego przyczyniła - szorstko skwitował lord Parr. - Potrzebne były te jej herezje!

Cranmer z zakłopotaną miną przygryzł wargę, a lord Parr podjął:

- Jeśli pozwolisz, Wasza Królewska Mość, komisarz Shardlake chciałby pokazać nam coś, nad czym pracował. — Wskazał leżącą na biurku kartkę.

Królowa popatrzyła na mnie i skinęła głową, a ja skłoniłem się znowu.

Cecil podsunął królowej i arcybiskupowi krzesła, a potem stanął obok lorda Parra. Przed nimi

znajdowała się lista nazwisk z datami:

Armistead Greening - zamordowany 11 lipca

James McKendrick - zniknął z 11 na 12 lipca

William Curdy - zniknął z 11 na 12 lipca

Andreas Vandersteyn — zniknął z 11 na 12 lipca

Elias Rooke - uciekł 17 lipca, zamordowany 18 lipca Michael Leeman — przekupił stolarza Barwica i strażnika Gawgera, niemal na pewno 9 lipca ukradł *Lamentacje grzesznika*. Uciekł z Whitehall 19 lipca.

-----Thomas Myldmore — zaniósł Greeningowi zapiski

Anny Askew 30 czerwca

- Tych siedmiu ludzi tworzyło grupę radykałów, która spotykała się u Armistead Greeninga - zacząłem.

Cranmer wskazał listę.

- Dlaczego nazwisko Myldmore'a jest oddzielone od pozostałych?

- Ponieważ ostatecznie nie został przyjęty do grupy. Być może należeli do niej także inni, lecz tych sześciu stanowi jej trzon. Vandersteyn mógł mieć kontakty z anabaptystami, podczas gdy Curdy dysponował pieniędzmi i niewykluczone, że to on finansował łapówki, które Leeman wręczył stolarzowi i drugiemu strażnikowi. Greening niemal na pewno miał powiązania z Johnem Bale'em w Antwerpii i prawdopodobnie sprowadzał z Flandrii zakazane księgi. Z relacji Myldmore'a jasno wynika, że nie była to jedynie grupa dyskutantów, gdyż jej członkowie wykazywali pasję anabaptystów. — Rozejrzałem się. - Myślę, że próbowali oni pozyskiwać osoby zajmujące stanowiska na dworze lub zatrudnione w trudno dostępnych miejscach, jak strażnik pałacowy czy więzienny w Tower. Myldmore nie zgadzał się z ich poglądami na temat porządku społecznego ani mszy świętej, więc się go pozbyli. Ale później, kiedy zobaczył, co przydarzyło się Annie Askew, poczuł, że musi działać. Postanowił zanieść jej zapiski Greeningowi. A ten zamierzał przekazać je dalej Johnowi Bale'owi.

Pozostali słuchali w milczeniu. Królowa nerwowo dotknęła perły na piersi, a Cranmer spoglądał na mnie z niepokojem. William Cecil z wolna pokiwał głową.

- Potem Greening został zamordowany - ciągnąłem. - Co zaś do pozostałej piątki... — Przesunąłem palcem po liście z nazwiskami. — Trzej od razu zniknęli: McKendrick, Curdy i Holender. Leeman pozostał na miejscu, tu w Whitehall. A Elias zatrudnił się u sąsiada, drukarza Okedene.

- Jeśli tamci trzej uciekli, by ratować życie, to dlaczego Elias i Leeman nie poszli ich śladem?

- Zastanawiałem się nad tym. Może Leeman myślał, że jako strażnik w pałacu jest bezpieczny. Ma tu kwaterę. Został, póki się nie dowiedział, że jest podejrzewany, i dopiero wtedy zbiegł. Co do Eliasa, pamiętajcie, że czasy są trudne, a on miał na utrzymaniu owdowiałą matkę i siostry. — Westchnąłem. — Był uparty i pewnie odrzucił propozycję tamtych, by się do nich przyłączyć. Kiedy go poznałem, odniosłem wrażenie, że według niego jedynym celem zabójców był Greening. A niewykluczone, że ze względu na jego młody wiek i być może ograniczenia umysłowe pozostali nie chcieli mu zdradzić, iż mają dzieło królowej. Choć sądzę, że wiedział, iż Greening zdobył zapiski Anny Askew.

— Bo przed śmiercią powiedział, że oddał za nią życie? - zapytał Cecil.

— Otóż to.

— Biedny chłopak - szepnęła królowa. - Został ze względu na matkę i siostry i przez to zginął. — Podeszła do okna i stanęła przy nim z pochyloną głową, patrząc na mały dziedziniec.

Odezwał się lord Parr:

— A tamci czterej? Czy jeszcze żyją?

— To, że Elias został zamordowany, może świadczyć, że zabójcy dybali na całą grupę. Czy znaleźli tamtych, tego nie wiemy.

Lord Parr pogładził siwą brodę.

— A ci, którzy zabili Greeninga i Eliasa, prawdopodobnie są w posiadaniu zarówno zapisków Anny Askew, jak i dzieła królowej.

Cecil zagadnął:

— Czy to możliwe, że ktoś wpływowy... Wriothlesley, Gardiner, Rich albo Paget... miał w tej grupie swego agenta? I to jeden z tej czwórki, która zniknęła? Bo skąd ktoś z zewnątrz by wiedział, że Greening ma *Lamentacje*?

— Rzeczywiście — odparłem. — Ktoś z tej grupy mógł pracować dla wroga. Myślę, że możemy wyeliminować Leemana, bo gdyby służył Gardinerowi, Greening i jego towarzysze byliby ostatnimi ludźmi, którym zaniósłby *Lamentacje*. Pozostają więc Curdy, Vandersteyn i McKendrick. Lecz gdyby jeden z nich jako agent Gardinera zamordował Greeninga i ukradł *Lamentacje*, a także zapiski Anny Askew, dlaczego do tej pory nie usłyszeliśmy o żadnej z tych ksiąg? Jego mocodawcy mogli zniszczyć świadectwo Anny Askew, ponieważ obciąża Wriothlesleya i Richa, ale z *Lamentacjami* poszliby prosto do króla, czyż nie?

Cranmer pokiwał głową, zgadzając się ze mną.

— Tak. Norfolk i Gardiner wiedzą, że lordowie Hertford i Lisle mają powrócić w szeregi członków Tajnej Rady, i mają świadomość, że polowanie na heretyków nic nie dało. Ja sam dopiero teraz uznałem za rozsądne wziąć udział w jej posiedzeniu. Jeśli więc mają *Lamentacje*, powinni działać szybko.

- Owszem, Wasza Ekscelencjo - potwierdziłem. - Jestem tego samego zdania.

Królowa odwróciła się i spojrzała na mnie z nadzieją w oczach.

- Czy więc uważasz, że to nie szpieg Gardinera zabili Greeninga i zabrali *Lamentacje*?

- To niewykluczone. Chociaż teoria pana Cecila o agencie wewnątrz grupy jest przekonująca.

Zdziwiona, pokręciła głową.

- W grupie pobożnych ludzi miał być szpieg, który działałby przeciwko nim? Udawałby jednego z nich? Jak ktokolwiek mógłby w taki sposób zdradzić własną duszę?

Nagle ze zniecierpliwieniem odezwał się lord Parr:

- Na miłość boską, bratanico, kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie wszyscy są tak niewinni jak ty?

Królowa popatrzyła na niego z uwagą, po czym zaśmiała się gorzko.

- Nie jestem niewinna. Gdybym była, nie napisałabym dzieła pod tytułem *Lamentacje grzesznika*, a wiedziona grzeszną dumą, nie wstrzymałabym się ze zniszczeniem go, co radził mi Jego Ekscelencja, i nie spowodowałabym tych wszystkich kłopotów. I przy tym nie oszukiwałabym męża — dodała z rozgoryczeniem.

Przyjrzałem się jej. Gdyby te słowa zostały wypowiedziane innym tonem, można by uznać, że królowa użala się nad sobą, ona jednak mówiła ze smutkiem, całkiem szczerze. Na chwilę zapadła cisza. Potem zwrócił się do mnie Cecil:

- Ze sposobu, w jaki zabito Greeninga i Eliasa, oraz z twego opisu dwóch mężczyzn, na których się natknąłeś, wynika, że jest w to zamieszany ktoś bardzo potężny, ktoś, kogo stać na opłacenie doświadczonych zabójców.

Spojrzałem na niego. Cecil był dość młody jak na członka takiej narady, lecz jego bystrość dorównywała opanowaniu. Lord Parr dokonał właściwego wyboru.

- Słuszna uwaga — odrzekłem. — Lecz to nie stanowi odpowiedzi na pytanie, dlaczego dzieło królowej wciąż nie zostało ujawnione. -

Poruszyłem się, albowiem stałem jut długi czas i bolały mnie plecy. - Wasza Królewska Mość, Wasza Lordowska Mość, Wasza Ekscelencjo, pozwolę sobie pokazać, co napisałem na odwrocie tej kartki, To chronologia, która pomoże zilustrować dalszy bieg zdarzeń. - Królowa skinęła głową, znowu muskając perłę Katarzyny Howard. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak przybitej. Kiedy jednak odwróciłem kartkę, pochyliła się nad stołem razem z pozostałymi.

6 czerwca - Leeman podsłuchuje królową i arcybiskupa, spierających się o *Lamentacje*. Razem z grupą Greeninga planuje ich kradzież.

29 czerwca — do Tower przywożą Annę Askew i ją torturują.

30 czerwca - Myldmore znosi Greeningowi zapiski Anny Askew.

5 lipca - dwaj mężczyźni, jeden z uciętym uchem (prawdopodobnie ten sam, który wcześniej próbował przekupić królewskiego paza, Gareta), zostają przepłoszeni przez Eliasa podczas próby włamania do drukarni Greeninga.

10 lipca — Greening zostaje zamordowany przez dwóch ludzi, nie tych, którzy brali udział w pierwszej napaści, a *Lamentacje* (być może wraz z dziennikiem Anny Askew) skradzione.

11/12 lipca — McKendrick, Curdy i Vandersteyn znikają.

16 lipca — Anna Askew zostaje spalona na stosie.

17 lipca - rozmawiam z Eliaszem, który ucieka na wzmiankę o jakimś Bertanie (o którym według mistrza Okedene wspomiano w grupie w związku z przybyciem Antychrysta),

18 lipca — Elias ginie zamordowany.

20 lipca - strażnik Leeman, dowiedziawszy się o moim dochodzeniu, ucieka.

21 lipca - spotykam dwóch mężczyzn, którzy zabili Greeninga (nie tych, którzy wcześniej próbowali włamać się do jego drukarni). Wiedzą, kim jestem, i wymieniają nazwisko Bertana.

Wszyscy przyglądali się moim notatkom.

- Z tej chronologii wynika, że w sprawę mogą być zamieszani przedstawiciele dwóch stron. Jednej, której zależało na zdobyciu zapisków Anny Askew, oraz drugiej, która chciała zdobyć *Lamentacje*.

Cecil pokręcił głową.

- Lecz z całą pewnością w grupie był tylko jeden informator. To mało prawdopodobne, by doniósł on Gardinerowi... czy też Norfolkowi, Richowi, Wriothesleyowi lub komukolwiek innemu... o *Przesłuchaniach* Anny Askew po tym, jak Myldmore trzydziestego czerwca przyniósł je do Greeninga, i by potem wysłano do drukarni agentów, których przepłoszył Elias, czyż nie? Później, dziewiątego lipca, w ręce Greeninga dostały się *Lamentacje* i pojawili się dwaj inni ludzie, także przez kogoś wysłani, którzy mieli zabić drukarza i skraść oba dzieła... co też uczynili, zostawiając skrawek jednej z ksiąg w dłoni zamordowanego, tak?

- Być może. Lecz w takim razie należałoby wysłać tych samych ludzi co za pierwszym razem — podsunąłem.

Lord Parr nagle wybuchnął gniewem.

- Kiedy będziemy wiedzieli na pewno?

- Na to trzeba czasu, Wasza Lordowska Mość. I jest jeszcze jedna możliwość. - Zanim podjąłem, głęboko zaczerpnąłem powietrza. — A jeżeli po pierwszej próbie włamania do drukarni członkowie grupy podzielili się w kwestii dalszego postępowania... może któryś z nich chciał wysłać oba dzieła za granicę, by zostały tam wydane, a inni, bardziej rozsądni, zdali sobie sprawę, że publikacja *Lamentacji* tylko zaszkodzi królowej? Proszę pamiętać, że ci ludzie są naiwni w swym rozumieniu polityki. Może większość zdecydowała o zaniechaniu publikacji tego dzieła, a ci, który napadli tamtej nocy na Greeninga, pracowali dla tego z grupy, który był temu przeciwny.

Włączył się Cranmer:

- Wiemy, że w sektach najbardziej skrajnych radykałów często występują różnice zdań i rozłamy.

- Do tego stopnia, by ich członkowie zaczęli się nawzajem mordować? - zapytał Cecil.

- Gdyby stawka była wysoka... - odparł ze smutkiem arcybiskup. - Tak czy owak, powinniśmy wziąć to pod uwagę.

Pozostali milczeli. Potem królowa ze znużeniem pokiwała głową.

- Przynajmniej wiem, kto był zdrajcą na mym dworze, Leeman. - Uśmiechnęła się do mnie smutno. - Myliłeś się, Matthew, podejrzewając Janr i lady Marię.

- Tak, Wasza Królewska Mość. Miałem jednak obowiązek przesłuchać wszystkich potencjalnych winowajców.

Ponownie kiwnęła głową.

- I co teraz? - zapytał Cranmer.

Zwróciłem się do Cecila:

- Po pierwsze, jak powiedziałem, nie możemy wykluczyć możliwości, że jeden z zaginionych mężczyzn w wyniku kłótni o dalszą strategię zabrał obie księgi. Jeśli tak, może próbować je wywieźć z kraju, jakie stráže zdołałeś, panie, umieścić w porcie?

- Wypływające z Anglii towary mają być na cle dyskretnie przeszukiwane. Oczywiście, urzędnicy komory celnej zajmują się głównie kontrolą towarów wpływających do kraju, by powstrzymać napływ zakazanych ksiąg. Są one ukrywane w belach materiału, zawijane w impregnowane tkaniny i umieszczane w beczkach wina...

- A jeśli zostaną znalezione? — przerwałem mu.

- Mają być mi przekazane. - Dotknął jednego z dziobów na twarzy. - Lord Parr łaskawie przyznał mi wystarczająco dużo złota, by smarować gdzie trzeba.

Odezwała się znowu królowa:

- A jeżeli księgi zostaną wysłane z Bristolu albo Norwiche czy też małą łodzią, wypływającą ze strumienia?

- Wtedy będziemy mieli związane ręce - odparł bezbarwnym tonem lord Parr. Odwrócił się do mnie. — Już widzę, jak jacyś radykałowie wysyłają zapiski Anny Askew za granicę, do Bale'a albo kogoś takiego jak on, by je wydrukowano i przemycono z powrotem do Anglii. A *Lamentacje*? To oczywiste, nawet dla kogoś niezbyt bystrego, że ich wydanie i dystrybucja tylko królowej zaszkodzi.

- Miałem już do czynienia z fanatykami — odparłem. - Mogą oni aktywnie rekrutować ludzi, którzy mają dostęp do tajnych informacji, by potem puszczać je w obieg. Mogą nawet zdawać sobie sprawę, że Wasza Królewska Mość na tym ucierpi, lecz o to nie dbają, dopóki są przekonani, że ich działania wywołają bunt.

Znowu w gabinecie zapadła cisza. Ciągnąłem spokojnie:

Wciąż mamy dwa tropy, których nie zbadaliśmy do końca, oba bardzo ważne. Kim jest Stice, człowiek z jednym uchem, i dla kogo pracuje? I kto to jest, na Boga, Gurone Bertano?

- Jego nazwisko nic nikomu nie mówi - odrzekł Cecil. — Chociaż, jak wiecie, religijni tradycjoniści z otoczenia króla coś knują. Czy ten człowiek może być w to zamieszany, nie mam pojęcia. Niewykluczone jednak, że grupa Greeninga w jakiś sposób zdobyła tę informację, dowiedziała się, kim jest Bertano i jakie ma zamiary. Ale jak to zrobiła?

- To nazwisko z całą pewnością przeraziło Eliasa.

- Nie możemy rozpytywać się o to zbyt otwarcie, Wasza Ekscelencjo - powiedział lord Parr. — Jeśli ten Bertano bierze udział w nowej intrydze konserwatystów, to gdy tylko ja albo brat królowej o nim wspomnimy, zechcą wiedzieć, skąd go znamy.

- A drugi mężczyzna, ten z uciętym uchem — odezwał się Cecil. — Jak wiemy od pafia, pracuje on dla kogoś na dworze, kto pragnął zdobyć informacje obciążające królową i maczał palce w pierwszej napaści na Greeninga.

- Gdyby tylko udało się go wytropić, mógłby okazać się kluczem do całej tej zagadki.

Lord Parr, sfrustrowany, zaczął przechadzać się tam i z powrotem.

- Wszyscy najpotężniejsi ludzie w królestwie mają własne dwory, a zatem i szpiegów.

- Dziwne wydaje mi się także to — zabrał głos Cecil - że Myldmore nie został od razu zatrzymany, kiedy tylko odkryto, że rozpowiadał o torturach Anny Askew.

Zdenerwowanym głosem odparła królowa:

- Z tego, co mówiłeś memu stryjowi, Matthew, zrozumiałam, że sir Anthony Knevet był

niezadowolony, że tę biedną kobietę wbrew prawu poddano torturom, i zapowiedział, że doniesie o tym królowi, czyż nie?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

Wzięła głęboki oddech.

- Pamiętam, jak pewnego wieczoru trzy tygodnie temu jadłam z królem kolację. Przerwano nam, ponieważ sir Anthony pragnął pilnie się z nim widzieć, w poufnej sprawie. Król wpadł w gniew, Powiedział, że chce spokojnie zjeść, lecz posłaniec nalegał, mówiąc, że to ważne. Kiedy wprowadzono sir Anthony'ego... król tamtej nocy nie mógł chodzić o własnych siłach... wyszłam z jadalni. - Kolejny raz wciągnęła powietrze, by się uspokoić. — Przez jakiś czas przebywali sarni, a kiedy sir Anthony wreszcie wyszedł, król wezwał mnie z powrotem. Nie powiedział nic na temat tamtej rozmowy, jednakże wydawał się, poruszony i przygnębiony.

Lord Parr zauważył:

- Daty się zgadzają. I w jakiej innej sprawie mógłby przyjść do króla Knevet?

Królowa ciągnęła:

- Powiem wam jedno. Gdyby król ze swym poczuciem honoru dowiedział się, że Rich i Wriothlesley torturowali Annę Askew... z własnej inicjatywy albo na polecenie kogoś wyżej postawionego, Gardinera albo Norfolka... że tak okrutnie i bezprawnie potraktowali kobietę, wpadłby we wściekłość. I ci ludzie zapłaciliby za to. A niedługo potem Jego Królewska Mość wpadł na pomysł, by Wriothlesley wystąpił przeciwko mnie z fałszywymi zarzutami, ponieważ chciał go upokorzyć.

Wyprostowała się, jakby przypomniawszy sobie strach, który wtedy czuła. Od dawna wiedziałem, że patrzy na Henryka pobłaźliwie, jak zakochana kobieta, podczas gdy ja miałem go za okrutnego potwora. Niemniej było powszechnie wiadomo, że król nad wyraz ceni tradycyjne, rycerskie wartości, a ktoś taki mógł być wstrząśnięty, usłyszawszy o torturowaniu szlachetnie urodzonej damy, i jednocześnie nie widzieć nic złego w spaleniu jej żywcem na stosie.

- To wyjaśniałoby, dlaczego nie przedsięwzięto wobec Myldmore'a żadnych kroków — odparłem w zamyśleniu. — I przypominam sobie, że Rich miał podczas egzekucji zafrasowaną nieobecna minę. - Uśmiechnąłem się ironicznie. — Być może odczuł gniew króla, tak samo jak Wriothlesley.

Lord Parr pokiwał głową, zgadzając się ze mną.

- Rzeczywiście, mój bratanek mówi, że od tamtego czasu Rich i Wriothlesley podczas zebrań rady byli raczej milczący. Choć, jak mówię, ostatnio zdają się w lepszych humorach.

Cecil zapytał:

- Lecz czy któryś z nich śmiałby zlecić zamordowanie drukarza i kradzież ksiąg?

- Być może — odrzekłem spokojnie. — Jeśli miał szpiega wśród anabaptystów i wiedział o istnieniu tych dzieł... Zdobycie *Lamentacji* i przekazanie ich królowi znacznie wzmocniłoby jego pozycję.

Wszyscy zastanawialiśmy się nad tą możliwością. Nagle podskoczyliśmy, gdyż ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi. Spojrzeliśmy po sobie nerwowo - może nie było rozsądne, by widziano nas razem z królową. Lord Parr podszedł do drzwi i je otworzył. Za nimi stał jeden ze strażników Jej Królewskiej Mości. Skłonił się nisko władczyni i powiedział:

- Przyszedł pan sekretarz Paget. Chciałby porozmawiać z Jej Królewską Mością i tobą, Wasza Lordowska Mość.

- Dobrze — odparł lord Parr. — Wprowadź go za chwilę.

Kiedy ten zamknął za sobą drzwi, Cranmer odezwał się cicho:

- Może byłoby przezorniej, gdybym wyszedł. Przez królewską galerię.

- Słusznie, Wasza Ekscelencjo.

Arcybiskup otworzył drzwi i szybko opuścił gabinet. Lecz zaraz potem dobiegł z korytarza niski głos:

- Czyżbyś, Wasza Ekscelencjo, był w odwiedzinach Jej Królewskiej Mości?

- W rzeczy samej, panie sekretarzu.

- Może zostaniesz jeszcze chwilę. Przyszedłem pomówić o przygotowaniach do wizyty francuskiego ambasadora.

Cranmer, marszcząc nieznacznie czoło, wrócił do gabinetu. Za nim wkroczył lord Paget, sam. Skłonił się królowej i potoczył po nas wyniosłym wzrokiem człowieka sprawującego w swym otoczeniu władzę. Przypomniałem sobie jego kanciastą, zaciętą twarz z egzekucji, wąskie usta z opuszczonym kącikiem między długimi wąsami a rozwidloną ciemną brodą, zadziwiająco kędzierzawą i rozwichrzoną. Tego dnia miał na sobie szarą szatę i beret, strój całkiem skromny, jeśli nie liczyć grubego złotego łańcucha, oznaki sprawowanego urzędu. Trzymał pod pachą plik dokumentów.

- Spotkanie z członkami Uczzonej Rady Jej Królewskiej Mości, nieprawdaż, Wasza Lordowska Mość? - zapytał lorda Parra pogodnie, - Jak zarządzano by naszymi ziemiami bez pomocy prawników, maczających pióra w atramencie, he? Ja także niegdyś parałem się prawem. Mam nadzieję, że nie męczysz za bardzo Jej Królewskiej

Mości? - dodał uszczypliwie, patrząc na lorda Parra twardym wzrokiem, bez zmrużenia oka.

Zerknąłem na królową, której udało się natychmiast opanować wyraz twarzy. Emanowała teraz spokojnym dostojeństwem, miała uniesioną brodę i wyprostowane ramiona, a także nieco sztywną postawę.

- Doradcy potrafią w prosty sposób przedstawić kwestie zbyt skomplikowane na mój słaby kobiecy umysł — odparła wesoło.

Paget ponownie wykonał ukłon.

- Obawiam się, że i ja muszę nadużyć twej powszechnie znanej cierpliwości, Wasza Królewska Mość, jednak w przyjemniejszej sprawie, jestem tego pewny. Król wydał rozkazy dotyczące nowych strojów dla dam dworu, które będą ci towarzyszyć podczas uroczystości na cześć francuskiego admirała. Życzy sobie bowiem, byś wystąpiła ze wszystkimi honorami.

- Jego Królewska Mość jest jak zwykle bardzo łaskawy.

- Wiem, że do obchodów pozostał jeszcze miesiąc, lecz jest wiele do omówienia. Możemy porozmawiać o przygotowaniach? A później, Wasza Ekscelencjo, chciałbym uzgodnić z tobą twoją rolę, również niezmiernie ważną.

Lord Parr za plecami Pageta spojrział na mnie i Cecila, po czym krótko wskazał głową drzwi. Na szczęście, byliśmy zbyt nisko urodzeni, by nas przedstawiać panu sekretarzowi. Skłoniliśmy się królowej i wyszliśmy po cichu. Paget mówił właśnie:

- Zamówiono najlepsze tkaniny, jakie tylko mają w zamku Baynards...

Nic nie mówiąc, ruszyliśmy korytarzem, aż doszliśmy do okna z widokiem na dziedziniec, na którym pierwszego dnia ujrzałem króla. Tego popołudnia był pusty z wyjątkiem dwóch młodych dworzan, którzy stali beczynnie, oparci o mur. Cienie już się wydłużały.

Odezwałem się cicho:

- Sekretarz Paget. Widziałem go podczas egzekucji.

- Tak

- Jest tradycjonalistą, nieprawdaż?

- Dostał się na dwór jako protegowany biskupa Gardinera, lecz nie jest już z nim związany.

- Nie?

- Teraz jest człowiekiem króla i nikogo innego. Ten, w miarę jak słabnie, powierza mu coraz więcej spraw, lecz on nigdy nie przekracza swych kompetencji.

- Rzeczywiście, słyszałem, że wyciągnął nauczkę z tego, co spotkało Wolseya i Cromwella, Cecil potwierdził skinieniem głowy.

- Niezależnie od tego, skąd wieje wiatr, Paget wykonuje tylko polecenia króla. Jeśli ma jakieś własne poglądy, dobrze się z nimi kryje.

- Raczej się nagnie, niż da złamać.

- W istocie.

- Lecz... czy to pewne? A jeśli Paget jest pod względem wiary tradycjonalistą i trzyma z Richem oraz Wriothesleyem? Wygląda na to, że ci dwaj torturowali Annę Askew z własnej inicjatywy, może więc Paget także prowadzi własną politykę. Zwłaszcza że król tak niedomaga. I czy to nie sekretarz królewski nadzoruje siatkę szpiegów i agentów?

- Oficjalnych, owszem, tak — odparł powoli Cecil. — Lecz jak powiedział wcześniej lord Parr, wszyscy wpływowi ludzie mają swoich donosicieli. A co do zdrowia króla, jego ciało słabnie, jednak z tego, co słyszę, umysł ma sprawny jak dawniej.

Popatrzyłem na młodego Cecila - bystry, zawsze spokojny i opanowany, chyba tylko trochę pozbawiony skrupułów. Niemniej jednak bez wahania złączył swój los z królową. Westchnął teraz z niepokojem i uświadomiłem sobie, że i jemu ta sprawa ciąży. Byłem ciekaw, czy czasami, czując dym, się nie boi.

- I co teraz? — zapytałem delikatnie.

- Na razie wszystko w rękach lorda Parra i moich, jak mniemam. Musimy obserwować port, odnaleźć człowieka z uciętym uchem i dowiedzieć się, kim jest tajemniczy Bertano.

Niespodziewanie dotknął mego ramienia.

- Jesteśmy ci wdzięczni, komisarzu Shardlake, ta rozmowa wiele rozjaśniła... - Urwał. - Och, zobacz. Tam.

Spojrzałem przez okno na dziedziniec. Wkroczyli na niego dwaj mężczyźni i szli, rozmawiając z sobą przyjaźnie. Dworzanie stanęli prosto i skłonili im się nisko. Jednym z dostojników był brat królowej, William Parr, hrabia Essex, wysoki i szczupły, z pociągłą twarzą i przyciętą kasztanowatą brodą. O drugim niedawno rozmawiały dworki Jej Królewskiej Mości, mówiąc, że wraca do Anglii. Był to człowiek, którego niegdyś kochała królowa, a ja nienawidziłem, sir Thomas Seymour. Ubrany w krótką, zieloną pelerynę, białe jedwabne rajtuzy, ukazujące kształtne nogi, w szerokim płaskim berecie na miedzianych włosach, ozdobionym piórem łabędzia, gładził się po ciemnej brodzie, długiej jak u Pageta, lecz starannie utrefionej,

- Przymierze Parrów z Seymourami dochodzi do skutku - szepnął Cecil z żywym zainteresowaniem rasowego polityka. - Dwa główne rody reformatorskie wychodzą sobie naprzeciw.

- Czy sir Thomas nie jest zbyt krnąbrny, by robić karierę?

- O, tak. Lecz jego brat, lord Hertford, przebywa jeszcze za granicą, więc to on powiewa flagą. Jednakże lord Hertford niebawem wróci. Mam koneksje na jego dworze. - Szybko spojrzał na mnie z dumnym uśmieszkiem. Skłonił mi się. — Pożegnaj cię już, panie. Zostaniesz wezwany, kiedy pojawią się nowe wieści. Jeszcze raz ci dziękuję,

Patrzyłem za nim, jak szybkim pewnym krokiem oddalał się w głąb korytarza. Ten jego uśmieszek uświadomił mi, że Cecil także pewnego dnia stanie się politykiem. Już postawił stopę na pierwszym szczeblu drabiny. Zacząłem też myśleć o przymierzu między Parrami a Seymourami. W tej chwili zjednoczyli się przeciwko religijnym konserwatystom. Lecz po śmierci króla oba rody rościłyby sobie prawo do rządzenia królestwem w imieniu młodego Edwarda - Parrowie jako krewni jego macochy, Seymourowie zaś jako rodzina jego matki. Jak długo wtedy przetrwałby ten sojusz?

Rozdział dwudziesty siódmy

Wracając korytarzem ku bogato zdobionym komnatom oficjalnym, posłyszałem jakiś dziwny odgłos. Zza ściany dochodził dźwięk przypominający brzęk łańcuchów. Rozejrzałem się i zobaczyłem drzwi, których poprzednio nie zauważyłem. W przeciwieństwie do innych nie miały okazałej framugi, lecz były osadzone bezpośrednio w ścianie, stanowiąc element boazerii w deseń przypominający zwoje materiału. Tkwił w nich mały zamek, jednakże nie było klamki. Wiedziony ciekawością, pchnąłem je ostrożnie i - ku memu zdziwieniu - uchyliły się łatwo na naoliwionych zawiasach.

Za nimi znajdował się szeroki kwadratowy pozbawiony okien podest, oświetlony tkwiącymi na ścianach pochodniami. Otaczał on wąskie schody prowadzące na parter. Ze zdziwieniem zobaczyłem na niej w rogu czterech mężczyzn w czarnych mundurach królewskiej straży przybocznej z wysiłkiem obracających korby dużego kołowrotu, ciągnąc coś w górę. Na dole rozległ się chrapliwy okrzyk:

- Uważajcie, głupcy, tylko mnie nie puście!

Potem, gdy żołnierze zaczęli energiczniej kręcić korbami, ukazała się potężna postać, siedząca na solidnym fotelu na kółkach, przypięta do niego skórzanym pasem; który przecinał wydatny brzuch. Zauważyłem niemal łysą głowę, czerwoną okrągłą twarz i fałdy porośniętej rzadkim włosom brody, piętrzące się nad kołnierzem dubletu. Wydatne policzki króla były skrzywione z bólu.

Zauważył mnie stojący z boku żołnierz, który szybko ruszył w moją stronę; był to rostry brodaty mężczyzna. Przyłożył mi dłoń do ust i wypchnął z powrotem za drzwi na korytarz. Zamknął je cicho, po czym chwycił mnie za poły togi.

- Kim jesteś? - wycedził z tłumioną furią. - Jak się tu dostałeś?

- Ja... usłyszałem zza drzwi dziwny dźwięk. Pchnąłem je i łatwo się otworzyły więc...

- Na Boga, powinny być zamknięte od środka... Już Hardy mi za to odpowie... - Wyraz jego twarzy nagle się zmienił, zamiast gniewu pojawiła się na niej pogarda. - Kim ty jesteś, garbusie? - Obrzucił spojrzeniem moją togę. - Widzę, że nosisz odznakę królowej.

- Jestem nowo mianowanym członkiem Uczonej Rady Jej Królewskiej Mości...

Puścił mnie.

- Więc zapamiętaj sobie, że w Whitehall wchodzisz tylko tam, dokąd cię wpuszczą.

Podkreślił ostatnie słowa, dźgając mnie palcem w pierś, po czym nerwowo obejrzał się przez ramię. Ciężki brzęk, który doszedł zza drzwi, świadczył o tym, że fotel został wciągnięty na górę. Żołnierz powiedział szybko:

- A teraz idź i dziękuj niebiosom, że cię nie widział. Myślisz, że Jego Królewska Mość lubi, kiedy się na niego patrzy, wciąganego w ten sposób na piętro? Już cię tu nie ma! - Odwrócił się i zniknął za drzwiami w ścianie. Oddaliłem się najszybciej, jak mogłem. Wiedziałem, że król ledwie chodzi o własnych siłach, lecz nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak dostaje się do swych komnat na piętrze. Już sama niemożność poruszania się o własnych siłach musiała być dla tego niegdyś bardzo sprawnego mężczyzny upokarzająca, a co dopiero świadomość, że ktoś go w takim stanie widzi. Aż wzdrygnąłem się na myśl, że ledwie mi się upiekło. Gdyby na chwilę uniósł głowę i mnie rozpoznał...

*

Z Common Stairs popłynąłem łodzią do Temple i wróciłem do Lincoln's Inn pieszo. Podczas rejsu zdjąłem togę z odznaką królowej, lecz słońce świeciło jeszcze tak mocno, że idąc, oblałem się potem. Był odpływ i ulice nad rzeką przenikał straszliwy smród nabrzeżnych błot z fetorem kanałów ściekowych.

W kancelarii urzędował tylko Skelly. Zapytałem, gdzie są Nicholas i Barak.

- Pana Nicholasa nie było przez cały dzień. Jack wyszedł na lunch i już nie wrócił. Nie powiedział, dokąd idzie - dodał z przyganą, — Zgłosił się ten świadek w sprawie Penna, by złożyć zeznanie pod przysięgą, więc powiedziałem mu, panie, że zostałeś pilnie wezwany gdzie indziej. Gdyż nie wiedziałem, gdzie jesteś - dodał znacząco.

- Przepraszam — odparłem poirytowany, że o tym zapomniałem; tak dłużej być nie mogło.
- I dostarczono ci te pisma. — Wręczył mi listy.
- Dziękuję.

Zaniósłem je do swego gabinetu. Przeważnie dotyczyły one rutynowych spraw, lecz jeden z nich pochodził od skarbnika Rowlanda i stanowił powiadomienie, że moja była klientka, Isabel Slanning, wniosła przeciwko mnie skargę. Skarbnik życzył sobie, bym stawił się u niego w poniedziałek. Westchnąłem. Cóż, spodziewałem się tego. Nie było to nic poważnego, lecz wiedziałem, że Rowland z przyjemnością się nade mną popastwi.

Niepokoiliśmy się o Nicholasa i Baraka. Barak powiedział, że podczas lunchu odwiedzi chłopaka, jeśli ten nie zjawi się w kancelarii. A jeśli zastał go w złym stanie, w ranę wdało się zakażenie, i poszedł z nim do Guya? Znałem jednak Baraka - gdyby zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć, przesałby mi wiadomość. Skupiłem się więc na pracy i piętrzących się przede mną dokumentach. Przez okno wpadało słońce i w izbie panowała duchota, przymknąłem więc okiennice.

Z pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi. Miałem nadzieję, że wrócił Barak, ale w progu stanął Skelly.

- Przyszedł pan Dyrick... w sprawie pani Slanning,
- Wprowadź go. - Marszcząc czoło, odłożyłem pióro. Zapewne chciał odebrać dokumenty. Leżały na stole obok mego biurka. Spodziewałem się jednak, że przyśle po nie swego urzędnika. Przed rokiem ściałem się z Vincentem Dyrickiem i wiedziałem o nim coś, co stanowiło gwarancję, że nie będzie chciał zbyt mi się narażać. Niemniej należał do ludzi, którzy uwielbiają walczyć. Mogłem sobie wyobrazić, że Isabel będzie szukała, za pośrednictwem swego radcy, najbardziej bojowego adwokata w londyńskiej palestrze. Takiego, który chętnie podejmuje się beznadziejnych spraw trudnych klientów, dopóki tylko dobrze mu płacą. Dyrick doskonale odpowiadał tej charakterystyce. Wiedziałem z doświadczenia, że będzie bezwzględnie starał się uzyskać coś w tej sprawie, być może nawet zdoła przekonać samego siebie, że jest słuszna.

Dyrick wszedł do gabinetu różnym pewnym krokiem, jak zwykle patrząc bystro swymi zielonymi oczami, osadzonymi w pociągłej urodziwej twarzy z kosmykami rudych włosów wystającymi spod peruki. Skłoniwszy się krótko, uśmiechnął się do mnie sardonicznie

- Dobrego popołudnia, kolego Shardlake.
- I tobie, kolego Dyrick- Zechcesz usiąść?

Zrobił co i złożył dłonie na kolanach.

Ciągnąłem uprzejmie, lecz bez uśmiechu:

- A zatem przejąłeś sprawę pani Slanning? Dokumenty są już przygotowane,
- To dobrze. Ciekawa sprawa.
- Raczej beznadziejna. Ale zyskowna.
- W istocie. — Uśmiechnął się znowu. — Kolego Shardlake, wiem, że obaj mamy powody by nie wchodzić sobie w drogę, lecz... cóż.., może się zdarzyć, że staniemy naprzeciwko siebie w jakiejś sprawie.

— Ja z tą już skończyłem. Czy to ty przekazałeś skargę pani Slanning władzom stowarzyszenia? — zapytałem nagle. — Jest niedorzeczna.

Odpowiedział na moje spojrzenie.

— Nie ja, skoro pytasz. Powiedziałem klientce, że powinna skupić się na samej sprawie. Ale nalegała.

— Cała pani Slanning. - Sądziłem, że nie kłamał. Złożenie skargi niczemu nie służyło i choć Dyrick chętnie przysporzyłby mi kłopotów, na pewno wolał nie przeciągać struny.

— Jest z twych usług niezadowolona — powiedział tonem udawanej przygany.

— Jestem tego świadom. — Pchnąłem w jego stronę papiery. — Oto dokumenty. Życzę ci przy nich

dobrej zabawy.

Położył je sobie na kolanach.

— Tłusty kąsek — zauważył z uznaniem. Potem przywołał na twarz wyraz dezaprobaty, - Pani Slanning twierdzi że spiskowałeś przeciwko niej z adwokatem jej brata, panem Coleswynem. Gościłeś u niego w domu. Co więcej, mówi, że podsunąłeś jej nieżyczliwego rzeczoznawcę, który miał wydać opinię na temat spornego malowidła. Uważa, że ten człowiek, niejaki Adam, był w zмовie z tobą i Coleswynem. Byłoby mi łatwiej ją reprezentować, gdybyś odniósł się do tych zarzutów.

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy nie odpowiedzieć dosadnie, tak jak uczyniłby to Barak, lecz odparłem chłodno:

- Jak się przekonasz, sama wybrała rzeczoznawcę, z listy, którą jej przedstawiłem, nie pytając mnie o radę.

Skłonił głowę.

- Pani Slanning twierdzi również, że podobnie jak Coleswyn i jej brat zaliczasz się do skrajnych radykałów. Obawiam się, że wbrew moich radom podniesie tę kwestię na rozprawie sądowej we wrześniu. Uznałem, że powinienem cię ostrzec. — Utkwił we mnie spojrzenie swych zielonych oczu.

Odpowiedziałem z groźną nutą w głosie:

- Jak dobrze wiesz, nie jestem żadnym skrajnym radykałem.

Wzruszył ramionami.

- Mnie to nie interesuje, lecz taki zarzut, postawiony publicznie, nie wróży w obecnych czasach niczego dobrego. Chcę cię także uprzedzić, że pani Slanning uwzględniła to w skardze, którą przeciwko tobie wniosła.

- Masz rację. W obecnych czasach lepiej nie szafować oskarżeniami o radykalizm religijny. Dotyczy to wszystkich - powiedziałem ostrzegawczym tonem. Dyrick zawsze przejawiał beztroskę i brak rozsądku, a także lubił zamęt.

Przechylił głowę.

- Myślałem, że polowanie na heretyków już się skończyło.

- Kto to może wiedzieć.

- Cóż, może jesteś lepiej poinformowany niż ja. Pamiętam, że masz w sądzie znajomości.

- Kolego Dyrick - zacząłem. - Musisz zdawać sobie sprawę, że ta sprawa jest absurdalna, rzeczoznawcy wydali jednoznaczna i stanowczą opinię, A mój adwersarz, pan Coleswyn, na wypadek gdybyś chciał Zasięgnąć o nim opinii, to bystry i rozsądny człowiek. Według mnie zarówno Isabel Slanning, jak i Edward Cotterstoke nic kierują się niczym innym, jak tylko chęcią odwetu wobec siebie nawzajem. Dla wszystkich byłoby najlepiej, gdyby ta sprawa została jak najszybciej zamknięta.

Uniósł brew.

- Chyba wiesz równie dobrze jak ja, kolego Shardlake, że pani Slanning nie pójdzie na ugoda. Nigdy. — Miał słuszość. Stała mi przed oczami twarz Isabel: pobrużdżona, zgorzkniała, nieustępliwa.

Dyrick wstał, wtykając dokumenty pod ramię. Poklepał je z zadowoleniem.

- Jak powiedziałem, to tłusty kąsek. Przyszedłem ci powiedzieć, że będę walczył w tej sprawie ostro, nie zamierzam jednak zachęcać pani Slanning, by miotała wszem wobec oskarżenia o herezję. Wiem dobrze, jakie to niebezpieczne. Co zaś do skargi, będziesz musiał sobie jakoś z nią poradzić.

Skinąłem głową. Byłem rad, że wykazał przynajmniej trochę zdrowego rozsądku.

- Już się nie mogę doczekać, kiedy skrzyżuję miecze z kolega Coleswynem. - Skłonił się i wyszedł z gabinetu.

*

Siedziałem dłuższą chwilę przy biurku, bardziej poirytowany niż zły, że Vincent Dyrick znowu zagościł w moim życiu. Zarzut zмовy dysydentów w sprawie Slanning był wręcz śmieszny. Jednakże mógł przysporzyć Philipowi Coleswynowi kłopotów - może nawet poważnych — gdyby Isabel nie

zrezygnowała z podobnych oskarżeń. Musiałem go ostrzec.

Wreszcie z westchnieniem wróciłem do pracy. Było już nieco chłodniej, słońce miało się ku zachodowi, a na zewnątrz w Gatehouse Court panowała cisza. Przed szóstą znowu usłyszałem pukanie do drzwi i pomyślałem z nadzieją, że przyszedł Barak albo Nicholas, lecz był to tylko Skelly, który zajrzał, by życzyć mi dobrej nocy i przekazać list,

- Właśnie został doręczony, panie. Ktoś wsunął go pod drzwi.

List zaadresowano do mnie niezgrabnymi dużymi literami i zabezpieczono bezkształtną plamą wosku.

Skelly wyszedł. Złamałem pieczęć i rozłożyłem list. Nie nosił podpisu i był nabazgrany takimi dużymi literami, jak adres:

PANIE SHARDLAKE!

MAMY CHŁOPAKA, NICHOLASA OVERTONA. JEŚLI CHCESZ GO JESZCZE ZOBACZYĆ, PRZYJDŹ SAM DO DOMU Z ZIELONYMI OKIENNICAMI PRZY NEEDLEPIN LANE, DRUGI GANEK ZA SZYLDDEM Z FLAGĄ, DZIŚ WIECZOREM O DZIEWIĄTEJ. NIE MÓW NIKOMU W PAŁACU, MAMY TAM SWOICH LUDZI. JEŻELI SIĘ NIE STAWISZ, PRZYŚLEMY CI JEGO GŁOWĘ.

Rozdział dwudziesty ósmy

Pół szedłem, pół biegłem do domu Baraka, wzbudzając wyraźne zaciekawienie przechodniów. Łękałem się, że Jack znalazł podobny list w kwaterze Nicholasa i samodzielnie wyruszył chłopakowi na ratunek. Mówiłem sobie, że nie ma w zwyczaju działać pod wpływem impulsu, a już z całą pewnością nie teraz. Jednak naprawdę bałem się o nich obu i wyrzucałem sobie, że angażując się w sprawę *Lamentacji*, naraziłem wszystkich wokół siebie na niebezpieczeństwo.

Przybyłem na miejsce bez tchu, spocony i zdyszany. Zapukałem do drzwi. Zdałem sobie sprawę, że w ostatnich miesiącach straciłem formę, przesiadując niemal całymi dniami w kancelarii i jedząc w domu smakowite specjały Agnes Brocket.

Na progu stanęła Jane Marris. Dygnęła i przyjrzała mi się uważnie.

- Czyżbyś biegł, jaśnie panie?

- Trochę biegłem, trochę szedłem. Z kancelarii.

Niespodziewanie się uśmiechnęła,

- Nie ma powodu do niepokoju. Pani napędziła nam strachu, lecz okazało się, że to nic takiego. Jest u niej doktor Malton.

Ściągnąłem brwi, gdyż nie bardzo wiedziałem, o czym mówi, lecz łapiąc oddech, ruszyłem za nią wąskim korytarzem. Tamasin leżała wsparta na poduszkach w saloniku, wyglądała blado. Ku mej niesłuchanej uldze, ujrzałem obok niej Baraka. Siedział na krześle, trzy-mając ją za rękę nieobandażowaną dłonią, podczas gdy Guy, w swym długim lekarskim kitlu, pochylał się nad stołem, szpatułką mieszając zioła w misce. Z góry dochodził płacz małego George'a.

- Jane - odezwała się Tamasin. - Pójdiesz do niego? Mały wyczuwa, że coś jest nie tak.

- Co się stało? - zapytałem, kiedy Janc wyszła z pokoju.

Barak uniósł głowę. Tego ciepłego letniego wieczoru miał na sobie tylko koszulę i znowu dostrzegłem na jego szyi starą mezuzę po ojcu.

- Tamasin miała rano dziwne bóle. Czowała się coraz gorzej i zaczęła się obawiać, że z dzieckiem dzieje się coś złego. Przyszedłem na lunch i kiedy zobaczyłem ją w takim stanie, posłałem po Guya.

Guy odezwał się uspokajająco:

- Wszystko dobrze, to były tylko wiatry, - Zauważyłem, że kiedy zwracał się do mnie, w jego głosie brzmiała rezerwa. Tamasin, zawstydzona, odwróciła wzrok.

- Przestraszyła mnie — rzucił do mnie Barak. Tamasin podniosła rękę i pogłaskała go po starannie uczesanej brodzie. On spojrział na mnie.

- Przepraszam, że nie wróciłem do pracy. Skąd wiedziałeś, panie, gdzie mnie szukać?

- Nie wiedziałem... nie miałem pewności. Musiałem jednak pilnie z tobą o czymś porozmawiać, więc przyszedłem.

- Przykro mi, że sprawiłam kłopot - odezwała się cicho Tamasin.

- Kłopoty to nasza specjalność - odparł, uśmiechając się łobuzersko.

- Ale ja ich nie chcę — powiedziała już pewniej.

Guy wstał.

- Dolej do tych ziół trochę piwa i wypij je przy posiłku - poinstruował Tamasin. - Ta mikstura pomaga na... twą dolegliwość. - Uśmiechnął się. - Nie ma się czym martwić.

Tamasin ujęła jego dłoń.

- Okazujesz nam tyle dobroci - powiedziała. - Niepotrzebnie cię fatygujemy, chyba zbyt się niepokoiimy, ale...

- Wiem — odparł Guy.

Miała na myśli swoje pierwsze niedonoszone dziecko.

- Odprowadzę cię do wyjścia - zwrócił się do Guya Barak.

- Dziękuję. — Guy skłonił mi się ceremonialnie, co uraziło mnie bardziej, niż gdyby dał wyraz swej dezaprobacie, i ruszył z Barakiem do drzwi. Zostałem sam z Tamasin, która opadła na poduszki.

- Naprawdę się przestraszyłam — odezwała się do mnie cicho.

- Rozumiem, W twoim stanic każda... dolegliwość... musi budzić lęk o dziecko.

- Właśnie. - Była zasmucona. - Mam nadzieję, że tym razem urodzi nam się córka. Dziewczynka, którą będzie można ubierać w suknie i robić dla niej gałgankowe lalki.

- Może tak się stanie.

Na tę myśl uśmiechnęła się przelotnie i rzekła:

- Guy obejrzał dłoń Jacka. Szybko się goi. Ale taka nieuwaga... to do niego niepodobne. Paskudna rana jak na zwykły nóż do papieru. - Zmrużyła lekko oczy i musiałem nad sobą zapanować, by nie poruszyć się niespokojnie. Wiedziałem dobrze, jaka jest domyślna.

- Cieszę się, że dłoń szybko się goi - odparłem wymijająco. Wrócił Barak. Spojrzawszy na mnie, domyślił się, że mam mu do powiedzenia coś ważnego.

- Pójdziemy porozmawiać do sypialni, Tam my — powiedział. -Nie chciałybyś słuchać o nudnych prawniczych sprawach.

- Nie przeszkadza mi to.

- Kobieto, posłuchaj rady medyka i odpocznij — odrzekł z udawaną srogością.

Zaprowadził mnie wąskimi schodami na górę, do ich wspólnej sypialni, tam usiadł na łóżku i ściszył głos, albowiem Jane Marris wciąż była przy George u w sąsiednim pokoju. Spytał spokojnie:

- Co się stało?

- Czy byłeś dziś u Nicholasa?

- Tak. Obiecałem, że do niego zajrzę. Żacy, z którymi dzieli tę norę, powiedzieli, że wyszedł wczoraj wieczorem i nie wrócił. Sądzi, że znalazł sobie dziwkę i został u niej na noc.

- Otóż nie. Przeczytaj to. - Podałem mu list. — Został wsunięty pod drzwi kancelarii niespełna godzinę temu.

Przeczytawszy wiadomość, Barak na chwilę zamknął oczy, a potem spojrzał na mnie z furją.

- Dobrze - odezwał się wciąż spokojnym głosem. - A teraz powiedz, o co tu chodzi, na rany Chrystusa.

- Nie mogę wyjawić ci wszystkiego. Przysięgłem, że dochowam tajemnicy...

- Do diabła! - Gniewnie podniósł głos. - Dzieje się coś poważnego, nieprawdaż? Posłużyłeś się mną i Nicholasem, by posunąć sprawę naprzód. Ten skradziony klejnot królowej w zamku Baynards, zamordowany drukarz, którego rodzice rzekomo cię wynajęli, ci ludzie, którzy zaatakowali nas w gospodzie, przerażony młodzieniec, którego przesłuchiwałeś wczoraj w kancelarii. To wszystko jest z sobą powiązane, czyż nie? Wysłałeś mnie z listem do pałacu, po czym przyszedł cały oddział i zabrał nieszczęsnika. Chłopak był przerażony. A młody prawnik, który zjawił się z nimi, ten dziobaty, on też pracuje dla królowej, mam rację?

- Tak.

- Domyśliłem się po jego zachowaniu, kroju togi, że służy w pałacu... wystarczająco długo pracowałem z takimi jak on. A ciebie znam od sześciu lat i wiem, jaki stajesz się drażliwy i nerwowy, kiedy dzieje się coś niebezpiecznego! — Wymierzył we mnie palec. — Królowa znowu cię w coś wciągnęła, czyż nie? Ktoś z tego powodu pojmał Nicka i chcesz, bym pomógł ci go odbić! Dobrze, ale najpierw musisz mi wszystko powiedzieć! Wszyściuteńko!

Podniosłem rękę.

- Przycisz głos, bo inaczej usłyszą cię kobiety. - Zawahałem się. Gdybym wyznał mu prawdę, złamałbym obietnicę i wyjawiałbym niebezpieczne sekrety, lecz jeśli miałem zrobić coś dla Nicholasa, potrzebowałem pomocy. Opowiedziałem mu więc całą historię: o wezwaniu do królowej, zaginięciu *Lamentacji*, śmierci dwóch ludzi i zniknięciu pozostałych, wyznaniu Myldmore'a, zapiskach Anny

Askew. Mówiłem cicho, Barak zaś od czasu do czasu zadawał pytania równie cichym głosem.

Gdy skończyłem, siedział w zamyśleniu, gładząc się po brodzie, wciąż zagniewany.

- Czy nie możesz zwrócić się o pomoc do ludzi królowej?
- Tamci napisali, że mają w pałacu szpiegów.
- A jeśli to tylko blef?
- Nie stawiałbym na to.
- Nie mógłbyś wysłać prywatnego liściku do samej królowej... ty, który uczyniłbyś dla niej

wszystko? - W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

Pokręciłem głową.

- Nie ma na to czasu. Dziewiąta dziś wieczorem, pamiętasz? Jest już dobrze po szóstej.
- Jeśli rzeczywiście mają szpiegów w Whitehall, tak jak piszą, nie wypuszczą cię żywego z tego domu. Nie mówiąc już o uwolnieniu Nicka.

Odezwałem się spokojnie:

- Chcę tylko, byś poszedł tam ze mną i ukrył się w pobliżu, podczas gdy ja wejdę do środka. Jesteś w tym dobry. - Głęboko zaczerpnąłem powietrza. - Jeśli nie wyjdę w ciągu dwudziestu minut, zawiadomisz tego prawnika, Williama Cecila. To ci niczym nie grozi.

Pokręcił głową, nagle zmęczony.

- Umarłbyś za królową, co?
- Tak — odparłem po prostu.

Zaczął krążyć po pokoju i po chwili powiedział:

- Do diaska. Pójdę z tobą. Choć sądzę, że Tamasin już coś podejrzewa z powodu mojej ręki.
- Dziękuję ci, Jack — odrzekłem pokornie. - Dziękuję. Jestem ci bardziej wdzięczny, niż potrafisz wyrazić.

- I powinieneś być, do licha. Czekał tu, a ja pójdę pożegnać się z żoną. Opowiem jej jakąś historyjkę o świadku, z którym musimy pilnie się zobaczyć. Nie chcę, by ponownie zobaczyła tę twoją krzywą minę, więc zawołałam cię za chwilę.

- Mamy dwie godziny — odparłem.
- To wystarczy, by znaleźć jakąś karcznię, zastanowić się i przygotować plan.

*

Ruszyliśmy do miasta, po czym skierowaliśmy się ku rzece. Barak wdział na koszulę stary skórzany bezrękawnik i przyniósł podobny dla mnie. Włożyłem go na dublet, kiedy tylko opuściliśmy dom, bym ja także nie wyróżniał się w biedniejszych dzielnicach, do których zmierzaliśmy.

- Czy masz, panie, złoto w sakiewce?
- Tak. I trochę srebra.
- Złoto lepsze.

Idąc St. Peters Street i wkraczając na Thames Street, niewiele rozmawialiśmy. Po południowej stronie widziałem żurawie na nabrzeżach, a za nimi samą rzekę, aż białą od żagli. Na zachodzie słońce chyliło się ku horyzontowi. Barak nie zwalniał kroku. Spędził w tym mieście całe życie, znał każdą jego ulicę i alejkę. W końcu się zatrzymał. W miejscu, gdzie Thames Street przecinała schodzącą ku rzece uliczkę z wąskimi» rozwalającymi się domami, które czasami stały pod dziwnym kątem, zapadając się przez dziesięciolecia w błoto Tamizy, wznosiła się porządnie wyglądająca karczma. Nieco w głębi uliczki dostrzegłem szyld innej, nędzniejszej gospody, z czerwono-białym krzyżem świętego Jerzego. Była to flaga, o której wspomiano w liście.

- Needlepin Lane — powiedział Barak. - Głównie tanie domy na wynajem. Chodźmy do karczmy. Usiądziemy przy oknie.

W środku było tłoczno, przeważnie siedzieli tam sklepikarze i robotnicy, którzy wstąpili, by się napić na koniec dnia. Gdy Barak wziął dwa kufle piwa, zajęliśmy miejsca z widokiem na uliczkę, a ze względu

na gorący wieczór okiennice były szeroko otwarte i dochodził przez nie miejski fetor. Ledwie usiedliśmy Barak znowu wstał. Za oknem przechodził potężnie zbudowany mężczyzna w czerwonym mundurze londyńskiego konstabla, z pałką na ramieniu i latarnią w dłoni. Miał niebawem rozpocząć patrol po ulicach, pilnując prze-strzegania godziny policyjnej. Barak pochylił się ku mnie.

- Sakiewka, szybko!

Podaliśmy mu ją. Wybiegł na zewnątrz i zobaczyłem, że konferuje z konstablem głowa przy głowie. W pewnej chwili ten odwrócił się i spojrzał na mnie, po czym ruszył dalej Thames Street. Barak wrócił do karczmy.

- W porządku — powiedział, siadając na stołku. — Jest nasz.

- Nie widziałem, by pieniądze przeszły z ręki do ręki.

- Umie tak je brać, by nikt nie widział. A ja dawać. Powiedziałem mu, że zajmiesz się sprawą skradzionej biżuterii i mamy się spotkać w domu pod dziewiątką z kimś, kto twierdzi, że ma dla nas jakieś informacje. Poprosiłem go, by jeśli zawołam, wkroczył tam ze wszystkimi ludźmi, jakich uda mu się zebrać.

- Dobra robota. - Nie znałem nikogo lepszego od Baraka w takich sprawach, miał niezawodny instynkt.

- Zapytałem też, czy wie, kto w tym domu mieszka. Powiedział, że zachodzą tam ze dwaj ludzie, ale dom przeważnie stoi pusty. Jego udaniem jakiś dżentelmen może tam trzymać dziewczkę, choć on sam nigdy jej nie widział. Kosztowało cię to, panie, cztery szylingi, ale było warto. — Przerwał na chwilę. — Niewykluczone, że dom należy do jakiegoś dworzanina, który dyskretnie prowadzi tu interesy. Lord Cromwell miał takie miejsca. Sądzę też, że ludzie królowej trzymają w podobnym tego strażnika więziennego z Tower. - Zamilkł, gdy młody chłopak, obchodzący stoły z zapalonymi świecami na zatłuszczonych tacach, postawił na naszym jedną z nich. Na zewnątrz zapadał zmrok. Barak pociągnął łyk piwa, po czym znowu się podniósł, -Przejdę się uliczką. Zobaczę, czy w tym domu palą się światła.

Wyszedł i wrócił po kilku minutach.

— Okiennice są zielone, tak jak pisano w liście. Były zamknięte, ale na parterze dostrzegłem w szparach smugi światła. - Uniósł brwi i uśmiechnął się. - Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać, aż zegar wybijie godzinę policyjną. - Znowu łyknął piwa.

— Dziękuję ci — powiedziałem cicho. - Nie pomyślałbym o tym wszystkim.

Pokiwał głową.

— Byłem w swoim żywiole, kiedy przekupywałem konstabla i poszedłem na przespiesi, obejrzeć ten dom. Jeśli mam być szczerzy, podobała mi się nawet tamta bójka w gospodzie, mimo że zostałem zraniony. Ciągnie wilka do lasu. - Nagle zmarszczył brwi. - Lecz straciłem dawną szybkość i werwę. Mam dobrą żonę, porządną pracę, dziecko i drugie w drodze. - Na chwilę zapatrzył się w dal, po czym kontynuował: - Lord Cromwell wydobył mnie z rysztoła, kiedy byłem młody. Chętnie dla niego pracowałem, lubiłem tę potrzebę szybkiego myślenia i czasami szybkiego działania. Ale to robota dla młodych i takich, którzy nie mają zbyt wiele do stracenia.

Przyszedł mi na myśl fragment z Biblii i go zacytowałem:

— „Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce”.

— Na to, co dziecięce, nie ma już co liczyć. - Barak znowu podniósł do ust kufel z piwem i spojrzał na mnie twardym wzrokiem. - Dawne nawyki... wciąż lubię to uczucie, kiedy trzeba szybko działać, myśleć, rozglądać się. Uświadomiłem to sobie kolejny raz poprzedniego wieczoru. - Zamyślił się, potem znowu popatrzył mi w twarz i wyznał cicho: — Kilka miesięcy temu widziałem na ulicy swoją matkę.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Wiedziałem, że matka Baraka po śmierci jego ojca wkrótce ponownie wyszła za mąż, za człowieka, którego nie znosił, i w wieku dwunastu lat znalazł się sam na ulicy. Podjął:

- Była stara, zgarbiona, niosła pęk drewna do ognia. Nie wiem, co stało się z nim, może nie żyje.

- Rozmawiałaś z nią?

Pokręcił przecząco głową.

- Zmierzała w moją stronę, od razu ją rozpoznałem. Przystanąłem, niepewny, czy ją zatrzymać, czy nie. Zrobiło mi się jej żal. Ale przeszła obok, nie poznała mnie. Cóż. Może i dobrze, że tak się stało.

- Jak mogłeś się spodziewać, że cię pozna? Nie widzieliście się przeszło dwadzieścia lat.

- Dobra matka zawsze pozna swe dziecko — odparł nieustępliwie.

- Powiedziałaś o tym Tamasin?

Zaprzeczył.

- Chciałaby, bym wziął tę kobietę do siebie. A ja tego nie zrobię. — Zacisnął szczęki z uporem.

- Przykro mi.

- Co się stało, to się nie odstanie. — Zmienił temat. - Czy zdajesz sobie sprawę, panie, że Nicka, jeśli jeszcze żyje, może nawet w tym domu nie być. Tym ludziom zależy na tobie, chcą się zorientować, ile wiesz, i nie będą się z tobą cackali. Gdy już przestaniesz im być potrzebny...

Spojrzałem mu w oczy.

- Jestem tego świadom. Lecz jeśli zechcą uzyskać ode mnie pewne informacje, to potrwa. Dlatego masz obserwować dom. Jeśli nie wyjdę po dwudziestu minutach, zwołasz swego nowego przyjaciela, konstabla. Zamierzałem ci powiedzieć, byś poszedł do Whitehall, ale tak będzie lepiej i szybciej.

- Dobrze. - Utkwił we mnie spojrzenie swych twardych brązowych oczu i powiedział poważnie: — Musisz wreszcie skończyć z królową. Za każdym razem, gdy zbliżasz się do tej kloaki, jaką jest dwór królewski, narażasz się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- To ona jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Z tego, co słyszę, nie bez własnej winy.

Ściszyłem głos do szeptu.

- Król umiera.

- Krążą takie pogłoski.

- To coś więcej niż tylko pogłoski. Widziałem go... dwa razy. Jest w takim stanie, że... nie sędzę, by pozostało mu więcej niż kilka miesięcy życia.

- I co wtedy?

- Wtedy, jeśli przewagę zdobędą reformatorzy, królowa może zostać jednym z opiekunów księcia Edwarda, może nawet regentką, tak jak wówczas, gdy król dwa lata temu poprowadził wojska przeciwko Francji. Jeśli jednak dzieło, które napisała, wpadnie w niepowołane ręce, jej dni także mogą być policzone.

Barak pochylił głowę.

- Nawet jeśli ocali życie, a reformatorzy wygrają, władzę będą próbowali przejąć Seymourowie. Wszak są spokrewnieni z księciem Edwardem. Jeżeli tak się stanie, królowa być może zechce ponownie wyjść za mąż. — Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek. — Zawrze kolejne polityczne małżeństwo, zapewne z kimś wpływowym na dworze.

Uśmiechnąłem się cierpko.

- Jack, nigdy nie robiłem sobie żadnych nadziei, jeśli do tego zmierzasz. Katarzyna Parr była nie dla mnie, nawet zanim poślubiła króla. Zawsze miałem tego świadomość.

- Więc niech to będzie ostatni raz - odparł Barak z nagłą stanowczością.

*

Dzwon, który zabrzmiał o dziewiątej w pogłębiającym się zmroku, ogłosił godzinę policyjną i w karczmie opustoszało. Wyszliśmy na zewnątrz. Na rogu zobaczyłem konstabla z zapaloną lampą. Obok niego stał postawny młodszy mężczyzna.

- Właśnie miałem zacząć obchód, panowie - powiedział znacząco do Baraka, który skinął na to głową. Oddaliliśmy się od nich i ruszyliśmy w głąb Needlepin Lane, dochodząc do szyldu z flagą, skąd

także klienci rozchodzili się do domów. Była to młodsza gromada i pospolitsza, z kilkoma terminatorami. Barak wskazał ruchem głowy jedno wejście dalej.

- Tam poczekam - wyjaśnił. - By nie rzucać się w oczy.

Wzięłem głęboki oddech.

- Dwadzieścia minut.

- Będę odliczał. Powodzenia,

- Dziękuję.

Ruszyłem dalej na lekko drżących nogach. Minąłem dom, w którym przez otwarte okna widać było nędznie odzianą rodzinę jedzącą przy blasku taniej świecy późną kolację. Za tym domem stał budynek z zielonymi okiennicami. Tak jak Barak dostrzegłem przez szpary światło. Spojrzawszy na piętro, również zobaczyłem słaby blask. Ktoś stamtąd obserwował ulicę. Pod tym kątem jednak nie mógł zauważyć Baraka.

Zapukałem do drewnianych drzwi. Natychmiast dobiegły zza nich ciężkie kroki. W progu stanął niski grubokościsty mężczyzna w poplamionej koszuli, który mi się przyjrzał. W jednej ręce dzierżył świecę, drugą zaś trzymał na sztylcie przy pasie. Elias niezbyt dokładnie opisał mężczyzn, którzy usiłowali po raz pierwszy włamać się do drukarni Greeninga, lecz to mógł być jeden z nich. Niespełna trzydziestoletni, miał bujne czarne włosy i kanciastą, pobrużdżoną twarz z gniewną miną, która wiele mówiła o jego usposobieniu.

- Jestem komisarz Shardlake — powiedziałem. — Dostałem ten list.

Krótko skinął głową i usunął się na bok. Wkroczyłem do pokoju z trzcinową matą na podłodze, którego jedyne umeblowanie stanowił stół na kozłach z zapalonymi świecami oraz stojące wokół niego krzesła. Na piętro prowadziły rozchwiane schody. Na jednym z krzeseł siedział zakneblowany Nicholas ze skrępowanymi z tyłu rękami. Miał podbite oko i zaschniętą krew na wargach oraz w zmierzwionych rudych włosach. Za nim stał inny młody mężczyzna - wysoki, ubrany po pańsku w porządny zielony dublet z koronkowymi mankietami oraz kołnierzem. Miał ostre rysy, przywodzące na myśl lisa, i starannie przyciętą jasną brodę. Brakowało mu połowy lewego ucha, które ucięto tak, że została tylko błyszcząca blizna. Trzymał on miecz przy gardle Nicholasa, który patrzył na mnie przerażonym wzrokiem.

Ten niższy zamknął drzwi.

- Nie zauważyłeś nikogo jeszcze, Gower? - zapytał jego kompan z uciętym uchem.

- Nie, panie Stice. A on obserwuje z góry. - Zadarł głowę, wskazując w stronę schodów.

Tamten kiwnął głową, nie opuszczając miecza. Pomyślałem, że zdradzili swe nazwiska i że to nie wróży nam niczego dobrego. Wtedy

Stice spojrzal na mnie zimnym oceniającym wzrokiem. Powoli odjął miecz od gardła Nicholasa i lekko się uśmiechnął.

- Zatem przyszedłeś, komisarzu. Nie spodziewaliśmy się tego, lecz nasz pan był innego zdania.

Twierdzi, że jesteś zarówno odważny, jak i lojalny.

Gower zbliżył się, patrząc na mnie swymi złymi oczami.

- Może lubisz chłopców, co, garbusie? Ktoś taki jak ty nie może mieć zbyt wielkiego powodzenia u kobiet. Lecz pomyślałbym, że stać cię na więcej niż ta tyczka.

- Daj mu spokój, Gower - warknął niecierpliwie Stice. — Mamy sprawę do omówienia, to nie czas na żarty.

Spojrzałem na niego pogardliwie.

- Co zrobiliście Nicholasowi?

- Musiał zostać ogłuszony, byśmy mogli go tu przewieźć. A kiedy odzyskał przytomność, nie był skory do współpracy. Gower udzielił mu więc lekcji dobrych manier.

- Przyszedłem, jak sobie życzyliście. Uwolnijcie go.

Stice skinął głową.

- Niech będzie, chociaż Leonard z chęcią wysłałby ci jego głowę. - Spojrzał na Gowera, który uśmiechnął się z zadowoleniem. - Ma mnóstwo zabawnych pomysłów, ten nasz Leonard. Uważa cię za sodomitę. - Nie odważyłbym się szydzić z kogoś takiego jak Gower, ten jednak zdzierzył obelgę z ust Stice'a, który tymczasem wyjął Nicholasowi knebel z ust, po czym przeciął mieczem więzy na jego rękach. Gower podszedł do nich, trzymając groźnie dłoń na rękojeści sztyletu.

Nicholas odezwał się do mnie ochryplym głosem:

- Przykro mi, panie.

- To moja wina - odparłem cicho. — Naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

- Byłem zeszłego wieczoru w gospodzie - wycharczał. - W drodze do domu dostałem z tyłu w łeb.

Obudziłem się tutaj. Gdzie jesteśmy?

- Nieopodal rzeki. - Zwróciłem do Stice'a: - Wypuście go teraz?

Pokręcił głową,

- Jeszcze nie. Ktoś chce się z tobą rozmówić i jeśli potem będzie zadowolony, pozwolimy odejść wam obu. Leonard w swoim czasie wyprowadzi chłopaczka. - Stice, wciąż z mieczem w dłoni, oparł się o ścianę, jakby na coś czekał.

Nicholas wciąż siedział na krześle.

- Na litość boską! - zawołał. - Czy mogę dostać wody? - Z trudem przełknął ślinę i skrzywił się z bólu.

- Biedne dziecko - rzucił Stice, śmiejąc się drwiąco, — Mało cierpliwy jak na kogoś szlachetnie urodzonego. Leonardzie, przynieś mu wody z beczki.

Kiedy Gower poszedł za drzwi w głąb domu, Nicholas wstał niepewnie. Usłyszałem skrzypnięcie desek podłogowych na piętrze i przypomniałem sobie, że jest tam jeszcze jeden człowiek. Przebywałem tam już pięć minut. Jeszcze piętnaście, pomyślałem, i wkroczą Barak z konstabłem. Miałem nadzieję, że dadzą sobie radę z tymi ludźmi. Tymczasem musiałem grać na zwłokę. Nicholas stał, przeciągając się i badając obrażenia. Stice wciąż opierał się o ścianę, trzymając dłoń na rękojeści miecza, i z rozbawieniem przyglądał się chłopakowi.

Wtedy jednak Nicholas rzucił się na niego, jednym susem pokonując dzielącą ich odległość, i chwycił go za nadgarstek. Stice, zaskoczony, nie zdążył dobyć miecza i wydał okrzyk wściekłości, podczas gdy chłopak złapał go za drugą rękę i przygwoździł do ściany, po czym uderzył kolaniem w krocze. Stice zawył i zgiał się wpół.

- Przestań, Nicholasie! — zawołałem. Nie chciałem w rej chwili żadnej walki, zwłaszcza że nie mieliśmy szans na zwycięstwo. W tej chwili wrócił z dzbankiem wody Gower. Z krzykiem rzucił go na podłogę i sięgnął po sztylet, by wbić jego ostrze w plecy Nicholasowi. Podbiegłem do niego i pchnąłem go, lecz nie upadł, tylko odwrócił się do mnie ze sztyletem w momencie, gdy Stice zdołał odepchnąć Nicholasowi od ściany i podniósł miecz. Twarz miał pobladłą z gniewu.

Na schodach rozległy się szybkie kroki i jakiś głos zawołał;

- Przestańcie się bić! — Nie był donośny, lecz ostry jak brzytwa, a ja rozpoznałem go natychmiast. To wystarczyło, by Gower znieruchomiał, Stice zaś opuścił miecz. Mężczyzna spokojnie wkroczył do pokoju. Odwróciłem się i ujrzałem tajnego doradcę Jego Królewskiej Mości, ze skrzywioną groźnie twarzą, ubranego w skromną czarną szatę i beret: sir Richarda Richa.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rich wyszedł na środek izby z gniewną miną. Był najniższy z obecnych, lecz natychmiast zdominował otoczenie. Zdjął czarny beret i smagnął nim Stice'a po twarzy. Oczy młodego człowieka błysnęły niebezpiecznie, ale po chwili schował miecz do pochwy. Rich warknął:

- Mówiłem ci, że nic nie może im się stać. Już i tak obszedłeś się z chłopakiem ostrzej, niżbym sobie życzył...

- Rzucił się na mnie, kiedy doszedł do siebie... - ośmielił się zabrać głos Gower.

- Cicho bądź, prostaku! - Rich zwrócił się do mnie spokojnym poważnym tonem: — Shardlake, nie chcę uciekać się do przemocy. Wziąłem chłopaka jako zakładnika, bo wiedziałem, że po niego przyjdiesz, a muszę z tobą pomówić. Nawet w tych okolicznościach możemy sobie nawzajem pomóc.

Popatrzyłem na niego uważnie. Był to ten sam przestraszony Richard Rich, którego widziałem na egzekucji Anny Askew.

Nie odpowiedziałem, gdyż nagle zabrakło mi słów. Nicholas ze zdumieniem gapił się na królewskiego doradcę, który nagle zjawił się wśród nas. Dwaj ludzie Richa bacznie nas obserwowali. Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Wzdrygnęliśmy się wszyscy z wyjątkiem Richa, który przywołał na twarz już bardziej dla siebie charakterystyczny drwiący uśmieszek.

- Otwórz, Gower - rzucił. - Jeszcze kogoś w naszym gronie brakuje.

Gower podszedł do drzwi. Za nimi stał konstabl ze swym pomocnikiem. Trzymali między sobą wściekłego Baraka. Zauważyłem, że nie miał przy pasie sztyletu. Wepchnęli go do środka. Rich skinął mu głową i powiedział do Stice'a oraz Gowera:

- Miejcie na niego oko, jest niebezpieczny. Barak, wiedz, że przemoc nie pomoże ani tobie, ani twemu panu. - Po tych słowach podszedł do konstabla, który skłonił mu się nisko. — Nikogo więcej z nim nie było? - zapytał go.

- Nie, jasnie panie, tylko ten jeden.

- Doskonale. Spotka was nagroda, ciebie i twego człowieka. Tylko pamiętaj, trzymaj język za zębami.

- Tak jest, sir Richardzie.

Konstabl skłonił się ponownie i dał znak swemu pomagierowi, by wyszedł razem z nim. Rich zamknął za nimi drzwi i zwrócił się do nas ponownie. Pokręcił głową i znowu uśmiechnął się sardonicznie, odsłaniając drobne proste zęby.

- Barak, spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Nie wzięłeś pod uwagę, że jeśli zechcę wynająć jakiś dom, to wcześniej przepłacę miejscowego konstabla? Można ich kupić, a wiesz, że jestem hojny.

Barak nie odpowiedział. Rich wzruszył ramionami.

- Siadaj przy stole. Ty także, młodzieńcze. Chcę zamienić słówko z waszym panem i jeśli dojdziemy do porozumienia, puszcze was wolno. Zrozumiano?

Barak i Nicholas nie odpowiedzieli, ale kiedy w ich imieniu skinąłem głową, Stice i Gower zaprowadzili ich obu do stołu. Wszyscy usiedli.

- Uważajcie na tego drugiego — powtórzył Rich. - Jest podstępny jak wąż. — Ruszył w stronę schodów, dając mi znak, bym poszedł za nimi. — Idziemy na górę, Shardlake.

Nie miałem wyboru. Kiedy znaleźliśmy się na piętrze, zaprowadził mnie do pokoju urządzonego równie skromnie jak cała reszta domu — stały tam jedynie z stół z zapalonymi świecami oraz dwa krzesła. Wskazał mi jedno z nich, po czym, już znowu poważny, przyjrzał mi się w milczeniu. Odniosłem wrażenie, że twarz ma bardziej pomarszczoną i zapadniętą. W blasku świec jego szare oczy stanowiły punkciki światła. Nie odzywałem się; czekałem. Wcześniej powiedział, że możemy sobie nawzajem pomóc, czekałem więc, żeby wyjawiał, w jaki sposób. Byłem ciekaw, czy wie o zaginionych *Lamentacjach*. Uznałem, że za żadną cenę nie mogę wspomnieć o nich pierwszy.

- Więc znowu pracujesz dla królowej. - Było to oświadczenie, nie pytanie. Z jego tonu jasno wynikało, że nie ma co do tego wątpliwości.

- Owszem - odrzekłem. - I gdybym zniknął, mógłbyś wpaść w jeszcze większe kłopoty, panie, Pamiętaj, co Jej Królewska Mość o tobie wie. - Blefowałem, mówiąc o kolejnych kłopotach, lecz Rich natychmiast zmrużył oczy. - Nie byłaby zadowolona, gdyby dowiedziała się na przykład, że twój człowiek, Stice, próbował przekupić jednego z jej paziów... co wiem na pewno. — Zmarszczył na to czoło, — Czy to prawda, jak wspomniałeś w liście, że masz szpiegów na jej dworze? — kontynuowałem. Wzruszył ramionami.

- Nie. Ale ja kilka dni temu widziałem cię w Whitehall, w komnacie straży królewskiej.

- Wątpię - odparłem, ale przestraszyłem się nie na żarty.

Pochylił się do przodu.

- Niewiele uchodzi mej uwagi. - W jego głosie zabrzmiała zarówno groźba, jak i próżność. - Raczej nie przyszedłbyś do króla. Pomyślałem więc; a zatem znowu dla niej pracuje, po tak długiej przerwie. I zacząłem się zastanawiać, co jest tego powodem. A zaraz potem rozpoczęłeś śledztwo w sprawie zamordowania niejakiego Armistead Greeninga, drukarza.

- Zlecili mi to jego rodzice, ot co.

- Chyba nie masz mnie za głupca, Shardlake — rzucił ze zniecierpliwieniem. - Działasz z ramienia królowej.

Namyślał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Niech zgadnę, czego się dowiedziałeś. Greening należał do grupki fanatyków religijnych, prawdopodobnie anabaptystów. Jeden z jej członków, Vandersteyn, jest kupcem z Niderlandów, a wiemy, że wciąż szerzy się tam anabaptyzm. Inny, Curdy, także kupiec, pochodzi ze starej rodziny lollardów, a jak wiadomo, wielu z nich w przeszłości skaptowali anabaptyści. - Podniósł szczupłą dłoń i zaczął liczyć na palcach: - Vandersteyn, Curdy, terminator Elias Rooke, szkocki żołnierz, który stał się kaznodzieją, czyli McKendrick, no i - tu znów pochylił się nad stołem — Leeman, ni mniej, ni więcej, tylko członek straży Jej Królewskiej Mości. I wreszcie... — Tu głęboko zaczerpnął powietrza. - Strażnik więzienny z Tower, nazwiskiem Myldmore. Sześciu ludzi, którzy wszyscy rozplynie się w powietrzu.

Odetchnąłem głęboko. Wiedział dużo, ale nie miał pojęcia, że Elias został zabity, a Myldmore umieszczony przez lorda Parra w bezpiecznym miejscu. Zniknęło czterech ludzi, nie sześciu.

- Więc ty także, panie, szukasz zabójców Greeninga? - zapytałem.

Zbliżył się do mnie, splatając palce obu rąk.

- Nie - odparł stanowczo. - Szukam pewnego manuskryptu. Manuskryptu ważnego dla mnie i być może dla Jej Królewskiej Mości.

Manuskryptu. Jednego. A przecież, jak dowiedziałem się od Myldmore'a, istniały dwa: *Lamentacje i Przesłuchania*. *Przesłuchania* zaś mówiły o udziale Richa w torturach Anny Askew. A jeśli Rich nie wiedział o *Lamentacjach*?

- Zapiski Anny Askew? - zaryzykowałem. - Z jej pobytu w Tower?

Rich odchylił się na oparcie krzesła.

- Dobrze - odparł. - Wyłożyliśmy karty na stół. Owszem, bredzenia i oszczerstwa tej niegodziwej kobiety. Zatem wiesz o nich? A to skąd?

- Rozmawiałem z terminatorem Eliasem, zanim zniknął. Wyznał mi, że trafiły w ręce Greeninga — skłamałem. — Powiedz, czy z powodu tego dziennika Stice wraz z jakimś obwiesiem próbował włamać się do warsztatu drukarza, zanim jeszcze ten został zamordowany?

Rich ściągnął brwi.

- Skąd o tym wiesz? A, od tego chłopaka, Eliasa. Tak, moi ludzie chcieli się tam włamać i odzyskać zapiski Askew, lecz zostali spłoszeni. Greening zaś niedługo później zginął.

- A skąd ty, sir Richardzie, wiedziałeś, że Greening je ma?

- Od tego strażnika, Myldmore'a. Który także przepadł jak kamień w wodę. Myldmore wiedział pewne rzeczy o pobycie Anny Askew w Tower, nieważne skąd, i kazałem go śledzić.

- Stice'owi? — zapytałem.

- Nie, Gowerowi. Pewnie byś nie pomyślał, lecz jest w tym dobry. I doniósł mi, że Myldmore udał się do Greeninga z torbą na ramieniu, która była pusta, kiedy od niego wyszedł.

- Rozumiem.

Rich nerwowo poruszył się na krześle.

- Kazałem ponownie przesłuchać Annę Askew,„. już poza Tower, gdyż do dnia egzekucji była trzymana w domu prywatnym pod moim nadzorem. Przyznała się, że spisała kłamliwą relację z uwięzienia w Tower, między innymi oskarżając mnie i Wriothsleya o torturowanie jej, i że przesmuglowała ją. na zewnątrz. Nie chciała powiedzieć, jak tego dokonała ani do kogo te zapiski trafiły. Lecz nie musiała, bo dowiedziałem się tego sam, śledząc Myldmore'a. - Skrzywił się i zadrgał mu mięsień szczęki. - Śmiała mi się w twarz, krzyczała triumfalnie, że udało jej się wysłać swój dziennik w świat. - Dodał ochryplym z gniewu głosem: - Och, Anna Askew ponad wszystko lubiła mieć ostatnie słowo. Zastanawiałem się, czy nie rzuci czegoś mściwego na stosie. Był taki moment, kiedy już myślałem, iż tak się stanie, ale wówczas...

Urwał, więc dokończyłem za niego;

- ...wybuchł proch. Pamiętam.

- A tak, widziałem cię tam.

- Czego się obawiasz, sir Richardzie? — zapytałem spokojnie.

- Jej oszczerstw. To wszystko kłamstwa, co pisze, lecz w czasach heretyckiej kampanii mogłyby...

- Skoro wiedziałeś, że Greening ma te zapiski, dlaczego nie kazałeś go aresztować? Podobnie jak Myldmorea?

- Lepiej było to załatwić na własną rękę - odrzekł krótko Rich.

Pomyślałem: dlatego tak się boi. Król już ma mu za złe, że torturował Annę Askew, by wydobyć z niej zeznanie wymierzone przeciwko królowej, a gdyby to wszystko zostało opublikowane, jego kariera byłaby skończona. Jednakże, dzięki Bogu, wynikało z tego jasno, że Rich nic nie wie o *Lamentacjach*.

W jego głosie znowu zabrzmiała pewność:

- Oczywiście, królową, skoro cię zatrudniła, także musi niepokoić, że zapiski Anny Askew zostaną odnalezione. Być może ta heretyczka wspomniała w nich coś o swych stosunkach z jej dworem czy znajomymi radykałami. - Machnął lekceważąco ręką. - Ale los królowej już mnie nie obchodzi.

- Trudno mi w to uwierzyć, sir Richardzie. Ty i Wriothsley przez kilka miesięcy próbowaliście zapędzić ją w kozi róg, niewątpliwie na polecenia biskupa Gardinera.

- Jego plan się nie powiódł — odparł Rich wprost. - Mieliśmy znaleźć coś przeciwko niej, ale, jak zapewne wiesz ponieśliśmy porażkę. Król od początku uprzedzał, że musimy zdobyć niepodważalne dowody. Owszem, był zagniewany, że go pouczała, lecz wciąż ją kocha. Teraz jest zły na tych wszystkich, którzy się w to zaangażowali, a królowa wróciła do łask. A zatem już mnie nie interesuje, czy jest heretyczką, czy nie.

- A więc — zacząłem — zależy ci na odzyskaniu zapisków Anny Askew. Chcesz ocalić swoją pozycję. Może nawet głowę,

- Któż by tego nic chciał? — W jego głosie znowu zabrzmiała groźna nuta. — Jestem pewien, że królowej też o to chodzi, a skoro wynajęła ciebie, notatki Anny Askew muszą stanowić dla niej zagrożenie.

Nie odpowiedziałem. Rich westchnął i ciągnął ze znużeniem:

- Tylko tacy jak Askew czy Gardiner są gotowi oddać życie dla podobnych kwestii jak istota mszy świętej. - Wymierzył we mnie palec. - Każdy obdarzony rozumem człowiek stara się za wszelką cenę przetrwać. Masz rację, Shardlake, chcę się zabezpieczyć, tak samo jak królowa. Zabrnąłem w ślepią

uliczkę, próbując znaleźć ludzi, którzy zniknęli. Myślę, że ty także. Mam w porcie szpiega i z tego, co mi mówi, jeszcze inni wypatrują kogoś, kto zechce wywieźć z kraju zakazane księgi. Przypuszczam, że ci ludzie pracują dla królowej.

Znowu nie odpowiedziałem,

- Mam ograniczone środki, tak jak ty - kontynuował z irytacją. — Proponuję więc, byśmy w poszukiwaniu dziennika Anny Askew połączyli siły. - Zaśmiał się krótko, z goryczą. - Dziwne zawieramy przymierza w ciągu ostatnich piętnastu lat.

- Wciąż nie mogę zapomnieć skutków ostatniego z nich - odparłem wreszcie. — Próbowalesz mnie zabić.

Wzruszył ramionami,

- Och, dla mnie mógłbyś nie żyć, bez wątpienia. Ale gra toczy się o wyższą stawkę. Oferuję ci ograniczoną współpracę w konkretnym celu. I będziesz pod ochroną jako protegowany królowej,

Wyprostowałem się na krześle,

- Potrzebuję czasu, by to rozważyć, — Miałem sprzeczne uczucia w stosunku do Richa; były wśród nich niesmak, pogarda i zupełny brak zaufania. Choć muszę wyznać, że czułem również pewną satysfakcję. Siedziałem tu i po raz pierwszy rozmawiałem z nim jak równy z równym, w dodatku mając świadomość, że wiem więcej niż on. Z racjonalnego punktu widzenia Rich miał jednak rację. Mówił do rzeczy. Co więcej, współpracując z nim, miałem szansę zapobiec najgorszemu - by wraz z zapiskami Anny Askew w jego ręce wpadły *Lamentacje*. Gdyż to było naprawdę niebezpieczne dzieło. Tym razem to ja prowadziłem z nim podwójną grę.

Odparł na to:

- Chcesz powiedzieć, że musisz się naradzić z ludźmi królowej. Rozumiem to.

- Zdajesz sobie sprawę, że zapiski Anny Askew mogły już zostać wywiezione z kraju z myślą o wydrukowaniu ich za granicą? - Zresztą podobnie jak *Lamentacje*, pomyślałem.

- Nie sądzę. - Rich znowu opadł na oparcie krzesła, splatając palce. — Czy słyszałeś o Johnie Bale'u? Obecnie przebywającym na wygnaniu w Antwerpii?

- Tak, słyszałem.

- To główny wydawca dzieł heretyckich w języku angielskim. Prawdopodobnie do niego miały trafić te bzdury, zgadzasz się ze mną?

- Owszem.

- Jest on od pewnego czasu obserwowany przez szpiegów króla. Wprawdzie zajmuje się tym sekretarz Paget, ale należę do tych członków Tajnej Rady, którzy mają wgląd w raporty. Chcielibyśmy, by został aresztowany przez przedstawicieli cesarza Karola i spalony na stosie jak dziesięć lat temu William Tyndale, Lecz obecnie władza cesarska jest tam słaba. Możemy tylko obserwować sytuację. I wiemy, że Bale spodziewa się przesyłki. Jeszcze do niego nie dotarła, tak przynajmniej było jeszcze dwa dni temu, według ostatniego raportu.

- Rozumiem. - Ta informacja zgadzała się z tym, o czym donosił mi w listach Hugh Curteys. - Jaka jest w tym wszystkim rola lorda szambelana, Wriothesleya?

- Zleca mi brudną robotę. Jak inni.

- Kto stoi na czele twych ludzi? Stice?

- Tak. Ma dalekie rodzinne koneksje, to jeden z tych niezliczonych paniczów, którzy szukają posady na dworze. Obserwuję tych bystrzejszych, którym nie przeszkadza, że ubrudzą sobie ręce. Gower jest jednym z jego pacholków.

- Sprawia wrażenie trochę... porywczego,

- Stice zapewnia mnie, że Gower jest wobec niego lojalny. Trzeba do pewnego stopnia ufać podwładnym, gdyż inaczej można by postradać zmysły, czyż nie?

- To prawda.

- Jeśli znajdziemy dziennik Anny Askew, chcę, by został zniszczony bez czytania - powiedział powoli i wyraźnie, jakby pragnął zapobiec wszelkim nieporozumieniom.

Skinałem głową.

- Mogę się na to zgodzić. - Tu także miałem nad Richem przewagę, gdyż wiedziałem, że nie ma w tych zapiskach niczego, co obciążałoby królową. Nie dbałem, co się z nimi sranie. Postanowiłem już, że będę jej doradzał, by zawarła z Richem tymczasowy sojusz. Lecz musiałem obserwować go czujnie jak jastrząb. Nie miałem wątpliwości, że gdybym nie stawił się na to spotkanie, kazałby zabić Nicholasa. I nigdy bym się nie dowiedział, kto za tym stoi.

- Rozważę twą propozycję. Z ludźmi królowej.

Pokiwał głową.

- Tak myślałem.

Uśmiechnąłem się posępnie.

- W ostatnich latach nie wiesz ci się zbyt dobrze, nieprawdaż, sir Richardzie? Te oskarżenia o przekupstwo, kiedy podczas wojny nadzorowałeś finanse... Teraz zaś wielomiesięczne działania z ramienia Gardinera i Wriothesleya, by skompromitować królową, które zakończyły się całkowitą kompromitacją. Podczas egzekucji zauważyłem, że nie jesteś taki pewny siebie jak zazwyczaj.

Do tej pory rozmawiał ze mną łaskawie, jak dorosły mężczyzna negocjujący z drugim umowę, teraz jednak spojrzał na mnie groźnie i pogroził mi swym szczupłym palcem.

- Może i królowa przetrwała tę burzę, Shardlake, lecz niech ci się nie wydaje, że teraz już wszystko pójdzie po myśli reformatorów. Oferuję współpracę tylko w tej konkretnej sprawie na czas ograniczony. Powiedz to swym mocodawcom i gdy w przyszłości będziesz się do mnie zwracał, pamiętaj, że jestem członkiem Tajnej Rady. - Był jednak niezadowolony, że stracił przy mnie opanowanie, i widziałem, że tego żałuje. Pomyślałem, że kiedy mówił, iż reformatorzy nie powinni być zbyt pewni siebie, miał na myśli nową intrygę, którą knuli tradycjoniści i której obawiał się lord Parr. Intrygę, być może z udziałem tajemniczego Bertana, kimkolwiek był.

Wstałem, skłaniając się z pewną drwiną.

- Jak się z tobą porozumiem, panie?

- Prześlij tu wiadomość, przekażą mi ją. Stice zostanie tu jakiś czas, choć uważa, że to niegodne go miejsce.

- Jeszcze jedno, sir Richardzie. Wiadomo ci, że zmarł Stephen Bealknap.

- Tak. Jestem egzekutorem jego ostatniej woli.

- Lincoln's Inn nie wyraża zgody na wzniesienie planowanego przez niego grobowca.

Wzruszył ramionami.

- Słyszałem o tym.

- Sir Richardzie, czy zleciłeś Bealknapowi, by wkradł się w moje łaski? Zeszłej jesieni?

Sprawa miała wrażenie szczerze zaskoczonego.

- Po co miałbym to robić? Tak czy owak, przestałem korzystać z jego usług. Ze względu na stan zdrowia nie można było na niego liczyć.

Przyjrzałem mu się uważnie. Wydawał się naprawdę zdziwiony. Cokolwiek knuł Bealknap, najwyraźniej nie miało to związku z Richem. Choć Rich był wytrawnym kłamcą.

- Jutro, Shardlake, nie mamy zbyt wiele czasu. — Teraz on wstał. -Idź, weź tego obwiesia Baraka razem z tamtym drugim gołowąsem i już was tu nie ma.

*

Stice i Gower stali i patrzyli, kiedy we trzech opuszczaliśmy dom. Wiedziałem, że dla Nicholasa i prawdopodobnie także dla Baraka takie potulne odejście stanowiło porażkę. Pomyślałem jednak, że muszę jak najszybciej udać się do pałacu Whitehall.

Ruszyliśmy Thames Street, już pustą po godzinie policyjnej. Tej ciemnej nocy okna domów były

otwarte i w mroku błyskały płomyki świec. Minął nas miejski urzędnik w todze, któremu drogę zakurzony ulicą oświetlali chłopcy z pochodniami.

- Konstabl musiał dostać dużą łapówkę — zauważył ze złości? Barak. — Na taką stać tylko kogoś takiego jak Rich. Rany boskie, gdybym kiedykolwiek znalazł się sam na sam ze Stice'em, obciąłbym mu jaja. To łajdak! Powiedział mi, że wie od Richa, iż pracowałem niegdyś dla lorda Cromwella, i spytał, czy to prawda, że Cromwell zatrudniał ludzi z ulicy, zamiast brać na służbę szlachetnie urodzonych,

- I tamten drugi prostak - włączył się Nicholas. - Ma nie po kolei w głowie. Wygadywał takie rzeczy...

Spojrzałem na niego i jego posiniaczoną twarz.

- Przykro mi — powiedziałem cicho. - Nie wiedziałem, że mamy do czynienia z Richem, On nie cofnie się przed niczym.

Nicholas popatrzył na mnie z uwagą.

- To naprawdę był on? Członek Tajnej Rady?

- A owszem — odparł gniewnie Barak.

- Wiedziałem, że nie cieszy się dobrą opinią.

- Weszliśmy sobie w drogę już wcześniej - wyjaśnił Barak. — Powinien był już wiele razy zawisnąć na szubienicy. - Zwrócił się ku mnie i wybuchnął: - Czego, u licha, od ciebie chciał?

Zaśmiałem się gorzko.

- Wierz albo nie, zaproponował mi współpracę. Nicholasie, lepiej, bym więcej przy tobie nie mówił. To niebezpieczne.

- O mało nie straciłem życia i mam tak po prostu się z tym pogodzić? - odrzekł zapalczywie chłopak. - Nie będzie sprawiedliwości dla takich szubrawców? - Pomyślałem, że jest niefrasobliwy, lecz, na Boga, musiał mieć odwagę, by po tak przerażającym doświadczeniu wypowiadać się w podobnym tonie.

- Chłopak ma rację - mruknął Barak.

- Nicholasie, nie mogę powiedzieć nic więcej, nie łamiąc danej obietnicy. Już i tak zdradziłem Jackowi za dużo. - Zawahałem się i dodałem: - Czy bardzo cię poturbowali?

- Poza tym, że zdzielili mnie w głowę? Ten Gower znęcał się nade mną, kiedy po odzyskaniu przytomności próbowałem stawić opór. Ale kto by w takiej sytuacji go nie stawiał? Potem kazali mi siedzieć spokojnie, więc dałem za wygraną, by znowu nie oberwać. Nie miałem innego wyjścia, - Lekko zadrżał mu głos i uświadomiłem sobie, że był bardziej przestraszony, niż się przyznawał. - Powiedz mi, panie, przynajmniej jedno. Czy byłem zakładnikiem? Musiałeś coś im dać w zamian za moje życie?

- Nie, możesz być spokojny, Nicholasie, Rich jedynie wykorzystał cię jako przynętę, by mnie zwabić. W gruncie rzeczy tylko na tym zyskałem.

- Rad jestem przynajmniej z tego.

- Jak rana na piersi?

- Szybko się goi. Lecz powinienem ją przemyć.

- Skoro tak, wracaj do swej kwatery. — Zacerpnałem powietrza. -Nicholasie, zatrudniając się u mnie, nie przypuszczałeś, że będziesz napadany i przetrzymywany przez gotowych na wszystko niegodziwców. Byłoby lepiej, gdybyś przeniósł się do innego prawnika. Obiecuję, że wystawię ci najlepsze referencje.

Ku memu zdziwieniu, tylko się zaśmiał.

- To znacznie ciekawsze niż prawo. - Pokręciłem głową, przypominając sobie, jak młodzi panicze uwielbiają przygody, bo wychowuje się ich w przekonaniu, że to coś szlachetnego. W przypadku Nicholasa nie zmieniły tego nawet ostatnie przeżycia.

Rozstaliśmy się przy Thames Street.

- Co się stało? - zapytał Barak, kiedy Nicholas już się oddalił.

Opowiedziałem mu. Pogładził się po brodzie.

- Gramy więc w ciuciubabkę. Co teraz zrobisz, panie?
- Pójdę do pałacu i porozmawiam z lordem Parrem.
- Myślę, że masz już dość jak na jeden dzień.
- Muszę jak najszybciej powiadomić ich o rozwoju wydarzeń. To, co powiedziałem Nicholasowi, odnosi się także do ciebie, Jack -dodałem. - Może obaj powinniście odejść.

Pokręcił głową.

- Nie po czymś takim. Krew się we mnie burzy.
- Raczej cierpi twa duma. A co z tym wszystkim, o czym wcześniej mówiłeś? W związku z

Tamasin?

Zmarszczył czoło.

- Nie siedzę pod pantoflem żony.
- Jack...
- Chcę zobaczyć, co z tego wyniknie. Poza tym potrzebujesz czyjejś pomocy. Nie masz komu zaufać, nikogo na dworze nie obchodzi, co się z tobą stanie. A ja stracę pracę, jeśli zginiesz.
- Ależ królowa... — zaprotestowałem.

- Dla niej najważniejszy jest jej ród — sprzeciwił się ze zniecierpliwieniem. - I król, mimo że się go boi. Potrzebujesz ludzi, na których możesz liczyć. Z pewnością należy do nich także Nick, wiesz o tym. I może się przydać. Pomyśl o tym.

Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Szedł lekkim krokiem. Uświadomiłem sobie, że do tej pory był rozdarty między swym obecnym życiem a dawnymi ciągotami, lecz ostatnie zdarzenie przeważało szalę. Podobnie jak u Nicholasa, wzięło w nim górę upodobanie do przygód. Pokręciłem głową i skierowałem się nad rzekę, cicho toczącą w ciemnościach swe wody, by wynająć łódź i popłynąć do pałacu.

Rozdział trzydziesty

Ponownie zasiadłem w gabinecie lorda Parra. Było późno, dobrze po północy. W Whitehall panowały mrok i cisza, spali już wszyscy z wyjątkiem strażników, nieustannie patrolujących korytarze. Oświetlone słabym blaskiem świec okazałe dekoracje kryły się wśród cieni.

Kiedy się zjawiłem, lord Parr jeszcze pracował. Jego gabinet jasno oświetlały lampki maślane, okiennice były zamknięte. Szambelan natychmiast wezwał Williama Cecila, który musiał być jeszcze w pałacu, bo przybył po kilku minutach. Gdy opowiedziałem im o swej rozmowie z Richem, lord Parr powiadomił także królową, która tego wieczoru była u króla, lecz zdążyła już wrócić do swej sypialni.

— Musimy się z nią porozumieć - nalegał. - To dotyczy bezpośrednio jej osoby.

Siedząc za biurkiem, lord Parr wyglądał na wycieńczonego.

— Richard Rich, tak? - Pokręcił głową i uśmiechnął się ze znużeniem. Tkwiący w nim stary dworzanin był być może zdumiony takim obrotem spraw na arenie politycznej.

— Sądziłem, że to on kryje się za wszystkim — powiedziałem. - Za zabójstwami i kradzieżą księgi. Lecz wygląda, że tym razem nie.

— Lecz jeśli zdobyłby *Lamentacje*... — zaczął Cecil.

— Właśnie — odparł lord Parr. — Wykorzystałby je. Kampanii przeciwko królowej została by wznowiona. — Spojrzał na nas obu. - Cóż, znacie powiedzenie, że przyjaciół należy trzymać blisko siebie» wrogów zaś jeszcze bliżej. Sprzymierzmy się z Richem i miejmy go na oku.

Usłyszeliśmy delikatne pukanie do drzwi. W progu ze świecami w dłoniach stały Mary Odell i siostra królowej, lady Herbert. Obie usunęły się na bok, by przepuścić królową. Podobnie jak one była w nieformalnym stroju, miała na sobie zielono-złoty kaftan. Nie miała czasu na sznurowanie gorsetu i upinanie włosów, które związała i przykryła włóczkowym kapturem. Jej twarz pod pospiesznie nałożonym białym pudrem wydawała się napięta. Skłoniliśmy się wszyscy, a ja poczułem, że po długim dniu zeszywniały mi plecy.

Królowa odprawiła damy dworu.

- Jakie wieści? — zapytała bez wstępu. — Powiedzcie, proszę, że moje dzieło się odnalazło.

- Jeszcze nie, bratanico - odparł łagodnie lord Parr. - Ale sprawy posunęły się naprzód... jednak nastąpiły pewne komplikacje. Przepraszam, że poprosiłem, byś przyszła o tak późnej porze, lecz należy pilnie podjąć decyzję.

Skinął na mnie, a ja ponownie zrelacjonowałem ostatnie wydarzenia, pomijając fragment o tym, jak Stice zagroził, że prześle mi głowę Nicholasa.

- Rich nie wie nic o *Lamentacjach* — zakończyłem. — Sądzi po prostu, że dziennik Anny Askew może zawierać coś kompromitującego dla ciebie, Wasza Królewska Mość.

- Nie domyśla się też, że mamy Myldmore'a — dodał lord Parr. — Shardlake dobrze się spisał, wyprowadził go w pole.

- Jednakże Rich to łajdak. - Królowa minęła mnie, podchodząc do jednego z okien. Towarzyszył jej szelest jedwabiu i zapach perfum. Dała znać, by otworzyć okiennice. — Jest tak gorąco...

- Proszę, Katarzyno - rzucił z naciskiem lord Parr. - Nigdy nie wiadomo, kto może nas szpiegować. Królowa ponownie odwróciła się do nas ze słabym, gorzkim uśmiechem na ustach.

- Rzeczywiście. Zapomniałam się, że tu trzeba uważać na każdy krok. - Odetchnęła głęboko, po czym usiadła i popatrzyła na nas po kolei. - Czy musimy współdziałać z Richem?

- Musimy przynajmniej udawać, że to robimy — odpowiedział lord Parr. - Współpracować z jego ludźmi, lecz bacznie ich obserwować. W porcie przyda się dodatkowa para oczu. — Zwrócił się do mnie: — Ta informacja o Bale'u też jest pomocna.

- Lecz kto ma księgę? - spytał Cecil. - Ci czterej, którzy zniknęli: McKendrick, Curdy, Vandersteyn i nieojalny strażnik, Leeman? Czy jeszcze ktoś inny? Nie wiemy nawet, czy tamta czwórka jeszcze żyje. I

kto opłacił zabójców Greeninga? Wiemy już, że nie Rich.

Odparłem:

- Według mnie ci czterej to radykałowie, którzy chcą wywieźć z kraju obie księgi. Na podstawie tego, co działo się w Niemczech, wiemy, do czego zdolni są anabaptyści, nawet jeśli niektórzy z nich wyrzekli się przemocy. Możliwe, że mordercy Greeninga działali na ich zlecenie, zostali przez nich wynajęci po wewnętrznym rozpadzie. Jak mówiłem wcześniej, gdyby to konserwatyści zdobyli *Lamentacje*, wystarczyłoby, aby przekazali je królowi. — Królowa skrzywiła się przelotnie, lecz musiałem to powiedzieć: — Myślę, że wyjaśnienie stanowią ludzie Curdy'ego.

Lord Parr głęboko odetchnął.

- Wiemy, co może, a czego nie może Rich, lecz niewykluczone, że ktoś inny na dworze, kto źle życzy królowej, trzyma jej dzieło w ukryciu, wcześniej zwerbowałszy jednego z członków grupy. - Pokręcił głową. - Musiałby to być członek Tajnej Rady, nie ma innej możliwości. Lecz który? I gdzie księga jest teraz?

- Wciąż nie mamy pojęcia - skwitował Cecil.

Lord Parr zaczerpnął głęboko powietrza.

- Dobrze. Shardlake, porozumiesz się z Richem przez Stice'a. Obaj z Cecilem możecie współpracować z jego ludźmi przy poszukiwaniu zaginionych mężczyzn i obserwowaniu portu. — Pochylił się i napisał coś na kartce. - To nasi agenci w komorze celnej. Daj tę listę Sticeowi i weź w zamian nazwiska ich szpiegów. Nasi wiedzą tylko, że szukamy kogoś, kto będzie próbował wywieźć z Anglii jakieś pisma.

Cecil wydawał się zaniepokojony.

- Mamy do czynienia z zabójcami. Mogą być kłopoty, niewykluczone, że będziemy musieli zatrzymać tamtych, jeśli spróbują zbiec, albo przyjść z pomocą Sticeowi, jeśli tego zażąda. Jeżeli znajdą się *Lamentacje*, trzeba będzie rozprawić się z ludźmi Richa, Ilu mamy sprawnych młodych mężczyzn?

- Ja mam w swym otoczeniu czterech, którym mogę zaufać. Choć, rzecz jasna, nie powiem im o *Lamentacjach*.

Włączyła się królowa:

- Nie chcę rozlewu krwi.

- Może nie da się go uniknąć, bratanico - odparł ze smutkiem lord Parr. - Niewykluczone, że Shardlake i Cecil będą musieli się bronić, i należy zapewnić im wsparcie. - Spojrzał na mnie uważnie. - Ile wie ten twój Barak?

- W tej chwili już wszystko.

Lord Parr uniósł brwi.

- Musiałem mu powiedzieć — wyjaśniłem. — Kiedy go poprosiłem, by ubezpieczał mnie na Needlepin Lane.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

- Więc możemy go wykorzystać. A ten twój uczeń, którego porwali?

- Wie niewiele. Wykazał się odwagą, lecz jest jeszcze bardzo młody. A Barak ma obowiązki - ciągnąłem. - Wolałbym więcej nie narażać żadnego z nich na niebezpieczeństwo.

- A chcą pomóc?

Zawahałem się.

- Tak. To dobrzy ludzie.

- Więc się nam przydadzą.

Odezwał się Cecil:

- Baraka znam, ale ten chłopak...

- Nicholas...

- Czy można mu całkowicie zaufać? Komu jest winien lojalność?

Zastanowiłem się.

- Nikomu oprócz mnie, jak sądzę.
- Czy możesz za niego ręczyć?
- Tak, oczywiście.
- A co z jego przeszłością? Z kim trzyma, jeśli chodzi o poglądy religijne?

- Wywodzi się ze szlachty z Linlolsnshire. Nie ma powiązań z nikim na dworze. A co do religii, wyznał mi kiedyś, że on sam chce wierzyć, jak nakazuje król, a inni jego zdaniem powinni mieć wolność sumienia.

- Nawet papiści? - W głosie Cecila pojawiła się nuta dezaprobaty.

- Nic więcej nie mówił. Nie uważam za właściwe wypytywać służbę i podwładnych o poglądy religijne.

Lord Parr utkwiał we mnie wzrok, już zmęczony i przekrwiony, lecz wciąż bystry. Potem podjął decyzję.

- Włączcie tego młodzieńca - polecił. - Wtajemnicz go w całą historię. Udowodnił, że potrafi być użyteczny. Ale to odpowiedzialność, niech przysięgnie, że zachowa istnienie dzieła królowej w tajemnicy. Barak tak samo.

- Ten Nicholas wydaje się młodzieńcem słabej wiary - zauważyła ze smutkiem królowa.

Odrzekłem z niezwykłą dla siebie śmiałością:

- Jak powiedziałem, Wasza Królewska Mość, nie zaglądałem mu w duszę. I nie sądzę, bym miał do tego prawo. Tak jak nie mam prawa narażać ani jego, ani Baraka na niebezpieczeństwo - ciągnąłem.

Królowa nieznacznie się zarumieniła. Lord Parr ściągnął brwi i już otwierał usta, by udzielić mi reprimendy, lecz Jej Królewska Mość nie dopuściła go do głosu.

- Nie. Matthew może wyrazić swoje zdanie. Jednakże... jeśli on i Cecil mają działać, będą potrzebowali wsparcia. - Spojrzała na mnie. Pokiwałem głową powoli i z niechęcią.

Lord Parr odezwał się szorstko:

- W tym rzecz. Rich wie, że polowanie na heretyków się skończyło, lecz uważa, że reformatorzy jeszcze nie zwyciężyli. Brat królowej był dziś na spotkaniu Tajnej Rady, widział, jak Gardiner, Wriothesley i Paget szepotali między sobą po kątach. Usłyszał, że mamrotali o kimś, kto ma przybyć do Londynu.

- Ten Bertano, którego nazwisko wciąż nas prześladowuje? - zapytałem z przejęciem.

- Nie mam pojęcia - odparł niecierpliwie lord Parr. - Lecz jeśli wie o tym Paget, to także musi wiedzieć król. — Zwrócił się do bratanicy: - Czy Jego Królewska Mość wspominał coś o tym dziś wieczorem?

Królowa, patrząc na niego, zmarszczyła czoło.

- Mówił jedynie o przygotowaniach do wizyty admirała d'Annebaulta. Potem słuchaliśmy muzyków, a ja śpiewałam. Bardzo bolała go noga. - Odwróciła wzrok. Nie lubiła opowiadać o tym, co mówił król. Jednakże w ostatnich miesiącach potrzebowała sojuszników.

Lord Parr wstał.

- Doskonale, Shardlake. Prześlij Richowi wiadomość, Cecil porozmawia z naszymi ludźmi w porcie. A teraz idziemy spać.

Skłonił się królowej, która powiedziała cicho:.

- Dziękuję ci, stryju. I tobie, panie Cecil. Matthew, zostań. Chcę z tobą pomówić. Możemy się przejść galerią. Będzie nam towarzyszyć Mary Odell. - Uśmiechnęła się z goryczą. - Zawsze bezpieczniej, gdy podczas rozmowy z kimkolwiek spoza rodziny towarzyszy mi przyzwoitka. — Lord Parr spojrzał na mnie ostro. Wiedziałem, że wolałby, aby wszelkie informacje przechodziły przez niego. Niemniej obaj z Cecilem skłonili się królowej nisko i wyszli. Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyłem za nimi Mary Odell i lady Herbert. Jej Królewska Mość wyszła na chwilę z gabinetu, zostawiając mnie

samego. Wróciwszy, powiedziała:

- Chodź.

Opuściłem gabinet. Siostry królowej już nie było, pozostała jednak Mary Odell. Królowa powiedziała spokojnie:

- Pamiętaj, Mary, nieprawdaż, Matthew? Rozmawiałeś z nią w zeszłym tygodniu.
- W istocie. Dobrego wieczoru, pani. Udzielone przez ciebie informacje okazały się bardzo pomocne.

Mary Odell skinęła głową. Jej okrągła twarz była poważna. Ci, którzy służyli królowej tak wiernie jak ona, musieli przeczuwać, że zbliża się nowe zagrożenie.

Królowa powiodła nas w głąb korytarza, obok swych prywatnych apartamentów, do obszernego przedpokoju. Przed znajdującymi się w nim czworgiem drzwi stało po dwóch, trzech strażników. Widząc królową, wszyscy stanęli na baczność, a ona skierowała się do drzwi naprzeciwko swych komnat. Strażnik otworzył je przed nią i wkroczyliśmy do pięknej galerii, długiej na jakieś dwieście stóp, która była pogrążona w mroku, a rozjaśniał ją tylko blask rzeki widocznej przez długie szklane okna na zewnętrznej ścianie. Jeden ze strażników wyjął z obejmy pochodnię i na znak Mary Odell pospieszył galerią, by zapalić świece stojące na rozstawionych w pewnych odległościach stolikach, nakrytych barwnymi tkaninami w tureckie wzory. Kiedy z ciemności wyłoniły się elementy wyposażenia, rozejrzałem się i spostrzegłem malowane pięknie w odcieniach błękitu i złota sklepienie, na ścianach obrazy przedstawiające biblijne i klasyczne sceny, gdzieśgdy gobeliny ze złotą nicią. Co kilka kroków na kolumnach stały klatki z ptakami, na noc przykryte. Strażnik skłonił się i wyszedł.

Królowa wydała przeciągłe westchnienie i wyraźnie się odprężyła. Zwróciła się do Mary Odell:

- Zostań trochę z tyłu, Mary. Muszę o czymś pomówić z panem Shardlakiem.
- Jak Wasza Królewska Mość sobie życzy.

Powoli ruszyliśmy w głąb galerii. Co kilka kroków znajdowały się wnęki, każda ze stojącymi na stolikach czy kamiennych kolumnach rzadkimi skarbami: tu szkatułka pełna złotych i srebrnych monet z dziwnymi znakami, tam kamienie i minerały o różnych barwach, jeszcze gdzie indziej ozdobne zegary, których tykanie akompaniowało naszym krokom. Królowa zatrzymała się przy biurku, na którym spoczywała rozłożona księga i kilka kart z odręcznym pismem. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem.

- Bez obaw, Matthew. Uczę się hiszpańskiego.- dla rozrywki i celów dyplomatycznych. To tylko moje notatki. — Potoczyła wzrokiem po galerii. — To moje ulubione miejsce w pałacu. Tu mogę przechadzać się swobodnie i cieszyć oczy jej skarbami.

- Bardzo tu pięknie.
- Zegary mi przypominają, że cokolwiek planują i knują za tymi drzwiami politycy, czas płynie nieubłaganie. — Popatrzyła na mnie swymi zielonymi oczami. — I zbliża się Sąd Ostateczny.

Nieopodal poruszył się i zaćwierkał ptak, obudzony hałasem. Królowa podeszła do klatki i odsłoniła ją, a zza krat spojrział na nas śliczny kanarek.

- Szkoda, że jest uwięziony - ośmieliłem się zauważyć.

Królowa przyjrzała mu się.

- Wszyscy jesteśmy uwięzieni, Matthew. Naszym więzieniem jest ziemski świat.

Nie odpowiedziałem.

- Chciałabym, byś dążył do zbawienia, Matthew. Jestem pewna, że przemawia do ciebie Bóg.

- Nie słyszę go, Wasza Królewska Mość. — Zawahałem się -Ostatnio poznałem prawnika z innego stowarzyszenia, ma na imię Philip. Takich jak on nazywa się radykałami. To porządny człowiek. Jednakże pod pewnymi względami... jest zaślepiiony.

- Czy to zaślepienie, by dążyć do prawdy, do prawdziwej wiary?
- Może ja jestem zbyt przekorny, zbyt krnąbrny, by wierzyć prawdziwie. Czy to znaczy, Wasza

Królewska Mość, że będą przeklęty?

Zaskoczona, przez chwilę stała bez ruchu, z bladą w blasku świec twarzą. Potem odparła łagodnie:

- Tylko Bóg może ostatecznie odpowiedzieć na takie pytania. Ale oferuje radość prawdziwej wiary tym wszystkim, którzy się na nią otworzą.

- Doprawdy? — zapytałem. — Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- Więc dlaczego robisz dla mnie to wszystko? Stale cię o coś proszę. Narażasz życie, nie tylko swoje, lecz także tych, o których się troszczysz. Dopiero co widziałam, jak martwisz się o ludzi, którzy dla ciebie pracują.

- Owszem. Lecz Nicholas jest jeszcze młody i żądny przygód, a Barak... — Westchnąłem. — Cóż, nie jest już młody, ale żądny przygód, wbrew woli.

Przyjrzała mi się bacznie.

- Robisz tak, bo ja cię o to proszę?

- Tak, robię to dla ciebie, Wasza Królewska Mość, i ze względu na lojalność, którą jestem ci winien — odparłem spokojnie. -I ponieważ mam nadzieję, że jeśli wygrają twoi stronnicy, wówczas ludzie zyskają swobodę sumienia i wyznania, że terminatorzy, szlachcianki i starsi urzędnicy nie będą za poglądy paleni żywcem na stosie, i to na oczach takich ludzi, jak Rich i Gardiner.

Opuściła wzrok. Po chwili szepnęła:

- Wtedy kiedy umrze mój mąż? To chcesz powiedzieć?

Odrzekłem gwałtownie, czując, że słowa same wychodzą z moich ust:

- Ludzie żyją w strachu, Wasza Królewska Mość. Boją się, że przekonania, jakie żywią, w jednym miesiącu uznawane za słuszne, już w następnym mogą zawieść ich na stos. Prowadzi to do pełnej lęku ortodoksji, dalekiej od wiary. Wszyscy boją się uwięzienia i ognia - dodałem cicho,

- Ja też się tego boję — odparła. — W ostatnich miesiącach czasami byłam tak przerażona, że ledwie mogłam wstać z łóżka, a co dopiero zachowywać się i rozmawiać, jak przystało na królową. - Wzdrygnęła się.

Miałem wielką ochotę jej dotknąć, pocieszyć, lecz nie śmiałem. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, naprzeciwko wielkiego okazałego kominka z rzeźbionymi zwierzętami heraldycznymi na zwieńczeniu pustego paleniska. Kilka jardów dalej zatrzymała się Mary Odell ze złożonymi skromnie rękami.

Wreszcie królowa wzięła głęboki oddech.

- Mój ród ma nadzieję, że pewnego dnia zostanę regentką księcia Edwarda - powiedziała cicho. - Jeśli tak się stanie, skończy się palenic na stosie, prześladowania. Zasady rządzące Kościołem się zmienią i nikt już nie będzie karany śmiercią. - Uśmiechnęła się gorzko. -Lecz Seymourowie, jako wujowie księcia, uważają, że mają większe prawo do regencji. Choć i oni z całą pewnością złagodziliby prawo. Na razie stajemy razem przeciwko Gardinerowi i jego ludziom, lecz w przyszłości... to już leży w rękach Boga. - Dodała z pasją w głosie: -Tym się pocieszam, że to zależy od niego. My jesteśmy jedynie jego sługami na tej nieszczęsnej ziemi. - Znowu pochyliła głowę. - Lecz ja jako sługa go zawiodłam, zatrzymując swe dzieło wbrew radzie arcybiskupa, wiedziona dumą.

- A moim obowiązkiem jako jego sługi jest odzyskać własność najszlachetniejszej damy i postawić zabójców przed obliczem sprawiedliwości. Mogę ci obiecać, że do tego będę dążył, Wasza Królewska Mość. Nie mogę jedynie obiecać, że osiągnę stan wiary.

- To więcej, niż uczyniłaby dla mnie większość ludzi. — Królowa się uśmiechnęła, po czym pod wpływem emocji podniosła dłoń, jakby chciała dotknąć mego ramienia, lecz ją opuściła. Kiedy odezwała się ponownie, mówiła już opanowanym tonem, wręcz oficjalnym: - Jest już bardzo późno, Matthew. Mary wskaże ci pokój w zewnętrznych zabudowaniach, a rankiem odejdziesz. Wiem, że masz co robić.

*

Znalazłem swą kwaterę w pobliżu bramy. Był to duży pokój z matą z sitowia na podłodze i wygodnym łóżkiem. Spałem dobrze i obudziłem się późno. Słońce stało już wysoko na niebie i z obszernego

dzieńca za oknem dochodził zgiełk rozmów. Była niedziela i zarówno z terenu pałacu, jak i spoza niego dobiegało bicie kościelnych dzwonów. Przypomniałem sobie, że poprzedniego dnia miał się odbyć pogrzeb Bealknapa, o którym zupełnie zapomniałem. Byłem ciekaw, ilu przyszło ludzi. Co zaś do dziwnych bredzeń Bealknapa na łożu śmierci, uznałem, że zabrał ich tajemnicę ze sobą do grobu.

Ubrałem się pospiesznie, po czym wysłałem Stice'owi wiadomość i postanowiłem pomówić z Nicholasem. Wychodząc z budynku, zobaczyłem, że po trzech stronach dziedzińca zebrali się ludzie, zwrócenieni w stronę komnaty straży królewskiej. Byli wśród nich służący, dworzanie, urzędnicy. Wydawało się, że są tam wszyscy. Nieco z boku zauważyłem Williama Cecila, więc przedarłem się przez tłum, by się z nim przywitać.

- Kolega Shardlake? — zapytał. — Spędziłeś tu całą noc?
- Tak; Dano mi pokój, bo było już bardzo późno.
- Ja także często tu nocuję. Jednakże tęsknię za żoną i dziećmi. — Uśmiechnął się smutno i spojrzał na mnie z namysłem. - Rozmawiałeś z królową?
- Tak. Głównie o religii.
- Chciałaby, by wszyscy dostrzegli światło, które sama widzi.
- Istotnie. - Zmieniłem temat; — Wygląda na to, panie, że będziemy współdziałać, być może razem stając w obliczu zagrożenia.

Poważnie pokiwał na to głową.

- Owszem. Nie spodziewałem się, że sprawy zajdą tak daleko.
- Ani ja. — Z zaciekawieniem rozejrzałem się, — Skąd to zbiegowisko?
- Nie wiesz, panie? Jeśli król rezyduje w Whitehall, zawsze w niedzielne poranki przewodzi procesji do kaplicy.
- Razem z królową?
- Tak. Patrz.

Kiedy spojrzałem we wskazanym kierunku, zza ozdobnych drzwi komnaty straży wyszła grupa żołnierzy, którzy ustawili się przed nimi. Następnie pojawiła się kolejna ich grupa z halabardami, tym razem gwardzistów Korpusu Honorowego w czarnych mundurach zdobionych złotem. Wreszcie zobaczyliśmy króla. Ponieważ siedł od mojej strony, ledwie dostrzegłem za jego obfitym brzuchem towarzyszącą mu Jej Królewską Mość w barwnej sukni. Ci, którzy mieli czapki, zdjęli je, po czym tłum zaczął wiwatować.

Przyjrzałem się Henrykowi. Tego dnia był ubrany oficjalnie, w długą kremową satynową szatę z szerokimi wutowanymi ramionami, bramowaną futrem kuny. Wyglądał w niej na nieco mniej otyłego i zacząłem się zastanawiać, czy nie nosi gorsetu, jak rzekomo podczas wystąpień publicznych. Na potężnych obandażowanych nogach miał czarne rajtuzy. Szedł sztywno, wspierając się na lasce z grubą złotą rączką, a po drugiej stronie podtrzymywał go jeden z żołnierzy straży przybocznej.

Król obszedł dziedzińiec i w połowie drogi zwrócił się z uśmiechem do tłumy, zdejmując czarny beret z naszytymi małymi brylantami. Zauważyłem, że zaciskał usta, a na czerwonych policzkach i czole miał krople potu. Mimowolnie pomyślałem z podziwem o jego odwadze, wszak ukrywał przed publicznością, że nie może chodzić. Musiało go to kosztować ogromnie dużo wysiłku. Jeszcze raz zdjął beret, przesuwał wzrokiem po zgromadzonych, i w pewnej chwili spoglądając na mnie. Następnie powoli ruszył przed siebie, obchodząc drugą stronę dziedzińca, i wkroczył do Wielkiej Sali. Wyżsi urzędnicy i doradcy podążyli za nim, a wśród nich dostrzegłem brodate oblicze Pageta, pociągłą twarz i rudą brodę Wriothesleya oraz odzianego na czerwono księcia Norfolk.

- Miałem wrażenie, że zatrzymał na mnie wzrok - szepnąłem do Cecila.
- Nie zauważyłem. Sądzę, że raczej myślał o tym, by utrzymać się na nogach. Gdy tylko zniknie z widoku, posadzą go na ruchomym krześle. — Z przygnębieniem pokręcił głową.
- Jak długo jeszcze pociągnie? — zapytałem.

Cecil ściągnął brwi i pochylił się ku mnie.

— Nie zapominaj, panie, że przepowiadanie śmierci króla stanowi zdradę stanu. Bez względu na okoliczności.

*

Uzgodniłem z Cecilem, że porozumiem się z nim zaraz po rozmowie ze Stice'em. Potem popłynąłem łodzią do Temple Stairs, zazdroszcząc tym obywatelom, którzy po mszy wybrali się w słońcu na przejażdżkę po rzece. Następnie udałem się do Amen Corner z jego wąskimi uliczkami, gdzie, jak wiedziałem, mieszkał Nicholas.

Drzwi otworzył mi wyglądający na żaka młodzieniec. Z pewną niechęcią zaprowadził mnie do Nicholasa.

— Jesteś, panie, jego mistrzem? — zapytał.

— Owszem.

— Nick wdał się w bójkę - odparł ostrożnie. - Nie chce powiedzieć, co się stało, lecz jestem pewien, że to nie on zawinił...

- Wiem o tym. I rzeczywiście, to nie była jego wina.

Chłopak zaprowadził mnie po schodach na piętro i zapukał do drzwi. Stał w nich Nicholas. Miał na sobie koszulę z niczawiazanymi trokami, spod której wзираł bandaż na piersi. Siniaki na jego twarzy przybrały żółte i czarne barwy. Stanowił zaiste żalony widok.

- Jak się masz? - zapytałem.

- To wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości. A rana na piersi już się prawie zagoiła.

Wszedłem za nim do zakurzonej izby, w której panował bałagan, na stole stały brudne talerze i wszędzie walały się książki prawnicze. Przypomniały mi się moje własne studenckie czasy sprzed ćwierćwiecza, choć chyba ja bardziej dbałem o porządek. Wszystko wskazywało na to, że Nicholas nie miał współlokatora, tak jak ja niegdyś. Mój ojciec nie był na tyle zamożny, by dać mi służącego. Rodzic Nicholasa też tego nie zrobił, co było zapewne *jeszcze* jedną oznaką jego dezaprobaty. Chłopak wskazał mi jedyne krzesło, a sam usiadł na niezaścielonym łóżku. Przyjrzałem się biedakowi. Wykazywał odwagę i inteligencję, lecz także niefrasobliwą brawurę, typową dla młodych. Już jednak nie wątpiłem, że można mu zaufać.

- Nicholasie — zacząłem. — Jak przekonałeś się zeszłej nocy, zaangażowałem się w sprawę, która dotyczy najmożniejszych w państwie. Osoba, dla której pracuję, stoi jeszcze wyżej od Richa.

Otworzył szeroko oczy.

- To sam król?

- Nie, nie aż tak wysoko. Chłopcze, kiedyś rozmawialiśmy o sporach religijnych, które nękają ten kraj. Powiedziałeś wtedy, że wolisz trzymać się od nich z daleka i że chciałbyś, by zarówno ciebie, jak i innych zostawiono w spokoju, jeśli chodzi o kwestie wiary, Ja także tego pragnę. Jednakże sprawa, którą się zajmuję, jest związana z konfliktem na dworze. Po jednej stronie stoją ci, którzy chcą zachowania mszy świętej, a niejednokrotnie także powrotu pod władzę papieża. Po drugiej zaś ci, którzy chętnie znieśliby pozostały ceremoniał kościelny. Zaangażowanie w tę walkę może skończyć się torturami, skrytobójczą śmiercią, spaleniem na stosie. Niektórych już spotkał taki los.

Nicholas milczał. Widziałem, że moje słowa wywarły na nim wrażenie.

- Wciąż nie wyjawileś mi, panie, dla kogo pracujesz,

- Nie mogę tego uczynić, dopóki nie przysięgniesz dochować tajemnicy.

- Czy Jack działa z tobą?

- Tak. Nalegał na to.

- I potrzebujesz jeszcze czyjejś pomocy?

- Owszem.

Uśmiechnął się z zalem.

- Nikt wcześniej nie prosił mnie o pomoc.

- Mówię z całą szczerością, że lepiej dla ciebie byłoby, gdybyś się w to nie mieszał. Nie dlatego, że mam zastrzeżenia do odwagi czy lojalności, ale z powodu niebezpieczeństwa. Tak jak powiedziałem zeszłego wieczoru, chętnie ci pomogę przenieść się pod skrzydła innego prawnika. Nicholasie, nie możesz myśleć tylko o sobie. Pomyśl o swych rodzicach, swym dziedzictwie, swej przyszłości jako szlachcica. - Uśmiechnąłem się, sądząc, że to przemówi do niego najlepiej.

Jego reakcja mnie zaskoczyła. Odezwał się z nagłym gniewem i goryczą.:

- Moi rodzice! Dziedzictwo! Powiedziałem ci, panie, dlaczego przyjechałem do Londynu. Mój ojciec... i matka... chcieli mnie zmusić do poślubienia kobiety, której nie kocham... Jak ci wiadomo, odmówiłem...

- I zostałeś wysłany tutaj, by studiować prawo. Jestem pewien, że kiedy skończysz naukę, twoim rodzicom przejdzie gniew, a może nawet zaczną cię szanować za to, czego dokonałeś.

- Nigdy się tak nie stanie - oznajmił z goryczą. - Ojciec mi zapowiedział, że jeśli nie poślubię wybranej przez niego kandydatki, to mnie wydziedziczy. Kazał mi jechać na studia, by się mnie pozbyć. Matka jest pod tym względem jeszcze bardziej stanowcza niż on. Oświadczyła, że sprzeciwiając się im w sprawie małżeństwa, okazałem się niegodziwym człowiekiem, wyrodnym synem. Straciłem więc szansę na dziedzictwo. — Spojrzał na mnie z przejęciem.

- To bardzo przykre. Jednak słowa mówione w gniewie...

Pokręcił głową.

- Jak mówili, tak myśleli. Widziałem to po ich minach. Pamiętam to okropne uczucie, kiedy zrozumiałem, że straciłem ich miłość. - Załamał mu się głos, więc kaszlnął. — Wynajęli prawnika, by pozbawić mnie majątku. Przepiszą na mego kuzyna, młodego pieczeniara, który gotów byłby poślubić jednonogą karlicę, gdyby wniosłaby mu w posagu dość pieniędzy. Nie, panie Shardlake, oni mówili poważnie. - Spuścił głowę i wygładził prześcieradło na łóżku. - Jestem ich jedynym potomkiem. Cięży mi to tak samo jak im.

- Ja także nie mam rodzeństwa. Owszem, to może być brzemieniem, choć dla mnie nigdy nic było aż tak ciężkim jak dla ciebie.

Nicholas spojrział na porozrzucane po izbie dzieła prawnicze.

- Czasami prawo wydaje mi się ciekawe, ale czasami przypomina worek z walczącymi szczurami. Sprawa pani Slanning...

Uśmiechnąłem się na to,

- Na szczęście, takie przypadki są rzadkie. A co cię w dziedzinie prawa interesuje?
- Sprawy, w których współczujesz klientowi, w których walczysz o sprawiedliwość.
- Nie można reprezentować tylko tych, których działania pochwalasz, jednak w semestrze jesiennym mógłbyś pomagać mi w sprawach rozpatrywanych przed Sądem Prób.

Skrzywił się.

- Ludzie z gminu pozywający szlachciców, którzy zgodnie z porządkiem rzeczy są ich panami?
- Czyż nie każdy powinien mieć takie samo prawo do sprawiedliwości, jak i swobodę wyznania?

Wzruszył ramionami.

- Może zobaczyłbyś co w innym świetle, gdybyś zajmował się takimi przypadkami.
- Nie wiem. Jak na razie... barwne życie, obrona szlachetnych spraw, oto, czego pragnę. Nawet gdyby to oznaczało, że znowu zostanę porwany. — Uśmiechnął się wreszcie i w jego dużych zielonych oczach pojawił się błysk.

- Walka o coś ważnego?

Zawahał się, a potem odparł.

- Tak. Tego chcę.

Uświadomiłem sobie, że Nicholas pożąda przygód, by uciec przed wspomnieniem tego, co uczynili

jego niegodziwi rodzice. Przypomniałem sobie, że wdał się w walkę na miecze z powodu prostytutki. Pomyślałem, że jeśli nie znajdzie przy mnie podniety, której potrzebuje, zacznie jej szukać gdzieś indziej i skończy z wypatroszonym brzuchem. A mając go przy sobie, będę mógł nim kierować, powściągać te autodestrukcyjne skłonności, które w nim widziałem.

— Czy sądzisz, że sprawa, której służę, jest szlachetna?

Odparł poważnie:

— Jeśli ma się przyczynić do zakończenia prześladowań, których od przybycia do Londynu jestem świadkiem, to tak.

— Jeżeli jednak ci wyjawię, dla kogo pracuję, i zdradzę szczegóły, będziesz musiał przysiąc, że nikomu o tym nie powiesz.

— Nie mam tu Biblii...

— Twoje słowo mi wystarczy.

— Więc je daję.

— Moim mocodawcą jest Jej Królewska Mość, Katarzyna. Zmrużył oczy.

— Skelly mi mówił, że prowadzisz jej sprawy.

— Znam ją z czasów, kiedy jeszcze nie była królową. To dobra i szlachetna dama.

— Wielu twierdzi, że ma kłopoty.

— Owszem. Miała i ma. Lecz nikogo nie prześladowuje.

— Zatem... pomogę ci.

— Dziękuję. Tylko, jak mówię, Nicholasie, rozważnie, bez brawury.

Jego posiniaczona twarz się zarumieniła.

— Dobrze.

Wziąłem go za rękę.

— Jestem ci zobowiązany.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Wróciłem na Needlepin Lane. W świetle dnia uliczka wyglądała jeszcze bardziej obskurnie — pękające tynki na starych budynkach, pośrodku wąska droga z cuchnącym rynsztokiem. Mimo że była niedziela, przed karczmą Pod Flagą stali mężczyźni, popijając piwo z drewnianych kufli. Król wiosną kazał zamknąć burdele w Southwark, ale choć prostytutka była na terenie miasta zakazana i karą za jej uprawianie mogła być chłosta, zza rzeki ścigało wiele dziwek. Jedna z nich, dobrze już podchmielona, pochwyciła moje spojrzenie i wrzasnęła:

- Nie gap się tak na mnie, garbusie, jestem damą i należy mi się szacunek!

Ludzie popatrzyli na mnie ciekawie, niektórzy się zaśmiali. Ignorując ich, zapukałem do domu z zielonymi okiennicami. Zauważyłem, że wstawiono nowe, mocne drzwi. Stice otworzył je bez zwłoki.

- Szybko wróciłeś.

- Mam wiadomość dla twego pana. - Kiwnąłem głową do tyłu. - Lepiej wejdę do środka, już i tak przyciągnąłem uwagę ludzi przed gospodą.

- To prostytutki, zawsze zaczepiają przechodniów. - Wpuścił mnie i wkroczyłem do pustej izby. Kiedy zamknął drzwi i podszedł do stołu, odruchowo położyłem dłoń na rękojeści sztyletu. Miecz, którym poprzedniego wieczoru niemal zabił Nicholasa, leżał na blacie, a Stice właśnie go czyścił. Na ostrym jak brzytwa ostrzu igrało słońce. Obok niego stał dzban piwa i kilka cynowych kubków.

- Nie żywisz urazy, panie? - zapytał Stice. - Każdy z nas służy tym, którym ślubował wierność. - Potem z ostrą nutą w głosie zapytał: - Czy masz odpowiedź dla mego pana?

- Tak. Ci, dla których pracuję, zgodzili się na współdziałanie w poszukiwaniu zaginionych osób i zapisków Anny Askew. Będę przekazywał ci informacje. Jest z nami pewien człowiek, prawnik nazwiskiem William Cecil, który ma oko na port. Oto ludzie, którym płaci, by szukali wywożonych z kraju dzieł. - Podałem mu kopię listy Cecila. Stice przebiegł po niej wzrokiem i pokiwał głową.

- Mówiąc między nami, kontrolujemy port i komorę celną.

- Ilu macie tam ludzi?

- Dwóch urzędników. - Zanotował nazwiska na dole kartki, przerwał ją na pół i podał mi dolną część.

- Sir Richard mówi, że Bale spodziewa się przesyłki. Miejmy nadzieję, że zdążymy ją przechwycić - powiedziałem.

- Święte słowa - odparł.

- Jeden warunek, panie Stice. Jeśli jedna strona dowie się czegokolwiek o towarze, natychmiast powiadamia drugą.

- Oczywiście. - Stice się uśmiechnął i rozłożył ręce. - A skoro o tym mowa, gdyby przyszło do starcia... powiedzmy, z pozostałymi pomagierami Greeninga, jeżeli się ujawnią... iloma ludźmi dysponujecie?

- Dwoma na pewno. A być może jeszcze dwójką albo trójką.

- Ci pierwsi to Barak i gołowąs?

- Tak.

Pokiwał głową z uznaniem.

- Obaj się nieźli.

- Cecil prawdopodobnie zwerbuję więcej takich.

- Ja mam pod ręką trzech, włączając Gowera, którego wczoraj poznałeś. Przebywa teraz w porcie. Jestem pewien, że mój pan przystanie na te warunki. - Zaśmiał się. - Kto by pomyślał, kiedy wszedłeś tu zeszłego wieczoru, że będziemy współpracować? Usiądź, proszę, napijmy się piwa.

Niechętnie opadłem na krzesło naprzeciwko niego. Uznałem, że im więcej dowiem się o tych ludziach, tym lepiej. Nie łudziłem się, że gdy tylko zdobędą *Przesłuchania*, natychmiast nas zdradzą.

Stice nalał mi piwa, po czym rozparł się na krześle. Na oko dwudziestopięcioletni, zamożnie odziany — z rękawa dubletu wystawała koronka, taka jak ta, którą rozdarł podczas nieudanego włamania do warsztatu Greeninga, miał urodziwą twarz, choć szpeciło go ucięte ucho. Byłem ciekaw, dlaczego nie nosi dłuższych włosów.

Stice zauważył, że mu się przyglądam, i dotknął ucha.

- Trudno nie zwrócić na nie uwagi, he? Przyciąga wzrok, tak jak, za pozwoleniem, twój garb. Nie wstydę się tego, straciłem je w uczciwej walce, z łajdakiem, który podał w wątpliwość moje pochodzenie. Pan Rich czasami też je kwestionuje, by pokazać ludziom, że należy się ze mną liczyć.

- Jak długo służysz Rich'owi?

- Od dwóch lat. Pochodzę z Essex, gdzie sir Richard ma liczne posiadłości. Ziemie mego ojca przylegają do jednej z nich, więc wysłał mnie na dwór, bym spróbował tam szczęścia. Sir Rich szukał młodych paniczów, bez zobowiązań i niestroniących od przygód. — Znowu się uśmiechnął.

Pomyślałem: kolejny młody szlachcic, jak Nicholas, który szuka podniety. Jednakże Stice, jak przypuszczałem, nie cofnąłby się przed niczym, nawet zabójstwem, by awansować w służbie Richa. Niewątpliwie właśnie dlatego ten go wybrał.

Zaśmiał się.

- Matko Boska, panie, nie patrz tak krzywo. Sir Richard mówił, że masz usposobienie surowego luteranina, choć nim nie jesteś.

- Pewnie masz nadzieję zrobić u Richa karierę?

- Owszem. Sir Richard jest lojalny wobec tych, którzy wiernie mu służą. Słynie z tego.

Parsknąłem śmiechem.

- Przychodzi mi do głowy inne słowo niż lojalność.

Stice zbyt to lekceważącym ruchem ręki.

- Masz na myśli jego poczynania na dworze królewskim. Żaden i wielkich ludzi nie jest prawdziwie lojalny wobec drugiego. Lecz sir Richard trzyma przy sobie tych, którzy są mu oddani, i sownie ich nagradza. - Zmrużył oczy nad kubkiem. - Mam nadzieję, że to samo można powiedzieć o królowej i jej ludziach. Dla kogo pracujesz? Sir Richard mówił, że pewnie dla lorda Parra, jej stryja.

Nie zamierzałem dać się podejść. Odstawiłem kubek i wstałem.

- Dam ci znać, jeśli pojawią się jakieś nowe wieści. A ty możesz odwiedzać mnie w domu. Przy Chancery Lane.

Uniósł drwiąco kubek.

- Wiem, gdzie to jest.

*

Postanowiłem powiadomić Philipa Coleswyna o biegu sprawy pani Slanning, lecz uznałem, że zrobię to po rozmowie o skardze Isabct ze skarbnikiem Rowlandem, którą miałem odbyć nazajutrz. Wróciłem więc do domu - resztę niedzieli miałem dla siebie, ale musiałem zająć się dwiema rzeczami.

Po pierwsze, udałem się do gabinetu i napisałem list do Hugh. Zrelacjonowałem mu wydarzenia publiczne, dodając, że wezmę udział w zbliżających się uroczystościach związanych z wizytą admirała dAnnebaulta. Potem napomknąłem, że John Bale jest niebezpiecznym człowiekiem, którego należy się wystrzegać, i poprosiłem Hugh, by nie wspominał o nim więcej w listach do mnie. No, pomyślałem, przynajmniej nie wciągamy w to podopiecznego. Zapieczętowałem pismo i włożyłem do torby, by nadać je następnego dnia z Lincoln's Inn.

Zszedłem na parter. W domu panowała cisza. Josephine prosiła mnie wcześniej o wychodne, by ponownie pójść na spacer ze starającym się o nią młodzieńcem, i chętnie wyraziłem zgodę, wiedziałem zatem, że jej nie ma. W kuchni też nie zastałem nikogo - na stole płonęła łojowa świeca, by był ogień do późniejszego gotowania. Następnie udałem się do stajni, gdzie Timothy z werwą wyrzucał gnój i przy drzwiach wznosiła się już sterta starej słomy i końskiego łajna.

- Dobrego dnia, jasnie panie — powiedział.
- I tobie, Timothy. Pamiętaj, by zatrzymać końskie odchody do ogródka warzywnego pani Brocket.
- Uhm. Za porządną partię dostanę od niej ćwierć pensa.
- Czy myślałeś już o pójściu do terminu? Mógłbym zapytać głównego stajennego w Lincoln's Inn, czy znajdzie się miejsce u kowala.

Przez jego twarz przemknął cień.

- Wolałbym zostać tutaj, jasnie panie.
- Cóż, proszę, byś to dobrze rozważył.
- Dobrze, jasnie panie - odparł, lecz bez zapału, z opuszczoną głową.

Westchnąłem.

- Czy wiesz, gdzie są państwo Brocket?
- Wybrali się na spacer. Pani Brocket prosiła, bym miał baczenie na świecę w kuchni i postawił nową, gdyby tamta była bliska wypalenia.

- Dobrze. - W domu więc nic było nikogo. To, co zamierzałem, nie było wbrew prawni, nic chciałem jednak, by ktokolwiek mnie widział.

- Dziś rano dostali list przez posłańca - dodał Timothy. — Byłem wtedy z nimi w kuchni. Nic wiem, kto do nich pisał, lecz oboje wyraźnie popadli w przygnębienie. Kazali mi wyjść i po niedługim czasie powiedzieli, że wychodzą. Pan Brocket wyglądał na niezadowolonego, a biedna pani Brocket musiała wcześniej płakać.

Ściągnąłem brwi, zastanawiając się, o co chodzi.

- Timothy — zacząłem. — Mam coś do zrobienia. Możesz dopilnować, by przez godzinę nikt mi nie przeszkadzał? Jeśli ktoś przyjdzie, powiedz, że mnie nie ma.

- Dobrze, jasnie panie.
- Dziękuję.

Wróciłem na górę i otworzyłem kluczem kufer w swej sypialni. Z ciężkim sercem popatrzyłem na znajdujące się w środku księgi. Kilka z nich widniało na liście dzieł zakazanych i do dziewiątego sierpnia należało je oddać władzom w ratuszu. Posiadanie którejs z nich po tym terminie miało być surowo karane. Z bólem wyjąłem tłumaczenie Nowego Testamentu pióra Tyndale'a. komentarze na temat Lutra sprzed dwudziestu lat. Księgi te towarzyszyły mi w mych dawnych reformatorskich czasach, a jedną z nich dostałem od samego Thomasa Cromwella, Lecz ze względu na zadanie, które zleciła mi królowa, nie mówiąc już o konflikcie z Isabel Slanning, uznałem, że najlepiej będzie spalić je dyskretnie, zamiast oddawać władzom, by moje nazwisko nie pojawiło się na liście posiadaczy podejrzanych pism.

Zaniósłem je wszystkie na dół, zapaliłem świecę od tej w kuchni i wyszedłem do zadbanego ogródka warzywnego Agnes, znajdującego się za domem. Stał tam duży żelazny kosiak, używany do palenia chwastów i innych ogrodowych śmieci. Był do połowy zapełniony, jego zawartość wyschła już i zbrązowiła od słońca. Wyjąłem z niego suchą gałązkę, zapaliłem ją od świecy i wrzuciłem z powrotem do środka. Niebawem strzeliły w górę płomienie. Z westchnieniem ująłem pierwszą z ksiąg, rozerwałem i wrzuciłem karty do ognia, patrząc, jak gotyk, który kiedyś czytałem z taką uwagą, czernieje i zaczyna się skręcać. Przypomniała mi się Anna Askew, jej skwiercząca w ogniu skóra i zadrzałem.

*

Nazajutrz, w poniedziałek, poszedłem z samego rana do kancelarii i nadrobiłem zaległości w pracy. Kiedy zjawił się Barak, opowiedziałem mu o swej rozmowie z Nicholasem i zrelacjonowałem przebieg spotkania ze Stice'em. Zakończyłem, mówiąc, że nie mam dla niego żadnej roboty, lecz chciałbym, aby czekał na wiadomości od Richa albo Cecila.

- Jak się czuje Tamasin? — zapytałem.
- O niczym innym nie mówi, jak tylko o jutrzejszym przyjęciu urodzinowym. Przyjdą wszyscy nasi sąsiedzi. Wiesz, jakie są niewiasty. - Spojrzał na mnie przenikliwie. - Mam wrażenie, że zapomniała o

swych podejrzaniach wobec mnie. Oby sobie o nich nie przypomniała, ot co. — Podniósł rękę i zobaczyłem, że nie miał już bandaża i zdjęto mu szwy. — Jestem gotowy do akcji — oznajmił.

*

Jakiś czas później przeciąłem zalany słońcem dziedziniec, by zejść do skarbnika Rowlanda. Starzec siedział jak zwykle za biurkiem, przy na wpół zamkniętych okiennicach, i na powitanie krótko skinął mi głową.

- Rozglądałem się za tobą w sobotę, na pogrzebie Bealknapa. Byłem ciekaw, czy przyjdiesz.
- Właściwie to o tym zapomniałem.
- Jak wszyscy. Zjawiliśmy się tylko ja i pastor. Cóż, kolega Bealknap spoczął, jak inni, w kaplicy, pod kamienną płytą z nazwiskiem oraz datami urodzin i śmierci. Nie zasłużył na mauzoleum.
- Biedny Bealknap - zauważyłem.
- Och, nie - sprzeciwił się. - Bogaty Bealknap. Choć w końcu nie na wiele mu się to zdało. — Nie odpowiedziałem, więc spojrział na stos pism na biurku. — Ludzie sekretarza Pageta przysłali mi więcej informacji o wizycie francuskiego admirała w przyszłym miesiącu. Zapowiada się, że będzie to większa feta, niż myślałem. Pokażę ci całą korespondencję. Najpierw jednak... — Jego głos przybrał poważniejszy ton. - Muszę zająć się tymi bzdurami. - Ze stosu dokumentów wyjął list i rzucił mi go. Była to skarga Isabel Slanning, dwie strony zapisane jej starannym, drobnym pismem. Tak jak się spodziewałem, oskarżała mnie, Philipa Coleswyna, swojego brata i rzeczoznawcę budowlanego o znowę przeciwko niej, „z czystej nienawiści”, jako że jest prawowierna, a my wszyscy należymy do heretyków.

- Nie ma w tym słowa prawdy - oświadczyłem. - Sama wybrała tego rzeczoznawcę.
- Czy rzeczywiście jest radykałem?
- Nie. Słyszając oskarżenia, które miotała podczas oględzin, śmiertelnie się przeraził. Jak powiedziałem, to wszystko kłamstwa.

Rowland zaśmiał się po swojemu, wydając dźwięk przypominający zgrzyt otwieranych i zamykanych pordzewiałych zawiasów.

- Wierzę ci, kolego Shardlake. Minęły lata, odkąd trzymałeś z radykałami, niedawno rozmawialiśmy o tym, jaki jesteś ostrożny. Chociaż wczoraj nie było cię na mszy.
- Miałem pilne sprawy. Przyjdę do kaplicy w następną niedzielę.

Odchylił się na oparcie krzesła i popatrzył na mnie uważnie, gładząc swą długą siwą brodę brudnymi od inkaustu palcami.

- Wygląda na to, że sam ściągasz na swoją głowę kłopoty, komisarzu Shardlake. Jak się skończyła twoja współpraca z tą szaloną kobietą?
- To był zwykły pech. Każdemu prawnikowi zdarzają się tacy klienci.
- Prawda. Cieszę się, że mnie to nie dotyczy. A ten Coleswyn, rzeczywiście jest radykałem?
- Uchodzi za zwolennika reform.

Rowland popatrzył na mnie bystro.

- Pani Slanning twierdzi, że byłeś u niego na kolacji.
- Tylko raz. Zaprzyjaźniliśmy się, gdyż obaj byliśmy sfrustrowani zachowaniem naszych klientów. Brat pani Slanning jest takim samym pieniaczem jak ona. A dowiedziała się o mojej wizycie u Coleswyna, ponieważ czasami wieczorami obserwuje jego dom. To da ci obraz tej kobiety.

- Twierdzi też, że jej brat wybrał Coleswyna na swego prawnika, gdyż obaj należą do tego samego radykalnego kościoła.

- Prawnicy często w ten sposób znajdują klientów.

Pokiwał głową, przyznając mi rację, po czym zetknął czubki palców obu dłoni.

- Kto teraz ją reprezentuje? Wiemy to?
- Vincent Dyrick z Grays Inn. Przyszedł do mnie wczoraj. by odebrać dokumenty w tej sprawie.

Rowland zmarszczył czoło.

- Ma reputację zawziętego. Wykorzysta w sądzie ten zarzut o znowę. To zapewne on doradził pani Slanning, by złożyła skargę.

- Twierdzi, że nie, że to był pomysł Isabel. Nawet mu wierzę. Nie zdoła jej jednak powstrzymać przed miotaniem oskarżeń podczas rozprawy.

- Czy sądzisz, że wniesie ona skargę na Coleswyna do Grays Inn?

- Nie może. Coleswyn reprezentuje jej brata, nie ją.

Rowland się zamyślił.

- Doskonałe. Postaram się to załagodzić. Napiszę do pani Slanning, że nie ma żadnych dowodów na poparcie swego zażalenia, i ostrzegę ją przed bezpodstawnym zniesławieniem. To powinno ją przestraszyć. - Mówił to wszystko spokojnie, choć obawiałem się, że taki list jeszcze bardziej Isabel rozwścieczy. - A ty, kolego Shardlake - ciągnął z irytacją. - Trzymaj się z dala od tej sprawy. Nie chcę, byś był zamieszany w jakiegokolwiek spory natury religijnej, skoro masz w przyszłym miesiącu reprezentować podczas uroczystości nasze stowarzyszenie.

- Zrezygnuję z tego zaszczytu, jeśli sobie życzysz - odparłem ostrożnie.

Rowland przywołał na twarz swój nieprzyjemny półuśmiech i pokręcił głową.

- O nie, kolego Shardlake, nie wywiniesz się od tego obowiązku. Już zgłosiłem twe nazwisko. A teraz przejrzyj to. - Podał mi kolejne kartki. - To szczegóły uroczystości z okazji zawarcia pokoju.

Przejrzałem je, przypominając sobie, co Paget i królowa mówili o zamówionych dla niej klejnotach i nowych strojach dla jej dam dworu. Mimo to skala obchodów przechodziła wszelkie pojęcie.

Planowano, że admirał przyplynie Tamizą dwudziestego sierpnia z dwunastoma galerami. Okręty królewskie, które dokładnie rok wcześniej starły się z nimi podczas bitwy, miały cumować wzdłuż rzeki od Gravesend aż do Deptford, by go powitać. Przewidywano, że zostanie przyjęty przez króla w Greenwich, następnego dnia popłynie w górę Tamizy do Tower, później zaś przejedzie ulicami Londynu. Przed tą procesją wójtowie miasta i członkowie gildii, a także inni łącznie ze starszymi prawnikami z palestry, wszyscy w swych najlepszych strojach, wyjdą na ulice, by wiwatować na jego cześć. Przymknąłem na chwilę oczy i przypomniałem sobie, jak przed rokiem stałem na pokładzie *Mary Rose* i patrzyłem na te same galery ostrzeliwujące naszą flotę.

- To będzie nie byle co, nieprawdaż? — zapytał Rowland. Nawet on był pod wrażeniem.

- Rzeczywiście, skarbniku.

Czytałem dalej. Planowano, że admirał spędzi w Londynie dwa dni, a dwudziestego trzeciego sierpnia pojedzie do Hampton Court. Zostanie tam powitany przez księcia Edwarda w towarzystwie lordów, szlachty i tysiąca konnych. Następnego dnia zje wieczerzę z parą królewską, a później w Hampton Court odbędą się wielkie uroczystości. Tam znowu będzie wymagana moja obecność, jako jednego z setek obywateli stanowiących tło.

- Chodzi o to, by mu zaimponować. — Odłożyłem kartki.

- Król zawsze lubił ceremoniał. Jedyne, co będziesz musiał, to stać z daleka, w tle, okazale odziany. Czy masz złoty łańcuch na takie okoliczności?

- Nie.

- Więc spraw go sobie, zanim wszystkie zostaną wykupione.

- Będę nas godnie reprezentował.

- Wybornie - odparł Rowland. - Ja zaś napiszę do pani Slanning. - Sporządził notatkę, po czym uniósł głowę i spojrzał na mnie ze znużeniem. - Postaraj się trzymać z dala od kłopotów, komisarzu Shardlake,

*

Mimo ostrzeżenia Rowlanda po południu wzięłem Genesis, pojechałem do Grays Inn i zapytałem o kancelarię Philipa Coleswyna. W jego sekretariacie, który dzielił z innym prawnikiem, panował ład i porządek - co widząc, uświadomiłem sobie, jak wygląda moja kancelaria. Wprowadzono mnie do

gabinetu Coleswyna — tu też wszystko było nieskazitelne, starannie złożone dokumenty spoczywały w przegródkach. Coleswyn odłożył pióro i wstał, by mnie powitać.

- Kolega Shardlake. Co za miła niespodzianka. Rozumiem, że pani Slanning zrezygnowała z twych usług. Dziś rano dostałem pismo od jej nowego prawnika, kolegi Vincenta Dyricka.

- Tak. - Uniosłem brwi. - Znam go.

- Ja także, ze słyszenia. - Westchnął. - W liście pisze, że pani Slanning zamierza obstawać przy tych niedorzecznych zarzutach, że ja i jej brat byliśmy w zмовie z rzeczoznawcą, gdyż wszyscy jesteśmy heretykami. Powiadomił mnie również, że złożyła na ciebie skargę w Lincoln's Inn,

- Dziś rano spotkałem się w tej sprawie ze skarbnikiem. Przyjechałem, by cię uspokoić, że i on uważa te skargę za absurdalną. Ale też chciałbym cię ostrzec przed Dyrickiem. Jest zawzięty i pozbawiony skrupułów.

- Zapewne liczy, że rozpowszechniając oskarżenia o heretycki spisek, na tyle przestraszy mnie i pana Cotterstoke'a, iż pójdziemy na ugodę. - Pokręcił głową. - Lecz przecież obaj wiemy, że ci dwoje za nic w świecie nie dojdą do porozumienia.

- Skarbnik Rowland polecił mi trzymać się z dala od tej sprawy, zwłaszcza że mam brać skromny udział w uroczystościach na cześć francuskiego admirała.

- Tym bardziej jestem wdzięczny, że do mnie przyszedłeś. Wczoraj rozmawiałem z Edwardem Cotterstokiem o ostatnich zarzutach jego siostry. Nie zamierza ustąpić ani na jotę. Wręcz przeciwnie, wpadł we wściekłość, kiedy powiedziałem mu o jej ostatnich knowaniach. Rzucił wtedy dziwną uwagę: gdyby przyszło do najgorszego, wie coś, co zniszczyłoby jego siostrę.

- Co miał na myśli?

- Bóg jeden wie. Mówił w gniewie i nie chciał wdawać się w wyjaśnienia. Odparł tylko, że to nie ma nic wspólnego ze sprawą, i czym prędzej zmienił temat.

- Isabel też kiedyś wspomniała, że jej brat robił straszne rzeczy. Dlaczego ci dwoje tak się nienawidzą?

- Nie mam pojęcia - odparł, kręcąc przy tym głową.

- Pamiętasz tamtego starego służącego, którego tak przygnębiło ich zachowanie podczas oględzin malowidła? Czy wciąż opiekuje się domem?

- Tak. Lecz, kolego Shardlake, powinieneś pójść za radą skarbnika i zostawić już tę sprawę.

- Będę w nią jednak zamieszany, jeśli w sądzie padnie oskarżenie o zмовę.

- Nie jesteś radykalnym reformatorem. Nie masz się czego bać.

- A ty masz? - zapytałem wprost.

Nie odpowiedział, ja zaś podjąłem.

- Isabel Slanning narobi tyle kłopotów, ile tylko będzie mogła, A jeżeli zażąda, przez Dyricka, byś przysiągł w sądzie, że wierzysz, iż chleb i wino przemieniają się podczas mszy w ciało i krew Chrystusa?

- Wątpię, by sąd na to przystał.

- A jeśli jednak przystanie?

Coleswyn przygryzł wargę.

- Nie wiem, co wtedy zrobię.

- Tego się właśnie obawiałem - odparłem cicho. - Błagam cię, Philipie, zastanów się dobrze. To byłoby przyznanie się do herezji. Pomyśl, co mogłoby się stać nie tylko z tobą, lecz także z twoją żoną i dziećmi. I wszystkimi, z którymi trzymasz. Nawet ze mną.

Sposepniał.

- Czy sądzisz, że wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, nie dręczyłem się z tego powodu?

Ciągle się modłę, by zrozumieć, jaki Bóg ma wobec mnie plan.

Spojrzałem na jego uczciwą, zatroskaną twarz. Zdałem sobie sprawę, że Philip Coleswyn to

człowiek, który dla ratowania duszy, gdyż tak to widział, mimo swych licznych zalet jest gotowy narazić innych na niebezpieczeństwo.

Odezwałem się spokojnie:

- Pomyśl, jaki Bóg może mieć plan wobec reszty z nas.

*

Ani tamtego, ani następnego dnia nie dostałem od Stice'a żadnych wiadomości. Po południu miało się odbyć przyjęcie urodzinowe George'a. Pogoda uległa zmianie - ochłodziło się i z zachodu powoli nadciągały chmury. Chłopom przed żniwami deszcz mógł się przydać, wiedziałem jednak, że Tamasin chciała przyjąć gości w ogrodzie.

Przyszedłem niedługo po czwartej. Jeszcze nic zaczęło padać, lecz niebo z wolna ciemniało. W domu panowała nieskazitelna czystość, na stole w saloniku, nakrytym białym lnianym obrusem, stały dzbany z piwem i — jak zauważyłem — także z winem, oraz cynowe kubki.

W zadbanym ogrodzie wystawiono długi stół ze słodyczami. Krążyło wokół niego i gawędziło około piętnastu osób, przeważnie trzydziestokilkuletnich, w odświętnych strojach - byli to sąsiedzi, urzędnicy oraz prawnicy Lincoln's Inn z żonami. Niestety, nie było nikogo z rodziny, jako że ojciec porzucił Tamasin, kiedy była mała, jej matka zaś umarła. Przypomniałem sobie, co Barak powiedział mi o swojej matce. Więcej do tego nie wracał. Zauważyłem Guya stojącego z kubkiem nieco na uboczu.

Barak i Jane Marris obsługiwali gości, podchodząc do nich z dzbanami, by nikt nie miał pustego kubka. Jack wydawał się trochę nieswój w nietypowej dla niego roli. Tamasin stała z George'em na rękach -który miał na sobie białą szatkę i czepek - pokazując go przybyłym. Był wśród nich Nicholas, w swym najlepszym barwnym duplecie, przyciągając uwagę blednącymi już siniakami na twarzy. Pani domu na tę okazję także włożyła najlepszą suknię, z żółtego jedwabiu. Nalałem sobie piwa i wyszedłem do ogródka. Tamasin uśmiechnęła się do mnie i serdecznym gestem wyciągnęła do mnie rękę.

— Pan Shardlake — zwróciła się do mnie oficjalnie. - Dziękuję, że przyszedłeś. To moi przyjaciele. - Z dumą dokonała prezentacji. -A to pracodawca mego męża, komisarz sądów królewskich. - Kiedy wszyscy na mnie spojrzeli, poczerwieniałem. Chociaż lubiłem Tamasin, jej lekki snobizm potrafił wprawić mnie w zakłopotanie. Zauważyłem, że Barak za jej plecami szturchnął Nicholasa i spojrzał na mnie porozumiewawczo. Pochyliłem się nad George'em, który popatrzył na mnie niewinnym wzrokiem.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, malcze. - Poglądziłem go po puciołowatym policzku.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała cicho Tamasin. - I za to wszystko, co uczyniłeś dla nas przez te wszystkie lata.

— Jak się masz? — zapytałem. — Czujesz się lepiej?

- Tak. Jestem w dobrym zdrowiu i pełna wiary w przyszłość. -Rozejrzała się z uśmiechem zadowolenia. - Przyjęcie się udało.

Na myśl o tym, jak oszukujemy ją z Barakiem, poczułem wyrzuty sumienia. Odparłem:

- Pójdę porozmawiać z Guyem, stoi sam.

— Dobry pomysł.

Podszedłem do starego przyjaciela.

- Witaj, Matthew - powitał mnie neutralnie.

- Tamasin mówi, że czuje się już lepiej.

- O, tak, wszystko przebiega tak, jak powinno. A jak ty się masz? -Spojrzał na mnie uważnie.

- Dobrze.

- Ręka Jacka się zagoiła. Podobnie jak pierś chłopca. Dobrze, że nie wdało się zakażenie.

- Wiem.

Zapytał cicho:

- A ta sprawa, która kosztowała ich zdrowie... Czy już jest zamknięta?

Zawahałem się. Nie chciałem go okłamywać.

- Tak sądziłem.

Podjął spokojnie:

- W zachowaniu Jacka zaszła subtelna zmiana... Od czterdziestu lat bacznie obserwuję ludzi, to należy do mojej profesji. Wydaje mi się, że kiedy został ranny, Tamasin miała pewne podejrzenia, ale się uspokoiła. Niemniej spodziewa się dziecka, Matthew, a jedno już straciła. Gdyby Jackowi coś się stało...

- Guy — odezwałem się z nagłym wzburzeniem. — Czasami człowiek ma pewne zobowiązania, składa przysięgi i aby je wypełnić, potrzebuje... pomocy.

- Matthew, wiem, że poczuwasz się do lojalności tylko wobec jednej osoby, dla której gotów byłbyś narazić siebie... i innych... na niebezpieczeństwo. Myślałem, że królowa wykaraskała się już z tarapatów, w które wpadła wcześniej, lecz chyba się mylę. Cóż, o nią nie dbam. Przyznaję, że należy spłacać długi honorowe. Ale trzeba też myśleć o innych, kiedy się ich do tego angażuje.

- Guy...

- Po prostu martwię się o swego pacjenta.

Poczułem coś na ręce i opuściwszy głowę, zobaczyłem kroplę deszczu. Z szarego nieba leciało ich coraz więcej.

- Proszę wszystkich do środka! — zawołał Barak. — Chodź, żono, zabierz George'a do domu.

Schroniliśmy się pod dach, gdy tymczasem deszcz przeszedł w ulewę, a kobiety pomogły Jane uratować słodycze przed zmoknięciem. Kiedy już znaleźliśmy się w saloniku, rozejrzałem się za Guyem, ale już go nie było.

Rozdział trzydziesty drugi

Zostałem niewiele dłużej. Na zewnątrz lał deszcz, potem nadciągnęła burza. Nieobecność Guya nie uszła uwagi. Powiedziałem Tamasin, że źle się poczuł. Niedługo później sam wyszedłem. Ulewa się skończyła i kiedy wracałem do domu, powietrze było wilgotne i dziwnie rześkie, choć pod stopami chlupał mi obrzydliwy szlam ze ściekami i odpadkami.

Wszedłszy do domu, usłyszałem dobiegający z kuchni niewieści płacz. W sieni stał młody przyjaciel Josephine. Wydawał się zakłopotany, w rękach miał czapkę.

- Co tu się dzieje? - spytałem ostro. Miałem go za porządnego młodzieńca. Jeśli zrobił coś, czym ją zranił...

- To żona Brocketa, jaśnie panie — wyjaśnił Brown pospiesznie. - Wróciliśmy z Josephine i zastaliśmy ją płaczącą w kuchni. Proszę wybaczyć, że tak stoję w korytarzu, jaśnie panie, lecz Josephine kazała mi stamtąd wyjść.

- Rozumiem. - Poszedłem do kobiet. Agnes Brocket siedziała przy stole, bez peruki, z twarzą w dłoniach. Josephine przycupnęła obok niej. Kiedy wkroczyłem, Agnes podniosła wzrok, a pasma orzechowych włosów opadły jej na ramiona.

- Czy stało się coś złego? - zapytałem.

Odpowiedziała Josephine:

- Pani Brocket dostała smutną wiadomość, jaśnie panie. Edward i ja po powrocie zastaliśmy ją we łzach. Nic jej nie będzie, zajmę się nią.

Agnes spojrzała na mnie.

- Wybacz mi, jaśnie panie, głupia ze mnie kobieta...

- A gdzie Martin?

- Wybrał się do miasta, jaśnie panie. — Agnes opanowała się z wysiłkiem, wyjęła chusteczkę i otarła nią oczy. - Nie jest zadowolony z chleba dostarczanego przez pana Dovea i poszedł ze skargą. Nie mów mu, jaśnie panie, że widziałeś mnie płaczącą.

- Chciałbym jednak się dowiedzieć, co się takiego stało, Agnes.

Zaczerpnęła powietrza i popatrzyła na Josephine, która miała niepewną minę. Odpowiedziała cicho:

- Mamy syna, jaśnie panie. Nazywa się John. To nasze jedyne dziecko i wpadł w poważne kłopoty. Nie powiodło mu się w interesach i skończył za długi w więzieniu w Leicester.

- Przykro mi to słyszeć.

Pokręciła głową.

- Był takim ładnym, uroczym chłopcem. Chciał pokazać światu, na co go stać.

Usiadłem naprzeciwko niej.

- Nie ma w tym nic złego.

Po raz pierwszy, odkąd ją znałem, Agnes ściągnęła brwi.

- Martin jest innego zdania. Uważa, że każdy powinien znać swoje miejsce. Zawsze był bardzo surowy dla Johna, pewnie dlatego chłopak wcześniej opuścił dom rodzinny. — Spojrzała na mnie czym prędzej. - Ale nie chcę źle mówić o mężu, jaśnie panie. Mimo swej surowości zawsze kochał syna.

- Jak to się stało, że chłopak wylądował w więzieniu, Agnes. Może jako prawnik mógłbym pomóc.

Zaprzeczyła ze smutkiem.

- Za późno na to, jaśnie panie. John namówił jakichś inwestorów w Leicester, by udzielili mu pożyczki na zakup terenów należących do dawnych klasztorów. Zamierzał je zatrzymać, aż wzrośnie cena ziemi.

- Pożyczyci mu pieniądze bez zabezpieczenia? - spytałem ze zdziwieniem.

Agnes uśmiechnęła się ponuro.

- John, kiedy chce, potrafi oczarować każdego. — Sposepniała. — Jednakże cena ziemi spadała i

spadała, więc pozwali go za długi do sądu i od roku siedzi w więzieniu, gdzie pozostanie, dopóki nie spłaci pożyczki.

- Bardzo wam współczuję.

- Wysłaliśmy mu z Martinem pieniądze... jeśli się nie ma na jedzenie i przyodziewek w tym strasznym miejscu, to się głoduje i marznie. W dodatku John stara się pomału spłacać należności. Ale zostało jeszcze dwadzieścia funtów. Właśnie napisał, że to, co przysyłamy, nie wystarcza na pokrycie odsetek i jego wierzyciele mówią, że dług jest większy niż wcześniej. - Pokręciła głową. - Boję się, że on tam umrze. Zeszłej zimy miał w płucach zator i następnej może nie przetrzymać... - Głos jej się załamał. — Proszę, nie mów, jaśnie panie, Martinowi, że ci o tym powiedziałam. To wstyd, a on jest taki dumny, nie chce, by ktoś wiedział o naszych zmartwieniach...

Podniosłem dłoń.

- Jak sobie życzysz, Agnes. Lecz mógłbym coś zrobić...

- Nie, jaśnie panie, błagam. Już zasięgnęliśmy porady prawnika, powiedział, że nic nie da się uczynić. Nie mów Martinowi - prosiła usilnie. - Bardzo się... zdenerwuje.

- Dobrze. Zastanów się jednak nad tym, co powiedziałem. Pomogę, jeśli tylko będę mógł.

- Dziękuję ci, jaśnie panie. - Lecz ton jej głosu świadczył, że nie wspomni o tym mężowi.

*

Nazajutrz z samego rana poszedłem do kancelarii, ponieważ miałem dużo zaległości w pracy. Znowu zrobiło się słonecznie i gorąco. Kiedy wstałem, Martin Brocket usługiwał mi jak zwykle, nie dając niczego po sobie poznać, więc domyśliłem się, że Agnes nie powiedziała mu o naszej rozmowie.

Kiedy wychodziłem z domu, Josephine spytała, czy może zamienić ze mną słówko. Zaprowadziłem ją do saloniku.

- Agnes Brocket prosiła, bym ci, jaśnie panie, podziękowała za okazaną wczoraj życzliwość.

Chciała, bym zrobiła to w jej imieniu, bo sama się... wstydzi.

- Nie ma czego.

- Ona uważa inaczej. A Martin byłby niezadowolony, gdyby ktoś dowiedział się o tej sprawie. To zraniłoby jego dumę — dodała z nutą pogardy w głosie.

- Zastanawiałem się, dlaczego Brocketowie tak rzadko gdzieś wychodzą z wyjątkiem spacerów.

- I Agnes nie kupuje sobie nic do ubrania.

- Wszystkie pieniądze wysyłają synowi. To mi przypomina, Josephine, jak mi mówiłaś, że zastałaś Martina przeszukującego szuflady mego biurka. Jestem ciekaw, czy w chwili desperacji nie był gotów posunąć się do kradzieży.

- Też tak sobie pomyślałam, jaśnie panie.

- To tłumaczyłoby jego zachowanie. Nic mi jednak nie zginęło, a według ciebie później już tego nie robił.

- Nie, jaśnie panie. A mam na niego baczenie. - Uśmiechnęła się nieznacznie. — On chyba o tym wie. Pewnie dlatego mnie tak nie lubi.

- Cóż, jeśli to była tylko chwila słabości i nic złego się nie stało... Ale to nie może się powtórzyć. Miej oczy szeroko otwarte, dobrze? Jestem teraz zajęty, ale kiedy znajdę trochę czasu, zastanowię się, co z tym począć.

Josephine się uśmiechnęła, rada z przydzielonego jej zadania.

- Możesz, jaśnie panie, na mnie polegać.

*

Wszyscy w kancelarii byli pochłonięci pracą — Barak i Skelly siedzieli każdy przy swoim biurku, Nicholas zaś segregował dokumenty, których zebrały się już całe sterty. Jeśli nie liczyć niechętnych spojrzeń, jakimi Skelly obrzucał wyraźnie obrzmiałą twarz chłopaka, byłby to całkiem zwyczajny dzień roboczy, jakbym pracował ze swymi podwładnymi nad sprawami, które miały być rozpatrywane przez

sąd w nowym trymestrze.

Spokój nie trwał jednak długo. W południe do mego gabinetu przyszedł Barak i z poważną miną zamknął za sobą drzwi.

- Pojawił się Stice.

Odłożyłem pióro.

- Tutaj?

- Tak. Mówi, że ma nowe wiadomości. Czy mam go wprowadzić?

- Uhm. I poproś Nicholasa.

Stice wkroczył do gabinetu pewnym krokiem. Był jak zwykle porządnie odziany i miał przy boku miecz - młody dżentelmen w każdym calu. Nie zaproponowałem mu, by usiadł, więc tylko spojrział na nas trzech z szerokim cynicznym uśmiechem.

- Znowu wszyscy razem, he? - Obrzucił wzrokiem Nicholasa. - Niezłe sińce pod oczami.

- Już schodzą. Jeszcze kilka dni i moja twarz będzie wyglądała całkiem normalnie, w przeciwieństwie do twojej.

Stice się zaśmiał, lecz odruchowo dotknął ucha.

- Cóż, dotrzymuję umowy — powiedział do mnie. - Są wieści z komory celnej. Może uda nam się złapać kilka ptaszków.

- Tych zaginionych? - Nie mogłem opanować podniecenia w głosie.

- Co najmniej czwórkę.

Wymieniłem spojrzenie z Barakiem. Z grupy Greeninga pozostało tylko czterech ludzi, Stice jednak nie wiedział, że dwaj inni nie mogli się zjawić.

Ciągnął:

- Wczoraj z Antwerpii przyłynął żaglowiec. Z holenderską załogą Przywiózł jedwabie, zapewne na uroczyste przyjęcie francuskiego admirała. Cumuje przez noc przy Somers Key Wharf, by jutro ruszyć w drogę powrotną z ładunkiem wełny. Mój człowiek na cle mówi, że dziś rano zjawili się tam czterej ludzie, twierdząc, że prowadzą interesy w Antwerpii i mają na tym statku wykupione miejsca. Jeden Holender, jeden Szkot i dwóch Anglików. Od razu mnie powiadomił. Ci czterej odpowiadają opisowi Curdy'ego, McKendricka, Vandersteyna i Leemana z dworu królowej. — Pociągła twarz Stice'a rozjaśniła się z podniecenia. — Oczywiście, podali fałszywe nazwiska. Myldmore i ten terminator się nie pokazali. Tamtym powiedziano, że mogą wejść na pokład dziś o dziesiątej wieczorem. - Uśmiechnął się. - Ubiegliśmy więc waszego Cecila i pierwsi wytropiliśmy zwierzynę.

- To nie zawody - odparłem zimno. - Jeśli na cle odnotowano przybycie tych czterech, bez wątpienia nasi ludzie dziś się o tym dowiedzą.

- Czy dziesiąta wieczorem to nie dziwna pora, by wejść na pokład? - zapytał Nicholas.

Stice był wyraźnie z siebie zadowolony.

- Poleciałem swemu człowiekowi w porcie, by powiedział, że tyle potrwa załatwianie dokumentów. Zrobi się już ciemno, łatwiej będzie ich pojmać. Musimy tylko zaczekać do wieczora. Zaczaimy się przy Somers Key Wharf. Praca się na nabrzeżu skończy, zapanuje spokój. Jeśli dopisze nam szczęście, złapiemy ich wszystkich. I miejmy nadzieję, że w ich bagażu... albo raczej przy którymś z nich... znajdziemy dziennik Anny Askew. - I *Lamentacje*, pomyślałem, a serce zaczęło bić mi szybciej.

- Po co nam o tym mówicie? — zapytał Stice'a Barak. — Moglibyście pojmać ich sami.

- Ponieważ sir Richard dotrzymuje słowa. — Stice się uśmiechnął, po czym wzruszył ramionami. - I jak powiedziałeś, wasz człowiek dziś pewnie także zwęszy trop. Poza tym podczas próby pojmania ich mogą pojawić się kłopoty. Powiedziałem ludziom na cle, by trzymali się z daleka, bo to prywatna sprawa sir Richarda, ale załódze tego statku może się nie spodobać, że bierzemy ich pasażerów, szczególnie jeśli wszyscy z nich to heretycy.

- Załoga zapewne będzie wówczas piła w mieście - zauważył Barak.

- Na pokładzie zostanie co najmniej dwóch ludzi - zaproponował Stice. - By pełnić wartę i pomagać pasażerom się zaokrętować. A ci czterej mogą, rzecz jasna, przyjść z własną ochroną.

Musiałem przyznać mu rację.

- Tak, wciąż jednak pozostaje kwestia tych dwóch, którzy zabili Greeninga.

- A jeśli na nabrzeżu dojdzie do walki, nie zwróci to uwagi innych? - zapytał Nicholas.

- Jest taka możliwość — potwierdził Barak. - Lecz w przypadku starcia na miecze, w którym bierze udział więcej osób, gawiedź tylko się przygląda, woli się nie mieszać.

- Też tak uważam — rzekł Site. — Oprócz Gowera wezmę jeszcze dwóch ludzi. Możecie przyjść we trzech?

Nicholas i Barak skinęli głowami, a chłopak spojrzał przy tym Stice'owi w oczy.

- A ja prześlę Cecilowi wiadomość i spytam, czy może jeszcze kogoś przysłać - dodałem.

Stice przez chwilę się zastanawiał. Byłem ciekaw, czy bierze pod uwagę to, że jeśli ściągniemy więcej ludzi, możemy zyskać przewagę nad jego grupą, w razie gdyby przyszło do konfliktu między nami. Później jednak znowu się uśmiechnął.

- Ubierzcie się na ciemno. Możemy spodziewać się ekscytującego wieczoru.

- Mam polecenie, by wziąć tych ludzi żywcem - odezwałem się. Przyszło mi do głowy, że Rich wolałby usunąć wszystkich, którzy wiedzą cokolwiek o zapiskach Anny Askew.

- Oczywiście. Sir Richard i wasz przyjaciel Cecil niewątpliwie zechcą każdego z nich przesłuchać. Chyba że ci zechcą odgrywać bohaterów i stawiać opór. To fanatycy, pamiętajcie. - Stice spoważniał.

- Dobrze, zgoda. Chyba że będą stawiać opór.

- A zatem o dziewiątej, przy Somers Key Wharf. Byłem tam i zapłaciłem zarządcy portu, by naprzeciwko tego holenderskiego statku przeniesiono stos pustych beczek. Ukryjemy się za nimi i będziemy czekać, to najlepsza strategia, by wziąć ich z zaskoczenia. Spotkamy się o ósmej przy Needlepin Lane, by o dziewiątej być na nabrzeżu. Dziś ma być pochmurna noc, więc będzie ciemno. Kiedy się zjawia, nawet nie będą wiedzieli, co się dzieje.

- Doskonale wszystko obmyśliłeś — przyznałem niechętnie.

Stice skłonił mi się przesadnie i znowu potoczył po nas wzrokiem.

Barak odpowiedział kamiennym spojrzeniem, Nicholas zaś pełnym gniewu.

- Spokojnie, młodzieńcze — drwiąco rzucił do niego Stice. - Bez urazy, jak powiedziałem wcześniej panu Shardlake'owi. Dobrze się spisałeś jak na prowincjusza.

- W równej walce, jeden na jednego, pokazałbym ci, gdzie raki zimują.

- Kto wie? Na razie jednak jesteśmy po tej samej stronie.

- Do czasu — odparł spokojnie Nicholas.

*

Wieczorem spotkaliśmy się we trzech u Nicholasa i stamtąd udaliśmy się razem do miasta. Było pięknie, słońce zachodziło powoli i na ciemniejącym, granatowym niebie sunęły lekkie białe chmury. Z zachodu wiał rześki wiatr. Przyjrzałem się swym towarzyszom. Barak był podekscytowany i skupiony, Nicholas zaś pełen chłodnej determinacji. Powiedziałem do niego:

- Dziś wieczorem nie chcę żadnej brawury. Nie daj się Stice'owi sprowokować i bez potrzeby nie ryzykuj.

- Nie zawiodę cię, panie. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: -Wiem, jaka to niebezpieczna akcja. I zdaję sobie sprawę, że musimy obserwować naszych sprzymierzeńców tak samo uważnie jak wrogów.

- Jeśli rzeczywiście są wrogami. Nie wiemy nawet, czy mają *Lamentacje*.

- Dziś wieczorem się tego dowiemy.

Skinąłem głową. Trudno wyrazić, jak bardzo byłem rad, że mam przy sobie jego i Baraka. Wolałem sobie nawet nie wyobrażać, jaki mógłby spotkać mnie los, gdybym znalazł się sam między grupą fanatyków religijnych a bandą ludzi Richa. Dostałem od Cecila wiadomość, że dołączy on do nas w domu

przy Needlepin Lane wraz z dwoma sprawnymi mężczyznami z otoczenia lorda Parra. Przypuszczałem, że w walce będzie z niego taki sam niewielki pożytek jak ze mnie, więc tak naprawdę razem z grupą Stice'a mieliśmy ośmiu ludzi.

Skęciliśmy w Needlepin Lane, mijając gospodę, której klienci jak zwykle stali na zewnątrz, i zapukaliśmy do drzwi domu z zielonymi okiennicami. Stice wpuścił nas do środka. Gower siedział przy stole. Towarzyszyło mu dwóch potężnych mężczyzn z mieczami. Wyglądało na to, jak powiedziałyby Barak, że mogą się przydać.

Stice był ożywiony i w dobrym humorze. Z szyderczym ukłonem przedstawił nas tym dwóm.

- To komisarz Shardlake. Reprezentuje interesy pewnej osoby, której także zależy na tym, by zapiski pani Anny zostały zniszczone. A to jego ludzie, Barak i pan Overton. Overton i Gower kilka dni temu mieli drobną sprzeczkę, jak możecie się zorientować po stanie twarzy tego młodzieńca.

Nicholas spojrział na niego obojętnie.

- Nużą mnie już twe zaczepki, panie. Szkoda czasu na głupie gierki.

- Racja - poparłem go.

Stice wzruszył ramionami.

- Tak się tylko przekomarzam.

Rozległo się pukanie do drzwi. Stice je otworzył i wkroczył Cecil z dwoma roslymi mężczyznami, nieco starszymi od ludzi sprowadzonych przez Stice'a. Jak my wszyscy byli ciemno odziani. Cecil wziął głęboki oddech, obejmując zebranych chłodnym spojrzeniem, jakby patrzył na grono kolegów prawników. Stice uśmiechnął się do niego szeroko.

- Młody pan Cecil! Słyszałem niedawno, że zyskujesz coraz mocniejszą pozycję w służbie pewnej osobistości.

Cecil odpowiedział zimno i dobitnie:

- Jak rozumiem, jesteś Stice, zausznik sir Richarda. Mówiono mi że masz...charakterystyczną powierzchowność.

Stice zmarszczył czoło, Cecil zaś spytał:

- Wszyscy mamy iść na Somers Key Wharf?

- Tak. - Tamten wyjrzał przez okno. - Zapadł już zmrok. Dotrzemy tam na dziewiątą, schowamy się za beczkami i będziemy czekać. Kiedy przyjdą, schwytamy ich i przyprowadzimy tutaj, razem z bagażem. Myślę jednak, że manuskrypt, którego szukamy, raczej będą mieć przy sobie. Kazałem swemu człowiekowi czekać niedaleko nabrzeża z dużym konnym wozem, nakrytym plandeką. Zwiążemy ich i zakneblujemy, by siedzieli cicho w czasie jazdy, w razie czego trzeba ich będzie ogłuszyć.

- Musimy działać szybko i w porozumieniu - zauważył Barak.

- Tak się umawiamy. W razie gdyby któryś z wartowników spytał, co tam robimy, mam pieczęć sir Richarda. — Stice spojrział na Cecila. -Jeśli tamci będą stawiać opór i ktoś zginie, to nie nasza wina. Gdyby zjawili się także zabójcy drukarza i zostali zabici, chyba przyznasz, że nie byłoby wielkiej szkody?

- Zgadzam się - odparł spokojnie Cecil. Wskazał puste palenisko. - Jeżeli zaś znajdziemy przy nich jakieś zapiski, bezzwłocznie wrzucimy je do ognia. Czy co do tego także mamy zgodę?

Stice się zawahał, Cecil jednak ciągnął gładko:

- Twój pan, jak się zdaje, wolałby, żeby nikt ich nie oglądał. Na wypadek gdyby mogły mu w jakiś sposób zaszkodzić. - Spojrział tamtemu w oczy.

Podziwiałem jego zimną krew. Rich nie chciałby, by nawet jego ludzie widzieli jakiegokolwiek dowody, że razem z Wriothsleyem torturował Annę Askew. Bez wątplenia ucieszyłby się, gdyby w jej dzienniku znalazło się coś, co mogłoby zagrozić królowej, i dawałem mu do zrozumienia, że jest taka możliwość, lecz jak mi już powiedział, nie było to teraz dla niego najważniejsze. Cecil z całą pewnością liczył, że zdołamy szybko spalić wszystkie pisma, jakie znajdziemy, łącznie z *Lamentacjami*, jeśli

pozostali przy życiu członkowie grupy Greeninga będą je mieli. A ponieważ Greening, kiedy go napadnięto, oderwał z pierwszej stronicy tytuł książki, miałem nadzieję, że trudno będzie zidentyfikować jej autora.

- Wobec tego wszyscy gotowi? - spytał Barak.
- Tak - odparł Stice.
- Zatem w drogę.

Rozdział trzydziesty trzeci

Ruszyliśmy w dziesięciu Thames Street. Wszyscy w ciemnych ubraniach, w większości z mieczami przy boku. Właśnie zaczęła się godzina policyjna, więc nieliczni przechodnie ustępowali z drogi naszej groźnie wyglądającej czeredzie. Podszedł do nas nieco zalękniony strażnik nocny, by spytać, dokąd zmierzamy, lecz Stice tylko odparł wyniośle:

- W sprawie sir Richarda Richa, doradcy króla. — I pokazał złotą pieczęć.

Strażnik podniósł światło, by na nią spojrzeć, po czym skłonił się i pozwolił nam odejść.

Minęliśmy London Bridge, kiedy w stojących na nim czteropiętrowych budynkach właśnie zapalano świece. Zaczynał się odpływ i słychać było ryk wody, która przelewała się pod szerokimi kamiennymi podporami mostu. Było tu zbyt niebezpiecznie, by łodzie mogły przybijać do brzegu, więc nabrzeża przeznaczone dla kupców z zagranicy znajdowały się w dole rzeki. Rozciągały się one od mostu do Tower of London, a kiedy tak jak teraz w porcie panował ruch, stanowiły linię masztów długości ćwierci mili. Za nabrzeżem ciągnął się długi rząd budynków. Na Billingsgate Wharf ujrzałem wysokie, przypominające szkielety żurawie rysujące się na niemal ciemnym już niebie, a dalej w ostatnich promieniach słońca wznosiła się niczym duch sylwetka Tower.

Skęciliśmy w Botolph Lane, kierując się nad rzekę. Szliśmy po cichu, potykając się co jakiś czas, gdyż nie mieliśmy lamp. Z kilku budynków dochodziły dźwięki hulanki i zabaw, choć zaczęła się już godzina policyjna. Mieściły się tam nielegalne gospody i burdele dla schodzących nocą na brzeg żeglarzy. Władze przymykały oko na ich działalność.

Doszliśmy do nabrzeża i długiego szeregu statków. W porównaniu z hałasem panującym na okolicznych uliczkach było tu cicho. Przez chwilę wydawało mi się, że coś usłyszałem, jakby z alejki, z której wyszliśmy, dobiegło stąpnięcie na kamień. Obejrzałem się szybko, lecz zobaczyłem tylko ciemne puste przejście. Wymieniłem z Barakiem spojrzenie - on też pochwycił ten dźwięk.

Stice szedł na przedzie po brukowanym nabrzeżu, trzymając się blisko zabudowań magazynowych, za którymi kołysały się na fali statki - niskie, ciężkie, jedno- albo dwumasztowe jednostki kupieckie, przywiązane grubymi linami do dużych kamiennych pachołków, ze zwiniętymi ciasno żaglami. Po wznowieniu handlu z Francją i Szkocją i przy takim imporcie towarów luksusowych na wizytę admirała, nabrzeża za dnia musiały tętnić życiem. Na wodzie odbijały się światła statków i latarnie obsługujących je łodzi.

Nieopodal stał wysoki stos beczek, liczący trzy poziomy i zabezpieczony sznurami.

- A teraz cicho - polecił szeptem Stice. — Ukryjcie się za nimi.

Jeden po drugim wślizgnęliśmy się w ciemną przestrzeń. Przykucnąłem między Cecilem a Stice'em, wciskając się między dwie beczki, które mocno pachniały winem. Naprzeciwko nas cumował dwumasztowy krajer, przysadzisty ciężki statek przeznaczony do żeglugi po Morzu Północnym i przewozu około trzydziestu ton. Z wymalowaną na burcie nazwą: *Antwerpen*. Na pokładzie miał małą pokładówkę z uchylonymi okiennicami. W środku siedziało dwóch ludzi w lnianych koszulach, przy świetle lampy grając w karty. Mężczyźni nie byli już młodzi, lecz wyglądali na silnych.

Na twarzy Cecila malowało się napięcie. Pomyślałem, że nie jest w swoim żywiole, i byłem ciekaw, czy pod pozorami spokoju nie skrywa lęku przed przemocą. Szepnąłem do niego:

- Odniosłem wrażenie, że coś usłyszałem u wylotu tamtej alejki zaraz po wejściu do doków. Jakby ktoś niechcący potracił kamyk.

Zwrócił się ku mnie z wyraźnie już zaniepokojoną miną.

- Czy chcesz powiedzieć, że ktoś nas śledzi?

- Barak też to słyszał. Mam niejasne przeczucie.

Stice, po mojej drugiej stronie, spytał Baraka, którego miał przy boku:

- Tak było?

Jack potwierdził skinieniem głowy.

Oczy Stice'a zabłyśły w mroku.

- Raz czy dwa zdawało mi się, że dom przy Needlepin Lane był obserwowany. Lecz nigdy nie udało mi się nikogo przyłapać.

- Nie wiemy na pewno, czy zabójcy Greeninga mają powiązania z anabaptystami - zauważył Cecil.

- A jeśli w sprawę zamieszana jest jeszcze trzecia grupa, ktoś, kogo nie znamy?

- To dziś wieczorem się tego dowiemy — odrzekł Stice. — Bądźmy cicho, przestańmy rozmawiać i patrzmy.

Siedzieliśmy w ukryciu przez prawie godzinę. Bolały mnie plecy i kolana i musiałem co chwila zmieniać pozycję. W pewnym momencie stężeliśmy na dźwięk kroków i głosów, sięgając po miecze i sztylety, lecz ujrzeliśmy tylko dwóch żeglarzy, którzy, pijani, zataczali się na nabrzeżu. Weszli na stojący dalej żaglowiec. Z wyjątkiem odległych krzyków, które dobiegały z karczm, panowała cisza, przerywana jedynie pluskiem wody wokół statków.

Wreszcie usłyszałem kroki kilku osób, tym razem ciche i szybkie, dobiegające z wąskiej alejki po lewej stronie, i dostrzegłem tam kiwające się światło latarni. Nasi ludzie porozumieli się szeptem.

- Jest ich czterech - powiedział mi do ucha Stice. - To chyba oni. Dobrze, ty i pan Cecil trzymajcie się z tyłu, my się nimi zajmiemy. - Zaraz potem, przy wtórze tupotu stóp i wyraźnym świcie wyciąganych z pochew mieczy, pozostali wypadli zza beczek. Cecil i ja ruszyliśmy za nim, dzierżąc w pogotowiu sztylety.

Tamci byli całkowicie zaskoczeni. W blasku uniesionej latarni ukazały się cztery zdumione postacie. Odpowiadały opisom, które miałem w pamięci: wysoki, mocno zbudowany trzydziestokilkuletni mężczyzna o kwadratowej twarzy to musiał być szkocki kaznodzieja, McKendrick; korpulentny w sile wieku - kupiec Curdy; a szczupły jasnowłosy - Holender, Vandersteyn. W czwartym, dwudziestoletnim, wysokim i roslym, rozpoznałem Leemana, żołnierza straży królowej, który zdezerterował. Ten był przygotowany do walki, podobnie jak Szkot, który służył kiedyś w armii. Poza Curdym, raczej nieruchawym jak każdy dobrze prosperujący kupiec, każdy z nich wyglądał na takiego który nie da sobie w kaszę dmuchać.

Wszyscy czterej natychmiast przystąpili do obrony, także dobywając mieczy. Nie zamierzali łatwo się poddać. Z wyjątkiem Curdy'ego, który niósł lampę i szybko ją odstawił, tylko ten jasnowłosy miał skrzepowane bagażem ruchy, rzucił go więc na bruk. Była to duża torba. Jednakże Stice ze swoimi podwładnymi, dwaj ludzie Cecila, Barak i Nicholas przewyższali ich liczebnie. Rozstawili się półkołem, otaczając tamtych, którzy pospiesznie zerknęli, tak jak ja, na statek z Antwerpii. Dwaj członkowie załogi wyszli z pokładówki i stali przy relingu, przyglądając się, co się dzieje. Spod pokładu wyłonił się trzeci, który przyłączył się do nich.

Stice zawołał:

- Opuście miecze! Nie macie z nami szans! Jesteście aresztowani za próbę wywiezienia z kraju wywrotowych pism.

Jasnowłosy zawołał coś po holendersku do mężczyzn na żaglowcu. Jeden z ludzi Stice'a rzucił się na niego z mieczem, lecz ten natychmiast odparował atak, a trzech żeglarze sprawnie przeskoczyli przez reling i wylądowali na nabrzeżu, każdy ze sztyletem w dłoni. Serce mi zamarło, bo teraz siły były niemal wyrównane.

Jeden z ludzi Cecila odwrócił się i uniósł broń, a wtedy jasnowłosy Holender ciął go przez plecy. Tamten krzyknął i wypuścił miecz, który z brzękiem upadł na kamienie. Wtedy Vandersteyn spojrział na nas i wraz z trzema towarzyszami zaczął powoli wycofywać się w stronę statku. Zerknąłem na ранiego mężczyznę; nie ulegało wątpliwości, że nie mieliśmy przeciwko sobie gromady amatorów, lecz naprawdę niebezpiecznych ludzi.

- Odciać im drogę! - wrzasnął Stice.

Chwilę później w ruch poszły miecze i sztylety, ich ostrza zabłyśły w świetle lampy. Postąpiłem krok do przodu, lecz Cecil szybko położył mi rękę na ramieniu.

- Nie! Musimy żyć, by odzyskać księgę.

Obok statku toczyła się prawdziwa bitwa, której towarzyszył szcęk broni. Do relingów sąsiednich statków podchodzili wartownicy i patrzyli ciekawie. Curdy, najśłabszy ze zbiegów, rzucił się niezgrabnie na Gowera, który — nie zważając na umowę, by wziąć przeciwników żywcem - ciął go mieczem w szyję i niemal pozbawił głowy. Tamten padł na bruk martwy.

Z tego, co widziałem, pozostali zbiegowie skutecznie parowali ciosy naszych, cofając się powoli i z rozmysłem w stronę *Antwerpen*. Nie mogliśmy pozwolić, by weszli na pokład żaglowca. Zbliżyłem się do walczących, choć w słabym blasku lampy widziałem tylko poruszające się szybko cienie, jasne twarze i błyski metalu. Stice dostał cios w czoło, lecz walczył dalej, mimo że po twarzy spływała mu krew, i pokonał jednego z żeglarzy, wbijając mu miecz w brzuch. Zrobiłem następny krok do przodu, lecz Cecil znowu mnie powstrzymał.

- Będziemy tylko zawadzać!

Zerknąłem na niego — zachował chłód i opanowanie, lecz jego stanowczość świadczyła, że się bał. Spojrzał na martwego człowieka lorda Parra, leżącego twarzą na bruku w kałuży krwi.

Nicholas i Barak tymczasem próbowali pokonać Leemana, który okazał się trudnym przeciwnikiem. Usiłował odwieść ich od środka walki, spychając w stronę alejki, którą przyszliśmy.

- Przynajmniej mogę zrobić to! - powiedziałem, podbiegając do torby Vandersteyna, która leżała porzucona na ziemi. Chwyciłem ją i rzuciłem w ramiona Cecilowi. — Masz! Zajmij się nią! - zawołałem, po czym dobyłem sztyletu i zbliżyłem się do Leemana, który wiódł Baraka i Nicholasa w alejkę, wykonując zręczne wypady i odparowując każdy ich atak. Miał wieloletnią wprawę i można było odnieść wrażenie, że przychodzi mu to bez żadnego wysiłku. Najwyraźniej zamierzał odciągnąć ich od pozostałych, by McKendrick i Vandersteyn dostali się na pokład statku. Tymczasem przy *Antwerpen* dalej toczyła się walka i stal uderzała o stal.

Podniosłem sztylet, by od tyłu wbić go Leemanowi w ramię. Ten jednak mnie usłyszał i wykonał półobrót. Wówczas Nicholas ciął go w przedramię, podczas gdy Barak odwrócił miecz i płazem uderzył w potylicę. Leeman padł na ziemię u wylotu alejki jak worek ziemniaków. Barak i Nicholas pobiegli z powrotem, by włączyć się do głównego starcia.

Było nas teraz pięciu przeciwko czterem — Vandersteynowi, McKendrickowi i dwu pozostałym holenderskim żeglarzom. Miałem nadzieję, że reszta załogi siedzi w karczmach i pije. Nagle jednak jeden z żeglarzy zdołał dostać się z powrotem na pokład statku. Wyciągnął rękę i Vandersteyn, choć już zraniony w nogę, skoczył za nim, pozostawiając na brzegu Szkota i drugiego żeglarza.

Znalazłszy się na pokładzie, Vandersteyn z żeglarzem przecięli mieczami cumy. Żeglarz chwycił długi drąg i zaczął odpychać żaglowiec od brzegu. Statek, natychmiast uniesiony prądem, powoli, ciężko oddalił się od nabrzeża. Vandersteyn krzyknął do pozostałych towarzyszy:

- Przepraszam, bracia! Niech Bóg ma was w opiece!

- Zatrzymać ich! - zawołał Stice.

Lecz było już za późno, żaglowiec wypłynął na rzekę i mocno kołyszając się na falach, dryfował z nurtem. Dwaj ludzie na pokładzie usiłowali odzyskać ster, niemal przewracając łódź, która nie zdążyła w porę usunąć się z drogi. Nad wodą poniosł się stek przekleństw, kiedy żaglowiec wypłynął na środek Tamizy. Zobaczyłem rozwijany żagiel.

Pozostali: Holender i McKendrick, stali zwrócenii plecami do rzeki. Zdali sobie sprawę, że nie mają szans, więc opuścili miecze.

- Rzućcie je na ziemię! — nakazał Stice.

Wykonali polecenie i metal zadźwięczał o bruk. Stice dał znak swoim ludziom, by także złożyli broń. Spojrzałem na cztery leżące na ziemi ciała: holenderskiego żeglarza, Curdy'ego, człowieka Cecila i nieco

dalej - Leemana, który spoczywał twarzą do dołu u wylotu alejki.

- Nie żyje - orzekł Barak.

Wartownicy na pobliskich statkach wciąż obserwowali zajście, rozmawiając z sobą żywo w obcych językach, lecz Barak się nie mylił - woleli nie mieszać się do walki na miecze z kilkunastoma ludźmi. Jeden zawołał coś do nas po hiszpańsku, lecz go zignorowaliśmy. W każdej chwili jednak mogli wrócić z karczm inni. Popatrzyłem na Holendra i McKendricka. Odpowiadając na moje spojrzenie, Holender odezwał się po angielsku z wyraźnym obcym akcentem:

- Jesteśmy obywatelami Flandrii. Nie podlegamy waszemu prawu. Nie możecie nas zatrzymać.

- A niech cię zaraza! - wrzasnął Stice. - Wasze zwłoki jeszcze dziś w nocy znajdą się w rzece!

Jego głowa i ramiona spływały krwią. W świetle lampy wyglądał jak duch z misterium.

Holender wyraźnie się przeraził, lecz McKendrick śmiało zawołał donośnym głosem kaznodziei, z wyraźnym szkockim akcentem:

- Przegraliście! Vandestejn ma rękopis, zapiski Anny Askew! Trzymał go przy sobie, nie w torbie.

Dlatego umożliwił mi wejście na pokład. Przegraliście! - powtórzył triumfalnie.

Stice szybko odwrócił się do Cecila.

- Musimy przejąć statek!

- Jakim prawem? — zapytał tamten już ostrym władczym tonem. - Oskarżając ich, że wywożą heretyckie dzieło? Wówczas wiadomość o księdze rozeszłaby się w ciągu jednego dnia. Ponadto przejęcie obcego statku handlowego wywołałoby konflikt dyplomatyczny, a w tej chwili trzeba nam tego jak dziury w moście.

Stice otarł twarz poplamionym krwią rękawem, po czym spojrzał na bagaż, który wciąż trzymał Cecil.

- Może kłamią i księga jest tutaj! — Wyrwał torbę z rąk Cecila i opróżnił jej zawartość na ziemię, przyciągając światło. Pomogłem mu ją obejrzeć; nie było tam nic ciekawego poza ubraniami na zmianę, Biblią po niderlandzku i sakiewką z monetami. Stice rzucił torbę i przeklął.

- Przeszukać tych ludzi! — nakazał, wskazując McKendricka i Holendra. Dwaj jego ludzie chwycili ich i zrewidowali brutalnie pod okiem Cecila i moim, po czym zwrócili się do swego pana, pokazując dwie sakiewki:

- Nic oprócz tego!

- Zajrzyjcie do środka!

Dwaj mężczyźni rozwiązali sznurki i zajrzeli do sakiewek. Korzystając z okazji, Szkot nagle rzucił się do przodu i chwycił swój miecz. Najbliżej niego stał Gower. Wykorzystując element zaskoczenia, McKendrick zadał mu głębokie pchnięcie w pierś. Gower z krzykiem zachwiał się do tyłu, wpadając na stojącego za nim człowieka, który stracił równowagę, a Szkot, z zadziwiającą jak na kogoś tak wysokiego szybkością, pomknął w głąb alejki, przeskakując nad rozciągniętym ciałem Leemana. Ludzie Stice'a pędem ruszyli za nim, znikając w ciemności.

- Na rany Chrystusa! - wykrzyknął Cecil. Pierwszy raz stracił przy mnie opanowanie. - Straciliśmy ich wszystkich! - Podeszedł do Holendra i, ku memu zdziwieniu, odezwał się do niego po flamandzku. Po krótkiej rozmowie wrócił. — Nic nie wie — powiedział ze złością. — Wszyscy należą do tej samej heretyckiej kongregacji w Antwerpii, słyszeli tylko, że ich przyjaciel Vanderstejn ma wywieźć ważną księgę. Ten tutaj mówi, że są jeszcze dwaj członkowie załogi, którzy wrócą niebawem z karczmy. Nie możemy z powodu tego incydentu wszczynać konfliktu dyplomatycznego. - Mówił to z rozpaczą, patrząc na cztery ciała i rannego Gowera, który padł na kolana i chwycił powietrze, trzymając się za brzuch. Spomiędzy jego palców sączyła się krew.

Dwaj ludzie, którzy pobiegli za McKendrickiem, wrócili sami.

- Uciekł nam, w tych uliczkach panują egipskie ciemności. Diabli wiedzą, gdzie się podział.

- Nie! - Słyszac głos Holendra, odwróciliśmy się ku niemu. - To Bóg to wie. Ten człowiek jest jego sługą, w przeciwieństwie do was, podnóżki papieża.

Stice i jego ludzie spojrzeli na niego groźnie i spuściliby mu baty, gdyby Cecil nie zawołał do nich ostro:

- Przeszukajcie zwłoki Leemana i Curdy'ego. Szybko, mamy mało czasu.

- Po co? - zapytał Stice. Wyjął chusteczkę i ocierał nią twarz.

Cecil wskazał głową Holendra.

- Na wypadek gdyby on kłamał i któryś z nich miał księgę przy sobie.

Barak i Nicholas przeszukali Leemana, podczas gdy jeden z ludzi Stice'a zajął się Curdym. Cecil i ja staliśmy nad nim, w razie gdyby znalazł jakieś papiery. Jednak przy żadnym z nich niczego nie znaleziono, z wyjątkiem sakiewek z pieniędzmi na rozpoczęcie nowego życia po drugiej stronie kanału. Westchnąłem. Gower, krztusząc się, legł już na ziemi. Stice podszedł i ukląkł obok niego.

- Zajmiemy się tobą - powiedział zaskakująco łagodnym tonem.

Spojrzałem na martwego człowieka Cecila.

- Czy miał rodzinę? - zapytałem.

Cecil pokręcił głową.

- Nie wiem. Nieszczęśnik należał do dworu lorda Parra. — Zwrócił się do drugiego mężczyzny, który z nim przyszedł. - Znałeś go?

- Słabo, panie. Wiem jednak, że miał żonę.

- Co zrobimy z ciałami? - cicho zagadnął Nicholas.

- Wrzucimy do wody - odparł Stice, wstając. - Nie da się ich zidentyfikować, a przy odrobinie szczęścia, zanim wypłyną, zostaną zniesione prądem w dół rzeki. Pozostali członkowie załogi zobaczą po powrocie, że statek odpłynął, i dowiedzą się o bójce, lecz nie znajdą żadnych śladów, które prowadziłyby do nas. Do rzeki ze zwłokami!

- Nie mojego człowieka - stanowczo sprzeciwił się Cecil. - Słyszałeś, miał żonę. Zabiorę go łodzią do Whitehall. Jesteśmy mu to winni. Możemy powiedzieć, że został napadnięty przez rabusiów.

Stice głęboko odetchnął.

- Musimy zanieść Gowera do medyka. Jakoś to wytrzyma.

Żeglarz z sąsiedniego statku znowu zawołał do nas po hiszpańsku, a sądząc z intonacji, o coś pytał. Stice odwrócił się i wrzasnął: - Idź precz!

- Spokojnie, Stice — szybko odezwał się Barak. — Pozbędziemy się tamtych dwóch; masz rację, gdybyśmy ich tak zostawili, mogłyby być kłopoty.

Tamten skinął głową. Opuszczając ramiona, zwrócił się do mnie i powiedział:

- Zawiedliśmy, Shardlake. Sir Richard będzie żądał wyjaśnień.

- Nie on jeden - zauważył Cecil.

Stice odszedł, a dwaj jego ludzie wzięli rannego Gowera.

Barak pokręcił głową.

- Dostał w brzuch. Wątpię, by przeżył.

- Ja też - odrzekłem. - Dobra robota, Nicholasie, załatwiłeś Leemana. Był mężnym wojownikiem.

Barak się uśmiechnął.

- Nie był, lecz jest. Chodźmy zobaczyć, co z nim. Weźmy lampę.

Zaskoczeni, Cecil, Nicholas i ja podeszliśmy do rozciągniętego na ziemi Leemana. Nicholas go odwrócił. Rana na ramieniu przestała krwawić. Barak przytknął dłoń do nozdrzy żołnierza.

- Oddycha. Tylko go ogłuszyłem. - Spojrzał na mnie i Cecila, po czym się uśmiechnął.

- Powiedziałaś, że nie żyje! — zawołał Nicholas.

- Trzeba wiedzieć, jak zdieścić człowieka po głowie. Pomyślałem, że lepiej sprawiać wrażenie, iż nie żyje, a potem, po odejściu Stice'a, wziąć go na spytki. - Skrzywił się lekko, - Bałem się, że może oprzytomnieć i zacząć jęczeć, lecz wciąż nie doszedł do siebie.

Nicholas popatrzył na Baraka z szacunkiem. Cecil niedowierzająco pochylił się nad Leemanem.

- Czy jesteś pewien, że nic mu nie będzie?

- O, tak. Niebawem się ocknie.

Przyjrzałem się twarzy młodego strażnika.

- Wygląda na to, że zapiski Anny Askew przepadły, lecz jeśli ktoś wie, co się stało z

Lamentacjami, to tylko on.

Cecil uśmiechnął się z ulgą.

- Słusznie. Barak, dobrze się spisałeś.

- Może nie chceć mówić - mruknął Nicholas.

Cecil spojrział na niego twardym wzrokiem.

- Zechce. - Rozejrzał się. Wciąż byliśmy obserwowani z sąsiednich statków, ale jak na razie nie było widać, aby pozostali członkowie załogi *Antwerpen* wracali z miasta. — Dobrze - powiedział. - Wrzucie zwłoki zabitych do rzeki. Szybko!

Rozdział trzydziesty czwarty

Sprawnie opatrzyłem chusteczką ramię Leemana. Na szczęście, rana, którą zadał mu Nicholas, choć długa, była płytka. Cecil i pozostali przy życiu człowiek lorda Parra stali nade mną i patrzyli. Tymczasem Barak i Nicholas zepchnęli do Tamizy zwłoki Curdy'ego i holenderskiego żeglarza, ze zgrozą obserwowani przez Hiszpana na sąsiednim statku. Skrzywiłem się, słysząc pierwszy, a potem drugi plusk. Leżący obok mnie Leeman wciąż był nieprzytomny. Żywiłem obawy, że Barak uderzył go zbyt mocno i poszukiwania dzieła królowej przyniosą kolejną śmierć. *Lamentacje*, nomen omen, pomyślałem gorzko. Barak i Nicholas wrócili, pierwszy z zaciętą miną, drugi zaś nieco poruszony. Zobaczyłem, że jedno z ciał obraca się w wodzie, szybko unoszone nurtem w dół rzeki - zapewne Curdy'ego, sądząc po okrągłych kształtach.

Barak ukląkł i obejrzał Leemana.

- Musimy zabrać go gdzieś i przesłuchać, gdy dojdzie do siebie.

- Ale gdzie? - spytałem.

- Nie możemy zanieść go do pałacu - stanowczo odparł Cecil.

- Mieszkam niedaleko - mruknął Nicholas. - Moich kolegów na pewno nie ma. Jeden z nich świętuje dziś urodziny. Nie skończy się to wcześniej, być może wrócą do domu dopiero nad ranem.

- Zrezygnowałeś z wypitki, by pójść z nami? - zagadnął Barak. - Jesteśmy zaszczytzeni.

- O, tak - potwierdziłem z powagą. - Bardzo nam pomogłeś. A nie było to przyjemne zadanie.

Nicholas zaśmiał się dziwnie, jakby się zacinał.

- Nigdy wcześniej nie widziałem śmierci człowieka.

Chłodnym głosem, choć z przejęciem w dużych oczach, odezwał się Cecil:

- Zanieście Leemana do kwatery chłopaka. Poproszę, by przysłali po niego kogoś z Whitehall, kiedy tylko znajdą miejsce, gdzie byłby bezpieczny.

- Weźmiemy go między siebie - zakomenderował Barak. - Gdyby nas zapytano, będziemy udawać, że to pijany towarzysz, który stracił przytomność.

Cecil spojrział na ciało zabitego człowieka lorda Parra.

- A my zaniemiemy tego nieszczęśnika do pałacu i obudzimy lorda Parra. Gdzie mieszkasz, młodzieńcze? — spytał Nicholasa. — Przyślemy do was ludzi, by zabrali Leemana. Lecz to może potrwać kilka godzin. Zajmijcie się nim dobrze.

- Musimy być ostrożni — powiedziałem. — Miałem wrażenie, że byliśmy śledzeni. Jestem pewien, że słyszałem, jak ktoś potrącił kamyk w alejce.

- Mnie też się tak wydawało — potwierdził Barak. - Musimy uważać. Nick, chłopcze, trzymaj miecz w pogotowiu.

Barak i Nicholas podnieśli Leemana, zarzucając sobie jego bezwładne ręce na ramiona. Cecil popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Barak rzucił mu posępne spojrzenie.

- Nie martw się, panie, szybko odzyska przytomność.

Tamten pokręcił głową, jakby nie mogąc uwierzyć, że doszło do tego wszystkiego. Po czym dał znak drugiemu człowiekowi lorda Parra, by pomógł mu podnieść zwłoki.

*

Dotarliśmy do kwatery Nicholasa bez żadnych przeszkód. Wzięliśmy porzuconą lampę konspiratorów, by oświetlać sobie drogę. Nasłuchiwałem, czy ktoś nie podąża za nami ciemnymi uliczkami, lecz nie usłyszałem niczego podejrzanego. Kiedy doszliśmy na miejsce, Leeman nadal był nieprzytomny. Barak i Nicholas położyli go na łóżku, które domagało się zmiany pościeli. Kaszlnąłem od unoszącego się w izbie kurzu.

- Nie masz nikogo do sprzątnia? — zagadnąłem.

- Miałem pewną kobietę, lecz Stephen, który mieszka po sąsiedzku, próbował się do niej dobrać o

jeden raz za dużo. I od tej pory nie znaleźliśmy żadnej innej na zastępstwo.

Spojrzałem na półkę, na której stały książki. Zauważyłem, że oprócz dzieł prawnych i podejrzenie dziewiczego Nowego Testamentu znajdowało się tam kilka tomów poświęconych zachowaniu się szlachcica oraz traktat na temat łowiectwa.

- Mam resztkę pieczeni wieprzowej i chleb - odezwał się Nicholas. - Pieczeń da się jeszcze zjeść. Jestem głodny. - Jego twarz pod schodzącymi sińcami wydawała się blada. Barak także wyglądał na zmęczonego i przybitego. Wszyscy byliśmy wyczerpani. Przyjrzałem się Leemanowi, który leżał jak kłoda na łóżku. Był młody, wysoki i silnej budowy, miał ciemne włosy, starannie przystrzyżoną brodę i urodziwą twarz o dumnym rzymskim nosie. Nosił barchanowy bezrękawnik, daleki od eleganckich strojów z dworu królowej. Delikatnie obmacałem jego głowę i wyczułem na niej dużego guza.

Barak z Nicholasem usiedli przy stole i żarliwie pochłaniali pieczeń z chlebem, które Nicholas przyniósł z kuchni.

- Chodź - powiedział do mnie Barak. — Zjedz coś. Pewnie zejdzie nam się tutaj.

Przyłączyłem się do nich, stale jednak zerkając na Leemana. Miałem trochę czasu, by go przesłuchać, zanim przyjdą ludzie lorda Parra. Przeczuwałem, że podobnie jak Myldmore ten człowiek zechce mówić, jeśli tylko uda nam się go przekonać, że działamy na rzecz reformatorów. Warto było spróbować.

Przyszło mi na myśl, co powiedziałem Nicholasowi po ucieczce Eliasa: „Nigdy nie dawaj narowistemu koniowi ostrogi, jeśli nie ma potrzeby”. Musiałem za wszelką cenę zorientować się, co wiedział Leeman, lecz miałem świadomość, że najskuteczniejszą metodą może okazać się trochę łaskawości.

Przypomniałem sobie uwagę Cecila, że Leeman będzie mówił, i wyobraziłem sobie opadające w ciemnym pomieszczeniu pięści.

Po chwili Leeman jęknął i drgnął. Barak zamoczył szmatkę w wodzie z kubła i wycisnął ją tamtemu na twarz. Leeman zakaszłał i usiadł, chwytając się za głowę. Skrzywił się z bólu i spojrzał na swe obandażowane ramię.

- To moje dzieło - odezwał się Nicholas. — Świeża rana.

Blada twarz Leemana nagle spochmurniała.

- Gdzie jestem? - spytał. W jego głosie brzmiał gniew, lecz także nuta strachu.

Wstałem.

- Zostałeś zatrzymany, panie Leeman, jeśli nie przez przyjaciół, to także nie przez wrogów, wbrew temu, co może ci się wydawać.

Rozejrzał się po izbie, powoli zauważając żakowski bałagan.

- To nie cela więzienna - wyjąkał ze zdziwieniem.

- Nie - odparłem łagodnie. - Nie zostałeś aresztowany, jeszcze nie. Choć za jakiś czas mogą tu przyjść po ciebie inni. Jestem Matthew Shardlake, prawnik. Z całą pewnością byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś najpierw porozmawiał ze mną. Zapewne mógłbym ci pomóc, jeśli ty pomożesz nam.

Leeman tylko na mnie popatrzył.

- Jesteście agentami Bertana, wysłannika Antychrysta.

- Znowu ten człowiek - zauważył Nicholas.

Przysunąłem stołek do łóżka i usiadłem, tak że Leeman i ja patrzyliśmy sobie w oczy.

- Ostatnio wiele razy słyszeliśmy to nazwisko, panie Leeman. Przysięgam jednak, że nie wiemy, kim jest Bertano. Lecz może ty nam powiesz. - Zastanowiłem się przez chwilę. — Mówiąc Antychryst, masz na myśli papieża, jak rozumiem.

- Bestię Rzymu - potwierdził, uważnie obserwując naszą reakcję.

Uśmiechnąłem się na to.

- Nikt z nas tu obecnych nie lubi papieża, zapewniam cię.

- Więc dla kogo pracujecie?

Wyjąłem pieczęć królowej i pokazałem mu ją.

- Dla Jej Królewskiej Mości. Nieoficjalnie. Próbuję się dowiedzieć, co stało się z pewnym manuskrytem.

Leeman ściągnął brwi, po czym odparł:

- Prawnik czy dworzanin, jedno lichy. Wszyscy zabieracie biednym chleb.

- Jestem adwokatem w Sądzie Prośb i przeważnie działam na rzecz ubogich. - W odpowiedzi spojrział na mnie z lekceważeniem; niewątpliwie gardził dobroczynnością bogaczy. Ja jednak nie dawałem za wygraną. - Szukaliśmy dziś dzieła, które według nas ty i twoi przyjaciele usiłowaliście wywieźć za granicę. A przy okazji poszukujemy także zabójców Armistead Greeninga.

- Który jest już szczęśliwy w niebie - odrzekł Leeman, patrząc na mnie wyzywająco.

- Istnieje jeszcze drugi rękopis, który także zaginął... świętej pamięci pani Askew, okrutnie zgładzonej na Smithfield.

- Już go nie znajdziecie. — W głosie Leemana zabrzmiał triumfujący ton. - Vandersteyn miał go przy sobie. — Przerwał. Nagle twarz mu pobladła. — Curdy... wasi ludzie go zabili. Poczciwy McKendrick... Jego też pojмалиście i pozbawiliście życia?

- Udało mu się zbiec. I to nie my zabiliśmy Curdy'ego, lecz inni, z którymi musieliśmy się sprzymierzyć. Chcą odnaleźć zapiski Anny Askew, na których nam nie zależy. — Mówiłem to wszystko powoli i ostrożnie. Widziałem, że Leeman słucha uważnie. — Interesuje nas tylko ten drugi manuskrypt, o którym tamci nie wiedzą. Ten skradziony królowej. — Pochyliłem się. — To księga, której wydanie mogłoby bardzo zaszkodzić sprawie reformatorów. Ukradłeś je akurat wtedy, gdy kłopoty Jej Królewskiej Mości miały się ku końcowi i w niełaskę zaczął popadać biskup Gardiner. Dlaczego to uczyniłeś, panie Leeman?

Nie odpowiedział, lecz spoglądał na mnie spod zmrużonych powiek, kalkulując. Na jego blade policzki wystąpiły lekkie rumieńce. Byłem ciekaw, czy przypomniał sobie złożoną królowej przysięgę, którą złamał. Ciągnąłem spokojnie:

- Dotarłem do ciebie przez innego strażnika, Gawgera, którego przekupiłeś, i cieślę, który dał ci zapasowy klucz do kufra Jej Królewskiej Mości.

- Sporo się dowiedziałeś.

- Nie wystarczająco. Gdzie jest teraz księga?

- Nie wiem. Miał ją Greening. Została zabrana przez jego zabójcę.

- Czyli kogo?

Milczał, lecz czułem, że wie więcej. Spojrział mi w oczy i ku memu zaskoczeniu odparł drwiąco:

- Myślisz, że jeśli uda ci się odzyskać to dzieło, królowa będzie bezpieczna?

- Tak mi się zdaje. Byłem ostatnio na dworze, panie Leeman.

Odpowiedział ze znużeniem i pogardą w głosie:

- To nie koniec jej kłopotów. Skąd znasz nazwisko Bertano, jeśli nie wiesz, kto to jest?

- Sąsiad Greeninga, Okedene, słyszał, jak spieraliście się głośno w warsztacie drukarza niedługo przed jego śmiercią. Pochwycił to nazwisko, którym nazywaliście wysłannika Antychrysta.

Leeman powoli skinął głową.

- Owszem. Królowa może być dobrą kobietą, która w głębi duszy uważa mszę za bluźnierczy obrzęd, lecz z powodu Bertana jej los jest przesądzony. Król ma przyjąć sekretnego wysłannika z Rzymu. To oznacza, że zamierza wrócić w niewolę papieską. Wówczas upadnie wielu, a jako pierwsza Katarzyna Parr.

Kiedy pojałem znaczenie jego słów, przeniknął mnie chłód.

- Bertano to oficjalny emisariusz papieża — szepnąłem.

- Czy to prawda, czy nie - odezwał się gniewnie Nicholas - złamałeś przysięgę, że będziesz królowej strzegł i ją chronił.

- Koniec końców, jest tylko jeszcze jednym przedstawicielem próżniaczych arystokratów i książąt,

obrażają dla rodzaju ludzkiego. -Mówił z takim przejęciem, że znowu zacząłem się zastanawiać, czy nie dręczy go sumienie.

Nicholas zmarszczył czoło.

- Na litość boską, on naprawdę jest anabaptystą. Jednym z tych szalonych odszczepieńców.

Chciałby wymordować wszystkich szlachetnie urodzonych i rozdzielić ich majątek między motłoch.

Odwróciłem się i rzuciłem mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Jestem w waszych rękach — odparł Leeman buntowniczo. -I wiem, że niebawem zginę. —

Przełknął ślinę. W jego gniewnej postawie był opór męczennika, lecz jednocześnie nieznacznie drżał»

Pomyślałem, że jest w strachu, bo jak wszyscy boi się śmierci w płomieniach.

- Owszem — podjął. - Należę do anabaptystów, jak nazywa ich ten chłopak, uważam, że chrzest można przejść dopiero wtedy, kiedy w pełni pozna się Boga. A także, że tak samo jak papież jest Antychrystem, który uwodzi ludzi, żyjąc w zbytku i wśród ceremonii, tak książęta na ziemi i żywiący się przy nich pieczeniarze są jak złodzieje i należy ich obalić, jeśli chrześcijanie mają żyć zgodnie z nakazami Biblii! - Podniósł głos. - Dziękując wszystkim dobrami, prowadząc prawdziwą

dobroczynność, wierząc, że jesteśmy z tej samej gliny i że jedyne przymierze łączy nas z naszym Panem, Jezusem Chrystusem. -Odchylił się do tyłu, oddychając ciężko i patrząc na nas prowokująco.

- To ci dopiero tyrada — zauważył sardonicznie Barak.

- A zatem - zacząłem spokojnie. - Obaliłbyś króla, który, jak powiadają, jest z woli Boga głową Kościoła w Anglii?

- A tak! - zawołał. - Wiem, że mówiąc to, właśnie dopuściłem się zdrady stanu, mógłbym zostać powieszony, włóczony końmi i poćwiartowany. Jak również spalony na stosie za herezję z powodu tego, co powiedziałem o mszy. - Wziął głęboki, urywany oddech. — Najlepiej, gdyby to wszystko spotkało mnie jak najszybciej. Umrzeć można tylko raz. Oto, w co wierzę, i dlatego, kiedy mnie zabijecie, pójdę do nieba.

- Powiedziałem ci wcześniej, Leeman, że wcale nie musimy być twymi wrogami. Jeśli pomożesz nam dotrzeć do dzieła królowej, my pomożemy tobie. - Przyjrzałem mu się bacznie, a potem kontynuowałem: - Pochodzisz ze szlachty, to pewne, gdyż otrzymałeś stanowisko przyznawane ludziom o pewnej pozycji, godnym zaufania. Co więc cię skłoniło do zmiany przekonań?

- Chciałbyś, bym oskarżył innych? - Leeman odetchnął głęboko, z drzeniem. — Tego nie uczynię.

- Nie musisz. Pan Myldmore powiedział nam już wszystko o waszej grupie. Nic mu nie grozi.

Znamy nazwiska... z tych trzech, którzy towarzyszyli ci dziś wieczorem, Curdy zginął, Vandersteyn zdołał dostać się na statek, a McKendrick uciekł. Pan Greening zaś i jego terminator Elias zostali zamordowani.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

- Elias także nie żyje?

- Niestety. Sądząc z rysopisu i metod działania, zginął z rąk tych samych ludzi, którzy zabili

Greeninga.

- A my myśleliśmy... — Zreflektował się i szepnął: — Więc Elias z łaski bożej jest już w niebie.

Parłem dalej:

- Wiemy także od Myldmore'a, w jaki sposób do waszej grupy trafiły *Przesłuchania* Anny Askew.

Prowadząc śledztwo na dworze, dotarłem do ciebie. To ty ukradłeś dzieło królowej, *Lamentacje grzesznika*.

Leeman opadł na łóżko.

- Myldmore - powiedział z rozpaczą. - Wiedzieliśmy, że nie można mu ufać. Uwiodła go mamona.

- I nie miał zdania co do królewskiego zwierzchnictwa nad Kościołem.

Leeman odparł:

- W rzeczy samej. Nie mogliśmy go wtajemniczyć w nasze sprawy, Pan Greening stanowczo się temu sprzeciwiał. - Pokręcił głową. -To on doprowadził mnie do prawdy, on i pozostali. Niech spoczywa

w pokoju.

- Chcielibyśmy znaleźć jego zabójców. Może nam pomożesz.

Leeman leżał bez ruchu, zamyślony. Chciałem jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego, lecz wiedziałem, że tak jak w przypadku Myldmore'a, także i Leemana najlepszą taktyką jest łagodna perswazja, chociaż Leeman był o wiele twardszy i inteligentniejszy. Wreszcie odezwał się ponownie, już spokojniej:

- Wiesz tyle, że nie zaszkodzi, jeśli wyjawię ci resztę. Co do mnie, owszem, urodziłem się i wychowałem jako szlachcic. W Tetbury, w Cotswolds. W krainie pasterskiej. Mój ojciec był właścicielem licznych trzód owiec. Wzbogacił się na handlu wełną i przy swych koneksjach był w stanie zdobyć dla mnie stanowisko na dworze, w straży królowej. - Uśmiechnął się smutno. - Chociaż był posiadaczem ziemskim, to przeszedł na nową wiarę, podobnie jak ja, kiedy dorastałem. Król jednak powoli wraca do dawnych obrządków. I będzie wracał dalej.

- Pod skrzydła Rzymu? — Barak z zamyśleniem przeczesał palcami brodę.

- Tak. Ojciec uprzedzał mnie, że po przyjeździe do Londynu zobaczę rzeczy, które mi się nie spodobają, lecz by coś osiągnąć, muszę milczeć i czekać na lepsze czasy. Skupić się na karierze, tylko na karierze. — Zacisnął dłoń w pięść. — Drodze ku bogactwu i władzy, nie ku Bogu. Tylko tego pragną ci wszyscy puści ludzie na dworze. Ojciec tego nie widział — dodał z przygnębieniem. - Widział tylko to, czego oczekuje od nas Chrystus. Jak przez szkło, niewyraźnie. -Zwrócił się do mnie: - Byłeś w Whitehall, panie?

- Tak.

- Jest wspaniały, nieprawdaż? I wciąż w budowie. Z każdym dniem okazalszy.

- Niektórzy mówią, że król pragnie, by stał się największym pałacem w Europie.

Leeman zaśmiał się głucho.

- Ma uwodzić i zdumiewać tych, którzy będą do niego przyjeżdżać.

Każdy kamień mówi o potędze i władzy królewskiej, każdy kamień woła: „Patrzcie, bójcie się i podziwiajcie!”. Podczas gdy wewnątrz -dodał gorzko - toczy się okrutna walka o wpływy i nikt nie jest bezpieczny.

- Zgadzam się z tobą — odparłem. - Zwłaszcza w kwestii walki o władzę.

Leeman spojrzał na mnie twardo, zaskoczony moją odpowiedzią, zamierzał, jak się zdaje, sprowokować mnie do obrony króla i dworu. Ciągnął:

- Nienawidzę tego. Owego wspaniałego pałacu, który został wzniesiony kosztem ubogich ludzi, za cenę ich potu i łez, a jego mury tylko skrywają smród, biedę i niedolę. Nasz pastor w Tetbury był człowiekiem, który z czasem dostrzegł pustkę mszy, i to on przedstawił mi swym przyjaciółom w Londynie, ludziom głębokiej wiary. — Przerwał i przez chwilę jakby zagłębił się w siebie. - I słusznie postąpił, albowiem służba królewska niesie z sobą wiele pokus, jakimi są rozpusta, próżność i chciwość... och, te wszystkie zaszczyty, stroje i klejnoty, to kusi, jak pisze sama królowa w swym dziele.

- Czytałeś je więc?

- O, tak, kiedy znajdowało się u mistrza Greeninga.

Na myśl, że czytał skradziony manuskrypt, nagle ogarnął mnie gniew, ale zmusiłem się, by zachować przyjazną, życzliwą minę, podczas gdy on mówił dalej:

- Dzięki przyjaciółom spoza dworu jednak podążałem dalej w stronę Boga i coraz lepiej zdawałem sobie sprawę z niegodziwości panującego porządku. — Ponownie spojrzał mi w oczy. - W miarę jak pogłębiała się moja wiara, jedna grupa dyskusyjna prowadziła mnie do następnych i w zeszłym roku poznałem mistrza Greeninga.

Zrozumiałem, jak do tego doszło - wrażliwy młody człowiek o nieskalanym sumieniu i radykalnych skłonnościach, kuszony wspaniałościami dworu, lecz jednocześnie świadomy jego zła. Utwierdzał się w swych poglądach, wnikając w coraz bardziej radykalne kręgi i w końcu wszedł na orbitę Greeninga.

- Zatem zostałeś przyjęty do grupy Greeninga, w przeciwieństwie do pana Myldmore'a, który także miał dostęp do pewnych sekretów — dodałem znacząco.

Leeman się roześmiał.

- Domyśliłem się, że do tego doszedłeś. Pan Vandersteyn także miał znajomości, nie tutaj, lecz na dworach Francji i Flandrii, znał ludzi, którzy przekazywali mu różne informacje. To był jego pomysł, by stworzyć tu podobną grupę ludzi prawdziwie wierzących, którzy by zdobywali sekrety umożliwiające działanie na szkodę papistów i książąt, podburzanie ludu do buntu przeciwko jednym i drugim.

- Rozumiem. - A więc kluczową postacią był Vandersteyn, wypływający teraz na Morze Północne.

- Poznał mistrza Greeninga przed dwoma laty, podczas podróży służbowej do Londynu, i tak powstała nasz mała grupa. McKendrick wcześniej doszedł do prawdy. Zaczęli mu deptać po piętach papiści i musiał uciec ze Szkocji. Zajmował niższe stanowisko na szkockim dworze małoletniej Marii, wiedział więc o wszystkich intrygach i spiskach pomiędzy tamtejszymi rywalizującymi z sobą lordami.

- A pan Curdy? Nie sprawiał wrażenia kogoś ustosunkowanego.

- Istotnie. Lecz był człowiekiem wielkiej wiary i instynktownie wyczuwał, komu można ufać, a komu nie.

- Cóż - odezwał się Barak głosem bez wyrazu. — Mała komórka anabaptystów, poszukująca sekretów do wykorzystania.

Leeman popatrzył na niego wyzywająco.

- I zdobywaliśmy je. Nawet Myldmore, którego odrzuciliśmy, gdyż nie doszedł jeszcze do prawdziwej wiary, wrócił do nas, kiedy Anna Askew powierzyła mu swoje zapiski. Zrozumieliśmy, że jeśli jej relacja o bezprawnych torturach, którym poddali ją dwaj doradcy króla, zostaną wydrukowane za granicą i z powrotem przemycone do Anglii, lud zacznie się burzyć. I tak się stanie - dodał buntowniczo. - Nawet jeśli rząd ma we Flandrii swych agentów, ludzie pana Vandersteyna potrafią ich zwieść.

- Rozumiem. - Nabrałem głęboko powietrza. - Cóż, jak już powiedziałem, nie zależy mi na zapiskach Anny Askew. Ale inni chcą je zdobyć, i to za wszelką cenę. Dlatego musiałem podjąć z nimi współpracę.

- Czy masz na myśli Richarda Richa? - zapytał Leeman. - To szubrawiec.

Skłoniłem głowę.

- Wracając do ciebie... Pewnego wieczoru, kiedy byłeś na służbie, usłyszałeś burzliwą rozmowę królowej z arcybiskupem Cranmerem i w ten sposób dowiedziałeś się o istnieniu *Lamentacji*.

Jęknął, krzywiąc się z bólu.

- Na mą głowę, panie, bystry z ciebie człowiek.

Wziąłem kolejny głęboki oddech.

- I, jak się domyślam, powiedziałeś grupie o dziele Jej Królewskiej Mości. Postanowiliście, że je ukradniesz, chociaż jego wydanie ściągnęłoby na nią zgubę. Sądziłicie bowiem, że jej los jest już przesądzony, a publikacja dzieła przynajmniej pokaże, że obalona królowa miała radykalne poglądy. A sądziłicie, że jej los jest przesądzony z powodu Bertana, tak?

- W istocie. Przekonywałem grupę, że należy ujawnić cel jego wizyty, gdyż to naprawdę wzburzyłoby lud. Lecz pozostali nie zgadzali się ze mną, twierdzili, że nikt nam nie uwierzy i że jest już za późno, by udaremnić przyjazd tego człowieka.

- Kto tak uważał?

- Pan Curdy i kapitan McKendrick.

- A skąd dowiedzieliście się o przyjeździe Bertana?

- Jak mówiłem, Vandersteyn ma na kontynencie informatorów. Należy do nich niższy urzędnik na dworze francuskim. Wystarczy, jeśli powiem, że zajmuje się kwaterowaniem zagranicznych gości, co pozwala mu, tak jak mnie, podsłuchiwać ich rozmowy. Taką okazję stworzył mu przyjazd do Francji Guronego Bertana, papieskiego ambasadora, który mieszkał kiedyś w Anglii i ponownie został tam

wysłany, by nawiązać porozumienie między Rzymem a królem Henrykiem. Z inicjatywy króla.

Barak z przekonaniem pokręcił głową.

- Król poddałby się znowu władzy papieża.

- W tym rzecz - potwierdził Leeman. - Pan Vandersteyn był wstrząśnięty, kiedy wysłannik z Flandrii przywiózł mu tę wiadomość. - Spojrzał na mnie ostro swymi ciemnymi oczami. - Lecz jego ludziom można wierzyć. Bertano przebywa obecnie na dworze francuskim, przyjedzie tu za kilka dni. Zostało to uzgodnione w sekrecie, wtajemniczono tylko kilka osób na dworze i nie ma wśród nich żadnego zwolennika reform. Z całą pewnością nie o tym powiedziano królowej.

Zerknąłem na Baraka, który siedział ze zmarszczonym czołem i gładził się po brodzie. Była to wręcz niesłychana, niewiarygodna historia, lecz zgadzała się z tym, co powiedział mi lord Parr - mimo że frakcji konserwatywnej nie udało się zniszczyć królowej i ludzi z jej otoczenia, nie złożyła broni i zachowywała się tak, jakby miała asa w rękawie. Jeśli był nim przyjazd papieskiego wysłannika, stawka nie mogła być wyższa.

- Kiedy dowiedzieliście się o planowanej wizycie Bertana? - zapytałem.

- Zaraz po tym, jak powiedziałem członkom grupy, że podsłuchałem rozmowę królowej z Cranmerem o *Lamentacjach*. I zgodziliśmy się wszyscy, że jeśli król zdecyduje się wrócić pod władzę Rzymu, będzie chciał się pozbyć królowej. Papież by przy tym obstawał. Lecz gdyby *Lamentacje* zostały wydane, lud by się przekonał, że król ściał dobrą, uczciwą kobietę.

Wstałem i podszedłem do okna. Ogarnęło mnie przerażenie. Jeśli Leeman nie kłamał, królowej groziło nowe śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyż stała się pionkiem w znacznie większej grze. To wszystko nie mieściło się w głowie. Wyglądało jednak na to, że grupa Greeninga nie zamierzała wydać *Lamentacji* przed upadkiem królowej, tylko trzymała je w drukarni Greeninga. Bezpiecznym miejscu, jak sądzili.

Barak wybuchnął:

- Ujawnienie, że król ma przyjąć papieskiego wysłannika, z całą pewnością wzbudziłoby gniew ludu, może nawet zapobiegło tej wizycie.

- W rzeczy samej. — Nicholas pokiwał głową. — Reformatorzy byłiby oburzeni.

Leeman odparł:

- Tak właśnie mówiłem, kiedy rozprawialiśmy o Bertanie. Spieraliśmy się o to przez całe dni.

Wróciłem i ponownie usiadłem na krześle przy łóżku.

- Lecz Curdy i McKendrick byli przeciwni? Pytam o to, panie Leeman, gdyż podejrzewam, że jeden z członków grupy mógł być szpiegiem trzeciej strony, choć nie wiem jakiej. Jestem przekonany, że dziś wieczorem byliśmy śledzeni w drodze do portu i że ktoś obserwował, co tam się działo.

Leeman pokiwał ze smutkiem głową.

- My też doszliśmy do tego wniosku, kiedy mistrz Greening został zabity i zniknęły *Lamentacje*.

Dlatego właśnie wszyscy się ukryliśmy Vandersteyn wziął zapiski Anny Askew z zamiarem wywiezienia ich za granicę, by nie wpadły w łapy zabójców. Później zrozumieliśmy, że wśród nas musiał być szpieg, ponieważ nikt spoza naszego grona nie mógł wiedzieć, co zamierzamy. - Pokręcił głową. - Myśleliśmy jednak, że to Elias, bo tylko on był przeciwny wyjazdowi z kraju.

- Mówiłeś jednak, że nie wspomnieliście mu o *Lamentacjach*.

Ale mógł usłyszeć o nich przypadkiem. Tak później sądziliśmy.

No i potrzebował pieniędzy na utrzymanie rodziny. - Znowu pokręcił głową. - Biedny Elias.

- Jeśli mieliście między sobą szpiega, nie był nim Elias. - Zastanowiłem się szybko. Zostali więc tylko już nieżyjący Curdy, Vandersteyn, który odpłynął, i McKendrick. Nie stawiałem na Vandersteyna, ponieważ od dawna był radykałem i to on założył grupę. Pozostawali zatem Curdy i Szkot, którzy mieszkali pod jednym dachem i obaj byli przeciwni zdemaskowaniu Bertana przed jego przyjazdem do Anglii.

- Jakie argumenty przeciwko ujawnieniu celu wizyty Bertana przedstawiali Curdy i McKendrick?

— zapytałem.

- Curdy mówił, że nie mamy wiarygodnych dowodów i jeżeli rozgłosimy tę wiadomość wszem wobec, zainteresowani wszystkiego się wyprą i podejmą negocjacje kiedy indziej. McKendrick zgadzał się z nim i twierdził, że potrzebujemy pewniejszych dowodów, konkretnych informacji, gdzie te negocjacje mają się odbyć i z czym udziałem. Upierał się, że wie na podstawie swych doświadczeń w Szkocji, jak żyją plotki i że można je szybko zażegnać. Proponował, by Vandersteyn postarał się zdobyć na kontynencie więcej informacji i byśmy ujawnili sprawę ze wszystkimi szczegółami, gdy Bertano będzie już w Anglii. Wiedzieliśmy tylko, że ma przyjechać na początku sierpnia. W końcu zdecydowaliśmy się poczekać. Vandersteyn miał tymczasem wysłać zaszyfrowane listy do swych ludzi za granicą, by dowiedzieć się więcej.

- Otrzymaliście jakąś odpowiedź?

- Nie. - Westchnął. - Agenci Vandersteyna nie zdołali zdobyć żadnych dodatkowych informacji. A potem mistrz Greening został zamordowany, a my uciekliśmy i ukryliśmy się u przyjaciół, każdy oddzielnie, zmieniając co jakiś czas miejsca pobytu, podczas gdy Vandersteyn organizował statek, który miał przypłynąć i zabrać nas do Flandrii. Wiedzieliśmy, że jesteśmy poszukiwani. Jeden z domów, w których schronił się pan McKendrick, został po jego wyjściu splądrowany. — Spojrzał na mnie. — Czy to nie robota waszych ludzi albo współpracowników?

- Nie.

- Skąd wiedzieliście, że tego wieczoru będziemy w porcie?

- Nietrudno było się domyślić, że spróbujecie nielegalnie wyjechać z kraju i być może wywieźć oba manuskrypty. Mieliśmy w dokach informatorów. Byliście zbyt pewni siebie, przechodząc przez komorę celną. Powinniście dostać się na pokład statku w tajemnicy.

Leeman przygryzł wargę.

- Żeby wszystko było jasne... — odezwał się Barak. - Byliście grupką anabaptystów, którzy chcą obalić nie tylko panującą religię, lecz także cały porządek...

- I pewnego dnia tego dokonamy! Biblia głosi wyraźnie, że...

Barak nie pozwolił mu dokończyć.

- Grupą powołaną przez tego Holendra, Vandersteyna, który należy do podobnego kręgu na kontynencie i którego celem jest zdobywanie informacji, umożliwiających podsycanie ludu do rebelii.

- A tak. Ludu, który jest oszukiwany przez kłamliwego papieża i ksiąząt. Lecz prawdziwie wierzący, jak my, są zaczynem... - Leeman mówił, jakby wygłaszał kazanie.

- Nie wiedzieliście — zacząłem, już rozgniewany — że w waszej grupie jest szpieg, ktoś, niemal na pewno pracujący dla wiodącej postaci z frakcji konserwatystów, kto wszedł w posiadanie dzieła królowej i może w każdej chwili przekazać je królowi, by ponownie wzbudzić jego gniew na nią, gdy przybędzie emisariusz papieża! - Leeman pochylał głowę. Ciągnąłem: — Potrzebowałeś pieniędzy na łapówki, by skraść i wydać przemyślenia królowej. Dużych sum. Skąd je wzięłeś?

- Pan Curdy był zamożny. Robił interesy. — W oczach Leemana znowu pojawił się błysk. - Widzisz, panie Shardlake, stosujemy w praktyce to, czego nauczamy, dzielimy się wszystkimi dobrami.

Westchnąłem, po czym zwróciłem się do Baraka i Nicholasa:

- Chciałbym zamienić z wami słówko na osobności. Nicholas, weź świecę. - Skierowałem wzrok na Leemana. - Nawet nie myśl o ucieczce, będziemy tuż obok. Leż tu spokojnie i pomyśl, do czego swą głupotą doprowadziliście.

Wyszliśmy, zostawiając go samego w ciemnościach.

Rozdział trzydziesty piąty

Zeszliśmy po schodach do małego zakurzonego przedsionka. Postawiłem świecę na schodach. Z ulicy dochodziły słumione odgłosy. Straciłem poczucie czasu — musiało być już dobrze po północy. Byłem ciekaw, kiedy zjawią się ludzie lorda Parra.

- I co o tym myślisz? — zapytałem Baraka. — Przede wszystkim o historii z Bertanem?

Barak pogładził się po brodzie.

- Jeśli jest prawdziwa i wiadomość o jego wizycie rzeczywiście by się rozeszła, na ulicach zapanowałby niepokój. Nie mam na myśli buntu, ale niepokój. Trzeba tym ludziom przyznać, że ich taktyka, by umieszczać szpiegów w strategicznych miejscach i zdobywać informacje, okazała się skuteczna. - Spojrzał na nas znacząco. - Lecz, jeśli zamierza się stworzyć ściśle tajną grupę, dysponującą sekretną wiedzą, trzeba mieć pewność, że wszystkim członkom można całkowicie zaufać. A tych bardziej zdesperowanych radykałów łatwo zwieść. - Wzruszył ramionami. - Jeśli tylko ktoś powtarza odpowiednie hasła, gotowi są uwierzyć we wszystko.

- Masz rację - zgodziłem się. - Powiedziałeś jednak: „Jeśli ta historia o Bertanie jest prawdziwa”.

Barak mruknął:

- Pamiętaj, że już sześć lat trzymam się z dala od polityki. Nie należy jednak zapominać, że po śmierci Anny Boleyn nie było żadnej Przeszkody, by król wrócił pod władzę Rzymu. A tego nie uczynił. - Zaśmiał się cynicznie. - Zbyt lubi pozycję głowy Kościoła, nie mówiąc już o pieniądzach z dawnych klasztorów. Lecz jest coś jeszcze. - Ściągnął brwi, tak że w słabym blasku świecy na jego twarzy pojawiły się cienie. - Jak mówił lord Cromwell, aby zrozumieć króla, trzeba mieć świadomość, iż naprawdę wierzy, że to Bóg wyznaczył go na zwierzchnika Kościoła w Anglii. Dlatego też za każdym razem, kiedy zmienia zdanie w kwestiach doktrynalnych, wszyscy w państwie muszą go słuchać, bo inaczej... - Stanowczo pokręcił głową. - Tak łatwo nie oddałby papieżowi tej całej władzy... nie w sytuacji, gdy jest przekonany, że dał mu ją sam Bóg.

- A kiedy Henryk umrze? — spytał cicho Nicholas.

Pomyślałem o tym nieszczęśniku, którego widziałem w Whitehall, jęczącej postaci wciąganej na górę.

- Zwierzchnictwo nad Kościołem musi przejść na jego syna.

Barak przytaknął.

- Nikt nie pozbawiłby Henryka należnego mu przywileju... obowiązku, jak to widzi... by przekazać przywództwo religijne księciu Edwardowi.

Nicholas zadał pytanie:

- Lecz, jak mały chłopiec, niezdolny jeszcze do właściwej oceny, może decydować, czy jakaś droga w kwestii wiary jest słuszna, czy nie?

- Dopóki nie osiągnie dojrzałości — odparłem — będzie miał regenta albo radę regencyjną. Król zapewne zdecyduje, kto po jego śmierci przejmie rządy. — Pomyślałem, że jeśli królowa wypadnie z łask, na pewno nie Parrowie. W sprawach religijnych to rada będzie wydawać orzeczenia do czasu, aż Edward skończy osiemnaście lat. To, oczywiście, teologiczna nedorzecznosc, ale cóż. Nie, Barak ma rację, jeśli Bertano rzeczywiście przyjedzie do Anglii, nie wróci do Rzymu ze zgodą od Henryka na przymierze.

Zastanowiłem się.

- Słyszałem jednak, że w Europie dzieją się rozmaite rzeczy. Mówi się, że papież próbuje porozumieć się z niektórymi protestantami za pośrednictwem soboru trydenckiego. Może Henryk liczy na jakiś kompromis.

- Jaki kompromis? - ze zniecierpliwieniem sprzeciwił się Barak. - Przywództwo Kościoła może należeć albo do króla, albo do papieża. Nie ma tu kompromisu. Gdyby był, ktoś by na niego wpadł już wiele lat temu.

Nicholas pokręcił głową.

- Lecz może król sądzi, że jest jakiś sposób, by dojść do porozumienia, nie oddając się pod władzę papieża. I Bertano został wysłany, by zbadać tę możliwość? W końcu król tego roku próbuje zawrzeć pokój na wszystkich frontach...

Tak, pomyślałem, albowiem wie, że umiera. Pokiwałem głową.

- Niewykluczone, że masz rację, Nicholasie. Słuszne spostrzeżenie.

- Nie dojdzie do tego — odrzekł drwiąco Barak.

- Kto jednak był szpiegiem w tej grupie? - zapytałem. - I komu donosił?

- Z całą pewnością nie Leeman — odpowiedział Barak. — Jeśli ktoś jest szczerym radykałem, to on. Szpiegiem nie mógł też być Myldmore, gdyż nic nie wiedział ani o Bertanie, ani o dziele królowej. Greening i Elias zginęli. Vanderstejn... wątpię, triumfalnie odpłynął na drugą stronę kanału z zapiskami Anny Askew. Pozostaje zatem Curdy, który już nie odpowie na żadne pytanie, i ten Szkot, McKendrick, który wciąż jest w Anglii. Obaj nakłaniali Leemana, by ukraść *Lamentacje*.

- Poza tym Szkot przyjął do siebie Curdy'ego. — Nicholas zmarszczył czoło z namysłem, — To musi być jeden z nich... albo obaj.

- Jeśli to McKendrick — podjął Barak. — W tej chwili spieszy do swego mocodawcy. Kimkolwiek on jest.

- To ktoś, kto współdziała z frakcją konserwatywną na dworze -odparłem. — Czyli kto? Na czele siatki szpiegów stoi sekretarz Paget. Jednak dworzanie też mają informatorów: księżę Norfolk, Rich i Wriothesley, którzy sprzymierzyli się z Gardinerem.

Nicholas zapytał:

- Myślicie, że Rich może być zamieszany w kradzież *Lamentacji*?

Westchnąłem.

- Richowi zależy na odzyskaniu relacji Anny Askew i nic nie wskazuje na to, że cokolwiek wie o *Lamentacjach*.

~ Ten, kto je ma - zauważył Barak - może powiedzieć o nich królowi po przyjeździe Bertana. By wzmocnić efekt. To tłumaczyłoby, dlaczego jeszcze nie zostały ujawnione.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Jestem przekonany, że ci ludzie już by to zrobili, by jeszcze bardziej podburzyć króla przeciwko reformatorom i skłonić go do zawarcia porozumienia z Bertanem. Posłużyliby się tym dziełem, by jak najszybciej złapać wiatr w żagle.

- Więc gdzie są *Lamentacje*? - zapytał ze złością Barak. - Kto je ma?

- Na rany Chrystusa, nie wiem! - Potarłem czoło.

- Czy mógł je mieć McKendrick? - zapytał w zamyśleniu Nicholas. - Jeśli to on był szpiegiem i dostał księgę od złodziei, być może, ukrywając się razem z tamtymi, nie miał czasu przekazać jej dalej?

- Lecz minął już prawie miesiąc — odparł Barak szyderczo.

- To mało prawdopodobne - zgodziłem się z nim. - Jednak wszystko jest możliwe. Muszę pomówić o tym z lordem Parrem.

- A jeśli... - zaczął Nicholas.

- Co takiego?

- Jeśli szpieg działał na dwie strony? Jeżeli McKendrick, zakładając, że to on, pracował dla kogoś na dworze, lecz miał własne przekonania i nie chciał, by *Lamentacje* nie wpadły w niepowołane ręce? Ukradł je, lecz potem zatrzymał?

- To już zbyt naciągana teoria, ale jak powiedziałem, wszystko jest możliwe. Dziękuję ci, Nicholasie.

Chłopak wyglądał na zadowolonego.

- Jack, już późno. Nicholas i ja zostaniemy tu, a ty wracaj do domu. Co powiedziałaś Tamasin? Ze

dokąd poszedłeś?

- Powiedziałem jej tylko, że idę napić się ze starymi przyjaciółmi.
- Gospody są już dawno zamknięte. Tamasin będzie się niepokoić.

I w drodze powrotnej pamiętaj, że ci zabójcy gdzieś tam są i że śledzili nas wieczorem - dodałem. — Bądź ostrożny. Nicholasie, zostaniesz ze mną, by pilnować Leemana, dopóki nie przyjdą ludzie lorda Parra?

- Możesz na mnie polegać, panie. — Pokręcił głową. - Leeman to nikczemny zdrajca.

Westchnąłem.

- Robił to, co uważał za słuszne.
- I to ma usprawiedliwić całe zło, które wyrządził? - zapalczywie sprzeciwił się chłopak. —

Zdradę, przekupstwo, cały ten... zamęt. Niebezpieczeństwo, na które naraził królową, kradnąc jej dziecko?

Barak zwrócił się do niego pobłażliwym tonem:

- On już mięknie, Nick, taki jest. - Spojrzał ku szczytowi schodów. — Lecz lepiej związać i zakneblować tego prawdziwego wyznawcę Boga na wypadek, gdyby zaczął krzyczeć po powrocie twoich kolegów żaków. Zrobimy to razem.

Nicholas odezwał się z niechętnym uznaniem:

- Ten Holender, Vandersteyn, ma na kontynencie szpiegów, którzy zdobywają informacje o Bertanie. A sam przebywa tutaj, werbując fanatyków, którzy będą donosić na najwyższe postawione osoby w Anglii.

- Wiedział, że w Londynie aż wrze od plotek i niezadowolenia z powodów religijnych - odparł

Barak. - Bez wątpienia postanowił więc przyjechać i podsycać bunt.

- I znalazł Leemana, potem zaś Myldmorea. Ludzi mających dostęp do dzieł, które mogą wzbudzić wielkie poruszenie. - Pokręcił głową. — Naprawdę myśli, że jest narzędziem Boga.

Barak sarknął:

- Miał szczęście. I to dwukrotnie. Lecz tak naprawdę mu się nie powiodło. To, co napisała Anna Askew, może zaszkodzić tylko Wriothesleyowi i Richowi, a oni nie są czołowymi graczami. Natomiast wydanie *Lamentacji* przyniesie sprawie radykałów więcej szkody niż pożytku. Jednak niektórzy członkowie grupy byli zbyt ograniczeni, by to zrozumieć. Gdyby znaleźli dowód, że Gardiner był w łóżku z chłopcem z chóru kościelnego, to byłoby coś.

- Vandersteyn zapewne od lat knuł takie intrygi na kontynencie -powiedziałem. — Był dobry w uwodzeniu tych radykałów, którzy mogli mu się przydać.

- Nie na tyle dobry, by zauważyć, że ma wśród swoich szpiega — zauważył Barak.

- Owszem. — Pokiwałem głową, zgadzając się z nim.

Wróciliśmy na górę.

*

Leeman siedział na brzegu łóżka. Zamrugał powiekami w świetle.

- Czy przyszli już po mnie? - zapytał cicho. Pobyt w ciemności pozbawił go odwagi i przejął strachem.

- Nie - odpowiedziałem.

- Co ze mną uczynią?

- Na razie zabiorą cię w bezpieczne miejsce. Powiem im, że wykazałeś dużo dobrej woli.

Spojrzał na mnie z nadzieją.

- Wiesz, panie prawniku, że może masz dar dostrzegania światła,

- A czy ty go masz? - zapytałem z powagą.

- Możliwe. Jak ja byłem w dzieciństwie karmiony kłamstwami i chyba to widzisz. Przeczytaj Nowy Testament, przeczytaj Apokalipsę, To ostatnie dni przed powrotem Chrystusa. Zgodnie z przepowiednią,

- Apokalipsę, mówisz? Czy ty i twoi towarzysze znaleźliście klucz do tego tekstu? - Przepelił mnie gniew. — Powinieneś wiedzieć, Leeman, że kiedyś zdemaskowałem mordercę, który zarznął kilku

niewinnych ludzi, gdyż natchnęła go do tego Apokalipsa! Szkoda, że nie możesz zobaczyć tego szlaku krwi i tortur, który za sobą zostawił.

Nie odpowiedział. Po chwili spytał:

- Czy powiesz urzędnikom królowej o Bertanie?
- Tak.
- Zatem przynajmniej zostaną ostrzeżeni.

Popatrzyłem na niego.

- Niewątpliwie będą chcieli jeszcze cię przesłuchać.

Przełknął ślinę.

- Będą mnie torturować, a potem zabiją. Chyba muszę się na to przygotować.
- Złamałeś złożoną królowej przysięgę. Niemniej poproszę Jej Królewską Mość, by darowała ci to twoje żalosne życie. Chociaż w sumie dlaczego miałyby to uczynić.

- Na razie zostaniesz tutaj, brachu — włączył się Barak rzeczowo. - Pod okiem Nicka. Skrępuję ci ręce, więc je wyciągnij. Jeśli nie zrobisz tego po dobroci, zmusimy cię.

Leeman wyciągnął dłonie. Barak zawiązał je mocno pasami z własnej porwanej koszuli.

- Muszę cię też zakneblować, brachu, choć wiem, że lubisz gadać. Za jakiś czas wrócą współlokatorzy Nicholasa.

- Mogę przedtem pójść do wychodka? — Leeman oblał się rumieńcem z zakłopotania. - Dają mi o sobie znać wnętrzności.

Barak spojrział na mnie.

- Niech idzie - odparłem. Jack uniósł brwi. Burknąłem niecierpliwie: — Nie chcemy, by tu napaskudził. Gdzie jest wychodek, Ni' cholasio?

- Na tyłach domu, od podwórka. Ale żadnych sztuczek. Ręce przy sobie i żadnych krzyków, bo inaczej będę musiał cię znowu ogłuszyć.

- Pójdziemy z nim wszyscy, przyprawimy z powrotem, a potem Jack wróci do domu, podczas gdy ty i ja... - Głęboko zaczerpnąłem powietrza - poczekamy razem z nim na ludzi lorda Parra.

*

Zeszliśmy po schodach, Barak i Nicholas prowadzili między sobą Leemana. Niemal dorównywał on wzrostem Nicholasowi i był od niego szerszy w ramionach, miał budowę królewskiego strażnika. Nie sprawiał jednak kłopotów. Kiedy znaleźliśmy się na dole, pobliski zegar kościelny wybił pierwszą.

- A twych przyjaciół ani widu, ani słyhu - rzuciłem z ulgą do Nicholasa.
- Pewnie do rana nie wrócą, padną pijani w jakimś kącie.
- Pamiętam te żakowskie hulanki z okazji urodzin. Trochę zbyt huczne jak dla mnie.
- A to niespodzianka - odezwał się Barak.

Otworzyliśmy skrzypiące drzwi, które prowadziły na małe podwórko. W kącie zaniedbanego ogrodu, pod kamiennym murem, stała drewniana wygodka. Sądząc po smrodzie, dół kloaczny wymagał szybkiego opróżnienia. Barak polecił Leemanowi:

- Włóż do środka!

Ten zawahał się na progu, tak silny był odór.

To wahanie kosztowało go życie. Z sąsiedniego ogrodu dobiegł grzmot, któremu towarzyszył krótki błysk. W chwili gdy Leeman padał na ziemię, zobaczyłem w świetle lampy, że stracił połowę twarzy. Wtedy Nicholas pchnął mnie tak, że się przewróciłem, i jednocześnie nastąpił kolejny błysk oraz huk. Poczulem dym. Zerknąłem w bok i zobaczyłem, że Barak także legł na ziemię. Kopnął lampę, by ją zgasić, i znaleźliśmy się w niemal całkowitych ciemnościach. W powietrzu rozszedł się zapach prochu.

- Szybko! - szepnął Barak. - Biegiem do środka. Zanim zdąży załadować ponownie. Nick, ty znajdziesz drogę w ciemności!

Nicholas podniósł się na nogi i pochylony ruszył w stronę budynku, widocznego w ciemności jako

ciemniejszy kształt. Podążyliśmy za nim, najpierw Barak, a potem ja. Przygryzłem wargę, gdyż przeszył mnie ból pleców. Rozległ się następny strzał i coś uderzyło w mur przed nami. Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i Nicholas bezceremonialnie wepchnął mnie za nie. Barak wpadł za mną do środka, zamykając je kopniakiem. Na zewnątrz rozszczękały się psy i ktoś w sąsiednią dom, zbudzony ze snu, wrzasnął:

- Hej! Co się tam dzieje?!

Nicholas zaprowadził nas ku frontowi, pod osłonę schodów. Ciężko dysząc, stanęliśmy w progu.

- Co to było, do diabła... - zacząłem.

- Arkebuz - odparł chłopak. — Widziałem je na polowaniu. To śmiercionośna broń, lecz ładuje się ją wieki. Leeman...

- Nie żyje - odparł tępo Barak. — Oberwało mu głowę. Wierzę, że rzeczywiście byliśmy śledzeni, i to przez kogoś, kto wziął z sobą arkebuz. Sprytny pomysł, by umieścić zabójcę w sąsiednim ogrodzie. Jeden z nas prędzej czy później musiał pójść do wychodka. W ten sposób można zabić człowieka z większej odległości. Może być ich więcej od frontu. - Ostrożnie podszedł do drzwi i wyjrzał przez dziurkę od klucza. - Nikogo nie widzę. Lecz sądzę, że chodziło im o Leemana. By nie sypał.

- No i w tym im się nie udało — zauważył wyzywająco Nicholas.

- Chodźmy na górę. Dzięki Bogu, nie otworzyliśmy okiennic.

Wróciliśmy do izby Nicholasa.

- Panie - powiedział do mnie z naciskiem — Jack nie powinien teraz wychodzić, to zbyt niebezpieczne. Mogli zacząć się w pobliskich uliczkach.

Barak pokręcił głową.

- Myślę, że teraz, gdy wróciliśmy do środka cali i zdrowi, po prostu uciekli. Lecz masz rację. Powinniśmy zaczekać tu wszyscy, aż przyjdą ludzie z Whitehall.

- Ale dlaczego te łotry nie zaatakowały, kiedy tylko tu przyszliśmy? - zapytał Nicholas.

- Może myśleli, że w budynku jest pełno studentów, i obawiali się, że dojdzie do walki - odparłem.

- Tamasin wpadnie w furję — rzucił Barak. - Ale trudno... -Urwał i spojrzał na moją szyję.

Przyłożyłem do niej dłoń. Wyczułem pod palcami coś kleistego, była to czerwono-szara maź. Początkowo sądziłem, że zostałem zraniony, po chwili jednak pojąłem, że patrzę na mózg Leemana.

Rozdział trzydziesty szósty

Szedłem z lordem Parrem przez Wielki Ogród pałacu Whitehall. Był późny ranek, słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie. Blask bijący od białego żwiru na ścieżce raził me zmęczone oczy, więc skierowałem wzrok na szerokie połacie trawnika z rabatami pośrodku, na których rosły letnie kwiaty o zachwycających barwach. Nieustannie krzątali się tam ogrodnicy w fartuchach, pieląc i przycinając. Na skrzyżowaniach alejek stały stwory heraldyczne na żerdziach, a woda wielkiej fontanny w samym centrum szumiała kojąco. Ścieżkami przechadzało się kilka osób w wytwornych strojach, wśród nich parę niewiast. Prywatne ogrody królewskie były miejscem, gdzie przychodzili na spacer dworzanie i wyższej rangi służący, lecz stanowiły one także wielkie poczekalnie dla starających się o posady młodych ludzi, którzy nie mieli jeszcze wstępu do galerii króla, i kręcili się tutaj, licząc, że nie spadnie deszcz. Po stronie południowej wciąż wznoszono nowe kwatery lady Marii, a stałe walenie młotów i młotków stanowiło dziwną przeciwwagę dla szmeru fontanny. Od północy do ogrodu Przylegała prywatna galeria króla i jego prywatne komnaty. Nerwowo zerknąłem w ich kierunku.

- Być może właśnie nas obserwuje — zauważyłem nerwowo.

Lord Parr uśmiechnął się uspokajająco.

- Wątpię, by król wiedział, że należysz do Uczzonej Rady Jej królewskiej Mości i że szukasz jej skradzionego klejnotu. Zadbalem o to, by nawet na dworze królowej uchodziło to za sprawę mniejszej wagi. - On także spojrział ku trzypiętrowej prywatnej galerii z fasadą w czarno-białą szachownicę, liczącą ze sto jardów długości. Kończyła się ona przy bramie Holbeina, dwukrotnie wyższej, która wieńczyła drogę publiczną i łączyła komnaty królewskie z rekreacyjnym skrzydłem pałacu po zachodniej stronie. Niegdyś król przechodził przez nią, by grać w tenisa albo walczyć konno na kopie, lecz te czasy dawno się skończyły.

- Poza tym - dodał lord Parr. — Doszło do moich uszu, że Jego Królewska Mość tego ranka przebywa w swym gabinecie, bo z okien bramy Holbeina lubi podczas pracy spoglądać na przechodzących drogą poddanych.

- Nie wiedziałem, że ma taki zwyczaj. — To także przejęło mnie strachem.

- Tak czy owak, to miejsce ma tę zaletę, że choć każdy może nas tu zobaczyć, raczej nas nie podsłucha.

Zatrzymałem się na rogu, przy pasiastym słupie w barwach Tudorów, zieleni i bieli. Na jego szczycie widniał złoty lew trzymający angielską flagę, która powiewała na dmuchającym od rzeki wietrze, poruszającym również siwą brodę lorda Parra. Wspierał się on ciężko na lasce. W przedpołudniowym słońcu jego twarz była blada, a worki pod oczami były bardzo widoczne. Został obudzony przez Cecila, który przybył do pałacu około północy, i działał od trzeciej, od kiedy ja sam zjawiłem się tam z ciałem Leemana. Wysłuchawszy mej relacji o tym, co się wydarzyło, kazał przydzielić mi pokój, bym przespał się choć parę godzin, jednak skłębione myśli nie pozwoliły mi zasnąć. Minionej nocy zginęło kolejnych czterech ludzi, w tym jeden ze sług samego lorda Parra, i jeśli historia o Bertanie była prawdziwa, pojawiło się nowe zagrożenie dla królowej. O dziewiątej rano lord Parr posłał po mnie i zaproponował przechadzkę po prywatnych ogrodach królewskich.

Zamknął teraz oczy, wdychając woń ziół, zasadzonych wzdłuż ścieżki.

- Mógłbym położyć się tu i zasnąć - powiedział cicho. - Podobnie jak ty, sądząc po twym wyglądzie.

Skrzywiłem się pod wpływem bólu w plecach. Nadwerężyłem je, kiedy Nicholas pchnął mnie w nocy na ziemię, lecz przecież uratował mi życie.

Lord Parr mówił dalej:

- Wielka szkoda, że Leeman został zabity. - Uniósł dłoń. - Nie, panie, bynajmniej cię za to nie winię. Wolałbym jednak sam przesłuchać nikczemnika. - Uścisnął srebrną rączkę laski. - Anabaptysta,

przeklęta zaraza.

- Stanowili małą grupę. W Europie też zostało ich niewielu.

- Są jak szczury, wystarczy, że przetrwa kilka z nich w rynsztokach na ulicach miast, i w trudnych czasach, kiedy narasta niezadowolenie, rozmnożą się w tysiące, ściągając na nas wszystkich pożogę i śmierć. - Machnął ze złością wolną rękę. - Powinno się ich wytępić.

- Wasza Lordowska Mość, czy powiedziałaś królowej, czego dowiedzieliśmy się od Leemana? - spytałem.

- Tak. Obudziłem ją z samego rana, by przekazać jej najnowsze wieści. Uznałem, że tak będzie najlepiej. Płakała i cała drżała, bardzo się przerażyła. Martwi się, że jej dzieło nie zostało odnalezione i że wynikała ta sprawa z Bertanem. — Przerwał, by spojrzeć mi w oczy. — Lecz jest dzielna, z latami nauczyła się zachowywać spokojnie, jak przystało na monarchinię, skrywając swe prawdziwe uczucia.

Zamilkł, albowiem minęła nas para czarno przyodzianych urzędników z odznakami króla. Skłonili się nam. Po przybyciu do Whitehall posłałem po swą togę, przyniósł mi ją Timothy. Teraz miałem ją na sobie. Tamci dwaj się oddalili, przystając na krótko, by podziwiać przechodzącego przez trawnik pawia o barwnym ogonie.

- Straciłem jednego ze sług — ciągnął poważnie lord Parr. — Nieszczęsny Dunmore, ten, który zginął zeszłej nocy, był dobrym i uczynnym człowiekiem.

- Nawet nie znałem jego nazwiska.

- Kto za tym stoi? - Lord Parr uderzył laską o biały żwir. - Kto uknuł kradzież księgi, wynajął tych dwóch ludzi... których wciąż nie możemy znaleźć... by zabić wszystkich z grupy anabaptystów? Nie wierzę w teorię, że ten, kto zabrał manuskrypt od Greeninga, zaczeka z jego ujawnieniem do przyjazdu Bertana. Nikt, kto zna króla, by tak nie postąpił. Pokazałby mu je od razu, by wzmóc jego gniew przeciwko królowej i reformatorom, nastawić go przychylniej do propozycji tego podłego emisariusza, którego przysłał papież.

- Czy byłoby aż tak źle?

Odparł spokojnie:

- Król wciąż kocha królową, tego jestem pewny. Lecz tym bardziej rozgniewałaby go jej nielojalność. I zraniła. A kiedy czuje się zraniony... - Lord Parr pokręcił głową. - Zawartość samego dzieła to mniejsze zmartwienie. Cranmer twierdzi, że nie ma heretyckiego charakteru, choć nie jest też niewinne.

Nie odpowiedziałem. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by lord Parr mówił tak otwarcie o królu.

- Jego Królewska Mość zawsze ulegał wpływom, był próżny. Słucha głosów, które bez ustanku szepczą mu do ucha, zwłaszcza gdy podważają lojalność kogoś, kto jest dla niego ważny. A gdy dojdzie do wniosku, że został zdradzony, wówczas...

- A jak jego zdrowie? - zapytałem.

- Pogarsza się z każdym tygodniem. Choć umysł króla jest sprawny i bystry jak zwykle. - Zamilkł na chwilę, być może uświadamiając sobie, że powiedział więcej, niż nakazywałby rozsądek, lecz zaraz potem wybuchł gniewnie: - Po co trzymać księgę przez ponad trzy tygodnie, Shardlake? Nie mogę tego pojąć, podobnie jak Cecil.

- Ja też tego nie rozumiem, Wasza Lordowska Mość. Lecz ty znasz dwór znacznie lepiej niż ja.

- Musimy znaleźć tego Szkota, niech się smaży w...

Położyłem dłoń na rękawie jego jedwabnej szaty, by się opanował.

Zmarszczył czoło, zaskoczony mą poufałością, lecz zauważyłem coś, czego nie dostrzegły jego stare oczy, a mianowicie idące w naszą stronę dwie szczupłe postaci o długich brodach. Byli to Edward Seymour, lord Hertford, stryj króla i wiodąca postać wśród reformatorów w Tajnej Radzie, oraz jego młodszy brat, sir Thomas, który starał się o rękę królowej, zanim poślubiła króla. A zatem, pomyślałem, lord Hertford wrócił do Anglii.

Bracia zatrzymali się przed nami. Wcześniej, zbliżając się do nas, spierali się z cichą zaciętością, teraz jednak sir Thomas spojrział na mnie uważnie dużymi piwnymi oczami. Kiedyś skrzyżowaliśmy miecze.

Przed laty widywałem ich razem i znowu zauważyłem, jak bardzo są do siebie podobni, a jednak różni. Owalna twarz Hertforda, o jasnej brodzie, była blada, niezbyt urodziwa, z lekko zrośniętymi brwiami, które sprawiały, że wyglądał, jakby ze zniecierpliwieniem tłumił gniew. Był władczy, lecz nie budził szacunku, a przynajmniej niewystarczająco.

Uchodził za doskonałego polityka, jednak powiadano, że jest łajdanem przez żonę pantoflarzem. Miał na sobie długą brązową szatę z futrzanym kołnierzem oraz jako starszy członek Tajnej Rady okazały złoty łańcuch. Sir Thomas Seymour był solidniejszej budowy. Jego twarz, również owalną, z długą miedzianą brodą, charakteryzowały regularne rysy i ujmujące piwne oczy. Podczas gdy lord Hertford nosił prostą szatę, sir Thomas był odziany w zielony dublet z najlepszego jedwabiu, rozcięty na ramionach i rękawach, by ukazać piękną pomarańczową podszewkę. On także miał na szyi łańcuch, tyle że mniejszy.

Obaj zdjęli ozdobione klejnotami berety i skłonili się nam, pogrążając łańcuchami. Odpowiedzieliśmy ukłonami.

- Pan Shardlake - odezwał się sir Thomas z nutą drwiny w swym niskim głębokim głosie. — Słyszałem, że zostałeś zaprzysiężony jako nowy członek Uczzonej Rady Jej Królewskiej Mości.

- Istotnie, panie.

Lord Hertford wszedł mu w słowo, zwracając się do lorda Parra:

- Ufam, że królowa jest w dobrym zdrowiu, Wasza Lordowska Mość.

- O tak. Dziś rano ogląda nowy portret lady Elżbiety, zanim zostanie pokazany Jego Królewskiej Mości. Pan Scrots doskonale oddał podobieństwo.

- Znakomicie. Lady Elżbieta powinna mieć portret, to przystoi osobie o jej pozycji. — Znacząco wskazał głową w kierunku budowanych właśnie nowych apartamentów lady Marii. - Obraz z pewnością sprawi radość Jego Królewskiej Mości.

- Owszem. Kocha obie córki, rzecz jasna, lecz Elżbieta w miarę dorastania powinna być bardziej... eksponowana.

Zrozumiałem, co kryje się za tą wymianą zdań. Lord Parr i lord Hertford stali po stronie reformatorów; Elżbieta, do której król żywił najmniejsze upodobanie z trójki swych dzieci, była wychowywana w duchu reformatorskim, w przeciwieństwie do konserwatywnej Marii, którą przed zerwaniem z Rzymem wychowano na katoliczkę.

Sir Thomas sprawiał wrażenie znudzonego. Ponownie zwrócił się do mnie:

- Słyszę, Shardlake, że masz być wśród osób witających admirała d'Annebaulta.

- W rzeczy samej, sir Thomasie.

- Odgrywam dużą rolę w Komitecie, który organizuje te uroczystości - powiedział zarozumiale. - Wiele jeszcze trzeba zrobić. Admirał przybywa w asyście tysiąca osób. - Uśmiechnął się. - To będzie wspaniałe rycerskie pojednanie po uczciwej walce między żołnierzami.

Nie odpowiedziałem. Kolejny raz pomyślałem o swych przyjaciółach, którzy utonęli razem z *Mary Rose*, i o wszystkich innych zabitych w tej niepotrzebnej wojnie.

Seymour uniósł brwi.

- Nie przyznasz mi racji? Cóż... — Zaśmiał się i wyprostował szerokie ramiona. - Niektórzy z nas są stworzeni do walki, inni zaś nie. — Ostentacyjnie spojrział na moje plecy.

Była to podła obelga. Jednakże sir Thomas ze względu na pozycję mógł sobie na nią pozwolić, więc nadal milczałem. Jego brat jednak zganił go wzrokiem, gdy ten zwrócił się do lorda Parra i powiedział szyderczo:

- Strzeż się pana Shardlake'a, Wasza Lordowska Mość. Jest zbyt sprytny, by mogło mu to wyjść na dobre. Pewnie dybie na twe stanowisko.

- Nie sądzę, sir Thomasie. - Lord Parr spojrział na niego zimno.

Hertford warknął:

- Ta twoja skłonność do żartów i docinków, Thomasie! Któregoś dnia napytasz sobie biedy.

Sir Thomas poczerwieniał na twarzy, a Lord Parr uśmiechnął się do niego złośliwie, po czym spytał jego brata:

- Czy dużo miejsca poświęca się sprawom zagranicznym podczas obrad Tajnej Rady, Wasza Lordowska Mość? Mój bratanek, sir William, mówi, że omawiane są traktaty z Francją i Hiszpanią.

Hertford poważnie pokiwał głową.

- Owszem, choć w ostatnich miesiącach kosztowało nas to wiele wysiłku. — Spojrzął w stronę bramy Holbeina. - Cóż, muszę się udać do gabinetu króla. Nie mogę się spóźnić. — Skinął mi niezręcznie głową, skłonił się nam obu, po czym ruszył z bratem dalej. Lord Parr odprowadził ich wzrokiem.

- Thomas Seymour to głupiec i zakała - zauważył. - Lecz lord Hertford jest naszym sprzymierzeńcem. Jego powrót, a razem z nim lorda Lisle'a, zmienił układ sił w Tajnej Radzie, przechylając szalę na korzyść reformatorów. I Cranmer ostatnio częściej się tam pokazuje.

- A sir Thomas? - zapytałem. - Jaką pełni funkcję?

Spojrzął na mnie z namysłem.

- Wiem od bratanicy, że niegdyś współdziałaliście i nie darzyliście się nawzajem sympatią. Nie dziwi mnie to, Thomas Seymour jest pełen pychy i próżności jak ten paw. Nie odznaczył się na stanowiskach, które pełnił podczas wojny. Jako członek komitetu organizującego te wszystkie obchody dojdzie do granic swych możliwości. — Zaśmiał się gorzko. - Po powrocie wiosną do kraju opowiadał wszem wobec, jak to uciekł jakimś piratom na wodach kanału. Ośmieszał się, powtarzając w nieskończoność tę samą historię. - Uśmiechnął się drwiąco. — Marzy mu się pozycja, jaką ma w Tajnej Radzie Hertford... Uważa, że jako brat Jane Seymour i wuj księcia Edwarda powinien mieć taką samą władzę. Lecz brakuje mu mądrości i inteligencji, potrafi się tylko popisywać i chełpić. Król dobrze o tym wie. Wybiera do rady jedynie zdolnych ludzi. Thomas tylko uczeplił się brata.

- A jakie jest jego stanowisko w sprawie reform?

Lord Parr wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, by w coś wierzył. Niektórzy mówią, że jest ateistą. Aż trudno uwierzyć, że królowa kiedyś darzyła go miłością, stanowią takie przeciwieństwa.

- Zaiste.

Znowu pokręcił głową.

- Nigdy bym nie pomyślał, że Katarzyna może mieć słabość do takiej kreatury. Widzieliśmy jednak, jaka potrafi być... uczuciowa. Jak to niewiasta — zakończył, wzdychając.

Zapytałem nagle:

- Rozumiem, że nikt ze stronnictwa reformatorów w Tajnej Radzie nie miał powodu, by skraćć *Lamentacje*?

Zaprzeczył.

- Żadnego. Grupa reformatorów na dworze, jak każda frakcja, stanowi przymierze rodów. Parrów, Seymourów i Dudleyów, których reprezentuje John Dudley, lord Lisle. Kiedy... w swoim czasie... — położył nacisk na te słowa - Jego Królewska Mość zostanie powołany do Boga, nasze interesy mogą stać się sprzeczne, lecz na razie łączy nas wspólna wiara. Jeśli Henryk istotnie zgodzi się oddać Anglię pod zwierzchnictwo papieża, wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Będziemy musieli czym prędzej wyjąć różańce, bo inaczej spotka nas straszna śmierć. - Westchnął z niespodziewaną trwogą. - Kiedy o tym myślę, dziękuję Bogu, że jestem już starym człowiekiem.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Potem odezwałem się z namysłem:

- Lecz jeśli Thomas należy do tych, którzy w nic nie wierzą, i jedynie dąży do władzy, mógłby zanieść królowi *Lamentacje*...

Lord Parr spojrział na mnie, marszcząc czoło.

- Po co miałyby to uczynić? Wiedziony ambicją?

- Owszem, może także dlatego, że kiedyś zalecał się do królowej i został odrzucony. Ludzie dumni żywią pragnienie zemsty. A dzięki *Lamentacjom* mógłby w oczach króla zdobyć uznanie, którego tak pragnie.

Lord Parr zastanawiał się przez moment.

- Tego lata, choć niewielu o tym wie, miały miejsce próby zjednoczenia stronnictw reformatorskiego i konserwatywnego poprzez małżeństwo córki księcia Norfolk i Thomasa Seymoura. Jednakże negocjacje spełzły na niczym, po części dlatego, że panna nie chciała go poślubić.

- To z pewnością dowodzi, że byłby skłonny do wszystkiego, byle tylko zdobyć władzę.

Lord Parr pokręcił głową z przekonaniem.

- Nie. Thomas Seymour nie ma inteligencji ani środków, by rozsyłać szpiegów do grup radykałów. Myślę, że go nie lubisz, panie Shardlake, i choć być może masz ku temu powody, wpływa to na twój osąd.

- Niewykluczone - przyznałem niechętnie. — Lecz kto na dworze miałby motyw i pieniądze, by prowadzić taką grę?

- Oczywiście Paget jako sekretarz. Lecz gdyby miał szpiega w grupie anabaptystów, czy to byłby Curdy, czy McKendrick, nadzorowałby go oficjalnie i kiedy tylko zdobyłby przez niego zapiski Anny Askew lub królowej, musiałby aresztować winnych i złożyć raport królowi. Poza tym jestem pewien, że Paget nie ma zobowiązań wobec żadnego stronnictwa. To mistrz ceremonii, funkcjonuje, przyjmując rozkazy jedynie od króla. Jednakże inni z dworu... Gardiner oraz jego pachołki, Wriothesley i Rich... owszem, ci, gdyby tylko usłyszeli o grupie anabaptystów, mieliby ludzi, których mogliby wysłać do niej na przespiegi. W takich sprawach Rich jest naprawdę dobry. Lecz skąd mieliby usłyszeć o tej grupie? Rich miał po prostu szczęście, że dowiedział się, iż Myldmore wyniósł z Tower relację Askew. Chyba że kłamie - dodał powoli, zwracając się ku mnie.

- Jestem pewien, że Rich nie wie nic o *Lamentacjach*.

- Musimy znaleźć tego Szkota — powtórzył z naciskiem. - Bardzo prawdopodobne, że to on był szpiegiem.

Zastanowiłem się nad tym.

- Mój pomocnik sugeruje, że to mógł być podwójny agent, który pracował dla kogoś z dworu, nie rezygnując z anabaptystycznych przekonań. W takim przypadku zachowałby *Lamentacje*.

- Wszystko jest możliwe. Tylko odnalezienie McKendricka pozwoli rozwiązać tę zagadkę.

- Wracając zaś do Richa, skoro zależało mu tylko na zapiskach Anny Askew, to teraz, kiedy przepadły, nie będzie zainteresowany angażowaniem środków w poszukiwania Szkota.

- Nie. To istotnie nie miałyby sensu.

Popatrzyłem na niego.

- Lecz jeśli wykaże chęć jego odnalezienia, będzie to świadczyć, że szuka czegoś więcej... być może *Lamentacji*.

Lord Parr namyślał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Tak, to brzmi logicznie. - Uśmiechnął się cierpko. - Tak czy owak, Rich nie będzie mógł zasnąć, bojąc się dnia, w którym dziennik Anny Askew, wydrukowany i przemycony z Flandrii, ukaże się w Londynie.

- O, tak, owszem. — Mimowolnie poczułem satysfakcję.

- Idź teraz na spotkanie z Richem - polecił lord Parr. - Wywiedz się, jak mają się sprawy. Ja tymczasem muszę pójść do królowej, by zobaczyć, co z nią. - Skłonił się, po czym w typowy dla siebie sposób odwrócił się nagle i powoli ruszył w stronę komnat królowej, wspierając się na lasce.

Odetchnąłem głęboko. Niedaleko usłyszałem śmiechy i ujrzałem dwie damy rzucające pawiowi ziarno.

Poszedłem do domu przy Needlepin Lane, by spotkać się ze Stice'em. Wziąłem z sobą Nicholasa. Kiedy szliśmy Thames Street, podziękowałem mu za uratowanie życia.

- Nigdy tego nie zapomnę — powiedziałem.

Odparł z nietypową dla niego powagą:

- Cieszę się, że mogłem cię ocalić, panie, gdy tyłu w tej sprawie zginęło. Leeman... rozgniewał mnie zeszłej nocy ze względu na swe szalone zapatrywania. Powiedziałem za dużo, czyż nie?

- Tak. Wymagał łagodnego podejścia.

- Pamiętam, że Elias przeze mnie uciekł - rzekł cicho. - A później został zabity. Mam go na sumieniu.

- Niepotrzebnie. Wszyscy popełniamy błędy.

Pokręcił głową.

- Wiedziałem, że w Londynie panują przemoc i gwałt, ale żeby aż tak...

- To nie moja specjalność, choć z biegiem lat za sprawą pewnych wysoko postawionych ludzi w królestwie można odnieść takie wrażenie.

Zawahał się, po czym spytał:

- Masz na myśli Jej Królewską Mość?

Nie wiedziałem, czy odpowiedzieć.

- Tak. I innych przed nią. Cranmera i Cromwella.

To mu zaimponowało.

- Istotnie znasz najpotężniejsze osoby w Anglii.

- To niesie z sobą nie tylko same korzyści.

- Ci wszyscy ludzie stoją po jednej stronie, jeśli chodzi o wiarę - zauważył niepewnie.

- Ja sam niegdyś do nich należałem i choć w państwie nastąpiły podziały, nie straciłem dawnych znajomości. Lecz jeśli chodzi o religię... - Wzruszyłem ramionami. — Nie trzymam już z nikim.

- Chyba wystarczy jedynie wierzyć.

Spojrzałem na niego.

- Czy ty wierzysz, Nicholasie?

Zaśmiał się nerwowo.

- Trochę. Czuję w sercu, że chcę ratować życie, a nie je odbierać. I cieszę się, że uratowałem twoje - dodał, oblewając się rumieńcem.

- Jestem ci wdzięczny, Nicholasie. - Teraz ja też popadłem w zakłopotanie. Takie wyznanie z ust ucznia mogłoby brzmieć jak pochlebstwo, lecz Nicholas był pozbawiony wyrachowania. Odparłem niezręcznie: - Zobaczmy, czy te łotry są na miejscu.

Drzwi otworzył Stice. Miał bandaż na czole.

- To wy. - Spojrzał na nas niechętnie. — Przyszliście pomówić o tej żalosnej kompromitacji, do której zeszłej nocy doprowadziliście?

- Zawiedliśmy wszyscy.

- Jest tu mój pan. — Ściszył głos. - Niezbyt zadowolony.

- Jak się ma Gower?

- Umiera.

- Przykro mi.

- I powinno ci być, do diabła.

Zaprowadził nas na piętro. Sir Richard Rich siedział za biurkiem jak poprzednio. Okiennice były zamknięte i w izbie panowała duchota. Niewątpliwie nie chciał, by zobaczył go tu ktoś z ulicy. Popatrzył na nas groźnie.

- Na Judasza! Doprowadziliście wczoraj do niezłej jatki!

- Byli waleczni i potrafili się bić. Nie mogliśmy powstrzymać Vandersteyna przed ucieczką.

- Ale się staraliśmy — dodał Stice. — Każdy z nas.

- Zamknij się, ty parszywy psie! Tyle z was pożytku co z gromady bab! A medyk twierdzi, że niebawem będę miał truchło Gowera! — Popatrzył na Stice'a. — Na Boga, lepiej byłoby, gdybyś stracił głowę w pojedynku, nie tylko połowę ucha. Piękna ozdoba dla dżentelmena. - Stice zacisnął usta, lecz zmilczał obelgę.

Rich zwrócił pełne furii spojrzenie na mnie.

- Jak się domyślam, byłeś już w Whitehall, by donieść sługusom królowej, iż zapiski Anny Askew przepadły. Są już na środku Morza Północnego, jak mniemam. - Przewiercił mnie swymi szarymi oczami.

- Cóż, spodziewam się, że oszczerstwa Askew na mój temat prędzej czy później ujrzą światło dzienne. - Wyraźnie użalał się nad sobą, chociaż nie mógł oczekiwać, że będę mu współczuł.

- Jednakże Szkot pozostał w Anglii - odparłem.

- Ten niepoczytalny anabaptysta! Mam nadzieję, że zostanie schwytany i spłonie na stosie. - Wydał przeciągłe gniewne westchnienie. - Nasze przymierze dobiegło końca, Shardlake. Jak mogłem choć przez chwilę sądzić, że jakiś garbaty gryziopiórek na coś mi się zda? - Machnął szczupłą dłonią, ozdobioną pierścieniem. -Precz stąd!

Przyjrzałem mu się. Powiedziałem lordowi Parrowi, że jeśli Rich nie wykaże zainteresowania znalezieniem McKendricka, będzie to oznaczało, że zależy mu jedynie na dzienniku Anny Askew. Jednakże w jego furii i pogardzie było coś teatralnego, co wzbudziło we mnie wątpliwości. Chociaż być może był to rzeczywiście tylko gniew i strach, że jego postęпки niebawem wyjdą na jaw. Oczywiście, mógł szukać Szkota na własną rękę. Wszędzie podstępny i zwodny.

- Czy zatrzymasz ten dom, panie? - zapytałem.

- Pilnuj swego nosa! - Poczzerwieniał. - Idź precz, bo inaczej Stice zrobi temu gołowąsowi jeszcze kilka siniaków... i tobie też. Wynocha! Nie chcę cię więcej widzieć!

Rozdział trzydziesty siódmy

Tego dnia powtórnie złożyłem raport lordowi Parrowi. Był z nim w gabinecie Cecil. Młody prawnik wyglądał na zdenerwowanego i miał cienie pod oczami. Nigdy wcześniej nie brał udziału w takiej akcji jak starcie na nabrzeżu. Opowiedziałem im, jak przebiegło spotkanie z Richem, i dodałem, że wątpię, by wiedział o istnieniu *Lamentacji*, lecz nie mam pewności. Lord Parr poinformował mnie, że zleci swym ludziom poszukiwania McKendricka na terenie Londynu. Rzeczywiście, Szkot mógł ukryć się w mieście, lecz nie dało się wykluczyć, że już je opuścił. Jeśli chodzi o sprawę z Bertanem, lord Parr dowiedział się tylko, że przed domem nieopodal Charing Cross, w którym byli przyjmowani goście dyplomatyczni, wystawiono wartę złożoną z żołnierzy królewskiej straży przybocznej. Był to złowróżbny znak, lecz nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać.

*

Minął tydzień... Lipiec przeszedł w sierpień, po dwóch dniach deszczu znowu wrócił upał i nowy miesiąc nie przynosił nowych wiadomości z Whitehall. Codziennie rano się obawiałem, że usłyszę o zawarciu porozumienia z papieżem i że królowa ze swym radykalnym otoczeniem zostali aresztowani. Skupiałem się jednak na pracy. Nicholasowi zeszyły z twarzy siniaki i choć zdawał się trochę niespokojny, pracował sumiennie. Nie mógł się już doczekać nadchodzących uroczystości na cześć francuskiego admirała. Wieść głosiła, że do Tower sprowadzono dodatkowe działo, by wzmocnić powitalną kanonadę na powitanie d'Annebaulta. Powiedziałem Nicholasowi, że mam wziąć udział w tych obchodach - zazdrościł mi, chociaż ja chętnie zrezygnowałbym z tego przywileju. Tymczasem dłoń Baraka całkowicie się wygoiła i jak czułem, bez przykrości wrócił on do normalnego życia.

W domu wciąż bacznie przypatrywałem się Brocketowi, lecz sprawował się bez zarzutu i Josephine nie miała mi o czym raportować. Oboje z Agnes wydawali się już spokojniejsi i byłem ciekaw, czy otrzymali lepsze wieści od syna, lecz o to nie pytałem. Josephine także sprawiała wrażenie zadowolonej, regularnie spotykała się ze swym fatygantem i zyskała pewność siebie; czasami nawet słyszałem, jak sobie w domu podśpiewuje. Uśmiechałem się wtedy, bo przyjemnie było pomyśleć, że przynajmniej, wśród zmartwień i kłopotów, zapewniłem dziewczynie dach nad głową i przyszłość. Timothy jednak jakby unikał rozmów ze mną, być może obawiając się, że znowu poruszę temat jego pójścia do terminu.

Zadbałem o godny przydziewek na wizytę admirała, sprawiając sobie nowy czarny dublet oraz koszulę z kunsztownymi haftami na mankietach i kołnierzu. Nie zdobyłem się jednak na wydatek, jakim było kupno złotego łańcucha, moja sakiewka bowiem ucierpiała wystarczająco z powodu podatków wojennych.

Piątego sierpnia dostałem list od Hugh. Był głównie zwykłym doniesieniem o interesach i rozrywkach w Antwerpii. Hugh wspominał jednak, że ostatnio przyplłynął z Anglii statek towarowy i że do portu przybył pewien Anglik, by powitać właściciela, antwerpskiego kupca. Sprawdziłem datę i statkiem tym był z całą pewnością *Antwerpen* z Vandersteynem na pokładzie, owym zaś Anglikiem - John Bale. Prawdopodobnie więc zapiski Anny Askew poszły do druku. Cóż, tym gorzej dla Richa.

*

Szóstego sierpnia poszedłem Chancery Lane i przeciąłem Grays Inn Road. Przez cały ranek byłem zajęty papierkową robotą - którą ledwie nadgoniłem - i posiliwszy się samotnie w sali jadalnej, niemal pustej w środku letniej kanikuły, postanowiłem odetchnąć świeżym powietrzem. W trymestrze sądowym miałem prowadzić sprawę dotyczącą granic pewnych nieruchomości w Gloucestershire. Prawnicy reprezentujący przeciwną stronę, członek Grays Inn, dysponował pokolorowaną mapą, która towarzyszyła aktom własności i przedstawiała poszczególne działki. Zgodnie z przepisami miałem prawo sporządzić jej kopię. Zazwyczaj było to zadanie urzędnika, lecz ani Barak, ani Nicholas nie mieli talentu do rysowania, podczas gdy mnie sprawiało to przyjemność. Postanowiłem zatem, że sam się tym zajmę, chociaż mogłem wziąć za to stawkę urzędniczą.

Myśląc o Gray's Inn, przypomniałem sobie Philipa Coleswyna. Nie widziałem się z nim od czasu, kiedy ostrzegłem go o wniesionej przez Isabel skardze — o której skarbnik Rowland już więcej mnie nie informował. Wróciłem więc do domu i wziąłem Genesis, myśląc, że i jej przyda się nieco świeżego powietrza. Młody Timothy był z nią w stajni, czytał coś, co na mój widok, pąsowiejąc, pospiesznie schował za pazuchę. Bez wątpienia była to jakaś broszura ze sprośnymi wierszykami — jakież to korzyści przyniósł ludzkości druk, pomyślałem sardonicznie, polecając chłopcu osiodłać konia.

Cieszyłem się spokojną jazdą uliczkami, między żywopłotami, w których bzycały pszczoły, wśród pól z pasącą się tłustą trzodą o błyszczącej sierści. Był to jeden z tych gorących sierpniowych dni, kiedy wieś zdaje się niemal odurzona upałem, bydło i owce pasą się leniwie, a nad zakurzonym traktem jakby drga powietrze. Nie mogłem się już doczekać, kiedy zabiorę się do kopiowania mapy; wcześniej, wybierając flaszeczki kolorowego tuszu, którymi miałem się posłużyć, przypomniałem sobie czasy, kiedy malowałem. Jak to się stało, że zarzuciłem to przyjemne zajęcie?

Pozostawiłem Genesis odźwiernemu Gray's Inn i przeciąłem centralny plac. Drzewa były pokryte pyłem. Wciąż myślałem o malowaniu, kiedy skręciwszy za róg, natknąłem się na ostatnie dwie osoby, jakie życzyłbym sobie zobaczyć: Vincenta Dyricka w todze i berecie, z przystojną orlą twarzą poczerwieniałą od słońca, oraz Isabel Slanning w ciemnoniebieskiej sukni i dwuspadowym czepcu, jak zwykle skrzywioną. Dyrick marszczył czoło i przyszło mi do głowy, że choć miał doświadczenie z trudnymi klientami, być może Isabel i dla niego stanowiła zbyt duże wyzwanie.

Wszyscy, zaskoczeni, staliśmy przez chwilę w milczeniu. Zdjąłem beret i wykonałem ukłon.

- Dobrego popołudnia, kolego. Pani Slanning.

Dyrick odpowiedział ukłonem i odezwał się z niezwykłą uprzejmością:

- I tobie, kolego Shardlake.

Chciałem ich wyminąć, jednakże Isabel, stając prosto przede mną, wbiła we mnie stalowe spojrzenie.

- Czyżbyś, panie Shardlake, przyszedł z wizytą do pana Coleswyna, by pomówić o mej skardze czy może spiskować razem z nim przeciwko innemu uczciwemu prawowiernemu klientowi, który nieodmiennie wierzy w cud mszy świętej? - Mówiła donośnym, przenikliwym tonem, który przywiódł mi na pamięć tamten wieczór, kiedy zaatakowała mnie przed domem Coleswyna.

Ku memu zdziwieniu, Dyrick wziął ją pod ramię.

- Proszę, pani — powiedział szybko. — Pozwól, że odprowadzę cię do bramy.

Odepchnęła go jednak, wciąż przewiercając mnie ostrym spojrzeniem, i wycelowała we mnie kościsty palec.

- Pamiętaj, panie Shardlake, że wiem wszystko o waszych knowaniach, twych, mego brata i tego Coleswyna. Zapłacicie mi za to najwyższą cenę. Tylko poczekajcie. — Odsłoniła zęby w złośliwym uśmiechu, całkiem zdrowe jak na niewiastę w jej wieku. - Pan Dyrick ci daruje, lecz ja nie - zakończyła triumfalnie, kiwając głową na swego prawnika, który był wyraźnie skrępowany.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie, pozwalając odprowadzić się Dyrickowi za róg. Popatrzyłem za nimi. Zachowanie Isabel było niedorzeczne, wręcz szalone. Jednakże Dyrick zdawał się zaniepokojony i mimowolnie zacząłem się zastanawiać, co miała na myśli.

*

Przez następną godzinę w kancelarii mego adwersarza w nowej sprawie kopiowałem mapę. Trudno jednak było mi się skupić, gdyż dziwaczne spotkanie z Isabel wciąż nie dawało mi spokoju. Postanowiłem sprawdzić, czy Coleswyn jest w swej kancelarii.

Jego urzędnik powiedział, że tak, więc ponownie wkroczyłem do wysprzątanego, uporządkowanego gabinetu. Coleswyn serdecznym gestem wyciągnął do mnie rękę na powitanie. Był w lepszym nastroju niż ostatnio, kiedy się z nim widziałem; wydawał się wręcz odprężony i życzliwy.

- Matthew, jak ci się wiedzie?

- Mam pracowite lato. A tobie, Philipie?

- Teraz, kiedy łowy na heretyków się skończyły, moja małżonka i ja trochę się uspokoiśmy. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Wczoraj na mocy amnestii oddałem kilka ksiąg, dobrych ksiąg, napisanych przez ludzi prawdziwie wierzących, które jednak znalazły się na liście dzieł zakazanych. Odkładałem to, gdyż byłem do nich zbyt przywiązany, lecz w poniedziałek kończy się amnestia.

- Ja także miałem kilka z nich. Spaliłem je, bo nie chciałem, by moje nazwisko widniało w wykazie.

- Amnestia ma charakter publiczny i księgi zdało wielu ludzi. Niektórzy nawet z Whitehall. - Zaśmiał się z niepokojem. - Jeśli ci, którzy skorzystali z amnestii, spotkają się z prześladowaniami, będzie to pogwałcenie zaufania, no i prawa.

Uśmiechnął się smutno, wyglądając oknem na dziedziniec.

- Bardzo żałuję tamtych ksiąg, lecz nasz pastor mówi, że musimy poczekać na lepsze czasy.

Byłem rad, że nic mu nie wiadomo o Bertanie.

- Przyjechałem dziś do Gray's Inn w innej sprawie, lecz miałem dziwne spotkanie z Isabel Slanning i Dyrickiem. Pomyślałem, że powinienem ci o tym opowiedzieć.

Spoważniał.

- Co tam znowu? Dyrick zawraca mi głowę zeznaniami pod przysięgą oraz innymi kwestiami w związku z tą sprawą, próbując mnie zmęczyć i skłonić do ustępstw, jak to on. Lecz nie wracał do tych absurdalnych oskarżeń o znowę. Miałem nadzieję, że odwiedzie Isabel od podążania tą ścieżką. Ja bym tak postąpił na jego miejscu. Sąd nie lubi takich wybiegów.

- Być może próbował. Kiedy na nich wpadłem, Dyrick pierwszy raz był dla mnie uprzejmy i usiłował odciągnąć Isabel. Zdążyła mi jednak kolejny raz powiedzieć, że wie o naszym rzekomym spisku, moim, twoim i jej brata, i że gorzko go pożałujemy.

- Dyrick jej nie poparł?

- Był od tego daleki, co do niego nie pasuje. Podejrzewam, że Isabel naprawdę ma nie po kolei w głowie. Jednakże Dyrick sprawiał wrażenie zaniepokojonego, więc zastawiam się, co ta kobieta zamierza.

Pogodny nastrój Philipa zniknął.

- Czy słyszałeś coś o dalszych losach skargi, którą złożyła na ciebie w Lincoln's Inn? - zapytał z lękiem.

- Nie. Jednak skarbnik Rowland miał odpisać Isabel w ostrym tonie. Powinienem otrzymać kopię tego listu, lecz jak na razie jej nie dostałem. Wstąpię zatem do Rowlanda.

Coleswyn namyślał się przez chwilę, po czym odparł:

- Kiedy kilka dni temu posilałem się w jadalni, spotkałem znajomego z innej kancelarii, który wie, że prowadzę sprawę Cotterstokea... poczynania Dyricka zawsze stają się tematem plotek w Grays Inn. Przedstawił mi pewnemu emerytowanemu prawnikowi, już ponad siedemdziesięcioletniemu, który jednak ma nader dobrą pamięć. Jako młody człowiek... ponad czterdzieści lat temu... reprezentował matkę Edwarda i Isabel.

Spojrzałem na niego z ciekawością.

- Doprawdy?

Zawahał się.

- Chociaż stara Deborah Cotterstoke już nie żyje, wciąż obowiązuje go tajemnica profesji prawniczej. Wiesz jednak, jak ci starcy lubią plotkować. A ja, cóż, byłem bardzo zainteresowany wszystkim, co j dotyczy tej rodziny. — Ściągnął brwi. — Nie powinienem ci tego mówić, jak sądzę.

Uśmiechnąłem się wyrozumiale. Podziwiałem jego uczciwość.

- Nie reprezentuję już Isabel. I obiecuję, że zachowam dla siebie wszystko, co mi powiesz. - Pochyliłem głowę. - A jeśli były klient grozi swemu adwokatowi, jak tego ranka Isabel mnie, ma on prawo poznać wszelkie informacje, które mogą rzucić światło na okoliczność sprawy. Rozumiem, że tak jest z opowieścią tego starego prawnika, mam rację, Philipie?

Potwierdził mruknięciem.

- Niebezpośrednio — odparł. — Lecz obaj zachodziliśmy w głowę, skąd się wzięły wzajemna niechęć i strach, jakie żywią wobec siebie Edward Cotterstoke i Isabel Slanning.

- Tak. Z pewnością przyczyna jest niezwykła.

- Wiemy od starego kupca, z którym rozmawiałem wcześniej, że ich ojciec zmarł młodo, matka ponownie wyszła za mąż i jej drugi mąż także wkrótce odszedł z tego świata. Według owego kupca od tamtego czasu ona i jej dzieci miały z sobą na pieńku. - Pochylił się na krześle. - Stary prawnik został wynajęty w tysiąc pięćset siódmym roku, jeszcze za panowania poprzedniego króla, przez panią Deborah Johnson, jak się wówczas nazywała, której ostatnia wola spowodowała cały ten dzisiejszy zamęt. W tamtym czasie była przystojną wdową, niespełna czterdziestoletnią, z dwojgiem dzieci.

- Czyli Edwardem i Isabel.

- Tak. Pierwszy mąż Deborah, pan Johnson, właśnie zmarł. Na angielskie poty, jak pamiętasz, które tamtego lata szalały w mieście.

Przypomniałem sobie pewnego siebie młodego ojca z obrazu, w wysokim kapeluszu, z ładną żoną i dwójką dzieci. Jak łatwo szczęśliwemu zamożnemu człowiekowi może skończyć się dobra passa.

- Matka Isabel i Edwarda odziedziczyła po nim warsztat i była całkiem bogata. W Wydziale Kanclerskim rozpatrywano sprawę o to, czy niewiasta może odziedziczyć i prowadzić interes, a także należeć do gildii. Stary prawnik mógł ją zapewnić, że nic nie stoi ku temu na przeszkodzie. Zapamiętał ją jako budzącą respekt kobietę.

- Przypominam sobie jej twarz z malowidła. Ładna, lecz o ostrych rysach, twarda i stanowcza. Jak jej córka.

- Owszem. Rok później pani Johnson ponownie zasięgnęła jego porady. Zamierzała drugi raz wyjść za mąż, za mężczyznę tej samej profesji co nieboszczyk, Petera Cotterstokea, lecz chciała wiedzieć, czy jej prawa do warsztatu po ślubie nie przejdą na męża.

- Tak by było.

Philip pokiwał głową.

- I tak jej powiedziano. Twierdziła, że jej dzieci, które miały wtedy jedenaście i dwanaście lat, niepokoją się, że tracą możliwość dziedziczenia. Była jednak zdecydowana poślubić pana Cotterstokea. I tak też uczyniła. Lecz Cotterstoke okazał się człowiekiem honoru. Deborah, już Cotterstoke, przyszła po poradę trzeci raz, kilka miesięcy później, razem z nowym mężem, który sporządził testament, stanowiący, że jeśli umrze wcześniej niż żona, ich wspólny interes... jego i świętej pamięci pana Johnsona... przejdzie na nią. Przypieczętował umowę, formalnie adoptując Edwarda i Isabel, dzięki czemu, nawet gdyby Deborah pierwsza odeszła z tego świata, odziedziczyliby to, co należało im się po ojcu. Deborah była już wtedy przy nadziei, w sposób widoczny, i małżeństwo uznało, że dobrze będzie sformalizować uzgodnienia.

Podrapałem się po policzku.

- Zatem Cotterstoke był dobrym ojczymem. A oni przyjęli jego nazwisko, czego by nie uczynili, gdyby żywiły do niego niechęć. Czy starzec wie coś o przyczynie sporu w łonie rodziny?

— Nie - odparł Coleswyn. - Tyle że niedługo później biedny pan Cotterstoke utonął. Wiedzieliśmy o tym, lecz postanowiłem zajrzeć do raportu koronera. - Usiadłem prosto. — Pewnej niedzieli niedługo po adoptowaniu dzieci i sporządzeniu testamentu pan Cotterstoke wyszedł z domu tuż za Aldgate i udał się przez miasto do portu, gdzie przybił właśnie statek z towarami, które ten nabył za granicą. Zabrał z sobą oboje dzieci, a także dwójkę służących, jak przystało na dżentelmena poza domem. Jednym z nich był Patrick Vowell, czyli ten stary człowiek, który obecnie opiekuje się domem.

— Zaiste? — zapytałem z rosnącym zainteresowaniem.

— Służący zeznali, że pan Cotterstoke był tego dnia w doskonałym humorze, podobnie jak chłopiec i dziewczynka. Nie mógł się doczekać narodzin nowego dziecka. Obaj zostawili go przed komorą celną.

Powiedział, że nie wie, ile czasu mu się tam zejdzie, więc lepiej, by zaczekali na dworze. Dzieci poszły z nim. W porcie panował spokój, jak to w niedzielę. Niedługo później robotnik usłyszał krzyki i zawodzenia dochodzące z wody. Początkowo myślał, że to mewy, lecz po chwili się zorientował, że to woła człowiek. Podbiegł nad wodę i zobaczył miotającego się w niej mężczyznę. Był przyływ i zrobiło się głęboko. Robotnik zawołał kolegów, by pomogli mu wydobyć tonącego na brzeg, lecz było już za późno. Pan Cotterstoke, gdyż to był on, miał w płucach pełno wody; z całą pewnością się utopił. Był to mglisty jesienny dzień, ktoś idący blisko brzegu mógł wpaść do wody przez nieuwagę.

— To prawda.

— Dzieci złożyły zeznanie przed sądem. Twierdziły, że ojczym wstąpił na statek, po czym powiedział, że chce się jeszcze przejść, by zobaczyć, jakie towary można kupić na innych jednostkach, które przyplłynęły, i polecił im wrócić do służących. Tak też uczyniły. Kupcy tak robią w niedziele, choć tamtego dnia na nabrzeżu nie było wielkiego ruchu.

— Czy prawnik, z którym rozmawiałeś, brał udział w dochodzeniu?

— Nie. Lecz spotkał się z Deborah Cotterstoke jeszcze raz, już później, kiedy ją odwiedził, by uwierzytelnić dokumenty po pogrzebie. Pamięta, że bardzo cierpiała, co go nie zdziwiło, gdyż w ciągu niespełna trzech lat dwukrotnie owdowiała. Dzieci także zdawały się wstrząśnięte j oszołomione.

- Czy kiedykolwiek jeszcze się do niego zwróciła?

Coleswyn zaprzeczył ruchem głowy.

- Napisał do niej, pytając, czy chciałyby sporządzić nowy testament, lecz nie odpowiedziała. Niedługo później usłyszał, że straciła dziecko, które nosiła w łonie, w czym nie ma nic dziwnego, zważywszy na smutne okoliczności. — Philip westchnął. - Mówił, że od czasu do czasu widywał Edwarda i Isabel na ulicy. Później wdowa sprzedała interes i jej syn, mój klient Edward, postanowił nauczyć się innego fachu.

- Już nigdy ponownie nie wyszła za mąż?

- Nie. I z uporem do końca życia chodziła w żałobie.

Zastanowiłem się.

- Uważasz, że w śmierć pana Cotterstokea mogła być zamieszana osoba trzecia? — Wstrzymałem oddech. - Albo nawet jedno z dzieci? Koroner miał tylko ich słowo, że ojciec żył, kiedy wróciły do służących. - Zmarszczyłem czoło. — Albo że pani Cotterstoke winiła ich oboje za śmierć męża? Wszystko wskazuje na to, że przestała kochać swe dzieci, a mówiliśmy wcześniej, że sformułowanie zawarte w jej testamencie wygląda jak próba skłócenia ich z sobą. - Popatrzyłem na Philipa. - To straszliwe podejrzenie.

- Owszem. Jednakże, biorąc pod uwagę testament, jaki sporządził ich ojczym, ani one, ani Deborah nie miały powodu, by żywić do niego niechęć albo mu nie ufać. - Spojrzał na mnie z powagą. - Wciąż zmagam się ze swym sumieniem, zastanawiając się, czy nie porozmawiać ze starym sługą, poczciwym Vowellem. Nie mam takiego upoważnienia od klienta, niemniej...

Uśmiechnąłem się smutno.

- Dotarłbyś do korzeni tego szaleństwa.

- Podejrzewam, że śmierć ojczyma ma coś wspólnego z ich wzajemną nienawiścią. I do tego każde z nich twierdzi, że może bardzo zaszkodzić drugiemu.

- Pamiętam, że stary Vowell zdawał się przygnębiony kłótnią Edwarda i Isabel podczas oględzin malowidła - odparłem. - Ich zachowanie wyraźnie go zasmuciło.

- Nie mam prawa go wypytywać.

- Przejrzałeś już raport koronera. A jeśli postępowanie Isabel może stanowić zagrożenie dla nas obu... — Uniosłem brwi.

- To tylko groźby niepoczytalnej kobiety. - Westchnął ciężko. - Jeszcze to rozważę, Matthew. Potrzebuję czasu do namysłu.

Ja bym od razu poszedł do domu Cotterstoke ów i wziął Coleswyna z sobą. Nie mogłem jednak nalegać. Podniosłem się.

- Daj mi znać, kiedy podejmiesz decyzję. I informujmy się nawzajem, jeśli w tej sprawie pojawi się coś, co może dotyczyć nas... osobiście.

Uniósł wzrok i spojrzał mi w twarz swymi czystymi niebieskimi oczami.

— Dobrze. Obiecuję.

Rozdział trzydziesty ósmy

Minęły kolejne dni bez żadnych wieści. W piątek zajrzałem do biura skarbnika Rowlanda, lecz powiedziano mi, że ma gościa. W poniedziałek wstąpiłem tam ponownie, tym razem urzędnik poinformował mnie, że skarbnik wyszedł, choć mijając okno jego gabinetu w drodze powrotnej, dostrzegłem przez na wpół otwarte okiennice jego smukłą, odzianą na czarno postać pochyloną nad biurkiem. Kiedy znowu wychodziłem z kancelarii, okiennice były zamknięte. Zacząłem zastanawiać się z niepokojem, czy Rowland mnie nie unika.

Tamtego dnia w sali jadalnej spożywałem posiłek ze znajomym prawnikiem; zamierzał nazajutrz wynająć łódź i wybrać się z rodziną na wycieczkę za Greenwich. Jak w poprzednim miesiącu powiedział mi Rowland, niemal wszystkie okręty królewskie, z pięćdziesiąt albo i więcej, miały wpłynąć do Tamizy i zacumować jeden za drugim wzdłuż jej brzegów od Gravesend po Deptford, by mógł je podziwiać ze statku francuski admirał. Jednostki te powoli ściągały na miejsce.

- Powiadają, że *Great Harry* właśnie przybił do Deptford - powiedział kolega. - Mają tam przyplłynąć wszystkie te okręty, który zeszłego roku były w Portsmouth i przepędziły Francuzów.

- *Mary Rose* nie będzie.

- Ofiara wojny, kolego Shardlake - powiedział ponuro. - Ofiara Wojny.

We wtorek, dziesiątego sierpnia, pod koniec dnia pracy, zaproponowałem Barakowi i Nicholasowi, by napili się ze mną piwa w sekretariacie. Skelly poszedł do domu. Wciąż nie dawała mi spokoju sprawa zaginionego dzieła królowej i pomyślałem, że rozmowa z nimi pomoże mi spojrzeć na nią z innej perspektywy. Barak spytał, czy dostałem jakieś wiadomości z pałacu.

- W tym tygodniu nie.

Pokręcił głową.

- Ktoś wciąż przetrzymuje tę księgę. Lecz kto i dlaczego nie pokazał jej jeszcze królowi, jeśli chce zaszkodzić reformatorom?

- Chciałbym to wiedzieć.

- A co do tego Bertana... - dodał Nicholas. - Musi już tu być, jeśli Leeman nie kłamał. - Wydał westchnienie i zapatrzył się w dal.

Lord Parr kazał w noc strzelaniny zabrać zwłoki Leemana, a szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zacy wrócili do domu dopiero rankiem. Byłem pewien, że Nicholas, tak samo jak ja, nigdy nie zapomni zmasakrowanej na naszych oczach twarzy młodego strażnika.

- Wiemy, że *Lamentacje* znalazły się w rękach anabaptystów. I Leeman się nie mylił, jeden z nich był szpiegiem, wszak nikt inny nie wiedział o dziele królowej. Musiał to być albo Curdy, który nie żyje, albo McKendrick, który zbiegł. Albo obaj. Lecz ktokolwiek to był, pracował dla jakiegoś człowieka na dworze. Nie ma innej możliwości.

- Jednego z najwyższych postawionych - zgodził się ze mną Barak. - Lecz wciąż pozostaje pytanie, kto to taki i dlaczego jeszcze nie wyłożył kart na stół. — Spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem. - Nadal nie bierzesz pod uwagę Richa?

- Zawsze biorę go pod uwagę. Lecz ktokolwiek to jest, czekanie wiąże się dla niego z niebezpieczeństwem. Każdy, kto wszedłby w posiadanie tego dzieła, miałby obowiązek natychmiast powiadomić o tym króla. A jeśli ten, kto je ukradł, chce wzbudzić gniew Henryka i tym sposobem wspomóc negocjacje z Rzymem, powinien dać mu je jak najszybciej.

- Jeżeli ta historia z Bertanem jest prawdziwa i on w ogóle istnieje - zauważył Barak. - Tego nie wiemy na pewno. A jeśli jest prawdziwa, wciąż wątpię, by król zrzekł się zwierzchnictwa nad Kościołem.

- Lord Parr uważa, że perspektywa przymierza z papieżem może wyjaśniać zachowanie pewnych doradców królewskich. Ponadto przed budynkiem przy Charing Cross, gdzie gości się dyplomatów,

postawiono żołnierzy królewskiej straży przybocznej.

Nicholas poparł Baraka:

- W takim razie najlepszy czas na ujawnienie *Lamentacji* już minął. I jak głoszą słuchy, królowa ma odgrywać ważną rolę podczas ceremonii powitania francuskiego admirała. To musi oznaczać, że wróciła do łask.

Barak mruknął:

- Thomas Cromwell był u szczytu władzy, kiedy upadł. Otrzymał tytuł hrabiego Essex, a po kilku tygodniach nagle został zabrany do Tower i ścięty.

Nicholas pokręcił głową.

- Tak postępuje nasz król? - Zadał to pytanie przyciszonym głosem, mimo że byliśmy w murach kancelarii.

- Dobre pytanie — zauważyłem. — Rozmawialiśmy o tym z lordem Parrem. Król jest łatwowierny, podejrzliwy i jeśli zwraca się przeciwko komuś, bezwzględny i nieugięty. To człowiek, który żywi przekonanie, że zawsze ma rację, i wierzy w to, w co chce wierzyć. Niemal na pewno uznałby za zdradę, gdyby się dowiedział, że królowa ukrywała przed nim istnienie swego dzieła, a następnie jego kradzież. Mimo to... wciąż ją kocha, nie chce jej utracić. Kazał ludziom Gardinera słono zapłacić, kiedy nazwali ją heretyczką, a nie mogli przedstawić na to żadnych dowodów.

- To jednak nie stanowi odpowiedzi na pytanie, kto ma *Lamentacje* - odparł Barak.

- Nie — przyznałem mu rację. — W istocie.

- A co z moją teorią o podwójnym agencie? - zapytał Nicholas. - Że to ktoś, kto powiedział swym panom o księdze, lecz wziął ją dla siebie, zabijając Greeninga?

- W jakim celu miałyby to uczynić? - chciał wiedzieć Barak.

- Może by wywieźć ją bezpiecznie za granicę?

- Jeśli tak - odezwałem się - jedyną osobą, która mogła to zrobić, był McKendrick. Kimkolwiek jest naprawdę.

Słyszac nagłe pukanie do drzwi, wszyscy aż podskoczyliśmy.

Kiedy w odpowiedzi na moje pozwolenie weszła Tamasin, w izbie opanowała wręcz wyczuwalna ulga.

Wstaliśmy wszyscy. Kiedy już wymieniliśmy ukłony, Tamasin uśmiechnęła się do nas.

- Zatem to tak przenikacie sekrety prawa. - Barak i ja się zaśmialiśmy, Nicholas zaś zmarszczył czoło na taką śmiałość z jej strony. Ja jednak znałem Tamasin od dawna, poza tym nigdy nie była nieśmiałym kwiatuszkiem.

Barak powiedział na wpół szyderczo, na wpół surowo:

- Pozwalamy sobie na mały odpoczynek pod koniec pracowitego dzionka. Miła rzecz, kiedy niewiasty łają nas za wszystko.

- Może na to zasługujecie. Jednak mówiąc poważnie, Jack, jeśli już skończyliście, czy nie poszedłbyś ze mną na targ przy Eastcheap, by sprawdzić, czy mają tam jabłka?

- Za późno na to. Wiesz ponadto, że jeszcze nie zdążyły dojrzeć. Zostały tylko resztki z zeszłorocznego kiepskiego zbioru, drogie, a pomarszczone i małe.

- Taka mnie na nie nasza ochota. — Zerknęła wstydliwie na Nicholasa. — Może przywieziono jakieś z Francji, z którą znowu handlujemy.

- Boże, zmiłuj się nad moją sakiewką - jęknął Barak. Lecz odstawił kufel.

- Ja także muszę już iść - odezwałem się. - Muszę popracować w domu nad pewnymi dokumentami. Poczekajcie, aż je wezmę, a potem zamkniemy kancelarię.

- Dziękuję ci, panie - powiedziała Tamasin. Zwróciła się do mego ucznia. — Jak się pan ma, panie Nicholasie?

- Dobrze, dziękuję, pani Barak.

- Jack mówił mi, że nie zapodziewasz już papierów i nie strącasz rzeczy jak dawniej - dodała żartobliwie.

- Nigdy mi się to nie zdarzało - odparł nieco sztywno. - W każdym razie nie nazbyt często.

Wziąłem z gabinetu dokumenty, o które mi chodziło. Kiedy otworzyłem drzwi do sekretariatu, Nicholasa już nie było, Tamasin zaś przysiadła na biurku Baraka. Ten delikatnie kręcił na palcu pasmo jasnych włosów, które wysunęło się spod jej peruki, i mówił cicho:

- Przeszukamy targ. Niebawem przejdzie ci ta zachcianka, jak ostatnim razem.

Chrząknąłem, a oni wstali. Wyszliśmy razem. Kiedy patrzyłem jak ruszali przed siebie w to późne letnie popołudnie, jak zwykle sprzecząc się dobrotliwie, ujęło mnie za serce wspomnienie tamtej chwili, gdy przyłapałem ich na czułościach. Miałem smutną świadomość, że brak mi w życiu czegoś takiego. Goniłem tylko za fantazją, snując mrzonki o królowej Anglii, jak większość nieopierzonych dworzan w Whitehall.

*

Zjadłem w samotności wieczerzę, smaczny posiłek, przyrządzony przez Agnes i Josephine, podany przez Martina Brocketa jak zwykle sprawnie i dyskretnie. Spojrzałem z ukosa na jego czysty profil. Czegóż to szukał tamtego dnia, kiedy go Josephine przyłapała na przetrząsaniu mego biurka? Przyszła mi do głowy niepokojąca myśl, że Josephine chodzi głośno i Martin, gdyby znowu planował jakąś niegodziwość, łatwo może się upewnić, że nie ma jej w pobliżu. Doszedłem jednak do wniosku, że mógł ulec chwilowej pokusie, by sprawdzić, czy nie znajdzie trochę pieniędzy dla syna. I ostatecznie się jej oparł, albowiem przejrzałem starannie swe rachunki i nie stwierdziłem, by zaginęła jakaś suma.

Później, jako że na zewnątrz było jeszcze jasno, wziąłem dokumenty, które przyniosłem do domu, i wyszedłem z nimi do ogrodu. Dotyczyły one sprawy w Sądzie Prób, która miała być rozpatrywana jesienią — sporu między mieszkańcem domku na wsi a właścicielem działki o to, kto ma prawo do owoców z pewnych drzew. Jak zwykle w takich przypadkach właściciel ziemi był bogaty, mieszkaniec domu zaś ubogi i mógł się zwrócić jedynie do Sądu Prób. Uniosłem głowę i zobaczyłem Martina, idącego z kartką w dłoni przez trawnik, który tłumiał jego kroki.

Skłonił się przede mną.

- Przyniesiono to do ciebie, jaśnie panie.

Podał mi kartkę, złożoną, lecz niezapieczętowaną.

- Dziękuję ci, Martinie - odparłem.

Moje nazwisko było napisane dużymi literami. Przypomniałem sobie z lękiem list, który przysłano mi po uprowadzeniu Nicholasa.

- Czy przynieść ci piwa, jaśnie panie?

- Nie teraz - odpowiedziałem krótko. Zaczekałem, aż się odwróci, i dopiero wtedy rozłożyłem list.

Z ulgą zobaczyłem drobne kanciaste pismo Guya.

Matthew!

Piszę pospiesznie ze szpitala Świętego Bartłomieja, gdzie pracuję jako ochotnik. Przyniesiono do nas umierającego mężczyznę, Szkota, z paskudną raną od noża. Majaczy, mówiąc dziwne rzeczy. Wymienił między innymi twe nazwisko. Czy możesz jak najszybciej przyjść?

Guy

Czym prędzej wstałem i kiedy szedłem do stajni, dotarło do mnie, że Guy podpisał się tylko imieniem, nie dodając zwyczajowego serdecznego pozdrowienia: „Twój oddany przyjaciel”.

*

Wziąłem Genesis i pojechałem na Smithfield. Nie byłem tam od trzech tygodni, czyli od egzekucji Anny Askew. Pamiętam, że zauważyłem wtedy, iż nowe budynki, wzniesione przez Richa, przesłoniły pozostałości dawnego klasztoru Świętego Bartłomieja. Wiedziałem, że koszty utrzymania przyległego szpitala, które niegdyś spoczywały na mnichach, przeszły na króla, i słyszałem, że przybytek ten działa

tylko dzięki ochotnikom. Nie miałem jednak pojęcia, że jednym z nich jest Guy.

Na Smithfield był dzień targowy i rozbierano już zagrody dla bydła, a chłopcy z miotłami sprząтали z placu krowie łajno. Chłopi i handlarze stali w drzwiach karczm, ciesząc się wieczornymi powiewami wiatru. Okropna scena, której byłem świadkiem niespełna miesiąc wcześniej, miała miejsce właśnie tutaj. Można by pomyśleć, że pozostał po niej jakiś ślad, blask płomienia w powietrzu, echo przedśmiertnego okrzyku. Lecz, oczywiście, nie pozostało nic.

Nigdy wcześniej nie byłem w tym szpitalu. Wychodził on bezpośrednio na Smithfield. Przywiązałem Genesis do barierki przed wejściem, płacąc bosonogiemu urwisowi pensa, by na nią baczył, i wszedłem do środka. Duży stary budynek był w opłakanym stanie, ze ścian odpadał tynk i łuszczyła się farba - minęło siedem lat od likwidacji klasztoru. Zapytałem jegomościa, który stracił nogę do kolana i teraz ćwiczył chodzenie o kulach, gdzie mogę znaleźć doktora Maltona. Skierował mnie na główny oddział, do wielkiej sali, z może dwudziestoma łóżkami w dwóch długich rzędach, które wszystkie były zajęte.

Przeszedłem między nimi na koniec, gdzie Guy w kitlu medyka badał pacjentkę, leżącą na ostatniej pryczy. Miał obok siebie pomocnika, starego korpulentnego Francisa Sybranta.

Obaj unieśli wzrok, kiedy podszedłem. Pacjentką była kilkunastoletnia dziewczynka, która pojękiwała, gdy Guy opatrywał jej łydkę, którą ostrożnie podtrzymywał Francis. Do nogi przywiązane były już dwa kawałki drewna.

- Dziękuję ci, że przyszedłeś, Matthew — odezwał się cicho Guy. — Za chwilę się tobą zajmę. - Patrzyłem, jak kończy bandażowanie. Francis powoli opuścił nogę dziewczynki na łóżko, a Guy powiedział do chorej: — Dobrze, Susan, nie ruszaj nią teraz.

- Boli mnie, panie.

- Wiem, lecz by kość się zrosła, musi być nieruchoma. Przyjdę do ciebie jutro.

- Dziękuję, panie. Mogę dostać z powrotem różaniec, by czas szybciej mi płynął...? — Urwała, patrząc na mnie z niepokojem.

- Pan Francis ci go przyniesie — odparł Guy. Zwrócił się do swego pomocnika. - Daj jej jeszcze tego naparu, który przepisałem. Złagodzi ból

- Dobrze, panie.

Guy odszedł od łóżka.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Matthew - powtórzył. — Umieściłem tego człowieka w separacie.

Ruszyłem za nim przez salę.

- Co się stało tej dziewczynce?

- Za kilka pensów pomaga na targu przy bydle. Przestraszona krowa przycisnęła ją do ogrodzenia. I złamała jej nogę.

- Zrosnie się?

- Możliwe, jeśli mała będzie uważała. Kość nie przebiła skóry, więc nie jest źle. Byłbym wdzięczny, gdybyś zapomniał, że prosiła o różaniec. Są tacy, którzy myślą, że w szpitalu wciąż panuje dawna wiara. Notabene, Francis mieszkał tu kiedyś jako mnich. I wciąż pomaga, z chrześcijańskiego obowiązku.

Popatrzyłem na Guya ze zdziwieniem. Nie było jednak powodu, dla którego jego pomocnik nie miałby być dawnym zakonikiem. Takich jak on były w Anglii tysiące. Odparłem, marszcząc czoło:

- Wiesz, że nigdy nie wspomniałbym nikomu o dziecięcym różańcu. Nie uczyniłbym czegoś takiego.

- Nic szkodzi przypomnieć, że nie tylko radykałowie muszą zachować w tych czasach ostrożność i uważać na słowa.

— Nie zapomniałem o tym.

Spojrzał na mnie twardo.

- Ja sam nie zwracam uwagi, jeśli chorzy wygadują bezbożności w stylu radykałów. Jak się niebawem przekonasz.

Zaczerpnąłem powietrza. Mój dawny przyjaciel stał się nieustępliwy.

*

Zaprowadził mnie do bocznej sali. Podobnie jak główna, była skromnie wyposażona, ot, mała izba z niewielkim oknem, wysuwającym łóżkiem, na którym leżał stary cienki koc, i taboret. Przez otwarte okiennice wpadało powietrze oraz stłumione głosy, dochodzące ze Smithfield.

Natychmiast rozpoznałem tego człowieka; był to McKendrick, którego widziałem ostatnio, jak uciekał z nabrzeża. Był silnym mężczyzną i okazał się mężny. Zmienił się jednak nie do poznania. Jego kanciastą twarz, białą jak papier, pokrywał pot, a policzki były zapadnięte. Niespokojnie rzucał się na łóżku, które aż trzeszczało, i poruszał ustami, wydając niewyraźny mamrot. Guy zamknął drzwi i powiedział cicho:

— Przyniesiono go dwa dni temu. To dziwna historia. Przed karczmą nieopodal Cripplegate, tuż przed godziną policyjną, stała grupa terminatorów, kiedy z pobliskiej uliczki wypadł mężczyzna. Był zalany krwią, a za nim biegli dwaj ludzie. Kimkolwiek byli, gdy zobaczyli gromadę młodzieńców, podali tyły. Tamci przynieśli go tutaj. To cud, że jeszcze żyje. Został dźgnięty nożem, i to trzy razy. Musiał walczyć z prześladowcami i zdołał im uciec. Lecz rany się zakaziły. Długo nie pożyje, według mnie umrze jeszcze dziś w nocy. - Delikatnie uniósł koc i pod koszulą mężczyzny, na jego piersi oraz brzuchu, ujrzałem trzy duże rany. Zostały zaszyte, lecz skóra wokół dwóch z nich była czerwona i obrzmiała, wokół trzeciej zaś — żółtawa.

— Dobry Boże - jęknąłem.

Guy ostrożnie zakrył go kocem, lecz ten ruch zaniepokoił McKendricka, który zaczął mamrotać głośno:

- Bertano... Antychryst... inkub papieża...

Guy spojrzał na mnie surowym wzrokiem.

- Kiedy tylko usłyszałem, o czym bredzi, umieściłem go tutaj. Tak jest najbezpieczniej, dla niego samego i być może także innych.

- I wymienił moje nazwisko?

- Tak. I nie tylko. Łącznie, jak słyszałeś, z owym Bertanem, o którego niedawno mnie pytałeś.

Przeważnie majaczy, lecz wspomniał także o samej królowej Katarzynie. Mówi od rzeczy, o szpiegach i zdrajcach na dworze angielskim. Przeważnie nie ma w tym sensu, w dodatku nie znam jego szkockiego akcentu. Jednakże zrozumiałem na tyle dużo, by zdać sobie sprawę, że człowiek wszedł w posiadanie niebezpiecznych informacji i należy do religijnych radykałów. Raz wyrzekał na mszę, mówiąc, że to nic więcej jak muczenie krowy. Kiedy indziej mówił o obaleniu książąt. - Zawahał się, po czym dodał: — Znasz go, jak rozumiem.

- Widziałem go tylko raz, chociaż szukam od kilku tygodni.

- Kto to jest?

Popatrzyłem mu w oczy.

- Nie mogę powiedzieć, Guy, dla twego dobra. Zaklinam cię, trzymaj go z dala do innych chorych, bo wie niebezpieczne rzeczy. Czy miał coś przy sobie, gdy go tu przyniesiono? - zapytałem niecierpliwie.

— Może... jakiś manuskrypt?

- Miał zakazane wydanie Nowego Testamentu, Tyndalea, ze swym nazwiskiem na karcie tytułowej, i sakiewkę z kilkoma monetami...

- I nic innego?

- Nie.

Przyjrzałem się Szkotowi, który leżał już spokojnie, oddychając płytko.

- Nie dopuściłbym do tego, Guy. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

- Tak — odparł. — Wierzę. Lecz znowu wplątałeś się w jakąś bardzo niebezpieczną aferę, nieprawdaż?

- Owszem. - Znowu przeniosłem wzrok na chorego. - Czy mogę zadać mu kilka pytań?

- Przeważnie bredzi od gorączki.

- Zostawisz nas samych? Proszę cię, abyś wyszedł, bo mógłbyś usłyszeć coś, co zagroziłoby twemu życiu. Nie chcę cię wciągać w to bagno.

Guy zawahał się, lecz potem skinął głową,

- Dobrze, zostawię was na jakiś czas. Postaraj się jednak go nie męczyć. - Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. W izbie był stołek, więc przysunąłem go do łóżka. Zapadał zmrok, głosy za oknem cichły, w miarę jak Smithfield pustoszało. Ostrożnie potrząsałem Szkotem. Uniósł powieki; miał rozgorączkowany, rozbiegany wzrok,

- Czy pan McKendrick? - zapytałem.

- Dominie McKendrick - wyszeptał. - Mam na imię Dominie. Jestem nauczycielem, kaznodzieją.

- Dominie, kto ci to zrobił?

Nie byłem pewien, czy usłyszał pytanie, ale po chwili odpowiedział ze znużeniem, zamykając oczy:

- Było ich dwóch, dwóch mężczyzn. Wzięli mnie z zaskoczenia, chociaż miałem się na baczności.

Wyskoczyli zza drzwi i zaatakowali mnie nożami. Ci dwaj. Dźgnąłem jednego z nich w ramię i uciekłem. - Uśmiechnął się ze smutkiem. — Pobiegłem uliczkami. W ostatnich latach dobrze poznałem Londyn. Tak samo jak w Stirling, wciąż uciekając, uciekając przed pachołkami papieży i możnowładców. Jednakże osłabłem, z utraty krwi — Westchnął. — Ucieczka, wciąż tylko ucieczka.

Pochyliłem się nad nim.

- Czy znasz swych napastników, Dominie?

Pokręcił ze zmęczeniem głową.

- Czy ci dwaj byli młodzi, jeden jasnowłosy, z brodawką na twarzy, drugi zaś prawie łysy?

- Tak, to oni. - Przyjrzał mi się, pierwszy raz skupiając wzrok. - Kim jesteś, panie?

- Jednym z tych, którzy chcą ich dopaść. — Pomyślałem, że napadając na McKendricka, byłego żołnierza, Cardmaker i Daniels nie docenili jego siły i zręczności. Zdołał im uciec, wpadając w tłum terminatorów. Lecz i tak za późno, by ująć z życiem.

Tymczasem Szkot wyjął dłoń spod koca i chwycił mnie za rękę. Była szorstka i stwardniała, dłoń człowieka, który ciężko pracował i wojował mieczem, teraz gorąca i wilgotna.

- Czy to oni zabili mistrza Greeninga? - zapytał.

- Tak, i jego terminatora, Eliasa.

Uściskał mnie mocniej i otworzył szeroko oczy. Popatrzył na mnie.

- Eliasa? Myśleliśmy, że to on nas wydał.

- Nie, nie on. — Ani ty, pomyślałem.

McKendrick puścił mą rękę i z jękiem opadł z powrotem na łóżko.

- Zatem to mógł być tylko Curdy, ten John Curdy, którego wszyscy mieliśmy za pocziwca. — Tak, stwierdziłem w duchu, a on nie żyje i już nie wyjawia, kto był jego mocodawcą. Zginął, zabity przez jednego z ludzi Richa.

Szkot znowu spojrzał mi w twarz.

- Czy jesteś jednym z nas? - zapytał.

- Z nas?

- Zdradzonych. Tych, którzy wierzą w nowe niebiosy i nową ziemię. I których nasi wrogowie nazywają anabaptystami?

- Nie.

Umierającemu opadły ramiona. Potem popatrzył na mnie z mocą.

- Widzę to wyraźnie, w snach, które tu mam. To objawienie, wspaniała wizja przyszłej wspólnoty, w której wszyscy równo korzystają z darów natury i czczą w pokoju jednego Chrystusa. Nie ma wielmożów, nie ma państw toczących z sobą wojny, lud żyje w harmonii. Jak myślisz, panie, czy to sen, czy już widzę niebo?

- Myślę, że to sen, Dominie — odparłem smutno. - Lecz sam nie wiem.

Chwilę później McKendrick znowu stracił przytomność i jego oddech stał się płytszy. Wstałem i strzyknęło mi w kolanach. Dowiedziałem się tego, co chciałem wiedzieć, i powoli wróciłem do głównej sali, gdzie Guy sporządzał notatki przy biurku.

- Znowu majaczy. — Westchnąłem. - A może śni cudowne sny. Czy nic już nie można dla niego uczynić?

Pokręcił głową.

- My, medycy, umiemy dostrzec oznaki zbliżającej się śmierci.

- Tak. - Przypomniałem sobie, jak Cecil mówił o medykach króla, którzy twierdzili, że nie zostało mu już wiele życia. - Dziękuję, Guy, że mnie wezwałeś. Jeszcze jedno. Kiedy... kiedy on umrze, byłoby dla szpitala lepiej, gdyby został pochowany pod innym nazwiskiem. Jest poszukiwany w związku ze zdradą stanu.

Guy przyjrzał mi się, po czym odparł z tłumioną pasją:

- Co wieczór się modlę, by ta straszna sprawa, w którą się wplątałeś, wreszcie się skończyła.

- Jestem ci wdzięczny.

Opuściłem szpital. W drodze do domu wysłałem krótką wiadomość do lorda Parra, donosząc mu, że Szkot się odnalazł i że to nie on był szpiegiem. Nazajutrz Brocket obudził mnie z samego rana, przynosząc dwa listy, które nadeszły o świcie — jeden na drogim papierze z pieczęcią królowej na czerwonym wosku, drugi zaś na złożonej kartce od Guya, W pierwszym proszono mnie o przybycie przed południem do Whitehall, drugi informował, że McKendrick zmarł w nocy. Guy znowu podpisał się tylko imieniem, bez pozdrowienia.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Zatem nazajutrz rano popłynąłem wynajętą łodzią do pałacu Whitehall. Nie miałem dla lorda Parra żadnych nowych informacji o losach dzieła królowej i pojąłem, że teraz, kiedy wszyscy członkowie grupy Greeninga przepadli, już mieć nie będę.

W drodze ku Temple Stairs wstąpiłem do kancelarii, by powiadomić Baraka, że mnie nie będzie, być może długo. Był sam - Nicholas i Skelly jeszcze nie przyszli - więc poprosiłem go do swego gabinetu.

- Udajesz się do pałacu? - spytał krótko.
- Tak. Zeszłej nocy znalazłem McKendricka. — I opowiedziałem, co się zdarzyło w szpitalu.
- Więc to nieboszczyk pan Curdy był szpiegiem.
- Tak się zdaje. - Westchnąłem. — Zabrałem w ślepą uliczkę.
- A zatem zostaw już resztę politykom - odparł szorstko. - Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.
- Mimo to czuję, że zawiodłem królową.
- Uczyniłeś, co tylko mogłeś - powtórzył ze zniecierpliwieniem. - Ryzykowałeś życie.
- To prawda. Nie tylko swoje, ale i twoje i Nicholasa.
- Więc skończ już z tym. Jeśli królowa Katarzyna upadnie, to tylko przez własną, nieroztropność.

*

Ponownie wszedłem do pałacu przez Common Stairs. Promy walczyły miejsce na przystani z łodziami, które przywoziły świeżo zaslachtowane łabędzie na stół królewski oraz bele najpiękniejszych jedwabi. Pomost wychodził daleko w wodę, więc wyładunek mógł się odbywać tylko podczas odpływu. Tymczasem był pełny przypływ i szare fale rzeki obmywały najniższe stopnie schodów. Przez chwilę myślałem o nieszczęsnym Peterze Cotterstoke'u, który wpadł do rzeki w zimny jesienny dzień. Kiedy wysiadałem z łodzi, zbierając fałdy togi i prostując na głowie beret, spojrzałem w górę rzeki na Royal Stairs. Z czerwonej ceglanej fasady pałacu wystawał wąski, świeżo pomalowany budynek o dwóch kondygnacjach. Na jego końcu znajdował się okazały kamienny hangar dla łodzi, wzniesiony nad samą wodą. Płynęła ku niemu barka, której wioślarze zmagali się z wysoką falą. Na rufie siedział człowiek w czarnej szacie i berecie. Rozpoznałem Z gruba ciosaną twarz i rozwidloną brodę — był to sekretarz Paget, zwierzchnik siatki szpiegów, i jeden z tych, którzy wiedzieli, czy wysłannik papieża, Bertano, rzeczywiście jest w Londynie.

Zagłębiłem się w labirynt budynków, stojących ciasno wokół małych wewnętrznych dziedzińców. Jak zwykle strażnicy w strategicznych punktach sprawdzali obecność mego nazwiska na listach gości. Cały ten przepych wewnątrz pałacu stał się dla mnie czymś zwyczajnym, niemalże codziennym. Nauczyłem się nie patrzeć na te wszystkie wspaniałe dzieła sztuki i posągi, gdy je mijałem, by nie zwalniać kroku. Zobaczyłem dwóch kamieniarzy, którzy pracowali nad nowym wymyślnym gzymsem w korytarzu, i przypomniały mi się słowa Leemana, który mówił, że każdy kamień w pałacu kosztował zwykły lud wiele potu i krwi. Uświadomiłem sobie przy tym, że rzemieślnicy dostawali niższą płacę za pracę dla rodziny królewskiej, albowiem był to przywilej.

Wpuszczono mnie do komnaty audiencyjnej Jej Królewskiej Mości. Jakiś młodzieniec, jeden z niekończącego się szeregu pieczeniarzy, przekonywał wyraźnie znudzonego strażnika w czarno-złotym mundurze.

- Lecz mój ojciec powiadomił lorda Parra, że przyjadę dziś z Cambridge. Studiowałem prawo kanoniczne i wiem, że w Uczonej Radzie Jej Królewskiej Mości jest wakat...

- Nie ma cię na liście - odrzekł obojętnie strażnik.

Ciekawe, kto odchodzi z rady? — pomyślałem. Czyżbym to był ja, gdyż wypełniłem swe zadanie?

Przy wychodzącym na rzekę oknie wykuszowym jak zwykle siedziały w kółku dworki królowej, z robótkami na kolanach, i oglądały z zadziwianiem zgrabny taniec w wykonaniu Jane. W gronie wysoko urodzonych dam zauważyłem Mary Odell, która nie mogła poszczycić się taką pozycją. Miejsce między

nią a siostrą królowej, lady Hertford, którą widziałem w zamku Baynards, zajmowała młoda ładna księżna Suffolk, z pieskiem Gardinerem na podółku. Za nimi stał wysoki chudy młodzian o wąskiej twarzy z przypominającym dziób nosem i rozwichrzonej brodzie, który przyglądał się występowi z wyższością.

Jane zatrzymała się przed nim i wykonała ukłon.

- Cóż, lordzie Surrey - powiedziała do niego. — Więc nie mogę ci towarzyszyć na balu w Hampton Court na cześć admirała? — A zatem to był Surrey, najstarszy syn księcia Norfolk. Podobno należał do reformatorów i, jak głosiła wieść, był zdolnym poetą, a poprzedniej zimy popadł w kłopoty, gdyż przewodził pijackiej eskapadzie w mieście.

Ten odparł krótko:

- Tańczę z damami szlacheckiego urodzenia, Jane. A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę spotkać się z ojcem.

- Nie bądź dla niej niemiły — zganiła go księżna Suffolk, a pełna twarz karlicy oblała się rumieńcem. Wtedy jednak jej wzrok padł na mnie, stojącego z boku, i wskazała w moją stronę palcem.

- To dlatego królowa poszła do komnaty lorda Parra! Ten prawnik znowu przyszedł ją dręczyć! Patrzcie, jest garbaty jak Will Somers!

Towarzystwo zwróciło się ku mnie, podczas gdy Jane ciągnęła:

- Chciał, by zabrano mi Kaczuszkę. Lecz lady Maria na to nie pozwoliła! Wie, kto jest jej prawdziwym przyjacielem! - W jej oczach pojawił się błysk, który świadczył, że nie jest głupia, ta dziecięca paplanina była zamierzona, miała mnie upokorzyć.

Mary Odell wstała pospiesznie i podeszła do mnie.

- Jej Królewska Mość i lord Parr już na ciebie czekają, panie.

Chętnie oddaliłem się z nią ku apartamentom królowej.

*

Królowa jak zwykle siedziała na wysokim fotelu pod baldachimem. Tego dnia miała na sobie zieloną suknię w haftowane kwiaty, liście, a nawet strączki grochu z pędami. Odniosłem wrażenie, że w jej kasztanowych włosach pod francuskim kapturkiem dostrzegłem siwe pasma. Po jednej jej stronie stał lord Parr w czarnej szacie i złotym łańcuchu, po drugiej zaś - arcybiskup Cranmer w białej sutannie. Kłaniając im się nisko, zauważyłem na stojącym niedaleko stoliku szachy Jej Królewskiej Mości i pomyślałem: „czarna i biała figura”.

Wszyscy troje oglądali naturalnych rozmiarów portret, który stał przed nimi na sztalugach. Jego świeże barwy były tak żywe, że przyciągały oko nawet wśród wspaniałości Whitehall. W tle obrazu widniało łoże z ciemnoczerwonym baldachimem, a na pierwszym planie - otwarta Biblia, spoczywająca na pulpicie obok lady Elżbiety, którą natychmiast rozpoznałem. Była w tej samej czerwonej sukni jak tamtego dnia, kiedy ją widziałem i kiedy się skarżyła, że musi tak długo pozować.

Lecz było warto, gdyż portret nie mógł być wierniejszy. Pączkujące piersi Elżbiety kontrastowały z chudością jej szczupłych, jeszcze dziecięcych ramion. W dłoniach trzymała książeczkę, a na jej twarzy malował się spokój oraz - mimo młodego wieku - czujność i świadomość władzy. Odczytałem przesłanie obrazu: oto dziewczyna na progu kobiecości, o królewskiej postawie, mądra i poważna, która wkrótce dojrzeje do zamążpójścia, o czym przypominało widniejące za nią łoże.

Królowa, spoglądając na portret z uwagą, opadła na oparcie fotela.

- Jest doskonały — orzekła.

- Mówi wszystko, co trzeba — zgodził się z nią Cranmer. Zwrócił się do mnie spokojnie: — Słyszałem ostatnie wieści, Matthew. W grupie, jak przypuszczaliśmy, był szpieg, który jednak nie żyje. Jego panem jest zapewne ktoś wysoko postawiony, możliwe, że członek Tajnej Rady, lecz nie wiemy który.

- Tak, Wasza Ekscelencjo — odparłem. - Bardzo mi przykro.

- Zrobiłeś, co mogłeś — podsumował jak Barak.

Spojrzałem na królową. Wyglądała teraz na zaniepokojoną, była usztywniona, co zdradzało, w jakim jest napięciu. Nie odzywała się.

- Przynajmniej szezła jedna grupa anabaptystów - zauważył lord Parr. - Kazałbym ich wszystkich spalić na stosie!

Cranmer odezwał się stanowczo:

- Tego strażnika, który został przekupiony przez Leemana, oraz strażnika więziennego, Myldmore'a, należy wysłać za granicę. Dla naszego wspólnego bezpieczeństwa.

- Ich także chętnie posłałbym na stos - warknął lord Parr. - Wtedy nigdzie nie trzeba by ich przenosić.

- Gdyby tylko żarliwe nauczanie mogło odwieść ich od herezji - odparł Cranmer ze złością w głosie. - Nikomu nie życzę śmierci w płomieniach.

Głos zabrała królowa:

- Ogromnie nam pomogłeś, Matthew, przekazując tę wieść o Bertanie.

- Więc to prawda? Ze przybył do Anglii? - zapytałem.

Lord Parr zerknął na Cranmera, a potem na królową, która skinęła głową.

Powiedział surowo:

- To jest przeznaczone wyłącznie do twych uszu, Shardlake. Mówimy ci jedynie dlatego, że jako pierwszy ostrzegłeś nas przed tym człowiekiem i chcielibyśmy poznać twą opinię. Tylko my czworo wiemy o misji Bertana. Nie powiedzieliśmy o tym nawet bratu ani siostrze Jej Królewskiej Mości. I ci dwaj, którzy dla ciebie pracują, także mają zachować tajemnicę - dodał groźnie.

- Wiemy, że całkowicie im ufasz — dodał łagodnie Cranmer.

- Powiedz mu, bratanico — zwrócił się do królowej lord Parr.

Ta zaczęła niechętnie, z przygnębieniem:

- Tydzień temu Jego Królewska Mość miał gościa, którego przyprowadzono do jego prywatnych komnat w ciągu dnia. I odprawiono wszystkich służących. — Dodała: — Zazwyczaj mnie powiadamia, jeśli ma przybyć wysłannik z zagranicy, poprzedniego wieczoru powiedział mi jednak, że z tym gościem spotka się sam, a ja mam zostać w swojej części pałacu. - Opuściła wzrok.

Stryj ponaglił ją delikatnie:

- I co dalej?

- Wiem, że spotkanie nie przebiegło dobrze. Jego Królewska Mość posłał po mnie później, bym dla niego zagrała, jak to czasami czyni, kiedy jest przygnębiony i zły myśli. Tego dnia był zagniewany, nawet udzielił w głowę swego błazna, Willa Somersa, i kazał mu wyjść, nie mając cierpliwości dla pustych żartów. Ośmieliłam się spojrzeć na niego pytająco, jako że biedny Somers niczym sobie nie zasłużył na takie traktowanie. Wówczas król powiedział: „Ktoś, Katarzyno, chce odebrać mi władzę daną przez Boga i śmie zwracać się do mnie w tej sprawie.

Udzieliłem mu odpowiedzi, na jaką sobie zasłużył". Potem z taką siłą uderzył pięścią w oparcie krzesła, wstrząsając całym swym ciałem, że straszliwie zaczęła go boleć noga. - Królowa głęboko wciągnęła powietrze. - Nie zobowiązał mnie do milczenia. Dlatego, choć to wbrew mojemu obowiązkowi wobec męża, ze względu na tarapaty, w które wszyscy wpadliśmy, zwierzyłam się z tego stryjowi i księdzu arcybiskupowi.

- A teraz także tobie - dodał opryskliwie lord Parr. - Co o tym sądzisz?

- Potwierdza to, że informacje, zdobyte przez Vandersteyna na kontynencie, są prawdziwe. Ktoś poprosił króla o oddanie władzy przekazanej mu przez Boga. To może oznaczać jedynie zwierzchnictwo nad Kościołem, a tylko papież ma prawo tego od niego żądać.

Pokiwał głową, zgadzając się ze mną.

- Też tak myślimy. Jeśli Bertano jest papieskim emisariuszem, ceną pojednania z Rzymem byłoby

zrzeczenie się przez Henryka władzy nad Kościołem w Anglii.

- I z tego, co powiedział król, wynika, że udzielił papieżowi odpowiedzi?

- Wszystko na to wskazuje - odparł Cranmer. - Jeśli tak, musiał uczynić to za pośrednictwem Pageta. - Uśmiechnął się z niezwykłą goryczą. - Wczoraj zaś Paget oznajmił Tajnej Radzie, że po wizycie d'Annebaulta król i królowa wybiorą się w objazd po kraju... tylko do Guildford... i wymienił tych z członków rady, którzy będą im towarzyszyć, a wszyscy to zwolennicy reform. Gardiner, Norfolk, Rich i reszta naszych wrogów mają pozostać w Londynie, by tu czekali i sprawowali rządy. Z królem będą więc nasi sprzymierzeńcy i to oni będą mu szeptać do ucha.

Lord Parr podniósł dłonie i splótł palce.

- Wszystko więc do siebie pasuje.

Cranmer znowu się uśmiechnął.

- Ci, którzy mają zostać na miejscu, nie byli zadowoleni, słysząc te wieści podczas obrad rady. — W jego głosie brzmiała satysfakcja, a także ulga.

Odparłem:

- Lecz wciąż pozostaje kwestia *Lamentacji*.

- Jeśli o to chodzi, nic nie da się już zrobić — odrzekł brutalnie lord Parr. - Można tylko mieć nadzieję, że ten, kto je ukradł, zrozumie, że zaprzepaścił okazję i że sprawa katolików jest stracona, a wówczas... wybac mi, Katarzyno... pozbędzie się dzieła. - Dodał: - Król kolejny raz nie zmieni swej polityki.

Cranmer stanowczo pokręcił głową.

- Z królem nigdy nic nie wiadomo. Lecz zgadzam się, Wasza Lordowska Mość, ten trop prowadzi już donikąd.

Spojrzałem na królową.

- Proszę mi wierzyć, Wasza Królewska Mość, załuję, że nie udało mi się odzyskać *Lamentacji*.

Przykro mi.

- Wola boska - rzucił gwałtownie lord Parr. - Staraleś się, jeśli nawet to okazało się niewystarczające. Teraz zaś pozostaje ci tylko trzymać język za zębami.

- Obiecuję, Wasza Lordowska Mość.

- Twoje wysiłki, by przysłużyć się Jej Królewskiej Mości, nie pójdą w zapomnienie — dołączył się Cranmer.

To była wyraźna odprawa. Zmieniłem nieco pozycję, by się im skłonić, gdyż po tym, jak Nicholas pchnął mnie na ziemię, ratując przed strzałem, wciąż dolegały mi plecy. Jednakże królowa wstała z fotela.

- Matthew, zanim odejdziesz, chciałabym jeszcze raz z tobą pomówić. Chodź, widziałeś już mą galerię, lecz nie za dnia. Przejdźmy się tam. Może nam towarzyszyć Mary Odell. — Skinęła głową Cranmerowi i lordowi Parrowi, którzy skłonili się nisko. Ruszyłem za królową, gdy szeleszcząc spódnicą podeszła do drzwi.

*

W świetle dziennym, które wpadało przez wysokie okna, wydobywając wszystkie olśniewające barwy, prywatna galeria Jej Królewskiej Mości prezentowała się zaiste wspaniale. Królowa szła przed siebie powoli, ja zaś trzymałem się nieco z tyłu, podczas gdy Mary Odell zamykała pochód. Na jej okrągłej twarzy malowała się obojętność, lecz w oczach była czujność, jak zauważyłem, zerkając za siebie.

Królowa zatrzymała się przed wnęką, w której na marmurowym postumencie stała wysadzona klejnotami szkatułka. Znajdowały się w niej złote i srebrne monety z wizerunkami dawno nieżyjących już królów i cesarzy. Niektóre z nich były wręcz zatarte, inne wyraźne, jakby dopiero je wybito. Jej Królewska Mość zanurzyła w nich smukły palec.

- Zawsze interesowały mnie stare monety. Przypominają nam, że jesteśmy w dziejach świata tylko drobkami pyłu. - Ostrożnie wyjęła złoty krążek. - Cesarz Konstantyn, który zaprowadził chrześcijaństwo w Cesarstwie Rzymskim. Znalaziono ją kilka lat temu nieopodal Bristolu. - Podniosła głowę i spojrzała przez okno, które wychodziło na brzeg Tamizy poniżej pałacu, teraz, kiedy fala opadła, odsłonięty. Podążyłem za jej spojrzeniem i mój wzrok przykuła sterta wyrzuconych pałacowych odpadków: liści warzyw, kości, świński łeb. Krążyły nad nią mewy, nurkując i krzyząc. Królowa się odwróciła.

- Wyjrzyjmy na drugą stronę - powiedziała.

Prześliśmy galerię. Z przeciwległego okna rozciągał się widok na kolejny mały ozdobiony trawnikami dziedziniec pomiędzy budynkami. Rozpoznałem dwóch mężczyzn, którzy spacerowali i rozmawiali w dole. Jednym z nich był biskup Gardiner, potężnie zbudowany, o czerwonej twarzy, w białej jedwabnej sutannie; drugim zaś - John Dudley, lord Lisle, młodszy, ciemnobrody, posępny mężczyzna, który poprzedniego roku w Portsmouth dowodził flotą królewską. Jego defensywna strategia pomogła odeprzeć inwazję. A więc wrócił ze swej zagranicznej misji i był kolejnym starszym urzędnikiem, który sprzyjał radykałom. Wszystkie figury szachowe stały więc na miejscach. Gardiner, jak zauważyłem, mówił z ożywieniem i jego z gruba ciosana twarz choć raz miała uprzejmy wyraz. Coś w postawach ich obu świadczyło, że biskup się bronił. Lord Lisle pochylił głowę. Tu toczy się prawdziwa gra o władzę, pomyślałem — rozmowy po kątach i w ogrodach, skinienia głów, wzruszenia ramion, skrzywienia ust. Nic na piśmie.

Podeszła do mnie królowa. Kiedy ujrzała Gardinera, przez jej twarz przebiegł, szybko stłumiony, wyraz niesmaku i lęku.

- Wrócił lord Lisle - zauważyłem.

- Tak. Kolejny sojusznik. Jestem ciekawa, o czym ci dwaj rozprawiają. - Westchnęła i cofnęła się od okna, po czym spojrzała na mnie i powiedziała poważnie: - Chciałabym, Matthew, byś wiedział jak ogromnie jestem ci wdzięczna za pomoc, której nam udzieliłeś. Czuję, że wiele cię to kosztowało. A mój stryj nie zawsze... potrafi okazywać uznanie. Lecz wszystko, co robi, służy moim interesom.

- Tak.

- Wygląda na to, że moje dzieło nie zostanie odnalezione. Smuci mnie myśl, że może skończyło na wysypisku śmieci, mimo że tak byłoby najbezpieczniej. To moje wyznanie wiary, rozumiesz, przyznanie się, że jestem grzesznikiem, jak wszyscy inni, lecz poprzez modlitwę i lekturę Biblii odnalazłam swą drogę do Chrystusa. - Wydała westchnienie. - Chociaż w ostatnich miesiącach nawet wiara nie ochroniła mnie przed strachem. — Przygryzła wargę, zawahała się, a potem powiedziała: - Może uznałeś, że dopuszczam się nielojalności, powtarzając słowa króla. Lecz... musimy mieć świadomość, co oznacza ta wizyta z zagranicy.

Pozwoliłem sobie na uśmiech.

- Niewykluczone, Wasza Królewska Mość, że wszystko skończy się dla ciebie dobrze, jeśli to spotkanie poszło nie tak, jak się spodziewano.

- Owszem. — Ponownie zamilkła, po czym odezwała się z nagłym przejęciem: — Król... nie masz pojęcia, jak bardzo cierpi. Nieustannie odczuwa ból, czasami wręcz od niego mdleje, a jednak zawsze, zawsze stara się zachować twarz.

Ośmieliłem się zauważyć:

- Tak jak Wasza Królewska Mość.

- Rzeczywiście. Mimo strachu, jaki mi towarzyszy. — Nerwowo przełknęła ślinę. Przypomniałem sobie uwagę lorda Parra, że król nie znosi nielojalności. Mimo że królowa żywiła wielki szacunek dla męża, jej strach przed nim w ostatnim czasie musiał być nie do zniesienia. Serce ścisnęło mi się na myśl, jak musiała mnie cenić, by zdobyć się przede mną na takie wyznanie.

Odparłem:

- Mogę sobie tylko wyobrazić, jak Waszej Królewskiej Mości jest ciężko.

Ściągnęła brwi.

- A jednak zawsze znajdują się ludzie gotowi saczyć jad w duszę króla...

Zbliżyła się do nas Mary Odell, być może zaniepokojona, że królowa mówi za dużo.

- Wasza Królewska Mość prosiła mnie, by jej przypomnieć o oddaniu ich małżonkowi -

powiedziała. - Znalezione je przy fotelu króla w jego prywatnej komnacie. — Wyjęła spomiędzy fałd sukni okulary w drewnianych oprawkach i podała je monarchini.

- A tak - odparła królowa. - Dziękuję ci, Mary. - Zwróciła się do mnie: - Król potrzebuje szkielec do czytania. Zawsze je gubi. - Schowała okulary i znowu ruszyła w głąb galerii. - W przyszłym tygodniu dwór wyjedzie z Whitehall - powiedziała już wesołej. - Francuski admirał ma być przyjęty najpierw w Greenwich, a później w Hampton Court. - Machnęła ręką. - Wszystko to zostanie spakowane, przewiezione łodziami i ustawione w nowym miejscu. Tajna Rada będzie spotykać się w nowej sali. Z udziałem Lisle'a i Hertforda - dodała z nutą satysfakcji w głosie.

Odważyłem się zauważyć:

- Ostatnim razem, kiedy przyszedłem do pałacu, widziałem lorda Hertforda z bratem, sir Thomasem Seymourem.

- A tak. Thomas także wrócił. - Spojrzała mi w oczy. - Wiem, że nie darzysz go sympatią.

- Lękam się jego porywczosci, Wasza Królewska Mość.

Wykonała pobłażliwy gest dłonią.

- Nie jest porywczy, tylko ulega emocjom.

Nie odpowiedziałem. Zapadło krótkie niezręczne milczenie, po czym królowa zmieniła temat.

- Znasz się na malarstwie portretowym, Matthew. Co sądzisz o wizerunku mej pasierbicy?

- Jest znakomity. Ukazuje istotę jej charakteru.

Pokiwała głową.

- O, tak. Książę Edward także jest bardzo dojrzały. Niektórzy z mego rodu mają nadzieję, że pewnego dnia, kiedy zasiądzie na tronie, zostanie mianowana regentką, jak wówczas, gdy król dwa lata temu wyjechał do Francji. Jeśli tak się stanie, będę starała się spełnić oczekiwania wszystkich.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. — Jednakże wiedziałem, że zarówno Seymourowie, jak i tradycjoniści będą temu przeciwni.

Zatrzymała się.

- Niebawem przybędzie francuski admirał, a wtedy wyruszę z królem w objazd po kraju, jak słyszałeś. - Popatrzyła na mnie poważnie. - I być może nie będziemy już mieli okazji do rozmowy.

Podjąłem cicho:

- Młody dworzaniek czekający za drzwiami mówił, że w twojej Uczzonej Radzie zwalnia się miejsce. Czy życzysz sobie, bym złożył rezygnację?

- Miejsce w radzie zwolnił pan Cecil. Poprosił o możliwość odejścia. To, co przeżył w porcie, było ponad jego siły, nie żeby był tchórzem, lecz boi się, że jeśli coś by mu się stało, jego żona i dzieci zostałyby całkiem same. A lord Hertford zaproponował mu stanowisko doradcy. Wyraziłam zgodę. Cecil jest bardzo lojalnym człowiekiem i nie piśnie słowa o *Lamentacjach*. Co zaś do ciebie, Matthew, myślę, że byłoby najlepiej dla nas wszystkich, gdybyś także odszedł.

- Istotnie. Wszak zostałem mianowany członkiem rady po to, by odnaleźć zaginiony klejnot. - Uśmiechnąłem się do niej. - Niestety, wszystko wskazuje na to, że nie uda się odnaleźć twego dzieła. W takich okolicznościach byłoby... wskazane... abym odszedł.

- Tak uważa mój stryj i muszę się z nim zgodzić. — Uśmiechnęła się ze zmęczeniem. — Chociaż chętnie korzystam z twych rad.

- Gdyby Wasza Królewska Mość znowu mnie potrzebowała...

- Dziękuję ci. - Popatrzyła na mnie, zawahała się, po czym dodała z naciskiem: — Jeszcze jedno,

Matthew. Martwi mnie twój brak wiary. To cię zje od środka, aż zostanie tylko skorupa.

Pomyślałem ze smutkiem: Czy prawdziwym celem tej rozmowy nie była próba sprowadzenia mnie na drogę wiary? Odrzekłem zgodnie z prawdą:

- Szukam Boga, lecz nie mogę go odnaleźć w żadnym ze stronnictw chrześcijańskich.

- Modłę się, by to się zmieniło. Zastanów się nad tym, co powiedziałam, proszę. - Spojrzała mi w oczy. Poważna, przejęta Katarzyna Parr.

- Zawsze tak czynię, Wasza Królewska Mość.

Przywołała na twarz nieznaczny smutny uśmiech, skinęła głową i odwróciła się do Mary Odell.

- Powinniśmy wracać, posiedzieć trochę z dworkami. Inaczej pomyślą, że je zaniedbujemy.

Zawróciliśmy. Niedaleko wyjścia królowa zatrzymała się przy stoliku, na którym stał wspianały zegar, mierzący stopę wysokości, i tykał cicho.

- Czas - powiedziała szeptem. - Kolejny znak, że w obliczu wieczności jesteśmy tylko ziarnkami piasku.

Mary Odell ruszyła naprzód i zastukała w drzwi. Kiedy z drugiej strony otworzył je strażnik, wkroczyliśmy do pilnie strzeżonego przedsionka, który prowadził do komnat królowej, króla i Royal Stairs. W tej samej chwili inny strażnik otworzył drzwi do komnat króla i wyszli stamtąd dwaj mężczyźni. Jednym z nich był rudobrody lord kanclerz Wriothesley, drugim zaś - sekretarz Paget, z grubą skórzaną teczką na dokumenty pod pachą. Zapewne wracali ze spotkania z królem.

Na widok królowej skłonili się nisko. Ja także wykonałem ukłon, a wyprostowawszy się, zobaczyłem, że obaj przyglądają mi się uważnie - ten garbaty prawnik królowej znów przechadza się z nią po galerii. Wriothesley patrzył na mnie szczególnie ciężkim wzrokiem i złagodniał nieco dopiero wtedy, gdy zauważył Mary Odell, której obecność świadczyła, że królowa nie spacerowała sama z mężczyzną nienależącym do jej rodziny.

Katarzyna natychmiast przybrała królewski wyraz twarzy: pełen spokoju, opanowania i pewnej wyższości.

- To komisarz Shardlake, członek mej Uczonej Rady - powiedziała.

Wriothesley znowu stał się czujny. Paget popatrzył mi w oczy przeciągle, nie mrugając. Potem, zwracając się do monarchini, opuścił wzrok i odparł gładko:

- A tak, człowiek, który ma odnaleźć twój skradziony klejnot.

- Czyżbyś o tym słyszał, panie sekretarzu?

- Owszem. Zmartwiła mnie wieść o twej stracie. Był to prezent od świętej pamięci Małgorzaty Neville, Panie świeć nad jej duszą.

- W istocie.

- Widziałem, że nazwisko komisarza Shardlake'a znalazło się na liście członków twej Uczonej Rady. I zauważyłem także, że William Cecil przeszedł na służbę do lorda Hertforda. Wielka szkoda, Wasza Królewska Mość, to podobno bardzo zdolny młody człowiek.

Pomyślałem, że Paget na pewno wie o wszystkim, co się dzieje na dworze królewskim, przegląda wszelkie listy, dba o to, by nic nie uszło jego uwagi. Nauczył się tego od Thomasa Cromwella, swego - i mego - dawnego mistrza.

- Komisarz Shardlake także odchodzi z komisji - odparła królowa. — Mój klejnot mimo jego wysiłków nie został i raczej nie zostanie odnaleziony.

Paget spojrzał na mnie znowu tym swoim kamiennym wzrokiem i przesunął dłonią po długiej rozwidlonej brodzie.

- Wielka szkoda, że nie można złapać i powiesić złodzieja - odparł tonem przygany. Poklepał teczkę. - Jeśli Wasza Królewska Mość wybaczy, król właśnie podpisał ważne listy, które natychmiast muszą być wysłane.

- Oczywiście. — Machnęła ręką, odprowadzając ich.

Wriothesley i Paget ponownie wykonali ukłony, po czym zniknęli za małymi drzwiami prowadzącymi w głąb pałacowego labiryntu. Królowa, Mary Odell i ja zostaliśmy w towarzystwie strażników o nieruchomych twarzach. Jej Królewska Mość zachowała spokój i obojętność, nie zdradzając emocji wywołanych spotkaniem z członkami Tajnej Rady. Wiedziała, że Wriothesley chętnie zobaczyłby ją na stosie.

- Zegnaj, Matthew — powiedziała z oficjalnym uśmiechem. — Dziękuję ci jeszcze raz.

Skłoniłem się nisko i musnąłem jej dłoń ustami, czując zapach fiołków. Zgodnie z wymogami etykiety zostałem w pochyleniu, dopóki królowa nie odeszła z Mary Odell do swych komnat i nie zamknęły się za nią drzwi. Wówczas wyprostowałem się z bólem w plecach.

Pozostawiłem jednemu ze strażników tożę z odznaką Jej Królewskiej Mości, po czym opuściłem Whitehall, przepełniony ulgą i jednocześnie smutkiem.

Rozdział czterdziesty

Nazajutrz wczesnym rankiem siedziałem przy śniadaniu, posępnie studiując drukowane pismo, wydane przez Pageta, które doręczył mi urzędnik Rowlanda. Wyszczególniono w nim obowiązki biorących udział w powitaniu admirała dAnnebaulta i jego świty na ulicach Londynu. Przedstawiciele palestry mieli zająć miejsca wraz z urzędnikami miejskimi przy katedrze Świętego Pawła i wiwatować podczas przejazdu francuskich gości. Planowano, że będziemy także obecni na uczcie wydawanej dwa dni później przez księcia Edwarda na cześć admirała w pałacu Hampton Court oraz na wielkim bankiecie następnego dnia. Nie paliłem się do tego wszystkiego. Wciąż czułem się przygnębiony pożegnaniem z królową., gdyż nie wypełniłem swej misji. Byłem szorstki wobec Martina, kiedy obsługiwał mnie rano, zganiłem go, że masło jest zjełczałe. Jak zwykle przyjął to spokojnie, przeprosił mnie i poszedł po świeżą porcję.

Wrócił i postawił na stole maselnickę.

Przykro mi, Martinie - powiedziałem. - Że ostro się do ciebie odezwałem.

- Miałaś słuszość, panie — odparł gładko. - Powinienem był sprawdzić to masło. Chociaż Josephine postawiła je na tacy. - Zmarszczyłem czoło. Nie mogłem się powstrzymać, by jej nie skrytykować. -Masz gościa — dodał. — To pan Coleswyn z Gray's Inn.

- Philip? Poproś go, by zaczekał. Zaraz do niego przyjdę.

Martin skłonił się i wyszedł. Byłem ciekaw, czy wizyta Philipa oznacza, że jednak postanowił zbadać sprawę śmierci ojczyma Isabel i Edwarda. Otarłem usta serwetką i udałem się do saloniku. Philip, z zamyśleniem na swej przystojnej twarzy, wyglądał przez okno do ogrodu, zalanego sierpniowym słońcem. Odwrócił się i skłonił.

- Wybacz mi, Matthew, tę poranną wizytę. Dobrego dnia.

- I tobie. Cieszę się, że cię widzę.

- Masz piękny ogród.

- Tak, żona mego kamerdynera bardzo o niego dba. Jak się ma twoja rodzina?

- Dobrze. Z ulgą przyjęła... że w sprawach państwowych zapanował spokój.

Poprosiłem, by usiadł. Złożywszy dłonie, zaczął poważnie:

- Od czasu naszej rozmowy w zeszłym tygodniu biłem się z myślami, co zrobić w sprawie Edwarda Cotterstoke'a. Rozwahałem swe obowiązki wobec Boga.

- Tak? - zapytałem zachęcająco.

- Postanowiłem, że nie mogę tego tak zostawić. Jeśli mój klient miałby coś wspólnego ze śmiercią swego ojczyma, byłaby to zbrodnia przeciwko Bogu i człowiekowi. Nie mogłbym go dłużej reprezentować i musiałbym przynajmniej wyznać prawdę pastorowi, który sprawuje pieczę nad naszymi duszami, jego i moją. — Wziął głęboki oddech. — Zeszłej niedzieli po mszy odbyłem z Edwardem rozmowę. Przyznałem, że wiem, jak zginął jego ojczym, i zastanawiam się teraz, czy to tragiczne wydarzenie nie wpłynęło na jego uczucia do siostry.

- Jak to przyjął?

- Z wielkim gniewem. Powiedział, że stary prawnik nie ma prawa opowiadać o sprawach, które powierzyła mu matka ich obojga, choćby i wiele lat temu, a ja nie powinienem słuchać jego gładzenia.

- Prawdę mówiąc, ma rację.

Philip pochylił się z przejęciem.

- Tak. Lecz ta gwałtowność, z jaką zareagował... szkoda, że tego nie widziałeś. Był zły, lecz także zaniepokojony. Coś się za tym kryje, Matthew, i to coś poważnego.

- Miałem takie samo wrażenie jeszcze wtedy, gdy Isabel była moją klientką. - Przerwałem, po czym spytałem: - Dobrze, i cóż dalej?

- Doszedłem do wniosku, że muszę porozmawiać ze starym sługą, Vowellem. Nie powinienem tego

robić bez wyraźnego polecenia Edwarda, jednak myślę, że to mój obowiązek. - Zaciśnął usta. - Pójdę tam dzisiaj.

- Czy mogę ci towarzyszyć?

Zawahał się, ale skinął głową i uśmiechnął się kącikiem ust.

- Tak. Będę rad z twojej obecności, a skoro już łamię zasady, mogę złamać następne. - Odetchnął głęboko. — A więc ruszajmy. Jestem konno, więc możemy tam pojechać.

Poleciłem Timothy'emu, by osiodłał Genesis, a później wysłałem go do kancelarii z listem informującym, że przyjdę później.

*

Kiedy jechaliśmy do domu Cotterstoke'ów w Dowgate, było jeszcze wcześnie, miasto dopiero budziło się do życia. Od czasu do czasu rozglądałem się wokół. Weszło mi to w zwyczaj od tamtej nocy na nabrzeżu. Lecz jeśli ktoś nas śledził, w co wątpiłem, robił to z dużą wprawą. Teraz jednak, gdy wszyscy z grupy Greeninga już nie żyli albo w przypadku Vandersteyna uciekli, nie miał mnie kto obserwować

Minęliśmy chudą kobietę w łachmanach, która wędrowała od domu do domu, wołając: „Odpadki kuchenne, odpadki!”. Zbierała je, by potem sprzedawać za kilka pensów jako nawóz do ogródków warzywnych w całym Londynie. Była jednak zbyt stara na takie ciężkie i brudne zajęcie. Patrząc na jej poczerwiałą twarz, przypomniałem sobie opowieść Baraka o tym, jak spotkał matkę na ulicy. Mogła nią być ta nieszczęsna staruszka. Rodzinne konflikty to trudne sprawy.

Przejechaliśmy obok Great Conduit w Eastcheap, gdzie służące i gospodynie stały z wiadrami w kolejce po wodę. Żebracy, którzy zawsze oblegali kanał, zostawili je i pospieszyli do nas - jeden nawet przebiegł tuż przed wierzchowcem Philipa, płosząc zwierzę.

- Patrz przed siebie, człowieku! - wykrzyknął Philip, usiłując okiełznać konia. - Kopnie cię, jeśli nie będziesz uważał!

Potem powiedział do mnie:

- Wielkie nieba, jak ten człek cuchnie. Czy nie może się obmyć, skoro już koczuje przy kanale?

- Trudno utrzymać latem czystość, kiedy się zebrze.

Z wolna pokiwał głową.

- Słuszna reprimenda. Musimy mieć litość nad tymi, którym sprzyja los. Tak przystoi chrześcijaninowi.

- Oczywiście. Lecz nie dawać im władzy nad królestwem? dodałem na wpeł drwiąco. - Jak chcieliby anabaptyści.

Wyraźnie się zirytował.

- Wiem, że nie pochwalasz tych herezji. - Westchnął. - Papiści dość powszechnie zarzucają reformatorom, że są anabaptystami, lecz jestem zdziwiony, że ty słuchasz takich niedorzeczności.

- Nie słucham. Przepraszam cię.

- Anabaptyści nie są wybrani przez Pana - ciągnął surowo.

- Czy naprawdę wierzysz, że ludzie dzielą się na wybranych i potępionych? - spytałem poważnie.

- O, tak - odparł z przekonaniem. — Niektórzy zostaną zbawieni, podczas gdy ci, którzy nie wierzą, będą płonąć wiecznym ogniem. Poczytaj świętego Pawła.

- Zawsze uważałem, że to zbyt surowy dogmat.

- Kwestia sprawiedliwości bożej być może przekracza nasze rozumienie, lecz jest niepodważalna.

— Philip spojrział na mnie poważnie. - Wiara, Matthew, może zapewnić miejsce w niebie.

- I podpowiada, jak należy żyć, na przykład starając się dojść do tego, czy klient może być mordercą.

Spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.

- Obu nas to dręczy.

Skinąłem głową.

- Owszem. Dowiedzmy się zatem, czy nasze podejrzenia są słuszne.

*

Od czasu oględzin malowidła dom Cotterstoke'ów się nie zmienił, miał zamknięte okiennice i stał pogrążony w ciszy, podwórko przy stajni zaś było tego parnego poranka całkiem puste — niewiarygodne, że znajdowaliśmy się w środku wielkiego miasta. Stara pani Cotterstoke mieszkała tu przeszło pięćdziesiąt lat. Przywiązaliśmy konie. Kiedy wyszliśmy na słońce, Philip, znowu praktyczny prawnik, powiedział:

- Powinni sprzedać ten dom. Jego wartość spada. Lecz żadne z nich nie uczyni żadnego kroku w tym kierunku, póki spór się nie rozstrzygnie.

Wróciliśmy pod stajennym łukiem na ulicę i zapukaliśmy do drzwi. Ze środka dobiegło szuranie stóp i w progu stanął stary służący, Vowell. Na nasz widok, gdy tak staliśmy za drzwiami w prawniczych togach, ze zdziwienia szeroko otworzył wyblakłe niebieskie oczy. Skłonił się pospiesznie.

- Nie wiedziałem, że przyjdziecie, jaśnie panowie, nikt mnie nie uprzedził. Czyżby miała być następna inspekcja?

Z tego, co powiedział, zrozumiałem, że nie wie, iż nie reprezentuję już Isabel.

Philip odparł łagodnie:

- Nie, dobry człowieku, lecz chcemy ci zadać kilka pytań.

Vowell z wyraźną niechęcią pokręcił głową.

- Nie wiem, jak mógłbym pomóc. Służyłem nieboszczce pani Cotterstoke, dopóki nie umarła, ale nic mi nie wiadomo o jej sprawach. Mam tylko opiekować się domem.

- Szukamy sposobu rozwiązania sporu między spadkobiercami, zanim trafi do sądu — odpowiedziałem.

- Małe szanse — rzekł ze smutkiem Vowell. — Lecz proszę, wejdźcie, jaśnie panowie.

Powiodł nas do salonu. Zauważyłem, że na fotelu przed malowidłem wciąż leżała niedokończona robótka, i zacząłem się zastanawiać, czy od śmierci właścicielki cokolwiek zmieniło tu miejsce.

Spojrzałem na obraz.

- To piękne dzieło. Czy już tu służyłeś, kiedy zostało namalowane?

- Tak, jaśnie panie. Byłem wówczas zaledwie chłopcem, lecz pamiętam, że myślałem, jakie jest wierne. Moja nieżyjąca pani, jej mąż i dwoje małych dzieci, tak wtedy oni wszyscy wyglądali. Kiedy teraz patrzę na to malowidło, ogarnia mnie smutek, gdyż pani dawno odeszła, a dzieci walczą z sobą. — Spojrzał na nas z pewną nieufnością w oczach.

- Wiem, jak stracił życie ich ojczym — odezwał się Philip. - Bardzo przykra sprawa. - I opowiedział historię, której dowiedział się od starego prawnika. Gdy mówił, wiernemu słudze coraz bardziej opadały ramiona, a do oczu napływały łzy. W końcu zapytał:

- Czy mogę usiąść, jaśnie panowie?

- Oczywiście — odparł Philip,

Vowell przysunął sobie stół.

- A więc znacie stare dzieje. Spodziewałem się, że tamta sprawa wyjdzie na jaw, teraz gdy spór ożył. - Zacisnął dłonie w pięści, patrząc na trzcinową matę wyściełającą podłogę, po czym jakby podjął decyzję. - Pan Edward miał wtedy jedenaście lat, a pani Isabel dwanaście. Jako dzieci... nie byli sobie bliscy. Oboje dumni, chcieli postawić na swoim i często się kłócili. Muszę powiedzieć, że matka także bywała wobec nich ostra. Chociaż była z niej dobra pani i zabezpieczyła mnie w testamencie...

- Testament najpierw trzeba poświadczyć - zauważyłem. Vowell na razie nie mógł dostać swej części spadku.

Stary służący ciągnął:

- Dzieci kochały ojca. Kiedy umarł, rozpaczały, jedno i drugie. Pamiętam, że kiedyś zastałem je

placzące w swych objęciach. Ale to był jedyny raz. — Podniósł głowę i spojrzął na nas. — Od śmierci pani i początku tego sporu o malowidło, nie wiem, co powiedzieć ani uczynić. To dla mnie wielki ciężar, jaśnie panowie...

- Więc pozwól sobie pomóc - odezwał się cicho Philip.

Wowell westchnął głęboko.

- Pani Cotterstoke chyba zbyt szybko ponownie wyszła za mąż, za ledwie rok później. Trudno jej było prowadzić samej interes, niektórzy nie chcieli handlować z kobietą, a dzieci były za małe, by pomóc. Lecz jej nowy mąż, pan Cotterstoke, był dobrym człowiekiem. Pani o tym wiedziała. Dzieci jednak...

Powiedziałem cicho, przypominając sobie Baraka i jego matkę:

- Może uznały to za zdradę?

Popatrzył na mnie.

- Tak. To nie był... miły widok. Siedziały, szeptały i chichotały z sobą po kątach, wygadując i robiąc... — tu się zawahał - ...brzydkie rzeczy.

- Co takiego? — zapytał Philip.

- Pan Cotterstoke miał wspaniałą tom rzymskiej poezji, Z piękną kaligrafią i miniaturami...

wszystko wykonane ręcznie... większość ksiąg nie była wówczas wydawana drukiem, jak teraz... i on zniknął. Szukali go wszyscy służący, ale daremnie. I pamiętam, że podczas tych poszukiwań dzieci przyglądały się nam, uśmiechając się do siebie. Ginęły też inne rzeczy należące do pana. Myślę, że była to sprawka dzieci. Jednakże pan Cotterstoke, a zwłaszcza pani winili nas, nieuważnych służących. Zawsze nam się dostaje - dodał gorzko. - Pani i pan Cotterstoke byli wówczas bardzo zajęci sobą. Pani spodziewała się dziecka. Ledwie zwracali uwagę na dzieci. - Pokręcił głową. — To je złościło jeszcze bardziej. Kiedyś podsłuchałem je, jak rozmawiały na schodach. Panicz Edward mówił, że zostaną wydziedziczeni, wszystko dostanie się najmłodszemu dziecku, matka już nawet na nich nie patrzy... A później...

- Mów dalej — ponagliłem go delikatnie.

- Bywało, że pan Cotterstoke popołudniami pracował w domu, przeglądał rachunki. Lubił zjeść pod wieczór potrawkę. Kucharka gotowała ją w kuchni i zносиła mu na górę. Pewnego dnia po zjedzeniu potrawy bardzo się rozchorował i słabował przez kilka dni. Medyk orzekł, że biedak zjadł coś, co mu zaszkodziło. Pan doszedł do siebie. Lecz... wtedy do moich obowiązków należało zwalczanie szkodników i w domu był woreczek trutki na myszy, kupionej od wędrownego handlarza. Pamiętam, że zaraz po tym, jak pan zaniemógł, wyjąłem ów woreczek z przybudówki, by podłożyć trochę trutki w stajni, i zobaczyłem, że jest do połowy pusty.

- Chcesz powiedzieć, że dzieci próbowały otruć ojczyrna? - spytał Philip ze zgrozą.

- Nie wiem, sam nie wiem. Lecz kiedy poszedłem porozmawiać z kucharką, mówiła, że tamtego dnia kręciły się w kuchni.

Philip odezwał się surowo:

- Powinieneś być wcześniej o tym powiedzieć.

Wowell popatrzył na nas z lękiem.

- Nie miałem żadnych dowodów, jaśnie panie. Dzieci często przychodziły do kuchni. Pan Cotterstoke wyzdrowiał. A ja byłem tylko skromnym sługą... gdybym wystąpił z takim oskarżeniem, mógłbym stracić posadę.

- Jak dzieci przyjęły chorobę ojczyrna? — zapytałem.

- Przycichły. Przypominam sobie, że później matka zaczęła patrzeć na nie inaczej, jakby czegoś się domyślała. Więc pomyślałem sobie, że jeśli je podejrzewa, będzie uważać na męża i nie muszę już nic mówić. Jednakże dręczyło mnie sumienie - dodał ze smutkiem. - Zwłaszcza po tym... co stało się potem. - Zgarbił się, patrząc pod nogi-

- Po utonięciu pana Cotterstoke'a? - zagadnąłem.
- Koroner uznał, że to był wypadek
- Lecz ty w to wątpiłeś? — podsunął surowo Philip.

Vowell gwałtownie uniósł głowę, słysząc to.

- Koroner przeprowadził śledztwo, śludze nie godzi mu się sprzeciwiać. - W jego głosie usłyszałem już gniew. - Po drogach włóczyło się wtedy wystarczająco dużo służących bez pracy.

Odezwałem się łagodząco:

- Nic ci nie zarzucamy, pragniemy tylko poznać przyczynę tego konfliktu. Pan Cotterstoke tamtego dnia udał się do portu w interesach i towarzyszyliście mu ty, inny służący oraz dzieci. Po pewnym czasie dzieci wróciły, mówiąc, że ojczym kazał im czekać przy komorze celnej, póki nie wróci.

- Ano, tak było i powiedziałem to koronerowi.

- Jakie wtedy sprawiały wrażenie?

- Cichych. Powiedziały, że ojczym chciał obejrzeć towary na statku, który właśnie przyplłynął.

Pomyślałem znowu, że istnieje jedynie zeznanie dzieci. Kiedy zostały same z Cotterstokiem, mogło się zdarzyć wszystko. Niewykluczone, że Edward i Isabel zepchnęli ojczyma do wody. Mieli wtedy trzynaście i czternaście lat.

- Czy pan Cotterstoke był potężnym mężczyzną? — zapytałem Vowella.

- Nie, był niski i szczupły. Jeden z tych bystrych, energicznych mężczyzn. Nie tak jak poprzedni pan.

— Zapatrzył się w malowidło, z którego ojciec Edwarda i Isabel, w okazałej szacie i wysokim kapeluszu, spoglądał na nas z patrycjuszowską pewnością siebie.

- Jak się miały sprawy w rodzinie po śmierci pana Cotterstoke'a? — zapytał Philip.

- Wszystko się zmieniło. Dzieci dowiedziały się o testamencie ojczyma, O tym, że zapisał on

majątek żonie i wszystkim dzieciom po równo, w razie gdyby zmarła pierwsza. Tak czy owak, Edward i Isabel się zmienili. Kiedy w domu zamieszkał pan Cotterstoke, zbliżyli się do siebie. Po jego śmierci nie wrócili do dawnych kłótni, lecz... zaczęli się unikać. A te nienawistne spojrzenia, które sobie rzucali!

Pani Cotterstoke także zaczęła odnosić się do nich inaczej, nawet po stracie dziecka, które nosiła w łonie. Już wcześniej bywała dla nich surowa, lecz później wręcz je ignorowała. Sprzedała interes i postarała się, by Edward znalazł pracę w ratuszu, co oznaczało, że musiał się wyprowadzić. To wszystko wydarzyło się w ciągu kilku miesięcy.

- Zatem Edward nie odziedziczył interesu.

- Nie. I chociaż Isabel miała dopiero piętnaście lat, matka jak najszybciej chciała wydać ją za mąż,

zapraszała do domu potencjalnych konkurentów. Lecz panienki Isabel jak zwykle nie można było do niczego zmusić. - Vowell uśmiechnął się smutno i pokręcił siwą głową. - W domu panowała okropna atmosfera, aż wreszcie Isabel zgodziła się poślubić pana Slanninga i wyprowadziła się. Później pani

Cotterstoke jakby... sam nie wiem... zamknęła się w sobie. Rzadko opuszczała dom. - Spojrzał na pusty

fotel. — Prawie całe dni siedziała tam i szyła, wciąż szyła. Pilnowała jednak porządku, miała oko na

nas, służących. - Westchnął głęboko i obrzucił nas spojrzeniem. - To dziwne, nieprawdaż, że po tych wszystkich nieszczęściach, które się tu zdarzyły, nie zamieszkała gdzieś indziej, nawet gdy została całkiem sama i dom stał się dla niej zbyt duży?

Popatrzyłem na malowidło.

- Może miała w pamięci, że kiedyś była tu szczęśliwa. Widzę, że fotel, na którym spoczywa jej robótka, stoi naprzeciwko obrazu.

- Owszem. Kiedy dostała ataku, siedziała właśnie tu. Edward i Isabel rzadko ją odwiedzali i nigdy razem. A pani ich do tego nie namawiała. Ze smutkiem patrzyłem, jak odnosili się do siebie, kiedy przyjechali tu na inspekcję. I ten dziwny testament... - Pokręcił głową. - Chyba nie powinienem był wam tego mówić, jaśnie panowie. Co dobrego może z tego wyniknąć? Minęło już tyle lat. Co się stało, to się nie odstanie.

Philip stał w zamyśleniu, przeczesując palcami brodę. VoweU zaśmiał się rozpaczliwie.

- Co teraz będzie, jaśnie panie? Mam do śmierci opiekować się pustym domem? Źle mi się tu mieszka samemu. - Dodał nagle: -Zwłaszcza nocą, kiedy trzeszczy drewno...

Zrobiło mi się żal tego starego człowieka. Spojrzałem na Philips:

- Chyba dowiedzieliśmy się już wszystkiego, czego potrzebowaliśmy, kolego.

- Tak, istotnie. — Philip spojrział na Vowella. — Trzeba było wyznaczyć to wcześniej.

- On ma rację, Philipie — powiedziałem. — Grzebanie się w przeszłości nic już nie da.

Philip milczał, pogrążony w myślach.

- Co teraz uczynisz, jaśnie panie? — zapytał go ze strachem Vowell.

Tamten pokręcił głową.

- Czy ja wiem?

*

Stanęliśmy z końmi przed stajnią.

- Może to dzieci... albo jedno z nich... pchnęły pana Cotterstoke'a do wody. Stary Vowell chyba tak sądzi.

- I tak myślała ich matka. Nie ulega już wątpliwości, że jej testament miał na celu skłócić je na nowo. To była zemsta.

- Wciąż jednak nie ma dowodów, by podważyć orzeczenie koronera.

- Uważam jednak, że tak właśnie było.

- Ja także. Dwoje dzieci w żałobie po ojcu, pełne obaw, że zostaną wydziedziczone przez ojczyma...

- Zupełnie niesłusznie - dodał Philip surowo.

- Skąd miały wiedzieć? Może zaczęły od psikusów, potem, zachęcając się wzajemnie, przeszły do poważniejszych czynów i kiedy tak rozmawiały o odrzuceniu i zdradzie, popadły razem w... jakieś szaleństwo.

- Które z nich pchnęło go do wody?

Pokręciłem głową.

- Nie wiem.

- To, które to zrobiło, jest mordercą.

- Wszystko pozostaje w sferze domysłów — podkreśliłem. — Prawdopodobnych, lecz nieudowodnionych. Utonięcie pana Cotterstoke'a mogło być wypadkiem. I ten stary ma rację. Kto na tym zyska, jeśli sprawa zostanie ujawniona... po czterdziestu latach? Pamiętaj także, że musisz zachować sprawy klienta w tajemnicy. Możesz ją kłamać tylko w razie, gdyby miał się dopuścić przestępstwa, a na to się raczej nie zanoszą.

Philip zaciął usta.

- Tu chodzi o sprawiedliwość. Powiniennem przesłuchać samego Edwarda. A jeśli to nie rozwieje moich wątpliwości, zrezygnować z reprezentowania go i pójść z tym do naszego pastora. Masz rację, brakuje nam dowodów, lecz jeśli nasze domysły są słuszne, Edward musi wejrzeć w swą duszę. Jak ktoś, kto dopuścił się takiego czynu, może należeć do wybranych? Pastor powinien poznać prawdę.

- A Isabel? Nie ma sensu zgłaszać tej sprawy Dyrickowi. Nic nie zrobi. Znam go.

Philip spojrział na mnie nieustępliwie.

- Chcesz, bym nie budził licha?

Namyśliłem się, po czym odparłem:

- Tak będzie lepiej. W tym przypadku.

Stanowczo pokręcił głową.

- Nie. Morderstwo nie może pozostać bez kary.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Następnego ranka ponownie zaszedłem do skarbnika Rowlanda po kopię jego listu do Isabel Slanning, chcąc także się dowiedzieć, czy dostał odpowiedź. Dużo myślałem o tym, co stary Vowell powiedział Philipowi i mnie. Wszystko wskazywało na to, że Isabel i Edward przed pięćdziesięcioma laty zabili swego ojczyma. Przypomniałem sobie, co usłyszałem od niej kilka tygodni wcześniej: „Nie wiesz, czego dopuścił się mój brat”. Lecz co można było uzyskać, konfrontując ich teraz bez żadnych dowodów? Wiedziałem, że Philip spotka się z Edwardem, niewykluczone, że już to uczynił. Miałem niejasne przeczucie, że ta dawna tragedia może mieć jeszcze konsekwencje.

Mój niepokój nie ustał, kiedy dowiedziałem się od urzędnika w sekretariacie, że Rowland nie będzie mógł spotkać się ze mną do wtorku. Odniosłem wrażenie, że w zachowaniu skarbnika jest coś podejrzanego. Umówiłem się więc na wtorek - do spotkania pozostały jeszcze trzy dni, lecz przynajmniej byłem już zapisany.

*

Później, jeszcze przed południem, pracowałem w kancelarii, czytając w roczniku o pewnym precedensie sądowym, by mieć wszystko przygotowane, kiedy za miesiąc rozpocznie się nowy trymestr. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł John Skelly. W jego oczach za grubymi szklami malował się wyrzut, jak nieraz w ostatnich tygodniach. Miał mi za złe nie tylko to, że ostatnio często przebywałem poza biurem, co powodowało zaległości w pracy, lecz także, że miałem z Barakiem i Nicholasem jakieś sekrety, do których go nie dopuszczam. Tak było dla niego lepiej, bezpieczniej - miał żonę i trójkę dzieci - ale musiał czuć się urażony. Miałem świadomość, że powinienem z nim porozmawiać, podziękować mu za dodatkową pracę, jaką wykonywał, jakoś go nagrodzić.

Uśmiechnąłem się do niego.

- O co chodzi, John?

- Masz, panie, gościa. To mistrz Okedene. Drukarz, który przychodził już wcześniej.

Odłożyłem wolumin.

- Czego chce? - zapytałem z pewnym niepokojem, pamiętając, że jego poprzednia wizyta doprowadziła do bójki w karczmie z Cardmakerem i Danielsem.

- Mówi, że przyszedł się pożegnać.

Poleciłem mu, by wprowadził drukarza. Wyglądał on starzej, jakby wychudł. Poprosiłem, by usiadł.

- Jak słyszę, chcesz się pożegnać.

Spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

- Tak, panie. Sprzedałem interes i przenoszę się do brata, na jego gospodarstwo we wschodniej Anglii.

- To będzie duża zmiana w twym życiu.

- Owszem. Lecz od śmierci Armisteadą Greeninga i zniknięcia Eliasa moja rodzina żyje w strachu. Z tego, co słyszę, Elias się nie odnalazł, tak samo jak ci pozostali, którzy spotykali się u mistrza Greeninga.

Zawahałem się, po czym potwierdziłem.

Spojrzał na mnie ostro, domyślając się, że wiem więcej, niż gotów jestem wyznać. Byłem ciekaw, jakie wśród radykałów krążą plotki.

Okedene potarł czoło silną kwadratową dłonią i podjął:

- Nie powiedziałem rodzinie o naszym starciu z zabójcami Armisteadą w karczmie, lecz świadomość, że wciąż przebywają na wolności, napawa mnie lękiem o nasze bezpieczeństwo. Muszę myśleć o dzieciach. Przypomina mi się to za każdym razem, gdy widzę zrujnowany warsztat Greeninga, nie mówiąc o tym, że stale powtarza mi to żona,

- Zrujnowany? Co masz na myśli? - Usiadłem prosto.

- Nie wiesz, panie? Drukarnia się spaliła, dwa tygodnie temu, nocą. Dostało się tam dwoje młodych żebraków, bez pracy, i jedno z nich przewróciło świecę. Pamiętasz, że budynek był cały z drewna. Spłonął w jednej chwili. Prasa drukarska biednego Armisteady, jedyna cenna rzecz, jaką miał, została zniszczona, czcionki zamieniły się w grudki ołowiu. Gdybyśmy nie pospieszyli z sąsiadami ugasić ognia, przeniósłby się na nasz dom. I inne.

Wiedziałem, jak szybko rozprzestrzenia się w mieście pożar, zwłaszcza latem. Londyńczycy bali się tego nie bez kozery. W okresach suszy ostrożnie obchodzili się więc ze świecami.

Tymczasem Okedene dodał:

- A ci dwaj zabójcy są wciąż w Londynie. Jeden jasnowłosa, a drugi ciemny.

Wyprostowałem się znowu.

- Cardmaker i Daniels? Czyżbyś ich widział, mistrzu?

- Tak. Miałem nadzieję, że wynieśli się z miasta, lecz widziałem ich obu, w gospodzie niedaleko Cripplegate, w zeszłym tygodniu. Przechodziłem tamtędy, był dzień targowy, bardzo rojny, więc mnie nie zauważyli. Ja jednak mam pamięć do twarzy. Pomyślałem wtedy, by przyjść do ciebie, panie, lecz po tym, co stało się ostatnim razem, uznałem, że lepiej trzymać się od tej sprawy z daleka.

- Rozumiem. Nie słyszałem nic o nich od czasu bójki w karczmie. - Przypomniałem sobie znowu tamto wrażenie na nabrzeżu, że jesteśmy śledzeni, chrzęst kopniętego przypadkiem kamyka.

- Wszystko jest już ustalone — oznajmił stanowczo Okedene. - Wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu. Sprzedałem warsztat innemu drukarzowi. Postanowiłem jednak przyjść, by ci powiedzieć, że widziałem tamtych ludzi. I spytać, czy wiadomo, kto może być odpowiedzialny za śmierć Armisteady Greeninga. Ci dwaj łajdacy zostali przez kogoś nasłani, prawda? — Utkwił we mnie spojrzenie. - Kogoś ważnego? Kogoś, kto być może wciąż ich chroni, skoro nie boją się pokazywać w gospodzie.

Przygryzłem wargę. Od ostatniego spotkania z mistrzem Okedene dużo się dowiedziałem: kim jest Bertano, jak doszło do kradzieży dzieła królowej, co stało się z resztą grupy Greeninga. Nie znałem jednak odpowiedzi na najważniejsze pytanie, to, które właśnie zadał. Kto za tym wszystkim stał?

- Masz rację - odparłem. - Sądzę, że Daniels i Cardmaker zostali opłaceni przez kogoś ważnego, kto jednak starannie zatarł za sobą ślady.

Wbił we mnie wzrok.

- A tamten manuskrypt? *Lamentacje grzesznika*?

- Do tej pory się nie odnalazł... - Zawahałem się. - Jednak przynajmniej nie został wykorzystany przeciwko królowej.

Okedene pokręcił głową.

- To wszystko jest straszne, straszne. — Poczulem wyrzuty sumienia, gdyż ostatnio prawie o nim zapomniałem. O szarym człowieku, którego życie przez to wszystko legło w gruzach. - Chociaż polowanie na heretyków dobiegło końca — dodał. — Lękam się, że przyjdą jeszcze trudniejsze czasy. Ludzie powiadają, że król już długo nie pożyje, a kto wie, co będzie po jego śmierci.

Uśmiechnąłem się cierpko.

- Trzeba uważać na słowa. Przepowiadanie rychłej śmierci Jego Królewskiej Mości to zdrada stanu.

- Co w dzisiejszych czasach nie jest zdradą? - odparł z nagłym gniewem. — Nie, mej rodzinie będzie lepiej na wsi. Niewiele zarobimy na uprawie zboża, zwłaszcza że wartość pieniądza spada z miesiąca na miesiąc, lecz przynajmniej będziemy mieli co jeść.

- Przykro mi, że moje śledztwo ściągnęło na was kłopoty - powiedziałem cicho.

Okedene pokręcił głową,

- Nie, to wina tych, którzy zabili mego biednego przyjaciela. - Wstał i skłonił mi się. Dziękuję ci, panie. Zegnaj. - Podeszedł do drzwi, po czym odwrócił się i dodał: - Myślałem, że masz dla mnie jakąś wiadomość, może słowo podziękowania od lorda Parra za to, że poszedłem osobiście mu powiedzieć, co

stało się tamtej nocy.

- Nie jest on skory do okazywania wdzięczności - odrzekłem ze smutkiem.

*

Po południu znowu niespodziewanie zakłócono mi pracę. Z sekretariatu dobiegł okrzyk Nicholasasa:

- Nie! - Po nim zaś rozległ się brzęk.

Wybiegłem z gabinetu. Barak i Skelly ze zdumieniem patrzyli na chłopaka, który stał czerwony i rozdygotany, patrząc na trzymany w dłoni list. Na podłodze pod nogami ujrzałem złotą monetę, pół suwerena, a wokół leżało ich więcej.

- Co się takiego stało? — zapytałem,
- Właśnie doręczono mu pismo - wyjaśnił Skelly.

Nicholas spojrział na mnie, a potem mnąc list w dłoni, przełknął ślinę. Skelly wyszedł zza biurka i zaczął krążyć po izbie, by pozbierać rozrzucone monety.

Nicholas odezwał się chłodno:

- Zostaw je, proszę, John. Albo wrzuc do puszki na biednych w kaplicy. Nie chcę ich.
- Nicholasie — powiedziałem. — Chodź do mego gabinetu.

Zawahał się, lecz powoli ruszył za mną, poruszając się sztywno.

Wskazałem mu krzesło, a sam zająłem miejsce za biurkiem. Spojrział na mnie niewidzącym wzrokiem. Jego twarz, wcześniej czerwona, z wolna pobraźla. Chłopak wyraźnie przeżył wstrząs.

- Co się stało? — ponowiłem pytanie.

Skupił na mnie spojrzenie i powiedział:

- Wszystko przepadło. Wydziedziczyli mnie. - Popatrzył na list, który wciąż trzymał. Mienił się na twarzy i myślałem, że się załamał, lecz on zaczerpnął powietrza i zaciął usta. Wyciągnąłem rękę po pismo, ale zacisnął je w dłoni. Zapytałem *jeszcze* raz:

- Co się stało? Dlaczego rzuciłeś te monety?
- Przepraszam za swój wybuch - odparł zimno. — To się więcej nie powtórzy.
- Nicholasie — zwróciłem się do niego - nie traktuj mnie tak. Wiesz, że ci pomogę, jeśli tylko będę mógł.

Znowu na chwilę zamilkł.

- Wiem. Przepraszam. - Zamilkł, patrząc przez okno na dziedziniec, po czym odezwał się znowu, nie odwracając głowy: - Mówiłem ci, panie, że rodzice grozili mi wydziedziczeniem, bo nie chciałem poślubić kobiety, której nie darzyłem miłością.

- Rozumiem.
- Nie należą do łatwych ludzi. Nie mogli mnie nakłonić do posłuszeństwa, więc znaleźli kogoś, kto nie stawiał oporu. - Uśmiechał się półgębkiem. - Tamten pojedynek przeważył szalę. Nie mówiłem ci o nim, - Obrócił się i spojrział mi w twarz z gniewem i rozpaczą jednocześnie.

- Jaki pojedynek?

Zaśmiał się szorstko.

- Kiedy ojciec próbował mnie zmusić do ślubu z tą biedną dziewczyną, a ani ja, ani ona nie byliśmy do tego skłonni, nieopatrznie zwierzyłem się ze swych kłopotów mieszkającemu w pobliżu przyjacielowi. Pewnemu dżentelmenowi. - Wypowiedział to słowo, tak niezwykle dla niego ważne, z goryczą. - Którego miałem za przyjaciela. Ponieważ był utracjuszem, rodzina przestała mu dawać pieniądze. Zagroził więc, że jeśli nie zapłacę mu dwóch suwerenów, powie memu ojcu prawdę,

- I co zrobiłeś?

Nicholas odparł z ponurą dumą:

- Oczywiście wyzwiałem szubrawca na pojedynek. Starliśmy się na miecze i zraniłem go w ramię. — Znowu ścisnął list w dłoni. — Szkoda, że nie obciąłem mu ucha, wyglądałby jak ten łotr Stice. Jego rodzice zobaczyli, że jest ranny, i przyszli do moich na skargę. Kiedy matka i ojciec spytali mnie, o co

poszło, wyznałem im prawdę i oznajmiłem, że się nie ożenię. - Odetchnął głęboko i przetarł twarz. — Wtedy właśnie postanowili wysłać mnie na studia prawnicze i zagrozili mi wydziedziczeniem. Nie sądziłem, że się do tego posuną, lecz tak się stało.

- Co jest napisane w tym liście? Czy mogę zobaczyć?

- Nie - odparł spokojnie. - Zachowam go jednak, by mi przypominał, jacy potrafią być rodzice.

Ojciec pisze, że jestem nieposłuszny, krnąbrny. Mój pojedynek i odmowa poślubienia wybranej przez nich kandydatki na żonę rzuciły cień na ich reputację w okolicy. Ani on, ani matka nie chcą mnie więcej widzieć. Przesłał ten list przez specjalnego posłańca, dołączając pięć funtów. I zapowiedział, że będzie mi wypłacał tę sumę co roku. - Znowu zamilkł, a potem powiedział stanowczo: - To okrutne i złe. — Na jego twarzy ponownie pojawił się gniew. - Kto według ciebie, panie, gorzej się zachował?

- Oni - odrzekłem bez wahania. - Kiedy opowiedziałeś mi o tej dziewczynie, tak jak ty myślałem, że przejdzie im złość. Ale wygląda na to, że... nie przeszła.

Wiedziałem, że Nicholas ma ochotę miotać się i krzyczeć, lecz stara się zachować spokój. Kilka razy odetchnął głęboko i na jego twarz wróciły kolory, co odnotowałem z zadowoleniem.

- To ledwie wystarczy na opłacenie nauki u ciebie, panie — zauważył smutnym głosem. - Chyba będę musiał odejść.

- Ależ skąd - odparłem. - Przyswoiłeś sobie już wystarczająco dużo wiedzy, by zarobić na swą praktykę. — Spojrzał na mnie i widziałem, że mi nie wierzy, gdyż rzeczywiście wciąż się uczył i musiałbym poświęcić mu jeszcze co najmniej tyle czasu, ile przepracowałby dla mnie. - A w każdym razie wkrótce sobie przyswoisz, jeśli nadal będziesz tak ciężko pracował jak w ostatnich trudnych tygodniach. - Uśmiechnąłem się do niego. - I bardzo mi pomogłeś w innych ważnych sprawach.

- Nie będę darmozjadem - wybuchnął. - Pójdę do pracy.

- Biblia nam mówi, Nicholasie - zauważyłem ze smutnym uśmiechem - że duma prowadzi do upadku, a hardość do zniszczenia. Nie zostawiaj mnie... nas... z powodu dumy, nie rób tego błędu.

Opuścił wzrok na pomięty list. Przeczucie mi mówiło, że jeśli ulegnie dumie i złości, źle skończy, ponieważ miał w sobie coś destrukcyjnego. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Potem rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Barak, nie teatralnie, lecz ze spokojem. Też trzymał coś w dłoni. Podeszedł do mego biurka i położył na nim garść półsuwereków. Nicholas spojrział na niego.

- Zrobili to jednak, mam rację? - zapytał Barak z gniewem. - Twoi rodzice?

Nicholas potwierdził ponuro z mrocznym spojrzeniem:

- Tak.

- Tego się obawiałem. Ci to potrafią być podli... to znaczy... rodzice.

Nicholas nie odpowiedział. Barak ciągnął:

- Wiem coś o tym. Lecz wiem też co innego. Pieniądze nie śmierdzą, skądkolwiek pochodzą. To roczny zarobek pięciu biedaków. Weź je, wydaj i pokaż rodzicom figę.

Nicholas spojrział mu w oczy. Później pokiwał głową i wyciągnął rękę, by wziąć pieniądze.

- Zostaniesz? - zapytałem.

- Na razie tak, panie.

Barak klepnął go w ramię.

- Dobry chłopak. A teraz wracaj do pracy. - Uśmiechnął się do niego ze znużeniem człowieka znającego życie, a tamten po chwili odwzajemnił się tym samym.

*

W sobotę wreszcie przyszła dobra wiadomość, pierwsza od dłuższego czasu, choć także nie całkiem pomyślna. Siedziałem w saloniku, zastanawiając się, czy w następnym tygodniu nie zaprosić Guya na kolację. Przemawiały za tym małe kroki w stronę pojednania, które poczyniliśmy w szpitalu, wciąż jednak miałem obawy, że odmówi. Usłyszałem pukanie do drzwi i weszła Agnes Brocket. Miałem wrażenie, że tłumi wielkie podniecenie. Byłem ciekaw, czy otrzymali z Martinem lepsze wiadomości o

synu. Ona jednak oznajmiła:

— Przyszedł pan Brown, jaśnie panie. Pyta, czy mógłby z tobą porozmawiać.

Odłożyłem pióro.

— Powiedział, o czym?

Zbliżyła się o krok, złączając dłonie.

— Może nie powinnam mówić, lecz uważam, że ludzi nie powinno się zaskakiwać w ważnych sprawach. Więc... zdradzę ci w zaufaniu, jaśnie panie, że chce cię prosić o rękę Josephine.

Popatrzyłem na nią szeroko otwartymi oczami. Lubiłem Browna i byłem rad, że Josephine znalazła sobie fatyganta, czuła się szczęśliwsza i pewniejsza siebie. Jednakże tego się nie spodziewałem.

Odparłem:

— To takie nagłe. Josephine chyba nie jest...

Zarumieniła się ze wstydu.

— O nie, jaśnie panie, nie w tym rzecz.

— Ale przecież nie spotykają się z sobą zbyt długo, nieprawdaż?

— Cztery miesiące, jaśnie panie.

— To długo? Bo już zapomniałem.

— Nie planują szybkiego małżeństwa — odrzekła Agnes z lekką naganą. — Myślę jednak, że naprawdę się pokochali i pragną się zaręczyć.

Uśmiechnąłem się.

— Zatem wprowadź pana Browna.

Młody człowiek był podenerwowany, lecz zapewnił mnie, że myśli o ślubie dopiero za pół roku. Powiedział, że jego pracodawca chętnie przyjmie Josephine do siebie, bo obecnie nie ma służącej. Dodał jednak:

— Pod koniec roku mój pan przechodzi na emeryturę, jaśnie panie. Przenosi się z całym gospodarstwem do rodzinnego majątku w Norwich. Chciałby zabrać nas z sobą.

- Rozumiem. - Pomyślałem, że po Bożym Narodzeniu stracę Josephine. I że będzie mi jej brakowało. Głęboko odetchnąłem i odparłem: - Zawsze wydawałeś mi się, panie Brown, statecznym młodzieńcem. Wiem, że Josephine bardzo cię lubi.

- Tak jak ja ją.

Popatrzyłem na niego poważnie.

- Gzy znasz historię jej życia?

Spojrzał mi w oczy.

- Tak, kiedy zapytałem, czy mnie poślubi, opowiedziała mi wszystko o sobie. Wiedziałem, że jej ojciec był okrutnikiem, nie miałem jednak pojęcia, że zabrał ją od matki i rodzeństwa podczas jednej z inwazji króla na Francję.

- Był trudnym, porywczym człowiekiem.

- Josephine jest ci bardzo wdzięczna, jaśnie panie, że zabrałeś ją od niego i przyjąłeś do siebie.

- Ta dziewczyna nade wszystko potrzebuje czułości, panie Brown. I chyba zawsze tak będzie.

- Wiem o tym, jaśnie panie. I tak jak ty byłeś dla niej dobrym chlebodawcą, ja będę dobrym mężem.

— Jego twarz wyrażała szczerść.

- Jestem tego pewny. — Wstałem i wyciągnąłem do niego rękę. — Wyrażam zgodę, panie Brown.

— Kiedy ścisnął mi dłoń, ogarnęły mnie zadowolenie, że Josephine ma zapewnioną przyszłość, i jednocześnie smutek, że mnie opuści. Przypomniało mi się, jak irytowała mnie jej niezręczność i zdenerwowanie, kiedy do mnie nastąpiła. Widziałem jednak, że jest po prostu wystraszona, zorientowałem się, że ma dobry charakter, i postanowiłem być dla niej łagodny.

Młody Brown oblał się rumieńcem zadowolenia.

- Czy mogę pójść do niej, by jej powiedzieć, jaśnie panie? Czeka w kuchni.

- Tak, przekaz jej dobre wiadomości

*

Później dołączyłem do nich dwojga w kuchni, by razem z Brocketami i Timothy wypić za ich zdrowie. Timothy wyglądał na zaskoczonego i wytrąconego z równowagi. Jak ten chłopak nie lubił zmian! To mnie zmartwiło. Agnes pełniła rolę gospodyni, nalewając wina, które na moją prośbę przyniosła z piwnicy. Nawet Martin ucałował Josephine w policzek, choć musiał zauważyć, tak jak ja, że wzdrygnęła się przy tym, i kiedy reszta gawędziła wesoło, stanął nieco na uboczu. Josephine się popłakała i młody Brown przytulił ją do siebie. Wówczas otarła oczy i przywołała uśmiech na twarz.

- Nie będę jedną z tych żon, które chlipią z byle okazji.

- Wiem, że będziesz najlepszą, najposłuszniejszą - spokojnie odparł jej narzeczony, - A ja postaram się być najlepszym z mężów.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że Josephine to nie Tamasin, która, silna z natury, chciała w małżeństwie mieć tyle samo do powiedzenia co mąż, czasami ku niezadowoleniu innych. Josephine od małego uczono posłuszeństwa i przypuszczałem ze smutkiem, że byłaby przestraszona, gdyby wymagano od niej w życiu czegoś innego niż podporządkowania się. Miałem jednak przecucie, że będzie dobrą matką i to da jej siłę. Podniosłem szklanę.

- Obyście byli szczęśliwi i zostali pobłogosławieni dziećmi.

Gdy pozostali pili za to, Josephine spojrzała na mnie z radością i wdzięcznością. Postanowiłem, że mimo wszystko napiszę do Guya.

*

Przyszli po mnie o świcie, jak to często mają w zwyczaju. Leżałem jeszcze w łóżku, lecz obudziło mnie walenie do drzwi. Wstałem i poszedłem, wciąż w koszuli, otworzyć drzwi. Nie bałem się, byłem tylko zły, że ktoś śmie dobijać się o tej porze! Kiedy zszedłem na półpiętro, zobaczyłem, że Martin jest już przy drzwiach, także w nocnym stroju, i odsuwa zasuwę.

- Już otwieram! — zawołał z rozdrażnieniem. — Przestańcie walić, obudzicie cały dom...

Urwał, kiedy ujrzał za drzwiami Henrygo Leacha, miejscowego konstabla, potężnie zbudowanego mężczyznę, liczącego czterdzieści kilka lat. Miał ze sobą dwóch pomocników z pałkami, których ciemne sylwetki rysowały się na tle jaśniejszego nieba. Kiedy zszedłem po schodach, mój gniew przeszedł w strach i zaczęły mi drzeć nogi. Konstabl trzymał w dłoni pismo. Do tej pory zawsze odnosił się do mnie z należnym szacunkiem, kłaniał mi się na ulicy, teraz jednak, wyciągając je, miał groźny wyraz twarzy. Na papierze widniała czerwona pieczęć, lecz nie królowej. Tym razem króla.

- Pan Matthew Shardlake — zaczął z powagą, jakby mnie nie znał.

- O co chodzi? - Wyczułem za sobą obecność Agnes i Josephine, które także dopiero co wstały z łóżka. Zza domu wybiegł Timothy. pewnie już wstał, by zająć się końmi. Zatrzymał się gwałtownie, kiedy jeden z ludzi konstabla spojrzał na niego groźnie. Głęboko wciągnąłem powietrze, czyste świeże powietrze pogodnego letniego ranka.

Leach oznajmił:

- Mam rozkaz od Tajnej Rady, by aresztować cię pod zarzutem herezji. Staniesz przed członkami rady jutro rano, a do tego czasu pozostaniesz w Tower.

Rozdział czterdziesty drugi

Leach kazał mi wrócić do pokoju, by się odziać.

- Polecono mi przeszukać dom w poszukiwaniu zakazanych ksiąg. Mam nakaz - dodał i pokazał drugie pismo.

- Nie ma tu żadnych.

- Muszę to zrobić.

Jego pomocnik zwolnił uścisk, w którym trzymał Timothy'ego, a wówczas ten mu się wyrwał, podbiegł do konstabla i próbował odebrać mu nakaz.

- Nie! Nie! Mój pan jest dobrym człowiekiem!

Leach podniósł pismo nad głowę, poza zasięg rąk chłopca, podczas gdy pomocnik chwycił biedaka za kołnierz i podniósł. Timothy zaczął się dławić. Mężczyzna postawił go na podłogę, mocno ujmując za ramię.

- Nie próbuj tego więcej, smarkaczu, bo inaczej cię uduszę. Zerknąłem na pozostałych służących. Agnes i Josephine stały z szeroko otwartymi oczami, trzymając się za ręce.

- Myślałam, że polowanie na ludzi i wywlekanie ich z domów już się skończyło - szepnęła Agnes. Martin przyglądał się temu wszystkiemu spokojnie.

Leach zwrócił się do mnie:

- Przeprowadzę przeszukanie, kiedy będziesz się ubierał. - Mówił spokojnym, opanowanym tonem z nutą niechęci, czułem jednak, że poniżanie kogoś o mej pozycji sprawia mu przyjemność. Nie patrzył mi przy tym w oczy.

Pozwoliłem im wejść do środka. Przynajmniej pod tym względem nie miałem się czego bać - kilka tygodni wcześniej spaliłem wszystkie od niedawna zakazane dzieła. A w domu nie było niczego, co by dotyczyło poszukiwań *Lamentacji*. Leach wysłał jednego ze swych podwładnych, by mnie pilnował, gdy będę się ubierał. Ręce mi drżały, gdy zapinałem guziki i haftki. Próbowałem nad sobą zapanować i trzeźwo myśleć. Kto na mnie doniósł i po co? Czy był to element nowej intrygi przeciwko królowej Katarzynie? Przed pięcioma laty zostałem wtrącony do Tower pod zarzutem zdrady stanu, który sfabrykował Richard Rich. Wtedy ocalił mnie arcybiskup Cranmer; czy teraz mogła to uczynić królowa? Włożyłem letnią togę, jak zwykle wyjętą poprzedniego wieczoru przez Martina, i podszedłem do drzwi.

Moi służący nadal stali w przedsionku, Josephine obejmowała ramieniem chlipiącego Timothy'ego. To do niej zwróciłem się odruchowo, nie do kamerdynera. Wziąłem ją za rękę i powiedziałem z naciskiem:

- Idź szybko do Jacka Baraka i powiedz mu, co się stało. Czy pamiętasz, gdzie mieszka? Zanośiłaś tam wiadomości.

Choć jej także trzęsły się ręce, zachowała spokój.

- Już idę, jaśnie panie.

- Dziękuję ci. — Odwróciłem się do konstabla, starając się zachować resztki godności. — A zatem ruszajmy. Rozumiem, że pójdziemy pieszo.

- Owszem — odparł surowo Leach, jakbym już został osądzony i skazany.

Wówczas z dezaprobatą odezwał się Martin Brocket:

- Panu Shardlake'owi powinno się pozwolić jechać konno. Dżentelmen nie może być prowadzony ulicami Londynu jak zwykły człowiek. Tak nie przystoi. — Zdawał się bardziej poruszony złamaniem zasad etykiety niż samym aresztowaniem.

- Mamy polecenie powieść go na piechotę.

- To na nic się nie zda, Martinie - powiedziałem do niego łagodnie.

Spojrzałem znowu na Leacha.

- Idźmy już.

Szliśmy ulicami. Na szczęście, było na nich jeszcze niewielu ludzi, chociaż kilku patrzyło na nas ze strachem, kiedy ich mijaliśmy: Leach w uniformie konstabla na czele, a za nim ja pomiędzy dwoma roslymi uzbrojonymi mężczyznami. Aresztowanie szlachcica, i to wyższej rangi prawnika, stanowiło rzadkość. Nie szkodziło, że odbywało się publicznie - było to przypomnienie, że wszyscy, niezależnie od urodzenia i pozycji, jesteśmy poddanyami króla.

*

Wkroczyliśmy do Tower główną bramą. Konstabl zostawił mnie pod okiem dwóch odzianych na czerwono strażników więziennych w wypolerowanych hełmach, w których lśniło wschodzące słońce, dzierżących ostre jak brzytwa halabardy. Przypomniałem sobie lęk, z którym wchodziłem tam kilka tygodni wcześniej, w towarzystwie lorda Parra, by porozmawiać z Walsinghamem. Teraz spotkał mnie los, którego bali się wszyscy prowadzeni tu w charakterze więźniów. Kiedy powiedli mnie przez wypielegnowany trawnik wewnętrznego dziedzińca w kierunku White Tower, miałem wrażenie, że pod stopami kołysze mi się ziemia. Od strony menażerii dobiegł ryk i skowyt -właśnie karmiono tamtejsze zwierzęta.

Opanowałem strach i zwróciłem się do najbliższego strażnika -był to niezwykle wysoki, dobrze zbudowany młody mężczyzna o jasnych włosach pod stalowym hełmem:

- Co będzie teraz? — zapytałem go.
- Sir Edmund chce z tobą rozmawiać.

Poczułem lekki przypływ nadziei. Walsingham był przyjacielem lorda Parra... gdybym mógł przekazać mu przez niego wiadomość...

Powiedziano mi przez Great Hall schodami na piętro. Sir Edmund był zajęty, więc musiałem czekać niemal godzinę w zamkniętym przedsionku z widokiem na trawnik, siedząc na twardej ławie i próbując zebrać rozproszone myśli. Wreszcie pojawił się drugi strażnik, który oznajmił szorstko, że sir Edmund może mnie przyjąć.

Dowódca Tower siedział za biurkiem. Spojrzał na mnie surowo, gładząc się po siwej brodzie.

- Przykro mi, że widzimy się ponownie w takich okolicznościach -powiedział srogo.
- Sir Edmundzie - zacząłem. - Nie jestem heretykiem. Nie wiem, co się dzieje, lecz muszę

powiadomić lorda Parra, że się tu znalazłem.

Odparł ze zniecierpliwieniem:

- Nie pomoże ci lord Parr ani nikt inny. Jesteś tu na rozkaz królewskiej Tajnej Rady i przed nią odpowiesz. Szambelan królowej do niej nie należy.

Zawołałem z rozpaczą:

- Ale należy brat królowej, hrabia Essex! Jeszcze cztery dni temu widziałem się z Jej Królewską Mością. Jestem niewinny wszelkich zarzutów.

Sir Edmund westchnął i pokręcił głową.

- Kazałem cię przyprowadzić z uprzejmości, by ci powiedzieć, że spędzisz tu dzisiejszy dzień i noc, a nie słuchać twych zaklinań. Te zostaw dla członków Tajnej Rady. Ja tylko wykonuję ich rozkazy, opatrzone pieczęcią sekretarza Pageta.

Na chwilę przymknąłem oczy.

Walsingham odezwał się już łagodniej:

- Najlepiej będzie, jeśli się uspokoisz i przygotujesz na jutrzejsze przesłuchanie. Noc spędzisz w wygodnej celi wraz z innymi, którzy razem z tobą odpowiedzą na zarzuty.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

- Jakimi innymi? Kto to jest?

Zerknął na leżącą przed nim kartkę.

- Philip Coleswyn, prawnik, i Edward Cotterstoke, urzędnik.

A więc to była robota Isabel! Jednakże jej głupie pogrożki z całą pewnością nie wystarczyłyby, by

postawić nas przed obliczem członków rady. Wówczas przypomniałem sobie obawy Philipa, że już jest podejrzewany, i to, że Edward Cotterstoke również należy do radykałów. Tymczasem Walsingham ciągnął:

- Możesz poprosić o przyniesienie jedzenia i picia. Czy chciałbyś po kogoś posłać?
- Już przekazałem wiadomość swojemu asystentowi, że mnie... zabrano.
- To dobrze - odparł obojętnie. - Mam nadzieję, że wybronisz się jutro. — Skinął na strażnika, notując coś na kartce, i zostałem wyprowadzony.

*

Zawiedli mnie z powrotem przez Great Hall i dalej po schodach w dół, do cuchnących podziemnych cel. Usłyszałem znajomy głośny szcęk kluczy, a potem skrzywienie ciężkich zakratowanych drzwi i zostałem zaprowadzony pod ramię do głównego przedsionka, gdzie za wielkim biurkiem siedział Howitson, rosły mężczyzna o brudnej, rozwichrzonej brodzie. Strażnicy podali mu moje nazwisko i zostawili mnie pod jego opieką. On spojrzał na mnie, unosząc ze zdziwieniem brwi na widok niedawnego gościa, który stał się więźniem, po czym szybko przybrał znowu maskę urzędnika. Pomyślałem o Myldmore który z tego, co mówił lord Parr, miał być wkrótce wywieziony z kraju, i byłem ciekaw, co Howitson myśli o zniknięciu podwładnego.

Ten zawołał dwóch innych strażników, którzy wyłonili się zza drzwi prowadzących do cel.

- Pan Shardlake ma zostać tu do jutra, by stanąć przed radą Wsadźcie go razem z pozostałymi do celi dla lepszych więźniów.

Wiedziałem, kto ostatnio w niej przebywał. Myldmore mi powiedział. Anna Askew.

*

Powiedziano mi w głąb krótkiego korytarza o kamiennych ścianach. Jeden ze strażników otworzył zakratowane drzwi celi i kazał mi wejść do środka. Cella wyglądała tak, jak opisał ją Myldmore: stół i dwa krzesła, lecz tym razem znajdowały się tam trzy porządne łóżka z wełnianymi kocami, nie jedno — musieli wstawić dwa dodatkowe, kiedy się dowiedzieli, że jest nas trzech. W pomieszczeniu tym jednak unosił się stęchły zapach lochu i jedyne światło dochodziło z wysoko umieszczonego zakratowanego okienka. Spojrzałem na gołe kamienne mury i pomyślałem o tym, że pani Askew leżała między nimi umęczona po torturach.

Na łóżkach spoczywali dwaj mężczyźni. Jeden z nich natychmiast się podniósł — był to Philip Coleswyn, w todze i rozpiętej nad dubletem koszuli. Zazwyczaj starannie uczesane włosy i brodę miał potargane. Edward Cotterstoke odwrócił się, by na mnie spojrzeć, lecz nie wstał. Podczas oględzin malowidła zwróciłem uwagę na jego podobieństwo do siostry, nie tylko fizyczne - zachowywał się tak samo hardo i wyniosłe jak ona. Tego dnia jednak wydawał się przestraszony, więcej - znękany. Miał na sobie tylko koszulę i pludry. Patrzył na mnie wytrzeszczonymi niebieskimi oczami, takimi jak u siostry, ze strachem, bez nadziei. Drzwi za mną się zamknęły i rozległ się szcęk przekręcanego w zamku klucza.

- Wielkie nieba, Matthew! — zawołał Philip. - Słyszałem, że mają cię tu wtrącić. To musi być sprawka Isabel Slanning...

- Co ci powiedzieli?

- Że jutro zostaniemy postawieni przed Tajną Radą pod zarzutem herezji. Zostałem o świcie zabrany z domu przez konstabla, podobnie jak pan Cotterstoke.

- I jak ja. To nie ma sensu. Nie jestem heretykiem.

Philip usiadł na łóżku, ocierając czoło.

- Wiem. Ja jednak - ściszył głos - mam powody do strachu. Choć uważałem, by nie wypowiadać ryzykownych opinii publicznie. Edward także.

- A wasz pastor?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli tak, z pewnością również został aresztowany.

Pokiwałem głową.

- Więc jedyne, co nas łączy, to ta okropna sprawa.

Z łóżka odezwał się cicho Edward:

- Isabel na nas doniosła. - Ku memu zaskoczeniu, podwinął nogi i skulił się jak dziecko. Dziwnie było widzieć w takiej pozycji dorosłego mężczyznę.

Philip pokręcił głową.

- Obawiam się, że zostałeś w to zamieszany z powodu podejrzeń rzuconych na mnie i Edwarda.

- Lecz skarga Isabel o znowę jest śmieszna, łatwo ją odeprzeć! Na pewno nie stawiano by nas przed Tajną Radą z powodu takich oskarżeń. Chyba że... — Głęboko odetchnąłem. — Chyba że jej skargę ktoś wykorzystał, ktoś, kto chce mnie zniszczyć.

Philip ściągnął brwi.

- Kto taki?

- Nie wiem. Lecz, Philipie, zaangażowałem się, być może nierozważnie, w sprawę wagi państwowej. Mogę mieć wrogów w Tajnej Radzie. Choć także przyjaciół, potężnych przyjaciół. Tylko dlaczego zostałem zaatakowany akurat teraz? - W głowie miałem zamęt. Czyżby człowiek, który miał *Lamentacje*, postanowił wreszcie je ujawnić? I przesłuchać mnie w sprawie ich poszukiwań? Nigdy nie rozbawiałem z królową ani lordem Parrem o tym, co zrobimy z *Lamentacjami*, kiedy już je odzyskamy, wiedziałem jednak, że lord Parr postarałby się, by zostały zniszczone. By mieć pewność, że nie wpadną w ręce króla.

- Posłuchaj. - Chwyciłem go za ramię. - Czy kiedykolwiek negowałeś obecność ciała i krwi Chrystusa podczas mszy w obecności kogoś, kto mógł o tym donieść? - zapytałem cicho na wypadek, gdyby strażnik podsłuchiwał pod drzwiami.

Philip rozłożył ręce.

- Wiedząc o tym, co działo się przez całe lato? Oczywiście, że nie.

- A ty, panie... - zwróciłem się do Edwarda, wciąż skulonego na łóżku. - Czy powiedziałaś kiedyś coś niebezpiecznego? Masz zakazane dzieła?

Spojrzał na mnie.

- Nie głosiłem herezji i w zeszłym miesiącu oddałem wszystkie księgi - odparł ze znużeniem, jakby to już nie miało żadnego znaczenia.

Popatrzyłem znowu na Philipa.

- Musimy więc się tego trzymać i powiedzieć radzie, że oskarżenia przeciwko nam są niesłuszne. Jeśli ktoś próbuje posłużyć się oskarżeniami Isabel, by mnie dopaść, udowodnimy, że są niedorzeczne. - Z zamierającym sercem przypomniałem sobie, jak skarbnik Rowland unikał spotkania ze mną w sprawie skargi Isabel. Czyżby ktoś go przekupił?

Edward się wyprostował, bardzo powoli, jakby jego ciało było z ołowiu, i oparł o kamienną ścianę.

- To zemsta Pana - oświadczył. - Isabel jest tylko narzędziem w jego rękach. Tak miało być. Po tym, co uczyniłem, nie ma dla mnie zbawienia. Jestem przeklęty. Cały czas żyję w kłamstwie. Byłem dumny i zaślepiony...

Przeniosłem wzrok na Philipa.

- O czym on mówi?

Philip wyjaśnił spokojnie:

- Dwa dni temu powiedziałem mu, czego dowiedzieliśmy się od starego sługi. Uważa, że spadła na niego kara. Wyznał mi, że rzeczywiście zabił ojca.

- A zatem to prawda.

Pokiwał głową z rozpaczą.

Rozległ się szcęk klucza w zamku i wszyscy aż podskoczyliśmy. Strażnik otworzył drzwi. Nie posiadając się z radości, zobaczyłem, że do celi wchodzi Barak. Za nim, niosąc duży tobołek, podążała Josephine. Była przerażona. Za nimi pojawiła się małżonka Coleswyna, Ethelreda, którą poznałem na

kolacji tamtego wieczoru, kiedy zdybała nas Isabel, ona także trzymała zawiniątko. Wyglądała jak duch i miała przekrzywiony czepiec.

- Macie dziesięć minut — oznajmił strażnik i zatrzasnął drzwi.

Odezwał się Barak szorstkim tonem, który przeczył widniejącej na jego obliczu trosce:

- Więc znowu tu skończyłeś, panie. Josephine uparła się, że pójdzie ze mną, by przynieść ci jedzenie. Nicholas także chciał się z nami zabrać, lecz mu nie pozwoliłem. Jest w takim stanie, że pewnie by się załamał i rozplakał jak baba.

- Gdyby to usłyszał, przystawiłby ci miecz do gardła - odparłem. Mimo przerażenia, jakie czułem, Barak na chwilę zdołał mnie rozbawić. Zwróciłem się do Josephine: — Dziękuję, że przysłałaś, moja droga.

Przełknęła ślinę.

- Nie mogłam... nie przyjść.

- Jestem ci wdzięczny.

- Nie dała się odwieść od tego zamiaru — wyjaśnił Barak. — I przyniosła ci furę jedzenia.

- Czy Tamasin wie, co się stało?

- W jej stanie? Raczysz żartować, panie. Dzięki Bogu, Josephine, kiedy do nas przysłała, miała dość rozumu, by rozmówić się ze mną na osobności. Tammy myśli, że w kancelarii stało się coś złego. Co się, u licha, dzieje?

- Nie wiem. Isabel...

Urwałem, słysząc gniewny głos. Ethelreda pochylała się nad Edwardem Cotterstokiem i krzyczała na niego ze złością:

- Odpowiedz, panie! Dlaczego powiedziałeś władzom w Tower, że mają nie wpuszczać twej żony ani dzieci? Ta biedna kobieta została u nas w domu, płacze i płacze, to okrucieństwo...

Edward odparł żałośnie:

- Lepiej, by ani ona, ani nasze dzieci więcej mnie nie widziały. Jestem nieczysty.

Ethelreda popatrzyła najpierw na niego, potem zaś na swego męża.

- Czy on postradał zmysły?

Philip ze smutkiem spojrział na swego klienta.

- Zostaw go w spokoju, najdroższa. - Usiadł na łóżku i pociągnął ją za sobą. Przytulili się do siebie.

Powiedziałem nagłaco do Baraka:

- Posłuchaj, chcę, byś poszedł do Whitehall i przekazał lordowi Parrowi wiadomość...

Odrzekł niecierpliwie:

- Właśnie stamtąd wracam. Popłynąłem do pałacu, gdy tylko Josephine przekazała mi wiadomość. Wiedziałem, że tak byś sobie życzył. Lecz nie wpuścili mnie do środka. Na Common Stairs panuje zamieszanie, dwór przenosi się do Greenwich, gdzie król ma się spotkać z admirałem, i do Hampton Court, gdzie przyjmie go później. Nie chcieli mi nawet powiedzieć, czy lord Parr jest jeszcze w pałacu.

- A królowa...

- Do niej też próbowałem się dostać. Strażnicy w ogóle mnie nie słuchali. Powiedzieli tylko, że jej nie ma i że przeprowadza się do Hampton Court. - Wziął głęboki oddech. - Mam wrażenie, że twoi wysoko postawieni przyjaciele całkiem o tobie zapomnieli,

- Nie! — sprzeciwiłem się gorąco. — Lord Parr może, lecz nie królowa. Ta sprawa zagraża także im. Nie ma żadnych pogłosek, że coś stało się królowej? — zapytałem z niepokojem.

- Nie.

- Posłuchaj, napiszę list, a ty przekażesz go dworce jej Królewskiej Mości, Mary Odell - mówiłem gorączkowo. — Dowiedz się, czy jest jeszcze w Whitehall, czy już w Hampton Court, i znajdź ją. Powiedz strażnikom, że będą mieli kłopoty, jeśli ta wiadomość nie dotrze do królowej.

Barak przezornie przyniósł pióro i kałamarz. Napisałem list, wyjaśniając, co się stało, i

zaadresowałem go do Mary Odell.

- Opieczętuć pismo w kancelarii. I pospiesz się, na miłość boską.
- Postaram się — odparł, lecz bez nadziei w głosie.

Strażnik ponownie otworzył drzwi.

- Już pora — rzucił bezwzględnie.

Barak i Josephine wyszli, zabierając z sobą Ethelredę, która płakała. Josephine wspierała ją, choć sama drżała. Drzwi znów się zatrzasnęły.

*

Usiadłem obok Philipa na jego łóżku i obrzuciłem spojrzeniem Edwarda. Bałem się o niego, o to, co w tym stanie powie radzie, kiedy zostanie wezwany przed jej oblicze. Siedział już z opuszczoną głową. Szeptem zagadnąłem Philipa:

- Czy wyznał ci, że zabił ojczyma?

Philip ze smutkiem pokiwał głową. Edward jednak usłyszał moje pytanie i podniósł głowę - na jego twarzy wciąż malowała się rozpacz.

- Tak, zabiłem go, człowieka, który niczym nie zawinił, i będę musiał odpowiedzieć za to przed Bogiem. Przez czterdzieści lat tałem prawdę przed sobą samym i całym światem, za wszystko winiąc Isabel, lecz teraz sekret wyszedł na jaw i muszę razem z nią ponieść karę. W głębi serca zawsze wiedziałem, że tak będzie.

- Panie Cotterstoke, co się przed laty wydarzyło? - Bardzo chciałem zrozumieć tego wstrząśniętego i zropaczzonego biedaka.

Przez chwilę milczał, po czym zaczął mówić:

- Nasz ojciec był dobrym człowiekiem. Isabel i ja stale się z sobą kłóciliśmy i choć matkę to tylko irytowało, drogi ojciec zawsze próbował nas godzić, skłonić do pojednania. Był dla nas opoką. Kiedy umarł, smutek, jaki ogarnął Isabel i mnie... — Pokręcił głową, nie kończąc.

- I później matka ponownie wyszła za męża? — podsunąłem.

- Od śmierci ojca nie upłynął jeszcze rok. - W jego głosie wyczułem nutę dawnego gniewu. — Minęło kilka kolejnych miesięcy i znowu była brzemienna. Widziała tylko Petera Cotterstoke'a, na mnie i Isabel nie zwracała uwagi. Ależ go nienawidziliśmy. — Spojrzał na mnie. - Masz, panie, rodzeństwo, braci albo siostry?

- Nie, lecz widywałem rodziny, w których panowała nienawiść. I to zbyt wiele razy.

Edward z żalem pokręcił głową.

- Dzieci... stać je na taką nikczemność, takie okrucieństwo. Byliśmy pewni, że Peter Cotterstoke zapisze wszystko swemu dziecku, a nas wydziedziczy. Chociaż nie mieliśmy do tego żadnych podstaw. Zaczęliśmy od drobnych złośliwości, podkradaliśmy jego rzeczy i niszczyliśmy je. Czasami to były moje pomysły, częściej jednak Isabel. - Znowu pokręcił głową. - Z czasem nabraliśmy śmiałości, na przykład spaliliśmy na polu cenną dla niego księgę, tańcząc wokół rozpalonego ogniska i wrzucając po kolei zdobione iluminacjami karty. Zachowywaliśmy się podle, bardzo podle.

- Byliście jeszcze dziećmi — zauważyłem.

Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem.

- Próbowaliśmy go otruć. Wtedy jeszcze nie zabić, lecz otruć, by zaniemógł. Bardzo się wówczas pochorował, bardzo. Baliśmy się, że zostaniemy zdemaskowani, lecz nigdy nas nie podejrzewał. - Był wyraźnie przybity. - Matka chyba jednak zaczęła się czegoś domyślać i od tamtej pory czuwała nad mężem. Ale daremnie.

Edward ciągnął płaskim głosem, pozbawionym wyrazu:

- Razem z Isabel zawsze udawaliśmy kochające dzieci, a on brał to za dobrą monetę. Śmialiśmy się z jego naiwności. A potem Isabel wpadła na pomysł, by go zabić. Zapewnić sobie spadek i zemścić się. Za to, jak sobie wmawialiśmy, że pozbawił nas dziedzictwa. - Zamknął oczy. — I że nie był naszym

ojcem, którego nikt nie mógł nam zastąpić. - Po jego pobrużdżonym policzku spłynęła łza. Pomyślałem, że w domu nie zachowała się żadna pamiątka po ich ojcu oprócz malowidła ściennego, nie pozostał nikt, komu mogliby ufać, z kim mogliby porozmawiać. Niektóre dzieci zaprzyjaźniają się ze służbą, lecz domyślałem się, że Edward i Isabel do nich nie należeli. Wpędzali się, powoli, ale nieustająco, w szaleństwo.

Edward kontynuował:

- Rozważaliśmy różne sposoby zamordowania go w tajemnicy, lecz wszystkie wydawały się nie do przeprowadzenia. Chyba nigdy nie myślałem o tym poważnie, Isabel... owszem, tak. I wreszcie tamtego dnia w porcie... Peter Cotterstoke patrzył na rzekę, stojąc przy samym brzegu, i Isabel szepnęła mi do ucha, że nadarza się okazja: jest przypływ, zimna woda, sam się z niej nie wydostanie. Wystarczyło tylko pchnąć go z tyłu, a ja byłem dużym chłopcem, wysokim jak na swój wiek. — Pochylił głowę. — Dziwne, dopiero później zdaliśmy sobie sprawę z tego, cośmy uczynili. Zamordowaliśmy człowieka. Wówczas Isabel przejęła dowodzenie. Zdecydowała, że powiemy, iż zostawiliśmy ojca na nabrzeżu.

- I nikt nie mógł udowodnić, że było inaczej - odezwał się Philip.

- A później... dowiedzieliśmy się, że wcale nie zamierzał nas wydziedziczyć. - Edward ukrył twarz w dłoniach i jego głos stał się ledwie słyszalny. - Matka jednak jakimś sposobem zaczęła się domyślać. Nie mogła znieść naszego widoku, pozbyła się nas z domu najszybciej, jak tylko mogła. Nie wykazała zainteresowania moją rodziną, swymi wnukami. A testament, który sporządziła... — Urwał.

- To była jej zemsta - skomentowałem.

Potwierdził.

- Tak. Teraz to widzę. Nie sądziłem, że Vowell coś podejrzewał, nie przyszło mi to do głowy nawet w dniu oględzin malowidła, kiedy był taki wytracony z równowagi. Byłem ślepy, ślepy, przez tak długi czas. - Nagle zacisnął dłoń w pięść i uderzył się nią w czoło.

- Przez te wszystkie lata oboje z Isabel obwinialiście się nawzajem, gdyż to było łatwiejsze niż uświadomienie sobie prawdy - powiedziałem.

Edward tępo pokiwał głową.

- Prawda była zbyt straszna, by dało się ją znieść.

- W pewnym sensie cały ten czas stanowiliście parę spiskowców, jedno próbowało zrzucić winę na drugie. - Była to dziwna refleksja, zaskakująca.

- Ja zarzucałem jej, że namówiła mnie do tego czynu, podczas gdy ona twierdziła, że wcale nie chciała, bym to zrobił, że to była tylko zabawa, gra. Przestaliśmy z sobą rozmawiać. Lecz był to nasz wspólny grzech. Choć tałem go nawet przed Panem, kiedy doszedłem do prawdziwej wiary. Lecz on wiedział i teraz, doprowadzając do mego aresztowania, zesłał na mnie karę.

Nic nie odpowiedziałem. W świetle prawa oboje, Edward i Isabel, byli winni zabójstwa. Gdyby przyznali się do winy, zawiśliby na szubienicy, nawet teraz. Pomyślałem o ich matce, która przez te wszystkie lata domyślała się, co uczyniły jej dzieci, ale nie mogła niczego im dowieść, tylko ich nienawidziła. Wziąłem głęboki oddech.

- Co teraz zrobisz, panie Cotterstoke?

Pokręcił głową.

- Wyznam wszystko. Tego domaga się ode mnie Pan.

Zacząłem ostrożnie:

- Zdajesz sobie sprawę, że masz stanąć przed Tajną Radą z innego powodu, który nie ma nic wspólnego ze śmiercią twego ojczy. Zarzuca ci się herezję. Skoro nigdy nie wypowiadałeś heretyckich poglądów, możliwe, że posłużono się wami, tobą i kolegą Coleswynem, by dopaść mnie.

Popatrzył na mnie z prawdziwym zdumieniem.

- Sądziłem, że to aresztowanie jest związane... z naszym dawnym uczynkiem. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego osadzono nas w Tower, dlaczego mamy stanąć przed Tajną Radą. - Zmarszczył

czoło. - Jaki rada ma powód, by się tobą interesować, panie? -Zauważyłem z ulgą, że był tak samo zaciekawiony, jak zaskoczony Wreszcie udało mi się go przywołać do rzeczywistości.

- Ponieważ jestem zamieszany... w sprawy polityczne - wyjaśniłem ostrożnie. - Naraziłem się stronnictwu tradycjonalistów.

- To łotry! Być może jestem wyklęty przez Boga i stracony na zawsze, lecz jeszcze nie upadłem tak nisko, by ulec wrogom wiary! -Na jego twarzy pojawił się wyraz gniewnej dumy.

- Więc dla naszego wspólnego dobra, panie Cotterstoke, kiedy przed radą zapytają cię jutro, czy kiedykolwiek publicznie podważałeś istotę mszy świętej, powiedz prawdę, że nie.

- W sercu jednak...

- To, co powiesz, może zdecydować, czy skończysz na stosie, czy nie. Zachowaj dla siebie swe poglądy, błagam cię.

Philip pokiwał głową.

- Tak, Edwardzie, on ma rację.

- Ale to, co uczyniliśmy, Isabel i ja...

- Zostaw to na razie, Edwardzie. Na to przyjdzie czas później.

Edward namyślał się z ponurą miną. Potem jednak odpowiedział:

- Jeśli zostanę zapytany o śmierć mego ojczyma, wyznam prawdę. Lecz jeżeli nie, nic nie powiem.

— Spojrzał twardo na Philipa. -Kiedyś jednak będę musiał zapłacić za swe grzechy.

Pomyślałem, że jest silnym człowiekiem, mocnym i wytrzymałym jak jego siostra. I że rzeczywiście wzajemne zrzucanie na siebie winy przez czterdzieści lat przewrotnie wymagało od niego i Isabel siły charakteru.

*

Następne godziny płynęły powoli. Philip namówił Edwarda, by się z nim pomodlił, i przez dłuższy czas mamrotali w kącie, prosząc Boga o siłę, a potem rozprawiając o szansach na zbawienie w przyszłym życiu, jeśli Edward publicznie przyznałby się do winy, W pewnym momencie wspomnieli o przywiązaniu Isabel do dawnej wiary i Cotterstoke znowu podniósł głos, nazywając ją upartą niewiastą o zatwardziałym sercu, w tonie pełnym politowania i przekonania o własnej słuszności, który był tak charakterystyczny dla nich obu. Pomyślałem, że jeśli Edward przyzna się do winy, pograży także siostrę.

Przez zakratowane okienko wysoko na ścianie do celi wpadało światło, które w miarę upływu czasu powoli wędrowało po ścianach. Wreszcie moi towarzysze niedoli skończyli rozmawiać i Philip zaproponował, byśmy zjedli to, co przynieśli nam goście.

Przyszedł wieczór i światło szybko nikło, kiedy strażnik odemknął celę, przynosząc dla mnie pismo. Otworzyłem je pospiesznie, pod okiem Philipa i Edwarda. Pochodziło od Baraka.

Wróciłem do Whitehall i zdołałem przekonać strażnika, by wpuścił mnie do komnaty audiencyjnej Jej Królewskiej Mości. Królowa z większością swego dworu przeniosła się do Hampton Court, nie wyłączając, jak się zdaje, pani Odell. Pod okiem jakiejś karlicy z kaczką na smyczy właśnie zdejmowano ze ścian gobeliny, kiedy strażnik spytał ją, czy wie, gdzie jest Mary Odell, odparła, że w Hampton Court, a gdy powiedział, że przynoszę wiadomość od ciebie, odwróciła się do mnie i zaczęła robić dziecinne miny. Zakląłem strażnika, by doręczył list. Przykro mi, więcej uczynić nie mogłem.

Jane, pomyślałem, która darzyła mnie taką niechęcią. Odłożyłem pismo.

- Żadnych wiadomości. Lecz mój list został przekazany... ważnej osobie.

Edward spojrział na mnie nierozumiejącym wzrokiem, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego, i ponownie zamknął się w sobie. Philip nic nie powiedział i tylko opuścił głowę.

*

Noc ciągnęła się niemiłosiernie długo. Spałem źle. Budziłem się kilka razy, pod wpływem ukąszeń pcheł i wszy, wyłączających z posłania. Zdaje się, że Philip także nie mógł spać; raz, gdy się ocknąłem, modlił się cicho, choć nie słyszałem słów. Co zaś do Edwarda, kiedy obudziłem się pierwszy raz,

chrapał, lecz następnym razem w blasku księżyca, wpadającym przez okno, zobaczyłem błysk jego oczu
— patrzył z rozpaczą w mrok.

Rozdział czterdziesty trzeci

Siedzieli w długim szeregu za stołem, nakrytym zielonym aksamitem - sześciu członków Tajnej Rady, najwyższej instytucji odpowiedzialnej tylko przed królem za zarządzanie państwem. Wszyscy mieli na sobie wytworne szaty, złote łańcuchy i zdobione klejnotami berety, Philipowi, Edwardowi i mnie kazano usiąść naprzeciwko nich, za nami zaś stali trzej strażnicy z Tower, którzy nas przyprowadzili. Serce zabiło mi w piersi, kiedy pomyślałem, że tu właśnie w ostatnich miesiącach siedziała Anna Askew, jak również wielu innych, odpowiadając na te same zarzuty dotyczące herezji.

Sir Thomas Wriothesley, lord kanclerz, zamachał ręką przed nosem.

- Na litość boską, cuchną lochami Tower. Mówiłem już wcześniej... Czy nie można ich umyć, zanim zostaną tu przyprowadzeni? - Spojrzałem na niego, przypominając sobie, jak bał się podczas egzekucji Anny Askew, że eksplodujący na sztych skazańców proch porani zarządców królestwa. To on razem z Richem ją torturował. Pochwycił moje spojrzenie i, rozgniewany moją śmiałością, popatrzył na mnie zimnymi jak kamyki zielonymi oczami.

Wszyscy członkowie rady mieli przed sobą jakieś papiery, lecz przed sir Williamem Pagetem, siedzącym w swej zwykłej ciemnej jedwabnej szacie u szczytu stołu, piętrzył się istny stos dokumentów. Jego kanciasta blada twarz, okolona długą ciemną brodą, była zimna, a wąskie usta - zacięte.

Po lewej stronie Pageta zajmował miejsce Wriothesley, za nim zaś Richard Rich z twarzą bez wyrazu. Zetknął smukłe białe palce obu dłoni i patrzył w dół, tak że powieki zasłaniały mu oczy. Dalej siedział biskup Stephen Gardiner w sutannie i etoli, stanowiąc całkowite przeciwieństwo Richa. Ze swą barczystą sylwetką i dostojnymi rysami emanował siłą i władzą. Położywszy na stole szerokie owłosione ręce, pochylił się do przodu, lustrując nas swymi przenikliwymi głęboko osadzonymi oczami. Główny tradycjonalista, ze swymi poplecznikami, Wriothesleyem i Richem przy boku. Byłem ciekaw, czy wie, że Anna Askew była torturowana.

Po prawej stronie Pageta zajmowali miejsca dwaj pozostali członkowie rady. Miałem nadzieję, że jeden z nich jest przyjacielem — Edward Seymour, lord Hertford, wysoki i szczupły, o kwadratowej twarzy i sylwetce. Siedział prosto. Bił od niego powściągnany gniew i liczyłem, że jeśli wybuchnie, skieruje go przeciwko naszym wrogom. Dalej zajmował miejsce smukły mężczyzna o kasztanowych włosach i wydatnym nosie, z lekkim zarostem. Rozpoznałem w nim brata królowej, Williama Parra, hrabiego Essex, którego widziałem podczas wizyty w zamku Baynards. Na jego widok nabrałem nieco otuchy - to Katarzynie zawdzięczał miejsce w radzie. Jeśli popadłaby w niełaskę, tego dnia nie byłoby go tutaj. Jego obecność rekompensowała brak innej osoby, na którą najbardziej liczyłem - arcybiskupa Cranmera, stanowiącego przeciwwagę dla Gardinera. Jednakże Cranmer, który bywał na zebraniach rady albo nie, zależnie od strategii, wolał trzymać się od tej sprawy z daleka.

Paget wziął pierwszą kartkę ze stosu. Przesunął po nas wzrokiem, Z twarzą wciąż bez wyrazu, i przemówił:

- Zaczynamy więc.

*

Do pałacu Whitehall przywieziono nas łodzią. Członkowie Tajnej Rady podążali za królem, kiedy przenosił się z jednej siedziby do drugiej, więc myślałem, że będziemy sądzeni w Hampton Court, lecz widocznie rada wciąż zbierała się w Whitehall. Z samego rana wszyscy trzej, z zaczerwienionymi oczami, potargani i - jak zauważył Wriothesley - cuchnący, zostaliśmy wsadzeni do łodzi i powiezieni w górę rzeki.

Przy Common Stairs, jak pisał Barak, panowała ożywiona krzątanina - służba ładowała wyposażenie pałacu do barek. Płynęła ich do Hampton Court cała flotylla. Zauważyłem, że ku jednej niesiono wielkie kotły i kadzie z kuchni królewskich i złożono je na nią z brzękiem, który poniósł się nad wodą. Nieopodal kilku służących składało ostrożnie podłużny gobelin, owinięty w płótno. Na końcu podestu stał ubrany na

czarno urzędnik, który zaznaczał wszystko na kartach przypiętych do przenośnego pulpitu, który miał zawieszony na szyi.

Jeden ze strażników powiedział do przewoźnika:

- Płyn do Royal Stairs. Tu panuje za duży zamęt.

Spojrzałem na swych towarzyszy. Philip siedział spokojnie, z dłońmi na kolanach. Zauważył, że na niego patrzę.

— Odwagi, kolego — powiedział, szybko przywołując uśmiech na twarz.

To samo powiedziałem mu, kiedy był bliski omdlenia podczas egzekucji Anny Askew. Pokiwałem głową. Edward Cotterstoke, z twarzą białą jak kreda, patrzył pustym wzrokiem na wielką fasadę o wypolerowanych oknach. Można było odnieść wrażenie, że wreszcie w pełni uświadomił sobie powagę sytuacji.

Łódź zacumowała u podnóża długiego pawilonu na końcu Royal Stairs, na którego dachu powiewały zielono-białe flagi Tudorów. Wspięliśmy się po kamiennych stopniach, porośniętych zielonym mchem rzeczonym, a kiedy strażnik otworzył drzwi, przed którymi pełnił wartę, zostaliśmy wprowadzeni do długiej galerii ozdobionej arrasami ze scenami rzeczonymi, łączącej hangar dla łodzi z pałacem. Przeszliśmy przez cały pawilon, mijając kolejnych służących przenoszących rzeczy, i wreszcie znaleźliśmy się w pałacu, w miejscu, które rozpoznałem - był to przedsionek łączący Royal Stairs z trzema pomieszczeniami, do których prowadziły dwuskrzydłowe drzwi, pilnowane przez strażników. Pamiętałem, że jedne wiodły do galerii królowej, drugie do jej prywatnych apartamentów, a trzecie do komnat króla. To właśnie te zostały otwarte przez parę żołnierzy. Mało brakowało, by wpadł na mnie wychodzący przez nie sługa, który niósł ozdobną wazę, niemal tak wielką jak on sam, ale jeden ze strażników sklął go głośno. Pospiesznie wprowadzono nas za małe drzwi, z nadprożem ozdobionym kunsztowną ślimacznicą, gdzie mieliśmy czekać, póki rada nie będzie gotowa nas przyjąć. Zostaliśmy w nieomal pustej małej komnacie, pozbawionej wszelkiego umeblowania, jedynie z pięknym widokiem na ogrody. Kilka minut później wewnętrzne drzwi się otworzyły i wezwano nas przed oblicze samej rady.

*

Na początek Paget kazał nam się przedstawić z imienia i nazwiska, a potem przysiąc na Biblię, że będziemy mówić prawdę, jak w sądzie. Taką władzę mieli członkowie rady. Później powiedział tonem ciężkiej przygany, który - jak sądziłem po latach obcowania z gronem sędziowskim - miał nas przestraszyć:

- Na mocy aktu z tysiąc pięćset trzydziestego dziewiątego roku wszyscy jesteście oskarżeni o herezję, podważanie obecności ciała i krwi Chrystusa w hostii. Co macie do powiedzenia na swoją obronę?

- Jaśnie panowie — odezwałem się, zaskoczony siłą własnego głosu. - Nie jestem heretykiem.

Philip odparł z ostrożnością prawnika:

- Nigdy nie naruszyłem postanowień aktu.

Edward Cotterstoke przymknął oczy i już myślałem, że zemdleje. Ale po chwili spojrzał na Pageta i odparł cicho:

- Ja tak samo.

Biskup Gardiner pochylił się nad stołem, wskazując mnie grubym palcem.

- Pan Shardlake użył takich samych słów jak jego dawny zwierzchnik, Cromwell, kiedy został arestowany przy tymże stole. Dobrze pamiętam. - Zaśmiał się pogardliwie. — Parlament jednak orzekł inaczej. I tak samo może uczynić sąd miasta Londyn, jeśli uznamy, że należy przed nim postawić tych trzech!

Paget popatrzył na Gardinera, podnosząc dłoń. Tamten, zagniewany, usiadł prosto, Paget zaś podjął nieco łagodniej:

- Mamy kilka pytań, które dotyczą tylko ciebie, panie Shardlake. - Skinął głową na Wriothesleya,

który pochylił się, groźnie wysuwając do przodu rudą bródkę.

- Rozumiem, że ostatnio zostałeś zaprzysiężony jako członek Uczonej Rady Jej Królewskiej Mości.

- Tak, Wasza Lordowska Mość. Tymczasowo.

- W jakim celu?

Głęboko odetchnąłem.

— By zbadać sprawę kradzieży z komnat królowej nader cennego pierścienia. Podarowanego Jej Królewskiej Mości przez zmarłą pasierbicę, Małgorzatę Neville. - Miałem przeraźliwą świadomość, że kłamię. Lecz gdybym postąpił inaczej, musiałbym zdradzić, czego tak naprawdę szukałem, narażając innych na wielkie niebezpieczeństwo. Popatrzyłem na lorda Hertforda i Williama Parra. Żaden z nich nie odwzajemnił mego spojrzenia. Przełknąłem ślinę i serce zabiło mi szybciej. Bałem się, że zaraz zacznę drzeć podłoga i zarwie się pode mną, lecz tak się nie stało, na razie.

— To rzadki i cenny przedmiot - zauważył Wriothesley z nutą szyderstwa w głosie. — Nie znalazłeś go jednak?

— Nie, Wasza Lordowska Mość. I złożyłem rezygnację ze stanowiska.

Wriothesley pokiwał głową, a jego ruda bródka podskoczyła w górę i w dół.

— Słyszałem, że na dworze królowej nagle zwolniło się kilka miejsc. Dwóch starszych strażników, stolarza oraz pana Cecila, który przeszedł na służbę u hrabiego Hertforda. Bardzo tajemnicza sprawa. - Wzruszył ramionami. Byłem ciekaw, czy bada grunt, czy tylko odnotowuje te fakty, zastanawiając się, na ile stanowią zbieg okoliczności.

Wówczas odezwał się Rich. Nie patrzył na mnie, lecz na swe splecione dłonie.

— Lordzie kanclerzu, te drobne dworskie sprawy nie mają nic wspólnego z oskarżeniem. Pan Shardlake od kilku lat doradza królowej w kwestiach prawnych. — Zwrócił się w stronę Wriothesleya. Uświadomiłem sobie z ulgą, że ze względu na własny udział w tym śledztwie stara się mi pomóc. Wriothesley zdawał się zdziwiony jego interwencją.

Gardiner ściągnął grube czarne brwi, patrząc na Richa z niezadowoleniem.

— Jeśli ten człowiek - wskazał mnie niedbałym gestem - i jego towarzysze są tu pod zarzutem herezji, rada musi zbadać wszelkie ich powiązania z Jej Królewską Mością.

Nagle ostro zabrał głos lord Hertford:

— Czy nie powinniśmy najpierw się przekonać, czy w ogóle są czegokolwiek winni? Zanim wrócimy do kwestii, które król chciałby zamknąć. — Podkreślił swe słowa, opierając się o stół i patrząc na Gardinera z mocą.

Biskup był gotów podjąć wyzwanie, lecz Paget podniósł rękę.

- Lord Hertford ma rację. Podczas narady, czy zająć się tą sprawą, uzgodniliśmy, że zapytamy tych ludzi jedynie o to, czy naruszyli postanowienia aktu. Dowody, którymi dysponujemy, dotyczą tylko tego.

- A i tak są słabe - zauważył William Parr. - Nie rozumiem, po co w ogóle się tym zajmujemy.

Przeniosłem wzrok z jednego na drugiego. Komuś zależało, by postawić nas przed radą. Lecz komu? I po co? By mnie zastraszyć, wybadać, co wiem, i spróbować zamknąć mi usta? Dopaść poprzez mnie królową? Któremu z nich? Oczywiście typem był Gardiner, zdawałem sobie jednak sprawę, jak zawiła stała się sieć przymierzy i antagonizmów przy tym stole. Zerknąłem szybko na swych towarzyszy. Philip zachował spokój, chociaż był blady. Edward siedział wyprostowany i słuchał uważnie z rumieńcami na policzkach. Na wzmiankę o królowej zapewne przypomniał sobie, co powiedziałem mu w Tower: że to dochodzenie może dotyczyć konfliktów na tle religijnym w łonie rady. Niezależnie od straszliwego zamętu w głowie, mógł przysłużyć się sprawie radykałów.

- Przejdźmy do rzeczy - odparł niechętnie Gardiner. - Po pierwsze, czy któryś z was posiadał dzieła zakazane proklamacją wydaną przez króla? Philipie Coleswyn?

Philip spojrział mu w oczy.

- Tak, Wasza Lordowska Mość, lecz zdałem wszystkie na mocy amnestii Jego Królewskiej Mości.

- Edwardzie Cotterstoke?

Ten odparł spokojnie:

- Ja tak samo.

Gardiner zwrócił się do mnie.

Ty jednak, panie Shardlake, nie zdałeś żadnych ksiąg. - Nie myliłem się zatem. Prowadzili wykaz.

Odparłem nieporuszony:

- Nie mam ich. Wczoraj, kiedy zostałem zatrzymany, przeszukano twój dom i żadnych zakazanych ksiąg nie znaleziono.

Gardiner przywołał na usta paskudny krzywy uśmiezek i przez jedną przerażającą chwilę pomyślałem, czy nie podłożono mi jakiegoś zakazanego dzieła. Krążyły słuchy o takich praktykach. Lecz on zapytał tylko:

- Czy kiedykolwiek posiadałeś zakazane w proklamacji księgi?

- Tak, Wasza Ekscelencjo. Ale zniszczyłem je przed upływem amnestii.

- A więc tak! - odparł triumfalnie Gardiner. - Przyznaje zatem że miał zakazane dzieła, których nie zdał — zwrócił się do innych. - Wiem, panie Shardlake, że spaliłeś je w ogrodzie. Widziano cię przy tym.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. To był dla mnie wstrząs. Tylko Timothy przebywał tego dnia w domu, lecz był w stajni. I nigdy by na mnie nie doniósł. Przypomniałem sobie, w jaki wpadł gniew, kiedy dzień wcześniej przyszli mnie aresztować. Odparłem spokojnie;

- Wolałem je zniszczyć. Proklamacja głosi jedynie, że po zakończeniu amnestii nie wolno posiadać ksiąg wyszczególnionych na liście. A ja ich nie posiadam.

Wriothesley przyjrzał mi się uważnie.

- To, że wolałeś spalić księgi, zamiast je zdać, świadczy, że nie chciałeś zwracać na siebie uwagi władz.

- To jedynie domniemanie. Nikt nie powiedział, że będzie prowadzona lista zdających księgi.

Paget powściągnął uśmiech. On także był prawnikiem i docenił linię mej obrony, Gardiner natomiast prychnął:

- Prawnicze sztuczki. - Wciąż patrzył na mnie gniewnie. Intrygowało mnie, skąd u niego ta napastliwość. Czyżby liczył, że ma jednak szansę, choćby nikłą, by wytropić w otoczeniu królowej heretyka?

Lord Hertford znowu pochylił się do przodu.

- Nie, Wasza Lordowska Mość. To nie prawnicze sztuczki. To prawo.

William Parr pokiwał żywo głową, popierając go.

- Samo prawo.

Przesunąłem wzrokiem po szeregu osób za stołem; po lewej stronie Pageta wrogowie, po prawej zaś przyjaciele, przynajmniej na to liczyłem. Sam Paget pozostał nieprzenikniony. Powiedział:

- Według mnie pan Shardlake ma słuszość. Pora, byśmy przeszli do sedna sprawy, — Sięgnął po plik dokumentów i wyjął kilka z nich, kolejno podając trzy każdemu z nas po drugiej stronie stołu. Kiedy spojrział na mnie, nawet nie mrugnął.

- Członkowie rady mają kopie tych listów. Dotyczą one skargi wniesionej przez byłą klientkę pana Shardlake'a, Isabel Slanning, siostrę obecnego tu pana Cotterstokea. Powołaliśmy ją dziś na świadka. - Odwrócił się do jednego ze strażników. - Wprowadzić ją.

Strażnik wyszedł. Przez twarz Edwarda przebiegł cień - wyglądał okropnie, na udęczonego. Gardiner, który uznał to za przyznanie się do winy, przebiegłe uśmiechnął się do Wriothesleya.

Zerknąłem na dokumenty. Kopie trzech listów. Skierowana do Rowlanda skarga Isabel o to, że spiskuje z Edwardem i Philipem, by przegrała sprawę. Odpowiedź od skarbnika, krótka i ostra, tak jak się spodziewałem, głosząca, że nie ma dowodów na zmowę, i ostrzegająca, że bezpodstawne oskarżenie o herezję to poważne oszczerstwo.

Jednakże to trzeci list, odpowiedź Isabel, stanowił prawdziwe zagrożenie. Nosił datę sprzed tygodnia i jak na nią był krótki:

Panie skarbniku!

Otrzymałam Twoje pismo, w którym piszesz, że oskarżenia o zмовę między panami Shardlakiem, Coleswynem i moim bratem w celu zakwestionowania mych roszczeń są bezpodstawne. Wręcz przeciwnie, są uzasadnione i herezja tych ludzi nie budzi wątpliwości. Pan Shardlake, żegnając się z panem Coleswynem po kolacji w domu tego ostatniego, powiedział w mojej obecności, iż jedyną drogą do zbawienia jest modlitwa i lektura Biblii, nie udział w mszy świętej. Przesyłam kopię tego listu Tajnej Radzie Jego Królewskiej Mości, by zbadała, czy ci ludzie są heretykami.

Dlatego właśnie Rowland mnie unikał; nie chciał mieć nic wspólnego z herezją. Obawiałem się, że Isabel usłyszała słowa Coleswyna tamtego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się na kolacji. Źle jednak zapamiętała czy też świadomie zniekształciła naszą rozmowę - to Philip powiedział wówczas, że radzi mi się modlić i studiować Biblię, albowiem to jedyna droga do zbawienia. Nic na to nie odrzekłem. I żaden z nas nie wspomniał o mszy. Uwaga Philipa świadczyła tylko, że należy on do radykalnych reformatorów, a nie heretyków; nic więcej - z tego, co było mi wiadomo — nie mówiła o królowej zawartość *Lamentacji*. Były to ryzykowne poglądy, owszem, lecz nie zakazane. Ściągnąłem brwi. Do biura Pageta musiało wpływać tygodniowo z kilkanaście takich listów, pisanych złośliwie przez skłóconych krewnych, byłych kochanków, wrogów w interesach. Autor podobnych oskarżeń był co najwyżej przesłuchiwany przez przedstawiciela rady. Po co takimi bzdurami miałyby zajmować się sama rada?

Otworzyły się inne drzwi i wkroczyła Isabel, jak zwykle okazale ubrana. Za nią podążał wysoki, na czarno odziany mężczyzna - Vincent Dyrick. Zdawał się zaniepokojony.

Edward rzucił siostrze przeciągłe, nieprzeniknione spojrzenie. Isabel, która jeszcze przed chwilą miała butną minę, jakby struchlała na widok tych wszystkich potężnych ludzi. Szybko zerknęła na brata, który tylko patrzył na nią kamiennym wzrokiem. Potem dygnęła. Dyrick się skłonił, spoglądając małymi jak szparki chytrymi wystraszonymi oczami na siedzących za stołem dostojników.

Niechętnie odezwał się Hertford:

- Nie ma w zwyczaju, by pozywani przed oblicze rady przychodzili ze swym prawnikiem.

Paget odparł stanowczo:

- Dwaj z oskarżonych w tej sprawie są prawnikami. W takich okolicznościach należy pozwolić, by świadek miał przy boku adwokata.

Spojrzałem na sekretarza, królewskiego mistrza ceremonii. Nie można było orzec, po czyjej stoi stronie. Ktoś jednak się przeliczył, jeśli sądził, że Vincent Dyrick przyjdzie Isabel z pomocą. Stawił się tu pod presją, a nie należał do tych, którzy chętnie występują przed tak znamienitym gronem w tak niepoważnej sprawie.

Paget zwrócił się do niego:

- Właśnie omawiamy waszą korespondencję. Czy ty, panie, i twa klientka macie jej kopie?

- Tak. A pani Slanning zna ją na pamięć. - Mogłem to sobie wyobrazić.

Paget potwierdził mruknięciem i przeniósł wzrok na Isabel.

- Twierdzisz, pani, że ci trzej ludzie jako heretycy zmówili się przeciwko tobie?

Isabel odwróciła się w stronę Dyricka.

- Musisz sama odpowiedzieć, pani — odparł cicho.

Przełknęła ślinę, po czym odparła, początkowo niepewnie, a później z coraz większym przekonaniem:

- Pan Coleswyn i mój brat uczęszczają do tego samego kościoła, którego pastor jest znanym radykałem. Coleswyn i pan Shardlake wieczerzają razem i któregoś razu słyszałam, że wypowiadają heretyckie poglądy. Pan Shardlake zaś tendencyjnie wybrał rzeczoznawcę, który miał obejrzyć należące do mnie malowidło i podważyć słuszność mych roszczeń. — Mówiła coraz szybciej. Byłem ciekaw, czy

naprawdę wierzy w oskarżenia, które głosi. Wiedziałem z doświadczenia, jak ludzie potrafią zniekształcać fakty, by pasowały do tego, w co chcą wierzyć, lecz w takim miejscu było to nader niebezpieczne. Ona tymczasem ciągnęła; - Edward uczyniłby wszystko, bym przegrała sprawę, jest nikczemny, nikczemny...

- Nie bardziej niż ty — odparł cicho Edward.

Paget spojrział na niego surowo:

- Co to ma znaczyć?

Odezwał się Philip:

- Jedyne to, że konflikt między moim klientem a jego siostrą sięga czasów ich dzieciństwa. - Na twarzy Isabel pojawił się strach, kiedy zdała sobie sprawę, że Coleswyn w sposób zawołany nawiązuje do tego, co przed półwieczem uczyniła razem z bratem, i może to teraz ujawnić. Zbladła raptownie i jakby zapadły się jej pomarszczone policzki. Wyglądała jak duch.

- I ten rzeczoznawca...? - Paget spojrział na Dyricka.

- To pan Simon Adam, który zna się na budownictwie. Moja klientka twierdzi, że według... pogłosek... może on sympatyzować z radykałami.

- To nie tylko pogłoski - śmiało włączyła się Isabel. - Przyjaciółka mi mówiła, że jej służąca zna rodzinę tego człowieka...

- To opinia z trzeciej ręki - zauważyłem spokojnie.

Isabel zwróciła się do Dyricka, szukając u niego wsparcia. On jednak milczał. Odezwał się natomiast Edward Seymour:

- Czy to pan Shardlake radził ci, pani, byś wybrała pana Adama?

Isabel się zawahała, po czym odparła z wyraźną niechęcią:

- Nie. Lecz poprosiłam go o listę specjalistów. Nazwisko tego człowieka widniało na niej jako pierwsze. Umieścił je tam celowo, by mój wybór padł właśnie na nie, jestem tego pewna.

- Pani Slanning nalegała — wyjaśniłem — bym dostarczył jej taką listę, jednakże sama wybrała pana Adama. Wbrew moim radom. —

Czyżby naprawdę nie pamiętała, jak to było? Patrząc na nią, uświadomiłem sobie, że to całkiem możliwe.

Wówczas William Parr, hrabia Essex, uczynił coś, co zmieniło cały bieg przesłuchania. Zaśmiał się gromko.

- To doskonały wybór - zauważył. - Adam jest pierwszy od początku świata. Nie ma nikogo przed nim.

Hertford i Rich także się rozśmiali, Paget zaś uniósł w zimnym uśmiešku kącik ust. Twarz Isabel stała się biała jak kreda. Gardiner jednak uderzył pięścią w stół.

- To nie jest temat do żartów. A co z heretyckimi poglądami, które głosili ci ludzie?

Philip odparł spokojnie i wyraźnie:

- Wasze Lordowskie Moście, nikt tu nie jest heretykiem. I to nie pan Shardlake wypowiedział słowa, na które powołuje się w swym liście pani Slanning. Zrobiłem to ja, żegnając się z nim w progu. - Spojrzałem na niego z wdzięcznością. - Nie wspominałem jednak o obecności ciała i krwi Chrystusa podczas mszy, a już na pewno jej nie podważałem.

- I cóż, pani? Czy to prawda? — zapytał surowo Edward Seymour.

Isabel sprawiała wrażenie naprawdę skonfundowanej.

- Wydawało mi się... wydawało mi się, że to pan Shardlake wspomniał o Biblii, lecz może był to pan Coleswyn. Tak, rzeczywiście. -Przez chwilę wyglądała na zakłopotaną, lecz zaraz potem odzyskała pewność siebie. — Tak czy owak, rozmawiali o tym.

- O mszy także? - zapytał Paget.

- Tak sędzę. Jestem prawie pewna... — Zbita z tropu, odwróciła się ku Dyrickowi, lecz ten odrzekł

bezbarwnie:

- To ty tam byłaś, pani, nie ja. — Isabel popatrzyła na niego, pierwszy raz w życiu bezsilna. Zaczęła się trząść. Wiadomo było, że Dyrick nie wzgardzi żadnym klientem, nawet najbardziej kłopotliwym. Lecz Isabel Slanning okazała się za dużym wyzwaniem nawet dla niego.

Wówczas głos zabrał Rich.

- Ta niewiasta tylko marnotrawi nasz czas — powiedział pogardliwie.

Gardiner znowu spojrzął na niego gniewnie, po czym zapytał Philipa:

- Powiedziałeś jednak, panie, że droga do wiary prowadzi przez studiowanie Biblii i modlitwę?

- Owszem. Lecz to nie herezja.

Gardiner, już rozeźlony, ciągnął:

- Powszechnie wiadomo, że król ma dość tego ciągłego rozprawiania o religii. Jak w zeszłe Boże Narodzenie powiedział przed parlamentem, chociaż wolno czytać w przekładzie Słowo Boże, należy to robić tylko w kwestiach sumienia.

- I to właśnie czyniliśmy z panem Shardlakiem. - Philip spojrzął na Isabel. — W przeciwieństwie do pani Slanning, która nadużywa Słowa Bożego w sprawach osobistych, by rozstrzygać prywatne spory.

Była to zręczna riposta i po niej zapadło milczenie. Po chwili zapytał nas Wriothlesley:

- Czy przysięgacie, że żaden z was nie podważył rzeczywistej obecności Jezusa w eucharystii, kiedy się spotkaliście?

- Ja tego nie uczyniłem — odparłem.

- Ani ja — odrzekł Philip.

Paget spojrzął na bezradną Isabel.

- Co tamtego wieczoru robiłaś, pani, w domu pana Coleswyna? Nie byłaś na kolacji?

Isabel chrząknęła.

- Kiedy podejrzewam kogoś o herezję, uważam za swój obowiązek obserwować go i czekać, by się z tym ujawnił. Bym potem mogła powiadomić władze.

- Więc ich szpiegowałaś, pani - zauważył rzeczowo lord Hertford. Paget pochylił się i powiedział groźnie:

- Lecz nie uznałaś za stosowne powiadomić nikogo o tym rzekomym spisku heretyków, dopóki skarbnik Lincoln's Inn nie odrzucił twej skargi.

- Ja... początkowo się nie zastanowiłam. Byłam tak rozgniewana tym, że prawnik mego brata zmówił się z... — Popatrzyła na Edwarda, który spoglądał na nią dziwnie, wzrokiem pozbawionym wyrazu, lecz przenikliwym.

Odezwał się William Parr:

- Czy nie jest dla wszystkich jasne, że oskarżenia tej niewiasty to zarzuty rozeźlonej strony procesowej, całkowicie pozbawione podstaw i wynikające jedynie ze złości, a ci ludzie niczym nie zawinili?

Lord Paget spojrzął na nas, a potem skłonił głowę.

- Tak. W rzeczy samej. Pani Slanning, jesteś pani niegodziwą i mściwą osobą. Naraziłaś nas tylko na stratę czasu.

Isabel wciągnęła powietrze, usiłując zapanować nad emocjami. Paget zwrócił się do nas:

- Panowie, omówimy tę sprawę w swoim gronie. Wy poczekacie za drzwiami, póki nie skończymy obrad. - Dał znak strażnikom, by nas wyprowadzili.

*

Wróciliśmy do przedsionka, w którym czekaliśmy poprzednio, Kiedy tylko drzwi się zamknęły, powiedziałem do Philipa serdecznie:

- Dobra robota, jestem ci bardzo wdzięczny. Odpowiadałeś doskonale.

Odparł ze smutkiem:

- W kwestiach wiary człowiek musi wypowiadać się raczej z podstępnością węża niż niewinnością gołębia. Sam Jezus Chrystus mówił, że tak trzeba, jeśli zachodzi konieczność. - Spojrzał na mnie. - Czy sądzisz, że teraz nas wypuszczą?

- Mam taką nadzieję. Isabel się skompromitowała. Na szczęście, mam przyjaciół w radzie, a Rich z pewnych powodów nie chciał mnie pogrzyść. Wygląda na to, że Paget także stał po naszej stronie.

- Rzeczywiście. - Zafrasował się. — Gardiner i Wriothesley chętnie skorzystaliby z okazji, by wypytać nas o przekonania, co przynajmniej dla mnie byłoby... kłopotliwe.

Edward przysiadł na ławie we wnęce okiennej, z pięknym widokiem na rzekę za plecami, i ukrył twarz w dłoniach.

Powiedziałem do niego:

- Ty także dobrze sobie poradziłeś, panie.

Uniósł wzrok. Można było odnieść wrażenie, że znowu uszło z niego życie, przypominał bowiem tamtego wyczerpanego, udreżonego człowieka, jakim był poprzedniego dnia. Odezwał się cicho:

- Powiedzieliś, panie, że muszę wykazać hart ducha, bo inaczej wykorzystają te oskarżenia przeciwko królowej i jej przyjaciółom. Ale już po wszystkim... pozostaje tylko ta druga sprawa, to, co uczyniliśmy z Isabel. - Popatrzył na Philipa. - Wiem, że muszę za to zapłacić.

Nim ten zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i wyszedł zza nich Richard Rich. Spojrzał na Philipa i Edwarda, który czym prędzej wstał.

- Wy dwaj, zostawcie nas samych — warknął. — Poczekajcie na zewnątrz, ze strażnikami. Chcę pomówić z Shardlakiem.

Philip i Edward wyszli na korytarz, tam gdzie czekali strażnicy z Tower. Rich zamknął za nimi drzwi i odwrócił się do mnie. Miał dziwną minę, jednocześnie wyrażającą uznanie i złość.

- Cóż, panie Shardlake, tym razem się wywinałeś. Z moją pomocą. To było zabawne, siedzieć między Wriothesleyem i Gardinerem, którzy, znając nasze stosunki, byli przekonani, że chętnie pošlę cię na stos. - Zaśmiał się z przymusem. - Doprawdy dziwne uczucie.

Spojrzałem mu w oczy. Nie zasługiwał na podziękowania, gdyż tak samo jak Dyrick chciał tylko uratować własną skórę. Odezwałem się więc spokojnie:

- Komu zależało, by postawić tę sprawę przed radą, sir Richardzie? Gdyż takie nedorzeczne oskarżenie z całą pewnością by przed nią nie trafiło. I z jakiego powodu? Czy to ma coś wspólnego z Jej Królewską Mością? Gardiner powiedział...

Rich lekceważąco machnął ręką.

- Gardiner korzysta z każdej okazji, jaka tylko się nadarza, by zaatakować królową. Traci czas, powinien już zrozumieć, że przegapił swą szansę. — Zdjął beret, odsłaniając mocne siwe włosy. — Masz jednak rację, to była nedorzeczna sprawa, i sam chciałbym wiedzieć, kto przedstawił ją radzie. Mnie nikt o zdanie nie pytał. Decyzję podejmuje Paget na podstawie opinii różnych stron. Nie wiem, kto go namówił, by zajął się akurat tym oskarżeniem. Nikt się nie przyzna, a ja wolę tego nie dociekać. - Na jego twarzy od razu pojawiła się troska, tak jak podczas egzekucji Anny Askew. Ależ musiał się bać, by jej zapiski nie pojawiły się na ulicach.

- Więc to mógł być każdy?

- Gardiner, Wriothesley, książę Norfolk, chociaż dziś go nie było... każdy. - Gniewnie podniósł głos. - Nawet lord Hertford. Obaj z bratem rozmawiali wczoraj z Pagetem i podczas tego spotkania było słyhać krzyki.

- Ale przecież Hertford trzyma z reformatorami. Pomógł mi.

Rich uśmiechnął się krzywo.

— Takie sprawiał wrażenie, to pewne. Lecz członkowie rady mogą inaczej wypowiadać się publicznie, inaczej zaś prywatnie. — Zniżył głos do wściekłego szeptu. — Parrowie i Seymourowie chcieliby po śmierci króla *objąć* regencję w imieniu młodego Edwarda i Seymour nieustannie kłóci się z

bratem. Sir Thomas uważa, że należy mu się miejsce w Tajnej Radzie, lecz nie ma ku temu kwalifikacji i król dobrze o tym wie. Co tydzień kolejni ludzie ostrzy noże. — Spojrzał na mnie z nienawiścią.. - Jeśli chodzi o mnie, nie licz, garbusie, że jeszcze kiedykolwiek ci pomogę. Chyba że będzie to służyło moim interesom. Rzeczywiście, chętnie wysłałbym cię na stos. I z przyjemnością patrzyłbym, jak płoniesz.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości, sir Richardzie.

— Rozumiemy się zatem - wycedził przez zęby. - A teraz, zgodnie z decyzją rady, jesteście wolni, strażnicy wyprowadzą was z pałacu. -Po czym dodał z ogniem w szarych oczach: — Miałeś szczęście. Jeśli zachowałeś jeszcze choć trochę zdrowego rozsądku, lepiej trzymaj się daleko stąd. Niech ci się nie wydaje, że najgorsze się skończyło. -Wreszcie rzucił półgłosem, bardziej do siebie niż do mnie: - Ostatnimi czasy sam chciałbym uciec gdzie pieprz rośnie.

Rozdział czterdziesty czwarty

Zaprowadzono nas do Common Stairs. Strażnicy wsiedli do łodzi, zostawiając nas w samym środku przeprowadzki dworu królewskiego. Kiedy czterej ludzie wynieśli przez drzwi wielką ozdobną komodę, wypadła jedna z szuflad i na podest wyskoczyła myszka. Przez chwilę stała w gęstwinie nóg, nie wiedząc, gdzie uciec, póki ktoś jej nie zauważył i kopniakiem nie wrzucił do wody.

Zdołałem zatrzymać przepływającą łódź przewozową. Nurt uniósł nas w dół rzeki, z dala od Whitehall; a ja miałem nadzieję, że już na zawsze. Wszyscy trzej siedzieliśmy w milczeniu, wciąż dochodząc do siebie po ciężkim przeżyciu. Na policzku Edwarda zauważyłem łzę; płakał po cichu. Przewoźnik popatrzył na nas z zaciekawieniem.

Dyskretnie spytałem Philipa:

- Zajmiesz się nimi

- Wezmę go do swego domu, zrobię, co tylko mogę. — Ze smutkiem spojrział na klienta. - Pójdiesz ze mną, Edwardzie?

Ten zerknął na niego.

- Tak - szepnął. — Wiem, co trzeba uczynić. — Z udręką pokręcił głową. - Hańba, taka hańba dla mojej żony i dzieci.

- Porozmawiamy później. Kiedy odpoczniesz. O tym, czego oczekuje od ciebie Bóg.

Edward gwałtownie się sprzeciwił.

- Nigdy już nie zaznam odpoczynku. Nie zasługuję na to. Powiedziałem do Philipa:

Muszę wracać do domu. — Chciałem pilnie porozmawiać z Timo-thym. I choć nie wyobrażałem sobie, że mógł mnie wydać, pragnąłem wiedzieć.

Pokonaliśmy zakręt na rzece. W oddali, za budynkami na nabrzeżu i portem, wznosiła się potężna kanciasta sylwetka Tower. Odwróciłem wzrok.

*

Znalazłem Timothy'ego w jego zwykłym miejscu, w stajni — siedział na odwróconym wiadrze, jedząc chleb i ser. Kiedy wszedłem, zerwał się na równe nogi, a na jego twarzy pojawiły się zaskoczenie i ulga.

— Jaśnie panie! Dzięki Bogu, że wróciłeś! Już myśleliśmy, że... -Nie dokończył.

Stałem zmęczony i brudny, patrząc na niego.

— Zwolnili mnie — wyjaśniłem spokojnie.

— Nikt z nas nie wiedział, dlaczego...

— Byłem przesłuchiwany przez królewską Tajną Radę. Czy zdajesz sobie sprawę, jaka to poważna sprawa?

— Wszyscy to wiedzą — odparł cicho.

— Zarzucano mi między innymi, że posiadałem zakazane księgi.

Timothy cofnął się, otwierając szeroko oczy, i serce zamarło mi na myśl, że po tym wszystkim jednak mnie zdradził. Ale spokojnie mówiłem dalej:

— Czy pamiętasz pewne popołudnie, kilka tygodni temu, kiedy Martina, Agnes i Josephine nie było w domu? Powiedziałem ci, byś odprawiał gości, gdyż mam coś do zrobienia.

Zrobił kolejny krok w tył, podchodząc pod ścianę. Wydawał się taki szczupły i kruchy, ręce i nogi miał jak gałązki. Genesis obejrzała się, wyczuwając między nami coś dziwnego.

— Czy podglądałeś mnie tamtego popołudnia, Timothy? Widziałeś, czym zajmowałem się w ogrodzie?

Chłopak pokiwał głową z udręczoną miną.

— Paliłeś, jaśnie panie, jakieś księgi. Zaszedłem do domu i przyglądałem ci się z okna. Wiem, że nie powinienem, ale... byłem ciekaw, co to za tajemnica.

— Na tym świecie jest mnóstwo tajemnic — odparłem już ze złością. — A stajenni szpiegujący swych panów mogą spowodować poważne kłopoty. Czy słyszałeś o królewskim nakazie?

Wydawał się naprawdę przestraszony.

- O jakim nakazie, jaśnie panie? Wiem tylko, że wszyscy jesteśmy winni królowi posłuszeństwo.

- Ostatnio wydał on zakaz posiadania pewnych dzieł. Miałem niektóre z nich i je spaliłem. Tamtego dnia w ogrodzie.

- Ja... nie wiedziałem, że były zakazane, jaśnie panie.

Stojąc tak, wyglądał żałośnie. Przyszło mi do głowy, że ma zaledwie trzynaście lat - lecz trzynastoletni chłopcy potrafią być wścibscy. Zapytałem cierpliwie:

- Komu o tym powiedziałaś, Timothy?

Zwiesił głowę.

- Nikomu, jaśnie panie, nikomu. Tylko kiedy państwo Brocket wrócili, pani Brocket zauważyła, że w ogrodzie warzywnym coś zostało spalone, jakby papiery. Pan Brocket poszedł tam i zaczął w nich grzebać, przyniósł kilka ocalałych fragmentów. Byłem akurat w kuchni i wszystko słyszałem. Wiedział, że zostałem sam w domu, i spytał, kto spalił te papiery. Zagroził, że mnie zbije, jeśli go okłamię, więc powiedziałem mu, że to byłś ty, jaśnie panie.

- Martin - odparłem ciężkim głosem. Więc Josephine od początku miała co do niego rację. Był nie tylko złodziejem, ale jeszcze źle mi życzył. - Zawiodłem się na tobie, Timothy — powiedziałem surowo. — Porozmawiamy później. Najpierw muszę pomówić z Martinem — dodałem ponuro.

Zawołał za mną:

- Nie chciałem, by stała ci się krzywda, jaśnie panie, przysięgam! Gdybym wiedział, że mogą cię aresztować... — Jego głos przeszedł w szloch, kiedy oddalałem się w stronę domu.

*

Martina Brocketa zastałem w jadalni, gdzie polerował srebra, pucując duży półmisek, który należał do mego ojca. Jak zwykle spojrzął na mnie chłodnym wzrokiem i uśmiechnął się pokornie.

- Dobrego popołudnia, jaśnie panie. — Widocznie uznał, z pełnym szacunku taktem, że lepiej nie wspominać o moim aresztowaniu.

- Odłóż to, Martinie — odpowiedziałem zimno. Kiedy odkładał półmisek na stół, przez jego twarz przebiegł cień emocji, może strachu. — Rozmawiałem z Timothy'ym. Powiedział ci, że paliłem w ogrodzie księgi, nieprawdaż?

Dostrzegłem, że zawahał się lekko, potem jednak odparł gładko:

— Tak, jaśnie panie. Agnes zauważyła spalone papiery i spytała o nie Timothy'ego. Podejrzewałem, że hultaj coś zbroił.

— Ktoś najwyraźniej to zrobił — odpowiedziałem tonem bez wyrazu. - Dziś rano wypytywano mnie o te spalone księgi przed Tajną Radą.

Stał nieruchomo ze ścierką w dłoni.

— Nikt nie wiedział, że je paliłem, z wyjątkiem przyjaciela, którego przesłuchiowano razem ze mną. Martin wciąż stał jak słup soli. Nic nie mówił, nie miał co powiedzieć.

— Komu o tym doniosłeś? — zapytałem ostro. — Zdradziłeś mnie? Dlaczego?

Odłożył ścierkę na kredens. Wyraźnie drżała mu ręka. Zbladł.

— Czy mógłbym usiąść, jaśnie panie? - zapytał.

— Tak - odrzekłem krótko.

— Zawsze wiernie służyłem swym poprzednim panom - powiedział cicho. — Praca kamerdynera to zaszczytne zajęcie. Lecz mój syn... - Rysy jego twarzy się ściągnęły. — Siedzi w więzieniu.

— Słyszałem o tym. Któregoś dnia zastałem Agnes we łzach.

Ściągnął brwi z niezadowoleniem, lecz ja pytałem dalej:

— Co to ma wspólnego z twym uczynkiem?

Wziął głęboki oddech.

— Choć wiem, że mój syn John to nicpoń, lękałem się, że jeśli nie przyślę mu pieniędzy, umrze w więzieniu z głodu i zimna. A mógłby wyjść na wolność dopiero po spłacie wierzycieli. — W jego oczach nagle zapłonęły gniew i strach.

— Mów dalej.

— Był początek kwietnia, niedługo po tym, jak oboje z Agnes podjęliśmy u ciebie pracę. Zeszłej zimy w tym strasznym miejscu John «dostał gorączki płucnej i o mało nie umarł. Odchodziliśmy od zmysłów.

— Mogliście zwrócić się do mnie.

— To ja muszę zadbać o Agnes i Johna, ja! — Niespodziewanie podniósł głos, w którym zabrzmiała przepełniona złością duma. — Nie przyszedłbym z tym do ciebie, jaśnie panie, choć widziałem twą słabość wobec Josephine i tego chłopaka. - Teraz mówił z pogardą.

Oto dlaczego mnie nie lubił, pomyślałem. Miał nieugięte zasady w kwestii podziału ról i obowiązków między panami a służącymi. Dlatego wołał mnie zdradzić niż poprosić o pomoc.

Zapanował nad sobą i ściszył głos:

- Poprzez kupca, który często podróżuje do Londynu i zna całą sprawę, wysłałem Johnowi uciulane pieniądze. - Odetchnął głęboko. — Pewnego dnia, kiedy od niego wychodziłem, nagabnął mnie jakiś człowiek. Szlachetnie urodzony, jasnowłosy, w kosztownym stroju.

Popatrzyłem na niego uważnie.

- Nie brakowało mu przypadkiem ucha?

Martin wyraźnie się przestraszył.

- Czyżbyś go znał, jaśnie panie?

- Na swe nieszczęście, tak. Jakim nazwiskiem się przedstawił?

- Crabtree.

- Tak naprawdę nazywa się inaczej. I co powiedział?

- Że jest znajomym kupca, słyszał o kłopotach mego syna i mógłby mi pomóc. Byłem zdziwiony, wiedziałem, że w mieście jest wielu oszustów, lecz był dobrze odziany i mówił jak dżentelmen. Zabrał mnie do gospody. Potem wyznał, że reprezentuje kogoś, kto dobrze zapłaci za informacje o tobie, jaśnie panie.

- Mów dalej. — Martin przymknął oczy, więc krzyknąłem: — No, mów!

- Chciał, bym donosił mu o twych czynaniach, szczególnie gdybyś pracował dla dworu Jej Królewskiej Mości czy też się z nim porozumiewał. Albo miał kontakty z radykalnymi reformatorami. — Spuścił głowę.

Pytałem dalej:

- I to zdarzyło się w kwietniu?

- Tak. Dobrze pamiętam tamten dzień - dodał z goryczą. Po raz pierwszy sprawiał wrażenie zawstydzonego.

Przesunąłem palcami we włosach. A więc Stice, sługus Richarda Richa, z którym niechętnie współpracowałem, szpiegował mnie już od wiosny. Kiedy tak się nad tym zastanowiłem, cała historia nabrała sensu. W kwietniu zaczęło się polowanie na heretyków, zwłaszcza powiązanych z królową. Rich wiedział, że dla niej kiedyś pracowałem, a gdyby zdołał znaleźć dowody, że mam kontakty z religijnymi radykałami, mogłoby to rzucić cień na królową. Niewykluczone, że była to część prowadzonej przez niego i Gardinera kampanii, by ją zniszczyć. Lecz, oczywiście, niczego takiego by nie znalazł. Później, w czerwcu, kiedy ta kampania zakończyła się porażką, a ja szukałem zabójców Greeninga i, jak sądził, zapisków Anny Askew, postanowił się mną posłużyć.

To jednak nie wyjaśniało wszystkiego - spaliłem zakazane księgi dopiero pod koniec lipca, kiedy już współdziałałem ze Stice'em, i jeśli to Rich postawił sprawę przed Tajną Radą, dlaczego wczoraj

przyszedł mi z pomocą, skoro mógł sobie tylko popsuć stosunki z Gardinerem. Jednakże ścieżki, jakimi podążał, były tak kręte, że nie dało się wykluczyć, iż te wszystkie poczynania stanowiły element jakiejś większej intrygi. Tego ranka wydał mi się szczerzy, lecz takiemu człowiekowi jak on nie można było ufać. Musiałem pomówić z Barakiem.

Martinowi, gdy tak na mnie patrzył, drgał kącik ust.

— Crabtree dawał mi pieniądze na spłatę długów. Ale czynił to po trochu, zwiększając sumy. Agnes bardzo się denerwowała.

— Wiem.

— I wciąż żądał informacji. — Spojrzał na mnie błagalnie, z rozpaczą. — Stałem się od niego zależny. Gdyby tylko chciał, mógłby ujawnić, co takiego zrobiłem.

— Takie są konsekwencje donoszenia na kogoś. Gdzie się spotykaliście?

— W pewnym domu, nędznym, ledwie urządzonym. Był chyba wykorzystywany do takich celów.

— Przy Needlepin Lane?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, jaśnie panie, to było na Smithfield, niedaleko szpitala Świętego Bartłomieja.

— Gdzie dokładnie?

— W uliczce odchodzącej od Griffin Street. Trzeci dom z niebieskimi drzwiami i różą Tudorów nad gankiem.

Nie zdziwiło mnie, że Rich miał więcej niż jedno miejsce na potajemne spotkania. Był właścicielem połowy nieruchomości wokół szpitala.

— Pewnie Agnes i ja będziemy musieli teraz ode jść, jaśnie panie — odezwał się cicho Martin.

— Rozumiem, że twoja żona nic o tym nie wie.

- Nie, jaśnie panie. Nie pozwoliłaby mi na coś takiego. Sprzeciwiałaby się, bardzo by się martwiła... niewiasty nie rozumieją, do czego bywają zmuszeni mężczyźni. — Próbował uśmiechnąć się półgębkiem, jakbyśmy mogli przynajmniej dojść do porozumienia w kwestii dziwactw słabszej płci. Chociaż rozumiał, jak haniebnie się zachował, wciąż za to nie przeprosił. Od początku mnie nie lubił, tak jak ja jego. To ułatwiło mi sprawę.

- Jeszcze nie odejdziecie, Martinie. Gra się nie skończyła. Gra, w której biorą udział najwyżej postawione osobistości w królestwie i w którą przez swoją zdradę zostałeś wplątany. Kiedy po raz ostatni spotkałeś się z tym człowiekiem?

Znowu się zaniepokoił.

- W zeszłą środę. Spotykam się z nim raz w tygodniu w domu przy szpitalu, by przekazać mu zdobyte informacje. Jeśli mam coś pilnego, zostawiam w pobliskiej karczmie wiadomość, że chcę się z nim zobaczyć. Tak uczyniłem, kiedy się dowiedziałem, że paliłeś księgi, jaśnie panie. — Miał na tyle przyzwoitości, by przy tych słowach opuścić głowę.

- Na razie nic się w twym zachowaniu nie zmieni. Na pozór będziesz postępował jak zwykle. Być może wyślę cię do karczmy z jakąś wiadomością.

To go zupełnie wytrąciło z równowagi.

- Nie moglibyśmy z Agnes po prostu odejść?

- Nie. A jeśli uczynicie to bez mego pozwolenia, postaram się, byś już nigdzie nie znalazł posady.

Teraz zaś muszę wysłać list do Hampton Court.

Martin był naprawdę przestraszony. Musiał zdawać sobie sprawę, że Crabtree, czyli Stice, brał udział w polowaniu na heretyków, że chodziło o politykę, lecz pewnie wołał się nad tym nie zastanawiać

- Czy zrozumiałeś? — spytałem surowo.

- Tak, jaśnie panie. Zrobię, co każesz. — Odetchnął głęboko i na moich oczach przybrał swą zwykłą opanowaną minę. Trochę niepewnie wstał z krzesła i wziął srebrny półmisek.

Byłem umówiony z Rowlandem na drugą i do spotkania pozostało już niewiele czasu. W brzuchu burczało mi z głodu, ale wyszedłem z domu i ruszyłem do Lincoln's Inn. Kiedy wprowadzono mnie do jego gabinetu, skarbnik jak zazwyczaj siedział za biurkiem. Uśmiechnął się do mnie, zupełnie niezawstydzony.

— Zatem Tajna Rada puściła cię wolno, kolego?

— Owszem. Uznali oskarżenia pani Slanning za stek bzdur.

Pochylił głowę, gładząc końce swej długiej brody.

— To dobrze. Więc sprawa zamknięta bez uszczerbku dla Lincoln's Inn. Sekretarz Paget prosił mnie listownie, bym nie spotykał się z tobą aż do dziś. — Znowu przywołał uśmiech na twarz. — Tak mają w zwyczaju, by oskarżeni stawali przed nimi bez wcześniejszego ostrzeżenia. — Musiało być widać po mnie gniew, gdyż dodał: -Uważaj na to, co powiesz, kolego. Żebyś mi nie ubliżył jak kiedyś. Pamiętaj, z kim masz do czynienia.

Odparłem spokojnie:

— Doskonale wiem, z kim mam do czynienia, skarbniku.

Popatrzył na mnie twardym wzrokiem.

— Rozumiem, że skoro sprawa pani Slanning jest skończona -podjąłem — nie mamy o czym rozmawiać. Przypuszczam bowiem, że po mym aresztowaniu ktoś inny weźmie udział w uroczystościach związanych z wizytą admirała w przyszłym tygodniu.

Rowland zaprzeczył.

— Pochopny wniosek, kolego. Sekretarz Paget napisał, że jeśli po rozpatrzeniu przez radę zarzutów przeciwko tobie zostaniesz uznany za heretyka, będę musiał znaleźć dla ciebie zastępstwo, lecz jeśli wyjdiesz na wolność, będziesz mógł wziąć udział w ceremoniach. Chcą mieć kogoś w randze komisarza, a ty jesteś jedynym w mieście, z wyjątkiem starego Wellsa, który popada w zdziecinnienie i pewnie stawiliby się nie tego dnia co trzeba. A zatem będziesz uczestniczył w obchodach, poczynając od piątkowego przejazdu gościa przez miasto. Rozumiem, że masz odpowiedni strój i łańcuch.

— Strój owszem, łańcucha nie. Kogo stać w tych czasach na złoty łańcuch?

Zmarszczył czoło.

— Mimo to spraw go sobie, komisarzu, w imieniu Lincoln's Inn, który będziesz reprezentował.

Pozwoliłem sobie na pewną bezczelność.

— Stowarzyszenie mogłoby mi go sprezentować. W końcu wzbogaciło się ostatnio, przejmując majątek kolegi Bealknapa. Z całą pewnością dostaliście także jego łańcuch.

- Trafił do mennicy w Tower, gdzie zostanie stopiony z resztą złota, które pozostawił Bealknap - warknął Rowland. Machnął ręką. -Wystarczy tego, kolego. — Wymierzył we mnie chudy poplamiony inkaustem palec. — Spraw sobie łańcuch, I ogol się porządnie. Wyglądasz jak włóczęga.

*

Musiałem jak najszybciej powiadomić lorda Parra o działalności Brocketa, lecz byłem głodny i wyczerpany, mimo że upłynęła dopiero połowa dnia, Kiedy przecinałem dziedziniec, idąc w stronę jadalni, zdałem sobie sprawę, że mimowolnie zaciskam dłonie w pięści. Głupota Timothy'ego, zdrada Brocketa i beztroska gburowatość Rowlanda doprowadziły mnie do furii.

Czując się nieco lepiej po posiłku, zaszedłem do kancelarii i poprosiłem Baraka oraz Nicholasa do swego gabinetu. Sądząc z miny chłopaka, Barak powiedział mu o mym zatrzymaniu. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, Jack zaczął:

- Dzięki Bogu, że cię wypuścili.

- Nie przyszła odpowiedź na wiadomość, którą zaniósłeś?

- Nie.

Usiadłem, patrząc na niego. Przykro było pomyśleć, że ci, którym służyłem, opuścili mnie w tarapatkach. Wszyscy, a przede wszystkim królowa.

- Cóż — odparłem. — Muszę wysłać do Hampton Court kolejną wiadomość. Stało się coś jeszcze.

Muszę zaadresować ją bezpośrednio do lorda Parra.

- Może lepiej będzie, jeśli ja ją zaniosę - odezwał się Nicholas, - Niewykluczone, że strażnicy dostali rozkaz, by nie wpuszczać Jacka, ale inny posłaniec bez trudu przedostanie się dalej.

Popatrzyłem na niego — chłopak najwyraźniej doszedł do siebie po bolesnym przeżyciu, jakim był dla niego list od ojca. Jednakże wyczuwałem w nim smutek i powagę, których wcześniej w sobie nie miał.

Barak pokiwał głową, przyznając mu rację.

- Na rany Chrystusa, Nick, chłopcze, szybko uczysz się polityki. - Rzucił mu drwiące spojrzenie. - Chyba że chodzi ci tylko o to, by obejrzeć sobie wszystkie damy w Hampton Court.

Nicholas odrzekł poważnie:

— Daję słowo, że po tym, co zdarzyło się dziś naszemu panu, z niechęcią postawię stopę w królewskim pałacu.

— Dziękuję ci, Nicholasie - powiedziałem. W kancelarii miałem jeszcze lojalnych przyjaciół, na których mogłem liczyć, i to trochę podniosło mnie na duchu.

— Co się stało na przesłuchaniu? - zapytał Barak.

Zrelacjonowałem im przebieg wydarzeń, opowiedziałem o niespodziewanej pomocy ze strony Richa oraz nielojalności Martina i na koniec wspomniałem o rozmowie z Rowlandem. Potem zagadnąłem ich obu żałośnie:

— Czy któryś z was nie ma niepotrzebnego złotego łańcucha?

— Rowland to łachudra - zauważył Barak. - Tak Wywiódł w pole Bealknapa, że niemal żał mi starego sknery. - Przeniósł wzrok na Nicholasa. — Skoro zamierzasz jednak robić karierę w dziedzinie prawa, to przynajmniej się postaraj, byś nie stał się taki jak on.

Chłopak nie odpowiedział. Przyjrzałem mu się. Co uczyni, kiedy za kilka miesięcy zakończy u mnie naukę? Pomyślałem, że jeśli jest mądry, ucieknie na prowincję, choć miałem nadzieję, że mimo wszystko tego nie zrobi.

— Zatem nie zwolniono cię z uczestnictwa w uroczystościach na cześć admirała? — podjął Barak. — Wybieram się jutro z Tamasin, by obejrzeć jego przybycie do Greenwich. Prosiła mnie o to.

— Ja także chciałbym to zobaczyć - włączył się Nicholas.

— Wolałbym, aby już było po wszystkim. Muszę wziąć udział w trzech ceremoniach. — Spojrzałem na chłopaka. — Postaraj się doręczyć wiadomość, którą napiszę. Można by zorganizować spotkanie Brocketa ze Stice'em w tamtym domu, a później pojmać Stice'a. I dowiedzieć się od niego, co takiego zamierza Rich.

Barak uniósł brwi.

— Lecz jak? Stice po dobroci nie zdradzi swego pana. To nie jakiś młodziak, który związał się z szalonymi anabaptystami, jak Myldmore czy Leeman.

— To już sprawa lorda Parra — odrzekłem ponuro.

Łypnął na mnie z ukosa.

- Zgadzam się z tobą.. Lecz to dziwnie bezwzględne jak na ciebie, czyż nie?

- Mam już dość.

- Co takiego knuje Rich? Wszyscy sądziliśmy że teraz, gdy skończyło się polowanie na heretyków i zapiski Anny Askew nieodwołalnie przepadły, zmienił taktykę. Że ci pomaga. Lecz to on, dzięki pomocy Stice'a i Brocketa, doniósł« że paliłeś zakazane księgi.

- Richowi nie można ufać w żadnych okolicznościach. Masz jednak słuszość, trudno zrozumieć, po co doniósł o tym Tajnej Radzie. To było ryzykowne, mogłem przy okazji powiedzieć prawdę o Annie Askew.

- Rich jest jak kurek na dachu, jeśli chodzi o politykę, nieprawdaż?

- O, tak. Zaczynał jako człowiek Cromwella.
- A jeśli działa na dwie strony? Przedstawia radzie sprawę wraz ze skargą pani Slanning, gdyż wie, że palenie ksiąg to żadne przestępstwo i że zarzuty Isabel są niedorzeczne...
- Po co miałyby to robić? — spytał Nicholas.
- Ponieważ zwraca się w stronę reformatorów — wyjaśnił z podnieceniem Barak. — Całe to przedstawienie być może miało dowieść, że chce sprzymierzyć się z lordem Hertfordem i bratem królowej.
- To zbyt pokrętnie, by było prawdziwe — zauważył z powątpiewaniem Nicholas.
- Nic nie jest zbyt pokrętnie dla tych dworzan — odparłem żywo. — Sęk jednak w tym, że Rich nic nie wiedział o sprawie pani Slanning. Nie miał pojęcia, że Isabel nic będzie miała żadnych dowodów i tylko się ośmieszy. I później zdawał się naprawdę przestraszony. — Westchnąłem. — Jedynie lord Parr może rozwikłać tę zagadkę. I powinien dowiedzieć się o wszystkim,
- Brat królowej mu powie — rzekł Barak.
- Nie zna całej historii.
- I jaką rolę odgrywa w tym sekretarz Paget? — podsunął Nicholas. - Powiadają, że to najbliższy doradca króla.
- Nie, jego najwierniejszy sługa. A to różnica. Jest jego oczami i uszami, pełni funkcję suflera, jeśli wolicie. Z tego, co rozumiem, nigdy nie kwestionuje decyzji króla. Zbyt dobrze pamięta, co stało się z Wolseyem i Cromwellem. - Uśmiechnąłem się gorzko. — To mistrz ceremonii, nie polityk.
- Jednakże musi myśleć o przyszłości, o tym, co będzie, gdy król... cóż, pewnego dnia umrze.
- W rzeczy samej - zgodził się Barak. - Jeśli chce przetrwać, bez wątpienia przyłączy się do tej frakcji, która ma największe szanse na wygraną.
- Jest jak oni wszyscy - odrzekłem gniewnie. - Uczyni wszystko dla każdego. A tacy nieszczęśnicy jak ja są tylko pionkami w ich rękach, użytecznymi, lecz nie niezbędnymi. A teraz, Nick, gdy będę pisał list, ogarnij się trochę.

*

Przez resztę popołudnia już nie pracowałem. Wysławszy Nicholasa z wiadomością, poszedłem do ogrodu i usiadłem na ławce pod starym bukiem, od czasu do czasu wymieniając pozdrowienia z kolegami prawnikami, którzy przechodzili obok. Dzięki Bogu, nikt nie wiedział, że drugi raz zostałem wzięty do Tower, choć nie miałem wątpliwości, że ta wieść jak zwykle szybko się rozejdzie. Wyczerpany, zamknąłem oczy i zapadłem w drzemkę. Po jakimś czasie usłyszałem, że coś upadło na ławkę tuż obok, i otworzywszy oczy, zobaczyłem, że to liść, suchy i pożółkły. Zrozumiałem, że niebawem przyjdzie jesień.

Odwróciłem się, słysząc, że ktoś mnie woła. Zobaczyłem biegnącego w moją stronę Johna Skelly'ego. Wstałem. Było zbyt wcześnie na odpowiedź z Hampton Court.

- Przyszedł pan Coleswyn - powiedział, podchodząc. — Wydaje się bardzo poruszony.
- Westchnąłem.
- Już idę.
- Myślałem, panie, że nie reprezentujesz już pani Slanning. I że nie będziesz miał więcej do czynienia z tą sprawą.
- Zastanawiam się, John, czy to kiedykolwiek się skończy - odparłem z goryczą.
- Myliłem się jednak. Miało się skończyć, i to na zawsze.

Rozdział czterdziesty piąty

Philip czekał w mym gabinecie. Był wymizerowany.

- Co się stało? - zapytałem bez tchu.- Chyba nie następne oskarżenia...

Pokręcił słabo głową.

- Nie, to nie to. - Przełknął ślinę. - Edward Cotterstoke nie żyje.

Przed oczami stanął mi obraz załamane go człowieka w łodzi, którego widziałem rankiem. Edward nie był młody, a w ostatnich dniach jego życie zostało wywrócone do góry nogami.

- Jak do tego doszło?

Philip głęboko odetchnął i zaczął szlochać. Przytknął do ust zaciśniętą dłoń, starając się nad sobą zapanować.

- Zginął z własnej ręki. Zabrałem go do domu, nakarmiłem i położyłem do łóżka, bo wydawał się na ostatnich nogach. Musiał zabrać z kuchni nóż. I to ostry. - Wzdrygnął się tak, że zadrżało całe jego ciało. - Dwie godziny temu poszedłem sprawdzić, jak się ma, a on leżał z podciętym gardłem. To wymagało dużo siły. - Pokręcił głową. - Wszystko jest we krwi, lecz mniejsza o to. Chodzi o jego duszę, duszę. Cierpiał męki, lecz taki grzech... - Wyraźnie był w rozpacz.

Przypomniałem sobie, co Cotterstoke mówił na łodzi, o hańbie, jaka spadłaby na jego rodzinę, gdyby przyznał się do zamordowania ojczyzna. Powiedział, że wie, jak powinien postąpić.

- Uważał, że po tym, co zrobił, zasłużył na śmierć, i wierzył, że jest potępiony. Nie chciał narażać swej rodziny na cierpienie.

Philip zaśmiał się dziko.

— Teraz dopiero będą. cierpieć.

- Samobójstwo to też wielka hańba, lecz mniejsza niż zabójstwo. Przynajmniej bliscy nie zobaczą go na stryczku, a jego majątek nie zostanie skonfiskowany na rzecz króla.

— Mogliśmy znaleźć jakiś sposób, porozmawiać o tym, spotkać się z naszym pastorem. To... nie jest... normalne.

- Nic dziwnego, że po tym, co przeżył, stracił rozum. Może Bóg o tym wie.

*

Odpowiedź z Hampton Court przyszła wieczorem, kiedy kładłem się do łóżka. Przyniósł ją Martin, jak zwykle z maską obojętności na twarzy. W zaciszu swej sypialni uważnie obejrzałem pieczęć królowej, by się upewnić, czy nie jest złamana. Dopiero później otworzyłem list. Był od lorda Parra.

Matthew!

Wybacz, że nie odpowiadałem na Twe poprzednie wiadomości. Miałem dużo zajęć w związku z przynosinami do Hampton Court i przygotowaniem do wizyty admirała, a do tego zaniemogłem. Co więcej, Jane powiedziała strażnikowi, że Twój pierwszy list nie jest pilny. Sądzę, że zrobiła to ze złości. Postaram się, by spotkała ją za to surowa kara, mimo że królowa i lady Maria mają do niej słabość i wiele jej wybaczą.

Ani ja, ani królowa nie wiedzieliśmy, że masz stanąć przed Tajną Radą. Paget zachował tę informację dla siebie, choć przekazał mi ją później brat królowej. Nie mamy pojęcia, kto do tego doprowadził; dzięki Bogu, że ta Slanning tylko się skompromitowała i że Rich miał powód, by wystąpić w Twej obronie.

Co zaś do Twego niełojalnego kamerdynera, miej go na oku.

Poza tym jednak na razie nic nie rób. Każę obserwować rzeczony dom. Napiszę później i być może spotkam się z Tobą po uroczystościach.

Notabene, ten młodzieniec, Twój posłaniec, dzielnie się spisał. Wykazał się ogładą i obyciem, co nie zawsze zdarza się Twemu drugiemu współpracownikowi.

Odkładając list, poczułem ulgę. Lord Parr pisał w przyjacielskim tonie, a wzmianka o Baraku nawet

mnie rozbawiła. Królowa i jej stryj jednak mnie nie opuścili. Historia o Jane brzmiała prawdopodobnie. Nie po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę jest głupia, czy tylko tak udaje dla korzyści.

*

Następnego dnia wypadał dziewiętnasty sierpnia, to nazajutrz admirał miał przybyć do Greenwich, więc musiałem sprawić sobie złoty łańcuch. Udałem się zatem do warsztatu w dzielnicy złotników, jednego z tych mniejszych, przed którego wejściem ostentacyjnie siedział z pałką postawny mężczyzna. Towarzyszył mi Barak. Rozpytując w moim imieniu, dowiedział się, jakie usługi oferują w tym miejscu.

Za drzwiami stał drugi mężczyzna. Właściciel warsztatu, korpulentny starszy jegomość, podszedł do mnie i skłonił się nisko.

- Dobrego dnia, panie.

- I tobie. Potrzebny mi złoty łańcuch, ponieważ będę obecny na uroczystym powitaniu francuskiego admirała w sobotę,

- A tak, ma przejechać przez miasto. To dla mnie dobry interes. — Obrzucił mnie fachowym spojrzeniem. — Jesteś prawnikiem, panie? Czyżbyś nosił perukę komisarza?

- Trafne spostrzeżenie.

- Na tym polega mój fach, muszę zgadywać, z kim mam do czynienia. Powinieneś, panie, nabyć porządny długi łańcuch o grubych ogniwach.

- Chcę tylko go wypożyczyć, na tydzień.

Złotnik wytrzeszczył oczy.

- Wypożyczyć? — Pokręcił głową. — Na takie okazje należy mieć własny, odpowiednich rozmiarów do pozycji. Gdyby twoi koledzy się dowiedzieli, że nosisz wypożyczony, okryłbyś się wstydem. — Cmoknął ze smutkiem.

- W tym rzecz — zgodziłem się z nim. — Dlatego poleciłem swemu urzędnikowi, by znalazł złotnika, który wypożycza łańcuchy, zachowując przy tym dyskrecję.

- Ma na myśli ciebie — podpowiedział Barak złotnikowi. — Lepiej wybierz stosowny łańcuch, byśmy nie tracili czasu. Wiem, że wypożyczasz je za dobrą cenę.

Złotnik od razu zabrał się do roboty. Poszedł na zaplecze i wrócił z ciężkim łańcuchem o dużych solidnych ogniwach. Był on trochę przybrudzony, lecz na szczęście złoto łatwo się czyści. Złożyłem podpis na kwicie, zapłaciłem pół suwerena jako depozyt i poprosiłem Baraka, by schował łańcuch do tobołka.

— Nie włożysz go, panie? - zapytał szyderczo.

— Zrobię to dopiero, kiedy będę musiał.

*

Zgodziłem się popłynąć nazajutrz, w czwartek, do Greenwich, by razem z Barakiem, Tamasin i Nicholasem obejrzeć przybycie admirała dAnnebaulta, który miał być powitany w Anglii przez króla, by w sobotę, po pobycie w pałacu Greenwich, przejechać ulicami Londynu. Chciałem oswoić się z sytuacją., zanim odegram swą, na szczęście, małą rolę w tym widowisku.

Spotkaliśmy się we czwórkę przy Temple Stairs. Wielu ludzi czekało tam na łodzie i barki, by popłynąć w dół rzeki. Były to przeważnie rodziny w swych najlepszych strojach, albowiem tego dnia ogłoszono święto. Jeden młody mężczyzna z poważną miną trzymał się z boku. Miał tylko jedną nogę i stał wsparty na kulach. Byłem ciekaw, czy służył na wojnie.

Przyszła nasza kolej. Wsiadliśmy na barkę z białym baldachimem, chroniącym przed słońcem, i ruszyliśmy w dół rzeki, na której panował duży ruch. Nawet przewoźnik był odświętnie odziany i miał kwiaty przy czapce. Tamasin i Barak usiedli pod baldachimem, podczas gdy Nicholas i ja zajęliśmy miejsca na ławce po przeciwnej stronie. Nicholas miał na głowie duży kapelusz przeciwsłoneczny. Ja włożyłem toge, lecz bez łańcucha.

Tamasin popatrzyła radośnie na mętne wody rzeki.

— Ciekawa jestem, czy uda nam się podejść na tyle blisko, by ujrzeć króla. Rozdawali ulotki ze szczegółowymi informacjami. Będzie na królewskiej łodzi, tuż za Greenwich. Barka admirała podpłynie do niej, by król przyjął go na pokładzie.

Przyjrzałem się Tamasin, Okres nudności przeminął i wyglądała kwitnąco. Włożyła tę samą suknię, którą miała na urodzinach Georgea, żółtą z czepcem i małą rubinową broszką na piersi. Pochwyciła moje spojrzenie i pochyliła się, kładąc dłoń na mojej ręce.

- Wiem, że to będzie dla ciebie trudne doświadczenie, panie, po tym, co przeżyłeś w zeszłym roku. Wybacz mi, że się cieszę, ale nie widuję takich widowisk.

- Ja widziałem ich za dużo. Lecz oczywiście, Tamasin, raduj się dniem.

Rzeka skręciła na lewo, opływając Isle of Dogs. Na wijącej się wokół wyspy ścieżce tłoczyli się ubożsi ludzie, którzy ścignęli, by oglądać przybycie admirała. Za błotnistą dróżką rozciągał się podmokły zalesiony obszar, usiany ogródkami warzywnymi, uprawianymi przez chłopów, których domy stały pośrodku wyspy. Przywiązane do pali psy ujadły wściekle na przechodniów.

Przed nami ukazał się pałac Greenwich z okazałą fasadą i strzelistymi wieżami, zbudowany przez ojca obecnego króla jako symbol nowej dynastii, Tudorów. Łodzie przybijały do brzegu, a ich pasażerowie wysiadali i dalej udawali się pieszo, by dostać się jak najbliżej pałacu. Nasza też dotarła na miejsce. Przed pałacem cumowała wielka barka, w żywych barwach Tudorów — bieli i zieleni, z wielką angielską flagą powiewającą na dziobie. Przy obu jej burtach siedziało dwunastu wiosłarzy w liberjach, którzy poruszali wiosłami, by łódź nie kołysała się zbyt na falach. Na pokładzie znajdowała się duża kabina, przyozdobiona złotem i srebrem. Purpurowe kotary zostały podpięte, by widać było siedzących za nimi ludzi, lecz znajdowali się zbyt daleko, by dało się ich rozpoznać. Dla lepszego widoku Tamasin wychyliła się z zarojnej ścieżki, ryzykując, że wpadnie w błoto, i Barak przyciągnął ją do siebie.

- Uspokój się, niewiasto.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Staliśmy wśród gapiów, którzy wydawali pomruki. Za barką, wzdłuż południowego brzegu rzeki, stały w szeregu potężne okręty wojenne - okręty królewskie, które poprzedniego roku widziałem w Portsmouth. Na masztach miały różnobarwne chorągwie, niektóre liczące ze sto stóp długości, powiewające na lekkim wietrze. Pamiętałem te okręty — wielkie, dostojne, z górnymi pokładami pomalowanymi w jaskrawych kolorach. Jednego jednak zabrakło — ulubionego okrętu króla, *Mary Rose*, która spoczęła na dnie Solentu.

Rozległ się hałas — na burtach otwarto furty armatnie. Ukazały się działa, które oddały salwy. Oczywiście nie strzelały kulami, wypuszczały jedynie obłoki dymu, ale z takim hukiem, że aż drżała ścieżka. Ludzie zaczęli krzyczeć i wiwatować. Nicholas przyłączył się do nich z entuzjazmem, machając kapeluszem. Niektóre kobiety piszczały radośnie, Tamasin jednak zerknęła na mnie z powagą na twarzy.

Wreszcie się pojawiły, płynąc szybko w górę rzeki — najpierw francuski okręt wojenny, strzelający z obu burt na wiwat, a potem kilkanaście francuskich galer, długich i wąskich — szybkich jednostek bojowych, z których każda była pomalowana na inny kolor. Ich działa na dziobach, odpowiadając naszym, oddały salwy. Największa galera, osłonięta od dziobu po ster białym baldachimem w złote lilie, zbliżyła się do barki królewskiej.

Tego było już dla mnie za wiele. Widok tych galer, które na moich oczach ostrzelały *Mary Rose*, dym, huk strzałów, które wstrząsały ziemią. Położyłem Barakowi dłoń na ramieniu.

— Muszę już iść.

Spojrzał na mnie z troską.

— Na rany Chrystusa, wyglądasz, jakbyś był chory. Nie powinieneś wracać sam. Nick, przywołaj łódź.

— Nie! - odparłem uparcie. - Nic mi nie będzie, zostań.

Nicholas i Tamasin także mi się przyglądali. Tamasin wzięła mnie za rękę.

— Jesteś pewny, panie? Widziałam już wcześniej, że coś ci dolega.

— Nic mi nie jest. — Wstydzilem się swej słabości.

— Nick — powtórzył Barak stanowczo. — Wrócisz z nim do miasta.

Chłopak zrobił krok do przodu. Już otwierałem usta, by zaprotestować, ale w końcu tylko wzruszyłem ramionami.

— Zajdź do nas później - poprosiła Tamasin.

Skinąłem głową.

Dobrze.

Pospiesznie zawróciłem w tłumie i Nicholas po raz pierwszy musiał wydłużyć krok, by za mną nadążyć. Nieustające strzały z dział nagle się skończyły; admirał musiał wreszcie wejść na pokład królewskiej barki.

— Uważaj, człowieku! — zawołał jakiś mężczyzna, na którego wpadłem.

Nicholas chwycił mnie pod ramię.

— Jest pijany, stary garbus! - rzucił inny.

Rzeczywiście, czułem się jak odurzony, ziemia przypominała pokład okrętu, kołysała się pod moimi stopami.

*

Dopłynęliśmy łodzią do Steelyard Stairs. Kiedy z niej wysiedliśmy, dziwnie kręciło mi się głowie.

- Mam odprowadzić cię, panie, do domu? - zapytał Nicholas.

Był zakłopotany i podczas rejsu prawie się nie odzywał.

- Nie, Pójdziemy do kancelarii.

Ponieważ było święto i wielu ludzi udało się do Greenwich, w mieście panował spokój jak w niedzielę. Szedłem już pewnym krokiem, lecz myślałem z bólem o przyjaciołach, którzy zginęli na *Mary Rose*. Miałem przed oczami ich twarze. W końcu pożegnałem się z nimi wszystkimi i zrobiło mi się źlej na sercu.

- Czy mówiłeś coś, panie? — zagadnął Nicholas.

Musiałem mamrotać pod nosem.

- Nie, nic takiego. - Rozejrzawszy się, zobaczyłem, że doszliśmy już do Lothbury.

- Jesteśmy niedaleko domu Cotterstoeka - zauważyłem. — Tego z malowidłem na ścianie.

- Co się z nim teraz stanie?

- Połowa nieruchomości, która należała się Edwardowi, przejdzie na jego rodzinę. Sadzę, że w obecnych okolicznościach jego żona zechce się jak najszybciej pozbyć tego domu, z malowidłem, czy nie.

- Zatem pani Slanning dopnie swego.

- Tak. To możliwe.

Zawahał się, po czym spytał:

- Czy pan Coleswyn powie żonie Edwarda Cotterstoeka, co było przyczyną śmierci jej męża? O tamtym morderstwie?

- Nie. Na pewno nie.

- A obraz?

- Rodzina Edwarda nie będzie o niego walczyć.

Uzmysłowiłem sobie, że stary sługa, Vowell, nie wie, że Edward nie żyje. Pomyślałem, że powinienem mu o tym powiedzieć, i upewnić się, że zachowa milczenie.

*

Stary dom jak zwykle był pogrążony w ciszy. Nieopodal otworzył zakład golibroda, lecz ponieważ nie miał wielu klientów, stał smętnie, oparty o ścianę pod pasiastym słupem. Przypomniałem sobie uwagę Rowlanda, że powinienem się ogolić na jutrzejszy przejazd d'Annebaulta przez Londyn, pomyślałem więc, że zrobię to po wyjściu od starego służącego. Zapukałem do drzwi.

Otworzył je od razu. Wydawał się poruszony, miał szeroko otwarte oczy. Spojrzał na mnie ze

zdziwieniem, potem pochylił się i powiedział cicho drżącym głosem:

— Och, to ty, jaśnie panie. Wezwałem pana Dyricka. — Zmarszczył czoło. - Nie sądziłem, że w swym zastępstwie przyśle ciebie. Może lepiej się nie narażaj, jaśnie panie.

Także przyciszyłem głos.

— Co chcesz przez to powiedzieć, dobry człowieku? Nie przychodzę od Dyricka. - Głęboko odetchnąłem. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że biedny pan Cotterstoke nie żyje.

Vowell załamał ręce.

— Wiem, odebrał sobie życie. Jeden z jego służących powiedział mojemu znajomemu. Przez te podłe plotkujące baby wszyscy już o tym wiedzą. Pani Slanning...

— Ona też się dowiedziała?

— Tak, jaśnie panie, i jest tutaj. — Obejrzał się przez ramię, spoglądając w głąb ciemnego przedsionka. - I to w takim stanie, w jakim jeszcze nikogo nie widziałem. Domagała się, bym ją wpuścił. Ma nóż, jaśnie panie, wielki nóż, który wzięła z kuchni. Lękam się, że może pójść śladem brata...

Ostrzegawczo podniosłem rękę, bo starszy człowiek mówił coraz głośniejsze.

— Gdzie ona jest?

— W salonie, jaśnie panie. Stoi nieruchomo i tylko patrzy na malowidło, nie odpowiada na moje pytania i nie wypuszcza noża z dłoni.

Spojrzałem na Nicholasa.

— Pójdiesz ze mną? - zapytałem szeptem.

— Tak.

Weszliśmy do środka. Drzwi do salonu stały otworem. Wkroczyłem do niego cicho, Nicholas podążał tuż za mną. Isabel stała odwrócona do nas plecami. Miała na sobie jedną ze swych pięknych satynowych sukien, tego dnia jasnobrązową, lecz zdjęła czepiec i rzuciła go na podłogę. Odsłonięte długie srebrosiwe pukle opadały jej na ramiona. Tak jak mówił Vowell, bez ruchu wpatrywała się w malowidło ściennie, ściskając w prawej ręce nóż o długim ostrzu tak mocno, że pobielaly jej knykcie. Z obrazu spoglądali na nią matka i ojciec, mały Edward i ona sama jako dziewczynka - wszyscy oni w tym strasznym momencie wydali mi się bardziej realni niż kiedykolwiek wcześniej.

Najwyraźniej nie była świadoma naszej obecności. Vowell został za drzwiami; słyszałem jego ciężki oddech w korytarzu.

Nicholas szybko zrobił krok do przodu, lecz wyciągnąłem rękę, by go zatrzymać.

Powiedziałem cicho:

- Pani Slanning. — Dziwne, że nawet w tej dramatycznej sytuacji nie ośmieliłem się zwrócić do niej po imieniu.

Nie pomyślałbym, że może zeszywnieć jeszcze bardziej niż dotychczas, a tymczasem wręcz stężała. Później odwróciła się powoli, by na mnie spojrzeć. Jej niebieskie oczy, takie same jak u brata, miały dziki wyraz. Ściągnęła brwi, marszcząc czoło.

- Pan Shardlake? - zapytała cicho, ze zdziwieniem. — Co tu robisz?

- Przyszedłem pomówić z Vowellem. Powiedzieć mu, że twój brat, pani, nie żyje. - Podniosłem prawą rękę. — Pani Slanning, proszę oddać mi ten nóż. — Nie odpowiedziała, dyszała płytko i szybko, jakby próbowała w ogóle powstrzymać się od oddychania. — Proszę — ciągnąłem. - Chcę ci tylko pomóc.

- Po co miałbyś mi pomagać? Próbowałam cię *zniszczyć*, tak samo jak Edwarda i tego prawnika, Coleswyna. Nazwałam was heretykami. Którymi jesteście. — Mocniej ścisnęła nóż i lekko uniosła go ostrzem do góry.

- Chyba nie jesteś sobą, pani. Proszę, daj mi ten nóż. — Zbliżyłem się pół kroku, wyciągając rękę. Powoli uniosła ostrze do gardła.

- Nie! - zawołał Nicholas z taką siłą i przejęciem, że Isabel się zatrzymała, już niemal przytykając

nóż do szyi, na której pod pomarszczoną bladą skórą pulsowała tętnica.

- Nie warto! — powiedział z przejęciem. — Cokolwiek zrobiłaś, pani, cokolwiek zrobiliście razem, nie warto!

Isabel patrzyła na niego przez chwilę. Opuściła nóż, lecz wciąż trzymała go ostrzem w naszą stronę. Podniosłem rękę obronnym gestem, bojąc się, że nas zaatakuje. Była chudą, niemłodą już niewiastą, lecz desperacja daje siłę nawet najslabszym. Jednak to nie nas zaatakowała. Odwróciła się na pięcie, rzuciła z nożem na swe ukochane malowidło i zaczęła dźgać je długimi mocnymi ciosami z taką pasją, że przy małej szczelinie w ścianie odpadł kawałek tynku. Nie ustawała, uderzała dalej, wydając rozpaczliwe pomruki i krusząc tynk. W pewnym momencie dłoń jej się ześlizgnęła, trafiając w drugie ramię. Na sukni wykwitła plama krwi. Isabel skrzywiła się pod wpływem dotkliwego bólu i upuściła nóż. Chwytnąc się za ramię, osunęła się na podłogę i wybuchnęła płaczem. Klęczała skulona i szlochała rozpaczliwie, dając upust poczuciu winy i cierpieniu, które nękały ją przez całe życie.

Nicholas podszedł do niej szybko i wziął nóż, by oddać go służącemu. Vowell patrzył na Isabel z przerażeniem, po czym wycofał się znowu do holu. Malowidło było zniszczone, podźgane niezliczonymi ciosami noża, a w miejscach, w których odpadł tynk, widniały odsłonięte listwy. Na podłogę opadały drobiny pyłu. Zauważyłem, że najbardziej zniszczona była twarz jej matki, która niemal zniknęła.

Zerknąłem na Nicholasa - był blady i ciężko oddychał. Potem przykląknąłem obok Isabel.

- Pani Slanning? - Lekko dotknąłem jej ramienia. Wzdrygnęła się; trzymając się za zranioną rękę, skuliła się jeszcze bardziej, jakby chciała zapaść się pod ziemię. — Pani Slanning — powtórzyłem delikatnie. — Zraniła się pani, pani ręka krwawi.

Przestała szlochać i spojrzała na swe ramię. Miała pusty wyraz twarzy i potargane włosy. Wyglądała żałośnie. Uniosła wzrok i na krótko spojrzała mi w oczy, a potem zadrżała i odwróciła głowę.

- Nie patrz na mnie, proszę - szepnęła błagalnie. - Nikt nie powinien mnie teraz widzieć. — Złapała powietrze, szlochając jeszcze. - On był niewinny... nasz ojczym, dobry człowiek. Lecz my o tym nie wiedzieliśmy, Edward i ja, zrozumieliśmy to poniewczasie. A matka postąpiła okrutnie, sporządziła taki testament, by nas skłócić, teraz to wiem. Ponieważ oboje z Edwardem kochaliśmy to malowidło. Nie chciała, byśmy ją odwiedzali, ale ja czasami tu przychodziłam, by popatrzeć na obraz. By znowu zobaczyć ojca.

Spojrzałem na pusty fotel jej matki, zwrócony w stronę zniszczonego malowidła, z leżącą na siedzisku robótką.

- Umarł tak nagle, nasz ojciec. Dlaczego nas zostawił? Dlaczego? — Znowu się rozpląkała, roniąc łzy jak zagubione dziecko. — Och, a Edward! To ja pchnęłam go do tego haniebnego czynu! Mogłam przez te wszystkie lata wyznać prawdę... według dawnej wiary, jeśli się wyświadcisz i wyrazisz skruchę, dostaniesz rozgrzeszenie. Jemu wiara na to nie pozwalała. Ja taiłam prawdę - zniżyła głos do szeptu. - Z powodu zatwardziałego serca. Jednak oboje dopuściliśmy się tego czynu, on i ja!

Podskoczyłem na dźwięk gwałtownego pukania do drzwi. Usłyszałem głos starego służącego, po czym do pokoju wpadł Vincent Dyrick, teatralnie powiewając togą. Na jego twarzy o jastrzębim wyrazie malowała się furia. Popatrzył na mnie i Nicholasa, następnie na płaczącą na podłodze Isabel, i wreszcie łypnął na obraz.

- Shardlake! Co uczyniłeś? Dlaczego moja klientka jest w takim stanie?

Wstałem powoli, z trzaskiem w kolanach i bólem w plecach. Isabel spojrzała na Dyricka — miała ten sam zdziwiony, pusty wzrok co Edward w Tower, jakby ledwie zdawała sobie sprawę, gdzie jest.

- Zapytaj o to ją — odparłem posepnie.

Dyrick wciąż patrzył na malowidło. Może miał wizję niekończących się dochodów z tej sprawy, które zniknęły tak jak ten obraz.

- Kto to zrobił? — zapytał.

- Obawiam się, że Isabel — odparłem.

- Na rany Chrystusa! — Przeniósł wzrok na swą klientkę. Isabel znowu się zgarbiła, tak zawstydzona, że nie mogła spojrzeć nam w oczy. — Zobacz, w jakim jest stanie — powiedział do mnie. — Nie ponoszę odpowiedzialności za jej postępowanie! Uparła się, by przesłać kopię skargi Tajnej Radzie. Próbowiałem jej to wyperswadować!

- Wiem. Ponieważ Isabel jest twą klientką i jako jej prawnik musisz dochować tajemnicy, powiem ci tylko, że razem z bratem pół wieku temu zmówili się, by zamordować ojczyzna. Edward odebrał sobie życie i Isabel być może zrobiłaby to samo, gdybyśmy nie zjawili się w porę. — Ponownie spojrzałem na malowidło. — To prawdziwa tragedia, Dyrick. Spotęgowana jeszcze zawłościami sporu sądowego, Zgodnie z intencją ich matki. Moje wysiłki, wraz z kolegą Coleswynem, by doprowadzić do ugody pomogły odkryć straszliwą prawdę — dodałem ze smutkiem.

Ze znużeniem ruszyłem do drzwi. Dyrick spojrzał na Isabel.

— Poczekaj! — rzucił, odwracając się. — Nie możesz mnie z nią zostawić...

— Vowell pomoże ci ją opatrzeć. Potem, jeśli mogę coś poradzić, poślij po księdza z jej parafii. Upewnij się, że to on, Isabel wyznaje dawną wiarę i to ma dla niej znaczenie. Może będzie potrafił jej pomóc. - Odwróciłem się w stronę Nicholasa. Patrzył na twarz ojca Isabel, który wciąż spoglądał ze zniszczonego malowidła swym łaskawym, pewnym siebie patrycjuszowskim wzrokiem.

- Chodźmy, młodzieńcze - powiedziałem.

Minęliśmy Dyricka i starego służącego, po czym wyszliśmy na ulicę.

Tam, w sierpniowym słońcu, zwróciłem się do Nicholasa:

— Uratowałeś jej życie.

- Posunęła się do tego, mimo że miała dobrego kochającego ojca - odparł cicho.

Ze zgrozą zdałem sobie sprawę, że otrzymawszy list od rodziców, Nicholas także myślał o samobójstwie. Lecz otrząsnął się z tego i dlatego z takim przejęciem powstrzymał przed podobnym czynem Isabel.

- Co się z nią teraz stanie? - zapytał.

— Nie wiem — odparłem.

- Może dla tej biedaczki jest już za późno. — Odetchnął głęboko, po czym spojrzał na mnie z powagą i zdecydowaniem. - Lecz dla mnie nie.

*

Wczesnym popołudniem następnego dnia znalazłem się przed wielką halą u stóp kościoła Świętego Michała od Żaren, który górował nad otwartą przestrzenią po zachodniej stronie Cheapside. Wzdłuż ulicy, którą wkrótce miał przejechać admirał d'Annebault, zebrały się jeszcze liczniejsze tłumy. Na niskim podeście czekał burmistrz Londynu, Bowes, którego widziałem podczas egzekucji Anny Askew. Zajmowałem miejsce w szeregu wraz z wójtami i innymi dostojnikami miejskimi i wszyscy mieliśmy na szyjach złote łańcuchy. Tak samo jak podczas egzekucji, przy prowizorycznej mównicy stał duchowny w białej sutannie, który tym razem miał po francusku przywitać w mieście admirała. Słysząc było zgiełk głosów, a znad kanału za kościołem dochodził szum wody.

Admirał rankiem opuścił Greenwich i przyplłynął ze wszystkimi swymi galerami do Tower. Poprzedniego wieczoru zabrałem Nicholasa z wizytą do Baraka i Tamasin, gdzie razem spędziliśmy miło czas, grając w karty. Nie powiedziałem im obojgu, co stało się z Isabel - Tamasin nie powinna słuchać takich rzeczy w swym stanie — i po powrocie do domu spałem długo, obudzony z rana przez salwy w Tower, którymi witano admirała. Nawet w Chancery Lane od huku drżały szyby w oknach. Z Tower d'Annebault miał udać się przez miasto do kościoła Świętego Michała w asyście brata królowej Williama Parra, hrabiego Essex, oraz innych dostojników królewskich.

Martin pomógł mi ubrać się odświętnie. Włożyłem złoty łańcuch, który poprzedniego dnia kazałem wyczyścić. Żaden z nas nie odzywał się ani słowem. Później udałem się do kościoła. Wychodząc, zauważyłem, że Timothy, wciąż niepokieszony, zerka przez uchylone drzwi stajni. Wiedziałem, że muszę z

nim pomówić o zdradzie Martina, na razie jednak lord Parr zobowiązał mnie do tajemnicy, więc tylko rzuciłem chłopcu surowe spojrzenie. Być może zbyt surowe, lecz wciąż gnębiło mnie to, co uczynił, podobnie jak inne wydarzenia z ostatnich dni.

Urzędnik królewski ustawił nas w szeregu, komenderując burmistrzem i wójtami miejskimi bezceremonialnie, niczym dziećmi. Słońce paliło, więc pociliśmy się wszyscy pod perukami i beretami. Ogniwa złotych łańcuchów lśniły. Chorągwie w barwach Anglii i sztandary z francuskimi liliami powiewały na wietrze, z górnych okien domów i warsztatów zaś zwieszały się kolorowe tkaniny. Przypomniałem sobie, jak zaledwie przed rokiem widziałem ubrane w lilie manekiny, które stanowiły tarcze strzeleckie dla powołanych do wojska rekrutów, a z Londynu wyruszały w drogę setki żołnierzy, by powstrzymać zbliżającą się inwazję.

Obok mnie stał dumnie komisarz Blower z Inner Temple, wciągając brzuch i prężąc pierś. Liczył ponad pięćdziesiąt lat i miał krótką, starannie przystrzyżoną brodę. Słabo go znałem i jak na mój gust zbyt zadzierał nosa. Krążyły wieści, że Wriothsesley rozważa, czy nie mianować go sędzią.

— Piękny dzień, by powitać admirała — zauważył. — Nic pamiętam takich uroczystości od czasu koronacji Anny Boleyn.

Uniosłem brwi, przypominając sobie, jak skończyło się to sławne małżeństwo.

— Będiesz obecny, panie, podczas jutrzejszego spotkania księcia Edwarda z admirałem? - zapytał Blower. — I podczas ceremonii w Hampton Court?

— Tak, reprezentuję Lincoln's Inn.

- Ja także — odparł zarozumiale. Zerknął z ukosa na mój łańcuch. — Czy masz go od dawna? Sądząc z zapachu octu, dopiero co był czyszczony.

— Noszę go tylko na szczególne okazje.

— Doprawdy? Wydaje się nieco poharatany. — Spojrzał z zadowoleniem na swój łańcuch o dużych błyszczących ogniwach. Potem nachylił się i zagadnął cicho: - Czy nie znalazłeś czasu, by się ogolić, kolego? Dostaliśmy takie polecenie. Szkoda, że masz ciemne włosy, wyraźnie widać zarost.

— Niestety, kolego. Obawiam się, że miałem za dużo zajęć.

— Podczas kanikuły?

— Prowadzę kilka trudnych spraw.

— Ach tak. — Pokiwał głową, po czym zacytował stare prawnicze powiedzenie: — Trudne przypadki tworzą złe prawo.

— Święta racja.

Znowu zerknął na mnie z boku. Byłem ciekaw, czy już rozeszła się wieść o moim przesłuchaniu przez Tajną Radę. Służba plotkuje - w pałacu, w mieście i w stowarzyszeniach prawniczych.

Od strony Cheapside dobiegły wiwaty. Ludzie mieli wznosić okrzyki powitalne podczas przejazdu d'Annebaulta. Blower jeszcze bardziej wciągnął brzuch.

— Jedzie! — powiedział z przejęciem i wrzasnął głośno: — Hurrra!

Rozdział czterdziesty szósty

Po uroczystości wróciłem do domu. Byłem zmęczony, a nazajutrz czekała mnie kolejna ceremonia, druga z trzech. Admirał Claude d'Annebault, mimo że w zeszłym roku fatalnie dowodził bitwą o Solent, stanowił zaiste imponujący widok, kiedy jechał do kościoła Świętego Michała - wysoki, przystojny, pięćdziesięcioletni mężczyzna na wspaniałym rumaku, z hrabią Essex przy boku. Z radością zobaczyłem, że brat królowej dostąpił takiego zaszczytu, co było kolejnym znakiem, że ród Parrów nie miał się czego bać.

Po wygłoszeniu mowy powitanej burmistrz Londynu podarował admirałowi wielkie srebrne dzbany z winem korzennym oraz marcepany i wafle, by ten mógł pokrzepić się po podróży. Od długiego stania bolały mnie plecy, więc umknąłem z tłumu jak najszybciej, pragnąc spędzić resztę dnia spokojnie, sam z sobą. Wszedłszy do domu, usłyszałem, że Josephine i Agnes rozprawiają wesoło o ślubie, który został wyznaczony na styczeń. Pomyślałem: biedna Agnes, nie wie, co uczynił jej mąż. Wkrótce z nim odejdzie.

Martin, powściągliwy jak zwykle, wyłonił się z jadalni, niosąc list.

- Przyszedł, kiedy cię nie było, jaśnie panie.
- Dziękuję. - Rozpoznałem pismo Hugh Curteysa.

Martin zapytał cicho:

- Czy są, jaśnie panie, nowe wiadomości w... tamtej sprawie? Mam pójść do tego domu? - Chociaż zachował kamienną minę, widziałem po jego zaciśniętych ustach i wyrazie oczu, że jest zdenerwowany.
- Nie, Martinie - odrzekłem. - Dam ci znać, gdy tylko dostanę instrukcje.
- Czy to będzie... wkrótce?
- Nie wiem. Mam taką nadzieję. Powiem ci, kiedy się dowiem. Jednakże sam jesteś sobie winien
- dodałem.

*

W sypialni przeczytałem list od Hugh. Wynikało z niego, że cesarz Karol postanowił ograniczyć niezależność flandryjskich miast: *Tu i w innych rejonach Flandrii aresztuje się wielu radykałów, grozi im więzienie albo spalenie na stosie. Niektórzy Anglicy oraz inni cudzoziemcy przedostają się do Niemiec.* Byłem ciekaw, czy jest między nimi Bale z ukrytym w bagażu dziennikiem Anny Askew. Zapewne tak, a musiał przywyknąć do szybkich przeprowadzek od czasu, kiedy uciekł z Anglii po upadku swego patrona, Cromwella. Pomyślałem, że opóźni to wydanie dziennika.

Hugh pisał dalej: *Wielu w społeczności angielskich kupców bardzo się niepokoi i mam obawy, że jeśli atmosfera w mieście się pogorszy, ja także będę musiał się zastanowić nad wyjazdem do Niemiec.*

Westchnąłem. Sądziłem, że mój podopieczny znalazł bezpieczną przystań, lecz wyglądało na to, że nie. Przypomniało mi się, że pierwszy raz zmierzyłem się z Vincentem Dyrickiem właśnie w sprawie opieki nad tym chłopcem. Dyrick z kolei przywiódł mi na myśl Isabel — co się z nią teraz stanie, kiedy spadło na nią całe brzemie tego, co uczyniła, a do tego jeszcze śmierć Edwarda? Wrócił do mnie jej obraz niszczącej w szale malowidło, o które tak bezwzględnie walczyła. Wiedziony impulsem, usiadłem, wziąłem pióro i napisałem list do Guya:

Nie widzieliśmy się od czasu, gdy odwiedziłem u Świętego Bartłomieja tamtego nieszczęśnika, lecz jesteś obecny w mych myślach. Znam pewną kobietę, którą reprezentowałem jako prawnik — smutna rodzinna sprawa — i która przeżywa obecnie wielkie cierpienia duchowe. Wyznaje dawną wiarę, więc poprosiłem jej obecnego adwokata, by wysłał do niej księdza, lecz niepokoję się o nią.

Jeśli znajdziesz czas, może ją odwiedzisz? Może mógłbyś ją pocieszyć.

Podąłem nazwisko i adres Isabel, podpisałem się jako „oddany przyjaciel”, posypałem list piaskiem i zapieczętowałem. Guy się przekona, pomyślałem, że nie jestem przeciwny duchowemu wsparciu dla wyznawców dawnej wiary, a może uczyni coś dla Isabel, choć żywiłem obawy, że postradała zmysły.

*

Nazajutrz znowu wdziałem swój najlepszy strój i poszedłem do stajni. Na ten dzień zaplanowano powitanie d'Annebaulta w Hampton Court. Uroczystości zaczynały się trzy mile od pałacu, nad rzeką, gdzie admirała miał przyjąć młodziutki książe Edward. Było to jego pierwsze publiczne wystąpienie. Przedstawiciele Londynu musieli udać się tam konno, lecz pocieszające było to, że tym razem mieliśmy pozostać na końskich grzbietach. Poprzedniego dnia poszedłem się ogolić i miałem gładkie policzki, zatem Blower nie będzie mógł mi zarzucić, że jestem zarośnięty.

Przekazałem przez Martina polecenie, by Timothy wyszczotkował Genesis i zaplótł jej grzywę. Wszedłszy do stajni, zobaczyłem z zadowoleniem, że chłopak dobrze się spisał. Nie patrząc mi w oczy, postawił przy koniu stopień do wsiadania. Kiedy jednak wsuwałem stopy w strzemiona, uniósł głowę i uśmiechnął się ze skrepowaniem, ukazując szczerbę po dwóch przednich zębach, które wybito mu jako bezdomnemu urwisowi, zanim jeszcze wziętem go do siebie.

- Jaśnie panie — zaczął nerwowo. — Mówiłeś, że porozmawiasz ze mną... o tych spalonych księgach.

- Tak, Timothy. Ale nie teraz. Muszę jechać na ważną uroczystość.

Chwycił wodze.

- Tylko że... jaśnie panie, to Martin musiał komuś o nich powiedzieć... ja bym tego nie zrobił... a mimo to wciąż tu jest i ostatniego wieczoru był dla mnie surowy jak zwykle. - Poczzerwieniał i nieco uniósł głos. — To niesprawiedliwe, jaśnie panie, zwłaszcza że nie chciałem nic złego.

Wziąłem głęboki oddech i odparłem:

- Zatrzymałem Martina z pewnych względów. — Po czym wybuchłem: -I jego uczynek boli mnie mniej niż twoje szpiegowanie. Ufałem ci, Timothy, a ty mnie zawiodłeś. - Chłopakowi do oczu napłynęły łzy, więc dodałem spokojniej: - Jutro porozmawiamy, Timothy. Jutro.

*

Na miejsce uroczystości wybrano wrzosowisko nad rzeką. Kiedy tam przybyłem, zebrali się już niemal wszyscy. Zgromadzono tego dnia prawie tysiąc wyżej postawionych służących, którzy mieli na sobie nowe liberie w królewskich barwach. Urzędnicy miejscy i przedstawiciele stowarzyszeń prawniczych jak ja zostali zaprowadzeni na miejsca w pierwszym rzędzie z widokiem na drogę. Nieopodal, w otoczeniu strażników, czekali na koniach dostojnicy państwowi. Stawili się wszyscy, których widziałem na zebraniu Tajnej Rady. Zwalisty Gardiner, siedzący na wierzchołku o potężnym zadzie. Rich i Wriothsley obok siebie, Paget, gładzący swą długą rozwidloną brodę, tego dnia z lekkim rumieńcem na policzkach, jak zwykle patrząc na otoczenie chłodnym wzrokiem. Hrabia Hertford z poważną, wręcz surową miną, a przy nim Thomas Seymour, o utrefionej rudej brodzie, niewątpliwie wyperfumowany, z uśmiechem zadowolenia na urodziwej twarzy. I reszta: lord Lisle, który przed rokiem w Portsmouth okazał się lepszym wodzem niż d'Annebault, oraz pozostali lordowie w najlepszych strojach, z kiwającym się na wietrze od rzeki piórami przy beretach, podobnie jak sutanna Gardinera. Woda była niebieska i lśniąca, odbijało się w niej bezchmurne niebo.

Przed nimi wszystkimi na mniejszym koniu siedział chłopiec, jeszcze, nawet nie dziewięcioletni, jedyny męski potomek króla. To o kontrolę nad nim po śmierci Henryka walczyli potajemnie ci wszyscy ludzie z tyłu. Książe Edward, w szkarłatnym dublecie o watowanych ramionach i rozcięciach na rękawach, w berecie z brylantami, stanowił przy dorosłych drobną postać. Jednakże siedział na koniu wyprostowany. Był wysoki jak na swój wiek i na jego drobnej twarzy malowało się nieco nienaturalne opanowanie. Poważna mina i drobna broda chłopca przypomniały mi jego zmarłą matkę, Jane Seymour, którą widziałem na wielkim malowidle ściennym w Whitehall. Było mi go szkoda z uwagi na ciężar, który miał niebawem spaść na jego barki. Pomyślałem wówczas o Timothy — byłem dla niego zbyt surowy, nie powinno się żywić urazy do dzieci. Postanowiłem, że porozmawiam z nim zaraz po powrocie.

Znowu przypadło mi miejsce obok Blowera. Potężny komisarz przywitał mnie skinieniem głowy.

Niewiele jednak mówił. Siedział pochylony do przodu, patrząc na zebranych za księciem Edwardem i próbując przyciągnąć wzrok Wriothesleya, który mógł przyznać mu upragnione stanowisko sędziego. I ten go zauważył, lecz w odpowiedzi na jego ukłon i uśmiech tylko nieznacznie zmarszczył czoło, jakby mówiąc: „Nie tutaj”. Przypomniało mi się powiedzenie, że każdy ma kogoś, komu może okazać swą wyższość.

Wreszcie ujrzeliśmy świtę d'Annebaulta, która posuwała się wolno wzdłuż rzeki. Musiała liczyć ze trzysta osób, a wiedziałem, że admirał przybył z Francji z dwustoma. Wówczas wystąpili angielscy heroldowie, którzy zadęli w fanfary. d'Annebault, znów w towarzystwie hrabiego Essex, podjechał do księcia Edwarda i skłonił się chłopcowi z siodła. Ten cienkim, dziecięcym głosem wygłosił mowę powitalną w bezbłędnej francuszczyźnie, nie zatrzymując się ani nie zacinając. Na koniec admirał został podprowadzony na koniu do księcia, który objął dostojnego gościa.

*

Po powitaniu Francuzi i większość angielskich lordów pojechali do Hampton Court z księciem i admirałem na czele. Wierzchowca młodego Edwarda prowadził wysoki żołnierz. Ci z nas, którzy zostali na miejscu, jak zwykle przy takich okazjach natychmiast się odprężyli, opuszczając ramiona i oddychając głęboko, a następnie, przed powrotem do Londynu, gawędząc jeszcze ze znajomymi. Pomyślałem, że ze względu na wymogi uprzejmości będę musiał wracać z wyraźnie niezadowolonym Blowerem, lecz kiedy miałem się do niego odezwać, poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że obok mnie stoi lord Parr w towarzystwie dwóch służących, z których jeden trzymał wodze jego rumaka.

- Wasza Lordowska Mość — powiedziałem. — Nie widziałem cię w świcie księcia.

- Rzeczywiście, nie było mnie tam. Członkowie dworu królowej nie brali udziału w uroczystości.

Przyjechałem jednak i chciałbym z tobą pomówić.

- Oczywiście. — Spojrzałem na starca. W liście wspomniał, że niedomagał, i istotnie wyglądał na osłabionego i ciężko wspierał się na łąku siodła. Skinął na swych ludzi i pierwszy z nich pomógł mu zsiąść z konia, podczas gdy drugi przytrzymał cugle Genesis. Blower popatrzył na lorda Parra ze zdumieniem — nie wiedział, że mam znajomości w tak wysokich kręgach. Skłonił mu się i odjechał, bardziej urażony niż kiedykolwiek wcześniej.

Lord Parr odprowadził mnie na stronę. Zatrzymaliśmy się nad rzeką.

— Czy dostałeś mój list? - spytał.

— Tak. Rozmawiałem ze swym kamerdynerem, Brocketem, i jest gotowy do działania, choć wolałby tego uniknąć.

— Wciąż usiłuję się dowiedzieć, kto skłonił radę do rozpatrzenia tamtej sprawy. Daremnie jednak, Paget zaś jak zwykle milczy.

— Podczas przesłuchania zachowywał się uczciwie — odparłem. -Wyglądało na to, że rzeczywiście zależy mu na dotarciu do prawdy.

— Możliwe. — Lord Parr westchnął głęboko. — Już mnie to wszystko męczy. Po zakończeniu wizyty admirała w przyszłym tygodniu król i królowa wybiorą się w objazd do Guildford, więc znowu będę musiał ruszyć stare kości. — Przez chwilę zapatrzył się na rzekę, a później podjął cicho: — Król nie zabiera żadnego ze swych konserwatywnych doradców, ani Gardinera, ani Wriothesleya, ani Norfolka. Towarzyszyć mu będą natomiast lordowie Hertford i Lisle. — Spojrzał na mnie z przejęciem w zaczerwienionych oczach. — Szala przechyla się na naszą stronę. Król nie spotkał się ponownie z Bertanem, który siedzi i czeka gdzieś w Londynie. Zaczynają już krążyć pogłoski o wizycie papieskiego wysłannika. W takiej sytuacji, jeśli zdołam dowieść, że Rich prowadzi podwójną grę, być może starając się zaszkodzić poprzez ciebie królowej, wprowi go to we wściekłość, a jej pomoże. A także całemu rodowi Parrów — dodał. - Zanim jednak cokolwiek uczynię w sprawie tego Stice'a, muszę wiedzieć więcej. Rozumiem, że po pozostałych, to znaczy zabójcach Greeninga, nie ma śladu?

— Danielsie i Cardmakerze? Nie, ten drukarz, Okedene, widział ich w mieście, ale ja nie.

— Komu dostarczyli dzieło królowej? Nie Richowi, tego jestem pewien, gdyż natychmiast by się nim posłużył.

— Czy wciąż może ono zaszkodzić królowej?

— Tak mniemam. - Przerwał, po czym zwinął w pięść kościstą dłoń. — Nigdy nie wiadomo, kiedy i w którą stronę zwróci się król. - Pokręcił głową. - Najbardziej rozgniewałoby go to, że ukrywała przed nim istnienie *Lamentacji*.

— Czyli bardziej zezłości go nielojalność Jej Królewskiej Mości, a nie wyrażone przez nią w dziele poglądy?

— Otóż to. Choć jej przekonanie, że do zbawienia prowadzi tylko wiara, wcale nie pomaga. Król zaś jest taki... nieprzewidywalny. Zwłaszcza teraz, kiedy tak słabuje. — Lord Parr zachwiał się przez moment, więc wyciągnąłem rękę, by go podtrzymać. Odzyskał jednak równowagę i odetchnął głęboko. - Daj mi jeszcze kilka dni, panie Shardlake, spróbuję zdobyć więcej informacji. - Odwrócił się i ruszyliśmy z powrotem do koni.

- Niedługo przyśle wiadomość — powiedział lord Parr, kiedy dosiedliśmy wierzchowców. - Uważaj na tego kamerdynera. Czy jest wystarczająco przestraszony?

- Tak sędzę.

- To dobrze. - Zawracając, rzucił jeszcze: — O mało bym zapomniał. Królowa przesyła ci pozdrowienia.

*

Niespiesznie ruszyłem w drogę powrotną do miasta. Nie ujechałem jednak daleko, kiedy zrównał się ze mną inny jeździec. Ku swemu zaskoczeniu, zobaczyłem, że to młody William Cecil, poważny jak zwykle.

- Kolego Cecil. Nie spodziewałem się, że tak szybko znowu cię ujrzę. - Pozwoliłem sobie na nutę przygany w głosie. Wcześniej był bardzo pomocny i lord Parr musiał odczuć jego nieobecność.

- Kolego Shardlake. — Słyszając mój ton, zacisnął usta.

- Jak służba u lorda Hertforda?

- Dobrze, dziękuję. — Zawahał się. — Jego sekretarz niebawem przechodzi na emeryturę i możliwe, że zajmę jego miejsce.

Skłoniłem głowę.

- Podjąłeś zatem słuszną decyzję.

Ściągnął koniowi wodze, więc ja także się zatrzymałem. Młody prawnik popatrzył na mnie uczciwie swymi wielkimi niebieskimi oczami. - Kolego, z przykrością odszedłem ze służby Jej Królewskiej Mości. Ale nadarzyła się okazja i musiałem z niej skorzystać.

- Ludzie tak postępują.

- Przyznaję także, że wydarzenia na nabrzeżu dały mi do myślenia. Na temat tego, kim jestem i do czego się nadaję, a do czego nie. Nie urodziłem się wojakiem i mam na utrzymaniu rodzinę. Moje talenty najlepiej sprawdzają się za biurkiem. Skąd mogę służyć sprawie reform - dodał. - Uwierz mi, mówię szczerze, tak jak szczerze kocham i szanuję królową.

Ośmieliłem się zauważyć:

— Jednakże teraz przede wszystkim jesteś winien lojalność Seymourom, a nie Parrrom.

— Oba te rody dążą do reform. I dogoniłem cię, kolego, by powiedzieć ci coś, o czym według mnie powinieneś wiedzieć. Lord Parr słabnie. Nie wiem, jak bardzo był chory, kiedy odchodziłem, lecz jeśli jeszcze prowadzisz sprawy królowej... a słyszałem, że zostałeś powołany przed oblicze rady... musisz polegać na własnym osądzie, nie jego. - Spojrzał na mnie znacząco.

— Zauważyłem, że nie ma się dobrze - odparłem spokojnie.

— I cięży mu to wszystko... - Wskazał za siebie, na oddalającą się kawalkadę. - Ma liczne obowiązki w Hampton Court, królowa odegra znaczącą rolę podczas najbliższych uroczystości.

— Wiem. Mam być tu w poniedziałek. — Nie musiał jechać za mną, by mi to powiedzieć. —

Dziękuję ci, kolego — odrzekłem jednak.

— Jeśli dowiem się czegoś, co może przydać się tobie albo królowej, powiem ci,

— Co twoim zdaniem stało się z jej dziełem?

— Lord Parr sądzi, że zostało zniszczone.

— A co ty myślisz?

— Nie wiem. Wydaje mi się jedynie, że najlepszy moment, by tradycjoniści mogli je wykorzystać, już przeminął. Wiatr wieje teraz w przeciwnym kierunku. Być może ten, kto zdobył księgę, zniszczył ją, uświadomiwszy to sobie. - Pokręcił głową. - Lecz zapewne *nigdy* się tego nie dowiemy.

Ruszyliśmy dalej, rozprawiając o uroczystościach i jesiennym objeździe Ich Królewskich Mości, który zaczynał się zaraz potem. Miał być krótki, dwutygodniowy, zaledwie do Guildford, ze względu na stan króla. Rozstaliśmy się u wlotu Chancery Lane.

— Ta zagadka nie jest jeszcze rozwikłana — powiedziałem. - Jeśli się czegoś dowiesz, powiadom mnie, proszę.

— Obiecuję.

Jadąc w głąb Chancery Lane, pomyślałem: Owszem, zrobisz to, jeśli tylko będzie tak samo służyło interesom Seymourów, jak i Parrów.

Rozdział czterdziesty siódmy

Czując pot na czole pod peruką, skręciłem w podjazd do domu i zajechałem do stajni. Zamierzałem porozmawiać z Timothyem, lecz go nie zastałem. Martin albo Agnes musieli wyznaczyć mi jakąś robotę poza stajnią. Zmęczony zsiadłem z konia, zdjąłem beret oraz perukę i wszedłem do domu.

Od razu usłyszałem dochodzący z kuchni kobiecy płacz - rozpaczliwe bezradne szlochy.

Zorientowałem się, że to Agnes. Josephine coś mamrotała, a Martin mówił głośno, z gniewem:

- Na litość boską, dziewczko, zostaw nas samych! Nie patrz na mnie, głupia, tymi krowimi oczami! Precz stąd!

Josephine z płonącymi policzkami wyszła do sieni.

- Co się stało? - spytałem spokojnie.

- O, jasnie panie, państwo Brocket... — Przerwała na widok Martina, który słysząc mój głos, wyszedł z kuchni. Na jego kanciastej twarzy malowała się złość. Opanował się jednak i spytał: - Czy mogę z tobą pomówić, jasnie panie?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Chodźmy do salonu.

Kiedy drzwi zostały zamknięte, zagadnąłem:

- Co się dzieje, Martinie? Chyba nie powiedziałaś Agnes, że mnie szpiegowałaś...?

- Nie, nie! - Pokręcił żywo głową, po czym odparł ciszej: Chodzi o naszego syna.

- O Johna?

— Dostaliśmy list z więzienia w Leicester. John znowu zapadł na płuca, dostał krwotoku, więc wezwali medyka, a ten orzekł, że chłopak umrze. Jasnie panie, musimy do niego jechać. Agnes chce, byśmy wyruszyli już dziś.

Spojrzałem na niego. Widząc rozpacz w jego oczach, zrozumiałem, że niezależnie od konsekwencji Agnes pojedzie do syna, a Martin, który mimo wszystkich swych przywar kochał żonę, będzie jej towarzyszył.

— Kiedy wysłano to pismo? — zapytałem.

— Trzy dni temu. - Brocket z desperacją pokręcił głową. - Może już być za późno. Agnes by tego nie przeżyła. - Ponieważ nie odpowiedziałem, nagle przybrał bojowy ton: - Jasnie panie, nie możesz nas zatrzymać. Rób, co chcesz. Wystaw mi złe referencje, rozpowiedz po całym Londynie, co uczyniłem. Wyjaw ludziom królowej. To bez różnicy, dziś wyjeżdżamy.

— Przykro mi z powodu tego, co was spotkało - odrzekłem.

On jednak milczał, patrząc na mnie z determinacją. Zastanowiłem się przez chwilę, po czym powiedziałem spokojnie:

— Zawrę z tobą układ, Martinie Brocket. Zaniesiesz jeszcze list do gospody z wiadomością, że masz ważne informacje, i wieczorem przyjdiesz do domu przy Smithfield.

Wziął głęboki oddech.

— Dziś wyjeżdżamy — powtórzył z niebezpieczną nutą w głosie.

— Nie oczekuję, że udasz się na to spotkanie. Zrobią to inni. Lecz, by wprawić koła w ruch, musisz przekazać wiadomość... osobiście i napisaną twą ręką.

— A co dostanę w zamian? — zapytał z nagłą śmiałością.

— W zamian wystawię ci referencje, wysoko oceniając twe umiejętności i staranność. Nie napiszę jednak, że jesteś godny zaufania, gdyż to nieprawda.

— Przez całe swe życie byłem uczciwy — odparł drżącym głosem. -Póki uczynki Johna nie sprowadziły mnie na złą drogę. — Potem dodał z pogardą: — Być może nie zgodziłbym się na ciebie donosić, gdyby nie to, że nigdy cię nie szanowałem, panie gar... — Urwał, uświadamiając sobie, że tym razem posuwa się za daleko.

— Ja też cię nie szanowałem, Martinie — odparłem spokojnie. — Jesteś zarozumiałym i ograniczonym człowiekiem. Który nie zasługuje na tak dobrą żonę.

Zacisnął dłonie w pięści.

- Ja przynajmniej ją mam.

W ciszy, która zapadła, znowu dał się słyszeć nieopanowany płacz Agnes. Martin się skrzywił.

- Chodź do mego gabinetu - powiedziałem. - Napiszesz ten list i pójdziesz go doręczyć. Ja w tym czasie przygotowuję ci referencje. Dostaniesz je po powrocie. I będziecie mogli odejść.

*

W gabinecie zastanowiłem się, jaka wiadomość zwabiłaby Stice'a, a może nawet Richa na spotkanie. Po namyśle kazałem Martinowi napisać: „Mam pilne wieści o wizycie pewnego Włocha”. Tak, to zrobi swoje. Lord Parr mówił mi przecież, że po mieście krążą już pogłoski o przyjeździe Bertana. Richa to z pewnością bardzo zaciekaWi. „Proszę się postarać, byśmy spotkali się w cztery oczy. To nader poufna sprawa”.

Przeczytałem list jeszcze raz i Martin udał się z nim do gospody. Wówczas z nieczystym sumieniem wystawiłem mu referencje. Brałem pod uwagę, że po drodze może pozbyć się wiadomości, nie doręczając jej, lecz zanim wyszedł, ostrzegłem go, że o sprawie wiedzą bardzo wysoko postawieni ludzie, i odniosłem wrażenie, że wiedziony dumą, wypełni to ostatnie zadanie. Josephine poszła z Agnes na piętro, by pomóc jej w pakowaniu rzeczy. Stałem przy oknie salonu i pełen smutku popatrzyłem na zalany słońcem trawnik. Żona. Chciałbym mieć za żonę królową. Przyszło mi do głowy, że jestem szalony, jak nieszczęsna Isabel.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Weszła Agnes Brocket, zmęczona płaczem, jeszcze ze śladami łez na twarzy.

- Czy Martin przekazał ci wieści, jaśnie panie?

- O Johnie? Tak. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję, jaśnie panie, że zgodziłeś się na nasz wyjazd. Wrócimy najszybciej, jak tylko zdołamy.

Martin wyszedł jeszcze z ostatnim zleceniem. — Uśmiechnęła się żałośnie.

Brocket nie wyjawiał zatem żonie, że nie wrócą już do mnie na służbę. Niewątpliwie później wymyśli jakąś historię. Biedna Agnes, tak uczciwa i pracowita, pełna dobrej woli. Ma syna w więzieniu i męża, który ukrywa przed nią swe ciemne sprawy.

— Właśnie patrzyłem na ogród. Włożyłaś w niego wiele pracy, podobnie jak w dom.

— Dziękuję ci, jaśnie panie. - Głęboko zaczerpnęła powietrza i dodała: - Mój mąż... wiem, że nie zawsze jest łatwy... lecz to ja nalegałam, byśmy pojechali do Johna jeszcze dziś... to przeze mnie.

— W tym, że chcesz zobaczyć swego syna, nie ma nic złego. - Sięgnąłem po sakiewkę, którą odłożyłem na biurko. — Masz, weź te pieniądze, będą wam potrzebne na podróż. - Dałem jej pół suwerena.

Zamknęła go w dłoni i opuściła głowę. Potem, rozpaczliwie starając się odzyskać dawną pogodę, odparła:

— Pilnuj, jaśnie panie, by Timothy i Josephine dobrze się sprawowali.

Zaczekałem na powrót Martina i upewniłem się, że dostarczył wiadomość. Dałem mu referencje. Nie chciałem być świadkiem ich odjazdu, więc poszedłem do Lincoln's Inn. Musiałem porozmawiać z Barakiem oraz Nicholasem i zasięgnąć ich porady.

*

Poprosiłem obu do mego gabinetu i zrelacjonowałem im ostatnie wydarzenia.

Na koniec oznajmiłem:

— Zatem jutro będziemy musieli ostatecznie rozprawić się ze Stice'em,

— Są jakieś podstawy, by go pojmać? - zapytał Barak. - Nie popełnił żadnego przestępstwa i Rich nie będzie zadowolony.

— To już zmartwienie lorda Parra. Jutro po południu odszukam go na przyjęciu w Hampton Court. To ostatnia uroczystość, na której reprezentuję Lincoln's Inn. Z tego, co przeczytałem w instrukcji, mam stać w tłumie innych, by d'Annebault zobaczył, ilu mamy zamożnych obywateli, ze złotymi łańcuchami - powiedziałem z goryczy. — Choć większość z trudem płaci podatki na wojnę, a tysiące, których nie ujrzy, ledwie ma na jedzenie.

Barak uniósł brwi.

- Mówisz jak jeden ze skrajnych radykałów.

Wzruszyłem ramionami.

- Tak czy owak, będę miał okazję naradzić się z lordem Parrem.

- A jeśli nie? Jeśli nie odnajdziesz go w tym zgiełku?

- Odnajdę. - Wówczas dał o sobie znać cały gniew, który wzbierał we mnie w ostatnich dniach, i uderzyłem pięścią w stół tak, że podskoczył szklany kałamarz i wylał się atrament. — Dowiem się, co knują Rich ze Stice'em. Niech ich licho porwie, szpiegują mnie od miesiący, porwali Nicholasa, zmusili nas do współpracy. Więcej nie zniosę! Mam dość tego wykorzystywania, dość, dość!

Rzadko traciłem panowanie nad sobą, dlatego Barak i Nicholas spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Chłopak zapytał niepewnie:

- Czy nie lepiej zostawić już tej sprawy, panie? Twój niewierny kamerdyner odchodzi. Zapiski Anny Askew zostały wywiezione za granicę, a dzieło królowej przepadło jak kamień w wodę. Ma je ktoś inny, nie Stice. Mordercy Greeninga i pozostali członkowie jego grupy zniknęli bez śladu.

- I nie ma żadnego dowodu, że coś ich łączy z Richem - poparł go Barak. — Wręcz przeciwnie.

- Zawsze istniała jakaś... trzecia siła, ktoś, kto wynajął tych dwóch zabójców. Nie udało nam się odkryć, kto to jest. Z jakiegokolwiek powodu Rich i Stice mnie szpiegują, zaczęli jeszcze przed kradzieżą *Lamentacji*, więc może nie ma to nic wspólnego z tym dziełem, ma natomiast z królową. Brocket powiedział, że szczególnie kazano mu zwracać uwagę na wszelkie informacje o mych powiązaniach z nią. Muszę rozwiązać tę sprawę dla jej dobra. I owszem, dla własnego także!

Nicholas popatrzył na mnie poważnie.

- Chcesz, panie, bym poszedł jutro z tobą do tego domu?

Barak go poparł:

- Nie ma żadnych gwarancji, że Stice będzie tam sam tylko dlatego, że tak bywało w przeszłości.

- Lord Parr wysłał człowieka, by obserwował to miejsce. Będzie wiedział, kto tam zachodzi.

- Powinieneś, panie, zabrać z sobą kogoś - nalegał chłopak. Spojrzałem na niego. Na jego piegowej twarzy malowała się szczerłość, lecz nie miałem wątpliwości, że znowu obudziło się w nim młodzieńcze upodobanie do przygody.

Odezwał się Barak:

- Jeśli on ma iść z tobą, to lepiej, bym poszedł i ja. Będę nad wami czuwał.

Zawahałem się.

- Nie, obaj już uczyniliście wystarczająco dużo. Z pewnością zdołam przekonać lorda Parra, by przydzielił mi kilku ludzi.

— Ale jeśli ci się to nie uda... — Barak uniósł brwi.

Przyjrzałem się im obu. Zdałem sobie sprawę, że od chwili, gdy wysłałem Brocketa z tą wiadomością, chciałem, by zaoferowali mi chęć pomocy. I obaj to zrobili, wiedzeni lojalnością wobec mnie. Nagle poczułem ściskanie w gardle.

- Wówczas zdecyduję - odpowiedziałem.

Nicholas pokręcił głową.

— Chciałbym się dowiedzieć, kto stoi za ludźmi, którzy przechwycili dzieło królowej.

Barak się roześmiał.

- Wyraziłeś dziś wiele życzeń, drażalu. Nic nie wskazuje, by był to Rich, lecz nigdy nie wiadomo.

Może Wriothsley albo któryś z nich na zlecenie biskupa Gardinera.

— Tak — zgodziłem się. — Jednak trudno powiedzieć. Niewykluczone, że w tę intrygę jest zamieszana lady Maria, razem z Jane, rzekomo niespełna rozumu, choć właściwie w to wątpię. Albo nawet Seymourowie, którzy działają przeciwko Parrom.

Barak podniósł wyimaginowaną szklanicę.

— Za Henryka i całą rodzinę królewską, jego wspaniałych doradców i wielkiego admirała d'Annebaulta. Za tę całą przekłętą gromadę!

*

Wróciłem do domu zmęczony i trawiony wyrzutami sumienia. Wpadłem w złość na myśl, że jestem wykorzystywany, czyż jednak sam nie wykorzystywałem Baraka i Nicholasa?

W domu panowała cisza, popołudniowe słońce odbijało się od szyb w oknach. Zamożny dom — pod wieloma względami byłem szczęśliwym człowiekiem. Pomyślałem o Martinie i biednej Agnes, zapewne jadących teraz na północ, z chustkami na twarzach w ochronie przed pyłem. Za pieniądze, które im dałem, przynajmniej mogli wynająć dobre konie. Musiałem zdać się na Josephine i Timothy'ego, póki nie znajdę nowego kamerdynera.

Josephine była w kuchni, przygotowywała wieczorny posiłek.

- Czy już pojechali? — zapytałem ją.

- Tak, jaśnie panie. - Zauważyłem, że płakała. Dodała trochę niepewnie: - Pan Brocket przed odjazdem poszedł do stajni, by pożegnać się z Timothyem. - Ściągnąłem brwi. Martin nigdy wcześniej nie okazywał chłopakowi żadnych względów, uważając, że jest przeze mnie rozpuszczony. — Nie wiem, co takiego mu powiedział, lecz kiedy zobaczyłam później Timothy'ego, był przybity, płakał i nie chciał wyjawiać dlaczego. Później pobiegł z powrotem do stajni. Będzie mu smutno z powodu odejścia Agnes. Ostatnio... nie był sobą.

- Miałem... cóż... powody, by być z Timothy'ego niezadowolony. Zamierzałem dziś z nim pomówić. Zrobię to teraz.

Wyraźnie jej ulżyło.

- Myślę, że to dobry pomysł, jaśnie panie. Jeśli wolno mi tak powiedzieć — dodała pospiesznie.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Wolno, Josephine. Teraz ty prowadzisz moje gospodarstwo. — Otworzyła szeroko oczy, patrząc na mnie z zadowoleniem, ale i przestraszona.

Poszedłem do stajni. Słyszałem, jak Genesis w środku przestępuje z nogi na nogę. Otwierając drzwi, wziąłem głęboki oddech.

- Timothy - zacząłem - sądzę, że powinniśmy porozmawiać...

Stajnia jednak była pusta, z wyjątkiem mego konia w boksie. Zauważyłem kartkę na odwróconym wiadrze, na którym siadywał Timothy; była adresowana do „pana Shardlake'a”. Nalegałem, by Timothy poszedł do szkoły nauczyć się pisać. Z niepokojem wziąłem list.

Przepraszam, Panie, za to, co zrobiłem tamtego dnia, że Cię szpiegowałem. To było niedobre. Ale nie chciałem nic złego. Przysięgam na Jezusa Chrystusa. Pan Brocket mówi, że odchodzą z panią Agnes i że to przeze mnie. Nie zasługuję, by zostać w Twym domu, więc ruszam w drogę, lamentujący grzesznik.

Lamentujący grzesznik. To określenie mną wstrząsnęło, mimo że było napisane z błędem. Lecz przecież stało się dość powszechne w kraju, w którym coraz więcej ludzi sądziło, że ma nad czym lamentować przed Bogiem. Opuściłem kartkę, uświadamiając sobie, że moja surowość wobec chłopca wyrządziła większą szkodę, niż sądziłem. Martin zaniósł wiadomość do karczmy, w to nie wątpiłem, lecz później wyładował swój gniew i rozgoryczenie na chłopcu. Niegodziwiec.

Zmiałem list w dłoni. Pobiegłem do domu, wołając do Josephine:

— Zniknął! Timothy zniknął! Musimy go odnaleźć!

Rozdział czterdziesty ósmy

Josephine poszła po swego narzeczonego, młodego Browna. Chętnie przyłączył się do poszukiwań Timothy'ego - on i Josephine udali się w jedną stronę, a ja w drugą, by przeczesać okolice aż za Newgate. Lecz chociaż chłopak zniknął zaledwie przed godziną, nie znaleźliśmy po nim śladu. Porzuciłem poszukiwania dopiero o zmierzchu, wracając do pustego domu, gdzie zapaliłem świecę i siedziałem posepnie przy kuchennym stole. Przeklinałem Brocketa. Celowo upokorzył Timothy'ego, który jak sobie uświadomiłem, stał się dla mnie niczym syn, tak jak Josephine - niczym córka. Możliwe, że dlatego właśnie poczułem się tak zraniony tym, co zrobił, i potem, pod wpływem gniewu, zraniłem go. Co za głupota, doprawdy głupota. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym traktował każdego z nich jak zwykłego służącego.

Kiedy tak siedziałem, licząc, że Josephine i Brown wrócą z Timothyem, powróciły do mnie przedśmiertne słowa Bealknapa: „Co się z tobą stanie po mojej śmierci?”. Niemal jakby przewidział te wszystkie nieszczęścia, które na mnie spadają.

Wziąłem głęboki oddech. Przypomniałem sobie znowu, jak poprzedniej jesieni Bealknap okazywał mi przyjaźń i jak przez jakiś czas miałem wrażenie, że mnie osacza. A potem zaniemógł - musiało to być na początku roku, mniej więcej wtedy, kiedy nastał u mnie Martin. Sądziłem, że szpiegował mnie on w związku z polowaniem na heretyków. Lecz jeśli to Bealknap miał na mnie donosić, tyle że jego wysiłki, by zdobyć moje zaufanie, spełzły na niczym, a potem zachorował, być może Stice zaczął szukać innego agenta i dowiedział się, że mój nowy kamerdyner potrzebuje pieniędzy.

Przesunąłem palcami we włosach. Jeśli Bealknap rzeczywiście mnie szpiegował, to tłumaczyłoby jego słowa na łożu śmierci. Kro jednak interesowałby się mną już jesienią minionego roku, wszak polowanie na heretyków miało się dopiero zacząć i nie pracowałem jeszcze dla królowej.

Z zamyślenia wyrwał mnie szcęk obracanego w zamku klucza. Wrócili Josephine i Brown, oboje wyraźnie zmęczem. Brown pokręcił głową, kiedy Josephine siadała przy stole naprzeciwko mnie.

— Nie znaleźliśmy go, jaśnie panie — powiedział. — Rozpytywaliśmy wśród ludzi, zachodziliśmy do sklepów, zanim je pozamykano, ale daremnie.

Josephine spojrzała mi w twarz.

— Timothy... był w porządnym ubraniu i z pewnością z tą swoją szczerbą między zębami zostałyby zapamiętany przez każdego, kto by go widział.

Młody Brown położył jej dłoń na ramieniu.

— Na ulicach jest wiele szczerbatych dzieci - zauważył.

— Ale nie uśmiechają się tak jak Timothy. — Josephine wybuchnęła płaczem.

Wstałem.

— Dziękuję wam obojgu za pomoc. Idę do Jacka Baraka. Może on wpadnie na jakiś pomysł. — Ufałem, że się na nim nie zawiodę, w końcu sam był kiedyś bezdomnym dzieckiem. — Jeśli twój pracodawca się zgodzi, panie Brown, o świcie podejmiemy poszukiwania.

*

— Wyznacz nagrodę. - To była pierwsza sugestia Baraka. Trzymając kufel piwa, siedziałem razem z nim i Tamasin w ich salonie. Po przyjsciu jak zwykle zastałem domową atmosferę: mały George spał w łóżeczku na górze, Barak naprawiał drewnianą zabawkę, którą chłopczyk zepsuł, Tamasin zaś szyła przy świecy i widać już było, że jest przy nadziei.

— Tak zrobię. Kiedy jutro wyruszymy na poszukiwania. Zaoferuję pięć funtów.

Barak uniósł brwi.

- Pięć funtów! Przyprawdzą ci pod drzwi gromadę zaginionych łobuziaków.

- Wszystko mi jedno.

Pokręcił głową.

Odezwała się Tamasin:

- Jak ma na imię narzeczony Josephine? Wciąż, panie, mówisz o nim po nazwisku.
- Edward, Edward Brown. Chociaż rzeczywiście myślę o nim jak o „młodym Brownie”.

Uśmiechnęła się na to.

- Może dlatego, że odbiera ci Josephine.

- Nie, nie, to porządny człowiek. - Pomyślałem, że tego dnia chętnie zgodził się pomóc, pewnie z miłości do Josephine. Dziewczyna nie mogła znaleźć sobie lepszego męża. Jednak niewykluczone, że w słowach Tamasin było ziarno prawdy.

- Przyjdę do ciebie jutro rano z Jane Marris — powiedziała. — Każde z nas może przeszukać inną część miasta.

- Nie, nigdzie nie pójdziesz — sprzeciwił się Barak. - Nie będziesz chodzić po ulicach i cuchnących zakamarkach. Nie ma mowy. — Odłożył zabawkę. — Porozmawiam z ludźmi, za pięć funtów wielu ubogich prawników i ich służących z chęcią poszuka chłopca. — W jego głosie wciąż brzmiało zdumienie z powodu wielkości sumy, którą gotów byłem wyłożyć. — Czy zapłaciłeś już ostatnią ratę podatku? -zapytał.

- Jeszcze nie. Pamiętaj jednak, że dostałem cztery funty od Stephena Bealknapa. - Lekko zmarszczyłem czoło, ponownie myśląc o tym, co powiedział przed śmiercią.

- Lepiej go znajdźcie - powiedziała Tamasin do męża. - Gdyż w przeciwnym razie przyłączę się do poszukiwań. — Mnie zaś spytała: - Czy nie jedziesz jutro do Hampton Court?

- Tak. Lecz muszę tam być dopiero na piątą po południu. Do wyjazdu będę szukał Timothy'ego.

*

Nazajutrz, gdy Barak skrzykiwał ludzi na poszukiwania, Josephine, pan Brown i ja znowu wyszliśmy na ulice. Oni ruszyli na wschód, by sprawdzić, czy chłopak nie opuścił Londynu, bo jeśli tak się stało, już byśmy go nie znaleźli. Ponieważ jednak przez całe życie mieszkał w mieście, istniała nadzieja, że będzie gdzieś tutaj.

Na Fleet Street zebrał się mały tłum, albowiem tego dnia wieszano skazańców i gawiedź zawsze chętnie się zbierała, by patrzeć, jak wiezie się ich wozami, ze stryczkami na szyjach, w kierunku wielkiej szubienicy przy drzewie Tyburn. Niektórzy obrzucali ich obelgami, inni dodawali im odwagi i zachęcali, by ginęli z godnością. Choć jak zwykle przy tej okazji zadrzałem, przystanąłem, by popytać ludzi, czy nie widzieli Timothy'ego. Daremnie jednak.

Poszedłem w głąb Cheapside, wstępując po drodze do sklepów. Tego dnia włożyłem togę i perukę, by sklepikarze traktowali mnie poważnie, lecz pewnie wielu z nich myślało, że brakuje mi piątej klepki, kiedy zadawałem pytania, które wkrótce stały się niczym litania: „Szukam chłopca stajennego... uciekł wczoraj po południu... trzynaście lat, średniego wzrostu, potargane ciemne włosy, bez dwóch przednich zębów... Tak, pięć funtów... nie, niczego nie ukradł... tak, wiem, że mogę znaleźć następnego”.

Rozpytywałem wśród żebraków przy Great Conduit. Widząc zamożnego dżentelmena, otoczyli mnie kręgiem, tak że nie mogłem wytrzymać ich smrodu. Były między nimi dzieci, brudne, niektóre całe w ranach, ze wzrokiem dzikim jak u kotów, a także niewiasty, tylko w łachmanach, zbyt zniszczone albo szalone, by zarabiać jako dziwki. Mężczyźni często nie mieli rąk albo nóg, które stracili na wojnie albo na skutek wypadków. Wszyscy mieli spaloną słońcem skórę, spierzchnięte usta i suche matowe włosy.

Nie jeden twierdził, że widział Timothy'ego, i wyciągał rękę po nagrodę. Dawałem każdemu z nich na zachętę po kilka pensów i zapowiadałem, że dostanie niewyobrażalnie wysoką sumę, pięć funtów, jeśli przyprowadzi chłopca - tego chłopca, podkreślałem. Jeden malec, około dwunastoletni, zaoferował się w miejsce Timothy'ego, odsłaniając chudy tyłek, by pokazać, co przez to rozumie. Któraś z kobiet, czekających na wodę przy rurze, zawołała: „Hańba!”.

Jednak nie dbałem o to, co sobie myślą, jeśli tylko była szansa na znalezienie Timothy'ego.

*

Były jeszcze jedne drzwi, do których mogłem zapukać. Guy znał Timothy'ego, spotykał go w moim domu, i chłopak go polubił.

Ponadto, jeśli coś mu się stało, mógł udać się po pomoc do Świętego Bartłomieja. Mimo obcości, która między nami zapanowała, potrzebowałem pomocy Guya.

Drzwi otworzył mi jego pomocnik, Francis Sybrant, który powiedział, że pan jest w domu. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, gdyż byłem pokryty ulicznym pyłem. Zaczekałem w gabinecie Guya, z tymi dziwnymi schematami ludzkiego ciała oraz przyjemny wonią drewna sandałowego oraz lawendy. Niebawem przyszedł. Zauważyłem, że zaczyna powłóczyć nogami jak starzec, lecz wyraz jego ciemnej uczzonej twarzy pod rzednącymi siwymi włosami był życzliwy.

- Matthew, miałem dziś do ciebie napisać. O pani Slanning. Cieszę się, że mnie do niej skierowałeś.

- Jak ona się miewa?

- Niezbyt dobrze. Rozmawiała ze swym księdzem, lecz nie wyznała mu prawdy. Myślę, że nie może się na to zdobyć. Przepisałem jej środek na sen. Ma oddanego sługę, który nie dopuści, by poszła śladem brata. Może za jakiś czas się wypowiedzi i dostanie rozgrzeszenie.

- Czy sądzisz, że spowiedź przyniesie jej spokój ducha?

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Myślę, że to już niemożliwe. Jednakże przyniesie jej pewną ulgę.

- Guy, potrzebuję twej rady w jeszcze jednej sprawie... która nie ma nic wspólnego z moznymi tego świata — dodałem, kiedy na jego twarzy pojawiła się ostrożność.

Opowiedziałem mu o ucieczce Timothy'ego i chętnie obiecał, że rozejrzy się za nim w szpitalu.

Zauważył jednak niewesoło:

- W Londynie są tysiące bezdomnych dzieci, przybywa ich z każdym tygodniem. Zostają osieroczone, wyrzucone z domu albo ściągają z prowincji. Wiele z nich nie żyje długo.

- Wiem. A co do Timothy'ego... to po części moja wina.

- Nie myśl tak. Sądzę, że masz rację, że wciąż jest w mieście i dzięki nagrodzie uda się go odnaleźć.

*

Wróciłem do domu niedługo przed lunchem. Zastałem w nim Baraka, który powiedział, że wysłał na poszukiwania pół tuzina ludzi, a tym, których zwerbował, polecił angażować następnych, obiecując udział w nagrodzie, jeśli chłopiec się znajdzie.

— Rozdysponowałem zadania - oznajmił, uśmiechając się szeroko. - Nicka też wyprawilem w miasto. Ostatnio nadrobiliśmy zaległości w kancelarii.

— Dziękuję - odparłem, wdzięczny za jego praktyczność.

— Myślę, że powinieneś tu zostać, by wypłacić nagrodę, jeżeli Timothy zostanie odnaleziony. O której musisz stawić się na uczcie?

— O piątej. Powiniennem wyjechać o trzeciej.

— Dobrze, wówczas cię zastąpię. - Poglądził się po brodzie, jak zwykle zadbanej, gdyż Tamasin regularnie ją strzygła. - Rozmówisz się z lordem Parrem?

— Postaram się — odparłem pośepnie.

— Pamiętaj, że Nick i ja służyimy ci wieczorem pomocą, gdybyś nas potrzebował.

— Lecz Tamasin...

— Tym nie zaprzataj sobie głowy. Byłbyś niespełna rozumu, gdybyś poszedł tam sam.

— Słusznie. Mam nadzieję, że lord Parr przydzieli mi ludzi, lecz na wszelki wypadek po poszukiwaniach Timothy'ego sprowadź tu Nicholasa i poczekaj na mnie razem z nim. Dziękuję raz jeszcze - dodałem, czując, że to niedostateczny wyraz wdzięczności.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Do trzeciej przyszło do mnie albo zostało przyprowadzonych kilku chłopców w łachmanach, lecz nie było pośród nich Timothy'ego. Zostawiłem Baraka w domu i popłynąłem łodzią do Hampton Court. Przed wyjściem starannie otrzepałem togę z londyńskiego pyłu. Złoty łańcuch schowałem do sakwy, paradowanie z nim na szyi po mieście byłoby bowiem tylko kuszeniem ulicznych rabusiów. Byłem zmęczony, doskwierał mi ból w krzyżu i chętnie bym się położył, zamiast siedzieć w łodzi na twardej ławie.

- Udajesz się, jaśnie panie, na uroczystości ku czci francuskiego admirała? — spytał przewoźnik.
- Owszem.
- Zeszłego roku wzięli mnie do wojska i wysłali do Hampshire. Nie wsadzili nas jednak na okręty królewskie. Wróciliśmy do domu, kiedy flota francuska odpłynęła. Ale przez to, że zostałem zabrany I domu i nie mogłem pracować, straciłem dużo pieniędzy.
- Lecz przynajmniej wróciłeś cały i zdrowy.
- Ano tak. Nie wszyscy mieli to szczęście. A teraz przyjmujemy tego zabójcę jak jakiegoś bohatera. — Odwrócił się i splunął do wody. Na horyzoncie ukazały się wysokie ceglane kominy Hampton Court.

*

Jeden z licznych żołnierzy, którzy pełnili straż na pomoście, zaprowadził mnie na dziedziniec Gatehouse Court przed pałacem. Porośnięty trawą szeroki plac był zamknięty z trzech stron wysokimi murami z bramą Holbeina pośrodku, która wiodła na wewnętrzny podwórzec i do głównych budynków, których czerwona ceglana fasada zdawała się w słońcu pomarańczowa. Hampton Court składał się z dużych połączonych z sobą pomieszczeń, co stanowiło ogromny kontrast wobec słoczonych wież i małych dziedzińców Whitehall -może był mniej barwny, lecz za to bardziej okazały.

Na dziedzińcu Gatehouse Court ujrzałem dwa domy bankietowe. Zmyślnie pomalowane, by wyglądały jak z cegieł, były ozdobione flagami Anglii i Francji i nawet mniejszy z nich wyglądał, jakby mógł pomieścić setkę osób. Rozstawiono także kilka królewskich namiotów, które przyciągały oko jaskrawymi kolorami. Tłumy ludzi w swych najlepszych strojach, przeważnie mężczyzn, lecz także i kobiet, stały pośrodku dziedzińca i konwersowały. Pomiędzy nimi uwijali się służący, podając srebrne kubki z winem i podsuwając na tacach słodkości. W powietrzu unosił się zgłęb głośów.

Anonsujący gości zaznaczył me nazwisko na liście — sporządzono ją oczywiście po to, żeby dowiedzieć się, kto się nie stawił — po czym poinformował mnie, że o szóstej przez Great Gate, od strony jej dziedzińca, przybędą król i królowa z admirałem d'Annebaultem, którzy następnie wkroczą do domów bankietowych. Później rozpoczną się tańce. Wszyscy z gości mieli wiwatować, kiedy rozlegną się fanfary. Do tego czasu mogłem się przechadzać wśród innych i gawędzić.

Wziąłem od służącego szklankę wina i zagłębiłem się w tłum, szukając lorda Parra. Nie mogłem go jednak znaleźć, chociaż widziałem wiele znajomych twarzy. Stary książę Norfolk — mimo ciepła odziany w szkarłatną szatę bramowaną futrem - stał z synem, hrabią Surreyem, którego widziałem z damami dworu w komnacie audiencyjnej Jej Królewskiej Mości w Whitehall. Obaj spoglądali na zgromadzonych z arystokratyczną wyższością. Biskup Gardiner w białej sutannie żywo rozprawiał w kącie z lordem kanclerzem Wriothesleyem. Obaj zdawali się zagniewani. Edward Seymour, lord Hertford, spacerował po dziedzińcu, patrząc wyniośle i oceniająco na tłum urzędników miejskich i dworzan szlacheckiego pochodzenia. Miał u boku szczupłą niewiastę w spódnicy z fortugałem i w przybranym piórami kapeluszu. Wielu twierdziło, że jego małżonka, Anna, to sekutnica, której zawdzięcza on wszystkie swe sukcesy jako żołnierz i polityk. Z całą pewnością miała ostre nieprzyjemne rysy.

Wino było niezwykle mocne. Od niego i od zgłębku zaszumiało mi w głowie. Dostrzegłem sir Williama Pageta, jak zwykle w ciemnej szacie, towarzyszącego kobiecie, która mimo strojnej sukni miała

miłą, życzliwą powierzchowność. Kiedy coś powiedziała, zwrócił się ku niej j jego twarz niespodziewanie złagodniała.

Przypomniał mi się spluwający do rzeki przewoźnik. Cały ten przepych przeznaczony był dla oczu d'Annebaulta, ambasadora Francji. Chętnie bym się dowiedział, gdzie w tej chwili jest wysłannik papieski, Bertano. Z pewnością nie było go w Hampton Court, gdyż jego misja stanowiła tajemnicę. Może zresztą już opuścił Anglię. Kiedy tak krążyłem, wypatrując lorda Parra, czułem, że robi mi się coraz goręcej i że łańcuch ciąży mi na szyi. Przystanąłem więc na chwilę w cieniu jednego z potężnych dębów przy zewnętrznym murze.

Ktoś klepnął mnie w ramię, więc się odwróciłem. Był to sir Thomas Seymour, w srebrnym dublecie, krótkim żółtym płaszczu zwieszającym się z ramienia i pasującym do niego berecie, nasadzonym zawadiacko na głowę.

- Pan Shardlake, znowu — powiedział z drwiną. — Jesteś tu jako członek Uczzonej Rady Jej Królewskiej Mości?

- Nie, sir Thomasie. Jako komisarz Lincoln's Inn. Nie służę już królowej. Uniósł brwi.

- Czyżby? Nie wypadłeś z jej łask, mam nadzieję?

- Bynajmniej, sir Thomasie. Po prostu moje zadanie dobiegło końca.

- Ach tak, sprawa zaginionego pierścienia. To niesłychane, by jakiś sługa skradł tak cenny przedmiot i nie poniósł za to kary. Powinno się go odnaleźć i stracić. — Zmrużył swe ciemne oczy. — Gdyż chodziło o klejnot, nieprawdaż?

- Istotnie.

Seymour z wolna pokiwał głową, przeczesując palcami długą błyszczącą miedzianą brodę.

- Dziwne, bardzo dziwne. Cóż, muszę odnaleźć brata. Będziemy siedzieć na uczcie przy stole królewskim. — Znowu uśmiechnął się wyniośle.

Ty próżny głupcze, pomyślałem. Nic dziwnego, że nawet twój brat nie chce cię w Tajnej Radzie. Te uczucia musiały uwidocznic się na mej twarzy, gdyż Seymour ściągnął brwi.

— Jaka szkoda, że nie posiliz się z nami. Przy stołach zasiądą tylko najpotężniejsi Ludzie w królestwie. Musi być ci ciężko tak stać. Już teraz przestępujesz z nogi na nogi.

Wiedziałem, że Thomas Seymour nie odejdzie, nie rzuciwszy jakiejś obelgi pod mym adresem. Nie odpowiedziałem, a wtedy zbliżył do mnie twarz.

— Uważaj, co czynisz, panie Shardlake. Sytuacja się zmienia, bardzo zmienia. — Skinął głową, uśmiechnął się złośliwie i odszedł.

Spojrzałem za nim zaniepokojony jego ostatnimi słowami. Wówczas nieopodal dostrzegłem Mary Odell, z odznaką królowej na kapturku, rozmawiającą z młodym mężczyzną w pomarańczowym dublecie. Sprawiała wrażenie znudzonej. Podeszedłem do niej i zdejmując beret, wykonałem ukłon. Przy tym ruchu brzęknęły ogniwa mego łańcucha.

— Pan Shardlake - powiedziała z ulgą w głosie.

Młodzieniec, przystojny, lecz o wyrachowanym spojrzeniu, zdawał się lekko urażony. Zakreślił trzymany w dłoni srebrnym kielichem.

— Wybacz mi, panie — powiedziałem do niego. — Lecz muszę pomówić z panią Odell w ważnej sprawie.

Ten skłonił się sztywno i odszedł.

— Dziękuję ci, panie Shardlake - podjęła Mary Odell z ujmującym humorem, który zapadł mi w pamięć. - Ten młodzieniec to kolejny kandydat na dworzanina, koniecznie chciał porozmawiać z kimś z otoczenia królowej. - Skrzywiła się.

— Jestem rad, że mogłem się na coś przydać — odparłem z uśmiechem. Potem dodałem z naciskiem: — Muszę pilnie porozmawiać z lordem Parrem. Liczyłem, że go tu spotkam.

Zerknęła na Great Gate za nami.

— Jest na wewnętrznym dziedzińcu, z królową i jej dworkami, gdzie razem czekają na króla i admirała.

— Czy mogłabyś go sprowadzić, pani? Przepraszam, że o to proszę, lecz to naprawdę sprawa niecierpiąca zwłoki. Chciał dziś ze mną pomówić.

Spoważniała.

— Wiem, że nie prosiłbyś bez poważnego powodu. Zaczekaj, spróbuję go odszukać.

Oddaliła się, zamiatając spódnicą bruk, a strażnicy przepuścili ją przez Great Gate. Wziąłem od służącego następną szklanę wina i karmelek. Patrząc w tłum, zauważyłem komisarza Blowera z dwoma ławnikami - wszyscy śmiali się z jakiegoś żartu. Obok przeszedł William Cecil z urodziwą młodą niewiastą, zapewne swą małżonką. Skinął mi głową, lecz nie zatrzymał się przy mnie. Nieco z boku ponownie dostrzegłem Wriothesleya; tym razem konferował, głowa przy głowie, z sir Richardem Richem. Zerknąłem ku bramie. Pióra przy stalowych hełmach strażników chwiały się na wietrze od rzeki. Słońce chyliło się ku zachodowi.

W bramie stanął lord Parr; spojrział na zebranych. Wyciągnął szyję, usiłując wypatrzeć mnie w tłumie. Wyglądał na zmęczonego. Ruszyłem ku niemu.

- Pan Shardlake - powiedział z irytacją w głosie. — Jestem tam potrzebny. Król i admirał pojawiają się za dziesięć minut.

- Przepraszam, Wasza Lordowska Mość. Nie śmiałybym przeszkadzać, lecz dziś wieczorem możemy schwytać Stice'a. Będzie o dziewiątej w domu przy szpitalu Świętego Bartłomieja. Czy masz jakieś nowe wieści? Ktoś tam zachodził?

Starzec ze zdenerwowaniem przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Mój człowiek mówi, że Stice wczoraj na krótko wstąpił do tego domu.

- Sam?

- Tak.

- Zatem, jeśli przydzielisz mi ze dwóch ludzi — zacząłem z przejęciem. - Pójdę tam dziś. Stice'a należy przesłuchać. Nawet jeśli nie mamy powodu, by go...

- Nie — stanowczo przerwał mi lord Parr.

- Jak to, Wasza Lordowska Mość?

- Wszystko się zmieniło, panie Shardlake. Musimy zostawić Charlesa Stice'a w spokoju.

- Ależ... dlaczego?

Pochylił się.

- To tajemnica, Shardlake. Porozumiał się ze mną Richard Rich. Ma na pieńku z Gardinerem z kilku powodów, a to, że opowiedział się za tobą podczas przesłuchania przed Tajną Radą, także nie poprawiło ich stosunków. Zaoferował swą pomoc Seymourom i Parrom przeciwko Norfolкови i Gardinerowi. Jest jak chorągiewka na wietrze, ponownie zmienił sojuszników, ale cóż.

Popatrzyłem na niego ze zdumieniem.

- Królowa będzie teraz trzymać z Richem? Lecz przecież nim gardzi,

- Owszem, będzie - odparł kategorycznie lord Parr. - Dla dobra rodu Parrów i sprawy reform.

Podobnie jak ja.

- Dlaczego jednak... kazał mnie szpiegować? I czy nie wie o *Lamentacjach*?

Lord Parr pokręcił niecierpliwie głową.

- Rich nie uczyni teraz nic, by zaszkodzić reformatorom. Nawet gdyby miał *Lamentacje*, w co wątpię.

- Czy skoro jest teraz twym sprzymierzeńcem, nie możesz go o to zapytać?

W głosie starca zabrzmiała irytacja:

- Nasz układ przewiduje, że zapomnę o jego wszystkich poczynaniach wiosną i latem. Nie będziemy

do nich wracać. Dotyczy to także tego, jak postąpił wobec Anny Askew, i całej reszty. A jeśli chodzi o szpiegowanie cię — dodał nieco łaskawiej. — Zapytam go o to w swoim czasie, gdy pora będzie bardziej sprzyjająca.

Patrzyłem na niego osłupiały. Zaczerwienił się, po czym wybuchnął z rozdrażnieniem:

- Na rany Chrystusa, nie stój tak z rozdziawionymi ustami, wyglądasz jak ryba. Takie są wymogi polityki. Rich i jego ludzie mają być zostawieni w spokoju.

Po tych słowach szambelan królowej odwrócił się i ruszył za Great Gate.

*

Cofnąłem się z poczuciem, jakbym dostał cios w brzuch. A więc Rich okazał się farbowanym lisem. I, pomyślałem ze znużeniem, lord Parr ma rację, takie są wymogi polityki. Dlaczego ktokolwiek miałby mieć Richowi za złe to wszystko, co mi zrobił? Spojrzałem na niego, pogrążonego w rozmowie z Wriothsleyem, który miał rumieńce na twarzy, zapewne się kłócili. Ich przymierze, które doprowadziło do tortur i śmierci Anny Askew, dobiegło końca.

Rozległy się fanfary. Strażnicy przy Great Gate stanęli na baczność, wszyscy goście przestali rozmawiać i w milczeniu zwrócili się w tamtą stronę. W bramie stanął król z admirałem d'Annebaultem przy boku. Henryk był ubrany wspanialej, niż kiedykolwiek widziałem, miał na sobie żółty płaszcz z watowanymi ramionami i futrzanym kołnierzem, szeroki beret z piórem, a także kremowy dublet zdobiony klejnotami. Uśmiechał się łaskawie. Jedną dłoń trzymał na wysadzanej drogimi kamieniami lasce, drugą zaś obejmował arcybiskupa Cranmera. Nie ulegało wątpliwości, że wspierał się na nim. Na szczęście, do domu bankietowego było niedaleko. Po drugiej stronie d'Annebaulta szła, trzymając go pod rękę, królowa. Na tę okazję włożyła suknię w barwach Tudorów, zielono-białą, a kasztanowe włosy schowała pod zielonym czepcem. Uśmiechała się lekko i wyglądała promiennie. Wiedząc, jaki ma zamęt w duszy, nie mogłem się nadziwić jej opanowaniu.

Za parą królewską i ich gościem podążali parami członkowie świty króla oraz dwórki królowej w nowej kolorowej liberii, którym przewodził lord Parr. Zebrani przy bramie rozstąpili się, by pozwolić im przejść do większego z domów bankietowych. Przyłączyłem się do pozostałych, wznosząc szklanę wina. Rozległy się oklaski i wiwaty:

— Boże, chroń króla!

Młodszy dworzanie przystanęli i skierowali się do mniejszego domu. Strażnicy otworzyli drzwi jednego i drugiego, a wówczas dostrzegłem nakryte obrusami stoły ze świecami w złotych kandelabrach, a ponieważ nadchodził zmrok, zostały już zapalone. Najwyżsi dostojnicy państwowi, Norfolk, Gardiner, Paget, bracia Seymourowie i inni opuścili resztę gości i weszli za królem, królową i d'Annebaultem do większego domu bankietowego. Dobiegły stamtąd dźwięki lutni.

Następnie zza bramy wyłoniła się lady Maria, a za nią - jej świta. Była tam także Jane, która zaczęła tańczyć i figlować wokół Marii, ta zaś zaśmiała się i kazała jej przestać. Oni także wkroczyli do królewskiego domu bankietowego.

Tłum na zewnątrz odprężył się, podczas gdy z bramy wyszły następne zastępy służących niosących z pałacowych kuchni wielkie półmiski zjedzeniem. Towarzyszyła im grupa strażników z pochodniami, które wetknęli w obręcze na murach Gatehouse Court i pniach drzew. Kiedy służący częstowali zebranych zimnymi mięsami i winem, zauważyłem, że niektórzy goście już byli pijani; w grupie komisarza Blowera jeden czy dwaj lekko chwiali się na nogach. Jako że sam byłem synem pijaka, ten widok przejął mnie odrazą.

Ogarnąłem spojrzeniem tych wszystkich bogatych ludzi i pomyślałem o Timothy, tułającym się samotnie po ulicach. Przyszło mi do głowy, że może jednak anabaptyści mieli słuszość i świat, w którym nie istniałaby przepaść między garstką bogaczy a tłumami biedaków i takie zarozumiałe fircyki jak Thomas Seymour i komisarz Blower chodziłyby w zgrzebnych koszulach oraz wyświechtanej skórze, nie byłby chyba takim złym miejscem do życia.

Odprowadziłem służącego z talerzami w jednej ręce i złotym półmiskiem z mięsem łabędzia w drugiej. Byłem wstrząśnięty tym, co usłyszałem od lorda Parra. Zmierzchało się i nagle powiał chłodny wiatr. Bolały mnie plecy. Moja misja się zakończyła. Pomyślałem, że powinienem wrócić i powiedzieć Barkowi oraz Nicholasowi, że nie będą potrzebni;

Zauważyłem, że Rich i Wriothlesley wciąż są pogrążeni w żywej rozmowie, czegokolwiek ona dotyczyła. Wiedziałem, że będą mieli kłopoty, jeśli szybko nie zajmą wyznaczonych im miejsc w domu bankietowym. Wtedy dostrzegłem jeszcze kogoś. Stice'a. Wycofałem się w coraz mroczniejszy cień drzewa. Miał na sobie kosztowny szary dublet z wyszytymi na piersi inicjałami „RR” i kiedy znalazł się w blasku pochodni, na jego uciętym uchu uwidoczniła się lśniąca blizna. To, jak się poruszał, wzbudziło moje zdziwienie - skradał się w stronę królewskiego domu bankietowego, szukając kryjówek i wślizgując się za ludzi, którzy dzielili go od jego pana. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie szukał Richa, lecz przeciwnie — unikał go. Tymczasem Rich i Wriothlesley wciąż się spierali. Rich odprawił służę tak gwałtownym ruchem, że ten upuścił tacę z kielichami wina. Ludzie wybuchli śmiechem, kiedy nieborak pochylił się, by je pozbierać, a Rich tylko go zrugał, jakby to nie on był winny. Stice skorzystał z okazji i pospiesznie podszedł do żołnierzy pełniących straż u wejścia do domu bankietowego. Żołnierz w stalowym hełmie wyciągnął rękę, by go zatrzymać.

Wtedy Stice wyjął coś z sakiewki przy pasie i pokazał strażnikowi. Nie widziałem dobrze, lecz wyglądało to na pieczęć, niewątpliwie któregoś z najpotężniejszych ludzi w królestwie. Nie Richa, który wciąż rozmawiał z Wriothlesleyem, gromiąc wzrokiem nieszczęsnego służę, gdyż wówczas Stice po prostu by go wskazał. Gdy strażnik oglądał pieczęć, Stice szybko obejrzał się przez ramię, spoglądając w stronę swego pana. Potem, kiedy żołnierz skinął głową, wpuszczając go, wszedł do namiotu.

Stałem w miejscu z bijącym sercem. Ponieważ dotarło do mnie, że Stice, jak Curdy, szpieg w grupie anabaptystów, mógł mieć dwóch mocodawców. Richard Rich został zdradzony przez swego człowieka. Nie ulegało wątpliwości, że Stice posłużył się pieczęcią tamtego, by dostać się na ucztę. Spieszył powiedzieć swemu drugiemu panu o liście, który zostawił w gospodzie Brocket i w którym była mowa o „pewnym Włochu”. Któż jednak spośród tych dostojników był jego prawdziwym pracodawcą? To on polecił Sticeowi szpiegować mnie od wielu miesięcy. Więc jednak Rich nie kłamał. Patrzyłem z uporem w stronę otwartych drzwi, lecz ledwie widziałem barwnie odzianych dworzan, którzy udawali się na swe miejsca.

Rich i Wriothlesley zdali sobie sprawę, że są spóźnieni. Pospiesznie ruszyli w stronę domu bankietowego, nie rozmawiając już z sobą. Wartownicy wpuścili ich do środka. Byłem ciekaw, czy teraz Rich zobaczy Stice'a.

Nie. Chwilę później Stice przemknął wzdłuż zewnętrznej ściany domu bankietowego, pochylając głowę, kiedy mijał okna — musiał wyjść tylnymi drzwiami. Przywierając do drzewa, patrzyłem, jak oddala się szybkim krokiem w stronę schodów prowadzących nad rzekę i znika.

Na środek dziedzińca wyszła grupa minstreli, by zagrać dla gości. Ludzie przyjęli ich z radością, robiąc im miejsce. Mężczyźni i kobiety ruszyli w tany, powiewając szatami. Pomyślałem przez krótką chwilę, że lord Parr powinien dowiedzieć się o Stisie, zwłaszcza że Rich przeszedł na stronę królowej. Lecz był w środku. Widziałem, z jakim trudem Stice się tam dostał, a nie miałem już pieczęci Jej Królewskiej Mości, którą mógłbym się posłużyć.

Stice zapewne płynął już łodzią do Londynu, by udać się na spotkanie z Brocketem, a przynajmniej tak sądził. Zacisnąłem pięści. Ogarnęły mnie gniew i zawziętość. Cóż, spotka się ze mną, Barakiem i Nicholasem, postanowiłem. Trzech na jednego, pojmiemy go bez trudu i wreszcie poznamy odpowiedzi na kilka pytań.

Rozdział pięćdziesiąty

Barak i Nicholas czekali na mnie, popijając w kuchni piwo. Przy schodach Hampton Court szybko wynajęłam łódź. Na brzegu czekał szereg przewoźników, by po zakończeniu uroczystości odwieźć gości do Londynu, a ja pojawiłam się wcześniej. Spytałem właściciela łodzi, czy odpływam pierwszy, a ten odparł, że jeden z jego kolegów zabrał przed kilkoma minutami innego klienta. Kiedy ruszyliśmy w dół rzeki, dostrzegłem niedaleko przed nami łódź z siedzącym na rufie mężczyzną w szarym duplecie i berecie. Poleciałem przewoźnikowi nieco zwolnić, bym mógł odetchnąć świeżym wieczornym powietrzem, choć tak naprawdę chciałem, by Stice zniknął z horyzontu. Na rzece panował spokój, tylko wiosła powodowały drobne fale lśniąca w zachodzącym słońcu, nad wodą zaś unosiły się owady. Zadałem sobie pytanie, czy postępuję słusznie. I doszedłem do wniosku, że tak, albowiem to z pewnością prawdziwy pan Stice'a zlecił zabójstwa anabaptystów i zdobył *Lamentacje*. I pojawiła się okazja, by mimo wszystko je odzyskać.

*

Po powrocie dowiedziałem się, że nie ma żadnych wieści o Timothy'm. Barak, który był w domu przez całe popołudnie, przyjął kilku przybyszów, którzy twierdzili, że wiedzą, gdzie jest chłopak, lecz najpierw chcieli dostać nagrodę. Rozprawił się z nimi ostro. Podziękowałem zarówno jemu, jak i Nicholasowi za ich wysiłki, a sobie powiedziałem, że na kilka następnych godzin muszę zapomnieć o losie Timothy'ego.

Patrząc na Baraka i Nicholasa, znowu zacząłem się zastanawiać, czy postępuję słusznie. Robiłem co dla królowej i zamordowanych ludzi, lecz także dla siebie, miałem tego świadomość, ponieważ chciałem poznać prawdę. Barak i Nicholas byli przygotowani na niebezpieczny eskapadę — obaj mieli miecze przy pasie i obaj umieli się nimi posługiwać.

Opowiedziałem im, że w Hampton Court widziałem Stice'a, i zrelacjonowałem to, co usłyszałem od lorda Para. Na zakończenie spytałem ponownie:

- Czy na pewno chcecie pójść ze mną?
- Teraz szczególnie — odparł Barak. — Po odejściu Brocketa to nasza ostatnia szansa.
- Co powiedziałaś Tamasin?

Zmieszkał się.

- Ze będziemy wieczorem kontynuować poszukiwania Timothy'ego.

Ja zaś chętnie odpłacę się łajdakowi, który mnie porwał — rzekł z kolei Nicholas. - Lecz co z nim pocniemy, panie, gdy już będzie w naszych rękach? Nie możemy go zabrać do mnie jak Leemana, gdyż są tam moi koledzy.

- Myślałem o tym. Zostaniemy z nim na miejscu do rana, sami go przesłuchamy, a potem zaprowadzimy do lorda Para.

- Już ja z niego wydobędę wszystko, co wie — skwitował zimno Barak. - Nie będzie pierwszy - rzucił enigmatycznie.

Pomyślałem, że pewne rzeczy, które robił, pracując dla Cromwella, muszą zostać okryte tajemnicą.

- Czy możemy mieć pewność, że Stice będzie sam? — spytał Nicholas.
- Brocket miał go poprosić, by przyszedł w pojedynkę, jak zwykle, A człowiek lorda Parra, wysłany przez niego, by obserwował dom, mówi, że Stice zaszedł tam sam i tylko raz.

Barak wyjaśnił:

- Kazałem jednemu z ludzi, którzy pomagali nam w poszukiwaniach Timothy'ego, przejść się tamtą uliczką i przedstawić mi potem raport. Nie chciałem iść osobiście, ponieważ Stice mnie zna. To alejka otoczona nowo wybudowanymi domkami, znacznie lepsze miejsce niż Needlepin Lane. Większość z nich ma ganki, dość głębokie. Moglibyśmy ukryć się na jednym z nich i do dziewiątej obserwować, co się dzieje. Może nawet udałoby się nam zobaczyć, czy Stice przybędzie sam,

— Doskonale. — Wyjrzałem przez okno. Było już całkiem ciemno. Pomyślałem, że na dziedzińcu w Hampton Court przy blasku pochodni odbywają się tańce, a z królewskiego domu bankietowego dochodzą odgłosy zabawy. Wiedziałem, że w najbliższych dniach mają się odbyć kolejne ucztę i polowania, wszystkie z udziałem królowej. Później przypomniałem sobie o Timothy, samotnym na niebezpiecznych ulicach już drugą, noc. Przywołałem się jednak do porządku.

Powiedziałem:

- Lecz pamiętajcie, że Stice to człowiek, który nie cofnie się przed niczym.
- Fortuna sprzyja tym, którzy stoją po stronie honoru i sprawiedliwości — zauważył Nicholas.
- Oby... — odparł Barak.

*

Kiedy szliśmy w stronę Smithfield, na ulicach panował spokój. Na szczęście, nie był to dzień targowy, więc plac stał pusty i pogrążony w ciszy. Ruszyliśmy Little Britain Street, wzdłuż szpitala Świętego Bartłomieja, po czym skręciliśmy w szeroką aleję — po obu jej stronach wznosiły się szacowne nowe dwupiętrowe domy, przeważnie z szybami w oknach zamiast okiennic i niewielkimi gankami. W większości okien paliły się świece, tylko jeden dom był pogrążony w ciemności. Barak dał znak, byśmy skryli się tam na ganku. Miałem nadzieję, że właściciel nie wróci niespodziewanie, bo pomyślałby, że zdybał rabusiów.

Barak wskazał dom po przeciwnej stronie alei, nieco dalej.

— To ten. Nad gankiem widnieje duża róża Tudorów, tak jak mówił Brocket. Można ją stąd zobaczyć.

Podążyłem za jego wzrokiem. Budynek miał okiennice, nie szyby, i były one zamknięte. Wokół panowała cisza. Przed wyjściem spojrzałem na mały zegar w salonie, musiało być już po wpół do dziewiątej.

Staliśmy, czekając i obserwując. Z pobliskiego domu wyszła służąca, niosąc kubeł brudnej wody, którą wylała do rynsztoka pośrodku drogi. Stężeliśmy wszyscy, kiedy u wlotu alei pojawiło się światło pochodni i rozległy się głosy. Był to jednak tylko chłopiec do roznoszenia pochodni, który prowadził gawędzącą pogodnie małą rodzinę, wracającą z jakiejś wizyty. Weszli do jednego z budynków w dalszej części ulicy.

- Która godzina? — zapytał cicho Nicholas. — Musi już dochodzić dziewiąta.
- Pewnie tak - odparł Barak. — Lecz Stice'a chyba jeszcze nie ma.
- Może przyszedł wcześniej i jest już w środku — szepnąłem. - Na przykład w głębi domu.

Barak zmrużył oczy.

- Dobrze, zaczekajmy, aż wybije zegar. Stice by się nie spóźnił, skoro zadał sobie tylu trudu, by dostać się do Hampton Court i powiadomić swego pana.

Czekaliśmy więc dalej. Kiedy zegar wybił dziewiątą, Barak wziął głęboki oddech.

- Idziemy — szepnął. - Bierzemy go, gdy tylko otworzy drzwi.

*

Przebiegliśmy przez ulicę. Zerknąłem na różę Tudorów na nadprożu ganku, kiedy Barak głośno zapukał do drzwi. Obaj z Nicholasem trzymali dłonie na rękojeściach mieczy, ja zaś wyciągnąłem sztylet.

Dały się słyszeć szybkie kroki, jakby w rzeczy samej dochodzące z głębi domu. W szparach okiennic pojawił się blask świec. Gdy tylko po wewnętrznej stronie drzwi poruszyła się gałka, Barak napał na nie ramieniem i wpadł do środka. Wewnątrz było ciemno, na stole stało tylko kilka świeczek. W ich blasku zobaczyłem, że Charles Stice zachwiał się do tyłu, sięgając po miecz przy pasie. Jednakże Barak i Nicholas już wzięli go na cel.

- Mamy cię! — zawołał Nicholas triumfalnie.

Wówczas kątem oka zauważyłem szybki ruch po obu stronach drzwi - dwaj ludzie, którzy zaczaili się przy nich, wyskoczyli z cienia. Błysnęła kolejna para mieczy. Barak i Nicholas odwrócili się

gwałtownie, kiedy tamci, potężnie zbudowani mężczyźni, zaatakowali ich od tyłu. Rozpoznałem ich twarze w blasku świec: jeden był jasnowłosy, z brodawką na czole, drugi zaś łysy. Zabójcy Greeninga: Daniels i Cardmaker.

Barak i Nicholas zareagowali błyskawicznie, odparowując ciosy. Ja tymczasem rzuciłem się przed siebie ze sztyletem, gotów wbić go w szyję tego łysego. On jednak był ode mnie szybszy. Wciąż atakując Nicholasa, wykonał półobrót i wolną ręką uderzył mnie w twarz. Zatoczyłem się na ścianę. Ale to wystarczyło, by Nicholas zdobył przewagę i zmusił go do odwrotu.

Barak, niestety, musiał stawić czoło nie tylko drugiemu mężczyźnie z przodu, lecz także Stice owi z tyłu. I zanim zdążył usunąć się na bok, by mieć ich obu przed sobą, Stice podniósł dobytej właśnie miecz i ciął go w rękę, w której ten trzymał broń. Ku memu przerażeniu, śmiertelnie jak brzytwa ostrze, opuszczone z całą siłą, na jaką stać było Stice'a, wbiło się w nadgarstek Baraka i zagłębiło w nim. Krzyknąłem przeraźliwie, gdyż ujrzałem widok, którego nigdy nie zapomnę — zraniona ręka Jacka, wciąż dzierżąca miecz, poszybowała w powietrzu i spadła na podłogę.

Barak wrzasnął, odwrócił się i złapał za przedramię, z którego tryskała krew. Wówczas Stice dźgnął go mieczem w plecy. Jack spojrział na mnie. Jego twarz wyrażała zaskoczenie, w oczach zaś było pytanie, jakby chciał, bym mu wyjaśnił, co się stało. Potem ugięły się pod nim nogi i upadł na podłogę. Leżał twarzą do dołu, a z jego uciętego nadgarstka płynęła krew.

Rzuciłem się z furią na Stice'a, unosząc sztylet. Tego się nie spodziewał i nie zdążył zastawić mi mieczem drogi. Mierzyłem w jego gardło, lecz się uchylił i ciąłem go w twarz, od ust po ucho. Zawołał z bólu, lecz nie upuścił miecza; podniósł go do mej szyi, zmuszając mnie do cofnięcia. Zostałem przyszpilony do ściany.

— Przestańcie! — wykrzyknął. — Nie macie szans!

Zerknąwszy w bok, zobaczyłem, że tamci dwaj osaczyli Nicholasa.

Łysy zawołał:

— Rzuć miecz, chłopcze! — Nicholas zgrzytnął zębami, lecz wykonał rozkaz. Jego broń upadła z brzękiem na podłogę. Z przerażeniem spojrział na Baraka, który leżał rozciągnięty na podłodze. Stice opuścił miecz. Sięgnął do kieszeni i wyjął chusteczkę, by otrzeć krew ciekącą ze zranionego policzka. Dostrzegłem biel kości.

Barak jęknął cicho. Żył jeszcze, choć ledwie dychał. Próbował podnieść głowę, lecz opadła z tępych uderzeniem i później już się nie ruszał. Z jego ręki wciąż płynęła krew, lecz rana na plecach krwawiła jeszcze bardziej, tworząc na koszuli ciemną plamę.

— Wciąż żyje — zauważył łysy z fachowym zainteresowaniem.

- Ale już niedługo - odparł Stice. - Wykrwawi się na śmierć, jeśli nie skona z innej przyczyny. - Po jego ręce, w której trzymał chusteczkę, spływała krew. - Był kiedyś waleczny - rzucił z nagłą dumą.

Spojrział na niego i wycedziłem wściekle przez obolałe usta:

- Przynajmniej będziesz miał na twarzy bliznę pasującą do uciętego ucha.

Popatrzył na mnie zimno, po czym się roześmiał.

- Zatem przyłapałeś Brocketa, hę?

- To ja przesłałem ci wiadomość.

Stice się uśmiechnął.

- Sądziłem, że Brocket ma jakąś ważną informację, więc pomyślałem, że najlepiej będzie zaprowadzić go do mego pana. Dlatego sprowadziłem pomoc, by nie stawiał oporu.

- Więc od początku wszyscy działaliście razem?

- Zgadłeś. Należymy do tej samej wesołej gromady, pracujemy dla jednego człowieka

Jasnowłosy, wciąż trzymając miecz przy gardle Nicholasa, rzudł do Stice'a:

- Chyba będzie zadowolony? Razem z tą płótką schwytaliśmy grubą rybę.

Stice przysiadł na brzegu stołu.

- Tak, chętnie się dowie, skąd garbus wie o Włochu. — Skrzywił się z bólu od rany na twarzy. — Na rany Chrystusa, będę musiał dać to zaszyć. Lecz najpierw musimy odstawić Shardlake'a na miejsce. I tego gołowasa także. Skrępuj im ręce, pojedziemy konno. W Whitehall się mną zajmą. Już tam na nas czekają.

Whitehall? - pomyślałem. Ale przecież rodzina królewska i najwyżsi doradcy przenieśli się do Hampton Court.

- Jest po godzinie policyjnej - zwrócił uwagę jasnowłosy. — Co będzie, jeśli zatrzymają nas konstable?

- Mam pieczęć. Kiedy zobaczą, do kogo tych dwóch zabieramy, puszczą nas wolno.

Nagle rozległo się walenie w ścianę oddzielającą dom od sąsiadów. Dał się słyszeć męski głos:

- Co tam się dzieje?! — Był pełen oğłady, gniewny i jednocześnie przestraszony. - Co to za hałasy?!

Stice odkrzyknął:

— Chcemy się zabawić! Cicho tam! — Jego towarzysze zarechotali. Po drugiej stronie ściany zapanowała cisza. Spojrzałem na Baraka, leżącego już całkiem nieruchomo. Z jego nadgarstka wciąż ciekła krew, lecz już nie tak obficie. Zerknąłem na odciętą dłoń, która spoczywała nieco dalej, wciąż z mieczem.

— Dobrze - powiedział zdecydowanie Stice. — Komu w drogę, temu czas.

— Kto jest twoim panem? - spytałem. - Bo nie Richard Rich, nieprawdaż? Byłem dziś w Hampton Court i widziałem, że nie chciałeś zwracać na siebie jego uwagi. Dla kogo tak naprawdę pracujesz?

Stice zmarszczył czoło.

— Niebawem się dowiesz, garbusie.

Łysy wskazał na nieszczęsnego Baraka.

— A co z nim?

— Zostawimy go tu, niech się wykrwawi na śmierć — odparł Stice.

Zapytałem z desperacją:

— Zostawicie go w tym domu, by skonał? I by znaleziono tu ciało? Sąsiad już się niepokoi. Jutro zajrzy do środka przez okno. Potem odbędzie się dochodzenie, sprawa zyska rozgłos, koroner zechce się dowiedzieć, kto jest właścicielem budynku - ciągnąłem nerwowo, albowiem wiedziałem, że to ostatnia nadzieja, by uratować Baraka. — Powszechnie wiadomo, że Jack Barak pracuje w mojej kancelarii... cokolwiek zamierzacie ze mną zrobić, jego śmierć zostanie uznana za morderstwo i nie ujdzie wam na sucho. Zwłaszcza kiedy dowie się o tym królowa.

— Nasz pan może zamknąć śledztwo koronera — pogardliwie odparł łysy.

Stice jednak ściągnął brwi, uświadamiając sobie, że mam rację. Spojrzał na Baraka. Jego twarz, częściowo zwrócona w moją stronę, była nieruchoma i szara jak popiół w zestawieniu z brodą. Mógł już nie żyć. Pomyślałem o Tamasin, noszącej w łonie jego dziecko. To ja go tu sprowadziłem.

— Garbus słusznie prawi — zauważył z niepokojem jasnowłosy.

— Dobrze - zgodził się Stice. - Nasz pan woli zachować ostrożność. No, dalej, niech jeden z was opatrzy go chustką, bo inaczej zakrwawi całą podłogę.

— Wiem, gdzie możemy go przenieść. - Łysy cicho zarechotał. -Przyszedłem tu od tyłu. Niedaleko jest pusta działka, na której ludzie urządzili wysypisko śmieci. To dwie ulice stąd.

- Niech będzie - powiedział Stice. - Zwiążcie tych dwóch. I zakneblujcie ich.

Cardmaker wyjął z sakwy przy pasie długą linę, którą musiał przynieść z myślą o Brockecie. Przeciął ją nożem na pół, po czym zbliżył się do nas.

- Ręce na plecy! — nakazał.

Nie pozostało nam nic innego jak tylko usłuchać. Kiedy nas wiązali, a potem, wyjąwszy chusteczki, wetknęli nam je do ust, z niepokojem spoglądałem na Baraka. Stice jedną chustką opatrzył mu ranę na plecach, by zatamować krwawienie, drugą zaś obwiązał kikut. Przez materiał jednak natychmiast

przesiąkła jaskrawa czerwień.

Stice polecił:

- Daniels, przerzuc go przez swoje siodło. Tych dwóch wsadzimy na konia, którego przyprowadziliśmy dla Brocketa. I zwiążemy im nogi pod końskim brzuchem. Jeśli po drodze zostaniemy zatrzymani, powiemy, że to zdrajcy i że ich aresztowaliśmy. - Zerknął na odciętą j dłoń Baraka i kałużę krwi, która zebrała się wokół niej na podłodze. - j Rany boskie, ale juchy. Będziemy musieli tu wrócić i posprzątać. Nasz pan często korzysta z tego domu.

Zaprowadzili nas na tył budynku, gdzie znajdowała się stajnia; czekały tam trzy konie. Nie mogłem spokojnie patrzeć, jak Cardmaker brutalnie ujmuje nieprzytomnego Baraka pod pachy i przerzuca go przez koński grzbiet niczym worek kapusty. Z tego, co udało mi się zauważyć, krwawienie nieco się zmniejszyło, choć na ziemię spadło kilka czerwonych kropli. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nawet jeśli Jack jeszcze żył, nie zostało mu wiele czasu, może z piętnaście minut, zanim całkowicie by się wykrwawił.

Stice spojrzał na mnie znad chusteczki, którą miał na twarzy, i w jego oczach pojawił się błysk złośliwej satysfakcji.

- Mój pan zdecyduje, czy darować wam dwóm życie. Będzie miał nie lada niespodziankę, gdyż spodziewa się tylko przestraszonego kamerdynera.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Jechaliśmy za stajniami. Mimo że świecił księżyc, ledwie było widać dróżkę między ogrodzeniami domów. Potem skręciliśmy i znaleźliśmy się na drodze biegnącej na tyłach innego szeregu budynków. Pośrodku niej znajdowała się pusta działka, na której nie wiadomo dlaczego nic nie zbudowano. Jak powiedział Cardmaker, ten łysy, okoliczni mieszkańcy urządzili tam sobie wysypisko śmieci. Zauważyłem stare łóżko, połamane krzesła, odpadki kuchenne i wielki stos skoszonej trawy z ogródków, która zamieniła się w kompost. Wokół wysypiska unosił się smród.

Zatrzymaliśmy się tam. Ludzie Stice'a zsiadli z wierzchowców i Barak został zdjęty z końskiego grzbietu, a następnie rzucony głową do przodu na kupę kompostową. Rzadko się już modliłem, gdyż nawet jeśli Bóg istniał, musiał być głuchy, lecz wtedy zmówiłem bez nadziei modlitwę, by jakimś cudem Jack przeżył.

Wróciliśmy na główną drogę. Z trudem utrzymywałem równowagę na koniu. Twarz boleśnie pulsowała mi od ciosu, który dostałem podczas walki. Przy boku każdego z nas szedł jeden z ludzi Stice'a, on sam zaś na przodzie prowadził wierzchowca, na którym niedawno wieźli Baraka, i co jakiś czas przytykał chusteczkę do rany na policzku. Wkrótce znaleźliśmy się na Smithfield i minęliśmy bramę szpitala. Zacząłem się zastanawiać, czy Guy jest w pracy.

Przy Newgate zatrzymał nas konstabl. Podniósł latarnię i zobaczywszy nasze skrupowane ręce i zakrwawioną twarz Stice'a, zapytał ostro, co się tu dzieje. Stice jednak wyjął pieczęć i podsunął ją tamtemu pod nos.

- Sprawa wagi państwowej — warknął. - Wiozę dwóch zdrajców do pałacu Whitehall na przesłuchanie. Jak widzisz po moim obliczu, nie poddali się bez walki.

Londyńscy konstable znali pieczęcie wszystkich dostojników, to należało do ich obowiązku. Ten nie tylko się nie sprzeciwiał, lecz jeszcze skłonił się Stice'owi.

*

Jechaliśmy dalej cichymi ulicami. Minęliśmy Charing Cross i skierowaliśmy się do pałacu Whitehall. Zachodziłem w głowę, dlaczego wiozą nas tam, a nie do Hampton Court. Zapewne oprócz strażników w pałacu została tylko garstka służących. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia w porównaniu z tym, co spotkało Baraka. Kiedy tak siedziałem związany na koniu, straszliwie bolały mnie plecy i rwała twarz, byłem bardzo zmęczony i w końcu głowa mi opadła na plecy Nicholasa. Nie protestowałem, lecz tylko rzuciłem przez ramię:

- Nie zasypiaj, panie, bo inaczej spadniesz.
- Pozwól, że trochę odpocznę. — Po czym dodałem: — Wybacz mi, wybacz.

Nie odpowiedział.

Wiedziałem, że cokolwiek się stanie, muszę ocalić przynajmniej jego.

*

Jak przypuszczałem, pałac Whitehall był pogrążony w ciemności i niemal pusty, w oknach paliły się tylko nieliczne ciemne światła. Jednakże strażnik przy wartowni spodziewał się Stice'a, gdyż kiedy przyjechaliśmy, od razu do niego podszedł. Stice pochylił się, by z nim porozmawiać, szepnął mu kilka słów, a ten odpowiedział:

- Czeka w sali Tajnej Rady, Pół godziny temu przyjechał z uroczystości w Hampton Court.

Z wartowni wyszli dwaj inni żołnierze. Stice zsiadł z konia i szybko napisał list, z którym pierwszy ze strażników pospieszył do budynku. Niewątpliwie powiadamiał swego pana, że zamiast Brocketa przywiózł mnie.

Dwaj strażnicy odprowadzili nas przez dziedziniec. Kopyta końskie stukały głośno na bruku. Zbliżyliśmy się do szerokich drzwi komnaty straży królewskiej. Stice zeskoczył z wierzchowca i przeciął sznury, którymi byliśmy związani. Nicholas pomógł mi zsiąść z konia i stanął niepewnie u stóp schodów.

Stice, wciąż przytykając do twarzy zakrwawioną chusteczkę, zwrócił się do Daniela i Cardmakera:

— Dziękuję wam, zuchy. Dobrze mi służyliście przez ostatnie dwa miesiące. W wartowni dostaniecie zapłatę. Na jakiś czas wyjedźcie z Londynu, znajdźcie sobie jakiś zajazd albo burdel w innym mieście i zabawcie się za te pieniądze. Lecz czekajcie na wiadomość, w razie gdybym znowu was potrzebował.

Dwaj mordercy, ludzie, którzy zabili Greeninga, Eliasa i pozostałych, skłonili mu się i odwrócili, nawet na nas nie spojrzawszy. Patrzyłem, jak się oddalają. Płatni zabójcy odchodzili z zadowoleniem, by odebrać swą nagrodę. Spojrzałem na Stice'a, który zerknął na mnie.

— Opuśćcie was teraz, panie Shardlake. Muszę udać się do medyka, by zajął się twym dziełem. Wątpię, byście wyszli stąd żywi, co stanowi dla mnie pewną pociechę. Jeśli jednak tak się stanie, strzeż się. - Po czym podążył za swymi pachołkami do pałacowej wartowni, Nicholas i ja zostaliśmy pod strażą dwóch żołnierzy. Jeden wskazał halabardą wejście do komnaty straży.

— Do środka! — polecił ostro.

Spojrzałem na Nicholasa, który przełknął ślinę. Potem z jednym strażnikiem na przodzie, a drugim z tyłu, ruszyliśmy po schodach.

*

Okazałe schody prowadzące do komnaty straży królewskiej były ledwie oświetlone. Na ich szczycie stało tylko dwóch ludzi, a pochodnie we wnękach ścian ukazywały puste miejsca, w których przed przeniesieniem do Hampton Court znajdowały się obrazy. Jeden ze strażników oznajmił, że zostaniemy zaprowadzeni do sali Tajnej Rady, w której stałem zły potem przed tygodniem.

— Na razie musicie tam poczekać. Sala jest pusta, gdyż w pałacu nie ma króla.

Zawiedziono nas przez szereg mrocznych komnat do dużego pomieszczenia, którego ściany były niemal gołe, albowiem wszystko przeniesiono niewątpliwie do sali Tajnej Rady w Hampton Court. Tam mieliśmy czekać pilnowani przez jednego strażnika. Spojrzałem na przeciwległą ścianę - od sufitu do połogi widniało na niej wspaniałe malowidło, którego nie można było zdjąć, gdyż zostało wykonane w tynku, tak jak portret rodziny Cotterstoke'ów. Wiele słyszałem o tym pięknym dziele Holbeina i teraz przyjrzałem mu się w ciemnym migotliwym blasku świecy. Pierwsze malowidło, które widziałem w Whitehall, było hołdem dla króla i jego rodziny; to drugie natomiast wymownie ukazywało władzę dynastii Pośrodku widniał kamienny pomnik, pokryty łacińskim tekstem, którego z miejsca, gdzie stałem, nie mogłem przeczytać. Poprzedni król, Henryk VII, stał na kamiennym piedestale, opierając się jedną ręką o pomnik, ze zwróconą ku niemu swą. lisią pociągłą twarzą. Naprzeciwko niego znajdowała się korpulentna niewiasta ze złożonymi rękami, niewątpliwie jego małżonka. Poniżej niej, na niższym stopniu, stała królowa Jane Seymour. Znowu sobie uświadomiłem, jak bardzo księżę Edward jest do niej podobny. Lecz to obecny król, stojący poniżej ojca, dominował na obrazie - miał co najmniej kilka lat mniej niż obecnie, był szeroki w ramionach, potężny, lecz nie otyły. Stał na szeroko rozstawionych nogach z ręką wspartą na biodrze, a spod fałd jego dubletu wystawał nadnaturalnych rozmiarów sącdek.

Ten wizerunek monarchy był wielokrotnie powielany, jego kopie wisiały w niezliczonych budynkach rządowych i salach prywatnych, lecz oryginał miał w sobie życie i moc, których nie potrafił oddać żaden kopista. Uwagę skupiały małe niebieskie oczy króla, o gniewnym twardym wyrazie. Tło obrazu miało ciemne barwy. Może właśnie o co chodziło, by ludzie pragnący ujrzeć króla, czuli, iż on już ich widzi i ocenia.

Nicholas gapił się na malowidło z otwartymi oczami

- Człowiek ma wrażenie, jakby król na niego patrzył.

Wszedł inny strażnik, który zamienił kilka słów z kolegą. Zostaliśmy wzięci pod ramię i zaprowadzeni przez dwie kolejne piękne komnaty na znany mi korytarz, który prowadził do sali Tajnej Rady. Podeszliśmy do drzwi. Stojący przed nimi strażnik powiedział:

- Chłopak nie. Ma być umieszczony gdzieś do czasu, kiedy zdecyduję, czy trzeba go przesłuchać,

czy nie.

- Chodź, ty... - Strażnik pociągnął Nicholasa za ramię, by go odprowadzić.

- Odwagi, panie! - zawołał za mną Nicholas. Potem strażnik, który pozostał, zapukał do drzwi i znajomy ostry głos odpowiedział:

— Wejść!

Wepchnięto mnie do środka. Strażnik wycofał się, zamykając za sobą drzwi. W długiej sali znajdował się tylko jeden człowiek, siedział na fotelu pośrodku stołu, a obok niego stał kandelabr z zapalonymi świecami. Spojrzał na mnie surowym wzrokiem, oczami osadzonymi w kanciastej twarzy okolonej rozwidloną brodą. Był to sekretarz Paget.

— Pan Shardlake. — Westchnął ze znużeniem. - Ileż pracy i wysiłku poświęciłeś, by do mnie dotrzeć. - Pokręcił głową. - A tyle jest innych ważnych spraw.

Spojrzałem na niego.

— Więc to ty, panie, stałeś za tym wszystkim — odezwałem się cicho. Mówiłem ochryłym stłumionym głosem, gdyż od uderzenia Stice'a spuchły mi usta.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

— Wszystkim? To znaczy?

Odparłem zuchwale, bez szacunku należnego mu z racji stanowiska:

— Za zabójstwami anabaptystów. Kradzieżą... rękopisu. Szpiegowaniem mnie od roku, nie wiem z jakiego powodu. I już o to nie dbam. — Wciągnąłem powietrze, gdyż głos mi się załamał, kiedy oczami wyobraźni ujrzałem Baraka porzuconego na wysypisku śmieci.

Paget odwzajemnił moje spojrzenie. Potrafił siedzieć spokojnie, w skupieniu, jak kot obserwujący swą ofiarę,

— Zabójstwa? - zapytał pełnym przygany, oskarżycielskim tonem. — Ci ludzie byli heretykami i do tego zdrajcami, którzy chętnie zamordowaliby mnie, króla i ciebie też, jeśli o to chodzi, by tylko wcielić w życie swe wypaczone wizje. Spotkała ich lepsza śmierć/ niż zasługiwali, powinni byli spłonąć na stosie. Lecz byli głupi. Gdy moi szpiedzy wśród radykałów donieśli mi o załączku grupy anabaptystów w Londynie, Curdy bez trudu do nich przeniknął. Był wiernym sługą i to on padł ofiarą zabójstwa.

— Zginął w walce.

— Owszem. Zabity przez ludzi Richarda Richa. — Machnął ręką z lekceważeniem. — Rich chciał odzyskać notatki Anny Askew z więzienia, wiem o tym. Sądzę, że są obecnie w posiadaniu Johna Bale'a. — Po raz pierwszy Paget się zaśmiał, ukazując zaskakująco białe zęby na tle ciemnej brody. - To jeszcze będzie sir Richarda prześladować.

— Przekupiłeś jego człowieka - zauważyłem.

Paget zmienił pozycję, sadowiając się wygodniej na fotelu.

- Mam na oku ludzi w służbie najmożniejszych i czasami znajduję wśród nich osoby tak ambitne, że udaje się je namówić, by pracowały także dla mnie, zarabiając podwójnie. Lecz pomysł, by szpiegować ciebie, panie Shardlake, wydawał się błędem, marnowaniem talentu Stice'a. Nie sądziłem, że to może coś dać. Póki... - Pochylił się, marszcząc czoło, i w jego głosie zabrzmiała groźba. - Póki... miesiąc temu to się nie zmieniło. — Przerwał, po czym odezwał się powoli, z namysłem. - Przed chwilą wspomniałeś o rękopisie.

Nie odpowiedziałem. Nie powinienem był o nim wspominać. Musiałem bardziej uważać na słowa. Czekałem, by Paget zadał mi następne pytanie, lecz on tylko uśmiechnął się cynicznie.

- O *Lamentacjach grzesznika* — rzucił. — Autorstwa miłościwie nam panującej królowej Katarzyny.

Mimowolnie otworzyłem usta.

- A tak, panie Shardlake - ciągnął. - To ja poleciłem je wykraść temu heretyckiemu drukarzowi, gdy tylko Curdy mi doniósł, że dostały się w ręce grupy za pośrednictwem tego żalostnego strażnika.

Na chwilę przymknąłem oczy. Później, nie mając już nic do stracenia, powiedziałem:

- Chciałeś je mieć, by posłużyć się nimi w walce o władzę. Czekąłeś, tak jak Rich, by się przekonać, w którą stronę powieje wiatr, czy królowa upadnie i misja Bertana się powiedzie, i trzymałeś *Lamentacje* niczym asa w rękawie, nieprawdaż? Lecz strzeż się, panie sekretarzu, by król się nie dowiedział, że zataiłeś przed nim ich istnienie.

Mówiłem śmiało, wiele ryzykując.

- Uważaj, jak się do mnie odnosisz, panie prawniku - warknął Paget. - Nie zapominaj, kim ty jesteś, a kim ja. - Spojrzałem mu w twarz, oddychając ciężko.

Skinął głową.

- Król, jak wiesz, łaskawie przyjął wysłannika biskupa Rzymu, lecz wygląda na to, że by zawrzeć pokój, Jego Świątobliwość, jak każe się zwać, żąda od niego, by zrzekł się przywództwa Kościoła w Anglii, które przyznał mu sam Bóg. Bertano jest jeszcze w Londynie, sądzę jednak, że pora, by wrócił do swego pana. Jak się dowiedziałeś o jego przyjeździe? - zapytał ostro.

— Ktoś podsłuchiwał anabaptystów — odparłem spokojnie. — Ty nikczemniku, kazałeś zabić tylu ludzi, by spełnić swe ambicje.

— Me ambicje? — syknął Paget.

— Tak.

Wówczas, ku memu zdziwieniu, zaśmiał się ponuro i wstał.

— Chyba pora, byś dowiedział się czegoś, czego nigdy byś się nie domyślił, panie sprytny prawniku. Nawet Stice nie miał o tym pojęcia. - Wziął świecznik i mijając mnie, podszedł do drzwi. — Chodź ze mną - rozkazał z władczym gestem, otwierając szeroko drzwi.

Wstałem powoli. Paget powiedział do stojącego na zewnątrz strażnika:

— Pójdiesz z nami.

Ten stanął przy moim boku, kiedy Paget otworzył z kolei przeciwległe drzwi. Znalazłem się w mrocznej galerii, wypełnionej pięknymi zapachami jak galeria królowej, lecz szerszej i dwa razy dłuższej. Kiedy nią szliśmy, nasze kroki tłumiła trzciniowa mata, a w blasku niesionych przez Pageta świec ukazywały się fragmenty arrasów i mało wideł jeszcze świetniejszych niż te, które do tej pory widziałem, marmurowe kolumny i podesty, na których spoczywały olbrzymie wazy, zachwycające modele statków, zdobione klejnotami szkatuły zawierające nie wiadomo jakie bogactwa. Domyśliłem się, że musi to być prywatna galeria króla, i zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie przeniesiono jej wyposażenia do Hampton Court. Minęliśmy wielki sztandar wojskowy z wyszytymi liliami - niewątpliwie była to chorągiew francuska zdobyta przez Henryka pod Boulogne. Widniały na niej ciemne plamy. Zdałem sobie sprawę, że to krew, i znowu przypomniała mi się szybująca w powietrzu dłoń Baraka. Wzdrygnąłem się, albowiem wzdłuż wyłożonej boazerią ściany coś przemknęło. Był to szczur. Paget ściągnął brwi i warknął do strażnika:

— Zajmij się tym! Niech sprowadzą z Hampton Court szczurołapa!

Wreszcie dotarliśmy do końca galerii, gdzie przy ogromnych drzwiach pełnili wartę następni dwaj strażnicy. Zerknąwszy przez najbliższe okno, zobaczyłem, że znajdujemy się bezpośrednio nad murem pałacu, za którym ciągnął się szeroki trakt Whitehall. Szła nim grupa młodych arystokratów, którym oświetlali drogę chłopcy z pochodniami.

— Panie sekretarzu. — Jeden ze strażników skłonił się Pagetowi i otworzył drzwi. Zamrugąłem, oślepiony światłem za nimi, lecz podążyłem za Pagetem do środka.

Była to obszerna komnata, pięknie umeblowana i jasno oświetlona grubymi maślanymi lampami. Na ścianach znajdowały się półki z pięknymi starymi księgami. Pomiędzy półkami wisiały zaś wspaniałe obrazy, przedstawiające klasyczne sceny. Okno wychodziło wprost na ulicę. Domyśliłem się, że jesteśmy w bramie Holbeina. Pod oknem mieściło się szerokie biurko, zasłane dokumentami, a obok złotego dzbanka z winem leżał talerz z karmelkami. Na dokumentach spoczywały okulary, które lśniły w blasku

świecy.

Przy biurku stał królewski błazen, niski garbaty Will Somers, w wielobarwnym dublecie, z małpką na ramieniu. Obok siedział w wielkim fotelu sam król, patrząc na mnie niebieskimi oczami, twardymi i bezwzględными jak na portrecie Holbeina, mimo że obecnie stanowiły jedynie wąskie szparki w bladej nalanej twarzy.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Skłoniłem się czym prędzej, najniżej, jak tylko mogłem. Po tym, co przydarzyło się Barakowi, nie byłem w stanie okazać Pagetowi należnych mu względów, lecz stając w obliczu króla, odruchowo się ukorzyłem. Zdążyłem jedynie zauważyć, że był odziany w długi dublet, jak tamtego dnia, kiedy lord Parr pokazał mi go z okna, i że na głowiemiał zaledwie kilka rzadkich kosmyków.

Na chwilę zaległa cisza. Krew uderzyła mi do głowy i ogarnął mnie strach, że zemdleję. Nikt jednak nie mógł podnieść głowy i spojrzeć królowi w twarz, póki ten się do niego nie zwrócił. Wówczas rozległ się śmiech. Był to zduszony, skrzeczący odgłos, który dziwnie przywiódł mi na myśl skarbnika Rowlanda. A później Henryk przemówił tym samym zaskakująco piskliwym głosem, który pamiętałem z Yorku, choć teraz był jeszcze ochrypły i jakby się łamał.

— A więc, Paget, mój mistrzu ceremonii, ten człowiek wreszcie dotarł po nitce do kłębka. Ktoś dał mu w twarz. — Znowu usłyszałem skrzeczący śmiech.

— Z tego, co mi wiadomo, Wasza Królewska Mość, doszło do walki, zanim Stice go pojmał — odpowiedział Paget.

— Czy zdradziłeś mu coś?

— Nic, Wasza Królewska Mość. Powiedziałaś, że sam chcesz to uczynić.

Król odezwał się tym samym cichym głosem, lecz teraz pochwyciłem w nim ton groźby.

— Doskonale. Podnieś głowę, komisarzy Shardlake.

Usłuchałem i czując pulsowanie w obitej twarzy, powoli uniosłem wzrok na króla. Jego blada, obrzmiała, pobrużdżona twarz wyrażała ból i zmęczenie. Siwa broda, tak jak włosy na głowie, była rzadka i pozlepiana. Potężny korpus niemal rozpierał satynowe podłokietniki fotela, a nogi, grubo obandażowane, sterczały szeroko rozstawione. Choć wyglądał groteskowo i żałośnie, jego spojrzenie wciąż budziło strach. Na znajdującym się nieopodal portrecie największe wrażenie robiły oczy, natomiast u żywego człowieka były to małe, wąskie, zaciśnięte twardo usta, które przypominały ostrze pomiędzy potężnymi szczękami, gniewne i bezlitosne. Gdy tak na niego patrzyłem, znowu zakręciło mi się w głowie — miałem wrażenie, że to wszystko jest nierzeczywiste i że śnię koszmarny sen. Przez chwilę poczułem się dziwnie oderwany, jakby odurzony, i znowu pomyślałem, że lada chwila mogę zemdleć. Wówczas ujrzałem przed oczami lecącą w powietrzu krwawiącą dłoń Baraka i wróciłem do rzeczywistości.

Król przez moment patrzył mi w oczy, po czym odwrócił się i przywołał gestem Somersa oraz strażnika.

- Will, napełnij mi kielich, a potem zabierz strażnika i wyjdź. Wystarczy mi jeden garbus do towarzystwa.

Somers dolał wina z dzbana, podczas gdy małpka z wyćwiczoną zręcznością balansowała na jego ramieniu. Król podniósł kielich do ust i na chwilę odsłonił pożółkłe zęby.

- Na miłość boską — mruknął. — To nieustające pragnienie!

Somers i strażnik opuścili komnatę, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zerknąłem szybko na Pageta, a on odpowiedział swym pustym obojętnym spojrzeniem. Król, znowu patrząc mi w twarz, powiedział złowróźnie:

- Słyszę, panie Shardlake, że ostatnio spędzasz z mą małżonką dużo czasu.

- Ależ nie, Wasza Królewska Mość, bynajmniej! — Pochwyciłem w swym głosie nutę paniki. — Pomagałem jej tylko odnaleźć... odnaleźć...

- To? - Henryk z trudem sięgnął za siebie na biurko, zadziwiająco delikatnymi palcami biorąc z niego plik kart. Trzymając je, odwrócił się ponownie. Na pierwszej stronie, przedartej w miejscu, gdzie trzymał ją Greening, dostrzegłem pismo królowej. Były to *Lamentacje grzesznika*.

Odniosłem wrażenie, jakby ziemia osunęła mi się spod nóg. Znowu byłem bliski omdlenia. Król tymczasem patrzył na mnie, czekając z tymi swymi zaciśniętymi ustami na odpowiedź. Wówczas z boku

dobiegł mnie głos Pageta:

- Rzecz jasna, panie Shardlake, kiedy dowiedziałem się od swego szpiega w grupie anabaptystów, że skradli dzieło królowej, natychmiast powiadomiłem o tym Jego Królewską Mość, Kazał je zdobyć i zniszczyć sektę. Natomiast *Lamentacje* przez cały czas były w jego rękach.

Gapilem się na rękopis. Po co to wszystko, całe miesiące lęku i niepewności, okropny los, który spotkał Baraka, skoro dzieło królowej znajdowało się w posiadaniu samego Henryka? Powinienem wpaść w furję, lecz w obecności monarchy nie było miejsca na żadne emocje oprócz strachu. Król wymierzył we mnie palec i powiedział ochrypłym z gniewu głosem:

- W zeszłym roku, panie Shardlake, kiedy przebywaliśmy z królową w Portsmouth, widziałem cię na czele tłumu podczas wjazdu do miasta. - Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. - Owszem, i zapamiętałem, jak wszystkich, którzy mi się narazili. Już raz zawiodłeś, kiedy nie zdołałeś odnaleźć skradzionego rękopisu. W Yorku, przed pięcioma laty.

Przełknąłem ślinę. Wówczas król publicznie mnie zniewazył. Lecz obszedłby się ze mną znacznie gorzej, gdyby wiedział, że jednak udało mi się zdobyć tamten plik kart. Lecz — ponieważ ich zawartość była bardzo niebezpieczna - postanowiłem je zniszczyć. Odpowiedziałem teraz na jego spojrzenie, przepełniony nieracjonalnym lękiem, że te dociekliwe oczy potrafią przeniknąć moje myśli i zaraz się dowie, co naprawdę wydarzyło się w Yorku, a nawet pozna zdradzieckie refleksje, które snułem jeszcze tego popołudnia na temat poglądów anabaptystów.

Gniewny ton w głosie króla się pogłębił.

- Na rany Chrystusa, łotrze, odpowiedz swemu królowi!

- Ja... było mi przykro, że zawiodłem Waszą Królewską Mość.

- I słusznie. Kiedy więc ujrzałem cię zeszłego roku w Portsmouth, gdzie nie powinno cię być, zleciłem Pagetowi śledztwo i dowiedziałem się, że odwiedziłeś mą małżonkę w zamku Portchester. I że świadczyłeś jej swe usługi jako prawnik. Pozwoliłem na to, panie Shardlake, gdyż wiedziałem, że niegdyś, jeszcze zanim ją poślubiłem, ocaliłeś jej życie. — Pokiwał z wolną głową. — Tak, później powiedział mi o tym Cranmer. - Złagodniał na chwilę i zrozumiałem, że istotnie wciąż darzył Katarzynę Parr miłością. Mimo to przez te wszystkie miesiące posługiwał się nią w swych politycznych machinacjach, pozwalając, by żyła w lęku o życie.

Potem jednak jego głos znowu przybrał ostry ton.

- Nie lubię jednak, kiedy moja żona przyjmuje gości, którzy nie cieszą się moimi względami, więc po powrocie z Portsmouth poleciłem cię obserwować. - Zaśmiał się chrapliwie. — Nie co, żebym podgrzewał moją Katarzynę o romans z takim pokurczem jak ty, lecz ostatnimi czasy wolę mieć na oku wszystkich, którzy zanedo interesują się osobami bliskimi memu sercu. Zbyt często byłem przez niewiasty zdradzany - dodał gorzko. — Moja małżonka nie wie, że mam pod obserwacją pewnych jej przyjaciół. Paget potrafi znaleźć dyskretnych ludzi do obserwacji i szpiegowania. Nieprawdaż, sir Williamie? — Król zwrócił się w stronę Pageta i klepnął go w ramię, tak że tamten lekko się zachwiał, zamrugał powiekami, lecz zachował kamienną minę. Od tego ruchu całe potężne ciało Henryka, nieskrępowane gorsetem, zatrzęsło się i zafalowało.

Z wrażenia zaschło mi w gardle.

- Wasza Królewska Mość, żywię do królowej ogromny szacunek, lecz jedynie jako jej podwładny i poddany, który podziwia jej dobroć, mądrość...

- I poglądy religijne? — nagle zapytał ostro.

Zaczerpnąłem powietrza.

- Nie jest to kwestia, o której Jej Królowa Mość raczyła ze mną dłużej rozmawiać. - Pamiętałem jednak naszą dysputę w galerii. Kłamałem, jawnie i zuchwałe, bo choć król budził we mnie przerażenie, gdybym powiedział prawdę, mógłbym narazić królową na niebezpieczeństwo. Serce waliło mi w piersi i z trudem powstrzymywałem drżenie głosu, lecz ciągnąłem: - I gdy miałem okazję zamienić z nią kilka

słów, w Londynie i Portsmouth... zawsze ktoś był przy tym obecny, jedna z jej dwórek, Mary Odell, albo któraś inna... — Niemal się jąkałem, wyrzucając z siebie słowa, jedno za drugim.

Król zerknął na Pageta, który popatrzył na mnie z pogardą.

- Szpiedzy Stice'a, prawnik Bealknap, a później kamerdyner Brocket nie informowali, byś miał przez ostatni rok jakieś konszachty z królową ani kimś z jej otoczenia. Lecz później, miesiąc temu, ni stąd, ni zowąd zostałeś przyjęty do Uczonej Rady Jej Królewskiej Mości. Z zadaniem, jak nam doniesiono, odnalezienia zaginionego klejnotu. Tak naprawdę jednak, jak podsłuchiwał Brocket, kiedy rozmawiałeś z Cecilem, człowiekiem lorda Parra, poszukiwałeś *Lamentacji grzesznika*. I to skłoniło cię do podjęcia współpracy z Richardem Richem, który z kolei polował na zapiski Anny Askew.

Przypomniała mi się wizyta Cecila po tym, jak zabito Eliasa. To wówczas wspomniałem o *Lamentacjach*. Ten łotr Brocket musiał podsłuchiwać pod drzwiami. Zrozumiałem, że skoro wiedzą o tym wszystkim, niepotrzebnie powiedziałem o skradzionym pierścieniu. Ze zgrozą zdałem sobie sprawę, w jakie wpadłem tarapaty i poczułem, że drga mi twarz.

Król odezwał się znowu dziwnie spokojnym głosem:

— Anna Askew. Nie chciałem, by wzięto ją na tortury. Kazałem Wriothesleyowi jedynie zastosować surowe środki. — Wzdrygnął się lekko na fotelu, lecz dodał srogo: — To wszystko jego wina, jego i Richa. Dostaną za swoje, kiedy jej zapiski zostaną wydane. — Spojrzał na mnie znowu i powiedział ze zjadliwym chłodem: — Królowa powinna była mi powiedzieć o swym dziele, o tym, że je pisze i że potem zostało skradzione, a nie wszczynać jego poszukiwania pod pretekstem, że zaginął klejnot. Co ty na to, prawniku?

Przełknąłem ślinę. Pomyślałem, że cokolwiek odpowiem, muszę przede wszystkim chronić królową, oddalić wszelkie zarzuty, że dopuściła się nielojalności. W przeciwnym bowiem razie wszystkie moje dotychczasowe wysiłki spełzną na niczym. Wziąłem głęboki oddech:

— Kiedy lord Parr zasięgnął mej rady, zaraz po kradzieży dzieła, królowa była zdezorientowana, trochę przestraszona ostatnimi wydarzeniami. — Wiedziałem, że mówiąc to, co zamierzałem powiedzieć, być może podpisuję na siebie wyrok śmierci. — To ja poprosiłem, by pozwoliła mi spróbować odnaleźć w tajemnicy *Lamentacje*, pod pretekstem, że szukam skradzionego klejnotu.

— Jutro będę rozmawiał z lordem Parrem — powiedział cicho Paget.

Odetchnąłem z ulgą. Wiedziałem, że stryj królowej, mimo swych wad, także zrobi wszystko, by wziąć na siebie jej winę. Zatem, by mieć pewność, że nasze zeznania będą spójne, dodałem jeszcze:

— Lord Parr zgodził się, bym szukał księgi, nic nikomu nie mówiąc.

— Kto jeszcze o tym wiedział? — spytał król ostro.

— Jedynie arcybiskup Cranmer. Królowa zdawała sobie sprawę, że księga może zostać uznana za zbyt radykalną. Zasięgnęła jego opinii, a on odparł, że nie powinna jej wydawać. Zanim jednak dzieło zostało zniszczone, zniknęło. Skradzione przez nielojalnego strażnika. — I ośmieliłem się zaznaczyć: - Królowa nie oszukała więc Jego Królewskiej Mości, zamierzała zniszczyć *Lamentacje*, by cię nie rozgniewać.

Król milczał ze ściągniętymi brwiami. Krzywiąc się, skrzyżował nogi. Kiedy spojrzał na mnie ponownie, jego wzrok się zmienił.

- Czy królowa się bała? — zapytał spokojnie.

- Tak, Wasza Królewska Mość. Kiedy odkryła, że jej dzieło zniknęło, była skonfundowana, zaniepokojona...

- I słusznie. Po tych wszystkich miesiącach, kiedy Gardiner i jego sługusy próbowali nastawić mnie przeciwko niej. — Podniósł gniewnie głos i chociaż przez chwilę to nie ja byłem obiektem jego złości. — Gardiner wmawiał mi, że jest heretyczką i podważa istotę mszy, chcieli, bym znowu miał złamane serce. — Odchylił się na oparcie fotela. — Ale ja ich znam i wiedziałem, że moja Katarzyna jest lojalna i szczerą, jako jedyna po Jane. Powiedziałem im więc, że nie uczynię nic bez konkretnego dowodu. I nie

byli w stanie dostarczyć mi żadnego, żadnego! — Poczzerwieniał i na jego twarzy wystąpił pot. — To nikkzemnicy, chcieli, bym stracił do niej serce i wrócił pod władzę Rzymu! Lecz ich przejrzałem i zapłacą mi za...

Ta tyrada zakończyła się wybuchem bolesnego kaszlu, od którego twarz króla aż posiniała. *Lamentacje*, które trzymał na kolanach, zaczęły zsuwać się na podłogę. Pochyliłem się odruchowo, lecz Paget, patrząc na mnie spod ściągniętych brwi, złapał je wcześniej i oddał w ręce Henryka, po czym wziął jego kielich, pospiesznie go napełnił i mu oddał. Król pociągnął głęboki łyk wina, po czym opadł na oparcie fotela, chwytając powietrze.

Paget wymamrotał:

- Wasza Królewska Mość, może nie należy mówić zbyt wiele przy tym człowieku...

- Nie — sprzeciwił się Henryk. - Powinien wszystko wiedzieć. Kiedy przyniesiono mi ten rękopis, byłem pełen obaw, co może zawierać. Lecz przeczytałem go uważnie. - Niespodziewanie uśmiechał się łagodnie. - Zawarte w nim poglądy są nieco naiwne, lecz... - Machnął wyrozumiale ręką. - Królowa jest tylko kobietą, i to bardzo uczuciową. Nie wypowiada się przeciwko mszy. Jej dzieło nie ma heretyckiego charakteru. — Mówił teraz pompatycznie, z wyższością, jak ktoś, komu Bóg powierzył decydujący głos w takich sprawach, gdyż za takiego się uważał. - Katarzyna niepotrzebnie się boi — orzekł.

Zdumiało mnie, jaki jest zmienny, jak łatwo przechodzi z jednego nastroju w drugi. Przynajmniej wtedy, kiedy chce. Jednak, jak wykazały minione miesiące, potrafił być także skryty i zimny. Mimo to jego ostatnie słowa przepoiły mnie nadzieją, że królowej nic się nie stanie,

— Może przyszła pora jej powiedzieć, że je masz? — zapytał niepewnie Paget.

— Nie - odpowiedział Henryk krótko, z niebezpieczną nutą w głosie. — Im więcej zachowuję w tych czasach dla siebie, tym lepiej. - Uświadomiłem sobie, że zatrzymał rękopis, albowiem dopóki nie udzielił Bertanowi odmownej odpowiedzi, wciąż miał możliwość zwrócenia się przeciwko frakcji reformatorskiej. Wtedy protestancka królowa stałaby się dla niego kulą u nogi i mógłby użyć *Lamentacji grzesznika* przeciwko niej. Owszem, kochał królową, jednak ostatecznie, jak wszyscy inni w królestwie, była tylko pionkiem w jego partii szachów. Skazałby ją na śmierć, gdyby uznał to za konieczne, nawet czyniąc to wbrew własnym chęciom. I oczywiście winą obarczyłby kogoś innego.

Przyjrzał mi się znowu.

— Więc to ty nakłoniłeś królową, by zachowała kradzież dzieła w sekrecie? - W jego głosie był pytający ton. Przypomniałem sobie słowa lorda Parra o tym, że król bardzo ulega wpływom, że wierzy w to, w co chce wierzyć, i że największym grzechem jest dla niego nielojalność. Byłem już pewny, że wolałaby przyjąć wersję, iż to nie królowa wpadła na pomysł, by ukryć przed nim zniknięcie *Lamentacji*. Chętnie zwaliłby winę na mnie, którym pogardzał i który z politycznego punktu widzenia był nikim. Może już uznał mnie za kozła ofiarnego i dlatego tak wiele mi powiedział. Lecz po tym, co zdarzyło się tej nocy, nie dbałem o to. Dlatego, choć wiedziałem, że mogę ściągnąć na siebie śmierć, odparłem:

— Tak, Wasza Królewska Mość.

Namyślał się przez chwilę, po czym odparł z rozdrażnieniem:

— Mimo to Katarzyna mnie okłamała...

Odetchnąłem głęboko. Nagle stałem się znowu wymowny, tak elokwentny jak podczas rozprawy sądowej.

— Nie, Wasza Królewska Mość. To ja poszukiwałem *Lamentacji* bez twojej wiedzy.

Król z trudem wyprostował się w fotelu. Przez moment milczał, nie mogąc zdecydować, jaką rolę w tym wszystkim przypisać swej małżonce. Potem jakby podjął decyzję. Pochylił się, bezlitośnie zaciskając usta i mrużąc oczy.

— Jesteś zuchwałym bękartem, pospolitym szpetnym łajdakiem — powiedział spokojnie, lecz czułem jego furię. - Tacy jak ty są przekleństwem tej ziemi, śmiać twierdzić, że sami mają prawo decydować o swej wierze i dobru królestwa, podczas gdy powinni słuchać mnie! - Znowu podniósł głos. — Mnie,

swego króla! Nazywam to zdradą, podłą zdradą! - Spojrzał na mnie z taką mściwością, że mimowolnie cofnąłem się o krok.

- Nie waż się ruszyć z miejsca, póki ci nie pozwolę! — warknął.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Królewska Mość.

Widząc, jak bardzo się boję, znowu wpadł w inny nastrój. Zwróciwszy się do Pageta, zapytał z lekceważeniem:

- Jak mogłeś uważać, że taki żałosny nędznik stanowi dla nas jakiegokolwiek zagrożenie, he?

- Już tak nie sędzę - odparł cicho sekretarz.

Król zastanawiał się przez chwilę.

- Powiedziałeś, że jeden z pracujących dla niego ludzi nie żyje.

- Tak - odparł Paget z całkowitą obojętnością.

- A ten drugi, którego z nim przyprowadzono?

- To jeszcze chłopak. — Paget pozwolił sobie na uśmiech. — To wysoki młodzieniec, rudowłosy, jak Wasza Królewska Mość w młodości, choć moim zdaniem nie tak przystojny.

Król przyjął to pochlebstwo z uśmiechem. Ja zaś zdałem sobie sprawę, że Paget usiłował złagodzić jego gniew, i to mnie zastanowiło. Nastąpiła chwila ciszy; król namyślał się dalej, lecz potem pokręcił głową.

- Ten człowiek namawiał królową, by nie była ze mną szczerą. To zdrada stanu. - Spojrzał na mnie ponownie, a jego niebieskie oczka pośród zmarszczek i fałd wciąż spoglądały twardo i bezlitośnie. - Dlatego muszę się go pozbyć, jest jak zaraza.

Skloniłem głowę. Zrobiło mi się zimno, na chwilę przestało mi bić serce. Zdrada, pomyślałem. Przywiążą mnie do końskiego ogona i zawloką pod Tyburn, powieszą, aż prawie wyzionę ducha, a potem odetną, by kat jeszcze wyrwał mi wnętrzności. I będę nagi, pomyślałem niedorzecznie, zupełnie nagi. A na koniec zostaną ścięty. Czy potrafię stawić temu czoło, znieść to z godnością jak inni? Wątpiłem. A kiedy już umrę, czy pójdę do piekła? Będę się smażył w ogniu za brak wiary, jak wierzył Philip Coleswyn? Stałem tam, w gabinecie króla, zupełnie bez ruchu. Nagle przypomniałem sobie znowu o Baraku, porzuconym na wysypisku śmieci.

Paget wziął głęboki oddech. Powiedział niespiesznie:

- Wasza Królewska Mość, proces o zdradę przed sądem doprowadzi do ujawnienia kłopotów z królową. A także śmierci tych anabaptystów. A tego byśmy nie chcieli. Nie teraz.

- Może osądzić go parlament, na mocy aktu orzekającego utratę praw obywatelskich oraz konfiskatę majątku.

— Wtedy tym bardziej sprawa nabierze rozgłosu.

Henryk machnął ręką, jakby to była drobnostka, lecz widziałem po jego minie, iż jest innego zdania.

Paget znowu wciągnął powietrze i przedstawił kolejny argument:

— Nawet gdybyśmy usunęli go po cichu, w końcu wyszłoby to na jaw i w pewnym momencie mogłoby zostać uznane za posunięcie przeciwko frakcji protestanckiej. Nowy układ polityczny jest wciąż bardzo niestabilny. Nie chcielibyśmy go niepotrzebnie burzyć.

Zamilkł, a król teraz patrzył na niego z niezadowoleniem. Przypuszczałem, że takie sceny rozgrywały się między nim a jego przestraszonymi doradcami regularnie w ciągu ostatnich trzydziestu siedmiu lat. Henryk był zły i domagał się zastosowania surowych środków, a oni próbowali przedstawić mu tego skutki.

Król siedział i myślał. W końcu sfrustrowany wydał pomruk, dziwny odgłos przypominający chrumknięcie świni.

— Lecz musi być jakiś sposób, by się go pozbyć.

- Proszę mi wierzyć, Wasza Królewska Mość, nie mam żadnych sentymentów względem tego człowieka. Nie sędzę jednak, by było to mądre posunięcie. Jego zniknięcie mogłoby na przykład

zaniepokoić Parrów.

Król westchnął.

- Zawsze udzielasz mi dobrych rad, Paget. Nawet jeśli mi się nie podobają.

— Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Henryk rzucił mu ostre spojrzenie.

- I wiesz, z kim należy trzymać, co? Zawsze wypełniasz moją wolę, nigdy nie podążasz własną drogą, jak Wolsey i Cromwell?

Paget skłonił się nisko.

- Ja tylko wprowadzam w życie twe zarządzenia, Wasza Królewska Mość.

- Chętnie jednak pozbyłbym się tego człowieka.

Król spojrział na mnie przeciągle, nie mrugając okiem, jak wąż. Wiedziałem, że życie moje i Nicholasa wisi na włosku. Zdawało mi się, że upłynęła wieczność, zanim odezwał się znowu:

- Paget ma rację. Jesteś komisarzem i ogólnie wiadomo, że pracujesz dla królowej. Twoje zniknięcie wywołałoby poruszenie. — Odetchnął głęboko. - Puszczę się wolno, panie Shardlake, ciebie i twojego pomagiera. Wyłącznie z powodów politycznych. Lecz zapamiętaj sobie. — Pochylił się i znowu podniósł głos: - Już nigdy więcej, przenigdy, nie zbliżysz się do królowej ani nawet do żadnego z pałaców królewskich i nie uczynisz nic, co mogłoby zwrócić moją uwagę. Zrozumiano? Nie chcę o tobie słyszeć ani tym bardziej cię widzieć. A jeśli jeszcze kiedyś cię zobaczę, nie będą to twe pochylone plecy, lecz głowa! — Mówiąc te słowa, uderzył dłońmi w poręcze fotela. Dysząc, odchylił się na oparcie. - A teraz, Paget, zabierz go stąd. I przyslij mi Willa Somersa. Potrzebuję rozrywki.

Pan sekretarz się skłonił i skinąwszy na mnie, wycofał się w stronę wyjścia, do króla bowiem nie wolno było odwracać się plecami. Ruszyłem za nim, pełen lęku, że Henryk zmieni zdanie i przywoła mnie z powrotem. Paget zastukał do drzwi i kiedy zostały otwarte z zewnątrz przez strażnika, wyszliśmy na korytarz. Stał tam Will Somers, wciąż z małpką na ramieniu. Paget szybkim ruchem głowy wskazał w stronę gabinetu. Błazen i strażnik, który był poprzednio w gabinecie, pospiesznie wrócili do środka. Słyszając trzaśnięcie drzwi, poczułem niewymowną ulgę.

Paget odprowadził mnie w głąb korytarza. W pewnej chwili poczułem, że tracę grunt pod nogami, i oddychając ciężko, musiałem oprzeć się o ścianę. Paget popatrzył na mnie z twarzą bez wyrazu.

- Ledwie uszedłeś z życiem — powiedział surowo. — Miałeś szczęście, panie Shardlake.

Odzyskałem równowagę.

- Czy wezwie mnie... czy mógłby mnie wezwać... z powrotem?

— Nie. Podjął już decyzję. Zważywszy na wszystko, nieźle sobie poradziłeś - dodał niechętnie i skłonił głowę. - Rzeczywiście to ty przekonałeś królową, by pozwoliła ci odszukać tę księgę?

Nie odpowiedziałem. Paget uśmiechnął się nieznacznie.

— Cóż — odparł. — To i tak nie ma już znaczenia.

Wbrew sobie spojrziałem na niego z wdzięcznością. Biorąc pod uwagę to, co się zdarzyło, było paradoksem, że to w końcu Paget mnie uratował, gdyż bez jego interwencji znajdowalibyśmy się razem z Nicholasem już w drodze do Tower, i nie byłby on pierwszą niewinną osobą, która wpadła w sidła króla. Zaczerpnąłem powietrza.

— Czy król specjalnie na to spotkanie przybył z Hampton Court?

Paget szyderczo parsknął śmiechem.

— Pochlebiasz sobie, panie prawniku. Nie, jutro wybiera się z admirałem d'Annebaultem na polowanie w Saint James Park. Przyjechał tu, by spędzić w spokoju wieczór. Jest zmęczony, musiał dziś dużo stać i chciał odpocząć trochę od nich wszystkich. — Wyjrzał przez okno na trakt Whitehall, pusty o tej porze. — Gabinet zawsze jest dla niego przygotowany. Tu może odpocząć, popracować, popatrzeć z okna na swe królestwo. — Dodał cicho: — Nie jest łatwo być królem.

Nie śmiałem odpowiedzieć, więc Paget ciągnął dziwnie obojętnym tonem:

— Sądzę, że twe poszukiwania *Lamentacji* w ostatnich tygodniach ocaliły królowej życie. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

— Doprawdy?

Pogładził swą długą rozwidloną brodę.

— Tak. Kiedy przyniosłem mu jej dzieło, Bertano był jeszcze w drodze. Król istotnie nie znalazł w *Lamentacjach* heregi... Choć miejscami się o nią ocierają, to, jak powiedział, nie podważają sensu mszy. Królowa jednak zataiła je przed nim i to go wzburzyło.

— Nielojalność - mruknąłem.

— Właśnie. Królowa była w niebezpieczeństwie. Przez kilka dni rozważał jej aresztowanie. Lecz potem jego uwagę przyciągnęły prowadzone przez ciebie poszukiwania tego dzieła, a także wysiłki Richa, by zdobyć zapiski Anny Askew, i polecił mi zostawić sprawy ich własnemu biegowi, choć oczywiście ci anabaptyści musieli zginąć.

— Curdy był twym szpiegiem.

- Tak. A kiedy przedłożono mi oskarżenia pani Slanning, postanowiłem przesłuchać cię przed Tajną Radą, by samemu się przekonać, czy jesteś heretykiem, czy nie.

- Wszyscy byliśmy więc jak marionetki w twych rękach - zauważyłem z goryczą.

- Powinieneś być mi wdzięczny. Tymczasem misja Bertana zakończyła się niepowodzeniem i król ostatecznie zwrócił się przeciwko konserwatystom.

Przyjrzałem się jego kamiennej twarzy i pomyślałem, że to wszystko go bawi. By utrzymać pozycję, gotów był sprzymierzyć się z każdym, radykałami czy konserwatystami. Kolejny z możnowładców bez własnego zdania, chorągiewka na wietrze.

Odezwał się znowu, tym razem surowym tonem:

- Rzecz jasna, zapomnisz o wszystkim, co tu usłyszałeś, zwłaszcza nieopatrzna uwagę króla o surowych środkach wobec Anny Askew.

Odetchnąłem głęboko.

- Oczywiście, panie sekretarzu.

Zmrużył oczy.

- I pamiętaj, co powiedział król. Postaraj się nie przysparzać mu więcej kłopotów. Mnie także nie wchodzi w drogę. A teraz idź po tego swojego chłopaka i wynoście się obaj. I jak mówił Jego Królewska Mość, nie waz się tu wracać.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Paget skinął na strażnika i nic więcej nie mówiąc, powiodł nas z powrotem przez galerię króla do komnaty audiencyjnej. Przeciął ją, by porozmawiać krótko z jednym z żołnierzy, którzy pełnili tam straż. Ponownie spojrzałem na malowidło Holbeina z królem w kwiecie wieku: dumnym, o kanciastym surowym obliczu, groźnych małych oczach i ustach. Blask świec wydobywał z mroku także twarz Jane Seymour: łagodną, pokorną, o takiej samej małej brodzie jak u syna. Paget wrócił z żołnierzem.

- Zabrać go do chłopaka, a potem wyprowadzić obu z pałacu - polecił mu. - I to szybko.

Po tych słowach pan sekretarz odwrócił się i odszedł, nawet nie skinąwszy mi głową ani się nie obejrzawszy, z długą szatą powiewający mu wokół nóg. Skończył ze mną. Umysł królewskiego mistrza ceremonii zapewne skupił się już na nowych intrygach.

Nicholas siedział skulony na podłodze w kącie małej, pozbawionej umeblowania poczekalni, obejmując rękami zgięte kolana. Kiedy wstał, dostrzegłem na jego dublecie plamy krwi. Baraka.

— Chodź, Nicholasie - powiedziałem do niego spokojnie. - Jesteśmy wolni, lecz musimy szybko się stąd wydostać.

Strażnik zaprowadził nas przez mroczne korytarze do komnaty straży, a następnie schodami w dół, wreszcie przez brukowany podwórzec za bramę. Gdy tylko znaleźliśmy się na ulicy, Nicholas rzucił;

— Myślałem, że już po nas.

- Ja także. Chyba jednak nic nam nie grozi, póki nie zjawimy się tu ponownie. — Uniosłem wzrok na bramę Holbeina i jej okna, zastanawiając się, czy spogląda na nas król. Czym prędzej się odwróciłem. Niebezpiecznie było nawet patrzeć w tamtą stronę.

- Stice i jego ludzie, czy oni...

- Są wolni jak ptaki - odparłem gorzko, odwracając się ku niemu. Na jego twarzy pojawiła się zgroza. — Lecz nigdy więcej nie proś, bym zdradził ci cokolwiek więcej.

Przesunął palcami we włosach i z jego gardła dobył się zdławiony śmiech,

- Przed przybyciem do Londynu słyszałem, jakie są tu wspaniałe pałace królewskie. To prawda, sam widziałem. Lecz... bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie wyczuwa się w nich strach i śmierć.

Uśmiechnąłem się z rozpaczliwym smutkiem.

- Widzę, że zaczynasz rozumieć.

- Czuję tam. - Przełknął ślinę. - I co teraz? Co... z Jackiem?

- Musimy natychmiast po niego wrócić - odrzekłem przerażony myślą, co znajdziemy. — Pójdziemy pieszo, nie mamy innej możliwości.

*

Po godzinie dotarliśmy na miejsce, chwilę wcześniej zegary wybiły pierwszą. Nietrudno było odnaleźć wysypisko śmieci. Podbiegłem do niego, obawiając się tego, co zobaczę. Jednakże Barak zniknął.

- Gdzie on jest? - zapytał ze zdumieniem Nicholas. - Przecież nie mógł... wstać o własnych siłach?

- To niemożliwe. Ktoś go zabrał. — Rozejrzałem się nerwowo po ciemnej alejce, lecz nie dostrzegłem niczego niezwykłego.

- Ale dokąd?

Myślałem gorączkowo.

- Jeśli został przez kogoś znaleziony, mógł trafić do Świętego Bartłomieja. To tuż obok. Chodź, pójdziemy tam.

Doszliśmy do szpitala po dziesięciu minutach. Nicholas musiał dostosować swój długi krok do mojego. Brama była zamknięta, lecz na nasze pukanie odpowiedział odźwierny, który zjawił się z latarnią. Odezwałem się z naciskiem:

- Chcemy zapytać, czy dziś w nocy nie przyniesiono tu człowieka. Miał na plecach ranę od miecza

i... uciętą dłoń.

Ten zmrużył oczy.

— Czy to wy go zostawiliście w takim stanie? Z takimi ranami, na wysypisku śmieci?

— Nie, to nie my. Jesteśmy jego przyjaciółmi.

— Znalazł go stary Simeon i czym prędzej przyniósł tutaj. -Odźwierny popatrzył na nas nieufnie.

— Proszę — odezwał się Nicholas. — Czy on żyje?

— Żyje, ale ledwie dycha. Jest nieprzytomny od czasu, gdy go przyniesiono.

— Czy posłano po medyka? Doktora Maltona?

Mężczyzna pokręcił głową.

— Medyk przychodzi tylko raz dziennie.

— Natychmiast po niego poślijcie — powiedział Nicholas. — Doktor Malton to przyjaciel mego pana, tu obecnego, a także człowieka, którego do was przyniesiono.

Spojrzałem w blasku lampy na Nicholasa. Przysiągłbym, że na jego twarzy pojawiły się bruzdy, których po południu jeszcze na niej nie było. Sięgnąłem do sakiewki i dałem odźwiernemu dwa szylingi.

— Masz. Wyślij kogoś po doktora Maltona, a potem zaprowadź nas do Baraka.

Ten popatrzył na monety w swej dłoni, a następnie przeniósł wzrok na mnie.

— Jakiego znowu Baraka?

— Tego rannego. Pospiesz się, proszę.

Odźwierny oddalił się szybko, zostawiając nas w przedsionku. Nicholas uśmiechnął się cierpko.

— Jeśli tak będziesz rozdawał pieniądze, panie, wkrótce zostaniesz nędzarzem.

Pomyślałem, że chłopak jest bezczelny i staje się coraz pewniejszy siebie. Potem przypomniałem sobie o Timothy i zacząłem się zastanawiać, czy i jego nie straciłem. W ferworze walki w tamtym domu i podczas przesłuchania w Whitehall zupełnie o nim zapomniałem.

Wrócił odźwierny już ze służalczą miną.

— Zaprowadzę was do waszego znajomego. Leży w sali, w której udzielamy potrzebującym ostatniego namaszczenia. Jest przy nim Simeon.

Barak spoczywał w tym samym małym pomieszczeniu, w którym złożono anabaptystę McKendricka, i w tym samym łóżku. Na krześle obok stała tania świeca. Był rozebrany, koce przykrywały tylko dolną część ciała, a jego potężna poznaczona bliznami pierś była tak blada, jakby już nie żył. Leżał na boku, a na plecach, gdzie otrzymał cios mieczem, miał zakrwawiony opatrunek. Prawa ręka, z grubo zabandażowanym kikutom, spoczywała na poduszce. Przytknąłem dłoń do ust.

Drzwi izby się otworzyły i wszedł mężczyzna z lampą. Poznałem Simeona, pomocnika Guya. Na mój widok ściągnął brwi.

- To ty, panie? Byłeś tu już wcześniej... by zobaczyć się z tym drugim, którego napadnięto...

- Odźwierny powiedział, że to ty przyniosłeś Baraka. Jak go...?

- Szedłem wieczorem na dyżur. Zawsze chodzę bocznymi uliczkami. Często znajduję chorych żebraków, czasami rannych, których porzucono, lecz jeszcze czegoś takiego nie spotkałem. - Spojrzał na nas oskarżycielsko. — To wy go tam zostawiliście?

- Nie! Zostaliśmy więci do niewoli, nic nie mogliśmy uczynić. Wielki Boże, znalazłeś go w samą porę. - Pomyślałem, że może jednak me modlitwy zostały wysłuchane. - Proszę, to nasz bliski przyjaciel, możesz nam powiedzieć... — Głos mi się załamał. — Czy przeżyje?

Simeon spojrzał na nas z powątpiewaniem.

- Czy ta rana na plecach... jest od miecza?

- Tak.

- Z tego, co widzę, główne narządy nie zostały uszkodzone, lecz z powodu obu ran, odciętej ręki... stracił dużo krwi. Obawiam się, że zbyt dużo, by wyżył.

- To silny człowiek.

Simeon pokręcił głową.

- Musiałby być wyjątkowo wytrzymały, by się z tego wylizać. Czy ma rodzinę?

Wymieniliśmy z Nicholasem zbolące spojrzenia. Do tej pory wolałem nie myśleć o Tamasin.

- Tak - odparłem słabym głosem. - 1 dziecko. Jego żona spodziewa się następnego.

Odezwał się Nicholas:

— Może lepiej nic jej nie mówić, póki nie przyjdzie medyk.

Simeon oznajmił:

— Posłano już po doktora Maltona.

— Masz rację, Nicholasie — odparłem. - Poczekamy na Guya.

Chłopak zwrócił się do Simeona:

— Czy możemy coś zrobić?

Ten spojrział na szarą jak popiół postać na łóżku.

— Tylko się modlić, panowie, tylko się modlić.

*

Niebawem przybył Guy z ciężką sakwą na ramieniu. Był wyraźnie wstrząśnięty i przybity, gdyż znał Baraka i Tamasin niemal tak długo jak mnie. Popatrzył na nas, a później spojrział na Jacka. Gwałtownie wciągnął powietrze.

— Co mu się stało?

— Doszło do walki na miecze. Dostał cios w plecy i stracił dłoń.

— Słodki Jezu! - Sprawiał wrażenie zagniewanego. — Czy ta walka na miecze miała coś wspólnego z twą misją?

Opuściłem wzrok.

— Tak.

— Byliście przy tym?

— Tak. Lecz zostaliśmy zabrani. Dopiero co odzyskaliśmy wolność.

Guy podszedł do łóżka.

— Czy Tamasin wie?

— Pomyślałem, że zanim jej powiemy, zaczekamy na ciebie.

Nic nie powiedział, tylko przykląkł przy Baraku, delikatnie zdjął opatrunek z rany na jego plecach i uważnie ją obejrzał. Potem odsłonił ten straszliwy kikut, z którego wciąż sączyła się krew i w strzępach ciała było widać białe kości. Przymknąłem oczy. Guy starannie założył opatrunki. Spojrział na mnie znowu z tak ponurą miną, jakiej jeszcze u niego nie widziałem.

— W ranach nie widać oznak zakażenia... na razie. Należy je oczyścić. Lecz stracił tyle krwi, że większość ludzi by tego nie przetrzymała. - Wstał szybko. - Muszę podać mu płyny.

— Czy przeżyje?

— Raczej umrze — odparł sucho. Zdałem sobie sprawę, jak musi mu być ciężko, leczyc zagrożonego śmiercią pacjenta, który był jego przyjacielem. - Wiedziałem, że tak to się skończy, wiedziałem! Ilu jeszcze ludzi trafi do mnie śmiertelnie rannych albo okaleczonych przez te twoje tajemnicze poczynania? - zapytał z furią.

- Żaden - odpowiedziałem cicho. - Już po wszystkim. Tej nocy sprawa została zakończona.

Wciąż patrzył na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

- Czy było warto, Matthew? - zapytał drżącym z gniewu głosem. - Tak czy nie?

- Myślę, że ktoś został uratowany... kobieta.

- Kto taki? Nie mów. — Podniósł dłoń. — Chyba się domyślam.

- Mój pan nie chciał do tego doprowadzić - odezwał się Nicholas.

- Nie wątpię - odrzekł Guy już nieco łagodniej. - A teraz, panie Nicholasie, czy mógłbyś pojechać do domu Baracka i przywieźć tu jego żonę?

Sprzeciwiłem się.

- Lecz w jej stanie...

- Jack prawdopodobnie umrze jeszcze tej nocy - odparł spokojnie Guy. - Co według ciebie powiedziałaaby Tamasin, gdyby nie dano jej być z nim do końca?

- W takim razie to ja ją zawiadomię.

- Chłopak uczyni to szybciej. Wolałbym, byś tu został. Może będę potrzebował twej pomocy, jeśli Simeon zostanie wezwany do innych chorych. - Zwrócił się do Nicholasa: - Powiedz pani Barakowej, że zdarzyło się nieszczęście. I że już jestem przy Jacku.

Nicholas pokiwał smętnie głową.

- Dobrze.

- Pospiesz się. Weź mojego konia, stoi przed bramą. I powiedz Simeonowi, że go potrzebuję.

Nicholas zerknął na mnie. Skinąłem przyzwalająco głową, a wówczas szybko wyszedł z sali. Kiedy zniknął, Guy spytał cicho: i Czy potrafisz spojrzeć jej w oczy?

- Będę musiał.

Pochylił się i otworzył swą sakwę. Barak leżał nieruchomo.

*

Minęła prawie godzina do chwili, kiedy przyjechali. Guy przez ten czas cicho i sprawnie dezynfekował rany Baraka. Ja siedziałem przy łóżku tak zmęczony, że mimo dramatycznych okoliczności co jakiś czas przysypiałem i budziłem się nagle, o mało nie spadając z krzesła. Przy świetle lampy, którą trzymał Simeon, Guy ze skupieniem na twarzy ponownie zabandażował rękę Baraka, tłumiąc Bóg wie jakie emocje. W pewnym momencie zatrzymał się i zerknął na mnie.

— Przespałeś niemal pół godziny.

Spojrzałem na Baraka. Oddychał płytko, nierówno.

Guy wyjaśnił:

— Chciałem, by się czegoś napił, wlałem mu do ust soku jabłkowego. Zadławił się i na chwilę odzyskał przytomność.

— Czy to dobry znak?

— Nie przełknął płynu. Muszę mu podać coś na wzmocnienie, by jego organizm mógł uzupełnić straconą krew.

Wtedy rozległy się kroki na korytarzu, najpierw ciężkie i długie Nicholasa, a za nimi lekkie i szybkie drugiej osoby. Drzwi się otworzyły; Nicholas je przytrzymał, puszczając przodem Tamasin. Miała szeroko otwarte oczy, oddychała pospiesznie i głęboko. Pomyślałem, że gdy ujrzy męża w takim stanie, zacznie krzyczeć albo zemdleje, lecz ona tylko spojrzała na Guya.

— Nie żyje? - zapytała drżącym głosem.

— Nie, Tamasin, lecz jest ciężko ranny.

Wstałem, wskazując krzesło.

— Tamasin, proszę, usiądź.

Uczyniła to, nie patrząc jednak na mnie, tylko odgarniając kosmyki jasnych włosów, które wysunęły się spod peruki. Drugą rękę trzymała na brzuchu, jakby chciała ochronić dziecko przed strasznym widokiem, jaki stanowił leżący na łóżku Barak.

Ponownie zwróciła się do Guya:

— Nicholas mówił, że Jack jest poważnie ranny. Nie chciał powiedzieć, co się stało, lecz nie dawałam za wygraną i wreszcie wyznał, że doszło do walki na miecze. I że Jack stracił rękę. Dobry Boże, teraz widzę, że to prawda. - Wciąż drżał jej głos, lecz zacisnęła dłoń w pięść, by nad sobą zapanować.

Nicholas wtrącił:

— Chciała wiedzieć, doktorze Malton...

Guy podniósł rękę.

— Owszem, doszło do walki...

Tamasin zwróciła ku mnie zagniewaną twarz.

- Jak to się stało? O co tu chodzi? Dlaczego Jack nie mógł mi powiedzieć, dokąd się wieczorem wybiera?

Odrzekłem:

- Potrzebowałem pomocy. Jak zwykle mi nie odmówił.

Ze złością pokręciła głową.

- Myślałam, że już mu przeszło. Od kilku tygodni podejrzewałam, że coś się dzieje, lecz wmawiałam sobie, że nie będzie ryzykował, a ty, panie, nie narazisz go na niebezpieczeństwo. — Zawołała: — To ostatni raz! Nie będzie już zdolny do brudnej roboty, w którą go wciągasz, nieprawdaż? Jeśli przeżyje! A jeżeli tak się stanie, postaram się, by więcej dla ciebie nie pracował! Możesz mi wierzyć!

- Tamasin, przykro mi, bardziej niż mogę wyrazić. Masz rację. To moja wina. Lecz jeżeli... kiedy ozdrowieje... może wrócić do pracy, do kancelarii...

Odpowiedziała z wściekłością:

- Jak? Co miałby robić? Nawet nie będzie mógł pisać...

- Coś wymyślę... postaram się wam to zrekompensować... jeśli chodzi o pieniądze... zatroszczę się o was.

Wstała, biorąc się pod boki.

- Właśnie widzę, jak zatroszczyłeś się o mego męża! Zostaw nas w spokoju, nawet się do nas nie zbliżaj! — Nicholas uspokajającym gestem wyciągnął rękę, lecz Tamasin ją odepchnęła. — Nie dotykaj mnie, ty...! — Odwróciła się do mnie plecami. — A teraz idźcie stąd! Precz! - Ukryła twarz w dłoniach i usiadła, szlochając.

- Powinieneś wyjść, Matthew. I ty także, chłopcze. Proszę, idźcie stąd.

Zawahałem się, a potem ruszyłem do drzwi. Nicholas podążył za mną. Lecz kiedy do nich podeszliśmy, z łóżka dobiegł dźwięk, jakby jęk. Czy to z powodu tego całego zamieszania, czy też dlatego, że usłyszał głos żony, Barak się ocknął. Zerknąłem na Tamasin - pochyliła się nad nim. Cofnąłem się od drzwi, lecz rzuciła mi takie spojrzenie, że bez słowa pozwoliłem, by Nicholas wyprowadził mnie z sali.

*

Odprowadził mnie do domu, niosąc lampę, którą dostał od odźwiernego. Widziałem, że już prawie się wypaliła. Chłopak miał dość rozumu, by się nie odzywać, tylko mnie podtrzymywał, kiedy się potykałem. Zapytałem go raz:

— Myślisz, że przeżyje... teraz, kiedy odzyskał przytomność?

— Tak, nie mam co do tego wątpliwości - odparł z pewnością, której nie czułem, słyszałem to w jego głosie.

Zaprowadził mnie ścieżką pod same drzwi. Kiedy się zbliżyliśmy, na progu stanęła Josephine. Z całego gospodarstwa pozostała mi tylko ona. Podeszedłszy do niej, zobaczyłem, że się uśmiecha.

Zawołała:

Znaleźliśmy go! Edward i ja. Nad stawem w Coney Garth, nad który chodzi łowić ryby. Był tam, próbował złapać coś do jedzenia. — Wtedy zauważyła wyraz mej twarzy i otworzyła szeroko oczy. - Co się stało, jaśnie panie...

Minąłem ją i skierowałem się do kuchni. Timothy siedział przy stole z Edwardem Brownem, brudny i cuchnący. Na mój widok uśmiechnął się nerwowo, ukazując szczyrbę między zębami. Powiedział niepewnie:

— Josephine mówi, że już się na mnie nie gniewasz, jaśnie panie.

Odparłem łamiącym się głosem:

— Nie, Timothy. Niesłusznie tak długo miałem do ciebie żal. A Martin Brocket mówił nieprawdę. Nie odszedł przez ciebie. Jesteś cały i zdrowy?

— Tak, jaśnie panie. — Spojrzał na mnie, a potem na Nicholasa, który stał za mną w drzwiach. - Ale, jaśnie panie, czy coś ci się stało?

— Nic takiego. — Położyłem rękę na dłoni Timothy'ego, drobnej, szczupłej i brudnej. Pomyślałem, że przynajmniej jego nie straciłem. Z tych wszystkich, którzy ucierpieli z powodu zasadzki, którą zastawili król i Paget, najmniej ważna persona; przynajmniej dla nich, bo nie dla mnie, nie dla mnie.

Epilog

Luty 1547, pół roku później

Przed pałacem Whitehall zebrały się nieprzebrane tłumy. Ludzie tłoczyli się po obu stronach drogi jeszcze za Charing Cross i w głębi Cockpur Street. Powiadano, że stoją aż do Windsoru. Wszyscy odziali się jak najcieplej - niebo było bezchmurne, lecz panowało ostry mróz, który ściał kałuże, a ze wschodu wiał lodowaty wiatr. Niektórzy, ci najubożsi, w skórzanych bezrękawnikach czy wytartych kapotach, drżeli i kulili się z zimna. Lecz nie szli do domów; chcieli ujrzeć widowisko.

Włożyłem swą najcieplejszą podbitą futrem togę, choć złoty łańcuch sobie darowałem. Pod koniec sierpnia musiałem go oddać złotnikowi. Przy tej okazji nie musiałem na nikim robić wrażenia. Król Henryk VIII umarł i miały rozpocząć się uroczystości pogrzebowe.

Król, jak podano do wiadomości, zachorował ciężko we wrześniu, podczas krótkiego objazdu do Guildford, i potem nie doszedł już w pełni do siebie. Stan jego zdrowia pogorszył się znowu w grudniu i pod koniec stycznia Henryk wyzionął ducha. W ostatnich miesiącach w palestrze londyńskiej krążyły rozmaite plotki. Jak zwykle trudno było odróżnić prawdę od fałszu, lecz większość zgadzała się co do tego, że jesienią religijni radykałowie zdobyli całkowitą przewagę, biskup Gardiner został publicznie spoliczkowany przez lorda Lisle'a podczas zebrania Tajnej Rady i król nie przyjął go przed śmiercią. Rozumiałem dlaczego. Frakcja konserwatywna postawiła wszystko na jedną kartę, licząc, że królowa zostanie uznana za heretyczkę i misja Bertana zakończy się sukcesem. Oba te posunięcia się nie powiodły i król, wiedząc, że umiera, zwrócił się do tych, którzy mieli zapewnić, by zwierzchnictwo Kościoła przeszło na jego potomka.

W grudniu książę Norfolk i jego syn, hrabia Surrey, zostali niespodziewanie aresztowani; hrabiego oskarżono o bezprawne połączenie herbu królewskiego z własnym. Na podstawie aktu orzekającego pozbawienia praw obywatelskich parlament skazał ich obu na śmierć za zdradę stanu - hrabia został stracony w styczniu, a książę, największy konserwatysta, poszedłby za nim na szafot, gdyby król nie zmarł w noc przed egzekucją. Sprawa ich skazania wyglądała mi na ukar-towaną — Henryk już kiedyś uciekł się do takiej sztuczki, by pozbyć się Anny Boleyn i Thomasa Cromwella.

Powiadano, że na łożu śmierci król wezwał arcybiskupa Cranmera, lecz kiedy ten przybył, Henryk nie był już w stanie mówić. A gdy prałat go poprosił, by dał znak, że odchodzi, wierząc w Chrystusa, tylko uścisnął jego rękę. Nie wypowiedział się więc ani nie otrzymał ostatniego namaszczenia. Okoliczności jego odejścia — być może wskutek przypadku - były więc do zaakceptowania dla protestantów. Jednak, o dziwo, król w swej ostatniej woli zażyczył sobie, by nad jego ciałem odprawiono tradycyjne requiem. W chwili śmierci był więc równie niezdecydowany jak za życia.

*

„Vive le roi Edward Szósty!” Tak heraldowie ogłosili powołanie na tron nowego króla, szczupłego, sztywnego chłopca. Członkowie nowej Tajnej Rady, których król wyznaczył w testamencie niedługo przed śmiercią i którzy mieli rządzić Anglią do czasu osiągnięcia przez Edwarda pełnoletniości, w przeważającej części popierali frakcję protestancką. Weszli do niej reformatorzy: lord Lisle i hrabia Essex, brat Katarzyny Parr, a oprócz nich wielu umiarkowanych polityków, którzy obracali się jak chorągiewka na wietrze, między innymi Wriothesley i Rich; Paget pozostał sekretarzem. Wszyscy oni ostatecznie nagięli się do woli Henryka, który znowu zmienił front. Wyjątek stanowił biskup Gardiner, który kipiąc z bezsilnego gniewu, został odsunięty od wszelkiej władzy. Mówiono, że niebawem należy się spodziewać radykalnej reformy religijnej.

W obozie reformatorów Seymourowie zdobyli przewagę nad Parrami. Katarzyna Parr wbrew swym nadziejom nie miała szans na regencję. Została tylko królową wdową, a na opiekuna młodego króla rada czym prędzej wyznaczyła Edwarda Seymoura, lorda Hertforda. To on jej teraz przewodniczył i przyjął do

niej swego brata, Thomasa.

Krążyły różne opowieści: że testament króla sporządzono już po jego śmierci, że Hertford zmówił się z żądnymi władzy politykami, by w ostatniej woli monarchy zamieścić klauzulę o „nieprzyznanych darach”, która pozwalała nowej radzie przydzielać im w imieniu Henryka tytuły, w sposób niepodważalny potwierdzając ich lojalność. Z całą pewnością pojawiła się liczna grupa nowych lordów: Richard Rich został lordem Richem z Lees w Essex. Ale co tak naprawdę wydarzyło się po śmierci króla, tego nie wiedział nikt, i wszystko wskazywało, że pozostanie to zagadką już na zawsze.

*

Do udziału w pogrzebie zachęcano, lecz nie zmuszano. Większość w tym licznym tłumie przyszła chyba jak ja, by być świadkiem zakończenia pewnej epoki. Obecni wśród nas młodzi nie znali innego władcy; ja sam ledwie pamiętałem, jak matka mówiła mi, wówczas siedmioletniemu chłopcu, że król Henryk VII zmarł i na tronie zasiadł drugi z kolei Tudor.

Przebiegł mnie dreszcz, więc roztarłem dłonie w rękawicach. Wznoszący się naprzeciwko pałac Whitehall był opustoszały i pogrążony w ciszy - procesja miała się rozpocząć przy kaplicy Westminsteru, położonego dalej na południe. Philip Coleswyn przy moim boku powiedział:

- Oj, zimny dzień, lecz może przyniesie czas prawdziwej wiary.

Nicholas, stojąc po mojej drugiej stronie, mruknął:

- Sądząc po tym wietrze, będzie to śnieżny czas. - Ze swym akcentem z Lincoln'shire przeciągnął ostatnie słowa.

- O, tak - zgodziłem się z nim. - Chyba masz rację.

W ostatnich miesiącach ten chłopak był dla mnie istną opoką. Pracował w kancelarii ze świeżym zapałem i bystrością umysłu, przejmując większość dawnych obowiązków Baraka. Chociaż wymagał nadzoru i bywał zbyt wyniosły dla niektórych niżej urodzonych znajomych Jacka pośród urzędników i prawników, to jednak szybko się uczył. Wciąż popełniał błędy i często jak ci, którzy prędko awansowali, zachowywał się bezczelnie, co należało łagodnie korygować, lecz dostrzegałem, że pod pozorami brawury i nonszalancji Nicholas Overton skrywał prawdziwie żelazny charakter. Nie wiedziałem, jak długo u mnie zostanie, nie miałem też pojęcia, dlaczego jest wobec mnie taki lojalny, lecz może po kłótni z rodziną chciał zapuścić gdzieś korzenie. Niezależnie od tego, czym się kierował, byłem mu wdzięczny i zaproponowałem, by tego dnia poszedł ze mną na pogrzeb.

Kiedy doszliśmy do Whitehall, zobaczyłem całe rzesze prawników, ze względu na swą pozycję zajmujących miejsce na czele tłumy po północnej stronie Great Gate. Wszyscy byli odziani w czarne togi i większość miała kaptury, które chroniły przed zimnem. Przez chwilę pomyślałem, że przypominają mnichów. Gdy się zbliżyliśmy, odwrócili głowy, tak jak przypuszczałem, wieści o mym aresztowaniu i przesłuchaniu przed radą szybko się rozeszły i stały tematem plotek, tak samo jak to, że zniknął Barak, znany w Lincoln's Inn ze swego rozumu i hardości. Uprzejmie skinąłem głową znajomym. Skarbnik Rowland, ze swym długim, poczerwieniałym od zimna nosem, spojrzał na mnie niechętnie. Vincent Dyrick z niewiastą i trójką dzieci przy boku rzucił mi szybkie spojrzenie, po czym się odwrócił. A stojący z przodu William Cecil podniósł dłoń w powitalnym geście i skłonił głowę. Odpowiedziałem tym samym, myśląc, jak słusznie postąpił - był obecnie sekretarzem hrabiego Hertforda i jak na tak młodego człowieka zdobywał coraz większe wpływy.

Przez tłumek prawników, witając mnie głośno, precyzyjnie się znajoma postać. Nie widziałem Philipa Coleswyna od lata, lecz chętnie uściśnąłem mu dłoń. Zaprowadził mnie i Nicholasa do pierwszego szeregu. Zapytałem go o rodzinę, na co odparł, że wszyscy mają się dobrze. Zdawał się spokojny i zadowolony, opuściły go troski, tak dotkliwie jeszcze latem. Kiedy zagadnął o mnie, odpowiedziałem zdawkowo, że czuję się nie najgorzej. Chociaż miałem perukę i jak wszyscy inni nałożyłem kaptur, Philip spojrzał na mą głowę. Zapewne słyszał od kogoś, że po tamtej nocy w sierpniu całkowicie osiwiąłem - początkowo tylko u nasady włosów, tak że wyglądałem jak borsuk, lecz później, kiedy urosły, już

całkowicie. Przywykłem do tego.

*

- Spóźniają się - zauważył Nicholas, przytupując, by rozgrzać nogi.

- W Westminsterze mają co robić - odparł Philip. - Do Windsoru udają się prawie dwa tysiące ludzi, pieszo lub konno. Wszyscy muszą zająć właściwe miejsca.

- I nikogo nie obchodzi, że gawiedź czeka - burknąłem.

Philip spojrział na mnie, zaskoczony mym gorzkim tonem. Pomyślałem, że muszę uważać, bo niedługo wezmą mnie za anabaptystę, a idee równości nie znajdują uznania u nowej władzy, tak jak nie znajdowały u starej, choćby nadeszły nie wiadomo jak radykalne zmiany. Podniosłem wzrok i popatrzyłem w stronę okien nad szerokimi łukami Great Gate. Mieścił się tam gabinet króla, do którego zawiedziono mnie tamtej strasznej nocy. Henryk nigdy już nie spojrzył na swych poddanych z tego okna. Nagle poczułem się wolny.

Philip zagadnął:

- Zapewne nie wiesz, jak się ma pani Slanning.

- A wiem. — Guy informował mnie na bieżąco. Był na mnie wściekły tamtej sierpniowej nocy, i słusznie, lecz w następnych tygodniach, kiedy popadałem w czarniejszy nastrój niż kiedykolwiek do tej pory, okazywał mi wiele troski i pomagał dojść do siebie. Współczucie wzięło w nim górę nad gniewem, za co byłem mu do zgonnie wdzięczny. Spojrzałem na Philipa, zastanawiając się, jak przyjmie to, co miałem do powiedzenia: — Wyjechała do Francji, jak wielu od czasu zawarcia pokoju. Wróciła do wiary katolickiej i wstąpiła do klasztoru gdzieś na prowincji.

- Do klasztoru? - Zdawał się poruszony.

- Nie wiem, czy już złożyła śluby. Do tego trzeba długich przygotowań. - Byłem ciekaw, czy Isabel w końcu się wypowiedziała. - Tak jest dla niej najlepiej, trudno by jej było odnaleźć się teraz w świecie. Przekazała swoje ziemskie dobra zakonnicom. Należna Edwardowi część domu przejdzie na jego rodzinę, gdyż Isabel nie ma żadnych żyjących krewnych.

Philip skłonił głowę z niezadowoleniem.

- Może papieści udziela jej schronienia, lecz straci szansę na zbawienie.

Nicholas spojrział na niego, mrużąc oczy.

- Więc sądzisz, panie, że po śmierci będzie płonęła żywym ogniem, jak niedawno pani Anna Askew, tyle że przez całą wieczność?

- Boskie prawa przekraczają ludzkie rozumienie, chłopcze — odparł stanowczo Philip.

Odezwałem się cicho:

— Jeśli takie są, to rzeczywiście trudno je pojąć. — Pomyślałem o Hugh Curteysie, mym podopiecznym. Kiedy jesienią w Antwerpii nasiliły się prześladowania protestantów, przeniósł się do Hamburga i pracował teraz dla kupców z niemieckiej Hanzy. Z powodu wielkiego konfliktu między protestantami a katolikami w całej Europie każdy mógł stać się uchodźcą, skończyć w więzieniu albo jeszcze gorzej.

*

Żałobnicy wciąż nie nadchodzili, choć wokół bramy, pod którą mieli przejść, zaczęli biegać urzędnicy; jeden z nich drżał z zimna w rewerendzie. Przypomniałem sobie, jak na nieporównanie mniejszą ceremonię przed miesiącem, kiedy to Josephine poślubiła Edwarda Browna, spóźnił się duchowny. Ślub odbywał się w małej parafii, do której należał Edward. Przybyli jego krewni i znajomi ze stowarzyszenia prawniczego, a także pan, któremu służył. Josephine nie miała rodziny, więc to ja poprowadziłem ją do ołtarza, co uczyniłem z dumą, choć wiedziałem, że bardzo będzie mi jej brakowało. A w minionym tygodniu para przeprowadziła się do Norwich. Zamierzałem znaleźć nowego kamerdynera, a do tego czasu zatrudniłem starego zrzędliwego jegomościa imieniem Blaby, i oprócz niego moje gospodarstwo składało się teraz jedynie z Timothy'ego i mnie. Bardzo, bardzo delikatnie

nakłaniałem chłopca, by po skończeniu czternastu lat poszedł do terminu u kowala z Lincoln's Inn, na co wyłożyłbym pieniądze, by miał w przyszłości z czego żyć.

Nagle ich zobaczyłem, po raz pierwszy od pół roku - prawie na samym przodzie tłumu, choć nieco z boku. Baraka i Tamasin. Tamasin miała na sobie grubą pelerynę z kapturem, lecz wyglądała blado. Wiedziałem od Guya, że przed dwoma tygodniami, tej samej nocy, której zmarł król, wydała na świat zdrową dziewczynkę. Nie powinna była tak szybko wyjść na mróz, lecz wyobrażałem sobie, że się uparła.

Towarzyszył jej Barak, który wciąż źle wyglądał. Miał obrzmiałą twarz i nabrął ciała. Ze ściśniętym sercem zauważyłem, że prawy rękaw jego płaszcz był u dołu pusty. Podniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Tamasin także uniosła głowę, lecz kiedy mnie zobaczyła, aż stężała.

- Idą! - Przez tłum przebiegł pomruk podniecenia i ludzie wykręcili głowy, by spojrzeć w stronę bramy Holbeina. Z daleka dobiegły dźwięki śpiewanych głośno modlitw, które niosły się w czystym zimnym powietrzu. Lecz potem przez minutę nic się nie działo. Ludzie prze-stępowali z nogi na nogę i przytupywali, niektórzy na mrozie zaczęli mamrotać niechętnie i narzekać.

W pobliżu nastąpiło poruszenie. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Barak przeciska się przez tłum w naszą stronę. Tamasin patrzyła na mnie groźnie, jak zwykle.

Barak swą jedyną ręką wziął Nicholasa pod ramię.

- Jak się masz, Nick, chłopcze? Nie widziałem cię od tamtej nocy. Wszystko u ciebie dobrze?

- Tak... tak. A u ciebie? - W głosie Nicholasa brzmiało zaskoczenie, bo kiedy pewnego wieczoru w październiku poszedł odwiedzić Baraka, Tamasin zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Pieniądze, które przesłałem im przez Guya, zostały zwrócone bez słowa.

- Jak on cię traktuje? - ciągnął Barak, wskazując mnie głową. - Daje ci dużo roboty?

- Tak... tak. Brakuje nam ciebie w kancelarii.

Barak zwrócił się do mnie.

- Jak żyjesz? — W jego oczach, jak i na całej opuchniętej twarzy, wciąż można było dostrzec cierpienie i wstrząs, które przeżył.

- Nie najgorzej. Lepiej powiedz, jak ty się masz...

- Posłuchaj — rzekł pospiesznie, — Nie mam wiele czasu, Tammy nie chce, bym z tobą rozmawiał. Chciałem tylko powiedzieć, że czuję się dobrze. Dostałem propozycję od grupy prawników, bym się u nich zatrudnił, kiedy już dojdę do siebie. Prowadziłbym rozmowy z klientami, odnajdywał świadków, takie tam. To praca, w której nie trzeba obu rąk. Więc nie miej wyrzutów.

- Strasznie mi przykro, Jack, strasznie — odparłem. — Tamasin ma rację, to wszystko moja wina.

- Bzdury! - odrzekł jakby z dawnym wigorem. - Ja sam się w to wszystko wdałem, to ja opowiadałem jej kłamstwa. Czy nie odpowiadam już za własne decyzje? — Przez jego twarz przebiegł gniew i pojąłem że przestał się uważać za pełnosprawnego mężczyznę. Nie odpowiedziałem,

- Jak się ma nowo narodzone dziecko? - spytał Nicholas. - Słyszeliśmy, że masz córkę.

- Nie da się utrzymać niczego w sekrecie na milę wokół Lincoln's Inn, he? - odparł z cieniem dawnego humoru. - O, tak, jest zdrowa i silna, płuca ma jak matka. Damy jej na imię Matilda.

- Gratulacje, Jack - rzuciłem cicho.

Obejrzał się przez ramię w stronę Tamasin.

- Lepiej już pójdę. Posłuchaj, zawiadomię cię, kiedy wrócę do pracy. A co do tego... - Wskazał pusty rękaw. - Kiedy kikut się zagoi, Guy przytwierdzi mi do niego protezę, nie żadną drugą rękę, ale lepsze to niż nic. A jeśli chodzi o Tammy, daj jej trochę czasu. Pracuję nad nią. Chyba łatwiej jej obarczyć winą ciebie niż mnie.

Było w tym trochę prawdy. Mimo to Tamasin miała wszelkie powody, by winić mnie za kalectwo Baraka, tak jak ja winiłem za to samego siebie. Jack skinął mi na pożegnanie i odwrócił się ku żonie. Tamasin widziała, że ze mną rozmawiał; spojrzenie, które mi teraz rzuciła, miało w sobie jakby rozpacz i

poczucie klęski, co dotknęło mnie do żywego. Odwróciłem się pospiesznie.

Pomruki ustały i tłum znowu się uciszył. Śpiewy modlitewne za bramą Holbeina stały się głośniejsze i coraz bliższe. Ludzie odkryli głowy. Ja także opuściłem kaptur, czując wokół głowy w peruce lodowate powietrze. Dwaj urzędnicy przejechali konno pod głównym łukiem, spoglądając w głąb ulicy, by zobaczyć, czy droga wolna. Potem, pod szerokimi łukami przeszedł chór wraz z duchownymi z Kaplicy Królewskiej, którzy wciąż wznosili śpiewy. Za nimi podążało ze trzysta osób w nowych czarnych pelerynach, niosąc pochodnie — ubodzy, którzy zgodnie ze zwyczajem przewodzili procesjom żałobnym bogaczy. Cóż, obecnie było w Anglii więcej biedoty niż kiedykolwiek wcześniej.

Ludzie, którzy jechali za nimi na koniach, dzierżąc sztandary i chorągwie, nie należeli do biednych - byli to dostojnicy państwowi, w otoczeniu strażników. Dostrzegłem znajome twarze - Cranmera, Wriothesleya, Pageta. Opuściłem głowę, udając smutek. W końcu wszyscy przeszli dalej i pojawił się wielki karawan. Jakiś stojący za mną prawnik pochylił się ku Nicholasowi, mówiąc ze zniecierpliwieniem:

- Na bok, drałalu, daj zobaczyć!

Karawan ciągnęła ósemka pięknych koni, przybranych na czarno; każdego z nich prowadził chłopiec, a jeden z nich niósł chorągiew. Karawan był bogato złożony, ze złotym baldachimem nad wielką trumną, na której spoczywała woskowa podobizna króla Henryka. Wyglądał na niej niepokojąco realnie, ale nie tak jak ostatniego lata, kiedy go widziałem, lecz jak w czasach, gdy utrwalił go na swym malowidle Holbein, gdy był w pełni sił, rudowłosy, barczysty. Postać z wosku była odziana w zdobny klejnotami aksamit i miała na głowie czarną czapkę. Na jej twarzy malował się wyraz spokoju i wytchnienia, jakiego Henryk zapewne nie zaznał za życia.

Zaczęły bić dzwony. Ludzie pochylili głowy i usłyszałem nawet kilka jęków. Spojrzałem na mijającą nas podobiznę i pomyślałem: czego tak naprawdę dokonał, co takiego niezwykłego przyniosło jego panowanie? Przypomniało mi się to wszystko, czego byłem świadkiem w ostatnich dziesięciu latach: rozwiązanie klasztorów, wysłanie na emeryturę zakonników, odprawienie służących, którzy musieli ruszać w drogę. Prześladowania i palenie ludzi na stosach — zadrżałem na wspomnienie eksplodującej głowy Anny Askew. Wielka wojna, która nic nie dała, lecz tylko zubożyła kraj, i wiedziałem, że jeśli ten stan będzie się pogłębiać, pojawią się kłopoty, szarzy ludzie bowiem więcej znieść nie mogli. I jak stale, nieodmiennie za rządów Henryka - cień topora. Pomyślałem o tych, którzy położyli pod niego głowy, a w szczególności o jednym człowieku, którego znałem dawno temu i wciąż miałem żywo w pamięci - Thomasie Cromwellu.

Stojący obok mnie Philip powiedział cicho:

- A zatem to koniec.

*

Dwa tygodnie później posłaniec przywiózł do kancelarii wiadomość. Jechał konno z Chelsea przez zasy śniegu, który leżał od wielu dni. Tymczasem Henryk spoczął w grobie, a młody Edward został koronowany. Krążyła wieść, że zwłoki Henryka, pozostawione na noc przed przewiezieniem do Windsoru, nagle wybuchły i wylała się z nich cuchnąca ciecz, która zwróciła uwagę psa — tak rzekomo wypełniła się przepowiednia pewnego starego mnicha, że psy będą lizać krew Henryka, tak jak biblijnego Achaba. Lecz była to zbyt barwna anegdota, by mogła być prawdziwa.

Kiedy przybył posłaniec, pracowałem w swym gabinecie, podczas gdy w sekretariacie Skelly przygotowywał materiały do rozprawy sądowej, Nicholas zaś pracowicie, plamiąc palce inkaustem, spisywał złożone pod przysięgą zeznanie. Rozpoznałem pieczęć od razu — należała do królowej, obecnie królowej wdowy. Otworzyłem list — w jasnym świetle, dochodzącym z pokrytego śniegiem dziedzińca za oknem, kaligraficzne pismo żywo odcinało się od białego papieru. Był to krótki list, napisany przez królewskiego sekretarza, który prosił, bym stawił się nazajutrz po południu w pałacu Chelsea.

Odłożyłem pismo. Nie spodziewałem się już żadnych wiadomości od Katarzyny Parr, a po rozmowie

z królem ze wszystkich sił starałem się o niej zapomnieć. Jednakże zakaz zbliżania się do niej, który mi wydał, umarł razem z nim. Było mi przykro, że Katarzyna wbrew swym nadziejom nie została regentką, lecz ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że król okazał się dla niej hojny w testamencie, podobnie jak dla lady Marii i Elżbiety - każda z nich dysponowała teraz pokaźnym majątkiem i miała silną pozycję. Ludzie powiadali, że być może za jakiś czas Katarzyna znowu wyjdzie za mąż, i wymieniali nazwisko Thomasa Seymoura.

*

Pojechałem do Chelsea. Za Londynem Genesis stąpała powoli, albowiem drogę pokrywał zbity śnieg i lód. Położony na brzegu Tamizy pałac Chelsea stanowił piękną nową budowlę z czerwonej cegły i był otoczony rozległymi ogrodami, które musiały wiosną wyglądać wspaniale; oceniałem, że mógł bez trudu pomieścić dwór liczący dwieście osób. Wartownicy przy bramie wciąż nosili liberię królowej. Zostałem wpuszczony na dziedziniec i lokaj zaprowadził mnie do budynku. Wewnątrz tam i z powrotem kursowali służący, lecz przy drzwiach nie stali strażnicy, jak w Whitehall, i nie kręcili się politycy. Lokaj zawiódł mnie w głąb pałacu i zapukał do drzwi. Usłyszałem znajomy głos:

— Wejść,

Wszedłem za służącym do dużej komnaty. Rozpoznałem kilka przedmiotów, przeniesionych tu z galerii Jej Królewskiej Mości, jak ozdobny zegar, szkatułka z monetami, która stała na stoliku obok szachownicy. Królowa wdowa stała zwrócona plecami do dużego okna wykuszowego; miała na sobie czarną suknię i czepiec, kontrastujące z zasypanymi śniegiem trawnikami na zewnątrz. Skłoniłem się nisko. Odprawiwszy lokaja, powiedziała:

- Matthew. Nie widziałam cię od miesiący.
- Rzeczywiście, Wasza Królewska Mość.

Błada twarz Katarzyny była piękna i jak zwykle opanowana. W postawie królowej wyczułem dziwną pogodę i siłę.

Podjęła łagodnie:

- Przykro mi, że twe wysiłki, by mi pomóc... nie przyniosły nic dobrego. Wiem, kto miał *Lamentacje*. Wiem też, co przeżyłeś... i co przydarzyło się twemu biednemu pomocnikowi.

Byłem ciekaw, czy jest świadoma, że okłamałem dla niej króla. Patrząc na nią, trudno było się tego domyślić, a nie mogłem spytać.

- Czy Wasza Królewska Mość je odzyskała?

Tak. Za pośrednictwem lorda protektora. — Pochwyciłem lekko zgryźliwy ton w jej głosie, kiedy wspomniała o człowieku sprawującym funkcję, na którą sama liczyła. Dodała: - Zamierzam wydać je w tym roku.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

- Czy to... rozsądne, Wasza Królewska Mość?
- Teraz już tak. Pan Cecil zaoferował się, że napisze przedmowę. Tak jak ja uważa, że *Lamentacje grzesznika* pomogą znękanym duszom osiągnąć zbawienie. Pozostał mym dobrym przyjacielem.
- Jestem rad. To zdolny młody człowiek.
- Dostaniesz ode mnie egzemplarz... z mą dedykacją.
- Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Zbliżyła się do mnie o krok.

- Jak już mówiłam, wiem, ile kosztowały cię poszukiwania tego dzieła. - Spojrzała na mnie swymi orzechowymi oczami i pomyślałem nagle: Tak, wie, że powiedziałem królowi, iż to ja ponoszę odpowiedzialność za to, by szukać *Lamentacji* zamiast powiedzieć mu o ich zaginięciu. Wraz z jej stryjem, którego Paget miał przesłuchać następnego dniem który by się tego nie wyparł. — Będę ci wdzięczna do grobu - dodała.

— Dziękuję, Wasza Królewska Mość. - Nastąpiła niezręczna chwila ciszy, więc zapytałem: - Jak

się ma lord Parr?

— Wrócił na wieś — odparła ze smutkiem. — By umrzeć, obawiam się. Usługi, które oddał mi zeszłego roku, zbyt wiele go kosztowały, zważywszy na stan jego zdrowia.

— Przykro mi to słyszeć.

Spojrzała na mnie z przejęciem.

— Jeśli bywał wobec ciebie szorstki, to tylko z miłości do mnie.

Uśmiechnąłem się.

— Zawsze byłem tego świadom.

Podeszła do szachownicy. Figury były ustawione do nowej partii i przez chwilę myślałem, że zaproponuje mi, bym z nią zagrał. Ona jednak tylko podniosła jeden z pionków i odstawiła go z powrotem.

— Posłałam po ciebie, gdyż wiele ci zawdzięczam. — Przywołała uśmiech na twarz. — Chcę ci zaoferować zajęcie, jeśli tylko zechcesz je przyjąć.

Nie odpowiedziałem. Koniec z polityką, zamierzałem odmówić, nawet jej.

Królowa wdowa zetknęła palce obu rąk.

— Moja sytuacja bardzo się zmieniła. Jestem wdową i mogę ponownie wyjść za mąż. Za jakiś czas. - Zarumieniła się i szybko opuściła wzrok, jakby wiedząc, że wielu, między innymi ja, tego nie pochwali. Pomyślałem, że pogłoski są prawdziwe, poślubi Thomasa Seymoura i serce mi się ścisnęło: Jaka szkoda.

Chyba zdradził mnie wyraz twarzy, gdyż szybko wciągnęła powietrze i podjęła:

— Gdy... jeśli... przyjdzie taki czas, obawiam się, że nie będę mogła korzystać z twych usług ani widywać się z tobą.

Wiem, pomyślałem, chodzi o Seymoura, który nie znosi mnie tak jak ja jego. Lecz co królowa miała na myśli, mówiąc, że ma dla mnie zajęcie?

Ciągnęła:

— Słyszałeś o... tytułach, które przyznano po śmierci króla.

— Tylko plotki — odrzekłem ostrożnie.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie martw się, Matthew. Zdradzę ci coś, co należy na razie zatrzymać w tajemnicy, o czym jednak według mnie powinieneś wiedzieć.

Odparłem spokojnie:

- Wasza Królewska Mość wybaczy, lecz nie chcę już znać żadnych sekretów.

- Ten dotyczy Richarda Richa. — Spojrzała mi w oczy. — Barona Richa, jak powinniśmy go teraz tytułować.

Przygryzłem wargę, nie odpowiadając. Królowa wdowa opuściła wzrok na szachownicę.

- Rich w samą porę zmienił sprzymierzeńców. Zdobył tytuł i obawiam się, że na tym nie poprzestanie. - Spojrzała na mnie uważnie. - Thomas Wriothesley także został lordem, lecz, o dziwo, akurat on, ze wszystkich ludzi, ma wyrzuty sumienia i stara się utrudnić lordowi Hertfordowi zdobycie pewnych urzędów. Niedługo będzie sprawował urząd lorda kanclerza. Takie dochodzą mnie wieści, a ufam swemu informatorowi. — Którym jest Thomas Seymour, pomyślałem, brat lorda i protektora. - Jego następcą zostanie Rich.

Głęboko odetchnąłem.

- Od lat tego pragnął.

- Dziennik Anny Askew został wywieziony z kraju. Zapiski dotyczące Richa wkrótce zostaną wydane. Lord protektor wie o tym. - Zmarszczyła czoło, pochyliła się nad szachownicą i wykonała ruch skoczkiem. - Chce jednak, by Rich został kanclerzem, to bystry i doświadczony prawnik, dobrze zna arkana polityki i... — Tu westchnęła. - Budzi wśród ludzi strach.

- Rich kanclerzem, zwierzchnikiem całej palestry. Zniszczy mnie. - Także wydałem westchnienie.

Cóż, pomyślałem, może pora przejść na emeryturę, przecież zastanawiałem się nad tym, zanim jeszcze zaczęły się kłopoty. Po chwili jednak stwierdziłem uparcie, że nie chcę, by ktoś mnie do czegoś zmuszał. Lubię swą pracę i mam obowiązki: wobec Timothy'ego, Nicholasa i, owszem, Baraka. Poza tym dokąd miałbym się udać? Czym zająć?

- Przykro mi, Matthew. - Królowa wdowa uniosła dłoń, jakby chciała ująć mnie za rękę, lecz zaraz potem ją opuściła. - Obawiam się, że niebawem możesz stracić stanowisko komisarza Sądu Prób.

— Zapewne. Rich chętnie mnie go pozbawi, a niewykluczone, że posunie się do czegoś jeszcze gorszego. Może do kolejnego oskarżenia o niemoralność, z którego tym razem się nie wywinę. Skarbnik Rowland z całą pewnością chętnie mu pomoże.

Pokiwała ze smutkiem głową.

— To możliwe, — Podjęła poważnym tonem. — Lecz nie ośmieli się, jeśli obejmiesz stanowisko w służbie kogoś o dostatecznie wysokiej pozycji.

Popatrzyłem na nią zaskoczony.

— Lecz Wasza Królewska Mość właśnie powiedziała, że..,

— Nie chodzi o mnie.

— O kogóż więc...?

Uśmiechnęła się.

— To jeszcze tajemnica, lecz zostałam prawną opiekunką lady Elżbiety. Ma rezydować tu ze mną, razem ze swym guwernerem i całym dworem. Otrzymała po ojcu liczne posiadłości. To teraz bardzo majątna młoda dama. Podobnie jak lady Maria, która jeśli nie będzie się sprzeciwiać nadchodzącym zmianom religijnym, może wyjdzie za mąż. Co zaś do naszego młodego króla... — Uśmiechnęła się szerzej. — To piękny chłopiec, zdrowy i inteligentny. Jeśli dożyje takiego wieku jak jego ojciec, może sprawować rządy przez półwiecze. — Była szczęśliwa, że jej stronnictwo wygrało, nawet jeśli ród, z którego się wywodziła, nie dotarł na sam szczyt. — Lady Elżbieta zajmuje dalekie miejsce w kolejce do tronu. W stosownym czasie bez wątpienia poślubi jakiegoś arystokratę. Na razie jednak ma trzynaście lat i znajduje się pod moją kuratelą. Muszę powołać radę, która zajmie się zarządzaniem jej posiadłościami, co będzie pociągało za sobą liczne kwestie natury prawnej. Na początek trzeba będzie przepisać na nią nowe nabytki. — Odetchnęła głęboko i ponownie się uśmiechnęła. -Chciałabym, byś wziął na siebie wszystkie sprawy prawne związane z jej nieruchomościami. To stałe zajęcie. Odpowiadałbyś nie przede mną, lecz jej skarbnikiem, sir Thomasem Parrym, który powiadamiałby cię o potrzebie porady prawnej. Będzie raczej urzędował bliżej sądów niż tutaj. - Dodała: - Rozmawiałam już z lady Elżbietą. Pamięta spotkanie z tobą i chętnie zgodziła się z moją sugestią.

Stałem i namyślałem się gorączkowo. Elżbieta była być może najmniej ważnym z dzieci króla, lecz funkcja na jej dworze uchroniłaby mnie przed nieuzasadnionymi atakami Richa. A rzeczywiście istniało duże prawdopodobieństwo, że stracę stanowisko w Sądzie Prób. Nowa nominacja dawałaby mi stałe zajęcie w dziedzinie prawa własności, w którym się specjalizowałem.

Odezwała się królowa wdowa:

- To byłby nowy początek, Matthew, dla nas obojga. — Uśmiechnęła się niepewnie, jakby przepraszająco.

Spojrzałem na nią i pomyślałem znowu: Jak taka mądra, piękna i głęboko uczciwa kobieta może poślubić taką kreaturę jak Thomas Seymour? Lecz może Katarzyna Parr po tylu latach służby zasługiwała na to, by pójść za swym pragnieniem. A Seymour był urodziwy, jeśli już nie dało się powiedzieć o nim niczego innego.

- A zatem przyjmiesz to stanowisko? — zapytała.

Patrząc na nią, skinąłem głową.

- Tak, przyjmę.

- Lady Elżbiety tu nie ma, przebywa w pałacu Richmond. Chciałabym, abyś tam pojechał i złożył jej

przysięgę na wierność. Wysłałam wiadomość, że dziś przybędziesz. Moja barka już czeka.

Odparłem ze spokojnym uśmiechem:

- Wiedziałaś, Wasza Królewska Mość, że się zgodzę.
- Wiedziałam, że pozwolisz, bym to dla ciebie uczyniła.

Pokiwałem z wolną głową.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Popatrzyła na mnie poważnie.

- Elżbieta nie ma jeszcze czternastu lat, lecz może się już poszczycić silną wolą i inteligencją osoby dorosłej. Prosiła, bym powiedziała jedno wszystkim tym, którzy mają jej służyć. To może w ustach kogoś innego w jej wieku brzmiałoby jak dziecinna przechwałka, lecz nie w ustach Elżbiety.

- Co to takiego?

Królowa wdowa uśmiechnęła się z żalem.

- Moje psy będą nosiły moje barwy.
- O, tak - odparłem cicho. - Wyobrażam sobie, że mogła coś takiego powiedzieć i że mówiła

poważnie.

Postąpiła krok do przodu i tym razem ujęła moją rękę, ściskając ją mocno.

- Zegnaj, Matthew. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie uczyniłeś.

Tak samo jak twego szczerego oddania. Wierz mi, widzę je i bardzo cenię.

Spojrzała mi w oczy, po czym się cofnęła. Zbyt dławiliło mnie z emocji, bym mógł coś powiedzieć, i chyba to zauważyła, gdyż zadzwoniła po lokaja, który miał mnie zaprowadzić na barkę. Miałem łzy w oczach, co starałem się ukryć, kłaniając się nisko.

Kiedy opuściliśmy komnatę, lokaj oznajmił z szacunkiem, że postara się, by odprowadzono Genesis na Chancery Lane. Powiódł mnie na zewnątrz i kiedy szliśmy ścieżką między zaśnieżonymi trawnikami w kierunku rzeki, otuliłem się płaszczem. Z pomocą służącego wsiadłem do czekającej na przystani barki, w której siedziało już dwóch wioślarzy w liberii. Powoli wypłynęliśmy na środek brunatnoszarej Tamizy. Obejrzałem się jeszcze przez ramię, by spojrzeć na zamek Chelsea, po czym zwróciłem się w stronę, w którą mnie wieziono, ku Elżbiecie.

Podziękowania

Bardzo dziękuję moim przyjaciółom z grupy pisarzy, a także Marii Rejt, Liz Cowen, Sophie Orme, Antonyemu Toppingowi, Chrisowi Wellbeloveowi i Wesowi Millerowi. I jeszcze raz Grahamowi Brownowi z Fullertons za materiały piśmienne, które dostarczał mi na każdą moją prośbę.

Chciałbym także wyrazić wdzięczność doktorowi Stephenowi Parishowi za radę w kwestii stanu zdrowia Henryka VIII. Obraz tego, co działo się z królem w ostatnich miesiącach jego życia, jest jednak moją interpretacją.

Akcja mojej poprzedniej powieści o przygodach Shardlakea, *Inwazja*, osnuta jest wokół zatopienia królewskiego okrętu wojennego *Mary Rose* podczas bitwy o Solent w lipcu 1545 roku. Od czasu jej wydania w Portsmouth otwarto Muzeum *Mary Rose*, w którym znajduje się ocalała połowa okrętu wraz z najobszerniejszą i najpiękniejszą na świecie kolekcją przedmiotów codziennego użytku z epoki Tudorów. To naprawdę niezwykła placówka, z którą miałem przyjemność współpracować, i jestem wdzięczny jej pracownikom, a szczególnie kontradmirałowi Johnowi Lippiettowi za umożliwienie mi wglądu w świat lat czterdziestych szesnastego wieku.

Przy zbieraniu materiału do tej książki nieocenioną pomocą były dla mnie liczne publikacje. Katarzyna Parr doczekała się w ostatnich latach Zasłużonej uwagi historyków. *Katherine Parr: Complete Works and Correspondence* (Chicago, 2011) pod redakcją Janel Mueller to efekt wspaniałej pracy badawczej, jak również wyczerpujące kompendium wiedzy zawierające tekst *Lamentacji grzesznika*. Pokolenie wcześniej szlaki w dziedzinie biografii królowej przetrwał Anthony Martinssen dziełem *Queen Katherine Parr* (Nowy Jork, 1971), a ostatnio ukazały się dwie poświęcone jej wybitne biografie: *Catherine Parr* (Stroud, 2008) autorstwa Susan James i *Katherine the Queen* (Londyn, 2010) autorstwa Lindy Porter. Jeśli zaś chodzi o inne postacie epoki, bogatym źródłem był dla mnie *Cranmer Dairmaida MacCullocha* (Londyn, 1996). Natomiast *Statesman and Schemer: William, First Lord Paget — Tudor Minister* Samuela Rhei Gammona (Devon, 1973) to z kolei doskonała biografia tej szarej — i być może dlatego niedocenianej — eminencji w polityce Tudorów. Gammon, tak jak McCulloch, należną uwagę poświęca w swojej pracy intrygującej sprawie Bertana. Przydatna okazała się także publikacja *In Defence of the Church Catholic: The Life of Stephen Gardiner* (Oksford, 1990) Glyn Redworth, choć nie odwiodła mnie od przekonania, że Gardiner odegrał znaczącą rolę w wydarzeniach 1546 roku. Biografia *Burghley: William Cecil at the Court of Elizabeth I* (Yale, 2008) Stephena Alforda naświetliła mi początkowy okres kariery tego polityka i jego pierwsze sukcesy.

The Household of Queen Katherine Parr Dakoty L. Hamilton (niewydana praca doktorska, Oksford, 1992) to istna skarbnica wiedzy na temat struktury dworu królowej. *Whitehall Palace, The Official Illustrated History* (Londyn, 2008), *Whitehall Palace, An Architectural History of the Royal Apartments 1240-1690* (Londyn, 1999) i *The Royal Palaces of Tudor England* (Yale, 1993) Simona Thurleya przywróciły do życia nieistniejący pałac królewski, chociaż większa część moich rekonstrukcji jest wytworem wyobraźni. Wielką pomocą były także publikacje *The Tudor Court* Davida Loadesa (Londyn, 1996) oraz *Dress at the Court of King Henry VIII* Marii Hayward (Londyn, 2007).

Jeśli chodzi o opis życia Londynu korzystałem z *Elizabeths London* Lizy Picard (Londyn, 2005) wraz z *Cranmerem* MacCullocha, który zawsze miałem pod ręką. Jako źródło wiedzy o początkach drukarstwa posłużył mi *The Business of Books* Jamesa Ravena (Yale, 2007). Inną książką, z którą się nie rozstawałem, była publikacja Susan Brigden *London and the Reformation*. Kopalnią informacji o początkach anabaptystów okazało się z kolei dzieło Irvina Buckwaltera Horsta *The Radical Brethren: Anabaptism and the English Reformation to 1548* (Nieuwkoop, 1972).

Podany przeze mnie opis pogrzebu Henryka VIII jest oparty na relacji Roberta Hutchinsona w *The Last Days of Henry VIII* (Londyn, 2005).

Jestem także winien podziękowania Amandzie Epstein za przedyskutowanie ze mną aspektów

prawnych sprawy testamentu pani Cotterstoke, i Jeanette Howlett za to, że zabrała mnie do zamku Sudeley, w którym Katarzyna Parr mieszkała podczas swojego smutnego czwartego małżeństwa. Znajdują się tam niektóre jej piękne stroje oraz przedmioty osobiste, jak również grobowiec, gdzie w hołdzie ostatniej żonie Henryka - według mnie najsympatyczniejszej — złożyłem kwiaty.

Nota historyczna

W ostatnim roku życia Henryka VIII doszło do najbardziej burzliwych wydarzeń politycznych z całego okresu jego panowania: szeroko zakrojone polowanie na heretyków, atak na królową, radykalne zmiany w polityce zagranicznej, próba pogodzenia się z papieżem i wreszcie — pod koniec roku 1546 - przejęcie władzy w łonie Tajnej Rady przez radykałów, którzy pozostali u steru państwa po śmierci króla. Niestety, źródła na temat przebiegu wydarzeń tego roku są bardzo skromne, co stwarza możliwość rozmaitych interpretacji. Historyk Glyn Redworth słusznie zauważył: „Wszystkie relacje muszą być traktowane jako teorie i przypuszczenia”.

Moja własna próba spojrzenia na te wydarzenia stanowi kanwę *Lamentacji* (z tym wyjątkiem, oczywiście, że *Lamentacje grzesznika* Katarzyny Parr nie zostały nigdy skradzione). Zacznę więc od tych wątków opowieści, w których fakty są jaśniejsze, a potem przejdę - jeśli kogoś to interesuje - do mojej własnej teorii na temat tego, co zdarzyło się w ostatnich niespokojnych miesiącach życia Henryka VIII.

*

W roku 1546 zarówno elita władzy w Anglii, jak i zwykli obywatele, zwłaszcza w Londynie/dzieliłi się na sympatyków reform religijnych i ich przeciwników. Była to nie tylko kwestia poglądów, więc wielu albo pochyłało głowy, żeby uniknąć kłopotów, albo — wśród klas rządzących — dla korzyści politycznych obracało się jak chorągiewka na wietrze. A wiatry wiały bardzo silne w połowie władania Tudorów, kiedy Henryk VIII, po zerwaniu z Rzymem w latach 1532-1533, przez kolejnych piętnaście lat mიაոաł się między tradycyjną a radykalną polityką religijną.

Większość w obozie reformatorów nie była radykałami społecznymi, oprócz jednej grupy, anabaptystów, która stała się postrachem dla tradycjonalistów. W Holandii i Niemczech w wyniku zainicjowanej przez Lutra reformacji powstały różne sekty, z których jedną stanowili właśnie anabaptyści, głoszący powrót do praktyk wczesnego chrześcijaństwa. Wyznawali wspólnotę dóbr, co oznaczało konieczność obalenia feudalnych klas rządzących - choć do klasy kupieckiej mieli już bardziej ambiwalentny stosunek. Kiedy w 1534 roku opanowali niemieckie miasto Munster, pokonali ich miejscowi władcy protestanccy, którzy w tym celu zjednoczyli się z katolikami; anabaptyści przetrwali jednak w północno-zachodniej Europie jako prześladowana mniejszość. Nieliczni uciekli do Anglii, gdzie być może nawiązali kontakty z niedobitkami piętnastowiecznych lollardów, jednak szybko zostali ujęci i spaleni na stosach. W Anglii pozostało ich niewielu; lecz holenderski anabaptysta mógł przybyć w 1546 roku do Londynu i zebrać wokół siebie grupę wyznawców.

Oczywiście, jak przedstawiłem to w *Lamentacjach*, taka grupa była narażona na infiltrację ze strony szpiegów królestwa, których było wówczas bardzo dużo. Powoli rodzące się w Londynie drukarstwo (w tym okresie większość książek sprowadzano z kontynentu) było bacznie obserwowane przez władze, ponieważ drukarze często należeli do reformatorów i niektórzy z nich mieli powiązania z angielskimi polemistami przebywającymi na wygnaniu w Niemczech albo Holandii, z których najbardziej obawiano się Johna Bale'a (radykała religijnego, nie społecznego). Ukrywająca się w Londynie w 1546 roku Anna Askew została nawet przez informatorów pojmana — w efekcie trafiła do Tower, gdzie torturowali ją Wriothsley i Rich. Była jedną z wielu osób przesłuchiwanym przez Tajną Radę podczas polowania na heretyków tamtego roku; chociaż, jak zauważył w mojej powieści Shardlake, byłoby dziwne, gdyby tak słabo udokumentowane oskarżenie jak opisany w mojej książce donos Isabel Slanning, dotarło aż tak wysoko.

*

Londyn w 1546 roku był miejscem niebezpiecznym, pełnym przemocy, biednym i podzielonym na sekty. Od czasu kiedy kraj stanął w obliczu groźnej inwazji, minął zaledwie rok. Wojna z Francją dosłownie doprowadziła Anglię do bankructwa - bankierzy z kontynentu nie chcieli już pożyczać Henrykowi pieniędzy - a dewaluacja pogłębiała się, powodując ubożenie zwłaszcza niższych klas. Plony

tego roku były dobre, co służyło także elitom; złe plony w kolejnym dziesięcioleciu przyczyniły się bowiem do poważnych rebelii.

*

Znajdujący się na obrzeżach miasta pałac Whitehall stanowił całkowicie inny świat. Henryk VIII odebrał go kardynałowi Wolseyowi, powiększył i wyremontował, choć rozbudowę ograniczały na wschodzie Tamiza, a na zachodzie wielkie trakty, Whitehall i King Street, prowadzące z Londynu do Westminsteru. Problem rozwiązała budowa rekreacyjnego skrzydła pałacu po zachodniej stronie drogi oraz - nad nią - wspaniałej bramy Holbeina, w której Henryk miał swój prywatny gabinet. Dwa wspaniałe malowidła wymienione w książce - portret Henryka i Jane Seymour z królem Henrykiem VII i jego małżonką oraz drugi, Henryka i Jane Seymour (już od dawna nieżyjąca) z trójką dzieci monarchy i dwiema postaciami w tle, prawdopodobnie błaznami królewskimi, Willem Somersem i Jane — stanowiły najpiękniejsze ozdoby pałacu. Wtedy właśnie powstał portret młodej księżniczki Elżbiety pędzla Scrotsa, który można zobaczyć w National Portrait Gallery w Londynie. Zamek Baynards, który podobnie jak pałac Whitehall już nie istnieje, mieścił w 1546 roku garderobę królowej i stanowił siedzibę jej siostry Anny oraz szwagra Williama Herberta.

*

U schyłku panowania Henryka VIII elita rządząca Anglią była podzielona nie tylko pod względem wyznania, ale także przynależności do rodów. Katarzyna Parr, jak wszystkie żony Henryka, powierzała stanowiska na swoim dworze członkom rodziny, takim jak lord Parr i Mary Odell; jej szwagier William Herbert pełnił ważną funkcję w bezpośrednim otoczeniu króla, a brat, William Parr, zajmował miejsce w Tajnej Radzie, wykonawczym organie władzy, i miał tytuł hrabiego Essex.

Teraz nazwano by to nepotyzmem, ale stosunek Tudorów do tej kwestii był zupełnie odmienny — od ludzi wysoko postawionych oczekiwano wręcz, że będą promować członków swojego rodu. Nic więc dziwnego, że dalecy krewni i związani z rodziną pieczeniarze starali się dostać na dwór w nadziei, że zostaną przyjęci do służby królewskiej, tak jak to przedstawiono w książce.

Parrowie stali po stronie reformatorów i byli wobec siebie wyjątkowo lojalni, bardziej niż ich sprzymierzeńcy w sprawie reformy i potencjalni rywale, czyli Seymourowie, rodzina Jane Seymour, matki księcia Edwarda. Thomas Seymour trzymał się brata Edwarda, lorda Hertforda. Ten był blisko Henryka i wykazywał duże zdolności polityczne, chociaż kiedy po śmierci króla stanął na czele państwa, przerosło to jego możliwości. W ciągu 1546 roku jego sprzymierzeńcem stał się William Paget, sekretarz królewski, dotychczas protegowany biskupa Gardinera.

*

W tym samym czasie na obrzeżach polityki zaczął robić karierę młody człowiek o nazwisku William Cecil. W powieści bez poparcia faktów przydzieliłem mu stanowisko w Uczonej Radzie królowej, nie ulega jednak wątpliwości, że był przyjacielem Katarzyny, a co więcej, napisał wstęp do *Lamentacji grzesznika*, gdy ukazały się drukiem w 1547 roku. Wtedy Cecil po raz pierwszy pojawia się na kartach historii jako sekretarz Edwarda Seymoura, rozpoczynając efektowną wspinaczkę po szczeblach władzy, żeby w 1558 roku zostać głównym doradcą Elżbiety I. Edmund Walsingham był natomiast stryjem przyszłego sławnego szefa jej siatki szpiegowskiej, Francisa Walsinghama.

*

To, że wszyscy ci ludzie się znali, świadczy dobitnie, jak wąska była elita Tudorów - stanowili oni w gruncie rzeczy grupkę utytułowanych właścicieli ziemskich, otwartą jednak na przedstawicieli szlachty i kupców szukających posad na dworze, żeby się bogacić, i jak Rich oraz Paget zdobywać wielkie własne posiadłości. Ci dwaj ostatni byli prawnikami o skromnym pochodzeniu, ale wielkich zdolnościach, i zostali powołani do służby publicznej przez Thomasa Cromwella - jak zauważa Shardlake: sześć lat po śmierci tegoż polityczna elita wciąż składała się z wybranych przez niego ludzi. Tymczasem pozycja „dżentelmena” była wszystkim dla takich młodzieńców jak Nicholas Overton, który strzegł jej zazdrośnie,

mając prawo nosić miecz oraz barwne stroje z kosztownych materiałów, czego nie wolno było pospółstwu, i ludzie ci uważali się za znacznie lepszych od zwykłego motłochu.

*

Jeśli chodzi o wizytę admirała d'Annebaulta w sierpniu 1546 roku, jej opis oparłem na krótkiej relacji z tego wydarzenia, zawartej w *Chronicle* Charlesa Wriothesleya. Czytając o towarzyszących temu ceremoniach, można uświadomić sobie jego skalę. Henryk odgrywał w nich ważną rolę, ale był to jego łabędzi śpiew, ponieważ pięć miesięcy później już nie żył. Powitanie admirała pod Hampton Court było pierwszym występem publicznym księcia Edwarda.

*

Katarzyna Parr i polityka Henryka VIII w ostatnich miesiącach jego życia — teorie i przypuszczenia

Historycy od dawna analizują doniosłe zmiany w polityce angielskiej, do których doszło w ostatnich miesiącach życia Henryka VIII. Materiały źródłowe dotyczące tego okresu są fragmentaryczne i składają się głównie z rozproszonej korespondencji oraz raportów ambasadorów. Wiarygodność jednego z najpoważniejszych źródeł dotyczących Katarzyny Parr, *Book of Martyrs* Johna Foxe'a, jest kwestionowana. Badacze są podzieleni w kwestii tego dzieła, ponieważ jego autor był radykalnie nastawionym protestantem opisującym w duchu polemicznym cierpienia protestanckich męczenników w latach przed wstąpieniem na tron Elżbiety I. Jedni twierdzą, że Foxe jest zbyt stronniczy, żeby mu wierzyć, i zwracają uwagę, że pisząc o Katarzynie Parr, relacjonuje wydarzenia, które nastąpiły siedemnaście lat wcześniej. Drudzy zaś, że Foxe, niezależnie od swoich komentarzy, skrupulatnie odtwarzał fakty. Zgadzam się raczej z tymi, którzy uważają go za rzetelnego kronikarza, sumiennie przytaczającego relacje świadków, choć jednocześnie przyznają, że jego chronologia budzi poważne wątpliwości — o czym poniżej.

Jeśli spojrzeć na przebieg wydarzeń politycznych w 1546 roku, zwracają uwagę dwie sprawy. Wiosną na dworze rozpoczęło się polowanie na heretyków, którego celem byli ludzie negujący transsubstancjację. Transsubstancjacja to doktryna głosząca, że podczas mszy chleb i wino fizycznie zamieniają się w ciało i krew Chrystusa, czego nie uznawało wielu protestantów. Tę kwestię w 1539 roku Henryk VIII uznał za decydującą. Na mocy wydanych wówczas przez niego *Sześciu artykułów* podważanie transsubstancjacji, czyli sakramentarianizm, uznano za herezję. Dopuszczano możliwość wyparcia się swoich poglądów, jednakże odmowa lub ponowne odstępstwo od uznawanej za słuszną wiary były karane spaleniem na stosie.

Podczas polowania na heretyków w roku 1546 obława zatoczyła szerokie kręgi i wśród przesłuchiwanym przez Tajną Radę znaleźli się młodszy syn księcia Norfolk - którego wypytywano o uczestnictwo w potencjalnie wywrotowych „nauczaniach w komnatach Jej Królewskiej Mości” w Lent — oraz dworzanie i przyjaciel samego Henryka, George Blagge. Jak się przekonamy, zagrożona była wówczas sama królowa. Polowanie na heretyków osiągnęło apogeum, kiedy 16 lipca w Smithfield spalono na stosie Annę Askew wraz z trojgiem innych. (Opis tego wydarzenia w mojej powieści jest oparty na relacji Foxe'a). Jednocześnie, chociaż wiedzieli o tym tylko nieliczni z bliskiego otoczenia Henryka, przygotowywano się na przyjazd papieskiego emisariusza, Guronego Bertana, który miał być przyjęty przez króla w sierpniu i wybadany na okoliczność ponownego zbliżenia z Rzymem, po trzynastu latach konfliktu.

Na podstawie takiej kolejności wydarzeń można odnieść wrażenie, że okręt państwa pod sterami Henryka w ostatnich latach gwałtownie zmieniający kierunek i miotający się między wspieraniem tradycyjnych praktyk katolickich - ale bez zwierzchnictwa papieża - a głębszą reformą, wreszcie na początku 1546 roku obrał zdecydowany kurs. Coraz szybciej żeglował w stronę wykorzeniania protestanckiej herezji i być może ugody z papieżem, co oznaczało zwycięstwo tych, którzy wspierali tradycyjne stanowisko.

Wtedy nagle, mniej więcej pod koniec lipca, okręt państwa dokonuje zwrotu i rusza — jeszcze prędzej — w przeciwnym kierunku. W tym miesiącu polowanie na heretyków zakończyło się całkowicie i niektórzy z tych, którzy już dostali wyrok, zostali po cichu wypuszczeni, a George'a Blagge'a ułaskawił sam król.

Natomiast na początku sierpnia do Londynu przybył Bertano. Trzeciego dnia tego miesiąca po raz pierwszy i jedyny spotkał się z Henrykiem. Nie wiemy, co zostało wtedy powiedziane, ale spotkanie najwyraźniej skończyło się niepowodzeniem. Później Henryk napisał list do papieża, na który ten nie odpowiedział. Bertano pozostał w „bezpiecznym miejscu” do końca września, nie zobaczywszy się z królem ponownie, aż wreszcie rozeszła się wieść o jego obecności w Londynie i kazano mu wracać do domu.

*

Jesienią tego roku Henryk jeszcze szybciej skierował metaforyczny okręt państwa w stronę protestancką. Wyruszył do Guildford, w objazd, który miał być krótki, ale został przedłużony, prawdopodobnie z powodu jego choroby, i w drodze powrotnej przez ponad miesiąc przebywał w Windsorze. W tym czasie, jak zwykle podczas objazdu po kraju, Tajna Rada podzieliła się na dwie części: tych, którzy towarzyszyli królowi, i tych, którzy zostali w Londynie, żeby czuwać nad sprawami państwowymi. Jak zwykle dla wszystkich najważniejszy był dostęp do króla i ci doradcy, których Henryk zabrał z sobą i którzy byli z nim do końca października, kiedy to wrócił do Londynu, należeli albo do zwolenników radykałów, albo zwracali się w stronę, w którą wiał wiatr.

*

W listopadzie główny konserwatysta biskup Gardiner znalazł się na uboczu, pozbawiony dostępu do króla. Następnie, w grudniu, inni wiodący tradycjoniści, książę Norfolk i jego syn, hrabia Surrey, zostali nagle aresztowani i oskarżeni o zdradę. Wtedy już stan zdrowia Henryka gwałtownie się pogarszał. Król zamknął się w pałacu Whitehall z najbliższymi doradcami i pod koniec roku spisał testament, wyznaczając w nim radę szesnastu, która miała rządzić Anglią do czasu uzyskania pełnoletniości przez jego dziewięcioletniego syna. Wszyscy członkowie tej rady byli protestantami albo centrystami.

*

Wiosną 1546 roku, z początkiem polowania na heretyków, nastąpiła całkowita zmiana frontu także w polityce zagranicznej. Dwuletnia wojna z Francją okazała się kosztowną katastrofą. Anglicy zajęli Boulogne, ale znaleźli się tam w oblężeniu; żywność dostarczano im łodziami przez wody kanału, co było bardzo trudne ze względu na aktywną działalność francuskich okrętów wojennych. Mimo błagań doradców jeszcze na przełomie lat 1545 i 1546 Henryk nie chciał zakończyć tego konfliktu.

Tymczasem stosunki ze Świętym Cesarstwem Rzymskim były niestabilne, co nie służyło interesom protestanckich poddanych króla- Anglia formalnie pozostawała w stanie wojny ze Szkocją, a papież wciąż był jej nieubłaganym wrogiem. W marcu 1546 roku zazwyczaj bojowy Henryk uznał wreszcie, że należy zrobić z tym wszystkim porządek. Rozpoczęto negocjacje z Francją i w czerwcu osiągnięto porozumienie. Admirał d'Annebault, który rok wcześniej dowodził francuską flotą przeciwko Anglii, został zaproszony w sierpniu jako ambasador swojego państwa i na jego przyjazd zaplanowano nadzwyczajne uroczystości. To z całą pewnością świadczyło o zamiarze zawarcia trwałego pokoju.

Równocześnie król wynegocjował nowy traktat pokojowy z inną potęgą katolicką w Europie, Świętym Cesarstwem Rzymskim. Układ z Francją obejmował także zakończenie wojny ze Szkocją.

*

Jednakże najbardziej zaskakującym wydarzeniem ze wszystkich było przybycie - przez Francję - papieskiego wysłannika, Bertana. Poprzedni papież, Paweł III, zwołał sobór trydencki, którego celem było między innymi ustalenie, czy da się dojść do porozumienia z siłami protestanckimi. Moim zdaniem to właśnie stanowi kontekst wizyty Bertana — wybadanie, czy między Anglią a papieżem możliwa jest

ugoda, czy znalazłaby się jakaś formuła, która pozwoliłaby Henrykowi zachować pozycję głowy Kościoła, według niego przyznaną mu przez samego Boga, i jednocześnie pogodzić się z papieżem. Z teologicznego punktu widzenia jednak było to niemożliwe i na tym froncie dyplomatycznym Henryk poniósł całkowitą klęskę.

*

Jeśli, jak sugeruje chronologia wydarzeń, marzec 1546 roku stanowi przełomowy punkt zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zewnętrznej Anglii, to co się wtedy stało? Myślę, że odpowiedzi na to pytanie należy szukać w często pomijanym czynniku — stanie zdrowia Henryka.

Po tak długim czasie nie można stwierdzić, co dolegało Henrykowi w latach czterdziestych szesnastego wieku, ale pewne rzeczy da się ustalić. Pierwotne przypuszczenia, że król cierpiał na syfilis, dawno już odrzucono - nie ma na to żadnych dowodów, a wiele przemawia przeciwko temu. U podstaw problemów Henryka leży chyba ograniczona możliwość poruszania się. David Starkey sugeruje w *Six Wives: The Queens of Henry VIII* (2004), że podczas walki na kopie w 1528 roku monarcha złamał lewą nogę, która co prawda się zrosła, ale w łydce pozostał odłamek kości, który zropiał, powodując wielki i bolesny wrzód. W efekcie tego urazu Henryk stopniowo porzucał dotychczasową codzienną aktywność i z biegiem lat stawał się coraz bardziej nieruchawy. Na jego portretach widać, że robił się coraz bardziej otyły, zwłaszcza w latach 1537-1540, między małżeństwem z Jane Seymour i Anną z Kleve, kiedy to zbliżał się do pięćdziesiątki.

Wykonane w roku 1544 pomiary w celu zrobienia zbroi wykazały, że miał w pasie sto trzydzieści pięć centymetrów. W 1546 był niewiele grubszy, ale doszedł już do stu czterdziestu pięciu centymetrów. Nawet jak na mężczyznę mierzącego sto osiemdziesiąt osiem centymetrów była to duża, wręcz chorobliwa otyłość. Dlaczego ktoś, kto tak szczylił się swoją posturą, tak się zapuścił? Prawdopodobnie tusza i brak ruchu, zwłaszcza przy diecie elity Tudorów, składającej się z mięsa i słodczy, spowodowały u niego cukrzycę drugiego stopnia, chorobę, której w tamtym czasie nie znano. Jeśli rzeczywiście tak było, kółko się zamykało, Henryk jeszcze bardziej tył i coraz mniej się ruszał, nieustannie odczuwając głód i pragnienie.

Wygląda na to, że w 1546 pokonanie jakiegokolwiek dystansu było dla niego bardzo trudne i bolesne. Czasami poruszając się po pałacu, korzystał z fotela na kółkach albo z windy. A rosnąca otyłość i brak ruchu zaostrzały kolejną dolegliwość, zakrzepicę żył głębokich w nogach, które opisywano jako owrzodzone (co też może być skutkiem cukrzycy). Tworzyły się w nich skrzepy, które odrywały się i przemieszczały do płuc (powodując zatory). Jeśli skrzep się rozpuści, pacjent może przeżyć, w przeciwnym razie umiera. Opisy kryzysów zdrowotnych Henryka od roku 1541 zdają się świadczyć o serii zatorów płucnych, które ostatecznie zabiły go w styczniu 1547 roku, choć śmierć króla mogła być spowodowana przez wylew albo zawał serca - wszystkie jego narządy były straszliwie obciążone.

Jeśli około roku 1540 Henryk faktycznie chorował na cukrzycę i cierpiał na chorobliwą otyłość, niewykluczone, że był także impotentem. Nie miał kłopotów ze spółdzeniem dzieci z trzema pierwszymi żonami, ale już żadna z kolejnych trzech nie zaszła z nim w ciążę. Katarzyna Parr stanowiła dziwną kandydatkę na szóstą małżonkę - była po trzydziestce i miała już za sobą dwa bezdzietne małżeństwa (ani jeden, ani drugi mąż zgodnie z popularnym poglądem nie byli za starzy, by spółdzić potomka). A Henryk bardzo potrzebował dziedzica. Książę Edward (znowu wbrew popularnemu pogładowi) nie należał do chorowitych, jednak śmiertelność wśród dzieci była w epoce Tudorów wysoka, i gdyby chłopiec zmarł, Henryk znalazłby się w punkcie wyjścia, bez męskiego potomka. Mimo to w 1543 roku poślubił Katarzynę Parr, która raczej nie mogła urodzić mu dziedzica. Nie zaszła ona w ciążę podczas trzyletniego małżeństwa z Henrykiem, ale stało się to, gdy wyszła potem za mąż za Thomasa Seymoura. Katarzyna nie była więc bezpłodna, zatem może Henryk był.

Nic z tego, oczywiście, nie brało się z winy króla. Jeśli to, co sugeruję, jest prawdą, Henryk nie mógł wyrwać się ze śmiertelnego kręgu, jaki stanowiły ból, brak ruchu i dokuczliwy głód. W latach 1544 i

1545 chyba nie miał poważnych kryzysów zdrowotnych, ale w marcu kolejnego roku poważnie zaniemógł, może wskutek zatoru, tak że nawet obawiano się o jego życie. Po kilku tygodniach jednak doszedł do siebie. Następna zapaść nastąpiła dopiero we wrześniu, a po niej przyszyły inne choroby, które doprowadziły do jego śmierci w styczniu 1547 roku. Moim zdaniem jednak kryzys w marcu 1546 roku był na tyle poważny, że lekarze króla (którzy może nie umieli ratować życia, ale potrafili przewidzieć bliską śmierć), jego doradcy i on sam zdali sobie sprawę, że długo już nie pożyje i że trzeba przedsięwziąć kroki, aby zapewnić księciu Edwardowi tron. Należało dokonać ostatecznego wyboru między stronnictwami radykalnym i konserwatywnym w Tajnej Radzie oraz rozwiązać problemy w polityce zagranicznej. Gorączkowa działalność w sferze dyplomatycznej i politycznej, która rozpoczęła się wtedy i trwała do końca roku, wynikała według mnie z marcowej zapaści zdrowotnej Henryka.

*

Co zaś do mojej teorii na temat spisku przeciwko Katarzynie Parr myślę, że był tylko jeden, nie dwa, jak czasami się twierdzi, i trwał kilka miesięcy. Ostatnie prace historyczne — Susan James, Lindy Porter i Janel Mueller - dały nam znacznie wyraźniejszy obraz Katarzyny. Była ona atrakcyjną, wykształconą kobietą, która spędziła życie na obrzeżach dworu (Parrowie byli w jej dzieciństwie mniej ważnymi figurami w pałacu) i znała Henryka od lat. Po śmierci swojego drugiego męża, lorda Latimera, sama napisała do Thomasa Seymoura, wyrażając chęć wyjścia za niego za mąż, ale wtedy wpadła już w oko królowi. Uznała więc, że została wybrana przez Boga na żonę Henryka, i postanowiła go poślubić, żeby wpływać na jego politykę religijną, na ile będzie mogła. Jej listy świadczą, że już wtedy sympatyzowała z reformatorami.

Katarzyna, która miała świetny styl, doskonale i mądrze wypełniała funkcję królowej małżonki w jej oficjalnych, ceremonialnych aspektach, między innymi przyjmując ambasadorów obcych państw. Wiele wskazuje na to, że była też bardzo sympatyczna: lojalna, godna zaufania i dowcipna.

Inaczej niż większość kobiet Tudorów Katarzyna odebrała staranne wykształcenie, o co zadbała jej matka, lady Maud Parr. Jako dziewczynka uczyła się łaciny, którą potem trochę zapomniała, ale wróciła do niej, kiedy została królową. Studiowała również inne języki - w ostatnich miesiącach panowania Henryka uczyła się hiszpańskiego, języka użytecznego w dyplomacji. Miała liczne zainteresowania, zbierała zegary i monety, i najwyraźniej wykazywała pociąg do nauki. Jednakże jej wiedza, choć niezaprzeczalna, była raczej szeroka niż głęboka czy też wnikliwa - i pod tym względem przypominała Henryka.

Przed ślubem z królem w 1543 roku podlegała przeciwnym wpływom religijnym — brat Katarzyny, sir William Parr, stryj, lord William Parr (po przedwczesnej śmierci jej ojca głowa rodu) oraz siostra i szwagier, Anna i sir William Herbertowie, popierali reformatorów. Matka, lady Maud Parr, była natomiast damą dworu i przyjaciółką Katarzyny Aragońskiej, zmarła jednak w 1529 roku, zanim jeszcze Henryk oddał żonę z dworu. Ród pierwszego męża Katarzyny Parr, sir Edwarda Borough, również sympatyzował z reformatorami, ale jej drugi mąż, lord Latimer (wygląda na to, że było to szczęśliwe małżeństwo) należał do tradycjonalistów. Jednakże jej późniejszy list do Thomasa Seymoura świadczy moim zdaniem o tym, że już w 1543 roku weszła ona na drogę reformatorską. I miała podążać nią dalej.

*

Katarzyna Parr nie była - ani nie chciała być - poważnym teologiem. Jej książeczka *Modlitwy i medytacje*, wydana w 1545 roku, ma dość ortodoksyjny charakter. Jednakże *Lamentacje grzesznika*, napisane prawdopodobnie zimą przełomu lat 1545-1546, zalecają już żarliwe dążenie do zbawienia, które można osiągnąć jedynie poprzez lekturę Biblii i wiarę w Chrystusa. Tego rodzaju wyznania stanowiły w tamtych czasach dość popularną formę literacką, choć nie w przypadku królowej angielskiej.

Katarzyna opowiada o tym, jak miłość ziemskich rozkoszy przez długi czas nie pozwalała jej dostrzec łaski boskiej, ale potem otworzyły jej się na nią oczy. Z wyraźną samokrytyczną religijną pasją wspomina

o podobnych współczesnych „wyznaniach” i „lamentacjach”. *Lamentacje* jej autorstwa zawierają wystarczająco dużo danych, aby wzbudzić w tradycjonalistach podejrzenia co do jej wiary, ponieważ podkreśla w nich, że drogą do zbawienia jest osobista relacja z Chrystusem i studiowanie Pisma Świętego, a nie praktyki zalecane oficjalnie przez Kościół. Jednakże — i to ma kluczowe znaczenie - w *Lamentacjach* nie pisze nic o mszy i nie wypowiada się przeciwko niej.

Pisanie tego wszystkiego było ryzykowne, chociaż tej zimy, kiedy powstawały, Henryk wszczął nowe, radykalne działania przeciwko dawnej religii, konfiskując kaplice rodowe, w których odprawiano msze za zmarłych - ten jego krok prawdopodobnie wynikał z pragnienia zdobycia brakujących pieniędzy, przybytki te bowiem były zamożne. A w pierwszych miesiącach 1546 roku Katarzyna już w ogóle porzuciła ostrożność w publicznych relacjach z reformatorami i według Foxea zaczęła otwarcie dyskutować z królem o religii.

*

Jak pisze Foxe: „W czasie swej choroby (Henryk) porzucił dotychczasowy zwyczaj zachodzenia do królowej w odwiedziny i teraz to ona go odwiedzała, albo po obiedzie, albo po wieczery”. Okres ten należy datować na marzec-kwiecień 1546 roku (choć większość autorytetów naukowych umieszcza go kilka miesięcy później), ponieważ to jedyny czas przed jesienią, kiedy Henryk był tak poważnie niedysponowany. Foxe mówi dalej, że Katarzyna zaczęła objaśniać królowi kwestie religijne i któregoś razu była na tyle nieostrożna, że zrobiła to w obecności biskupa Stephena Gardinera, czołowego konserwatysty, który - znowu w kluczowym miesiącu, jakim był marzec - wrócił z zagranicy, gdzie przebywał długo jako ambasador, i szybko zdobył posłuch u Henryka. Gardiner według Foxe'a powiedział mu wtedy:

„...jakież to jest i zawsze było groźne i ryzykowne, żeby monarcha musiał znosić takie bezczelne słowa z ust poddanych: poglądy religijne królowej, tak kategoryczne, nie tylko są sprzeczne z polityką króla i ją podważają, ale także głoszą, że wszystko wśród ludzi powinno być wspólne. A są tacy, niezależnie od tego, w czyje barwy się przyoblekli, których teorie są tak odrażające i tak niebezpieczne dla ziem królewskich... że według prawa zasłużyli sobie na śmierć”.

Wówczas, jak twierdzi Foxe, Gardiner przekonał Henryka, żeby zbadał sprawę radykalizmu religijnego w otoczeniu królowej i wszędzie indziej - przestraszywszy go opowieścią o istnieniu ludzi, którzy chcieliby, aby wszystkie dobra były wspólne, innymi słowy, o istnieniu anabaptystów, chociaż poglądy Katarzyny (a także Foxe'a) były od anabaptyzmu dalekie.

Jeżeli się nie mylę i do wydarzeń tych doszło w marcu oraz kwietniu, podczas rekonwalescencji króla, zgadzałyby się to z relacjami o aresztowaniach i przesłuchaniach, które rozpoczęły się w kwietniu i trwały do lipca. Dlaczego jednak - pytają niektórzy - konserwatyści religijni mieliby skupiać się na Katarzynie Parr? Moim zdaniem była ona oczywistym celem - stanowiła centralną postać grupy wysoko urodzonych kobiet, które na pewno podczas wielkiego postu w 1546 roku spotykały się, żeby słuchać kazań i rozprawiać o religii. Do tego grona należały jej siostra Anna (żona sir Williama Herberta), lady Denny (małżonka głównego członka świty królewskiej Henryka, sir Anthony'ego Denny'ego) i potencjalnie najbardziej niebezpieczna z nich, Anna Bourchier, żona lorda Hertforda. Gdyby dowiedziano Katarzynie herezji, Henryk poczułby się straszliwie zdradzony przez kobietę, którą wciąż kochał (nie ma żadnych dowodów, że w 1546 roku chciał pozbyć się Katarzyny Parr, wręcz przeciwnie), i co najmniej by ją odsunął, a wraz nią wszystkie inne panie z jej otoczenia, a co ważniejsze, także ich mężów. Dlatego Katarzyna Parr była kluczowym obiektem tej intrygi - jej upadek spowodowałby klęskę sprawy reformatorów.

Polowanie na heretyków trwało trzy miesiące. Wiosna i początek lata 1546 roku musiały być dla Katarzyny bardzo trudnym okresem, ale wszystko wskazuje na to, że zachowała spokój i rozwagę. Wszyscy z jej kręgu lojalnie trzymali się razem, czemu nie można się dziwić, upadek bowiem jednego z nich oznaczał upadek wszystkich. Możliwe, że w komnatach królowej odbywały się przesłuchania, więc

w kwietniu oddała ona część książek (pewnie także *Lamentacje grzesznika*) stryjowi, lordowi Parrowi, na przechowanie.

Do lipca nic przeciwko niej nie znaleziono. Przesłuchania podejrzanych w większości były już wtedy zakończone. Nie zdobyto żadnych dowodów przeciwko nikomu z dworu, oprócz przyjaciela Henryka, Georgea Blaggea. Jeśli w imieniu biskupa Gardinera (i być może pozostającego za kulisami księcia Norfolk) heretyków tropili także Thomas Wriothesley i Richard Rich, w lipcu musieli popaść w desperację.

*

Wtedy, pod koniec czerwca i na początku lipca, wynikła niezwykła i makabryczna sprawa Anny Askew, której dzienniki, *Przesłuchania*, zostały wywiezione do Flandrii i opublikowane następnego roku przez Johna Bale'a. Anna Askew, czy też po mężu Anna Kyme, była żoną dżentelmena z Lincoln'shire. Miała około dwudziestu pięciu lat. Jak na ówczesne czasy jej postępowanie było zdumiewające. Radykalna protestantka, która otwarcie negowała obecność ciała i krwi Chrystusa podczas mszy, odeszła od męża, religijnego konserwatysty, oraz dwojga dzieci, aby w 1545 roku przyjechać do Londynu i tu nauczać. Miała w mieście krewnych, na pewno kuzynkę, oraz - wśród nisko postawionych dworzan — odległych znajomych. Wkrótce stanęła przed sądem, gdzie zaprzeczyła, jakoby była heretyczką. Niemniej po roku oskarżono ją znowu i tym razem, choć początkowo robiła uniki, w końcu wyznała wystarczająco dużo, żeby uznano ją za winną herezji. Nie chciała wyprzeć się swojej wiary, zatem biskup Gardiner przesłuchał ją przed obliczem Tajnej Rady i pod koniec czerwca skazano ją jako heretyczkę na publiczne spalenie na stosie. Egzekucję przeprowadzono 16 lipca, kiedy oprócz niej spalono także trzech mężczyzn.

Nie ma dowodu, że Katarzyna Parr i Anna Askew kiedykolwiek się spotkały czy korespondowały z sobą. Być może miały wspólnych znajomych, ale nie byłoby w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że elita Tudorów stanowiła naprawdę wąskie grono. Według prawa Anna jako skazana powinna pozostać w więzieniu aż do egzekucji. Na początku lipca jednak wysłano ją do Tower, gdzie, jak pisze we wspomnieniach, została przesłuchana ponownie przez Richa i Wriothesleya, którzy wypytywali ją szczególnie o kontakty z damami dworu Katarzyny Parr. Była przez nich nie tylko przesłuchiwana, ale także torturowana, zresztą ku przerażeniu dowódcy Tower, który był przy tym obecny. Pytana o powiązania z przyjaciółkami królowej, Anna przyznała, że dostawała pieniądze od mężczyzny, twierdzącego, że służy księżnej Suffolk i lady Hertford, ale zaprzeczyła, jakoby znała którąś z nich, podobnie jak królową. Więźniom można było przynosić pieniądze na kupno jedzenia; w gruncie rzeczy taka pomoc była konieczna, żeby nie umarli z głodu.

Nie ma powodu wątpić w wersję Anny Askew. Zachowanie Richa i Wriothesleya nosi wszelkie znamiona ostatniego desperackiego wysiłku ze strony religijnych konserwatystów, żeby znaleźć jednak jakiś dowód przeciwko królowej. Naprawdę desperackiego, ponieważ torturowanie osoby już skazanej - w dodatku szlachetnie urodzonej kobiety — było nie tylko bezprawne, ale także oburzające, zwłaszcza że to sam Wriothesley - lord kanclerz, najwyższy przedstawiciel prawa w Anglii - obracał kołem do łamania kości. Tego było już za dużo dla dowódcy Tower, który pospiesznie wyszedł i powiedział o sprawie królowi, czym król strasznie się oburzył. Sugerowano, że to Henryk potajemnie zlecił tortury, ale nie ma dowodu na poparcie tego zarzutu. Wydaje mi się raczej, że król autentycznie wściekł się na wieść, że próbowano torturami zmusić kogoś do oskarżenia królowej o coś, czego nie dowiedziono jej podczas kilkumiesięcznego dochodzenia.

Henryk na tym etapie był już zły na konserwatystów. Oświadczył, że aresztując George'a Blagge'a, „zbyttno zbliżyli się do jego królewskiej osoby”, i dworzanina ułaskawiono. Ten ruch pozwala sobie wyobrazić, jak rozgniewany był król na tych, którzy torturowali Annę Askew, żeby zdobyć coś, co obciążałoby królową.

*

Foxe twierdzi, że istniał drugi spisek przeciwko Katarzynie i że wydano już nakaz jej aresztowania,

którego kopię pozostawiono w takim miejscu, żeby dostała się w ręce królowej. Dakota Hamilton i inni datują to wydarzenie na lipiec roku 1546. Według Foxe'a Katarzyna pospieszyła do króla, tłumacząc się, że nigdy nie zamierzała pouczać go w kwestiach religijnych, chciała tylko odwrócić jego uwagę od bólu nóg. Foxe pisze, że to posunięcie się udało. Henryk był usatysfakcjonowany skruchą Katarzyny, a kiedy następnego dnia Wriothesley zjawił się, żeby aresztować królową, spotkał się z afrontem: Henryk uderzył go w głowę i kazał mu odejść - innymi słowy, lord kanclerz został publicznie upokorzony.

Wygląda mi to raczej na podstęp ze strony króla niż na zbieg okoliczności, jak wynikałoby z relacji dwóch dam dworu Katarzyny, które tak to opisały Foxe'owi. Przede wszystkim trudno orzec, na jakiej podstawie prawnej Katarzyna mogłaby zostać w lipcu aresztowana, skoro szeroko zakrojone śledztwo na jej dworze niczego nie przyniosło. Gdyby Henryk chciał się jej pozbyć, bez trudu mógłby sfabrykować jakiś dowód przeciwko niej, tak jak wtedy, gdy w przeszłości zapragnął uwolnić się od Anny Boleyn czy Thomasa Cromwella, a w przyszłości — od księcia Norfolk.

Warto zauważyć w tym kontekście, że trzy lata wcześniej, kiedy arcybiskup Cranmer został oskarżony o herezję przez Gardinera, król zwrócił się przeciwko konserwatystom w taki sam sposób, zgadzając się, żeby Cranmera wezwano przed Tajną Radę, przedtem jednak dając mu swój pierścień, aby pokazał go radzie na dowód, że wciąż ma poparcie Henryka. Skutkiem tego wyznaczono komisję do zbadania sprawy arcybiskupa, ale na jej czele postawiono jego samego! Ta taktyka pozwoliła poniżyć jedną stronę (w obu przypadkach religijnych konserwatystów), dobitnie przypominając drugiej (najpierw Cranmerowi, potem Katarzynie), kto tu rządzi. Biorąc pod uwagę klęskę polowania na heretyków, Henryk mógł tak upokorzyć Wriothesleya, zmuszając Katarzynę, jak wcześniej Cranmera, żeby wzięła udział w intrydze - i publicznie przyznała, że jako kobieta powinna uczyć się od męża, a nie pouczać jego.

Dlatego też uważam, że nakaz aresztowania nie był niczym innym jak tylko zagrywką, mającą na celu zdyskredytowanie Wriothesleya i danie do zrozumienia, że polowanie na heretyków się zakończyło i że królowa nie wypadła z królewskich łask. Katarzynie prawdopodobnie wyznaczono rolę do odegrania, a całą sprawą kierował zza kulis sam Henryk.

Pod koniec lipca, kiedy zamówiono dla królowej i jej dworek nowe klejnoty na wizytę admirała d'Annebaulta, Katarzyna Parr wyraźnie cieszyła się względami króla. Jej brat, jako hrabia Essex, w sierpniu towarzyszył admirałowi podczas uroczystego przejazdu przez Londyn. W październiku zaś szwagier Katarzyny, lord Herbert, został mianowany drugim szambelanem, a stanowisko to miało kluczowe znaczenie w ostatnich dniach życia króla. Zatem Parrowie z powodzeniem przetrwali sztorm.

*

Pozostaje jeszcze sprawa wizyty Bertana, ale jak już wspomniałem, zakończyła się ona niepowodzeniem. Po tym, jak na początku sierpnia do Londynu przybył wysłannik papieża, nadzieje na ugodę z Rzymem szybko uleciały. Od tej chwili król zaczął się stopniowo ponownie zwracać w stronę reformatorów. Być może obawiał się, że jeśli po jego śmierci na czele państwa staną Gardiner i Norfolk, rządząc w imieniu małoletniego Edwarda, oddadzą Anglię z powrotem pod władzę Stolicy Apostolskiej. A priorytetem Henryka było przekazanie synowi zwierzchnictwa nad Kościołem. Taka obawa ze strony króla nie była nieuzasadniona - dziesięć lat później Gardiner stał się prawą ręką córki Henryka, Marii I, kiedy na krótko ponownie oddała Anglię pod zwierzchność papieża.

Po porażce misji Bertana skupiono się znowu na stosunkach z Francją i wiele uwagi poświęcono wizycie admirała d'Annebaulta, który miał przybyć do Londynu pod koniec sierpnia. Dużo mówi już sama skala przygotowań do tego wydarzenia w kraju zrujnowanym finansowo przez wojnę. Takich uroczystości w związku z przyjazdem cudzoziemca nie było co najmniej od czasu przybycia nieszczęsnej Anny z Klewes w 1539 roku. Sekretarz arcybiskupa Cranmera, Ralph Morice, opowiadał później, jak Henryk wstał podczas jednej z uczt wydanych w Hampton Court na cześć d'Annebaulta, jedną ręką obejmując admirała, a drugą Cranmera (co było oznaką łaski wobec ich obu, chociaż w tamtym czasie ledwie samodzielnie trzymał się na nogach) i wydał zaskakujące oświadczenie, że on i król Francji wkrótce

zniosą mszę i ustanowią komunie powszechną. To było, oczywiście, nierealne (Franciszek I pozostał zdeklarowanym katolikiem), ale takie słowa w ustach króla, nawet wypowiedziane żartem, mogły być tylko oznaką zwrotu w stronę radykałów, nie do pomyślenia jeszcze kilka tygodni wcześniej.

*

Równowaga sił w Tajnej Radzie zmieniła się na korzyść reformatorów po powrocie z zagranicy hrabiego Hertforda i lorda Lisle'a i to głównie reformatorzy towarzyszyli Henrykowi w trakcie objazdu po kraju na początku września. Objazd ten miał być wyjątkowo krótki, trwać zaledwie dwa tygodnie i zakończyć się już w Guildford, ale król podczas niego zachorował i w połowie drogi powrotnej musiał zatrzymać się w Windsorze, gdzie został aż do końca października. W tym czasie konserwatyści z Tajnej Rady przeważnie przebywali w Londynie i zajmowali się rutynowymi sprawami, gdy tymczasem radykałowie byli przy Henryku. Podobnie jak Katarzyna Parr.

Być może Henryk spędził te ostatnie jesienne miesiące, planując ostateczne ruchy polityczne. Niewykluczone także, że pogarszający się stan zdrowia ponownie skłonił go do refleksji na temat śmierci. W lis-topadzie i grudniu Gardiner wciąż był odsunięty, w pewnym momencie podczas zebrania rady dostał nawet w twarz od lorda Lisle'a - którego nie spotkały za to żadne konsekwencje, chociaż dopuścił się poważnej zniewagi — i nadal odmawiano mu audiencji u króla. Wtedy, w grudniu, księcia Norfolk i hrabiego Surreya aresztowano, uznając winnymi zdrady stanu, i skazano na śmierć. Oficjalnie Surreyowi zarzucono połączenie swojego herbu z królewskim, jednak cała ta sprawa, jak się zdaje, została sfabrykowana, aby pozbyć się Norfolka. Jako jeden z najwyżej postawionych lordów w Anglii, uważał on, że powinien sprawować kontrolę nad następcą Henryka, młodym Edwardem. A jak wspominałem, Henryk już wcześniej posłużył się oskarżeniem o zdradę stanu, żeby usunąć Annę Boleyn i Thomasa Cromwella. Surrey został stracony w styczniu 1547 roku. Norfolk zaś miał pójść na szafot za synem dwudziestego ósmego stycznia, lecz uratowała go śmierć króla, która nastąpiła we wczesnych godzinach porannych tego dnia. Jednak następne sześć i pół roku spędził w londyńskiej Tower.

Na początku grudnia Henryk znowu poważnie zaniemógł i stan jego zdrowia już się nie poprawił. Wygląda na to, że dwa ostatnie miesiące spędził w pałacu Whitehall. Niektórzy historycy uważają za znaczące, że ostatnie miesiące życia spędził bez Katarzyny Parr. Z całą pewnością Katarzyna nie otrzymała regencji, na którą tak liczyła. Ale, choć w Boże Narodzenie przebywała w pałacu Richmond, z dala od króla, w połowie stycznia przygotowano jej apartamenty w Whitehall; nie wiadomo jednak, czy przeniosła się tam, zanim Henryk po raz ostatni zapadł na zdrowiu. Niemniej nie chodzi o to, że Henryk nie widywał się z królową w okresie przed śmiercią, ale o to, że nie widywał się prawie z nikim, z wyjątkiem sekretarza Pageta i - co znaczące - dwoma głównymi członkami swojej świty.

Za panowania Henryka członkowie jego świty, wybrani przez niego osobiście i mający do niego bezpośredni dostęp, wywierali na niego duży wpływ. Przez większość 1546 roku najważniejszymi z nich byli Anthony Denny, sympatyk radykałów, i jego zastępca, William Browne, konserwatysta. W październiku Browne został przeniesiony i jego miejsce zajął nie kto inny, jak William Herbert, szwagier królowej i reformator. To przeczy koncepcji, że Parrowie po polowaniu na heretyków wypadli z łask króla.

Henryk, oczywiście, widywał się także z lekarzami. Przez wiele lat jego głównym medykiem był reformator William Butts, który zmarł w 1545 roku, a zastąpił go Thomas Wendy, kolejny radykał, który leczył także królową. Pojawiła się nawet sugestia, że to on przekazał jej nakaz aresztowania w lipcu, albo potajemnie, albo - co wydaje mi się bardziej prawdopodobne — działając z poduszczenia Henryka, żeby upokorzyć Wriothesleya.

*

Mając przy sobie tych ludzi, król pod koniec grudnia spisał testament, który wzbudził później wiele kontrowersji. W ostatnich latach żył, ze względu na dużą liczbę dokumentów do podpisywania i słaby stan zdrowia, Henryk używał tak zwanej suchej pieczęci z faksymile jego podpisu. Kiedy coś

zatwierdzał, stemplowano nią dokument i podpis króla pociągano tuszem. Najczęściej robił to Paget. Należałoby się spodziewać, że król własnoręcznie podpisze swój testament, jednak posłużono się suchą pieczęcią. Dokument ten dopiero po miesiącu wszedł do rejestru oficjalnych pism dworskich, a wtedy Henryk już nie żył.

Nie wdając się zbytnio w szczegóły zapisu, że w trakcie małoletniości Edwarda VI królestwem ma rządzić szesnastoosobowa rada, w której zdecydowanie dominowali radykałowie, niewątpliwie oddaje grudniowe zamiary Henryka. Możliwe jednak, że klauzula o „nieprzyznanych darach”, pozwalająca Pagetowi przyznawać zaszczyty - której szczegóły według sekretarza król osobiście mu wyjawiał — jest już fałszerstwem. Po śmierci Henryka 28 stycznia 1547 roku Paget i Edward Seymour szybko przejęli inicjatywę i zaczęli swobodnie rozdzielać tytuły lordowskie oraz pieniądze jako „nieprzyznane dary” członkom rady, ta zaś mianowała protektorem lorda Hertforda.

*

Hertford stał się, przynajmniej na pewien czas, rodzajem dyktatora. Zaczęto realizować nową politykę religijną, wspierając radykalizm protestancki. Zniesiono mszę, pobielono wnętrza kościołów, wprowadzono nowy modlitewnik. Budzi wątpliwość, czy tego właśnie życzyłby sobie Henryk VIII, jednakże udało mu się przeprowadzić to, co było dla niego najważniejsze - przekazał młodemu Edwardowi VI zwierzchnictwo nad Kościołem. Edward pod koniec 1552 roku skończył piętnaście lat, wyrastając na radykała i raczej surowego reformatora. Gdyby żył tak długo jak ojciec - w co nikt nie wątpił - w Anglii prawdopodobnie dokonałaby się protestancka rewolucja, jak w latach sześćdziesiątych szesnastego wieku w Szkocji. Jak na ironię, Edward jednak zmarł w 1553 roku na gruźlicę, kilka miesięcy przed szesnastymi urodzinami.

Korona przeszła więc na starszą córkę Henryka, Marię, która zmieniła kurs: zrzekła się zwierzchnictwa nad Kościołem, oddała go z powrotem pod władzę papieża, przywróciła klasztory i poślubiła katolickiego księcia (a później króla) Filipa Hiszpańskiego. Jednakże w 1558 roku, po pięciu latach rządów, Maria także zmarła, prawdopodobnie na raka, i na tronie zasiadła Elżbieta, która powróciła do protestantyzmu, choć w łagodniejszej formie.

Często sugerowano, że stronnictwa „protestanckie” i „katolickie” na dworze Henryka kierowały się żądzą władzy, a nie przekonaniem religijnym, i rzeczywiście wielu doradców królewskich — Paget, Rich, Cecil i inni, którzy przetrwali — sprawowało różne urzędy zarówno za panowania Edwarda, jak i Marii, a młodsi z nich służyli jeszcze później Elżbiecie. Jednak najważniejszymi doradcami Edwarda, którzy wdrażali radykalny protestantyzm, byli radykałowie z czasów Henryka, podczas gdy Marii doradzali głównie dawni konserwatyści. To nam przypomina, że choć często duchownym i politykom zależało przede wszystkim na władzy i bogactwach, nie należy sądzić, że klasy rządzące za Tudorów traktowały religię lekko.

*

Ostatnie dwa lata życia Katarzyny Parr stanowią tragiczną historię. Ku swojemu rozczarowaniu nie została regentką. Ta niezwykle zdolna i powściągliwa kobieta postanowiła tym razem pójść za głosem serca, a nie rozumu, i wkrótce wyszła za mąż za dawną miłość, brata lorda protektora, Thomasa Seymoura. Okazało się to katastrofą. Przeniosła się z nim (i nastoletnią Elżbietą) do jego zamku w Sudeley. Tam, w wieku trzydziestu pięciu lat, po raz pierwszy zaszła w ciążę. Thomas Seymour, który zapewne ożenił się z nią ze względu na jej pozycję królowej wdowy, podczas ciąży żony zaczął się zalecać do czternastoletniej Elżbiety. Kiedy Katarzyna się o tym dowiedziała, odesłała Elżbietę, która musiała opuścić dwór tak bliskiej jej przez cztery lata macochy.

We wrześniu 1548 roku Katarzyna urodziła córkę, lecz jak wiele kobiet z rodu Tudorów wkrótce zmarła na zapalenie macicy. Mając w ostatnich dniach przed śmiercią, oskarżała męża o zdradę i nielojalność,

Seymour - który według współczesnej wiedzy był niepoczytalny — zorganizował w lutym 1549 roku

głupi spisek, którego celem było porwanie jego młodego siostrzeńca, Edwarda VI, i przejęcie funkcji lorda protektora w miejsce brata. Nie miał jednak poparcia i został natychmiast aresztowany, a następnie, w marcu 1549 roku, skazany za zdradę stanu. Elżbieta, usłyszawszy o jego ścięciu, podobno powiedziała: „Zginął dziś człowiek o wielkiej inteligencji i małej mądrości”, wykazując się ponownie typową dla niej przenikliwością.

Mary Seymour, córka Katarzyny, osierocona przez oboje rodziców, przeszła pod opiekę przyjaciółki matki, owdowiałej księżnej Suffolk, ale po roku 1550 słuch o niej zaginął. Prawdopodobnie umarła w dzieciństwie jak wielu potomków Tudorów. I to bardzo smutne wydarzenie kończy historię Katarzyny Parr.